

The book cover features a central illustration of a man with a beard and a dark turban, looking to the right. He is wearing a dark, heavy robe. The background is a warm, orange and red landscape, possibly a desert, with a bright blue, ethereal light source or energy field above him. The entire scene is framed by intricate, white geometric patterns in the corners. The title 'Rafat Dębski' is written in a large, white, stylized font across the middle of the image.

Rafat
Dębski

Łzy Nemezis



fabryka słów
www.fabrykaslow.pl

Rafał
Dębski
Łzy Nemezis



Lublin 2010

Spis treści

Karta tytułowa

Łzy Nemezis

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

Rozdział XVII

Rozdział XVIII

Rozdział XIX

Rozdział XX

Rozdział XXI

Rozdział XXII

Rozdział XXIII

Rozdział XXIV

Rozdział XXV

Rozdział XXVI

Rozdział XXVII

Rozdział XXVIII

Rozdział XXIX

Rozdział XXX

Rozdział XXXI

Rozdział XXXII

Rozdział XXXIII

Rozdział XXXIV

Rozdział XXXV

Rozdział XXXVI

Rozdział XXXVII

Ryk lwa na Cyprze

Udręka Czasu

Kuszenie pośród piasków

Książki Rafała Dębskiego

Rafał Dębski

Karta redakcyjna

Łzy Nemezis

Rozdział I

Z daleka mogło się wydawać, że na szczycie pagórka przysiadł stwór nie z tego świata. Wokół potężnej postaci w porywach wiatru tańczyły poły płaszcza, sprawiając wrażenie, że to nie człowiek, ale uskrzydłony baśniowy smok, gotów w każdej chwili wzlecieć w powietrze. Mężczyzna z wielkim natężeniem wpatrywał się w dal, gdzie niebo lśniło niesamowitym, sinym blaskiem. Bezwiednym ruchem poprawił arkan przerzucony przez łęk siodła, przyłożył do czoła dłoń, by uchronić oczy przed kłującymi promieniami słońca. Spod zawoju wymykały się długie szpakowate włosy.

– Allah! – mruknął. – Jeśli ta burza jest tak wielka, jak się wydaje, nie wiem, czy damy radę przetrwać ją na tej pustaci. Nigdzie nie znajdziesz osłony przed wiatrem i piaskiem. Wszystkiego dwa krzaki i kilka kamieni.

Wygładził burnus. Spomiędzy fałd materiału spłynęły strużki żółtobrunatnego pyłu.

– Widzisz coś, Dżamil? – zawołał czekający u stóp wzgórza człowiek. Koń tańczył pod nim niecierpliwie. – Pospiesz się. Sułtan czeka na wiadomości!

– Kończymy poszukiwania. Burza idzie! Ogromna i groźna, wygląda na największy samum, jaki zdarzyło mi się dotąd widzieć. Bierz ludzi i jedź, powiedz w obozie, żeby się przygotowali. Płachty namiotów wkopać jak najgłębiej... Wyznaczyć spośród przybocznych takich, którzy osłonią sułtana, jak trzeba, to własnymi ciałami! Niech biorą wielbłądy, utworzą wał od czoła i po bokach miejsca, w którym stoi sułtan. Mają trwać niczym kamienny mur! Zresztą sam wiesz, co robić. Ja jeszcze zostanę i popatrzę. Dziwne zaiste jest to, co niosą ku nam demony piasków! Patrz, jak się zwierzęta płoszą. Jedź już!

– A ty? Też powinieneś wracać.

– Jeszcze poczekam, mówiłem przecież! Może wreszcie nadciągnie Musa z oddziałem. Zresztą wyjadę jeszcze w przód poszukać śladów. Nie obawiaj się, zdążę przed burzą. Ruszaj, Osman!

Rzucił krótkie spojrzenie za oddalającym się jeźdźcem, powolnym ruchem sięgnął po bukłak, podniósł go do ust, nagle drgnął, rzucił okiem na wypełniony do połowy worek, a potem przywiązał go z powrotem do pasa.

– Trzeba oszczędzać. Niebawem możemy mieć za mało wody. – Poklepał konia po szyi. – Cicho, Antares, nie kręć się.

Znowu popatrzył na łunę nad horyzontem. Zaczęła nabierać żywszych kolorów, powoli stawała się purpurowa. Przeżył w swym życiu wiele burz piaskowych, jednakże takiej barwy nieba jeszcze nie widział.

– To wygląda straszniej nawet niż wtedy, gdy księżyc rudzieje przed nocną nawałnicą – rzekł do siebie. – Zupełnie jakby gdzieś tam płonęło wielkie miasto. A przecież przed nami nie ma nawet najmniejszej osady.

Rozejrzał się. Miał wrażenie, że łuna zaczyna wyciągać ku niemu upiorne macki. Poczłł niepokój. Coś niesamowitego było w tym rozległym blasku, coś, co sprawiało wrażenie, jakby sam szejtan postanowił przybyć wraz z burzą. Wstrząsnął się. Cóż za myśli przychodzą mu do głowy! To zapewne dlatego, że dziś musi zadbać o bezpieczeństwo sułtana i jego ukochanego brata. O ileż prościej przetrwać burzę, gdy nie trzeba się troszczyć o innych. O wiele łatwiej zegnać się z życiem, gdy śmierć jest tylko śmiercią, kiedy nie trzeba ustrzec przed nią człowieka będącego jedyną nadzieją na ocalenie przed przemocą najeźdźców.

Wierzchowiec zatańczył pod nim, spłoszony basowym pomrukiem odległego grzmotu. Dżamil trącił zwierzę piętami.

– Naprzód, Antares, skoro mamy zdążyć z powrotem, zanim się zacznie, trzeba się pośpieszyć. Nie ma na co czekać. Co mogło się stać, że tak doświadczony żołnierz jak Musa zaginął wśród piasków?

Jechał, śledząc uważnie ślady. Trop jaszczurki, zygzak pozostawiony przez umykającego przed niebezpieczeństwem albo gorącym wężą... Ani śladu po licznych, bądź co bądź, zwiadowczym oddziale. Co chwila rzucał okiem w kierunku nadciągającego żywiołu. Że też coś takiego musiało nadejść właśnie teraz. Nagle potrząsnął głową, a jego oczy rozszerzyły się z niedowierzania. Zeskoczył na ziemię, pochylił się nad dziwnym zarysem, którego nie zdążył jeszcze zasypać niesiony wiatrem piach. Wpatrywał się dłuższą chwilę w niesamowity ślad pozostawiony przez jakąś istotę... Co to mogło być? Nagle olśniło go, pamięć położyła obecny obraz w jednej linii obok na wpół zatartego wspomnienia. Raz w życiu widział podobny odcisk łapy, bardzo dawno temu.

I miał nadzieję, że nie zobaczy czegoś podobnego już nigdy! Splunął soczyście, wskoczył w siodło i zawrócił wierzchowca. Zmusił go do okręcenia się kilka razy wkoło, po czym wystrzelił jak pocisk z katapulty.



Przed namiotem drogę zastąpiła mu potężna postać.

– Co powiesz, Dżamil?

– Muszę natychmiast zobaczyć się z sułtanem!

– Mowy nie ma! Był tu już Osman i przekazał, co trzeba. Pan rozmawia teraz z bratem. Obawiam się, że nie znajdzie dla ciebie czasu. Jesteś zbyt mały, żeby ot tak sobie przyjść i ujrzeć oblicze władcy. Myślę, że jeśli Jego Wysokość zechce poświęcić odrobinę cennego czasu takiemu robakowi jak ty, na pewno zostaniesz o tym niezwłocznie powiadomiony.

Dżamil zmrużył oczy.

– Posłuchaj, Fadil. Nie wysilaj się na kwiecistą przemowę, nie wymyślaj bogatych fraz, bo marnie ci to wychodzi. Przyjęto cię do straży przybocznej nie dlatego, że potrafisz myśleć, ale żeś silny i dobrze machasz mieczem. Myślenie pozostaw zatem innym. I nie zapominaj, kto cię wyciągnął z zapadłej wioski, umieścił na dworze Salah ad-Dina. Pamiętasz, jak wypraszałeś na kolanach, żeby jechać ze mną do Damaszku? Wyglądałeś wtedy równie żałośnie jak chory, wyliniały szczur. A teraz melduj sułtanowi, że mam pilną sprawę! Biegnij! Nie unosi się w tej chwili gniewem, przyjdzie na to czas później. Kiedy indziej odpłacisz mi za zniewagę! Mam nadzieję, że będzie jeszcze po temu okazja.

Było coś takiego w wyrazie twarzy Dżamila, w jego zduszonym wściekłością głosie, że Fadil porzucił myśl o wydobyciu miecza i natychmiast zniknął w namiocie. Dżamil pokręcił głową. Jak też odrobina władzy może wpływać na prostackie umysły. Jeszcze dwa miesiące temu ten żołdak czołgałby się przed nim w prochu, a dziś...

Płachta odsunęła się.

– Możesz wejść! – Fadil rzucił mu nienawistne spojrzenie.

W środku panował przyjemny półmrok. Oczy, przyzwyczajone do porażającego blasku pustynnego słońca, oswajały się z nim bardzo powoli. Przez chwilę nie widział właściwie nic. Tyle tylko, że było tu znacznie goręcej niż na zewnątrz, a w powietrzu stał gęsty, ciężki zapach jakiegoś pachnidła. Stary żołnierz stanowczo wolał zapach stajni niż mydlarni. Od tego pierwszego przynajmniej tak nie mdliło. Ale przecież sułtanowi nie przystoi cuchnąć końskim potem.

– Dżamil al-Ghadban – rozległ się cichy głos. – Witaj, stary wojowniku, mój pustynny jastrzębiu. Nie widziałem cię od trzech bodaj dni. Gdzieżeś się podziewał?

– Cały czas w przedniej straży, najjaśniejszy panie. Weszliśmy w ziemie, na których możemy napotkać znaczne siły wroga.

Salah ad-Din leżał podparty na łokciu, naprzeciwko niego siedział królewski brat. Obaj wpatrywali się w Dżamila z oczekiwaniem.

– Jakie wieści przynosisz? Twój posłaniec już ostrzegł nas przed burzą. Przygotowania trwają.

Al-Ghadban zacisnął pięści.

– Musisz jak najszybciej odjechać, panie! Obaj musicie uchodzić co sił. Ty i czcigodny Al-Adil!

– Co ty mówisz, człowieku? Mamy porzucić wojsko i uciekać przed zwykłą piaskową burzą?

Dżamil wciągnął głębiej powietrze.

– Wojsko też musi uciekać! Wszyscy! Na miejscu pozostawić trzeba najwaleczniejszych, takich, co bez wahania staną oko w oko z... – Zaciśnął zęby. Nie wolno wymawiać w głębi pustyni imion jej demonów.

– Ani Salah ad-Din, ani jego brat – powiedział spokojnie sułtan – nie będą uciekali przed niebezpieczeństwem niby tchórzliwe kobiety. Stawimy mu czoło.

– To nie jest kwestia odwagi, ale rozsądku – Dżamil starał się mówić równie spokojnie jak władca. – Nie rzecz dzielności, ale rozwagi. Czym innym jest stanąć przed wrażą, choćby najliczniejszą armią, a czym innym próbować stawić opór... demonowi! A właśnie nadciąga tutaj stwór z piekła rodem!

Salah ad-Din skrzywił się niechętnie.

– Nie ma na świecie nijakich demonów! Miałem cię za mądrzejszego, Dżamil, a ty gadasz jak przesądny nomada albo Zendża o skórze równie ciemnej jak jego umysł! Strach cię obleciał? Ciebie, jednego z najlepszych moich ludzi? Powinienem cię...

– Poczekaj, Jusuf – brat powstrzymał sułtana. – Niech powie do końca, co ma do powiedzenia, zanim uniesiesz się gniewem. Nie poznaję cię. Gdzie twoje opanowanie i skłonność do dokładnego rozważania wszelkich aspektów sprawy?

– Masz słuszość, Malik. – Władca powoli wypuścił powietrze, przymknął oczy. – To zapewne przez ten nieziemski upał... Mów, Dżamil.

Al-Ghadban spojrział na księcia z wdzięcznością.

– Pojechałem w stronę burzy, mając nadzieję, że odnajdę ślady oddziału Musy. Zamiast tego ujrzałem rzecz niesamowitą...

Przerwał, dostrzegłszy ruch w kącie namiotu.

– Dalej, Al-Ghadban, możesz mówić. To mój pies, a nie Fatma. Siostrę odesłałem już do Jerozolimy. A gdyby to nawet była ona, cóż by z tego wszystkiego wyrozumiała, skoro Allahowi spodobało się zesłać na nią szaleństwo? Mów, co zobaczyłeś.

– Znalazłem ślady ghula!

Malik poderwał się.

– W głębi pustyni, tak daleko od ludzkich siedzib? Niemożliwe! Jesteś pewien, że to był ghul?

– Nic innego nie pozostawia podobnych śladów, panie. I myślę, że nie mamy się co spodziewać powrotu choćby jednego żołnierza Musy. Pewnie zapuścili się zbyt daleko, zlekceważyli albo przeoczyli pewne znaki. Zapewne nie żyją.

– Chcesz powiedzieć, że to, co ku nam nadciąga, to rozgniewany duch, opiekun ghula?

– Nie inaczej! Sam ghul jest zbyt słaby, by stawić czoło tak wielu ludziom, by zgładzić silny podjazd. Musi mieć pomocnika. A ten nasz znalazł sobie doprawdy nie

byle jakiego. To musi być wyjątkowo potężny duch, skoro nie przybywa w postaci zwykłego leja piachu, jak to zwykle bywa, ale ciągnie się na wielkiej przestrzeni jako ogromna nawałnica.

– Pewien jesteś?

– Na tyle, żeby doradzać natychmiastową ucieczkę. Ja pozostanę na miejscu, będę dowodził ochotnikami. Może uda nam się choć na kilka chwil powstrzymać demona. – Nagle poczuł uderzenie krwi do głowy, uderzył pięścią w otwartą lewą dłoń. – Dość gadania! Ratujcie się! Wasza krew nie może wsiąknąć w piach, jeśli mamy powstrzymać wojska niewiernych!

– Jusuf – Malik przysiadł naprzeciwko sułtana – słyszysz, co mówi ten wojownik?

Salah ad-Din zmarszczył gniewnie brwi.

– Wiesz dobrze, że nie wierzę w te wszystkie opowieści o džinnach, ifrytach i ghulach! Dziwię się doprawdy, że dajesz temu wiarę ty, nazywany Synem Pustyni, który znasz ją nie gorzej od dzikich nomadów!

– Właśnie dlatego, że tak mnie zwa, że znam tajemnice gorącego interioru, wierzę Dżamilowi, bracie. Widziałem na własne oczy zbyt wiele zastanawiających zjawisk, żeby lekceważyć jego słowa, tym bardziej że nasz przyjaciel nie należy do ludzi, którzy zląkną się byle czego.

– Wasza Wysokość – odważył się wtrącić Al-Ghadban – z każdą chwilą, z każdym wypowiedzianym słowem niebezpieczeństwo przybliży się. Dla pustynnego ducha przebyć odległość mili czy nawet farsacha to tyle, co dla ciebie uczynić mały krok!

Salah ad-Din wzruszył ramionami.

– Nie wierzę w pustynne duchy, Dżamil! Wzrusza mnie twa troska o moje życie, jednakże nie ucieknę przed zwykłymi kłębami piachu, choćby miał to być morderczy samum! Nie pozwolę też wzniecać paniki wśród żołnierzy. Czekają nas ciężkie bitwy!

– Ale...

– Zamilcz, Al-Ghadban, by nie dotknął cię w końcu mój gniew! Uczynimy, jak powiedziałem.

Dżamil zagryzł wargi.

– Pozwól mi przynajmniej, panie – wymamrotał – wyjechać z silnym oddziałem naprzeciw burzy. Na wszelki wypadek. Przynajmniej tyle zechciej dla mnie uczynić, skoro nie chcesz słuchać rady...

Salah ad-Din pokręcił głową.

– Uparty jesteś, człowieku, nad miarę. Idź już i nie drażnij mnie!

– Poczekaj, Dżamil – odezwał się Malik. – Pójdę z tobą. Sam chcę doglądać przygotowań.

Gdy wyszli z namiotu, książę zbliżył wargi do ucha Al-Ghadbana.

– Wyślę oddział, tak jak mówiłeś.

– Narazisz się na gniew brata, panie.

– Moja rzecz!

– W takim razie ja poprowadzę tych ludzi. Trzeba działać szybko, mamy bardzo mało czasu.

– Nie, Dżamil! Ty musisz pozostać przy sułtanie. Jeśli zdarzy się jakieś nieszczęście, powinien mieć przy sobie najlepszego i najwaleczniejszego wojownika. Kto inny pójdzie z żołnierzami na przedpole. Do tego nie potrzeba wielkiego rozumu ani rozeznania.

Zerknął na potężną postać wyprężoną przy wejściu do namiotu.

– Fadil, podejdź! Mam dla ciebie rozkazy. Niech Dżunajd obejmie wartę, ty pójdziesz ze mną!



Ciemne chmury gnały z zachodu, jakby chciały prześcignąć ostatnie przebijające się przez nie promienie słońca.

Dżamil stanął w strzemionach. Nie zważając na kłęby piachu siekące bezlitośnie obnażoną twarz, wpatrywał się w miejsce, gdzie Fadil osadził swój oddział. Z włóczniami pochylonymi do przodu, zwarci w żelaznych szeregach, wyglądali niczym ciemna wyspa zalewana ze wszystkich stron falami rudoszarego morza. Obejrzał się za siebie, tam gdzie skupieni wokół sułtana przyboczni przygotowywali się, by stawić czoło burzy.

– Zaraz nadejdzie pierwsza fala nawałnicy! – krzyknął, z trudem przebijając się przez wycie wichury. – Przygotować zasłony dla sułtana! Uczynić krąg z wielbłądów! Przeprowadzić tam też...

– Dżamil, patrz! – przerwał mu czyjś okrzyk.

To, co zobaczył w tej chwili nad horyzontem, sprawiło, że zabrakło mu tchu w piersi. Na tle burych tumanów zajaśniał sięgający nieba płomień. Zdawał się stać w miejscu, jednakże Dżamil wiedział, że w istocie nadciąga z ogromną prędkością.

– Ifryt – szepnął. – Jaki wielki...

Spiął konia, pogalopował do środka obozu.

Dopadł kręgu utworzonego z ludzi i zwierząt, w którego centrum sułtan, zasłonięty płachtami, przystąpił do południowej modlitwy.

– Ifryt! – wrzasnął Dżamil, nie zważając już na nic. – To wyjątkowo potężny ifryt, panie! Przerwij modły i sam zobacz! Allah ci wybaczy to uchybienie...

Salah ad-Din poderwał się z kolan, wypadł na otwartą przestrzeń. Uderzył go zbijający z nóg, gorący podmuch. Z niedowierzaniem patrzył na olbrzymi płomień, wciąż jeszcze mamrocząc rozpoczętą surę.

– To ifryt! – powtórzył Dżamil. – Nic i nikt mu się nie oprze! Zmiażdży wszystko, co stanie na jego drodze! Wasza Wysokość, sułtanie, panie mój! To prawdziwy, okrutny

demon zemsty! Uciekaj, póki jeszcze pora. Fadil z ludźmi zdoła go powstrzymać najwyżej kilka chwil, jeżeli w ogóle uda im się oprzeć!

– Nie myślałem, że to możliwe – szepnął sułtan.

– Jusuf! – przypadł do niego Malik. – Widzisz to? Widzisz?! Siadaj na koń! Ratuj się, bracie! W tobie jedyna nadzieja! Nie pora na spieranie się w obliczu niebezpieczeństwa!

Wiatr porywał słowa, do uszu sułtana nie docierało ich znaczenie, tylko pojedyncze dźwięki. Spojrzał na przyprowadzonego rumaka, skinął głową i już bez protestów wskoczył na siodło. Malik skinął na przybocznych. Natychmiast otoczyli Salah ad-Dina, a po chwili gnali na złamanie karku.

– A wy, panie? – Dżamil pociągnął Malika za rękaw. – Jedźcie wraz z nim!

– Ja poprowadzę wojsko. Uratuję tyłu, ilu się uda.

– Nikogo nie uratujesz, a sam zginiesz! Jest już za późno! Od początku było za późno – dodał ciszej.

– Nie opuszczę moich ludzi! Ale ty jedź natychmiast za Jusufem, musisz być przy nim! Masz go bezpiecznie przeprowadzić przez pustynię!

Wiatr wzmagął się. Musieli rozmawiać pochyleni ku sobie, prawie stykając się głowami.

– Ty jedź, panie. Jesteś bardziej potrzebny bratu niż im. – Al-Ghadban machnął dłonią w kierunku biegających bezładnie żołnierzy. Widząc, że sułtan odjechał, rozproszyli się nawet ci wybrani, którzy mieli stanowić jego ochronny krąg. – Znasz pustynię nie gorzej ode mnie, poradzicie sobie. A ja spróbuję tutaj zebrać, co się da!

– Nie sprzeciwiaj mi się, Dżamil! – Twarz Malika wykrzywił wściekły grymas, błysnęły białe zęby. – Wykonaj rozkaz. Natychmiast!

Wojownik dłuższą chwilę patrzył prosto w gorejące gniewem oczy księcia.

– Wybaczcie, szlachetny panie – powiedział cicho.

Malik zbliżył się do niego jeszcze bardziej, usiłując zrozumieć, co mówi. Wtedy potężna pięść wylądowała na jego szczęce. Choć kłęb materii zawoju nieco stłumił siłę ciosu, jednak był on wystarczająco mocny, aby Al-Adil bez przytomności osunął się na ziemię. Al-Ghadban chwycił go, przerzucił przez grzbiet własnego wierzchowca, sprawnie przewiązał arkanem ręce pod końskich brzuchem.

– Antares – szepnął do ucha rumaka – będziesz niósł wyjątkowo cenny ładunek. Nie zawieź mnie.

Ktoś galopował od strony nadchodzącego żywiołu. Dżamil stanął mu na drodze z uniesionymi rękami. Tamten w ostatniej chwili osadził konia, wypuszczając przy tym spod kopyt fontanny piachu.

– Z drogi – wrzasnął – jadę do sułtana z wieściami! Z drogi, bo mieczem pchnę!

Wydobył broń, mierząc prosto w gardło Dżamila. Stary wojownik skoczył do przodu, chwycił tamtego za nadgarstek, silnym uderzeniem wytrącił mu miecz z dłoni,

a potem bez wysiłku ściągnął wojownika na ziemię, usiadł zaskoczonemu na piersi i rozkrzyżował jego ręce, wciskając je w mialki piach.

– Posłuchaj, durniu – krzyknął mu prosto w ucho. – Sułtan już uszedł wraz z przybocznymi! A ty zabierzesz teraz szlachetnego księcia Malika i spróbujesz ich dogonić! Rozumiesz?

Leżący pod nim żołnierz kiwnął głową. Na Dżamila spojrzały spokojne błękitne oczy. Al-Ghadban zaklął w duchu. To niewierny, ulubieniec Al-Adila. Nie było jednak czasu na rozważania.

– Posłuchaj, giaurze! Los królewskiego brata jest w twoich rękach! Masz uczynić wszystko, aby go uratować. Jeśli tego nie zrobisz, przysięgam, że spadnie na ciebie mój gniew! Odnajdę cię, choćby pod postacią złego ducha! Zabiję cię, wyszę z ciebie krew! Naśle na ciebie piekielne demony!

– Niepotrzebnie mi grozisz! – odparł giaur, wymawiając słowa z twardym akcentem. – Bez tego zrobię, co w ludzkiej mocy, aby ocalić życie księciu! Nie obawiaj się! Przysięgam na moje zbawienie!

Dżamil puścił go, wstał ciężko. Nagle poczuł się bardzo zmęczony i stary. Kilka dni trudów uczyniło swoje. Już od dawna miał za sobą wiek, kiedy mógł bezkarnie hasać po pustyni choćby i cały miesiąc, by potem wrócić do miasta i bez znużenia oddawać się rozkoszom. W tej chwili tęsknie pomyślał o altanie w przydomowym sadzie i jasnych głosikach wnucząt biegających pośród drzew. O łagodnym powiewie wiatru znad morza, tak innym od palącego podmuchu pustyni. O gwarze targowiska, jęklwym wołaniu handlarzy wodą... Wszystko to trwało ledwie mgnienie oka, było ulotnym obrazem, który natychmiast zniknął, przytłoczony burymi kłębowcami piachu. Potrząsnął głową, puścił niebieskookiego.

– Wierzę ci, niewierny, bo nie mam innego wyjścia! Kiedy Jego Dostojność Malik ocknie się, powiedz mu, żeby nie chował do mnie urazy. Co uczyniłem, uczynić musiałem nie tylko dla jego dobra, ale dla dobra nas wszystkich. Powtórzysz?

Wojownik kiwnął głową.

– Teraz jedź! Nie żałuj tchu w koniach! Pomóż mi tylko wpierw przywiązać księcia do siodła! Daję mu swego wierzchowca. To Antares, najściglejszy rumak, jakiego ziemia nosiła! On na pewno nie zawiedzie, jeśli ty nie zawiedziesz.

– A ty, Dżamilu?

– Co ci do mnie? Zostaję. Ktoś musi spróbować dowodzić tym nieszczęsnym, oszalałym tłumem! Powtórz tylko jeszcze jedno memu panu: niech Allah zachowa go w zdrowiu... I jeszcze... – przerwał na chwilę. – Powiedz...

Giaur spojrział pytająco.

– Powiedz mu tylko jedno imię. Abd al-Hadžib! Zapamiętaj dobrze, Abd al-Hadžib! Sułtan będzie wiedział, o co mi chodzi. Jedź już!

Po chwili Dżamil patrzył, jak wierzchowce znikają w kurzawie. Spojrzął w drugą

stronę. Płomień potężniał z każdą chwilą, biła od niego zniewalająca moc, straszliwa tajemnicza potęga, która zdawała się pochodzić z najczarniejszych czeluści piekła. Stary żołnierz wzniósł oczy do nieba.

– Panie mój – powiedział – jedyny, który mnie teraz słyszysz. W chwili gdy nadchodzi moja ostatnia godzina, wybacz mi wszystko, co uczyniłem złego w całym moim długim życiu. Ty, który gdzieś tam nad chmurami patrzysz na nędzne ludzkie robaki, pełzające w przyziemnych, nic niewartych sprawach, przyjmij mą duszę do swego domu i znajdź dla niej ustronne, spokojne miejsce. Nie pragnę rozkoszy seraju, nie pragnę wyszukanych potraw ani nieustających biesiad. Chcę tylko odrobiny wytchnienia. O to jedno cię proszę, mój Panie. A na tym świecie niechaj nikt nie przeklina i nie zanoszi do Ciebie skarg, gdy wspomni moje imię...

Znowu rzucił okiem na szalejącą nad pustynią kolumnę ognia.

– Do mnie! – zawołał, dosiadając najbliższego wielbłąda. – Do mnie! Setnicy, zbierać ludzi w oddziały!

Jego głos tonął w wyciu wichury i niesamowitym, przesywającym uszy syku dobiegającym od szalejącego o kilkaset kroków płomienia. Niektórzy żołnierze jednak dostrzegli dowódcę, zaczęli się skupiać wokół niego. A on wy dobył miecz, wskazał kolumnę ognia. Nie krzyczał już, nie otwierał nawet ust. Ludzie zrozumieli, co mają zrobić. Z zaciśniętymi ustami ruszyli w stronę niebezpieczeństwa, tam gdzie oddział Fadila trwał niczym skała w oczekiwaniu na nieuchronną śmierć.

Rozdział II

Tłum wylewał się z kościoła wprost na rozgrzany porannym upałem plac. Vincent zmrużył oczy i skrzywił się, kiedy przyjazny chłód i mrok świątyni zniecka zastąpił rażący blask oraz gorący powiew. O wiele bardziej od tutejszych ranków cenił sobie wieczorną bryzę, kiedy wyraźnie dawała o sobie znać bliskość morza.

– De Rionne, gdzie się wybierasz? – Poczul dłoń na ramieniu. Obejrzał się. Za nim stał uśmiechnięty od ucha do ucha Jan de Morges. – Zapomniałeś? Mieliśmy dzisiaj nawiedzić pewną tawernę. Tam rozkaz królewski zakazujący gry w kości o wyższe stawki jest, jak by to delikatnie ująć... niezbyt ściśle przestrzegany.

– Zakazy waszych monarchów obowiązują tylko was, zapomniałeś? Ja nie jestem krzyżowcem, nie przypłynąłem z Filipem czy Ryszardem. Podlegam jedynie władzy króla Jerozolimy. Mogę sobie grać w kości, z kim chcę, gdzie chcę i za ile chcę.

De Morges machnął ręką.

– Króla Jerozolimy? A gdzie masz takiego? Korona leży teraz w skarbcu. Możesz i nie przybyć z nami, ale edykt władcy obowiązuje wszystkich, nawet tych, którzy nie czują się jego poddanymi.

– Nie będę się z tobą kłócił, Janie – uśmiechnął się lekko Vincent. – A do tej twojej spelunki zajrzę bardzo chętnie.

– I słusznie uczynisz, bo spotkamy tam jeszcze kogoś.

– Kogo? Jak cię znam, chodzi bez wątpienia o kobietę? A jakiejże to wysokiej proweniencji niewiasta mogłaby zawitać w tak paskudne miejsce?

– Nie, de Rionne! Nie chodzi o kobietę! W każdym razie niezupełnie. Pamiętasz zapewne Judytę z Monaghan?

Vincent spojrział na Jana spod zmarszczonych brwi.

– Nie kpij, pewnie, że pamiętam. Ale Judyta odpłynęła dwa miesiące po królu Filipie, bodaj w październiku.

– Nie inaczej, drogi przyjacielu. I nie mów „bodaj w październiku”. Już ty wiesz najlepiej, kiedy to było, dokładnie co do dnia i godziny, bo potem chodziłeś jak struty jeszcze przez... Nie, źle mówię! Ty nadal chodzisz jak struty. A ja, widzisz, nie dalej jak pozawczoraj miałem okazję poznać sławnego krewniaka pięknej Judyty, pana Piotra

z Telford. Niedawno przybył z Jafy i, powiadam ci, już pokazał, że potrafi tego pić i tego grać! A i pięść ma niczego sobie.

– O, to zapewne wielce interesujący kompan.

– Żebyś wiedział, de Rionne, żebyś wiedział. W dodatku sam Ryszard bardzo go sobie ceni. A to już coś znaczy.

Vincent skrzywił się.

– On czyni fawory również Lusignanowi, a to z kolei nie najlepiej świadczy o jego właściwej ocenie ludzi.

– Daj spokój. Lusignan zwyczajnie jest Ryszardowi potrzebny jak nie przymierzając miastu grabarz w czasie ciężkiego oblężenia. Zaś Telford nie tak bardzo, wcale właściwie, a jednak król okazuje mu duże względy. To prosty rycerz, takiemu łaskę pańską niełatwo uzyskać.

– Prostym rycerz! – parsknął Vincent. – Telfordowie prostym rycerstwem! On w samej tylko Bretanii ma więcej ziemi niż my obaj razem wzięci.

– Ma jej sporo, to fakt, a w szczególności więcej od ciebie. Bo dopóki Filip nie zdejmie z twego rodu ortylów, tyle jej posiadasz, co pod stopami lub w mogile. Ale zgadza się, Piotr ma pewien majątek. Decyduj się, chcesz czy nie chcesz poznać kuzyna pani z Monaghan?

– Chcę. Prowadź.

– Jasne, że chcesz. Toż mało brakowało, a zostalibyście stryjecznymi szwagrami!

Vincent pokręcił głową.

– Powiadam ci, de Morges, kiedyś się doigrasz. Przyjdzie dzień, w którym ktoś uzna, że powiedziałaś o jedno słowo za dużo!

Jan roześmiał się beztrąsko, klepnął towarzysza po ramieniu.

– Na mnie ciężko się gniewać, wiesz przecież.

– Ja tak, ale możesz trafić na kogoś, kto nie będzie posiadał podobnej wiedzy, a wtedy czeka cię pojedynek.

Jan przyjrzał się uważnie swojej prawicy.

– No cóż, jeśli będzie miał pięść bardziej mocarną niż moja, może być różnie... Jednakże nie myślę przejmować się podobnymi sprawami w tak piękny dzień. Chodźmy.

W tej samej chwili rozległ się tętent kopyt i rozpaczliwy krzyk kobiety. Pobiegli w tamtym kierunku. Przez szeroką aleję galopował szpaler jeźdźców. Pośrodku, między rzędami pędzących koni, stało struchlałe z przerażenia dziecko. Niewieści krzyk narastał. Chłopczyk, może pięcioletni, skulił się i mocno zacisnął powieki. Jeźdźcy przelecieli błyskawicznie, a matka natychmiast przypadła do synka.

– Nic ci nie jest? Skarbie, nic ci nie jest?

De Morges splunął.

– Masz tego, który pragnie zostać nowym królem Jerozolimy. Widziałeś? Jeszcze go

nie pomazano, a już stał się bardziej wyniosły niż władca całej Francji! Dla Konrada z Montferratu wszyscyśmy jeno pył i mierzwa. Gdybyś ty tam stał, stratowaliby cię bez wahania. Dzieciak uratował się tylko dlatego, że mały i zmieścił się między końmi. Od markiza Montferrat lepszy byłby już chyba Gwidon, choć powiadają o nim, że nieudacznik i trzyma się niewieściej zapaski! Ba, wolałbym Onufrego z Toronu, chociaż swego czasu nie podjął rękawicy, gdy go wyzwiał pan z Senlis. Lepszy już chyba tchórz niżli taki podlec.

Spojrzał tam, gdzie jeszcze unosił się kurz wzniecony kopytami.

– Powiadam ci, Vincencie, że jeżeli ktoś wreszcie nie zabije Konrada, będzie to zakrawało na cud. Jest zbyt dumny i gwałtowny, żeby umrzeć we własnym łożu. Jeszcze dopóki przebywa tutaj król angielski, dopóty Montferrat na wiele się nie waży, lecz gdy tamtego braknie, zalezie wszystkim za skórę...

– A odkąd to darzysz taką estymą króla Ryszarda, Janie?

– Ja go nie darzę żadnym szczególnym uczuciem. Ale mam dla Anglika szacunek. Więcej jest wart niż stu tutejszych władcyków. Gdyby jeszcze nie był tak szalony... Chociaż gdyby nie był szalony, nie wstąpiłby na tron tylko po to, by zaraz go porzucić i wdać się w awanturę z krucjatą. Ale, ale – ożywił się nagle, przypominając sobie, w jakim celu odszukał przyjaciela – chodźmy już, bo nam całe wino wypiją i wszystkie pieniądze przegrają!



W tawernie panował przyjemny chłód. Gości o tej porze było jeszcze niewielu, więc gospodarz krzątał się niespiesznie, gawędząc ze stałymi bywalcami. Poza tym panowała cisza, tym więc wyraźniej brzmiał grzechot kości w skórzanym kubku.

– Telford! – zawołał od drzwi de Morges. – Słońce jeszcze nie wzbilo się na szczyt nieboskłonu, a ty już grasz! W kościele chociaż poświęciłeś swoją osobą?

Z ławy pod ścianą wstał czarnowłosa, wysoko podgolony mężczyzna.

– Wszak przechodziłem obok katedry, zmierzając tutaj. To chyba wystarczy. Starczy też, że mój pan, Jego Wysokość Ryszard Plantagenet, odbywa kolejną publiczną pokutę. Dość będzie jego modlitw dla niego samego, dla mnie i jeszcze tuzina takich mizeraków jak ja! Powiedz lepiej, kogo to przyprowadziłeś do naszej jaskini?

Ruszył w kierunku przybyłych.

– Poznaj pana de Rionne'a, prawego rycerza.

Piotr z Telford zatrzymał się. Obrzucił Vincenta uważnym spojrzeniem.

– Tak – powiedział powoli, groźnie marszcząc brwi. – Chętnie poznam człowieka, który złamał serce mojej kuzynce. Poznam i...

Sięgnął do boku. Vincent obserwował spokojnie jego poczynania. Rozluźnił ramiona, nieznacznie cofnął lewą rękę w kierunku sztyletu. Jan de Morges stanął

między nimi.

– Dałbyś pokój – rzekł. – Nie przypuszczałem, że zechcesz się o to mścić. To sprawa między panią Judytą Monaghan a nim, czyż nie?

– A kto mówi o zemście? – roześmiał się nagle Piotr. – Odsuwam tylko kord, by broń Boże nie uderzyć pana de Rionne’a, gdy go wezmę w objęcia.

Ominął osłupiałego Jana i ujął za ramiona równie zaskoczonego Vincenta.

– Bracie! – zawołał. – Nigdy bym nie przypuszczał, że to możliwe. Że znalazł się ktoś, kto potrafił aż tak zapaść w duszę mojej zimnej krewniaczce, którą zowią, poza jej plecami, rzecz jasna, Lodową Panią! Zaiste Palestyna jest krainą cudów!

Wziął de Rionne’a pod rękę, poprowadził do stołu.

– Bawmy się, pijmy. Wzniesmy toast za zdrowie pięknej Judyty, zimnej królowej, pani lodu!

– Panie – rzekł Vincent – bardzo cię proszę, nie obrażaj przy mnie imienia tej damy, którą będę czcił i szanował po kres moich dni!

Piotr spojrział na niego uważnie.

– Nie myśl sobie, że chciałem urazić ją albo ciebie – powiedział. – Być może wypilem już za dużo wina i język mam zbyt swobodny. Jednakże gdybyś znał Judytę równie długo jak ja, sam wzniósłbyś kielich w tej intencji!

De Morges natychmiast objął obu kompanów.

– Przy stole nie czas na urazy, panowie! A pojedynkować się i tak nie możecie, bo król zabronił.

– Jaki król? – spytał Vincent. – Bo jeżeli...

– Dałbyś już spokój, de Rionne! Napijmy się lepiej i rzućmy kości. To bodaj jedyne miejsce w całym mieście, gdzie możemy to uczynić, nie narażając się na kłopoty ze strony straży biskupiej! Nie zaglądamy tu już od pewnego czasu.

Piotr spojrział pytająco. Jan chrząknął.

– Pewnie chcesz spytać dlaczego? Sprawa jest prosta. Onegdaj wlaźł do tej karczmy pewien kapitan z kilkoma ludźmi, z wyraźnym zamiarem aresztowania wszystkich grających. Kiedy przyszła kolej na mnie... jak by to powiedzieć... rzecz jasna, nie pozwoliłem pachołkom na podobne zuchwalstwo. Myślę, że jeszcze długo tutaj nie zawitają.

– Nie pozwoliłeś – roześmiał się Telford. – O ile zdążyłem cię poznać, to oznaczało regularną bitwę!

– Zaraz tam bitwę. Rozdałem kilka kuksańców, by sobie nie myśleli, że ze mnie jakiś nieruchawy biedroń, a oni pokocili się na ziemię, ledwie którego dotknąłem.

Vincent rozejrzał się uważnie.

– Tak, Janie. Słyszałem o tym zajściu. A dookoła można bez wysiłku dostrzec jeszcze ślady twego niewinnego oporu, jak choćby te ławy byle jak pozbijane i połatane świeżym drewnem, albo i drzwi, które noszą wyraźne znaki, iż albo ktoś otwierał je nie

w tę stronę, co należy, albo wychodził z tawerny, zapomniawszy w ogóle chwycić za kłamkę.

Jan roześmiał się na całe gardło.

– Niektórzy, jak się przestraszą – odparł wesoło – zupełnie tracą głowę!

– Panowie! – rzekł człowiek siedzący przy sąsiednim stole. Miał charakterystyczny, nieco gardłowy akcent. – Nieco ciszej, bardzo proszę. Przeszkadzacie w grze!

Vincent spojrział w tamtą stronę. Jeden z graczy zamarł z kubkiem w dłoniach, drugi, zwrócony ku nim, patrzył niechętnie. Na stole połyskiwało kilkadziesiąt sztuk złota, ułożonych starannie w kształt wieży. Widać szło o sporą stawkę. Obok, pod ścianą, siedział młody mężczyzna i zdawał się pogrążony bez reszty w rozmyślaniach. Jan de Morges postąpił krok w kierunku mówiącego.

– Sądząc z barw, Niemcy albo Austriacy?

– I Austriacy – padła odpowiedź – i Niemiec. A co, czyżbyście szukali zwady?

– Niekoniecznie – odparł Jan. – Rzadko się jednak zdarza podczas tej wyprawy, żeby... – policzył szybko – w Ziemi Świętej na sześciu rycerzy zgromadzonych w jednym miejscu trzech pochodziło właśnie z tych krajów...

Odziany w czerń i żółć mężczyzna poderwał się błyskawicznie na równe nogi.

– Ostatnio – wycedził – coraz trudniej w takim towarzystwie także o rodowitego Francuza, nie zauważyłeś? Porzucacie krucjatę równie skwapliwie, jak to uczynił nie tak dawno wasz król i wielu innych dostojników za jego przykładem!

Vincent z zainteresowaniem przysłuchiwał się wymianie zdań. Napięcie rosło, kątem oka zobaczył, jak Piotr z Telford zgina i prostuje palce, przygotowując się do walki. Trzech na trzech, pomyślał. Dzień jeszcze dobrze się nie zaczął, a już szykuje się bijatyka... Jednakże Jan najwyraźniej nie zamierzał wszczynać awantury. Rozmowa z Vincentem i Telfordem wprowadziła go w dobry nastrój.

– Masz poniekąd słuszość, panie – rzekł pojednawczym tonem. – Nie chciałem cię dotknąć, wyraziłem jedynie zdziwienie. Trzeba ci wiedzieć, że bardzo cenię tych, którzy dotrzymują wierności przysięgom złożonym przed wyruszeniem na wyprawę, choć pozostają w osamotnieniu pośród obcych.

Nieco udobruchany Niemiec skinął głową.

– Przyjmuję twoje wyjaśnienia, panie...

– Ja zaś – wpadł mu w słowo Piotr z Telford – wcale sobie nie cenię ani Austriaków, ani Niemców! Ci, co zostali, zapewne zwyczajnie spóźnili się na swoje galery! Inaczej nie byłoby w Palestynie ani jednego!

Powietrze zdawało się gęstnieć z każdym słowem wypowiedzanym przez zapalczego Anglika. Zamyślony młodzieniec zerwał się wraz z towarzyszami, gotów pomścić zniewagę.

– Piotrze – rzekł łagodnie Vincent – to było zgoła niepotrzebne.

– A ja swoje zdanie podtrzymuję! Kto się ze mną nie zgadza, niech zaraz staje do

walki!

– Z przyjemnością – warknął drugi z obcych. – Powiedz jeno gdzie i kiedy!

– Tu i zaraz! Panowie, pomóżcie odsunąć ławy!

No to znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia, przeleciało przez głowę Vincentowi. Trzeba się będzie bić! Żeby to chociaż miało jakiś sens.

Zaszurgotały sprzęty, szczęknięły wydobywane miecze.

– Angielskie psy, francuskie pomiotła! – rozległ się okrzyk.

– Po kolei, panowie! Pojedynczo! Mamy mało miejsca! – zawołał de Rionne.

Rozsądne wezwanie pozostało bez echa. Rzucili się na siebie, zabręczała stal.

Nagle drzwi otworzyły się z hukiem i wraz z blaskiem dnia do wnętrza zaczęli się wlewać ludzie w biskupich barwach. Po chwili zrobiło się tak ciasno, że rycerze nie mogli porządnie złożyć się bronią.

– Zaniechajcie walki! – krzyknął od wejścia dowódca straży. – W imieniu biskupa Salisbury, złóżcie miecze i nie stawiajcie oporu! Inaczej zostaniecie surowo ukarani!

– Toż to ten sam kapitan, którym ostatnio otwierałem drzwi! – zawołał Jan de Morges. – Zuch z ciebie, kościelny sługusie. Ależ podejdz tu, serdeńko, dokończę to, co wtedy zacząłem!

– Brać ich! – wrzasnął wyzwany w odpowiedzi.

W jego stronę poleciało ciężkie przekleństwo i nie mniej ciężki zydel. W półmroku tawerny zakłębiło się od splecionych ciał.

Rozdział III

W gorące południe ulice Jerozolimy zupełnie się wyludniły. Nawet niestrudzony nosiwoda zaległ w cieniu pod murem, żeby wydyszeć ze zmęczonych krzykiem płuc chociaż odrobinę gorąca. Spojrzał w kierunku pałacu. Odkąd Salah ad-Din przybył do miasta, ani razu nie ukazał się publicznie. Muzułmańska ludność zaczęła między sobą szeptać, że musiało zajść coś bardzo niepokojącego, skoro zazwyczaj szczodroblivy i łaskawy władca zaniechał nawet rozdawania jałmużny przed bramą swej siedziby. Żeby to chociaż jedynie wyznawcy Proroka snuli takie przypuszczenia. Gorzej, że chrześcijanie i Żydzi również to zauważyli, a każda wieść o kłopotach Jego Wysokości z pewnością ucieszyłaby ich niepomiernie. Nosiwoda zgrzytnął zębami. Kiedy nadejdzie wreszcie taki czas, że będzie można wyżenąć niewiernych z Jerozolimy? Kiedy przestaną się wieszać pańskich klamek i zabierać pracę uczciwym wyznawcom Proroka?

– Skąd też u emirów taka ufność w wiedzę greckich doradców – mruknął, patrząc z obrzydzeniem na leżące obok niego naczynia i bukłaki. – Czemu chcą otaczać się giaurami, skoro wystarczy rękę wyciągnąć, by przywołać wiernego człowieka ze swego ludu.

Przymknął oczy. Nie na jego prosty rozum te wszystkie sprawy. Lepiej zasnąć i wyśnić sobie świat, w którym ludzie padaliby na twarz właśnie przed nim, w którym nadobne nałożnice nacierałyby olejkami jego stopy, czekając z drżeniem serca, którą z nich wskaże, aby najbliższej nocy ulżyła wypełnionym żądzą lędźwiom swego pana. A może jeszcze lepiej niech przyśni się suty obiad, taki, który sprawi, że pusty żołądek odklei się wreszcie od krzyża, zmęczonego dźwiganiem ciężkich naczyń...



– Widzę, że pokładasz w nim wielkie zaufanie – rzekł Salah ad-Din, uważnie obserwując smukłą postać stojącego przed nim człowieka. – Czy ostatnie spotkania i bliskie stosunki z królem Franków nie przysłoniły ci świata? Czy nie zacząłeś zbyt licznie się z niewiernymi?

– Nie, bracie – odrzekł Malik al-Adil. – Wiesz dobrze, jak z tym jest. Z Anglikiem rozmowy prowadzi trzeba, inaczej ciągiem byśmy się jeno bili, a to łatwo może zakończyć się niespodziewaną klęską, bo trudno mu zaiste dotrzymać pola. Lepiej prowadzić rozmowy, niech będzie przekonany o możliwości ugody i wyciągnięciu korzyści najmniejszym kosztem. Jeśli zaś chodzi o tego giaura, można wierzyć jego słowom. Gdyby chciał, czyż nie mógł wrazić sztyletu w moje serce, gdy wioził mnie przywiązanego do końskiego grzbietu? Czyż nie mógł wziąć mnie w pęta i zawieźć do swoich, żeby odebrać sowitą nagrodę? Czyż nie miał tysiąca okazji, żeby mnie zdradzić? Nikt by się o tym nie dowiedział, kiedy błędziliśmy po pustyni w poszukiwaniu twoich śladów. Pamiętaj, Jusuf, że i wśród niewiernych są ludzie godni szacunku, potrafiący dotrzymać przysięg.

– Wiem. Jednakże wolałbym nie rozprawiać o sprawach państwowych w obecności kogoś, kogo oczy są przezroczyście, a włosy jasne niby spłowiła na słońcu płachta namiotu. To budzi we mnie niepokój.

Malik ułożył się wygodniej na poduszkach.

– Wyjdź, Ibn Suan – rzucił. – I bądź w pogotowiu. Być może niebawem cię wezwę. Niebieskooki zniknął za drzwiami, Al-Adil spojrzął na sułtana.

– Każ przynieść fiołkowego szербetu – mruknął. – Upał daje się we znaki nawet w północnym skrzydle pałacu.

Salah ad-Din klasnął w dłonie. Po chwili pojawiła się złocona misa wypełniona po brzegi wonnym napojem. Książę zaczerpnął pełny kubek, przez chwilę delektował się smakiem, po czym przemówił:

– Słyszałeś, co rzekł mój giaur. Dżamil przed śmiercią pomyślał o człowieku, którego imię mnie samemu przyszło na myśl, gdy tylko odzyskałem zmysły. Abd al-Hadžib. Trzeba go koniecznie sprowadzić, i to jak najszybciej!

– Nie trzeba go sprowadzać. – Salah ad-Din lekko przekrzywił głowę, obserwując pojedynczy promień światła, który przedarł się przez szczelnie zaciągnięte zasłony.

– Jak to nie trzeba?! Tylko on może coś zaradzić! Tylko jemu...

Przerwał mu niecierpliwy gest.

– Nie ma potrzeby znikąd go sprowadzać – powtórzył sułtan. – Za kilka dni zjawi się w Jerozolimie.

Malik spojrzął na brata z podziwem.

– Czyżbyś wpadł na ten sam koncept? Kazałeś go przywieźć?

Sułtan zagryzł wargi.

– Nie, nie kazałem. W ogóle o nim nie pomyślałem, ani przez chwilę. Znasz mnie, mam zbyt trzeźwy umysł, żeby dać wiarę takim gusłom... Może trudno w to uwierzyć, ale spotkaliśmy go po drodze. Nie przyjechał razem ze mną, bo zasłabł od wysiłków podróży. Zostawiłem go z kilkoma ludźmi w małej wiosce. Kiedy trochę wydobrzeje, natychmiast go przywiozą.

– Sam widzisz, że los nam go podsunął. Cóż za przypadek. Widać wola Allaha...
– To nie los ani żaden przypadek. Al-Hadžib jechał na spotkanie ze mną. A przecież nikt nie mógł wiedzieć, którędy podążam! Znalazł mnie jednak wśród skał i piachu, jakby ktoś dokładnie mu objaśnił, gdzie powinien szukać!

– Nigdy go nie doceniałeś.

– Ja po prostu nie wierzę w czary i niesamowite gminne opowieści! To znaczy nie wierzyłem do tej pory... – dodał ciszej. – Z każdym jednak dniem coraz mniej jestem pewien swoich racji.

Malik uśmiechnął się nieznacznie.

– Mówiłem ci...

– Daj spokój! Tego, czego się od niego dowiedziałem, wolałbym nigdy nie usłyszeć. Lepiej, by Allah zesłał na mnie śmierć w którejś z bitew!

– Co ty mówisz? Bez ciebie, bez naszego rodu Frankowie już dawno zagarnęliby całą Palestynę i resztę ziem, pewnie aż po Egipt!

– Beze mnie, bez ciebie – odparł przez zaciśnięte zęby Salah ad-Din – i bez naszego rodu nie zawisłaby nad tą ziemią groźba bodaj straszliwsza od najazdu wrażeń armii!

Malik usiadł. W głosie sułtana zabrzmiało coś, co było zupełnie nowe, obce. Czyżby strach? Nieulekły wódz, zwycięzca spod Hittinu, miałby powody, aby tak bardzo się czegoś obawiać? Chyba tylko mocy nadprzyrodzonych. No tak... nadprzyrodzonych... Przecież tam na pustyni...

– Pamiętasz mułłę, który przywiódł do nas Fatmę? – spytał Salah ad-Din.

– Oczywiście. Sam go przydzieliłeś, by zadbał o jej nauki. Gdyśmy ich wówczas napotkali przed Ar-Ramlą, obiecałeś obsypać go złotem po powrocie, choć Fatma okazała się niespełna rozumu... A tak się uradowałem, gdy ją zobaczyłem...

– Wtedy obiecałem obsypać go złotem za wierność i odesłałem do Jerozolimy, a teraz wtrąciłem do lochu! Jeśli go nawet obsypię złotem, to w szczelnej beczce, tylko po to, by się wśród tego bogactwa udusił! Ten szubrawiec nie powiedział nam wszystkiego. Nie powiedział chociażby tego, że nasza siostra była brzemienna!

Al-Adil wciągnął gwałtownie powietrze.

– Jak powiadasz? Brzemienna?! Ale z kim? Kto się ośmielił...

Patrzył na sułtana oczami, w których lśniła wściekłość i żądza zemsty.

– Powiedz, kto?!

– Wolałbyś nie wiedzieć... Powiem później, kiedy uzyskam całkowitą pewność. – Zamyślił się. – Mnie zwą Salah ad-Din, ciebie Sajf ad-Din... Dla ludzi jesteśmy wszechmogącymi władcami, kimś na kształt bogów... Jednakże są sprawy, na które nie mamy żadnego wpływu, za to one wywierają na nas wielki nacisk...

– Chcę sam przesłuchać tego mułłę! Własnymi rękami zadam mu najstraszniejsze tortury i dowiem się wszystkiego!

– Jak sobie życzysz. Lecz powiedział już tyle, że kazałem zgładzić zdrajcę jutro

o świecie. Od kogo brał pieniądze, sam chyba dokładnie nie wiedział. Być może od Angelosa z Konstantynopola, być może od kupców genueńskich czy weneckich, ale na pewno, tak czy inaczej, przepływały przez parszywe ręce Izaaka Komnenosa. W tej sprawie jest więcej tajemnic niż skał na pustyni.

– Komnenos – warknął Al-Adil. – Zawsze mówiłem, że trzeba zgładzić tego zdradzieckiego węża! To u niego na Cyprze przebywała Fatma niedługo przedtem, nim słuch o niej zaginął!

– Nie inaczej. Ale, jak już powiedziałem, sprawa nie kończy się i na Izaaku... Nie wiem, dokąd mogą nas zaprowadzić wieści, które wyrwałem zdrajcy. Złoto sięga dalej niż ręce nawet największej na tym świecie władzy. Czasem wydaje mi się, że jedynie Allah nie jest od niego zależny. Czego, niestety, nie można powiedzieć o jego kapłanach. Zresztą nie inaczej ma się rzecz także z duchownymi chrześcijan. Wszyscy oni jednacy, głosiciele prawdy! Chciwi niegodziwcy.

– Zaraz. – Malik potrząsnął głową. – Powiedz mi jeszcze, gdzie jest teraz Ryszard? Masz o nim jakieś wieści? Tylko patrzeć, jak zjawi się pod murami!

Saladyn uśmiechnął się smutno.

– Król Franków ma w tej chwili ważniejsze sprawy na głowie niż planowanie zdobycia Jerozolimy. Wyobraź sobie, że w Akce rozpocznie się niebawem, jeśli już nie wybuchła, wojna między Pizańczykami a Genueńczykami. Od dawna wchodzili sobie w drogę i wzajemnie odbierali zyski z handlu, a teraz uznali, iż nadszedł czas rozstrzygnięcia. W samą porę dla nas.

– O to „w samą porę” musiałeś pewnie starannie zadbać! Szkoda, że mnie nie było, gdy wysyłałeś do Akki ludzi, by wzniećli tumult. Doręczyliby ode mnie pismo dla Gwidona, by poparł kupców z Pizy! Mam z nim swoje sprawy, uczyniłby to, a chaos zapanowałby o wiele większy niż przy zwykłym kupieckim zatargu.

– Nie wiedziałem, czy przeżyłeś, nie mogłem zatem czekać, a zresztą nie było na to czasu. Lecz nie myśl sobie, żebym czegoś zaniedbał. We właściwym momencie Gwidon otrzyma od ciebie odpowiedni list.

Malik spojrział na brata z niekłamany podziwem.

– Są takie chwile – powiedział – że naprawdę zaczynam się ciebie lękać! Opowiedz lepiej, czego się wywiedziałeś o losach Fatmy. I gdzie jest dziecko, skoro brzucha już po niej nie znać?

– Właśnie, oto pytanie. Gdzie jest dziecko? Mułła bredzi takie rzeczy, że nawet przesądny wieśniak kazałby to włożyć między bajki! Najchętniej bym przyjął, że bękart nie żyje, tym bardziej że i mułła, i Fatma mamrocą o jakimś cmentarzu pod Damazkiem. Jak mniemam, tam pochowali noworodka.

– Skąd jednak w tym wszystkim ifryt? – szepnął Malik. – Pamiętam, jak stara Selima opowiadała pewną historię... Taki gniewny demon pojawia się wtedy, gdy...

– Nie czas na snucie babskich opowieści! Ty odpoczywaj, a ja pójdę rozmówić się

z Al-Hadžibem. Przysłać tancerki do twojej komnaty?

Malik pokręcił przecząco głową.

– Chcę zostać sam. Zresztą przed drzwiami czeka na mnie giaur. Każę go odesłać do moich kwater, lecz wpierw niech nas zaprowadzą do Fatmy. Prosił mnie o to gorąco, a ciekaw jestem jego zdania.

– Wciąż jest wdzięczny za to, że uratowała go przed twoim gniewem?

– Ma ku temu powody. Wiesz przecież doskonale i on o tym wie, że gdyby nie prośby siostry, za jego śmiałe spojrzenie i nieobyczajne słowa kazałbym go wtedy oślepić, a następnie rozerwać koźmi. Mam nadzieję, słabą co prawda, że jego obecność pomoże jej odzyskać zmysły.

Rozdział IV

Co za obrzydliwe miejsce! – zawołał Piotr z Telford, patrząc z odrazą na kamienne ściany upstrzone mozaiką ekskrementów, łacińskich sentencji i sprośnych rysunków. Widać lochy gościły ludzi bardzo różnego autoramentu. – Cuchnie tu gorzej niż w chłopskiej oborze.

– Przynajmniej nie możemy narzekać na wilgoć – mruknął Vincent. – Kiedy przebywałem w wieży w Nevers, bywało, że w czas jesiennej pluchy staliśmy po kostki w wodzie. Tu zaś pewnie tylko trochę ścieka ze ścian w czas wielkiego deszczu.

Piotr obrzucił ponurym spojrzeniem grupkę siedzących pod przeciwległą ścianą niedawnych przeciwników.

– Nie byłoby nas tutaj, gdyby poddani austriaccy i niemieccy nie unieśli się tak honorem!

Jan de Morges położył mu rękę na ramieniu.

– Nie byłoby zwady, gdyby nie twój ostry jęzor, przyjacielu. A zamknięto by nas tak czy inaczej, gdyż w onczas przyłapano by nas na grze w kości, a nie wiem, co w tej chwili gorsze, karczemna burda czy złamanie zakazu królewskiego. Takiej ćmy strażników jak w tawernie w życiu nie widziałem! Palca nie było gdzie wetknąć. Ech – westchnął – gdyby zostawili choć odrobinę miejsca... Ale dość o tym. Ja tam myślę, że skoro już przypadł nam wszystkim w udziale jednaki los, należałoby się lepiej poznać. Nie wiadomo, ile tutaj posiedzimy, a nie mam ochoty boczyć się na kogoś, gdy nie ma takiej potrzeby. Co wy na to? – zwrócił się do tamtych.

Jeden powstał.

– Nie mam nic do ciebie, panie, ani do tego drugiego Francuza. Nazywam się Kurt von Landberg. Moi towarzysze to Konrad von Wallheim i jego siostrzan Werner, graf von Watzenrode. Jednakże ten, którego nazywacie Piotrem, znieważył mnie i moich towarzyszy! Znieważył nas bezpodstawnie, zarzucając wręcz tchórzostwo! I zamierzam stanąć mu na ubitej ziemi, gdy tylko opuścimy lochy!

– Co powiesz, Piotrze? – spytał Jan. – Nadal masz ochotę do bitki z tymi panami?

Telford skrzywił się niechętnie.

– Za dużo było wina z samego rana – zamruczał – w dodatku cypryjskiego.

Powiadają, że leją tam w trunek żywicę dla wzmocnienia smaku, i pewnie to prawda, bo rozum się po nim człowiekowi miesza i zaczyna czynić rzeczy, których przychodzi się potem wstydzić.

Podniósł głowę.

– W życiu nikogo nie zwykłem prosić o wybaczenie – rzekł, patrząc w twarz cesarskim poddanym – ale przyjmijcie ode mnie te przeprosiny, które wam się słusznie należą! Nie ukrywam, że gdyby nie nasza żalosna sytuacja, nigdy nie wy dobyłbym z siebie tych słów.

Milczał chwilę.

– Pan de Morges ma jednakowoż rację. Skoro wspólny nam przypadł los, powinniśmy zapomnieć o urazach.

Jan uśmiechnął się szeroko.

– Zatem zgoda? Zgoda!

– Jednak... – Konrad von Wallheim chciał jeszcze wyrazić swoje wątpliwości, ale Jan podszedł do niego, objął serdecznie i podniósł w górę.

– Niech będzie zgoda!

W niedźwiedzim uścisku nieszczęsnemu Austriakowi oczy wyszły na wierzch.

– Ach, więc to wy jesteście ten sławny Jan de Morges – wydyszał, kiedy francuski rycerz wypuścił go z objęć – który swego czasu wyzwał na ubitą ziemię Renalda z Sydonu?

– Zgadza się. Lecz do walki nie doszło, jako że Konrad z Montferratu zabronił Renaldowi stanąć do pojedynku i wysłał go zaraz w posły do Bejrutu, jakby było tam w ogóle po co jeździć.

– Nie chciał się pozbawić wiernego sługi – mruknął Vincent. – Niewielu ma takich, którym może zaufać.

– Ty to wiesz najlepiej, żyjąc tyle lat w Ziemi Świętej. – Jan uśmiechnął się krzywo. – Moi panowie – zwrócił się do nowych towarzyszy – przedstawiam wam Vincenta de Rionne’a, który zna ten kraj i panujące w nim stosunki na wylot.

– Miejscowy? – spytał Kurt. – Nie mam zaufania do tych, którzy się tu urodzili. Zbyt stali się podobni Grekom, a nawet Żydom czy muzułmanom. Nie na darmo przyłgnęło do nich określenie Żrebaki. Jak z młodym wierzchowcem, nigdy nie wiadomo, co uczynią i w którą zwrócą się stronę.

Vincent zmrużył oczy niczym kot patrzący na mysz, kiedy nie chce, by zdradził go błysk światła odbity w źrenicach.

– A kimże ty jesteś, panie von Landberg, żeby oceniać tych, co żyjąc w tej ziemi, dbają o nią, pilnują, by nie dostała się na powrót w ręce pogan? Ja nie urodziłem się w Palestynie, nie jestem zatem, jak to nazywasz, pulanem, Żrebakiem, jednakże lata pobytu tutaj nauczyły mnie szacunku nawet dla tych, którymi tak wszyscy pogardzacie: dla Żydów i Greków. Wiem też, że wielu spośród muzułmanów jest bardziej godnych

szacunku niżli nasze wysoko urodzone rycerstwo!

– Spokój, panowie, spokój! – zawołał de Morges. – Ty, panie von Landberg, jak widzę, bardzo podobny jesteś do Piotra Telforda w wydawaniu pochopnych osądów. Bacz, byś nie trafił na kogoś bardziej popędliwego niż mój przyjaciel de Rionne, który z reguły najpierw rozmawia, a potem dopiero dobywa miecza!

Gdyby teraz zostawić nas samych z tym Niemcem, przemknęło przez myśl Vincentowi, skoczylibyśmy sobie bez wahania do gardeł, nie bacząc na nic... Z niechęcią obserwował, jak Kurt von Landberg zmierza ku niemu z wyciągniętą prawicą. Nie uchylił się jednak od podania dłoni. Słusznie powiedział Jan, że gdy ich położenie jest tak żalosne, nie pora unosić się ambicją.

– Tak – sapnął z zadowoleniem de Morges. – Teraz czekajmy już tylko, co przyniesie przyszłość! Trzeba w nią patrzeć z nadzieją.

Rozdział V

Przybył poseł do Waszej Miłości – oznajmił pokojowiec.

Konrad z Montferratu uniósł pytająco brwi.

– Od króla Ryszarda?

– Nie, panie. Powiada, że przynosi wieści od szejka Sinana. Czeka na dziedzicu.

Konrad skrzywił się niechętnie.

– Wprowadź go.

– Co ty masz za sprawy z Sinanem? – spytał stojący przy oknie Balian z Ibelinu.

– Zaraz się dowiesz – mruknął Konrad i zerknął w stronę żony. – Oboje się dowiecie.

Izabela wstała znad krosien. Podeszła do męża, zajrzała mu głęboko w oczy.

– Kochany mój – rzekła miękkim, aksamitnym altem – czyżbym wyczuwała w twoim głosie troskę?

– Sama wiesz, najmilsza, że ten, kto musi się znosić ze Starcem z Gór, nie ma wielu powodów do radości. Człowiek ów, o ile to w ogóle jest człowiek, stanowi zagrożenie większe niż kobra ukryta w kołysce niemowlęcia.

– Lecz powiedz, co jest na rzeczy?

– Powtarzam, że za chwilę oboje się dowiecie. Zresztą to sprawa dość powszechnie znana. Podaj mi kuszę i bełt, Balianie. Przybysz z Al-Kahf może okazać się kimś więcej niż tylko posłańcem.

Skrzydło drzwi uchyliło się. Do komnaty wszedł człowiek o smagłej cerze, odziany jak Beduin. Spod zawoju spoglądały czarne, przepaściste oczy.

– Jestem Selim, poseł tego, którego nazywacie Starcem z Gór. Mój władca, czcigodny szajch Raszid ad-Din Sinan z Basry, śle pozdrowienie markizowi Montferrat, przyszłemu królowi jerozolimskiemu. Wyraził nadzieję, iż zastanę was w dobrym zdrowiu, a także kazał przekazać podarek dla waszej żony, pięknej Izabeli.

Sięgnął pod burnus. Konrad natychmiast uniósł kuszę, a Balian wy dobył sztylet. Posłańiec pokręcił głową, powolnym ruchem wy dobył dłonie z fałdów szaty.

– Możecie się nie obawiać, panie. Gdyby szajch Sinan pragnął twej śmierci, zapewniam, iż nadeszłaby niezauważona. Królowo Jerozolimy – zwrócił się do Izabeli – racz przyjąć ten drobiazg.

W wyciągniętej dłoni załśnił wspaniały diadem.

– Wykonali ten klejnot najbieglejsi rzemieślnicy w dalekiej Bucharze. Diamenty zaś, którymi jest ozdobiony, szajch otrzymał w podarunku od pewnego wezyra z Damaszku.

– W podarunku – mruknął Balian. – Też coś. Chyba jako okup albo zapłatę za zabicie kogoś niewygodnego!

Spojrzały na niego oczy o dziwnym, niepokojącym wyrazie.

– To nie ma w tej chwili znaczenia, szlachetny panie. Najważniejsze, że diadem ten trafi do rąk kobiety, która nań zasługuje. Niech przyozdobi godne tego skronie.

– Połóż go na stole – odezwał się Konrad. – Tylko powoli. Pamiętaj, że bacznie obserwuję każdy twój ruch!

Selim posłusznie odłożył klejnot.

– A teraz mów, z czym cię przysyła szejk!

– Czcigodny szajch Sinan prosi o zwrot ładunku okrętu, który raczyłeś swego czasu zagarnąć, zapewne, jak chce wierzyć, na skutek nieporozumienia, jakie w czas wojenny może się zawsze przydarzyć. Liczy także na to, że wraz ze statkiem powrócą do niego ludzie z załogi, bowiem wielu z nich znał i darzył przywiązaniem...

– Nie zwrócę żadnych towarów! – przerwał mu Konrad. – Sinan powinien wiedzieć, że straciłbym twarz, gdybym teraz ustąpił.

– Jednakże zwolnienie ludzi pojmanych na statku w niczym by nie naruszyło twojej godności, panie. Szajch jest gotów puścić w niepamięć obrazę, jaką stanowił rabunek jego własności, jeżeli uczynisz przynajmniej tyle.

– Nie uczynię niczego! – warknął Konrad. – Wróc i powtórz to Sinanowi! Możesz też zabrać diadem!

Za plecami usłyszał ciężkie westchnienie. Uśmiechnął się w duchu. Kobieta, choćby królowa, to zawsze kobieta i żal jej będzie każdej błyskotki.

Poseł milczał przez dłuższą chwilę.

– Starzec z Gór – rzekł – spodziewał się podobnej odpowiedzi. Dlatego gotów jestem do wypełnienia drugiej części posłania.

Pod burnusem zafalowało, jakby poseł wykonywał skomplikowane ruchy dłońmi. Konrad ścisnął mocniej kuszę, spodziewając się ataku. Selim jednak stał bez ruchu. Po chwili na jego twarzy zagościł krzywy uśmiech. Dziwny to był grymas, ni to zwiastujący wielką radość czy nawet rozkosz, ni to wyraz cierpienia. Postąpił krok do przodu, a wtedy przeszła go strzała. Spojrzał na swoją pierś, obserwując, jak bełt unosi się i opada wraz z coraz płytszym oddechem. Wtedy przypadł doń Balian i z rozmachem wbił mu w plecy sztylet.

Selim padł na kolana.

– To... było niepotrzebne – szepnął. – Zadałem sobie śmierć wcześniej, niż wyście to zdołali uczynić, przekłęci giaurzy...

Padł na bok, potem przewrócił się na plecy i wyprężył nogi w ostatnim śmiertelnym

spazmie. Burnus na brzuchu zabarwił się krwią.

Balian zdumiony uniósł materiał.

– Jezu Chryste! – rzekł, patrząc z osłupieniem na straszliwą ranę. – On sobie wypruł wnętrzności! Wypruł i wyciągnął na wierzch!

Konrad podszedł, spojrzął i splunął z obrzydzeniem. Po komnacie rozszedł się odór surowizny. Izabela wybiegła, zanosząc się szlochem.

– To znak, mój przyjacielu – powiedział Balian. – Sinan ma na swoje usługi całą armię podobnych straceńców...

– Wiem.

– Wydaje mi się, że bardziej niż o towary chodzi mu o zwrot załogi statku.

– Wiem.

– Pewnie było w niej przynajmniej kilku asasynów, a na nich Starcowi z Gór może zależeć nie mniej niż na złocie.

– Wiem.

– Wiem i wiem! – zniecierpliwił się Balian. – Powtarzasz to jak obłąkany! Wiem, że wiesz! Nie rozumiem tylko, dlaczego nie chcesz zwrócić mu jeńców. Po co ci oni?

Konrad spojrzął na niego pustym wzrokiem.

– Nie ma żadnych jeńców – powiedział cicho. – Kazałem wszystkich utopić.

– Sinan będzie chciał dokonać zemsty, gdy się dowie!

– Na pewno już się dowiedział. Ale gdyby chciał mnie zgładzić, zapewne już bym nie żył. Słyszałeś kiedyś, żeby ktokolwiek zdołał ujść asasynom? Chyba że ucieknie daleko za morze. Nie, Balianie, on zdaje sobie sprawę, że prędzej czy później zostanie królem. Do tej pory myślałem, że chce mieć możliwość wywierania na mnie wpływu... To dlatego upomina się o swoich ludzi. Chyba nie przypuszczasz, żeby ich los naprawdę go obchodził! Starzec z Gór marzy o tym, żeby chociaż w części izmailicki zakon mógł sterować poczynaniami władcy Królestwa Jerozolimskiego... To znaczy takie miałem przekonanie aż do dzisiejszego dnia.

– A co nim zachwiało?

– Sam nie wiem... Jednakże mam pewne przeczucia. Tutaj jest coś więcej... a raczej KTOŚ więcej. Sinan nie robi niczego na darmo. Ani za darmo. Jest chyba bardziej chciwy niż pizańscy i weneccy kupcy razem wzięci. Muszę się liczyć z tym, że ktoś chce zapłacić za moją głowę, a suma musi być ogromna, skoro opłacało mu się przesłać Izabeli tak bogaty dar. Ten trup to znak dla mnie.

– Co zamierzasz uczynić?

– Muszę nad tym pomyśleć. Komu aż tak może zależeć na mojej śmierci?

– Naszym baronom? Saladynowi? Ryszardowi wreszcie?

– Nie wiem, Balianie. Izmailici zachowują się w tej wojnie bardzo wstrzemięźliwie, czerpiąc korzyści, skąd się da, i umacniając swoją pozycję. Nie będą się wikłać w niepotrzebne układy.

– Zatem kto?

– Nie wiem! Ale trzeba się mieć na baczności. Każę wzmocnić strażę w mieście i wokół mej siedziby. Tobie też to doradzam.

Rozdział VI

Al-Adil uważnie przyglądał się twarzy niewiernego. W niebieskich oczach można było wyczytać przygnębienie i rezygnację.

– Nic z tego, Ibn Suan? Nie przypomniła sobie?

– Nie wiem, książę. Przez chwilę wydawało mi się, że wzrok ma przytomniejszy, lecz zaraz znowu opuściła głowę i zaczęła nucić tę swoją piosenkę.

– To kołysanka. Taką samą śpiewała mi w dzieciństwie matka... – Malik zacisnął zęby. – Wiesz, jak boli słuchać tych samych słów wypływających z ust oszalałej kobiety? Kobiety, w której żyłach płynie ta sama krew! I nawet nie mogę w tej chwili zgłodzić tego, kto ją skrzywdził!

– Wiesz, kim on jest, panie?

– Wiem. Salah ad-Din w końcu mi powiedział, chociaż nie poznałem jeszcze wszystkich okoliczności. Jednakże to, co wiem, wystarczy, by zwątpić, czy świat dookoła jest rzeczywiście taki, jakim go widzimy.

Zapadło milczenie. Giaur przerwał je po dłuższej chwili:

– To, co zaatakowało nas na pustyni... Czy wiesz, panie, co to było?

– A kto może dokładnie wiedzieć takie rzeczy? Jakiś ifryt. Demony są istotami nieodgadnionymi. Na pustyni mieliśmy do czynienia z potężnym duchem. Tak sędzę. Nie wiem! Myślisz, że kiedykolwiek przedtem widziałem coś podobnego?! Ciekawi mnie tylko, czy z tych, co zostali, ktoś przeżył.

Ibn Suan oblizał wargi.

– Kiedy pędziliśmy, żeby ujść jak najdalej od niebezpieczeństwa, nie wytrzymałem, by się nie obejrzeć. Dziękuj Bogu, panie, że byłeś wówczas nieprzytomny. Widziałem, jak potwór zatrzymał swój lot nad obozem, by pastwić się nad ludźmi... Powtarzam, ciesz się, książę, żeś był bez zmysłów. Słyszałem krzyk mordowanych... Powiadam ci, czegoś takiego się nie zapomina! Stamtąd nie mogła ujść żywa dusza.

– Widzę wilgoć w twoich oczach – stwierdził ze zdumieniem Malik. – Czyżbyś żałował moich żołnierzy, tych, których nazywacie niewiernymi, poganami albo zgoła dziećmi Beliala?

– To byli dzielni wojownicy – rzekł cicho Ibn Suan. – Umierali, by ratować ciebie

i sułtana. Umierali z imieniem Allaha na ustach. Kiedy przybyłem do Ziemi Świętej, wzorem moich ziomków miałem muzułmanów za stwory szatańskie. To, co opowiadają o was nasi kaznodzieje, nie mieści się w głowie. Byłem przekonany, że przyjdzie mi tutaj stawić czoło potędze piekieł, potworom w ludzkiej skórze, ludożercom wręcz...

– Nie inaczej nasi mułlowie czy imamowie przedstawiają chrześcijan – uśmiechnął się Al-Adil.

– Tyle we mnie było żaru – ciągnął giaur – tyle wiary, że idę służyć słusznej sprawie...

Malik słuchał. Czuł, że ten człowiek potrzebuje wyrzucić z siebie myśli, z którymi był sam przez bardzo długi czas. Niewola, nawet tak łagodna jak w jego przypadku, skłania do rozmyślań.

– Gdyby objawił mi się wtedy anioł, aniby mnie to zdumiało, ani przelękło, tak byłem przekonany o słuszności tego, co czynimy. Gdyśmy odchodzili, biskup błogosławił nas i udzielał odpustu. Nie ogłoszono wtedy jednak wyprawy krzyżowej, nie zjawily się pancerne hufce. Poszliśmy sami, tak, jak staliśmy pod katedrą. Poszliśmy do Palestyny, żeby wesprzeć naszych braci w walce z potęgą ciemności. Lecz gdy zobaczyłem, jak kupczy się imieniem Chrystusa na ziemi, po której On stapał, jak weneccy handlarze, na których statku dotarliśmy, są tutaj bardziej poważani niż prawi rycerze, pierwszy raz zwątpiłem... Potem ujrzałem rycerskich zakonników, którzy zamiast dbać o dostęp pielgrzymów do Grobu Jezusowego, pilnują jeno własnych korzyści, pożyczając pieniądze na wysoki procent, choć proceder taki jest przez Kościół potępiony... Widziałem jeszcze gorsze rzeczy. Lecz dopiero gdy trafiłem do niewoli, kiedy musiałem obcować na co dzień z tymi, z którymi dotąd walczyłem, zrozumiałem, że ta wieczna wojna w obronie wiary niewiele ma z ową wiarą wspólnego. Że tak naprawdę bijemy się o ziemię, o władzę, o złoto... A po obu stronach stoją tacy sami ludzie. Czasem wydaje mi się nawet, że wyznajemy tego samego Boga...

Zamilkł, zbierając myśli.

– Kto wie – odezwał się Malik. – Allah jest wielki, a jego łaskawość nieogarniona. Nie jestem teologiem, powiem nawet więcej, sprzeciw we mnie budzi zgłębianie boskiej natury. Mój królewski brat jest bardziej biegły w tych sprawach, ale i on, trzeba ci wiedzieć, nigdy nie potrafił mi tego wszystkiego rozsądnie wytłumaczyć. Sam ma innowierców za błądzących nieszczęśników i współczuje im, bo są po śmierci skazani na potępienie, ale koniec końców widzi w nich takich samych ludzi jak prawowierni, a jałmużny nie odmawia nikomu. – Pokręcił głową. – Może to nie są sprawy, które da się rzeczowo wyjaśnić. Może Allah wcale nie chce, żebyśmy Go pojęli. Człowiek i bez tego jest dostatecznie zarozumiały. Gdyby udało mu się zbliżyć do tajemnic Boga choćby o ziarnko piasku, mógłby popaść w pychę, która w efekcie zepchnęłaby go w piekielną otchłań.

– Jak w takim razie miałbym to wszystko zrozumieć ja, zwykły człowiek, skoro

nawet majestat książęcy zda się bezradny?

– Dla Boga nie istnieje majestat władzy, giaurze. Dla niego wszyscy jesteście jednacy i staniemy przed nim boso, z odkrytą głową, by zdać sprawę ze swych uczynków. Ty, ja, sułtan, szalona Fatma... Bóg nas osądzi i nie będzie ważne, co o nas mówią inni albo czy byliśmy bogaczami, czy nędzarzami. Nie da się wkupić złotem w łaski Najwyższego. Ważne będzie tylko to, co sam zobaczy w naszych duszach.

Ibn Suan patrzył na niego rozszerzonymi oczyma.

– Książę – powiedział – mówisz tak, jakbyś czytał Biblię, naszą świętą księgę.

Al-Adil zmarszczył brwi w zamyśleniu.

– Mówię tylko to, czego naucza Koran. A może wszystkie święte księgi przekazują to samo? Ile ich zgłębiłeś w ciągu życia? Właśnie. Tak naprawdę żadnej, nawet tej, która dotyczy własnej wiary. A może po prostu to, co zapisano w tych księgach, istnieje samo z siebie w każdym z nas i wystarczy tylko nad tym odrobinę pomyśleć?

Zapadła cisza. Al-Adil zdał sobie nagle sprawę, że rozmawia z tym oto niewiernym tak, jak nie rozmawiał do tej pory z nikim, nawet z bratem.

– Jest coś w tobie, Ibn Suanie – powiedział – co sprawia, że już nie potrafisz nienawidzić chrześcijan tak jak przedtem, zanim cię poznałem. Miał jednak słuszość Nadżm ad-Din, nasz ojciec, kiedy powtarzał, że wróg twój pozostaje prawdziwym wrogiem tylko do chwili, w której zasiądziesz z nim przy wspólnym stole i zamienisz chociaż kilka słów.

– Co będzie z księżniczką, panie?

Malik rozłożył ręce.

– A cóż mamy z nią uczynić? Zostanie przy nas. To był wielki błąd, że Jusuf pozwolił jej brać udział w naszych wyprawach... Błędem było, że w ogóle pozwolił jej opuścić Bagdad. Obaj żywiłiśmy do niej zbyt dużą słabość, spełniając jej zachcianki.

– Wybacz, książę, śmiałe słowa, ale trudno nie mieć słabości dla księżniczki Fatmy.

– Ty wiesz to najlepiej – roześmiał się Malik – w końcu zawdzięczasz jej życie, a przynajmniej to, że kilka istotnych dla ciebie części ciała pozostało na swoim miejscu. – Spoważniał i zamyślił się. – W tym wszystkim tkwi straszna tajemnica. Jest tak okropna, że sułtan przez kilka dni nie chciał o niej rozmawiać nawet ze mną. Od Al-Hadžiba wyszedł, słaniając się na nogach. Mułłę, który przywiódł Fatmę, kazał zgładzić, zanim zdążyłem go przesłuchać. Wierz mi, giaurze, bardzo mnie to niepokoi.

Ibn Suan słuchał z zainteresowaniem. Po raz pierwszy dostrzegł w dumnym i wyniosłym Maliku zwykłego człowieka. Książę uśmiechnął się.

– Dziwi cię zapewne, że rozmawiam z tobą tak otwarcie? Zapewniam, że nie ośmieliłbym się zwierzać ze swych wątpliwości któremuś z moich poddanych. Oni muszą widzieć we mnie i moim bracie potęgę, niepodważalną i niekwestionowaną. Oczekują od nas nieomyślności, dlatego decyzje musimy podejmować bez chwili wahania. Będąc kilkakrotnie podczas układów gościem Ryszarda, króla Anglików,

zauważyłem, że u was panują zgoła odmienne obyczaje. Wasze rycerstwo często przeciwstawia się władcy, ba, potrafi go nawet zelżyć publicznie, i to często nie przejmując się jego obecnością, a jednak gdy przychodzi czas walki, jest karne i posłuszne. U nas wręcz przeciwnie – wojownicy i wodzowie padają na twarz przed sułtanem, oddają mu cześć tak wielką, jakby był pierworodnym synem Proroka, ale w potrzebie bywają niekarni, porywczy i nadzwyczaj często lekceważą rozkazy... Wy bardziej dostrzegacie w swoich królach i książętach zwykłych ludzi. Namaszczonych do sprawowania władzy, ale tylko ludzi. Dlatego łatwiej wam zrozumieć ich słabości. A zrozumieć oznacza wybaczyć. Dlatego właśnie rozmawiam z tobą szczerze.

Odchylił głowę do tyłu i roześmiał się na całe gardło.

– Szczerze! Tak powiedziałem? Powinienem rzec, na tyle szczerze, na ile jeszcze w ogóle potrafię. A możesz mi wierzyć, sam naprawdę nie wiem, czy jeszcze pamiętam, jak smakuje szczerść. Władca zawsze żyje w zakłamaniu, musi łąć wszystkim dookoła, nawet samemu sobie.

Wstał, podszedł do drzwi.

– Nie podnoś się, giaurze. Odpoczywaj. Ja muszę rozmówić się z bratem. Dla ciebie, jak miemam, będziemy niebawem mieli pewne zadanie. Jeśli się dobrze sprawisz, odzyskasz wolność. Nie tylko wolność. Odejdiesz jako bogaty człowiek. Nie obawiaj się, nie będziesz musiał czynić nic wbrew sumieniu. Zresztą nie zrobisz tego tylko dla mnie czy sułtana. Uczynisz to dla Fatmy. Zawdzięczasz jej życie, przyszła pora odplacić za ten dar.

Rozdział VII

Kurt von Landberg przechadzał się nerwowo po celi.

– Ile jeszcze zamierzają nas tutaj trzymać? – Stanął przed Piotrem z Telford.

– Chcesz uzyskać odpowiedź ode mnie? – Angielski rycerz przeciągnął się leniwie. – A skąd ja miałbym to, u diabła, wiedzieć?

– To przez ciebie się tutaj znaleźliśmy – warknął Kurt. – Nie kto inny jak tyś wywołał awanturę!

– Powtarzasz to wciąż niby poranną modlitwę. Przeze mnie czy nie, jak słusznie zauważył de Morges, i tak by nas koniec końców aresztowali. Zapomniałeś, że zanim się posprzecaliśmy, ty rzucałeś kości, a myśmy właśnie zamierzali się do tego zabrać? Jeżeli przez kogo tu siedzimy, to przez mężnego Jana. Wszak on właśnie dał się we znaki biskupiej straży tak mocno, że tym razem przysłali chyba wszystkich ludzi, jakich mieli w Askalonie! Nieprawdaż, panie de Morges? Bez tego przyszłoby pewnie góra trzech czy czterech i w dodatku udawaliby, że nic nie widzą. A gdyby nawet nie udawali, poradzilibyśmy sobie z nimi jedną ręką.

Jan się uśmiechnął.

– A cóż nam mogą złego za tamto uczynić? Posiedzimy trochę w lochu i tyle. Potem staniemy przed biskupem albo nawet samym królem, a oni zrobią nam połajankę i wypuszczą. Jedyne, co nas czeka, to grzywna.

Konrad von Wallheim jęknął z kąta.

– No właśnie, tak by może i było, gdyby tylko chodziło o kości! Ale pobicie straży? Biskup jest bardzo czuły w tym względzie! Pewnie dlatego trzyma nas w zamknięciu już tyle dni! Zobaczycie, że tak łatwo stąd nie wyjdziemy! I wcale nie o mnie mi się rozchodzi, bom już posunięty w leciech i niejedno przeżyłem, ale martwię się o mego siostrzeńca Wenera. Kto to słyszał, żeby graf von Watzenrode był sądzony jak pospolity przestępca i zwykły koster! A obiecałem jego matce, że będę go pilnował – westchnął. – Ładnie upilnowałem!

Vincent poruszył się na posłaniu.

– Nie martw się, panie von Wallheim, wybronimy chłopaka. – Spojrzał na bladą twarz młodego grafa. – Niech tylko będzie okazja, zeznamy, że nie hazardował się,

a w dodatku próbował nas powstrzymać przed bójką z biskupimi sługami.

– Powstrzymać – parsknął Jan. – Widziałem, jak prasnął o ziemię pachołkiem tęgim jak dwóch najmniej Wernerów. A potem zawinął drugim, jakby tamten ważył nie więcej niż puchowa poduszka. Nie spodziewałem się, żeby w tym szczupłym ciele drzemała taka siła!

– To nie siła, panie – zarumienił się graf. – To jedna ze sztuczek, której nauczył mnie pewien wenecki marynarz. Trzeba pozwolić przeciwnikowi dojść do przekonania, że za chwilę odniesie zwycięstwo, rozluźnić ciało i kiedy tamten jest pewien, że za chwilę będzie mógł postawić nogę na pokonanym, stawić opór, znowu ustąpić, pociągnąć go na siebie... W zasadzie sam wtedy powala się własną siłą, a im ma ją większą, tym boleśniej odczuje upadek.

– Tak – odezwał się Vincent – słyszałem o podobnych praktykach. Ponoć wiedza o nich pochodzi gdzieś ze Wschodu, z bardzo daleka. Czy ten marynarz pływał gdzieś w tamte kraje?

Werner wzruszył ramionami.

– Z tego, co mówił, nie był nigdy dalej niż w Egipcie, w delcie Nilu. To bardzo młody żeglarz, zbyt krótko przebywał na morzu, by popłynąć tam, gdzie jak powiadają, żyją wielkie morskie potwory, albo i dalej... On tego wszystkiego nauczył się w czasie portowych bójek. Mawiał, że kto nie daje rady zmóc wroga siłą, musi używać podstęp.

– Ja tam wolę polegać na swojej pięści – mruknął Jan. – A kiedy wydobędę miecz, nie ma na mnie mocnych.

– A ja – zauważył kwaśnym tonem Kurt – wzdragam się na myśl, żeby używać w uczciwej walce takich zbójeckich albo zgoła pogańskich sposobów. Prawy rycerz winien stanąć naprzeciw niebezpieczeństwa i walczyć zgodnie z rycerskimi regułami.

Vincent pokręcił głową. Pewność siebie Niemca i wygłaszane przez niego kategoryczne twierdzenia były bardzo irytujące.

– Kiedyś sam dojdiesz do przekonania, że czasem, aby przetrwać, trzeba się imać każdego dostępnego sposobu. To, że rycerz ucieka się do podstęp, nie jest niczym złym, jeżeli nie plami jego sumienia.

– Możesz się nie rodzić w tej ziemi – odparł von Landberg, pogardliwie wydymając wargi – ale że przesiąkłeś nią już na wskroś, to pewne. Myślisz i mówisz jak miejscowi... Albo nawet jak...

– Wy tu sobie gawędzicie o sposobach walki – przerwał mu Konrad – a ja cały czas myślę, co z nami będzie. Ile jeszcze przyjdzie nam siedzieć w zamknięciu?!

– Nie turbuj się tak – zawołał Piotr – obmyśliłem doskonały sposób, żeby się z tego wybronić!

– Wuju – w tej samej chwili powiedział łagodnie Werner – uspokój się. Zobaczymy, co nam los przyniesie.

Los zaś w tej właśnie chwili odezwał się od drzwi ostrym zgrzytem odsuwanej

żelaznej sztaby.



– Za stawianie oporu strażnikom oraz grę w kości powyżej ściśle wyznaczonej sumy dwudziestu su powinniście zostać surowo ukarani!

Stefan z Turnham przechadzał się przed ustawionymi w szeregu rycerzami.

– Wybaczcie, szlachetny panie – odezwał się Piotr z Telford – ale na grze nikt nas nie przyłapał. Kiedy weszli strażnicy, właśnie zabieraliśmy się do wyjaśnienia pewnych kwestii wynikłych między nami, jak to wśród prawych rycerzy przystało...

Stefan skrzywił się niechętnie.

– Panie Telford, zostaw swoje sztuczki na wypadek, gdybyś stanął kiedy przed prawdziwym sądem. Spójrz, tam na stole leżą dwa skórzane kubki i kości znalezione w tawernie. Na jednym z tych kubków jest twój monogram i herb. Życzysz sobie podejść i sprawdzić czy uwierzysz mi na słowo?

– To, że posiadam te rzeczy – odparł śmiało Piotr – nie oznacza jeszcze, że łamię królewskie zakazy. Wziąłem je ze sobą, albowiem stanowią dla mnie przypomnienie rodzinnego domu, a nie zamierzałem stawiać więcej, niż stanowi rozporządzenie. Zaś ci strażnicy, o których pobicie się nas oskarża... To nieporozumienie. Byliśmy przekonani, że miasto zostało wzięte podstępem przez Saracenów, a ich siepacze przyszli nas pojmać w niewolę, albo i zaszlachtować!

– To jest ten twój doskonały sposób obrony? – szturchnął go Vincent. – Pysznie! Tylko go rozdrażnisz.

Stefan z Turnham westchnął ciężko.

– Powtarzam, panie Telford, że twoje tłumaczenia są w tej chwili zupełnie zbędne. Skoro jednak uparłeś się twierdzić, żeś zamierzał grać o wyznaczoną prawem stawkę, mogę przedłożyć ci przed oczy ową górę złotych monet, które leżały przygotowane przy znalezionych kościach.

– Zaraz tam górę – mruknął Piotr. – Marnych parę dukatów...

– Za tych parę marnych dukatów można by kupić ze trzy wsie w Anglii! Mam ci rzec, ile razy ta suma przekracza wartość dwudziestu su? Lecz dość o tym. Nie jestem pewien, czy zauważyłeś, iż nie stoisz ani przed biskupem, ani przed królem, tylko przede mną. Jednocześnie chcę wyraźnie powiedzieć, że te przedmioty mogłyby stanowić wystarczające dowody nawet dla najłagodniejszego i najbardziej wyrozumiałego trybunału!

– Ale... – zaczął znowu Piotr, zaraz jednak umilkł, czując na ramieniu ciężką rękę.

– Milcz już, przyjacielu – powiedział spokojnie de Morges. – Pan z Turnham chce powiedzieć coś ważnego. Jak się domyślam, proces przeciwko nam zostanie zaniechany, jeżeli spełnimy pewne warunki.

– Dzięki za wsparcie – odetchnął z ulgą Stefan. – Jak widzę, pan Piotr jest dobrze zaprawiony w sądowych utarczkach, inaczej niż ja. Żeby uciąć wszelkie wątpliwości, muszę powiedzieć jeszcze jedno. Ten kapitan straży został w zamieszaniu pchnięty nożem w bardzo wstydlive dla zbrojnego człeka miejsce. Nieszczęśnik leży teraz w lazarecie na brzuchu, klnąc was wymyślnie i mściwie.

– Żaden z nas tego nie zrobił – powiedział spokojnie Vincent. – To nie po rycersku... Pewnie któryś z jego ludzi w ścisku wsadził mu ostrze w zadek.

– Wiem. Biskup też to wie, że o królu nie wspomnę. Jednakże przed sądem owo nasze przekonanie może nie być wystarczającą okolicznością łagodzącą. Tam liczą się dowody, a te przemawiają przeciwko wam. Ja, szlachetni panowie, w istocie przychodzę z pewną propozycją. Jeśli jej nie przyjmiecie, oczywiście, dowódca straży może wnieść przeciwko wam dodatkowe oskarżenie, a wtedy nie wykpicie się grzywną, a wasz pobyt w lochu niepomiarnie się przedłuży, nim zdołacie dowieść swojej niewinności w tej kwestii. Jeśli w ogóle zdołacie jej dowieść.

– Słuchamy zatem – mruknął Konrad von Wallheim. – Bardzo bym chciał wyjść już z tej ponurej twierdzy.

– Sprawa jest delikatnej natury. Trzeba wam wiedzieć, szlachetni panowie, że król Ryszard zmuszony był udać się do Akki, gdzie wybuchły zamieszki. Pizańczycy posprzeczali się z Genuńczykami, a do sprawy wmieszali się zarówno Konrad z Montferratu, jak i Gwidon Lusignan. Na dokładkę pojawił się też w mieście Hugon Burgundzki. Chaos zapanował nie do opisania. Król wyruszył zaprowadzić tam spokój, pozostawiając na mojej głowie wszystkie sprawy, zaś przedtem jeszcze wysłał silny podjazd, gdyż pojawiły się pogłoski, że zmierza ku nam Saladyn na czele licznej armii. Na dobitkę wojsko Saracenów podążać ma z zupełnie niespodziewanej strony, od wielkich pustaci Arabii. Otóż wzmiankowana sprawa związana jest z tym ostatnim faktem. Wysłaliśmy ku Saladynowi doświadczonych rycerzy, znających pustynię. Dołączył do nich także zastęp templariuszy. Jeszcze nie powrócili, choć powinni być z powrotem co najmniej tydzień temu.

Vincent przyglądał się mówiącemu uważnie. Nic w jego postawie nie wskazywało na to, żeby jakoś specjalnie był zmartwiony brakiem wieści o wysłanych na rekonesans zbrojnych. Najwyraźniej wypełniał tylko czyjeś polecenie, być może nawet samego króla Ryszarda.

– Jest to tym bardziej niepokojące – ciągnął Stefan – że nawet w razie niepowodzenia wyprawy ktoś powinien jednak wrócić. Nie jest możliwe, by wszystkich ogarnęli Saraceni.

– Jak się domyślam, panie Turnham – Jan podrapał się po zarośniętym policzku – chcesz, żebyśmy pojechali poszukać tego zaginionego podjazdu?

– Nie inaczej. – Stefan zatarł ręce. – W tej chwili nie mam lepszych ludzi niż wy, szczególnie zaś niżli pan de Rionne i ty, panie de Morges.

– Chwileczkę. – Vincent zmrużył oczy. – Jeżeli mamy szukać owego podjazdu, może się zdarzyć, że będziemy musieli jechać daleko w głąb pustyni. Nie ważę się jednak podjąć wprowadzenia moich towarzyszy w głębokie piaski. Sam nigdy nie ruszałem tam bez miejscowych przewodników, a na południowym wschodzie nie byłem w ogóle.

Turnham skinął głową.

– Dostaniecie przewodnika. Kogoś, kto sam niedawno przebył wielką pustynię. Potwierdził też wieści o zbieraniu przez Saladyna silnej armii. Wie to najlepiej, gdyż zbiegł był od Saracenów. Powiada, że trwają tam wielkie przygotowania do wojny. – Spojrzał bacznie na Vincenta. – To ktoś, kogo poganie wzięli do niewoli jeszcze w bitwie pod Hittinem. Może się okazać, panie de Rionne, że się znacie.

– Pod Hittinem wielu poległo i wielu wpadło w pogańskie pęta. Nasza armia była potężna, nie mogłem znać wszystkich.

Stefan klasnął w dłonie.

– Wprowadzić!

Wszedł wysoki, postawny mężczyzna o jasnych włosach i smagłej, spalonej słońcem twarzy. Po kolei uważnie oglądał swoich przyszych towarzyszy wyprawy.

– Edward! – zawołał zduszonym głosem de Rionne. – Edward Swansen, jak mi Bóg miły! Wyglądasz jak prawdziwy nomada. Gdybym cię zobaczył gdzie indziej, pomyślałbym, że to duch!

– Vincent – rzekł tamten niskim, głębokim głosem. – Nie myślałem, że cię jeszcze ujrzę wśród żywych!

De Rionne otworzył ramiona. Rycerze padli sobie w objęcia.



Duszny opar wieczoru pozostał na zewnątrz. Siedzieli w piwnicznej izbie, skupieni przy wspólnej ławie. Vincent patrzył z rozrzewnieniem na odzyskanego przyjaciela.

– To już prawie pięć lat – podparł głowę na dłoni – choć wydaje się, jakby tamta fatalna bitwa była zaledwie wczoraj.

Edward pociągnął z dzbana.

– Mnie zaś się zda, że od Hittinu upłynęły wieki. W niewoli czas się dłuży, każdy dzień zdaje się miesiącem, a każdy tydzień dłuższy niż rok...

De Rionne pokiwał głową.

– Panowie – rzekł do pozostałych – byliśmy z Edwardem Swansenem niczym bracia. Podobni sobie, choć on pochodzi z zimnej Północy, a ja ze słonecznego południa słodkiej Francji. Choć on podjął krzyż z własnej woli, a mnie zmusiły do tego burzliwe koleje losu. Choć on mógłby wrócić do ojczyzny w każdej chwili i przyjęto by go tam z otwartymi ramionami, zasię na mnie czekać może jedynie mistrz małodobry z ostrym mieczem i purpurą na szafocie. Nie rozstawaliśmy się prawie nigdy, aż przyszedł dzień

wielkiej bitwy, niesławnego starcia pod Hittinem. Zdawało nam się wtedy, że bez trudu zmieciemy całą potęgę Saladyna. Gdybym choć przez chwilę przypuszczał, jak to się skończy... Nie wiem, co bym uczynił. – Machnął ręką. – Pewnie i tak poszedłbym walczyć!

– Straszna musi być niewola u pogan – szepnął Werner, patrząc wielkimi oczami na Edwarda.

– Każda niewola jest straszna – Edward uśmiechnął się do grafa – czy u muzułmanów, czy u kogo innego. Dla jednego lżejsza, dla innego cięższa, zależy, na jakich ludzi trafisz. Okropne to jednak uczucie, gdy nie znasz dnia ani godziny, a każdy najpodlejszy ciura obozowy może cię zgładzić, bo taki będzie miał kaprys... Najmoźniejsi, jak Gwidon Lusignan, nie mieli się czego obawiać. Są zbyt cenni dla swych rodów, za takich zawsze można uzyskać wysoki okup, więc traktuje się podobnych jeńców dobrze... O tak, ci wykpiłi się łatwo... Wrócili między swoich i objęli znowu rządy.

– Nie do końca, Edwardzie – wtrącił de Morges. – Z tego, co wiem, właśnie niewola u Saladyna kosztowała Gwidona koronę. Balian z Ibelinu wraz z tymi, co uszli z życiem, a zdołali uniknąć niewoli, uznali za swego przywódcę Konrada z Montferratu. Klęska pod Hittinem ma poniekąd skutki do dzisiaj, bo powiadam ci, żrą się stronnictwa między sobą, nie zważając, że Saladynowi z tego korzyść, a nie w ostatek właśnie jego pieniądze płyną na podjudzanie tych swarów.

– Gdyby pod Hittinem dowodził ktoś taki jak Ryszard – westchnął Werner – nie byłoby zapewne klęski, ale wielkie zwycięstwo...

Kurt von Landberg rzucił mu kose spojrzenie.

– Gdyby żył cesarz Fryderyk, wtedy byście dopiero zobaczyli, co znaczy znamienity wódz!

– Być może – odparł de Morges. – Jednakże Barbarossa nie dotarł do Ziemi Świętej, więc nie ma nad czym deliberować. Ja za to doskonale widziałem, jak poczynął sobie Ryszard pod Arsufem, gdy opadła nas ćma Saracenów!

– Opowiedz, panie – poprosił młody graf. – Nie było mnie tam wtedy, bom leżał złożony gorętwą w Hajfie.

– Wszak już raz to opowiadałem, gdyśmy siedzieli w wieży – uśmiechnął się Jan.

– Mógłbym tego słuchać i tysiąc razy. Opowiedz, panie de Morges. Pan Swansen też z pewnością chętnie posłucha.

– Mów, Janie – poparł Wenera Piotr z Telford. – Karczmarzu! Przynieś wina!

De Morges odchrząknął.

– Podążaliśmy na spotkanie z siłami Saladyna. Jak bardzo ciężko było nam opuszczać Akkę, gdzie przez prawie miesiąc jedliśmy, pili i bawili się do syta, niech świadczy to, że wielu próbowało ukryć się gdzieś w mieście i przeczekać niespokojny czas. Król musiał nakładać dotkliwe kary, by zapobiec takim procederom. Ja

przyłączyłem się do hufca księcia Burgundii. Ryszard, jak to on, przyśpieszał wciąż pochód, choć gorąc panował taki, że ludzie dziesiątkami marli od słońca. Nie tylko od samego upału zresztą. Nie daj Boże, jeśli przyszło zostać nawet pół stajania za wojskiem, bo podjazdy niewiernych deptały nam po piętach tak zażarcie, że kto tylko oddalił się od kolumny, kończył ze strzałą w plecach albo poderżniętym gardłem. Wyknocić się nawet spokojnie nie szło gdzieś na uboczu, z dala od oczu towarzyszy. Podążaliśmy wzdłuż wybrzeża, a statki dawały nam wsparcie od strony morza. W środku kolumny ciągnięto wysoką wieżę ze sztandarem. Gdybyśmy się rozpierzchli albo zagubili gdzie w ferworze bitki, na nią właśnie mieliśmy się kierować. Kiedy tylko dotarliśmy w pobliże Cezarei, zaczął się obłądny taniec z większymi siłami muzułmanów. Nieraz zdarzyło się jakiemuś oddziałowi oderwać od głównych sił, czy to w pogoni, czy w ucieczce, a wtedy każdy wojak błogosławił z całej duszy ową wysoko tkwiącą flagę, dzięki której nie musiał się zastanawiać nad drogą powrotu. Saraceni zaś nie dawali nam spokoju ani przez chwilę. Dzień w dzień musieliśmy staczać z nimi walki. Były drobne potyczki, ale też zdarzało się, że atakowali większą liczbą, choć zawsze unikali walnej rozprawy. Wlokło się nasze wojsko noga za nogą, wznosząc tylko modły o siłę do przetrwania. Pamiętam, jak od czoła odzywało się błagalne *Sanctum Sepulchrum, adjuve – wspomagaj nas, Święty Grobie*. Sam tak wołałem, patrząc w rozpalone nielitościwie niebiosy, choć śliny w ustach brakowało, a język kołkiem stawał i zdało się człeku, że gdy rozewrze zęby, wysuszona gęba na pół pęknie. Trzeba wam jeszcze wiedzieć, że hufiec mój szedł w samym ociążu. Mieliśmy strzec tyłów, a koniec końców wyszło raz jakoś tak, że zostaliśmy daleko za ostatnią kolumną. Wtedy dopadli nas poganie, a było ich prawdziwe mrowie! Wystawcie sobie, jakie ogarnęło mnie zdumienie, gdy zamiast pocziwej twarzy mego towarzysza, Arnulfa de Montforta, zobaczyłem obok siebie krzywy pysk jakiegoś Turka! Dostrzegłem jeszcze tylko, jak głowa nieszczęsnego Arnulfa koziołkuje w powietrzu, by upaść w pył między końskie kopyta. Otoczyła nas taka ćma Saracenów, żem miał wrażenie, jakbyśmy wpadli w rój wściekłych szerszeni. Zdawało się, że są wszędzie! W szeregach powstał niepokój, a sami wiecie, że od takiej ruchawki do ucieczki tylko włos... Wtedy księżę stanął w strzemionach, spojrzął na wszystkie strony i jak nie ryknie na nas, żebyśmy ruszyli nasze ciężkie, leniwe dupska! Jakby wylał nam na łby po wiadrze zimnej, orzeźwiającej wody! Zaraz skupiliśmy się w gromadę i dalejże rwać saraceńskie szyki! Sam z siedmiu albo i ośmiu tych diabłów położyłem.

– O bitwie miałeś opowiadać – ofuknął go Vincent – a nie wychwalać swoje przewagi!

– O swoich przewagach nic więcej nie powiem – odparł z godnością Jan – bo za chwilę oberwałem z tyłu toporem. Dobrze, że szłom miałem doskonały, bobyście mnie dziś nie oglądali. Towarzysze unieśli mnie ze zgiełku, ale we łbie huczało mi potem przez tydzień.

Pociągnął z dzbana tęgi łyk.

– Powiem lepiej o właściwej bitwie. To była sobota rano. Dwa dni wcześniej przyjechał do obozu brat Saladyna, Malik, którego nasi nazywają Safadynem. Rozmawiał z Ryszardem pod flagą rozejmową. Krótko to trwało. Król ponoć od razu zażądał oddania mu we władanie całej Palestyny, na co Saracen tylko odburknął grubym słowem i odjechał. Tego i następnego dnia Ryszard słał podjazdy, pilnie śledząc ruchy muzułmanów. Jak już rzekłem, zaczęło się w sobotę. Taborzaki stanęły zaraz za liniami, wzdłuż morskiego brzegu. Oślaniał je Henryk z Szampanii, któremu król przydał trochę piechoty. Całe rycerstwo rozmieściło się za szeregami kuszników i łuczników. I tak na prawe skrzydło poszli świętynnicy, znaczy templariusze, potem Bretończycy, dalej rycerze z Anjou i ludzie Lusignanów. W środku oczywiście sam Ryszard z Francuzami i Normandami, następnie Flamandowie, obok wojsko złożone z miejscowych pod Jakubem z Avesnes i wreszcie nasz hufiec. Lewą flankę ubezpieczali zakonnicy od świętego Jana... Tak właśnie... Jak wszystko w tej ziemi, tak i owa wielka bitwa nie mogła się odbyć bez wojsk zakonnych. Na jednym skrzydle templariusze, na drugim joannici. Gdyśmy już się rzędnie ustawili, król razem z moim księciem przejrżeli dokładnie szyki, dodając nam ducha. A my czekaliśmy, aż poganie przypuszczą atak. Poszli wreszcie przed samym południem, wpieryw lekkimi siłami, jak to oni, żeby nas cokolwiek zmiękczyć. Wiecie wszak, jak straszliwie wrzeszczą ci ich czarni wojownicy. Ledwo to trzyma w ręce byle jaką włócznię, co niewiele więcej szkody uczyni rycerzowi niżli żądło komara, ale wydziera się, jakby skórę z człowieka potrafił złupić od jednego ciosu. Zasypali nas deszczem strzał. Piechocińcy to i owszem, mieszały się niepomału, jeno zaraz setnicy przywołali ich do porządku, tamci zaś cofnęli się, widząc, że nam w tęgich zbrojach śmiać się tylko z ich pocisków. Już myślałem, że nie doczekamy znowu porządnej bitki, że – jak tyle razy przedtem – postraszą i uciekną, jednakże naraz zjawiała się ichnia jazda i dalejże do szarży! Zatem i nasi strzelcy wypuścili swoje strzały taką gęstwą, że w ten piekielny upał cień choć na chwilę padł na ziemię, a potem skryli się za konnicę. Saraceni upadali, mieszały szyki, ale dobry to był żołnierz. Opamiętali się w mgnieniu oka, przypadli do naszych szeregów i jęli szarpać, ze szczególną zaciekłością szpitalników i Flamandów. Strasznie się na nich zawzięli!

– Widziałem to – mruknął Konrad von Wallheim. – Walczyłem wśród Flamandczyków i widziałem, jak jeden za drugim gnają posłańcy od wielkiego mistrza joannitów, prosząc, by skłonił Ryszarda do podjęcia ataku. Ale król tylko patrzył, jakby nie dostrzegając, co się dzieje.

– Nie inaczej – przytaknął Jan. – Nawet pomyślałem, że znowu dopadła go słabość. Wszak całkiem niedawno chorował. Lecz nie. Patrzyłem w tamtą stronę i widziałem, jak odprawiał ludzi szpitalników, aż wreszcie zbiesił się, jak to tylko on potrafi, i jednym gniewnym ciosem zmiótł z konia kolejnego posłańca. Przysięgłbym, że słyszę:

jak krzyczy: „Macie się utrzymać!”, choć zgiełk panował taki, że nie wiedział, co mówi do mnie towarzysz obok.

– A joannici szczerbili się z Saracenami – wtrącił znowu Wallheim. – Szedł tam cios za cios, trup padał na trupa. Widać było, że ledwie się trzymają w karbach, żeby nie uderzyć na wroga szarżą.

– I nie wytrzymali – ciągnął de Morges. – Najpierw poszło bodaj dwóch. Spięli konie, ruszyli do przodu, a zaraz za nimi reszta. Ryszard, widząc, co się dzieje, i wiedząc, że więcej nad gorącą krwią wojska nie zapanuje, dał znak. Jakby w nas wszystkich diabeł wstąpił. Pamiętam tyle, że pędziłem, wrzeszcząc co sił w płucach. Spojrzałem w przód, Ryszard gnał na czele, krzycząc i pokazując mieczem, gdzie kto ma przypuścić uderzenie. Musieliśmy wyglądać jak demony, bo poganie nagle złamali szyki i rzucili się do ucieczki.

– Wyglądaliście jak demony – odezwał się Swansen. – Słyszałem, jak wojownicy Saladyna rozmawiali ze sobą o tej bitwie. Przysięgali, że widzieli pośród krzyżowców wielkiego gorejącego potwora, który rzucił się na nich z wściekłym rykiem. Mówili, że król Franków musi być wielkim czarownikiem, skoro potrafi wezwać moce piekielne na swoją służbę.

– Czego to imaginacja ludzka nie wymyśli, gdy strach w oczy zajrzy. A tego demona zobaczyli zapewne wtedy, kiedy zwyczajnie zajęła się ogniem nasza wieża ze sztandarem. Pachołkowie ugasili ją zaraz, ale płomień rzeczywiście mógł być widoczny.

– Nie wiem, Janie, wieża czy nie wieża. Tyle powiem, że musiało to być coś więcej. Oni naprawdę widzieli w was demony!

– To pewnie dlatego – rzekł Vincent – ich następna szarża była taka mizerna. Upadł w nich duch. A przecież wcale nie ponieśli wielkich strat. My za to byliśmy wymęczeni tak, że każdy tylko patrzył, gdzie się położyć... Mogli nas wziąć jednym uderzeniem. Lecz kiedy Saladyn pozbiierał wreszcie swoje wojsko, nie miał już chyba serca do walki.

– Jak było, tak było, a najważniejsze, że odziliśmy pole, zaś Saraceni musieli ustąpić. – De Morges spojrzał uważnie na Swansena. – Powiedz lepiej, Wikingu, jak zdołałeś im uciec.

Edward uśmiechnął się lekko.

– Wikingu, powiadasz... Rzeczywiście tak mnie nazywano. – Zerknął na Wenera. – To przez moje północne pochodzenie. Już zapomniano w nadmorskich krajach o grozie, jaką ci wojownicy niegdyś budzili, a jednak zbójce miano przetrwało... Zaś co do ucieczki, nie ma o czym opowiadać. Od dawna czekałem na okazję. Przebywałem akurat w Krak de Montreal, kiedy Saladyn nakazał zgromadzić tam większą część armii. Również dom człowieka, u którego przebywałem, został zajęty na potrzeby wojska. Po prostu skorzystałem z zamieszania, jakie powstało przy rozlokowywaniu oddziałów w mieście.

– Nie ścigali cię?

– Ścigali, a jakże. Jednakże okazałem się szybszy. I sprytniejszy. Zresztą kiedy dotarłem na nasze ziemie, musieli zaprzestać pościgu. – Spowaźniał nagle. – Miałem dużo szczęścia...

– Wypijmy za to szczęście!

Jan de Morges powstał, a w ślad za nim uczynili to inni.

– Wypijmy za naszą wyprawę – powiedział cicho Werner.

– To przy następnym toaście, młodzieńcze! Po kolei. Noc jest długa, zdążymy zatem wychylić kielichy za nas wszystkich, naszych królów i rodziny po najdalsze przeszłe i przyszłe pokolenia! Karczmarzu, więcej wina!

Vincent nagle odwrócił głowę. W kącie dostrzegł ruch. Kto może się ukrywać poza kręgiem światła? Czy ta postać nie wygląda znajomo? Przeszedł go dreszcz. Czyżby to był... Wstał i przeszedł kilka kroków w tamtą stronę.

– De Rionne – zawołał podochocony Konrad von Wallheim – gdzie idziesz? Czyżbyś chciał zaszyć się gdzieś z dala od nas? Czujemy się urażeni!

– Tak jest – przyświadczył Piotr z Telford – czujemy się urażeni.

– Zaraz – mruknął Vincent.

Szybko wyszedł poza blask kaganków. Pusto. Odetchnął z ulgą. Zatem to tylko złudzenie. Wrócił do towarzyszy.

– Dziwnie się zachowujesz, przyjacielu. – Jan de Morges podał mu kubek z mocnym winem. – Zapomnij o troskach. Lepiej się napij. Dzisiaj chcę się poczuć jak dawniej, gdyśmy pospołu opróżniali kielichy w słodkiej Francji, zanim... – przerwał, widząc wyraz twarzy Vincenta. – A zresztą, nie będziemy wspominać przeszłości!

– A potem, moi panowie – oświadczył Kurt – zapraszam do mnie!

– Do ciebie do domu? Czy twoja małżonka nie będzie miała nic przeciwko tak późnej wizycie?

Von Landberg dumnie uniósł głowę.

– Wiem, że różne bywają obyczaje, ale w moim domu rządzą ja!

Rozdział VIII

Z mięty w kulę pergamin pofrunął prosto na rozżarzone węgle.

– Panu Konradowi zdaje się, że jest nietykalny!

Siwy mężczyzna o pomarszczonej, ogorzałej twarzy patrzył nieruchomym wzrokiem na płonący dokument.

– Pan Konrad z Montferratu jest przekonany, że nie czeka go z mojej strony żadne niebezpieczeństwo. Jego zdaniem gniew mój wywołał rabunkiem i zabójstwem marynarzy.

Nie bierze, zdaje się, pod uwagę innych sił, które są mu o wiele bardziej nieprzychylne niż ja.

– Zwrócił wzrok na młodego wojownika stojącego przy drzwiach. – Podejź, Mehmet. Nie mam ochoty krzyczeć do ciebie przez całą długość pokoju!

– Mój pan rozkaże?

– Co o tym sądzisz?

– Wszak spodziewałeś się właśnie takiej odpowiedzi, prawda szejku? Przewidziałeś, że Konrad postąpi właśnie w ten sposób.

Starzec uśmiechnął się. Jego twarz przybrała przy tym niepokojący, drapieżny wyraz. To tak, pomyślał Mehmet, jak ujrzeć uśmiech jastrzębia...

– Oczywiście, mój chłopcze. Inaczej postąpić nie mogłem. Nie może mi zwrócić tych, których nie ma, skoro wszystkich kazał zabić... – Nagle twarz mu zmierzchła, pojawił się na niej wyraz bólu.

– Tak, szejku – odezwał się Mehmet. – Rozkazał utopić nawet twojego syna!

Sinan drgnął. – Wszyscy jesteście moimi dziećmi. Nie mam żalu, że Hassan zginął.

Kazałem go wyszkolić jak wszystkich innych, więc gdyby była taka potrzeba, bez zastanowienia poszedłby ze śmiertelną misją. Izmailita nie może się wahać. Boli mnie, że zginął on i jego towarzysze tak bez celu, bez sławy. Ale może jego śmierć jeszcze na coś się przyda. Tego nigdy nie wiadomo – starzec wskazał Mehmetowi miejsce naprzeciw siebie.

Wojownik spoczął na poduszkach. – Miałem wieści od naszych italskich przyjaciół z faktorii w Tyrze – rzekł. – Do Masjafu podąży dwóch ludzi. Wysłał ich Konrad z

poufnym zadaniem. Chce, by mieli na mnie baczenie. To zgadza się z tą ostatnią wizją, zatem musi być prawdą. Głupiec! Uważa, że można mnie odnaleźć w tym mieście – zamilkł, patrząc jak popiół z pergaminu rozwiewa się po całym palenisku, niesiony gorącymi strugami powietrza.

– Zapal nargile, chłopcze. Przekażę ci dokładne rozkazy. Sięgnął za plecy, przysunął bulgoczące naczynie bliżej rozmówcy. Mehmet wziął szczypcę, podjął z paleniska malinowy od żaru węgielek. Po chwili obaj zaciągnęli się aromatycznym dymem. Pomieszczenie wypełnił gęsty opar. Blask ognia przygasł, a nad posadzką zatańczyły niewyraźne cienie.

Podłużne pasma dymu rozpełzły się po komnacie, splatając w pierwsze, skomplikowane wzory.

– Czy widzisz to już, Mehmet? – rozległ się głos Starca.

– Widzę, mój panie.

– Czy pojmujesz, czego od ciebie oczekuję?

– Przypuszczałem, szejku, że najpierw każesz zabić tych dwóch szpiegów.

– Oni nie są groźni. Zapamiętaj: wróg, o którym wiemy, gdzie przebywa, przestaje być prawdziwym zagrożeniem. Powtarzam pytanie: Pojmujesz, czego od ciebie żądam?

– Pojmuję, panie!

– Idź zatem, doberz sobie towarzysza i ruszajcie.

– Słucham i jestem posłuszny...

Narkotyczny opar rozwiął się. Wraz z dymem zniknął również młody wojownik.

Sinan opadł ciężko na posłanie.

Coraz trudniej przychodzą zmagania z haszyszem. Coraz ciężiej otrząsnąć się z wizji, niebawem może nadejść czas, że – jak jego poprzednik – pograży się bez reszty w kuszącym świecie ciężkiego dymu, a wtedy ktoś przyśle wyszkolonego specjalnie na tę okazję asasyna.

Cóż, tak czy inaczej, kiedyś trzeba będzie oddać władzę, a czy odbierze ją śmierć, czy wyciągną po nią ręce inni... Różnica niewielka.

Rozejrzał się po komnacie. – Odejdźcie, cienie – mruknął. – Jeszcze nie czas. Zbyt wiele muszę dokonać, żeby skusiły mnie wasze rozkosze. Dopiero potem oddam się wam we władanie. Wówczas możecie zabrać mą duszę i uczynić z nią, co się wam spodoba... – przez chwilę milczał, nadstawiając uszu, jakby wsłuchiwał się w czyjś głos. – Nie ma Boga prócz Allaha! – zaśmiał się zgrzytliwie. – Kto z was to powiedział? A może nie ma także Allaha!

Może nie ma żadnego Boga, a jest jedynie haszysz, nie nauczyłyście się tego jeszcze, głupie zjawy? Nie wiecie, że przy życiu utrzymuje was tylko jego dym w moich ustach? – Zgasił nargile. – Dajcie mi teraz spokój. Chcę zasnąć...

Patrzył, jak zjawy ulatniają się wraz z oparami narkotyku. Tylko tam, w rogu pokoju, gdzie łuczywo rzuca niepewny złotawy poblask... – Czego chcesz? Nie słyszałeś?

Kazałem wam odejść! Kim jesteś?

W świetle pochodni widział wyraźnie potężną postać niemłodego wojownika. – Nie należysz do tego świata... Lecz skąd przybywasz? Jasna cera, która nigdy nie doświadczyła prawdziwego skwaru ni wiatru pustyni... Frankoński strój, różny jednak od tego, jakie zwykli nosić tutejsi chrześcijanie czy krzyżowcy... Kim jesteś? Skąd jesteś?

Zjawa milczała, na Starca z Gór patrzyły przenikliwe, przepastne oczy.

– Nie byłeś za życia dobrym człowiekiem – złożył palce od uroku. – Widzę w twym spojrzeniu. Tylko zły duch ma tak pusty wzrok. W imię Chrystusa, Allaha czy któregośkolwiek innego boga, rozkazuję ci odejść! Nie potrzebuję cię!

Widział, jak powoli, jakby z wielką niechęcią, postać rozwiewa się w dusznym powietrzu. – Zbyt gęsto się robi wkoło mnie. – Szejk pokiwał głową. – Trzeba się przenieść z powrotem do Al Kahf. Może górskie powietrze wywieje z duszy trujące opary... Coś niedobrego nadciąga z południowego wschodu. Jakieś ciemne moce zbierają się na bezkresnych pustyniach Arabii. Wizje są ostatnio mętne i nasycone obrzydliwym odorem ludzkiego przerażenia – otrząsnął się. Działanie złych mocy nie musi stanowić zagrożenia właśnie dla niego. Trzeba raczej myśleć, jak wykorzystać zamęt do własnych celów.

Rozdział IX

Malik al-Adil czekał z niecierpliwością na pojawienie się brata. Wreszcie Saladyn stanął w drzwiach. – Wysłałeś swojego człowieka? – spytał, podchodząc do trójnogu z płonącymi węglami ustawionego pośrodku sali. Wyciągnął dłonie, aby ciepłe powietrze owiało je przyjaznym dotykiem.

– Wysłałem, Jusuf...

– Masz do niego zaufanie? To tylko giaur.

– Mam.

– To dobrze, Maliku. To dobrze...

Al-Adil patrzył na sułtana z troską. Dzień taki gorący, że trudno wytrzymać, a on grzeje ręce, jakby przebywali mroźną nocą w głębi pustyni, gdzie dzienny upał zamienia się gwałtownie w oszroniony chłód.

– Jesteś chory, bracie?

Saladyn uniósł wzrok. Na Malika spojrzały zmęczone, otoczone sinymi kręgami oczy.

Gdzie się podziała wspaniała królewska postawa? W przygarbionych plecach, opuszczonych ramionach znać było wielkie znużenie.

– To nie choroba. Wiesz przecież, że choć przekroczyłem pięćdziesiątkę, żwawy byłem i sprawny... niejeden młodzieniec mógłby mi pozazdrościć. Właśnie... Byłem... Dziś czuję się, jakby Allah dołożył mi jeszcze ze trzy dziesiątki lat... – zapatrzył się w pełgające po przepalonym, siwym drewnie płomyki. – Zresztą, chyba w istocie tak się stało. Do tej pory żądałem ofiar od innych. Od wojowników, dowódców, emirów... Teraz przyszedł czas złożyć ofiarę z samego siebie, niebawem umrę.

– Co ty mówisz, bracie?! Nie możesz umrzeć! Co się nagle wydarzyło? Rozmawiałeś z al-Hadżibem. Czy on ci to przepowiedział? Wiesz wszak, że przewidywania, nawet tak świętego męża, nie muszą się sprawdzić!

Saladyn pokręcił głową. – To nie przepowiednie. Ja... widzisz... musiałem uczynić coś, co sprawiło, że pozostał mi co najwyżej rok życia.

Malik poczuł lodowaty chłód pełzający od stóp, zupełnie jakby udzieliło mu się zimno, które najwyraźniej odczuwał sułtan. – Jak to? – szepnął. – Jak to możliwe?

– Wiesz dobrze, że czcigodny mędrzec dotarł do Jerozolimy prawie umierający. Widziałeś go.

– Widziałem, lecz mówiłeś, że czuje się lepiej.

– Wyprawa na pustynię, kiedy mnie poszukiwał, bardzo nadwątlila jego siły. To przecież starzec. Powiadają, że pamięta jeszcze pierwszych krzyżowców, a oni przybyli bez mała sto lat temu.

– Jest tak stary i pomarszczony, że mogę w to uwierzyć – mruknął Malik.

Saladyn uśmiechnął się smutno. – Był już tak wycieńczony, że potrzebował, aby ktoś...

Rozumiesz? Jak w tej baśni, w której matka oddaje ostatnie tchnienie, by jej syn mógł przeżyć.

Al-Adil zbladł. Nie chciał wierzyć w to, co wbrew rozsądkowi podpowiadał mu umysł. – Jusuf, co ty zrobiłeś?!

– Uznałem, że al-Hadžib jest teraz potrzebniejszy niż ja. Ma do spełnienia niesłychanie ważne zadanie. Ważniejsze niż moje życie.

– Oddałeś mu lata, które ci jeszcze pozostały?!

– Musiałem...

– Trzeba było rzec choć słowo! Ja oddałbym siebie!

– Ty też jesteś potrzebniejszy niż ja. To znaczy będziesz. Twoje dobre stosunki z Frankami mogą w pewnej chwili okazać się cenniejsze niż wszystko inne, a wielki mir jaki ja mam wśród naszych ludów stanie się także twoim udziałem, jeśli tylko zechcesz.

Malik zagryzł wargi. – Oddałeś mu więc życie... Nie myślałem, że coś takiego jest możliwe.

– Ja też. Jednakże w ciągu ostatnich dni przekonałem się, jak mój trzeźwy osąd i przeświadczenie, że wszystko da się wyjaśnić rozumem, w istocie rzeczy niewiele stały się warte. Tak czy inaczej pozostał mi najwyżej rok, bym mógł dopełnić spraw.

Malik poderwał się.

– Idę do niego! Niech bierze moje lata, a twoje pozostawi przy tobie!

– Nigdzie nie pójdziesz, bracie! Zabraniam ci.

– Moje uszy pozostają głuche na twe słowa!

– Al-Hadžib może nie zechcieć z tobą rozmawiać. Jest bardzo zajęty.

Al-Adil zgrzytnął zębami.

– Jeżeli nie zechce, każe go zgładzić i niech szejtan bierze wszystko!

Wypadł z komnaty zanim sułtan zdążył cokolwiek rzec.

– Doskonale wyglądasz, czcigodny mędrco – wycedził Malik. – O wiele lepiej niż przy naszym ostatnim spotkaniu.

– Usiłowałem zapomnieć o tym, co zobaczyłem, kiedy wtargnąłem do izby zajmowanej przez al-Hadžiba. Strach zastąpił złością.

– To zasługa jego wysokości – odparł starzec.

– Wiem! I żądam...

Zamilkł pod wpływem przenikliwego spojrzenia wodnistych ze starości, lecz bystrych jeszcze oczu.

– Proszę, czcigodny, oddaj życie memu bratu, a weź w zamian moje.

– Nie mogę, chłopcze.

Malik się wzdrygnął. Chłopcze? Nikt nie ośmielił się tak do niego powiedzieć, odkąd umarł ojciec. Jednak w tej chwili stłumił w sobie gniew. – Skoro mogłeś zabrać, możesz oddać!

– Zrozum, Murisz, tak zdecydował twój brat.

Malik znowu drgnął. Murisz... Biały Gołąbku... Tylko jedna osoba w życiu tak go nazywała... Kim jest ten staruch, że wie takie rzeczy?

– Nie da się złożyć na powrót raz stłuczonego dzbana – ciągnął mędrzec. – Zawsze już będzie z niego wyciekała woda. Tak samo nie można zwrócić raz podarowanych komuś lat...

Gdybym mógł tego uniknąć, gdyby to zależało tylko od mojego poświęcenia, przecież nie popełniłbym podobnego uczynku. Ale taka jest konieczność. Beze mnie czeka nas wszystkich zagłada.

– Bez Jusufa również! To jego zwań Szczodrość Wiary! To on potrafił zjednoczyć skłócone plemiona, odzyskać ziemię i stawić czoło najeźdźcom!

– Powtarzam, że decyzję podjął sam sułtan.

– Czy nie mógł się poświęcić ktokolwiek inny? Sługa, żołnierz, niewolnik wreszcie?!

– Mógł. Lecz Salah ad-Din w swojej szlachetności uznał, że nawet najmarniejszy człek nie może odpowiadać za grzech, który zhańbił wasz ród!

Malik milczał, a starzec kontynuował: – Gdybym nie stracił tylu sił brnąc przez pustynię, mógłbym mu pozostawić nieco więcej czasu, jednak...

– Trzeba było go szukać na latającym dywanie! Musisz mieć więcej mocy niż mówisz!

Przed chwilą sam widziałem.

Abd al-Hadžib uśmiechnął się. – Co widziałeś? Jedyne to, iż unoszę się kilka stóp nad ziemią. To, moje dziecko, tylko skutek tego, co czynię w istocie rzeczy. Zadanie, jakie przede mną Allah postawił, wymaga sił, których nie mogę znaleźć u siebie. Muszę korzystać z pomocy i poświęcenia innych... A trzeba ci wiedzieć, że i ze mnie podarowane życie uchodzi jak ciecz z pękniętego dzbana. Zaś cudowne dywany są tylko w baśniach.

– O ifrytach też to słyszałem!

– Sam widziałeś, że w tym wypadku jest inaczej. Uwierz mi, na tym świecie o wiele łatwiej spotkać rozszalałego demona niż niewinny latający dywan. Zachowaj swój gniew dla wrogów, Murisz. Nie trać siły na walkę z nieuniknionym. Jesteś jak napięty łuk. Wypuść strzałę w odpowiednim kierunku. – Nieoczekiwanie podszedł bardzo

blisko, spojrział księciu prosto w oczy, potem położył rękę na jego głowie i zaczął gładzić włosy.

Malik w pierwszym odruchu chciał strącić pomarszczoną dłoń i wydobyć sztylet. Nikt nie waży się bez pozwolenia zbliżyć do człowieka królewskiej krwi! Za taką poufałość kara może być tylko jedna! Lecz w dotyku starca było coś, co natychmiast poskromiło gniew.

– Dzielny Murisz – zamruczał. – Porywczy i szlachetny jak zawsze.

– Skąd znasz to imię? Tylko matka tak do mnie mówiła...

– Wiem o wielu sprawach, które dla innych są osnute mgłą tajemnicy i zapomnienia. Zaufaj mi, chłopcze, tak jak zaufał twój brat.

Książę niespodziewanie i wbrew sobie poczuł ogarniający go spokój. Niesamowite, nieoczekiwane uczucie, jakiego nie doświadczył od bardzo wielu lat.

Saladyn siedział zamyślony. Zdawało się, że nie zwrócił na brata najmniejszej uwagi.

Wpatrywał się w kąt, w którym struga światła przecinała na pół zalegający w nim cień.

– Nie da się złożyć na powrót roztrzaskanego dzbana, prawda? – zapytał cicho.

– Nie da – westchnął Malik.

– A za mną już chodzi śmierć... Widziałem ją w tamtym mrocznym zaułku komnaty.

Patrzyła mi w oczy jasnymi źrenicami niewiernego. Powiedz, bracie, czy wierzysz, że oni naprawdę są wysłannikami diabłów, jak chcą nasi święci mężowie?

– Nie wiem, Jusuf. I choć noszę imię anioła, który strzeże bram piekła, nie potrafię na to odpowiedzieć. Wiem jednak, że ich duchowni nie inaczej powiadają o nas. Obie strony oskarżają się nawzajem o konszachty ze Złym. Z tego rozsądny człowiek może wysnuć tylko jeden wniosek. Taki mianowicie, iż mieszanie do naszych zmagania mocy niebieskich czy piekielnych nie ma większego sensu.

– Rozsądna myśl – szepnął Saladyn. – Ale gdzie szukać rozsądku na tym świecie?

Może to my właśnie jesteśmy sługami szejtana, jak chce ten ich nowy prorok Joachim, może prawdziwe imię naszego pana brzmi Azazel? Czy to możliwe, by nasz ród począł się z nasienia piekielnego i był przeklęty od zarania?

Malik zerknął z niepokojem na twarz brata. Saladyn przez cały czas wpatrywał się w ciemny kąt. Czyżby ogarniało go szaleństwo? – Czy ta postać, o której mówiłeś, nadal gdzieś tam tkwi?

Sułtan potrząsnął głową. – Nie. Odeszła już. Zresztą pewnie to tylko złudzenie.

Wyglądała jak frankoński rycerz w takich szatach, w jakich przybywają na statkach ze swojego kraju, zanim zrozumieją, o ile praktyczniejsze są miejscowe stroje. – Wstał, rozprostował ramiona. W zgasłych oczach pojawił się dawny blask. – Pora zająć się sprawami państwowymi. Nie będę przecież siedział i jęczał niczym stara kobieta! Czy pożyję jeszcze rok, czy wiek, mam wiele do zrobienia, więc zwlekać byłoby grzechem. – Rozejrzał się po pomieszczeniu. – Każ odsłonić okna, zgasić i wymieść palenisko, a

dowódcy i emirowie mają się stawić z raportami.

Malik uśmiechnął się. Saladyn był bardzo podobny do ojca. Nawet największe życiowe przeciwności nie były go w stanie załamać. Choćby to było nawet widmo śmierci.

Rozdział X

– Oto dom, w którym mieszkam! – Von Landberg zatoczył się, uderzając czołem w drzwi. Zabębnił w nie pięścią. – Za moment poznacie moją słodką małżonkę, Gertrudę. – Przez chwilę patrzył na kutą klamkę, zdziwiony, że nie poruszyła jej posłuszna ręka odźwiernego. – Truda! – wrzasnął. – Truda! Twój ukochany mąż wrócił! Otwierajże któryś, darmozjady, bo jak wpadnę w gniew, paździerze z was pójdą!

Dał się słyszeć tupot, po chwili zgrzytnął zamek. Kurt zatarł ręce z radości. – Zaraz ugościmy się jak szlachetnie urodzonym przystoi. To ty, Meiko? Pospiesz się, durniu, czego tak zwlekasz? Pewnieś znowu pijany jak bela!

Klucz się przekręcił. Lecz w tym momencie z głębi domu dobiegł niewieści głos: – Meiko, durniu jeden, ani się waż otwierać! Cała służba do łóżek, ale już! Kto usłucha tego nicponia, mojego męża, wybatożyć każe!

Zasuwa natychmiast wróciła w poprzednie położenie.

– Truda, przyprowadziłem gości! – krzyknął von Landberg. – Nie rób scen, otwieraj!

Z okna wychyliła się zażywna kobieca twarz okolona koroną czepca. – A idź ty razem ze swymi obwiesiami chlać wińsko gdzie indziej!

– Niewiasto! – zawołał groźnie Kurt. – Nie żadni to obwiesie, a prawi rycerze, jako to pan de Rionne, pan de Mo... – umilkł, gdyż Jan pociągnął go za rękaw.

– Daj lepiej spokój. I nie wykrzykuj naszych imion na całą okolicę! Nie chce nas twoja żonka wpuścić, to pójdźmy stąd...

– O nie – zaperzył się Niemiec. – Słodka Gertruda nie tylko nas za chwilkę wpuści, ale każe przygotować najlepsze dania, kiedy dowie się, jakie jej męża już spotkały i spotkają niebawem przygody!

– Słodka Gertruda – głos pani von Landberg ociekał jadem – nie miała o swoim dzielnym małżonku wieści od bodaj dwóch tygodni. Gdzieżeś się włóczył, łajdaku?! Ileś przez ten czas wychędożył ulicznych dziewczek?

– Moja żono, wpuść nas, wtedy wszystko wyjaśnię. Nie będę wszak prawić o poufnych sprawach na ulicy. Tyle ci rzeknę, że otrzymaliśmy z tymi tu panami wielce ważną misję od samego króla.

– Zamilcz już! – szturchnął go Vincent. – Po co wszyscy mają wiedzieć...

Przerwał mu wściekły głos Gertrudy: – Misję, podwikarzu zatracony? Myślisz, że cię nie znam? Wiem, jaka to misja! Znalazłeś sobie znowu kochanicę! Kto to był tym razem: Ormianka czy Greczynka? Pewnie porzuciła cię, gdy spostrzegła, jaki to z ciebie niewczesny ogier, mocny w pysku, nie zasię w lędźwiach!

Von Landberg skulił się, jakby ktoś smagnął go batem. – Cichaj już, najmilsza. Wpuść mnie, to porozmawiamy...

– Z ladacznicami idź gadaj, bo pewnikiem od nich wszyscy wracacie, ty i twoi szlachetni, tfu!, towarzysze! W którym zamtuzie byliście, obrzydli pieczeniarze, trutnie nic niewarte?! A tu, podczas kiedy wy się po burdelach i karczmach włóczycie, rycerstwo w pole rusza krew za wiarę przelewać!

– Ależ Trudo...

– Milcz, ty nicponiu! A ostrzegła mnie macierz przed tobą, jenom jej słuchać nie chciała! Jesteś jak twój ojciec i dziad! Ci też jeno patrzeli, gdzie tu dzban wychylic, a cycki dziwkom namacać i pod spódnicę sięgnąć! – Głos wściekłej kobiety niósł się echem wśród budynków. Zaczęły trzaskać okiennice, pojawiały się zaspane twarze ciekawskich.

– Nie wpuścisz? – zawołał Kurt. – To drzwi wyłamie!

– A spróbuj tylko, darmożjadzie! Przywitam cię wrzątkiem lubo czekaniem! Patrzcie go, do drzwi będzie się brał! Bajsan albo Jerozolimę idź oblegać, gdy taki z ciebie zawzięty wojownik! W zamtuzie drzwi wyłam, niech ci z tego chwała będzie! Zabieraj się ze swymi opryszkami, pókim dobra!

– Chodźmy lepiej – mruknął Jan. – Strasznie krzyczy ta twoja słodka niewiasta!

Niebawem pół miasta się zbiegnie jak na alarm. Toż wrzasku czyni, jakby Saraceni dom szturmowali!

Wzięli pod rękę opierającego się Kurta i oddalili w mrok, ścigani złorzeczeniami pani von Landberg.

– Tak – rzekł jakiś czas później Vincent. – Rację miałeś. Kurcie, twoja żonka bardzo nam była przychylna.

– W istocie – dorzucił Jan. – I widać od razu, kto tam u was w portkach chodzi! Prawdę nam gadałeś, że w swoim domu robisz, co chcesz. Jeno pewnikiem dopiero wtedy, kiedy cię do niego wpuszczą, co nie wydaje się wcale takie łatwe i oczywiste. Swoją drogą srogo musiałeś się już narazić słodkiej małżonce, skoro takie ma zdanie o tobie i ludziach, z którymi do niej przybywasz. Czyżbyś zazwyczaj prowadził ze sobą bandę pijanych żeglarzy?

Kurt siedział z ponurą miną. Otrzeźwiał już nieco i zaczynał cierpieć od straszliwego bólu głowy. – Musicie kpić? – warknął. – Tak sobie myślę, może i miała rację Truda, że przychodzę z ludźmi podejrzanego autoramentu. Bo co ja o was właściwie wiem? Nawet o Konradzie czy Wernerze? Tyle tylko, iż siedzieliśmy razem w wieży. A to niekoniecznie dobre świadectwo.

Vincent skrzywił się. Pod wpływem wina von Landberg robił się dość sympatyczny. Gorzej jednak było, gdy zaczynał trzeźwieć.

– Niepotrzebne słowa. Kurcie – mruknął von Wallheim. Piotr nie był tak oględny.

– Odgryzłeś się za nasze kpiny w isticie krotochwilny, prawdziwie alemański sposób – zmrużył oczy. – Wiedz i to, że gdyby nie rozkaz i nasza wspólna wyprawa, dałbym ci teraz w gębę aż miło!

Kurt poderwał się, lecz nie zdołał uczynić nawet kroku, bo wyrosło przed nim ogromne ciało Jana.

– Właśnie – powiedział spokojnie de Morges. – To nie było ani uprzejme, ani nawet zabawne.

Von Landberg usiadł z powrotem, zaczął masować łupiące skronie.

– A, bo zeżliłem się – mruknął. – Widzieliście, na co stać moją Trudę, a jeszcze mi dokładacie!

– Skoro wiedziałeś, jak może cię przywitać, po co nas tam ciągnąłeś?

– Miałem nadzieję, że jeśli zjawię się w towarzystwie, awantura jakoś rozejdzie się po kościach. Że się baba nie odważy pyszczyć przy obcych rycerzach.

Vincent pokręcił z niedowierzaniem głową. – Tak jakbyś nie znał kobiet... Nie wiesz, że wściekłość niewieścia gorsza bywa niżli szarża Saracenów na rozszalałych wielbłądach?

Toż zapewne nawet nasz młody graf pojmuje takie sprawy. Mylę się, Wernerze? Watzenrode zaczerwienił się.

– Daj pan spokój, panie de Rionne – mruknął. – Co ja mogę wiedzieć.

Vincent roześmiał się. – Przyznaj, Edwardzie – zwrócił się do milczącego Swansena. – U Saracenów nie do pomyslenia by było, żeby białogłowa tak pomstowała na męża!

– Nie do pomyslenia – przytaknął Edward. – Choć ogniste i zawzięte bywają także ich kobiety.

– Ogniste, powiadasz – rozmarzył się de Morges. – Wiecie, brakuje mi kobiecego towarzystwa... Przez tyle dni oglądałem tylko wasze gęby, bez obrazy, panowie. Może odwiedzimy „Głowę Turka”? Mają tam wyśmienite tancerki.

– Jutro wyruszamy – zauważył trzeźwo Konrad von Wallheim – Powinniśmy wypocząć...

– Na koniu wypoczniesz! – zawołał Jan. – Ja idę do tawerny! Kto ze mną? De Rionne?

Telford? Wy na pewno. Kto jeszcze?

Po chwili całą grupą ruszyli w stronę nadmorskich zabudowań, skąd dochodziła muzyka fletów i bębenka.

– Truda mnie kiedyś zabije – mruknął von Landberg.

Rozdział XI

Niewieścia postać szczelnie owinięta delikatnym jedwabiem skuliła się, kiedy doleciał do niej odgłos otwieranych drzwi.

– Fatma – rozległ się cichy, łagodny głos. – Fatma, nie bój się. To tylko ja, twój brat. Dziewczyna zerwała się, spojrzała nieprzytomnie.

Te oczy, pomyślał Malik, kiedyś były lśniące i piękne, a pod ich wejrzeniem najbardziej nawet zaprawionym w bojach wojownikom miękkły zatwardziały, spieczone gorącym wiatrem serca. Dziś te same źrenice są puste jak wyschnięta tykwa... Co musi przeżyć człowiek, żeby w jego oczach zgasło życie?

– Słyszysz mnie?

Fatma stała nieruchomo jak posąg. Malik powoli zbliżył się do niej, ujął za ramiona. Odskoczyła przerażona, zaszywając się w najciemniejszy kąt.

Al-Adil poczuł napływające do oczu łzy wściekłości i bezradności.

– Siostrzyczko – wyrzekł z trudem przez ściśnięte gardło. – Już po wszystkim. Jesteś bezpieczna. – Podeszedł do tacy, stojącej na podłodze przy posłaniu, podniósł srebrną pokrywę. – Znowu nic nie zjadłaś... Trzeba jeść, inaczej umrzesz... Zabijesz się!

Ścigało go spłoszone spojrzenie. Ostatnie słowa musiały jednak poruszyć coś w pamięci, bo Fatma cichutko załkała: – Zabiłam... ooo... Zabiłam... nie ma dla mnie przebaczenia...

Książę wzniosł oczy do nieba. Na Allaha, czy ona potrafi powiedzieć tylko to jedno?

– Siostrzyczko. Podejdź do mnie... – wyciągnął rękę, ukucnął. Wabił ją tak, jak przywołuje się nieufnego kota lub przestraszone szczenię. – Choć, przecież nie zrobię ci krzywdy.

Przerażone oczy błyszczały szaleństwem.

– Chodź, maleńka, nie poznajesz brata? Gdy umarła twoja matka, kto cię kołysał do snu? Komu ojciec powierzył pieczę nad tobą? Chodź, źrenico moich oczu...

Powoli uspokajała się. Szybki, urywany oddech stawał się coraz spokojniejszy. Nie przestając do niej przemawiać, wciąż w kucki, zaczął ostrożnie podchodzić. Podjął z tacy kawałek zalabiji.

– Spróbuj, jakie to pyszne, kochana. Przełknij chociaż malutki kęs...

Podkuliła nogi, jednak teraz bardziej z ciekawością niż strachem śledziła poczynania brata. On tymczasem, cały czas przygarbiony, przybliżył się na wyciągnięcie ręki.

– Trzymaj, siostrzyczko. Przegryź chociaż to.

Dziewczyna niepewnie wyciągnęła dłoń, dotknęła palcem ciasta. Cofnęła go szybko i oblizwała kropelkę miodu, która przylepiła się do opuszka. Znowu wyciągnęła rękę, teraz już biorąc poczęstunek.

– Dobrze, dziecino, jedz.

Fatma szybko przełknęła zalabiję, spojrzała w kierunku tacy. Malik natychmiast przyniósł kolejny kawałek. Mała do kubka wonnego napoju.

– To szербet z ambłą, twój ulubiony. Wypij.

Posłusznie zanurzyła wargi w napoju.

Książę z zadowoleniem kiwnął głową.

– To rozumiem. Posłuszna dziewczyna. Chcesz jeszcze?

Fatma oblizwała wargi, zerkając najedzenie.

– Zaraz, poczekaj. Jest jeszcze fatira. Posmaruję ją, tak jak lubisz, świeżym masłem.

W tej chwili rozległy się mocne kroki. Brzmiały jakby nadchodzący chciał się zachować specjalnie głośno. Fatma znowu uciekła w ką, zakrywając twarz ciemnym materiałem. Drzwi otworzyły się z hukiem.

– Gdzie jest ojciec?

Metaliczny, nieprzyjemny głos. Malik zmrużył oczy.

– To ty, Ali. Nie powiedziano ci przy wejściu, że nie wolno przeszkadzać?

Przybyły lekceważąco machnął ręką.

– Coś zaczął strażnik mówić, alem jeno dał mu po gębie. Śmiał się odzywać nieproszony do królewskiego syna! Zatrzymywać chciał! Obwiesić go każe!

– Nie każesz – odparł zimno książę. – To mój człowiek i uczynił tak z mojego rozkazu! Zobacz, al–Afdal, przestraszyłeś Fatmę!

Ali obojętnie spojrzał na struchlałą dziewczynę.

– Gdzie jest ojciec? – spytał znowu. – Ile razy mam pytać?

– Nie podnoś głosu, chłopcze – wycedził Malik. – Nie rozmawiasz ze swoim szatnym czy koniuchem! Nie jesteś jeszcze sułtanem, żeby traktować wszystkich z góry!

Al–Afdal uniósł dumnie głowę.

– Chcę rozmawiać z ojcem! Doszły mnie słuchy, że nie czuje się najlepiej.

– Jeszcze nie umieram, synu – rozległ się za jego plecami cichy głos. – Znadto się pospieszyłeś. Kiedy nadejdzie moja godzina, sam cię do siebie wezwę – Saladyn odsunął zaskoczonego Alego na bok, zajrzał do komnaty. – Zjadła coś?

Malik kiwnął głową.

– Zjadłaby więcej, gdyby jej nie przestraszył twój syn. On nie potrafi się cicho zachowywać. Nie umie być delikatny.

– Życie go jeszcze nauczy...
– Ja tylko troszczę się o twoje zdrowie, ojciec – dopiero teraz zaskoczony al-Afdal pozbiierał myśli.

– O co się troszczysz, wszyscy doskonale wiemy. Pamiętaj jednak: fakt, iż jesteś najstarszy, nie musi dać ci tronu!

Ali przełknął ślinę, łypnął nienawistnie na Malika.

– Zapewne. Jeśli stryj przeżyje cię bodaj o jeden dzień, sam będzie chciał zagarnąć władzę!

– Każdy osądza poczynania drugiego – powiedział spokojnie al-Adil – według tego, co sam zamierza uczynić. Możesz być spokojny, bratanku. Gdy nadejdzie czas, oby stało się to jak najpóźniej, wypełnię dokładnie wolę twego ojca, choćby mi nie zostawił ani piędzi ziemi poza moją al-Dżazirą i nie powierzył ani kawałka władzy.

– Pozwolisz stryju, że jednak pozostanę nieufny wobec twych zapewnień...

Saladyn niecierpliwie strzepnął dłonią.

– Dość o tym! Nie pora na jałowe rozważania! Dobrze, że przybyłeś, synu, choć wolałbym, żeby sprowadziła cię prawdziwa troska o moje zdrowie, a nie nadzieja na mój rychły zgon. – Przez chwilę z krzywym uśmiechem przypatrywał się grymasowi zmieszania i niechęci na twarzy Alego. – Mam dla ciebie zadanie. Tak się złożyło, że nie mogę opuścić Jerozolimy, choć zamierzałem poukładać zaniedbane ostatnio sprawy w innych prowincjach. Musisz mnie zastąpić, podjąć moje obowiązki, nareszcie przestaniesz się pławić jedynie w zbytkach i rozkoszach.

– Słucham, ojciec – al-Afdal kornie pochylił głowę, jednakże nie uszło uwagi Malika jego wściekłe spojrzenie.

Jeśli on zostanie sułtanem, strzeżcie się wszyscy, którzy zechcecie przy nim czy poza nim powiedzieć coś, co mu się może nie spodobać!

Saladyn ciągnął: – Niezwłocznie udasz się do Damaszku, dopilnujesz, aby przygotowania wojsk do wymarszu przebiegały sprawnie. Weźmiesz też w karby emirów. Gdy wyjdą w pole, mają być posłuszni jak miecz w ręku fechtmistrza!

– Ale...

– Bez dyskusji – uciął sułtan. – Zrobisz, jak kazałem. A teraz odejdz i wykonaj, co poleciłem. Kto chce sam rządzić, wprawdzie musi się nauczyć słuchać innych!

Syn bez słowa skłonił się ojcu i zniknął w głębi korytarza.

Kiedy ucichły jego kroki, odezwał się Malik: – Wiesz przecież, że nikt poza tobą nie potrafi okiełznać emirów. Poruczyłeś mu zadanie nie do wykonania.

– Będzie miał przynajmniej inne zajęcie, niż tylko snuć plany, co uczyni, gdy przejmie po mnie władzę. A jeśli jakimś cudem teraz mu się uda wymóc posłuch, to znaczy, że potrafi rządzić. Jeśli zaś nie, niechaj nabierze trochę pokory. Powinienem już dawno pomyśleć o należywym wychowaniu swojego następcy, lecz jeszcze tydzień temu nie przypuszczałem, iż będę musiał myśleć o tym tak pilnie... – spojrzął księciu prosto

w oczy. – Obiecuj mi, że będziesz mu służył radą.

– Już cię o tym zapewniałem, bracie. Uczynię co w mojej mocy. Oczywiście, jeśli tylko Ali będzie chciał słuchać.

– To dobrze, Maliku, to dobrze... – Saladyn zamyślił się. – Zostaw mnie samego z Fatmą – poprosił po chwili. – Może mnie uda się coś jeszcze jej wcisnąć – odwrócił się w stronę siostry. – Moja Ghazala – rzekł pieszczotliwym tonem.

Ghazala...

Malik odszedł, starając się czynić jak najmniej hałasu. Zupełnie zapomniał, że tak ją nazywali. Ibn Suan nadał jej to miano. To było tak dawno i niedawno zarazem, kiedy giaur stał przy fontannie, odważnie i wyzywająco patrząc w oczy śmierci, a rozgniewany Malik wznosił miecz. Fatma go wtedy powstrzymała. Fatma...

Znowu poczuł cisnące się do oczu łzy. Pobiegł korytarzem, nie zważając na zdziwione spojrzenia pałacowych strażników.

Zielone pola wokół Jerozolimy połyskiwały w świetle chylącego się ku zachodowi słońca. Gdzieś tam, dwa kroki za tą zielenią, bierze we władanie ziemię wszechobecna pustynia. Gorące powiewy od wschodu i południa niosą zapach przepalonego okrutnym słońcem piachu. Lecz o tej przedwieczornej porze okolica wyglądała niczym jedna wielka oaza, jakby palące promienie dnia niosły tylko życie.

Malik pędził na koniu, czując jak powiewy wiatru uśmierzają gorączkę niechcianych myśli. Antares drżał w radosnym wysiłku. Słusznie prawił nieodżałowany Dżamil, że to najlepszy wierzchowiec w królewskich stajniach. Czuł, jak olbrzymia energia wprost rozpiera rumaka, jak siła drzemiąca w kształtnych mięśniach pozwala mu od dłuższego czasu na nieprawdopodobnie szybki bieg. Każdy inny koń bez wątpienia padłby już z wycieńczenia, cwałując z podobną prędkością nawet tylko przez kilka chwil.

– Allah – zawołał. – Sam Prorok mógłby mi ciebie pozazdrościć, Antaresie!

Koń jakby rozumiał, bo zarżał przeciągle i jeszcze przyśpieszył. Malik roześmiał się radośnie. Chociaż na ten krótki moment troski zostały gdzieś z tyłu, nie mogąc dognać pędzącego na złamanie karku księcia.

Rozdział XII

Izabela siedziała na łożu z twarzą ukrytą w dłoniach. – Lękam się o ciebie, mój mężu. Ostatnimi czasy miewam takie straszne sny...

Konrad machnął lekceważąco. – Gdyby wszystkie złe sny miały się spełniać, świat dawno przestałby istnieć. Spójrz lepiej za okno. Piękny poranek. To będzie dobry dzień.

– Jednakże wciąż mam przed oczami tamtego człowieka, który się zabił w świetlicy.

Kiedy zasypiam, gdy tylko zamknę oczy prześladowuje mnie jego obraz...

– Ukochana... – położył dłoń na jej drżącym ramieniu. – To był tylko zwyczajny asasyn. Oszołomiona haszyszem nieszczęsna ofiara machinacji Starca z Gór. Sinan bardzo chętnie pokazuje wszystkim, czy sobie tego życzą czy nie, jak posłuszni oraz gotowi do poświęceń są jego wojownicy. Uważa, iż w ten sposób inni będą odczuwać przed nim respekt.

Słusznie uważa – dodał po chwili. – Ale w moim przypadku różnica polega na tym, że ja się go nie boję. Nie stać mnie na strach, jeżeli mam osiągnąć cel, do którego dążę.

Przez chwilę milczeli oboje.

– Widziałas na własne oczy – odezwał się wreszcie Konrad – jak fanatyczni są ludzie Sinana. Jak trudno by było się przed nimi ustrzec, gdyby szejik postanowił, że mam zginąć.

Można się obronić przed nasłanym zabójcą, jeżeli ten będzie się starał wykonać zadanie i umknąć, nikt wszak nie ma ochoty umierać bez potrzeby, a wtedy sam jest ostrożniejszy, mniej skłonny do podejmowania największego ryzyka. Z asasynami rzecz ma się inaczej. Oni przede wszystkim chcą zabić, a potem najczęściej nawet nie próbują uciekać. Co więcej, poczytują sobie za zaszczyt, jeśli zostaną zgładzeni lub sami sobie zadadzą śmierć.

– Wiem, mój mężu. Lecz nie potrafię tego zrozumieć.

– Oni po prostu są inni. Inaczej myślą, być może nawet czują. Starzec z Gór oferuje im radość, jaką daje haszysz lub opium, a ci mordercy mają go bodaj za boga samego!

Izabela wstrząsnęła się. – Zimno mi się robi, kiedy o tym pomyślę. Boję się. Musisz na siebie uważać. Nie ufaj nikomu, nawet najbliższym przyjaciom.

Konrad spojrział bystro. – Wyczuwam w tobie coś więcej niż tylko zwykłą obawę.

Powiedz mi wszystko! Czegoś się dowiedziałaś? Rozmawiałaś z kimś o tym, prawda? Ten ktoś tak cię wystraszył.

– Konradzie – zawołała z przestrawieniem. – Kazałeś mnie śledzić?

– Niech Bóg broni! Dlaczego przyszło ci to do głowy?

– Bo istotnie z kimś o tym rozmawiałam. Ale ty nie masz prawa tego wiedzieć! Jak mam sobie wytłumaczyć to, że jest inaczej?

Roześmiał się. – Ukochana! Jeżeli ktoś, jak ja, zamierza włożyć na skronie koronę, nawet tak niewielkiego państwa jak Królestwo Jerozolimskie, musi wiedzieć więcej niż inni.

Jeżeli nie wie – powinien dostrzegać więcej i wyciągać wnioski. Wreszcie pozostają jeszcze zwyczajne domysły. Na ich karb właśnie możesz złożyć to, iż odgadłem twoje poczynania.

Zbyt dobrze cię znam, bym nie odkrył tajemnicy.

Długo mierzyła go podejrzliwym spojrzeniem. – Rzeczywiście byłam u kogoś. Na przedmieściu mieszka pewna wiedząca kobieta, Karima. Pewnie o niej nie słyszałeś.

– Mylisz się, Izabelo, słyszałem o Karimie. Połowa niewiast z miasta chodzi do tej poganki albo po miłosne eliksiry, albo gdy potrzebują spędzić płód. Dziwne jesteście wy, kobiety, najpierw uwodzicie mężczyzn, potem ich przeklinacie, bo przysporzyli wam trosk, które może rozwiązać tylko taka wiedźma. Jednakże nie rozumiem, po co ty do niej poszłaś.

Po miłosny napój? Myślałem, że nie potrzebujesz mnie bardziej już w sobie rozkochać.

– Nie byłam u niej ani po eliksir miłości, ani po inną miksturę. Karima, prócz warzenia ziół, zajmuje się także wrózeniem. Czyni to co prawda niechętnie i trzeba słono zapłacić, ale powiadają, iż jeśli coś powie, sprawdza się zawsze. Mnie zgodziła się przepowiedzieć tylko dlatego, że jestem wysoko urodzona, no i dałam bogaty bakszysz.

– A co jej dałaś?

– Ten diadem, który pozostał po asasynie.

– Diadem? – zdumiał się Konrad. – Ten klejnot wart był kilkaset bizantów! Piękny dar, bez dwóch zdań! Nie mogłaś dać czegoś mniej wartościowego? Tej babie starczyłaby byle błyskotka, albo i sztuka srebra! Dlaczego diadem?

– I tak nie mogłabym go nosić. Musi być przeklęty tak samo, jak jego ofiarodawca!

Nie chciałam, żeby znajdował się w naszym domu, nawet zamknięty w skarbcu, nie gniewaj się...

– Już dobrze. Dałaś, to trudno. Jesteś królową i zapłaciłaś iście po królewsku. Warto chociaż było?

Izabela znowu ukryła twarz w dłoniach. Jej ciałem wstrząsnął szloch.

– Co ci powiedziała ta przeklęta baba? Każe ją ówcić i wypędzić z miasta!

– Nie czyń tego. Ona wprawdzie nie chciała nic rzec... Dopiero kiedy nalegałam, wyjawiała mi, co zobaczyła w kartach.

– W kartach... Tarot – mruknął Konrad. – Powinno się karać za posiadanie chociaż jednego z jego obrazków. Podobno odkąd zawleczono tę zarazę do Europy, wielu rycerzy pożegnało się z fortuną, a niejeden i z życiem. Lecz jeszcze jestem w stanie zrozumieć, gdy się go używa do gry, choćby ryzykownej, jednakże za stawianie nim kabały ucinałbym ręce!

A najlepiej głowę. Ta starucha zasłużyła na karę!

– Nie sierz się, najmilszy. Zrobiła tylko to, czego żądałam. Obiecuj mi, że nic jej nie uczynisz.

Konrad milczał.

– Obiecuj! Błagam cię! Nie chcę, by przeze mnie stała się komuś krzywda! Nawet tej Saracence! Czy mam przed tobą paść na kolana?

– Przestań, Izabelo! Co robisz? Wstań natychmiast!

– Obiecuj więc!

– Dobrze, obiecuję – westchnął. – Czasem mam nieodparte wrażenie, iż dobry Bóg stworzył was, niewiasty, tylko po to, by łagodzić obyczaje mężczyzn... Powiedz lepiej, co takiego usłyszałaś od tej wiedźmy, że łzy cisną się do twych pięknych oczu.

– Przepowiedziała mi rzecz straszną... – Izabela zagryzła wargi.

– Co? Mów wreszcie!

– Rzekła mi, że umrzesz...

– Tylko tyle? – Konrad wybuchnął śmiechem. – Tyle to i ja mogę ci przepowiedzieć, nawet bez pomocy kart! W końcu każdy umrze.

– Nie drwij, mężu. Wyczytała, że jeśli nie będziesz się miał na bacności przed pewnym człowiekiem, zginiesz niebawem...

– Och, a przed kim to mam się mieć na bacności?

– To właśnie jest najdziwniejsze. Powiedziała, że zgładzi cię syn...

Konrad uniósł ze zdumieniem brwi.

– Czyj syn?

– Twój!

Konrad znowu zaniósł się śmiechem.

– Widzisz sama, co warte są te babskie bajania! Przecież ja nie mam syna!

Izabela była jednak poważna. – Nie śmieję się i nie odrzucaj tej wieści tak pochopnie. Powiadam ci, że nie słyszałam, by wróżba Karimy okazała się fałszywa.

– Przestań! – zniecierpliwił się. – Przecież to wszystko jest zupełnie pozbawione sensu!

Nie mam żadnego syna, więc siłą rzeczy nie może mnie zgładzić! Okaż trochę rozsądku, kobieto! Czy wizyta u tej szalonej baby i tobie odebrała rozum?

– Błagam, najmilszy, uważaj na siebie, nie lekceważ... Konrad odwrócił się na pięcie.

Po chwili drzwi sypialni zatrzasnęły się z hukiem.

– Bądź ostrożny – szepnęła za nim Izabela. Potem rzuciła się na łożo i załkała z bezsilności.

Karima zestawiła kociołek z ognia, otworzyła na oścież drzwi. Przenikliwy zapach ziół kręcił się jeszcze przez chwilę po izbie, zanim uleciał uniesiony wieczornym podmuchem.

– Kiedy przyjdzie pani Brangiena – zamruczała – dodamy tylko kroplę tojadu i wszystko będzie gotowe. Któryż to już raz szlachetna pani Gallard potrzebuje moich usług?

Kochliwa z niej niewiasta, a przy tym płodna niczym królicą... Jej małżonek zapewne hoduje na głowie poroże bogatsze niż najstarszy na świecie jeleni... Ale że też po wywołaniu tylu poronień jeszcze potrafi zajść w ciążę?

Podreptała do półek ustawionych pod zachodnią ścianą domu. Wciąż jeszcze gorące promienie słońca wdzierały się przez okno jasnymi smugami, kładąc skomplikowany wzór na glinianej podłodze. Drobinki kurzu tańczyły w ich blasku swój monotony, odwieczny taniec.

– Dekokt dla hrabiny Henrietty... Jest. Trzeba go odstawić gdzie indziej, żeby buteleczki się nie pomyliły. Toż by było, gdyby pani Brangiena zażyła teraz miłosnego napoju... – zaśmiała się zgrzytliwie. – W odmiennym stanie będąc, dopiero by się rzucała na każdego napotkanego mężczyznę! Kto z nieznanających się by pomyślał, że ciąża tak wzmacnia działanie tej mikstury?

– Co ci tak wesoło, babo? – zabrzmiał od wejścia ostry głos. – Cuchnie u ciebie gorzej niż w klasztornej zielarni!

Karima zmarszczyła brwi. – Czego chcecie, panie? Czy ktoś przysłał was po eliksiry?

Trzeba wam wiedzieć, że nie mam we zwyczaju wydawać ich komu innemu niż sam zamawiający.

– Przybyłem po coś zupełnie innego. Nie potrzebuję twoich wywarów.

– Czego więc chcecie?

– Podobno nie tylko zielarka, ale i wróżycha z ciebie, to sama sobie zgadnij. Powinnaś dawno to już wiedzieć, jeśli w przyszłość potrafisz zajrzeć!

Stara zmarszczyła się jeszcze bardziej. – Widzę zdarzenia, które nastąpią, gdy wróżę innym. Sobie samej nic przepowiedzieć nie potrafię. Chcecie, bym wam wywróżyła, co was czeka? Przyjdźcie jutro.

– Nie, starucho! To ja ci powróżę.

Jego głos zabrzmiał groźnie i niepokojąco. Karima cofnęła się.

– Odejdźcie, panie, zostawcie w spokoju starą kobietę, co nikomu nic nie zawiniła – wybełkotała przestraszona.

– Zaraz pójdę – zaśmiała się. – Najpierw jednak przekażę ci posłanie od tego, kto

mnie przysłał. I, rzecz jasna, powrózę, jak obiecałem.

– Nie chcę twoich wróżb!

– A jednak ich wysłuchasz!

Jednym skokiem znalazł się przy niej, bez wysiłku uniósł nad ziemię chude ciało i rzucił o ścianę.

– Przepowiadam ci, Karimo – rzekł cicho – że umrzesz. To właśnie moja wróżba!

I przysięgam, iż spełni się zaraz!

Stara, oszołomiona uderzeniem, nie mogła skupić wzroku na mówiącym.

– Litości, panie – gramoliła się na czworakach, z jej ust ciekła ślina zmieszana z krwią.

Potężne kopnięcie w zębra posłało ją z powrotem na twardą polepę. Podniósł się gliniany pył. Mężczyzna pochylił się nad zielarką.

– Owo posłanie pochodzi od pewnego możnego pana. Kazał ci przekazać pozdrowienia od syna, którego nie posiada. Wiesz już, kim jest ów możnowładca?

Karima kaszłała, czując w piersiach ostry, przejmujący ból.

– Kazał ci jeszcze zapowiedzieć, ścierwo, że dokąd wróżyłaś za pieniądze Wenecjan, znosił to spokojnie. Jednakże nie będzie tolerował szpiegów Sinana!

Błysnął sztylet. Chciała coś powiedzieć, zaprotestować... Chciała mu coś wytłumaczyć, lecz ostrze było szybsze od słów. Morderca wytarł nóż w szaty ofiary, wyprostował się i rozejrzał po chałupie. Splunął. Przeklęta wiedźma! Czego tu nie było? Co by tylko człowiek paskudnego wymyślił, na pewno stoi gdzieś na półkach. Zaczął myszkować wśród sprzętów. – Mam!

Wydobył spod sterty szmat zakorkowany dzban z oliwą do lamp. Włożył w palenisko smolną szczapę.

Nagle za plecami wyczuł ruch.

– Kto tu?!

Odwrócił się, błyskawicznie wydobywając sztylet. Wstrzymał oddech, czekając na atak. Przemknął niewyraźny cień, zaniepokojony mężczyzna odniósł wrażenie, że w ścianę wniknęła potężna postać starego frankońskiego rycerza, po czym rozległo się ciche szuranie i pisk.

– Przeklęte szczury! – kopnął w kąt butlę stojącą pod nogami. Roztrzaskała się na drobne kawałki. Natychmiast rozszedł się ostry zapach mieszaniny ziół. – Żeby takie małe zwierzę potrafiło rzucić tak okazały cień!

Nagle zaczęło mu się śpieszyć. Jednym ruchem strącił dzban z oliwą na ziemię, wrzucił w kałużę płonąca szczapę. Czym prędzej wyszedł z chaty. Odbiegł kilka kroków, potem obejrzał za siebie. Wcale nie był taki pewien, czy tam, w środku, nie dostrzegł jednak ludzkiej postaci. Przeżegnał się. – Zgiń, przepadnij...

Rozdział XIII

– Bodaj was, chrześcijanie! – Rakim zacisnął pięści, uczynił ruch, jakby chciał pobiec za żołnierzami, jednakże chroma noga natychmiast odezwała się potężnym strzyknięciem bólu. Wiech ich szejtan porwie! Odkąd Frankowie zajęli Jafę, a właściwie to co z niej pozostało po tym, jak sułtan kazał ją zburzyć, nie było chwili spokoju. Splunął za odchodzącymi żołdakami, którzy śmiejąc się i dogadując, prowadzili na rzeź jego ostatnią krowę. Zerknął w bok, gdzie jego żona leżąc, darła włosy z głowy. – Wstań, głupia! – warknął.

– Po co krzyczysz? Im z tego tylko większa radość. Ciesz się, że przynajmniej Zubejdę zostawili w spokoju.

Na wspomnienie tego, co uczynili z jego starszą córką, poczuł, jak na nowo zalewa go fala nienawiści. To tam, na polu, obok wielkiego przedwiecznego głazu, zgotował jej pochówek. Nieszczęsna dziewczyna...

Pomógł się podnieść żonie.

– Chodź, Rasza. Nie ma co tutaj sterczeć.

Wspierając wzajemnie, powlekli się do chałupy. Rakim ciągnął za sobą bolącą nogę.

Wydawała się ciężka jak worek mokrego owsa. Jakże to może być, żeby własna kończyna tyle ważyła?

Rasza... Kiedy ją brał za żonę zdawało się, że świat przed nimi stoi otworem. Młody i sprawny wojownik oraz piękna córka bogatego kupca. Młoda Gazela, Rasza... Jakże wtedy to imię do niej pasowało. Pachniało jak najpiękniejszy kwiat. Teraz patrzył na zniszczoną twarz niewiasty, pooraną cierpieniem, spaloną słońcem, nie takiego losu dla niej pragnął.

Weszli do izby. W garnku kipiała nędzna zupa na łożu, zaprawiona bazylią.

– Błogosławiony rajhan – mruknął. – Gdyby nie ta przyprawa, nie dałoby się przełknąć ani łyżki tej lury.

Żona zakrzętała się przy kuchni, natychmiast przybiegła Zubejda, by ją wyręczyć.

– A mówili nasi, że niebawem wrócą – powiedziała Rasza. – Gdybyś im tak łatwo nie uwierzył, można było uciec, choćby do Hebronu.

– Cicho, głupia – ofuknął ją. – Rozzuchwaliłaś się ostatnimi czasy i zabierasz głos

niepytana! Słyszałaś, co mówił Hasir. Mamy trwać, nadejdzie jeszcze nasza godzina.

Rasza milczała, choć widać było, że walczy ze sobą, chcąc coś odpowiedzieć. – Nadeszła już – nie wytrzymała wreszcie. – Ostatnia godzina przyszła na Azzę! Bodaj mnie to spotkało, nie ją! A wszystko przez twoją łatwowierność!

– Milcz!

Skuliła się, zamknęła oczy, kiedy powstał i podniósł rękę. Silny był jak tur, mimo kalectwa, nieraz przekonała się o tym na własnej skórze. Jednakże spodziewany cios nie padł.

Zerknęła spod przymrużonych rzęs. Siedział z powrotem przy stole, masując obolałą nogę.

– Wojak jest nim do końca życia – rzekł cicho, jakby się tłumacząc. – Nawet jeśli uczynią z niego szmacianą kukłę – roześmiał się gorzko. – Lubił mnie emir Ghazi, gdy potrafiłem, jadąc konno w pełnym galopie, rzucić mieczem przed koński łeb i zebrać go, nim dotknął ziemi. Lubił, kiedy jednym strzałem z łuku strącałem trzy melony. Lubił patrzeć, jak prowadzę swój oddział do szaleńczych gonitw. A gdy w wielkiej bitwie przetrącono mi nogę, obiecał zadbać o moją przyszłość. Sama wiesz, jak wyszło. Może byłoby inaczej, gdyby sam wtedy nie popadł w niewolę. – Przez chwilę masował w milczeniu stwardniałe z bólu udo. – Lecz nie potrafię – podjął – porzucić naszej sprawy, zdać się pokornie na łaskę chrześcijan albo zwyczajnie uciec. Mogę być tu jeszcze potrzebny. Kto, jak ja, zna tajemne przejścia, kto wie, jak przebrnąć przez umocnienia... Może tylko szczury. Z gospodarstwa obok dobiegł głośny kwik.

– Tfu! Niech ich zaraza! Hodują te nieczyste zwierzęta tylko po to, by nam dokuczyć!

Świniojady!

– To nie są źli ludzie, ci nasi nowi sąsiedzi – zaoponowała Rasza. – Sam wiesz, nie hodują tych bydła nam na złość, ale dlatego, że błędzą, nie znając nakazów Proroka. Nie zachowują się przecież jak ich panowie, co chcą nas upokorzyć. Ich też potrafią złupić własni żołnierze.

– Mówiła mi Aisza – odezwała się Zubejda – że chrześcijanie specjalnie założyli świńską hodowlę opodal dawnego pałacu kadiego. Żeby nam dokuczyć. I handlują winem tuż pod meczetem.

– Psy są ci chrześcijanie i tyle. A ty mi do Aiszy nie łaż! – napomniął surowo Rakim. – Różnie o niej powiadają. Sam widziałem jednego razu, jak wychodził od niej pewien giaur!

To nierządnicą i porządną dziewczyną nie ma o czym z taką rozmawiać. Zrozumiałaś?

– Tak, ojcze – dziewczyna spuściła głowę.

– A gdzie ona ma zarobić tych parę nędznych groszy na chleb? – stanęła w jej obronie matka. – Bezpieczniej jej tam popracować przy sprzątaniu, niż chodzić choćby

do pralni, gdzie Frankowie urządzają sobie obławy na dziewczęta!

Rakim westchnął ciężko. – Co za czasy nadeszły, żeby niewiasta bezkarnie sprzeciwiała się mężowi, najgorsze zaś to, że pewnie masz rację – zamilkł z ponurą miną. – Kiedy tak o tym rozmyślam – wyrzekł wreszcie – mam ochotę zwinąć się i odejść.

– Teraz i tak nigdzie nie uciekniesz – Rasza pokręciła głową. – Niewierni pilnują, jakby się bali, że Salah ad-Din może się nagle ukazać spod ziemi.

Przerwał jej żaloszny krzyk.

– To u Ajjuba! – zawołała.

– Nie ruszajcie się stąd! – Tak szybko, jak tylko pozwalała mu chroma noga, Rakim wybiegł przed chałupę. Kilka domów dalej dwaj żołdacy ciągnęli opierającą się dziewczynę.

Rakim zacisnął pięści. – Niech moce piekielne ześlą na was przekleństwo – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Niech synowie szejtana zatańczą z wami swój okrutny taniec! Niech nadejdzie czas zapłaty!

Ciemności rozjaśniał nieśmiało jedynie mdły poblask gwiazd. W mroku ledwie można było rozróżnić dwie postaci pochylone ku sobie.

– Kiedy to się wreszcie skończy, Nasir? Każdego dnia modłę się do Allaha, by nadszedł sułtan i zrobił porządek z naszymi wrogami!

– Bądź dobrej myśli, Rakim – nawykły do wydawania komend głos z trudem mieścił się w ciasnych ramach szeptu.

– Łatwo ci tak mówić. To nie ty musisz codziennie patrzeć na nieprawości giaurów.

Nie tobie zdierają z grzbietu ostatnią koszulę, nie ty martwisz się o żonę i córkę, bo Frankowie żadnej niewieście nie przepuszczają, nie ty, na koniec, musiałeś pochować własnymi rękami pohańbione przez niewiernych dziecko!

Nasir poderwał się. – Nie sądz tak pochopnie, Rakim! Nie wiesz nic o tym, jakie mnie spotkały nieszczęścia! Jak myślisz, dlaczego siedzę tutaj, w pobliżu chrześcijańskich wojsk, ryzykując życie, zamiast zażywać wojackiej sławy choćby u boku księcia al-Adila? Mnie Frankowie zabili w Akce umiłowaną żonę! Nawet nie chcę myśleć, jaki los ją przedtem spotkał! Nie tylko żonę tam straciłem... – zacisnął zęby. Głos mu drżał, kiedy mówił dalej: – Opowiedział mi wszystko brat mój, Mubarak. Prowadzili go na rzeź blisko mojego domu.

Widział moją Asiję martwą, leżącą przed progiem, w podartych szatach. Pełzał po niej łkający w rozpacz maleńki Aziz, cały umorusany jej krwią... Pewnikiem głodny był i zdziwiony, że mu nagle macierz mleka odmawia... – na chwilę zabrakło mu tchu. – Aziz, światło moich oczu! Myślisz, iż ocalał? Że ktoś się nad nim ulitował? Jeżeli nawet, to spędzi resztę życia w jarzmie! Mubarak zaś tylko cudem uniknął śmierci. Lecz przeżył ją chyba tylko po to, aby rozedrzeć moje serce! Czasem wolałbym, żeby nie wrócił... Nieświadomość bywa błogosławieństwem. Rakim milczał ze ściągniętą twarzą.

– Nie mów mi więc, człowieku, o nieszczęściu! To, które stało się moim udziałem, sprawiło, że nie jestem tym samym Nasirem, co dawniej.

– Wybacz. Kiedy gorycz się w człoku zapieczętuje, nawet przyjaciela by pokąsał.

– Rozumiem to doskonale. A gdy nadejdzie czas, sam was poprowadzę na Franków, choćby przyszło nam polec jeden na drugim!

Rakim spoglądał w połyskujące w ciemności oczy Nasira.

– Lecz kiedy przyjdzie ten dzień?

– Być może całkiem niedługo. Cierpliwości. A teraz wracaj do domu, zanim Rasza zauważy, że opuściłeś łóżko. Powinniśmy być bardzo ostrożni. Musimy cierpliwie czekać.

Rozdział XIV

C hłodny górski wiatr rozwiewał siwe włosy Sinana. Stał nad przepaścią, bez zmrużenia powiek wpatrując się w surowe, wysmagane wichrami skały. Al-Kahf! Jedyne miejsce, w którym może czuć się bezpieczny. Roześmiał się głośno. Bezpieczny! Otoczony najbardziej sprawnymi i okrutnymi zabójcami, jakich zna świat, lecz pewien, że nikt tu nie poda mu trucizny, nie wbije znienacka noża w plecy.

Hamdan, pomyślał, przymykając oczy w skupieniu. Przyjdź tutaj, Hamdan.

Po chwili zazgrzytał żwir za jego plecami.

– Słucham, wzywałeś mnie, Raszidzie ad-Dinie?

Sinan obejrzał się. Zwalisty jak góra Hamdan. Najbardziej skuteczny asasyn, jakiego znał. Ile to niegdyś misji mu poruczył, a ze wszystkich wrócił cało! Zbyt stał się cenny, żeby używać go do zwykłej pracy.

– Przygotuj mi któregoś z natchnionych. Potrzeba nam przesłać i odebrać wieści.

– Słucham, panie. Czy ma się stawić natychmiast?

– Wieczorem, Hamdan, tuż przed północą. Wtedy świat stawia najmniejszy opór wysłannikom. Zostaw mnie teraz samego i niech mi nikt nie zakłóca spokoju. Potem przyjdę do kwatery natchnionych obejrzeć wybranego człowieka.

– Jak rozkażesz, panie.

Sinan znowu zapatrzył się w surowe piękno krajobrazu. Asasyni, spożywcy haszyszu... Wszyscy myślą, że szkoli ich w sztuce zabijania, karmiąc narkotykami, żeby bez wahania popełniali najcięższe zbrodnie, wypełniali zadania, nie bacząc na swoje bezpieczeństwo... niech ludzie tak właśnie myślą.

Lecz to tylko część prawdy, i to ta mniej istotna. Gdyby ktoś niepowołany dowiedział się, jak wpływa haszysz na tych, z których czynią natchnionych, niewątpliwie miałyby od razu na głowie nie tylko krzyżowców, ale Saracenów, a nawet Bizantyjczyków – i to działających w porozumieniu, nikt nie lubi takich, co korzystają z usług niepojętych mocy.

– Który to? – Starzec z Gór wszedł do celi natchnionych. Runęli na kolana.

– Turuntaj – Hamdan wskazał chłopca o skórze żółtej i gładkiej, bez najmniejszej skazy. Na Starca przelotnie spojrzwały skośne oczy. – Pierwszy z lewej...

– Wiem, znam przecież wszystkich, sam ich dobieierałem. Zapomniałeś?

Hamdan skłonił głowę w geście przeprosin. Spod oka rzucił wściekłe spojrzenie, nadejdzie kiedyś taki dzień, kiedy Sinan na ryle podupadnie na zdrowiu, by można go było zastąpić kimś innym. Tym kimś może będzie nawet...

Sinan drgnął, odwrócił się gwałtownie.

– Nawet tak nie myśl, Hamdanie – powiedział cicho. – Mój następca być może jest gdzieś w tym zamku, jednakże wcale nie musisz być nim ty! Najpierw trzeba sobie zdobyć pewnych sprzymierzeńców wśród asasynów. Nie zabraniam ci starać się o nich, ale zbyt jeszcze wcześnie, aby usuwać mnie z drogi.

Hamdan skulił się, zaklął w duchu. Jak mógł popełnić taką nieostrożność! Przecież w towarzystwie Natchnionych wszelkie myśli stają się dla szejka jasne, jakby ktoś wypowiadał je na cały głos. Starzeje się już, powinien zostać posłany gdzieś na samobójczą misję, skoro nie potrafi zachować ostrożności w gnieździe węża.

– Przydasz się jeszcze, mój drogi – rzekł łaskawym tonem Sinan. – I mnie posłużysz, i być może mojemu następcy. Tylko wyrzucić z głowy swoje zamiary. One mogą zniszczyć nie tylko ciebie, ale także całe nasze zgromadzenie – rozejrzał się po schylonych kornie głowach.

– Akceptuję twój wybór, Hamdanie. Zaprowadź Turuntaja do Sali Wspomnień. Niech tam dokona ablucji.

– Czy podać mu haszysz zmieszany z mirrą?

– Nie, dziś użyjemy mieszanki haszyszu z wywarem makowym i cykutą. Potrzebuję wyraźnego kontaktu.

Turuntaj drgnął, rzucił spłoszone spojrzenie.

– Nie lękaj się, Natchniony – powiedział Sinan łagodnym tonem. – Cykuty dają niewiele, tylko tyle, żeby zaostrzyć wizję. Odchorujesz to, ale nie umrzesz.

Za drzwiami zwrócił na Hamdana rozgniewane oblicze. – Przyślij mi natychmiast opiekuna natchnionych!

Szybkiem krokiem, twardo przybijając nogi do ziemi, poszedł do swojej sypialni. Co za niechlujstwo! Wystarczy na chwilę odwrócić czujne spojrzenie, żeby działy się takie rzeczy.

W komnacie rzucił na łożo płaszcz, a sam usiadł na zydlu pod oknem. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść!

W progu ukazała się przygarbiona sylwetka.

– To ty, Halim. Podejdź bliżej.

Przybyły posłusznie zbliżył się na dwa kroki. Opuszczone ramiona, zgasłe oczy... Tak, ten człowiek nie może dobrze wykonywać swoich obowiązków.

– Dawno cię nie widziałem, Halim. Sterałeś się. – Tak, panie, bardzo jestem znużony.

Ta służba wyczerpuje człowieka bardziej niż najniebezpieczniejsze misje.

Sinan długo patrzył w opuchniętą twarz rozmówcy. Dręczy go przypadłość, która utrudnia mu nie tylko wykonywanie obowiązków, ale także normalne życie. Szkoda go, lecz al-Kahf to nie miejsce dla słabych. W całym zakonie nie ma dla takich miejsca.

– Dziś, Halimie, ujrzałem rzecz niedopuszczalną. Jeden z natchnionych okazał strach.

Oni mają umierać z moim imieniem na ustach! Z radością, że mogą się przysłużyć! A ja nie powinienem ich zapewniać, iż przeżyją, by skłonić ich do współpracy. Śmierć dla mnie, Raszida ad-Dina, winna być dla nich nagrodą! Co więcej, jestem pewien, że przynajmniej połowa ludzi w tamtej celi byłaby podobnie przerażona jak ten chłopiec. Zawiodłeś mnie, Halimie.

Opiekun natchnionych opuścił nisko głowę.

– Wiem, żeś zasłużony dla mnie i dla całego zgromadzenia. Cenię cię za wierność i za to, co uczyniłeś dla izmailitów w swym życiu. Wyobraź jednak sobie, co to by było, gdyby Saik, przedłużenie mych rąk, opiekun asasynów, okazał się równie niedołążny?

Halim padł na twarz. – Zgrzeszyłem, szejku, przeciwko tobie i całemu zakonowi.

Zgrzeszyłem nie tylko zaniedbaniem obowiązków, ale także ukrywaniem dręczącej choroby.

– Wiem już o niej, kiedy tylko wszedłeś, dostrzegłem na twym obliczu nieomylnie znamiona. Nie pomyślałeś, że nie dasz rady jej ukryć i w końcu wszystko się wyda? Wstań, nie godzi się, aby ktoś taki jak ty pełzał w prochu niby niewolnik, nawet jeśli bardzo przewiniłeś przeciwko naszemu bezpieczeństwu.

Halim powstał. Wyprostował ramiona. Nagle stał się podobny do tego wojownika, którego Sinan pamiętał sprzed lat. Dumny i szalony Halim, postrach wrogów.

– Czy pozwolisz mi naprawić błąd? Odkupić winę? Czy jest ktoś, kogo chciałbyś zgładzić?

Starzec z Gór pokręcił głową.

– Nie mogę już ufać w twoje siły. Nie poruczę ci żadnej misji. Dręcząca cię choroba może się odezwać w najmniej sposobnej chwili.

Spojrzenie Halima znowu zgasło, plecy zgarbiły się.

– Rozumiem, panie. Czy mogę już odejść i uczynić, co powinienem?

– Możesz, Halimie.

Słuchał przez chwilę ciężkich, powolnych kroków. Halim szedł jak stary, bezradny człowiek. Sinan wsparł głowę na rękę. Wykruszają się dawni towarzysze, ci którzy przeżyli wszystkie niebezpieczeństwa i pozostali w górskim gnieździe, żeby nauczać młodych, jak mają ginąć dla swego szejka.

Minęło kilka minut. Zaszurał żwir za oknem. Starzec z Gór wyjrzał. Halim podążył w stronę muru nad przepaścią. Jeszcze kilka kroków... Wspiął się na blankę, spojrzawszy w dół, potem obejrzał się na górę, prosto w okna sypialni Sinana. Szejk skinął łaskawie

dłonią.

Halim wzniósł ramiona. Ostry wiatr rozwiewał szerokie rękawy czarnej szaty, czyniąc je podobnymi do skrzydeł kruka. Stary asasyn postąpił naprzód. Jeszcze przez chwilę zdawał się unosić w powietrzu, niby młody ptak, który po raz pierwszy opuszcza gniazdo, a potem runął bezwładnie w dół.

Sinan, zadowolony, cofnął się w głąb komnaty. Halim skończył życie, jak na asasyna przystało, nic wspanialszego niż umrzeć, gdy władca na ciebie patrzy. Uśmiechnął się do siebie. Widok wojowników popełniających samobójstwo działał na niego kojąco. Dokąd to czynią, znaczy – wierzą. Jak przekłęci sunniccy duchowni, popierani przez Saladyna, mogą zabraniać takich aktów swoim wiernym? Jak mogą potępiać samozagładę? Czyż jest na świecie coś piękniejszego niż takie właśnie poświęcenie?

Mehmet kiwał się miarowo w przód i w tył. Kłęb dymu z nargili zdawał się przenikać jego ciało na wskroś. Mamrotał pod nosem sury Koranu. Jednakże ktoś znający Pismo zdumiałby się, jakie wersy łączą się ze sobą w ustach asasyna. Obok leżał jego towarzysz pogrążony w głębokim narkotycznym śnie.

– Zrozumiałeś mnie, Mehmet?

Ten głos budził strach i szacunek. Strach u wrogów, szacunek u oddających mu cześć.

Mehmet słuchał go dzisiaj już bardzo długo, nie wiedział dokładnie, ile czasu upłynęło, czuł tylko ogromne zmęczenie. Głos rozbrzmiewał prosto w jego głowie, lecz jednocześnie odbijał się echem wśród zadymionych ścian.

– Tak, panie...

– Zrobisz to, kiedy tylko otrzymasz znak. Zaczнешz działać po trzech dniach, nie później i nie wcześniej. Postąpisz dokładnie tak, jak ci nakazałem. Zmienisz imię.

– Tak, panie...

– I pamiętaj, dokąd nie wykonasz zadania, nie wolno ci zażywać haszyszu. Musisz zachować jasny umysł. Ci, do których się udasz, mogą być bardzo czujni. Więcej, oni na pewno stali się bardzo ostrożni.

Mehmet kołysał się monotownie.

– Zrozumiałem, panie.

– Będę się za ciebie modlił, synu.

– Dzięki, panie.

– A teraz wypocznij dobrze. Czeka cię ważne zadanie.

Sinan obojętnie spojrział na leżące przed nim ciało. Żółta skóra przypominała teraz stary, przezroczysty pergamin. Widać było każdą żyłkę, każdą podskórną grudkę.

Półprzymknięte skośne oczy lśniły mętnie w blasku świec.

– Zabierzcie go – rzucił do tyłu. – Zaprawdę Halim zasłużył na śmierć, skoro tego tutaj nieszczęśnika trzeba było uspokajać, zanim makowy wywar zaczął działać, a zabiła go taka odrobina cykuty. Jego następcą musi się lepiej postarać, jeżeli chce

przeżyć dłużej niż do kolejnej próby. Zbyt cenni są nasi natchnieni, by tracić ich przy byle okazji.

Halimie, pomyślał, niech Allah ci wybaczy, stary druhu. Niechaj niegościnnie skały utulą twoje ciało w surowych objęciach, a ciało tve padnie łupem orłów, nie sępów.

– Hamdan!

– Słucham, panie.

– Zawiadomisz kupca Lorenza, że wszystko gotowe. Odnajdziesz go w Tyrze, w faktorii pizańskiej. Jeśli zdecyduje, że zadanie ma zostać wykonane, każesz przesłać Mehmetowi białą szarfę.

Rozdział XV

– Gdzie byłeś? – Saladyn przyjął brata z marsem na czole. – Rozkazałem już szukać twojego trupa!

– Nie powiedzieli ci? Pojechałem konno przed siebie. Zawsze smagła twarz była teraz spalona na brąz, zastygły na niej smugi kurzu.

– Dwa dni, Malik! Nie było cię dwa dni!

– Nie pierwszy raz. Potrzebuję czasem zostawić to wszystko za sobą, uciec tam, gdzie nie ma powszednich trosk. Powinieneś to wiedzieć. Powiadają, że czynili tak i Mahomet, i chrześcijański prorok Jezus. Pustynia to doskonałe miejsce, żeby zapomnieć o doczesnym świecie.

– Wiem! Jednakże nasze położenie nie było dotąd aż tak poważne! Jesteś mi potrzebny tu, na miejscu! W pełni sił ciała i umysłu.

Al-Adil spojrział ponuro.

– Właśnie. Jestem ci potrzebny. Zawsze byłem tylko potrzebny! Jako ten brat, który potrafi dochować wiary, który nie marzy o chwili, kiedy odejdziesz z tego świata, aby zająć twoje miejsce!

Władca milczał, mierząc brata dość nieodgadnionym spojrzeniem.

– Nigdy nie usłyszałem, że miłe jest moje towarzystwo, że chcesz mnie mieć przy sobie tylko dlatego, iż sprawia ci to radość! – Żal wylewał się z księcia, burząc jakieś tajemnicze tamy w głębi jego duszy. – Zawsze tylko słyszałem: „Jesteś potrzebny”. Jak ten pies, co jest doskonały do polowania na lwy albo sokół, konieczny, by zwierzyna nie umknęła z obieży! Potrzebny, to wszystko!

Saladyn wstał.

– Przenigdy nie przyszło mi do głowy, żeby mówić o swoich uczuciach, bracie – rzekł cicho. – Miłuję cię. To było zawsze dla mnie oczywiste. Dla ciebie nie? – Podszedł, objął Malika serdecznym uściskiem. – Przykro mi. Tylko tyle mogę powiedzieć w tej chwili. Jesteś mi potrzebny nie tylko jako niezawodny pomocnik, wykonawca mej woli. Jesteś mi potrzebny także jako ten, który potrafi pojąć moje zamierzenia. Lecz to tylko część prawdy.

Jesteś mi potrzebny, bo kocham cię, bracie! Bo jesteś mi bliższy niż wszyscy na

świecie!

Krzywdzisz mnie sądząc, że jest inaczej.

Al-Adil oddał mu uścisk. – Wybacz, bracie. Nie wiem, skąd nazbierało się we mnie tyle żalu.

– Ale ja wiem. Mnie również przychodzą do głowy gorzkie myśli, szczególnie ostatnimi czasy. Nic dziwnego, zważywszy na to, co zbiera się nad naszymi głowami – usiadł z powrotem, podparł głowę na dłoni. – Pora skończyć myśleć o sobie – szepnął.

– Co się stało?

– Abd al-Hadžib...

– Co z nim? Potrzebuje więcej życia? Jestem gotów!

– Nie to. On cały czas pogrążony jest w medytacji. Jednakże nim udał się do swojej komnaty, rzekł, że musimy całą rzecz przeprowadzić szybciej, niż się spodziewaliśmy. Ten, którego imienia nie wymówię głośno, zbyt szybko rośnie w siłę.

– Jesteś już pewien, że to syn Azazela, straszliwy...

– Zamilcz! Nie przywołuj jego przekłętą mianą, zanim nie zostanie uwięziony! Jeśli w ogóle uda się go uwięzić! Tak, al-Hadžib jest już pewien, że to on!

– Niech Allah ma nas w swojej opiece...

– Rzekłeś, bracie. Przed tobą daleka i niebezpieczna droga. Powiedz tylko czy jesteś pewien, że giaur wypełni należycie swoje zadanie?

– Już o to pytałeś, a ja odpowiedziałem. Mogę ręczyć za to głową. Jeśli nie zrobi tego dla mnie ani dla ciebie, uczyni to ze względu na Fatmę.

– On wie? – Saladyn uniósł się lekko. – Powiedziałeś mu? To nierozważne! To właściwie zdrada!

– Nie wpadaj w gniew, sułtanie – uśmiechnął się lekko Malik. – Wie tylko tyle, ile musi wiedzieć. Jeśli jego misja się powiedzie, zdołamy zapobiec nieszczęściu, a Fatma może odzyskać zmysły. Nie powiedziałem nic więcej niż potrzeba.

– To dobrze – odetchnął Saladyn. – Odniosłem ostatnio wrażenie, że bardzo się do siebie zbliżyliście. Traktowałeś go niczym bliskiego przyjaciela, rzekłbym nawet, jak członka rodziny.

– Przyjaciela, powiadasz... Może i tak. Jest coś w tym człowieku, co zniewala i zmusza do zastanowienia. – Książę chwilę milczał, namyślając się nad czymś. – Nie wahałbym się powierzyć mu nawet całej tajemnicy, choć wiem, że to nierozsądne, skoro wysłaliśmy go tam, gdzie pod żadnym pozorem nie może ona wyjść na jaw. Jeśli tego nie uczyniłem... Ciężko nieść takie brzemie, pewnie dlatego nie wyjawiałem mu wszystkiego. I tak się dowie, jeśli nie zginie.

– Wtedy to będzie bez znaczenia. Martwią mnie jednak twoje słowa. Jakbyś zapomniał, że nie wolno mieć zaufania do nikogo!

– Ciężko tak żyć, Jusuf.

– Takie jest właśnie życie władcy, Malik. Ciężkie od kłamstw, zbrodni i

odpowiedzialności za każde wypowiedziane słowo.

Długo patrzyli sobie w oczy.

– Mam się udać w owo miejsce, o którym wspominał al-Hadžib? – spytał wreszcie książę.

– Natychmiast. I musisz zabrać starca ze sobą. Malik kiwnął głową. – Życz mi powodzenia.

– Codziennie będę prosił Allaha o łaskę dla ciebie i wszystkich, w których rękach leży nasz los.

Malik wyszedł. Przez rzeźbione kratownice okien sączyło się mdłe światło księżyca.

Saladyn czuł, jak kamień, który od wielu dni zaległ w jego piersi, staje się coraz większy i cięższy. Kiedy to się wreszcie skończy? Po raz pierwszy w życiu pomyślał o chwili śmierci jak o wyzwoleniu, a nie tylko nieuchronnym i niechcianym końcu.

Rozdział XVI

Krople krwi na piasku budzą niepokój. Są jak łzy Nemezis wylane nad zamordowanym dzieckiem. Rozgrzane ziarna wysysają z nich całą czerwień, w zamian ofiarując brunatną barwę beznadziei.



Ten, kto napisał te słowa chyba nigdy nie był w głębi pustyni, pomyślał ponuro Vincent. A już na pewno nie widział zwarzonej przez słońce krwi. Spojrzał na towarzysza.

Edward z wysokości końskiego grzbietu przyglądał się ciemnym bryzgom na niegościnnej ziemi. Patrzył bardzo długo, z ułożenia krwawych plam próbując odczytać historię tragicznych wydarzeń. De Rionne przymknął oczy, znużone blaskiem odbitych od piachu promieni.

– Tu musieli ich dopaść – mruknął Swansen. Głos wiązał tuż przy ustach, zaplątany w kłęby zawoju.

– Co rzekłeś? – Vincent ocknął się z chwilowej, gorączkowej drzemki zesłanej przez palące słońce. Poprawił labry na hełmie. W odróżnieniu od swego towarzysza, pustyni nigdy nie lubił i nie rozumiał, nie potrafił też zupełnie pojąć, jak Edward, wychowanek zimnej Północy, mógł przyłgnąć sercem do tego kraju. I dlaczego tak swobodnie sobie radził z potwornym gorącem, od którego nawet miejscowi tracili zmysły.

– Tu ich dopadli – powtórzył głośniejszym głosem Edward. – A nasi musieli się mocno bronić, spójrz ile krwi...

Vincent skrzywił się. – Owszem, krwawa jatka. Dziwne tylko, że nie pozostały żadne trupy, przecież na pewno wielu zginęło. Musieliby wszystkie pozbierać. Po co? Przecież nikt tak nie czyni. Kim oni mogą być?

– A jak myślisz?

– Saraceni. – Vincent roześmiał się z przymusem. – Tacy sami Saraceni, jak wszyscy inni, tyle że bardziej obłąkani. Widziałeś zresztą kiedy jakiegoś normalnego?

Edward spojrział na niego bez słowa. W głębi hełmu błyszczały jasne oczy.

No tak, Vincent wzruszył w duchu ramionami, przebywał u nich w niewoli tak długo, że na pewno przyzwyczał się do dziwactw niewiernych. Dopiero co przecież powrócił...

De Rionne wciąż zapominał, że jego przyjaciel nie jest już tym samym dawnym Edwardem, hulaką i swawolnikiem, jakiego znał i lubił. Zachowuje się, jakby na świecie miał przebywać tylko przez chwilę. Jakby wyrwał się z piekła i miał tam wkrótce powrócić.

Potrząsnął głową.

– Nigdy nie spotkałem się – rzekł – ze zwyczajem zabierania zwłok zabitych wrogów, szczególnie na pustyni. Swoich może tak, ale obcych? A ty?

Swansen nie odpowiedział. Zsiadł z konia, zdjął z głowy zawój, hełm zawiesił na łąku siodła. Uważnie przyglądał się krwawym bryzgom, potem zatoczył duże koło, uważnie patrząc pod nogi. – Jest jeszcze coś dziwniejszego niż brak trupów – oświadczył po powrocie.

– Co odkryłeś?

– Właśnie nic. Dalej nie ma żadnych śladów. Urywają się w tym miejscu. Jeszcze dziwniejsze, że nie ma tropów pościgu, zupełnie jakby Saraceni go zaniechali, nie ma też śladów bitwy... Jedyne co jest, to rozchodzące się bryzgi krwi. Tak jakby ktoś próbował wymalować posoką gwiazdę na piasku. Albo jakby kapała gdzieś z wysoka, układając się w ten sposób. Trzeba to jak najszybciej sprawdzić.

Vincent poczuł przeszywający go mimo upału dreszcz. – To dość niepokojące, delikatnie rzecz ujmując. Dlatego radziłbym zaczekać na resztę oddziału, nie wiadomo przecież... W końcu mieliśmy zbadać, co zaszło i jeśli się da, przyjść tamtym w sukurs, a nie dać się wyrznąć jak cieleta.

– Zostań tutaj – przerwał mu Edward. – Ja rozejrzę się po okolicy. Przypuszczam, że nie ma już komu iść na odsiecz.

– Chcesz, jedź. Ale to może być niebezpieczne.

– Życie jest niebezpieczne. – Swansen wskoczył w siodło i nie oglądając się ruszył przed siebie. – Kiedy pozostali dotrą, nie ruszajcie się stąd! – zawołał jeszcze, zanim puścił wierzchowca w galop.

Vincent został sam. Z odrazą rozglądał się po pustyni. Co w niej tak urzeka niektórych, iż nie chcą wracać do ojczyzny? Niby nienawidzą bezkresnych połaci piasku, a w istocie żyć bez nich nie mogą. Gdyby jemu przesłano wieść, że ma darowane winy i może wracać do kraju, nie zastanawiałby się ani chwili. Westchnął przeciągle, zerknął z niechęcią w stronę słońca i znowu poprawił materiał na hełmie. Co za kraj! Za dnia upał, że jaja w piachu można zagotować, zaś w nocy przejmujący mróz. Jak w ogóle jakiegokolwiek stworzenia mogą przeżyć w tych warunkach. On bez pomocy umarłby pewnie pierwszego dnia. Nie tylko zresztą on. Radzili sobie wyłącznie dzięki temu, iż Edward z niesamowitym wyczuciem potrafił odnaleźć oazy, a w ostateczności

dostrzec, gdzie w piachu znajdują się wodne wysięki, z których można napić się za pomocą trzciny rurki. Zupełnie jakby wychował się na pustyni, a nie w chłodnym fiordzie. Jakże zmienił się przez te parę lat.

Rozmyślenia przerwał tętent kopyt i okrzyk.

– Hej, de Rionne, a gdzie podziałeś Swansena? Grupa jeźdźców osadziła konie wokół de Rionne. Tym, który wołał, był Jan de Morges. Teraz podjechał powoli bliżej, wpatrując się szeroko otwartymi oczyma w ślady na piachu.

– Co to jest?

– Nie widzisz? Krew.

Jan zeskoczył z konia, zbliżył się do najbliższej czarnej smugi i wyciągnął dłoń.

– Ja bym tego nie ruszał – powstrzymał go głos Vincenta.

– Dlaczego?

– Nie wiem – de Rionne wzruszył ramionami – ale dałbym spokój. Niedobrze jest ruszać posokę niewiadomego pochodzenia. Pamiętaj, gdzie jesteśmy.

De Morges spojrział na niego wyzywająco i dotknął krwawego rozprysku. Potem potarł palce. – Krew jak krew – oznajmił. – Czerniała już i zaschła, ale to tylko krew? Gdzie Edward?

– Pojechał na rekonesans. Pewnie zatoczy spore koło, zanim wróci. Brak jest śladów prowadzących gdziekolwiek z tego miejsca. Postanowił to sprawdzić. Mamy na niego poczekać.

– Jak to brak śladów?! – odezwał się poirytowanym głosem Konrad von Wallheim. – Rozpłynęli się w powietrzu, czy jak? Poza tym powinien poczekać i zasięgnąć naszego zdania w tej kwestii. Czekać na mnie, powiedział? – drwiąco naśladował głos Edwarda. – Prawie jak udzielny książę.

Vincent nie zdołał dotąd polubić nadętego hrabiego. Zdaje się, że nikt go za bardzo nie lubił, nawet własna żona, która z ulgą wypchnęła go do Palestyny, kiedy tylko nadarzyła się okazja.

– To od zasięgania zdania w każdej kwestii – odparł – nasza krucjata tak się rozwlekła!

Nie w ostatku dzięki twojemu księciu. Robi wszystko, żeby przejąć dowodzenie, tyle że nadaje się do tego jak...

– Panowie, proszę o spokój – de Morges zagroził drogę Wallheimowi, który szykował się czynnie bronić honoru swego pana. – Będziecie się kłócić i bić po powrocie. Tutaj nie jesteśmy sługami naszych jaśnie poróżnionych królów i książąt. Przypominam, iż przed wyruszeniem zaprzysięgliśmy sobie pokój i braterstwo. Udawajcie przynajmniej, że was to przyrzeczenie w ogóle coś obchodzi.

Konrad wycofał się, łypiąc złowrogo na Vincenta. Nieznośny upał bardzo niekorzystnie działał na zmysły. Przy palącym słońcu o wiele łatwiej o wybuch złości niż w chłodnym cieniu karczmy.

– Taak – rzucił Piotr z Telford. – Wystarczy, że panowie baronowie na chwilę zejda się w jednym miejscu i już zaczynają się zachowywać zupełnie jak ich władcy.

– Ty, Piotrze, nie dolewaj oliwy do ognia! – de Morges pogroził pięścią. – Ciesz się, że twój Ryszard jest taki święty...

– Święty to on nie jest, nie drwij sobie – uśmiechnął się Telford. – Powiem więcej, kiedy tak już rozmawiamy. Straszna z niego świnia i, jak powiadają, poniekąd pederasta. Ale wodzem jest przednim i gdyby nie on, Saladyn dawno zjadłby całe pozostałe tałatajstwo.

– Kogo nazywasz tałatajstwem?! – poderwał się Kurt von Landberg. – A nasz cesarz świętej pamięci to co, psu wypadł spod ogona?

– *Pax, panowie, pax!* – wrzasnął de Morges. – *Czy wy naprawdę nie potraficie normalnie ze sobą rozmawiać?! Toż łatwiej wam się było porozumieć, gdyśmy gnili w wieży.*

Powietrze poza jej murami tak źle na was działa? A ty, Piotrze, zamknąłbyś lepiej twarz, żeby ci jej słońce nazbyt nie wysuszyło, miast obrażać wszystkich dookoła.

– Nie pozwolę się znieważać byle, byle... – Von Landberg nie mógł znaleźć słów.

Telford czekał na jego odpowiedź z prowokującym uśmiechem.

– Wiecie, czym górują nad krzyżowcami Saraceni? – rozległ się cichy głos. To Edward wrócił ze zwiadu. Spojrzeli na niego, jakby zobaczyli ducha.

– Jak to zrobiłeś, że znowu cię nie zauważyliśmy? – De Morges nie krył podejrzliwości. – Wyrastasz zawsze jak spod ziemi.

– To nietrudne – roześmiał się Edward. – Tokujecie niczym stado głuszców, niewierni mają wiele wad, ale kiedy potrzeba, potrafią zachowywać się tak cicho i czujnie, że nikt nie jest w stanie ich podejść.

– A ty co tak wychwalasz pogan? – Piotr z Telford skrzywił się z niechęcią. – Możesz przeszedł na islam, będąc w ichniej niewoli?

Swansen nie odpowiedział, spojrzał tylko przeciągle na Anglika. Ten zmieszał się, ale nie opuścił wzroku.

– Mamy większy problem niż wasze swary – oznajmił po chwili Edward. – Znalazłem tych, których szukamy. Tam – wskazał ręką na zachód. – Przynajmniej sędzę, że to oni, bo doprawdy trudno stwierdzić z całą pewnością. Ktoś lub coś zawlokło ich tam i zważyło na kupę. Nie ma tego zresztą wiele.

Młodziutki graf Werner von Watzenrode wymiotował prosto na koński kark. Pozostali patrzyli z mieszaniną odrazy i przerażenia na walające się po ziemi szczątki. W upale nieznośny odór przyprawiał o mdłości nawet nawykłych do takich woni rycerzy.

– Z kości został wyssany szpik – odezwał się Edward. – Sprawdziłem. Czaszki rozłupane, nie ma mózgow, a reszta... Jak sami widzicie, zostali rozsiekani na drobne kawałki. I te wnętrzości...

– Na rany Chrystusa! – jęknął Piotr Telford. – Toż wszystko rozwłózione, jakby ktoś się tarzał we flakach! – Wskazał pokrwawione resztki ubrań i pancerzy. – Wygląda na to, że są tutaj nie tylko nasi rycerze... To mi wygląda na saraceński hełm, to na burnus. I to... i to... – wskazywał po kolei. – Wszystko razem pomieszane.

– Właśnie – Wallheim zasłonił twarz przed przykrym podmuchem wiatru. – To niepokoi mnie najbardziej. Dotąd...

– Będziemy tak stać czy ich pochowamy? – przerwał Vincent.

– Razem z Saracenami? – oburzył się Konrad. – Toż to by było...

– A co? – przerwał znowu de Rionne. – Jak chcesz odróżnić wszystkie kości? A pochówek Kościół nakazuje! Zresztą, czy to hańba pochować wroga? Ksiądz nawet mówi: „Miłujcie nieprzyjacioły swoje...”. Diabli – zaklął nagle. – Ale też co ich tak poszatkowało i pożarło? Inni Saraceni?!

– Nie wierzę – stwierdził de Morges. – Podłe to plemię, ale jednak nie są trupojadami!

Nigdy dotąd tego nie robili.

– Tym bardziej, że jak widać sami ich wojownicy padli ofiarą tego, kto to uczynił – poparł go Piotr.

– Zdałoby się zebrać szczątki, pokazać królowi i biskupowi – odezwał się nieśmiało Werner. – A i pogrzebać w poświęconej ziemi, nie zaś tutaj...

– Milcz, bratanku – ofuknął go Konrad. – Mądrzejsi od ciebie mogą zabierać głos, nie ty, gołowąsie. Weź lepiej jakąś szmatę i przetrzyj konia. Jak wymiocina zaschnie, niczym jej nie ruszysz.

Werner zamilkł spłoszony, ale niespodziewanie poparł go Edward: – Graf ma rację, Konradzie – machnięciem ręki uciszył protesty. – Jest młody, ale rozsądku nie można mu odmówić. Trzeba to pokazać, tylko nie od razu naszym wodzom, ale przede wszystkim medykom od szpitalników. Niechby powiedzieli, co o tym myślą.

– Mamy się zatem wlec przez pustynię z tym całym smrodem, żeby ucieszyć paru konowałów? – Von Landberg splunął. – Ja sobie ich na koń włożyć nie dam.

– Nie marnuj wody – warknął Jan de Morges, wskazując na błyskawicznie parującą plwocinę. – Edward dobrze mówi. Nie chcesz brać trucheł, nikt cię nie zmusza. Ale nie nazywaj smrodem trupów chrześcijańskich, by i ciebie ktoś tak nie nazwał.

Von Landberg ze zdziwieniem spojrział na Jana, który zazwyczaj był bardzo spokojny i mimo szorstkiego sposobu bycia mało skory do zwady. Czym go tak uraził? – Dobrze już – mruknął ugodowo.

„Wielkie to szczęście”, rzekł kiedyś w przytomności Kurta jeden z angielskich rycerzy, który pojedynkował się z Janem, „że Bóg dał takiemu siłaczowi i fechmistrzowi w miarę łagodne usposobienie. Inaczej byście mnie już nie oglądali. Mocarny jest bodaj jak sam król Ryszard”.

Von Landberg nie zamierzał sprawdzać granic cierpliwości Jana. Na pewno nie teraz.

Rozdział XVII

Montferrat upił mały łyk z napełnionego po brzegi pucharu. Na jego twarzy pojawił się niechętny grymas. – Może uznasz mnie za zupełnego profana, Balianie – zwrócił się do przyjaciela – jednakże uważam, że wina z Francji nie umywają się nawet do tych, które wytwarzamy sami lub sprowadzamy z Cypru.

Balian się uśmiechnął. – Nie mów tego nigdy w towarzystwie francuskich krzyżowców. Mogłoby to zaognić nasze i tak napięte stosunki. Oni gotowi oddać życie za swoje trunki. Ja, oczywiście, zgadzam się z tobą w zupełności. Tyle posmaku słonecznego światła, ile jest w naszych winach, nie znajdziesz w żadnych innych. Muszę ci się jednakowoż przyznać, iż od czasu do czasu lubię skosztować czegoś nowego. Szczególnie przypadły mi do gustu czerwone wina niemieckie. Szkoda, że trudno je obecnie dostać.

– A ja pozostanę przy swoim, nie masz jak wschodnie winorośle. A przy tym...

Przerwało mu wejście pokojowca.

– Czego chcesz, Gobert? Przecież nakazałem, by nam nie przeszkadzać?

– Wybaczcie, panie. Przybył posłaniec od biskupa Beauvais. Ponoć sprawa jest bardzo ważna.

– Daj go tutaj.

Gobert zniknął. Po chwili pojawił się zapowiedziany człowiek.

– Ach, to ty, Janie. Co ważnego masz do przekazania?

– Jego eminencja prosi was, szlachetny panie, o jak najrychlejsze przybycie.

– Stało się coś? – zaniepokoił się Konrad.

– Nie, panie, nic złego. Przyszło do biskupa dwóch Saracenów prosić o chrzest.

Pan z Montferratu zmarszczył brwi. – Niech ich zatem ochrzci! Czy to pierwszy albo ostatni raz? Cóż mi do tego?

– Jego eminencja bardzo nalega, abyście niezwłocznie się u niego zjawili, panie.

– Dlaczego?

– Tego mi nie wyjawiał.

– Zgoda – westchnął Konrad. – Wracaj i powiedz, że niebawem przyjdę razem z panem Balianem.

– Pomyślałem, że wybuchł u ciebie pożar, Filipie – zawołał od progu Montferrat – albo dościgło cię jakieś inne nieszczęście, skoro tak pilnie życzyłeś sobie mnie ujrzeć!

Biskup rozłożył ręce w szerokim geście. – Witaj, przyjacielu. I ciebie chętnie widzę, drogi Balianie. Nie miejcie do mnie pretensji o to niewczesne wezwanie. Gdy jednak wysłuchacie sprawy, zrozumiecie, co mną powodowało – wskazał dłonią środek izby, gdzie stało dwóch ludzi w strojach, w jakich zwykli chodzić nomadzi. Widać było w ich twarzach zmęczenie.

– Ci dwaj niewierni odbyli bardzo długą drogę, aby przybyć do mnie z prośbą o chrzest...

– To wiem – wpadł mu w słowo Konrad. – Jednakże nie zdarza się to aż tak rzadko, aby mnie zawiadamiać o każdym takim wypadku.

– Usiądźcie – biskup gestem powstrzymał dalsze słowa przyjaciela. – Wysłuchajcie tego, co mają do powiedzenia nasi goście. Jak wiesz, z reguły o chrzest proszą muzułmańscy mieszkańcy naszych miast, a czynią to bądź ze strachu, bądź dla uzyskania korzyści. Ci dwaj natomiast wydają się szczerze nawróceni, powiadają zaś zadziwiające rzeczy o okolicznościach tego nawrócenia.

– Sami niech mówią – wtrącił Balian. – Znają naszą mowę?

– Znają. Może gadają trochę śmiesznie, jak to Saraceni, ale znają.

Konrad spojrział surowo na Arabów. – Mówcie.

Obaj skłonili mu się nisko. Odezwał się wyższy: – Moje imię Muhammad ibn Fahr, zaś towarzyszy mi brat mój, Abdul. Byliśmy niegdyś wojownikami w wojsku Saladyna.

Stawaliśmy przeciwko wam pod Hittinem i jeszcze wcześniej. Zapewne nadal służylibyśmy sułtanowi, gdyby Abdula nie spotkało nieszczęście... – zamilkł na chwilę.

Konrad z Balianem niecierpliwie oczekiwali na dalszy ciąg opowieści. Po chwili Saracen podjął: – Zdarzyło się tak, iż na mego brata Bóg zesłał szaleństwo. Musiał odejść ze służby naszego emira, a mnie zezwolono na porzucenie jej, bym mógł się nim zająć, jako że Abdul nie ma własnej rodziny ani nikogo bliskiego, kto by się podjął opieki, mnie wyjąwszy.

Zamieszkaliśmy pod miastem Ajla, wiodąc żywot ubogi i trudny. Nie będę się wam, szlachetni panowie, uskarżał. Tyle powiem, że pewnego dnia zawitał do nas pielgrzym.

Zmierzał do Jerozolimy, do grobu Chrystusa...

– Przez Ajlę? – spytał z niedowierzaniem Balian. – Toż to jak w powiedzeniu: „Do piekiel wstąpił, po drodze mu było!”. Nie łiesz aby, człowieku?

– Słuchaj dalej – biskup niecierpliwie strzepnął dłonią.

– Także nas to zdziwiło – ciągnął Muhammad – gdyż od tamtej strony, od Egiptu, czasem przychodzą chrześcijanie, ale ci, których wy zwiecie Koptami, zaś nasz gość był bez wątpienia Frankiem. Tyle wam rzeknę, iż od pierwszej chwili jakby rzucił na mnie urok!

Wszak powinienem go wygnać spod swego dachu, a ja miast tego nakarmiłem go,

napiłem i dałem mu nocleg.

Konrad uważnie przyglądał się mówiącemu. W jego twarzy było coś dziwnie znajomego, z oczu bił żarliwy blask. Gdzieś już widział takie spojrzenie. Tylko gdzie?

– Zaczął nauczać. Właściwie od razu winienem udać się do kadiego, donieść, by przysłał strażę, albo samemu nawet doprowadzić pielgrzyma przed jego oblicze. Nie mogłem jednak. Było coś zniewalającego w owym człeku. Słuchałem jego nauk wpierw niezbyt chętnie, potem nagle zrozumiałem, że mówi do mnie o rzeczach, które całe życie drzemały w głębi mej duszy. Nie to jednak mnie przekonało ostatecznie – zerknął w bok, tam gdzie stał Abdul. – Spójrzcie sami, szlachetnie urodzeni. Mój szalony brat odzyskał zmysły. Nie stało się to w jednej chwili, nie został uzdrowiony jednym gestem czy słowem. Jednakże i on słuchał nauk pielgrzyma. Najpierw nic nie zauważyłem, lecz po jakimś czasie zacząłem dostrzegać, jak uzdrawiający wpływ ma na niego nasz gość!

– Słyszycie? – zawołał biskup Beauvais. – Dotknął go palec Boży.

– Lecz jeśli chcieliście chrztu – rzekł podejrzliwie Konrad – mogliście poprosić o tę przysługę tamtego człowieka.

– Musielibyśmy wtedy tak czy inaczej uchodzić z Ajli. Wiecie wszak, że muzułmanom pod karą gardła nie wolno porzucać wiary Proroka.

– Rozumiem. To bardzo poruszająca historia, ale dlaczego przybyliście właśnie tutaj?

Na twarzy Saracena odmalowała się przykrość. – Wiem, że nie ufasz do końca moim słowom, panie. Mnie samemu czasem trudno uwierzyć, jak szybko pielgrzym przekonał nas do nowej wiary... Zapewne nie zawracalibyśmy głowy tak ważnym osobom, lecz ostatecznie życzenie naszego gościa było wyraźne...

– Ostateczne życzenie? – Balian wyduł wargi. – Nie żyje?

– Zapewne już nie żyje. Został pojmany przez strażników, kiedy udał się na bazar poczynić zakupy na dalszą drogę, nie wiem, pewnie czuł zbliżające się nieszczęście, bo dzień wcześniej rzekł nam, byśmy, gdy jego zabraknie, a zechcemy przyjąć chrzest, udali się tutaj, opowiedzieli swoją historię i poprosili, aby – jeśli to możliwe – naszym chrzestnym ojcem został sam król Jerozolimy...

Konrad poderwał się.

– Nie masz go! Korona Królestwa Jerozolimskiego pozostaje w skarbcu! Muhammad patrzył spokojnie.

– Nasz pielgrzym twierdził, że według proroctwa niejakiego Joachima niebawem król nadejdzie – odparł. – Dlatego przyszliśmy po radę do biskupa. A on rzekł nam, że to wy, markizie Montferrat, macie największą możliwość zostania królem, a jest to tylko kwestia dni. – Padł na kolana, pociągnął za sobą brata. – Dlatego błagamy cię, byś pomógł nam wypełnić ostatnią wolę pielgrzyma! Wszak sam wiesz, jaki to ciężki grzech zlekceważyć takie życzenie!

Montferrat zaczął przechadzać się po komnacie. – Joachimowe proroctwo... Kto by

pomyślał, że znają je nawet w tak odległych stronach... Lecz dlaczego akurat król ma wam asystować przy chrzcie? Dlaczego pielgrzym tak sobie życzył?

– Nie wiem, panie. – Muhammad wodził za nim wzrokiem. – Może chciał, by jego historię poznał ktoś znaczny? Ktoś, kto ją przekaże innym i utwali dla przyszłych pokoleń.

Konrad zatrzymał się przed klęczącymi. – Wstańcie. Zgadzam się, będę chrzestnym ojcem jednego z was. Drugi dostanie mojego druha, Baliana z Ibelinu.

Saraceni rzucili mu się do kolan. – Dzięki wam, szlachetny panie!

– Wstańcie, powtarzam! Jak zwał się ten pielgrzym? Jakiego był rodu?

Muhammad zwrócił na niego swe gorejące oczy. – Kazał się zwać Ubogim. Nie chciał nam zdradzić swego miana. Raz tylko słyszałem, jak modlił się głośno, kiedy myślał, że jest sam w chacie. Rzekł wtedy: „I miej w opiece sługę swego, Gilberta”.

Konrad skinął głową.

– Dobrze. Zostawcie nas teraz samych.

– Zgłoście się do mnie jutro – powiedział biskup. – Wyznaczę termin chrztu.

– Wierzysz w tę opowieść? – zapytał Balian po chwili milczenia.

Montferrat wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Brzmi tak nieprawdopodobnie, że może być prawdziwa.

– A ja uważam, że Saraceni mówili prawdę – odezwał się biskup. – Widzieliście ogień w oczach tego człowieka?

– Widzieliśmy, Filipie. Jednakże taki ogień może zwiastować nie tylko żarliwość wiary.

– Ty jak zawsze wątpisz we wszystko. Dlaczego w takim razie wyraziłeś zgodę, by im służyć przy chrzcie?

Konrad parsknął przez nos. – Tylko dlatego, że wątpię we wszystko, doszedłem do tego, kim jestem i kim będę. Gdybym żywił zaufanie do każdego, już dawno miałbym ze dwie piędzi ziemi nad sobą albo moje kości białaby wśród piasków. Chcą się Saraceni ochrzcić, co mi to szkodzi? Wybrali mnie, to może i dobrze. Trzeba tylko odpowiednio nagłośnić sprawę. Zawsze to będzie świadczyło na moją korzyść, zatka gęby niechętnym.

Skoro do mnie, a nie do kogo innego przychodzą poganie po nawrócenie, to niechybny znak pomazania przez Najwyższego – roześmiał się. – Lusignanów zaleje nagła krew!

– Tak – zawtórował mu Balian. – Gwidon pewnie zje ze złości swoją pustą sakwę. Oj, przyjacielu, zasłużyłeś sobie solennie na jego nienawiść.

Rozdział XVIII

Brat Gustavus spojrzął znad kupy kości na wyczekujących rycerzy.

– Jestem w służbie zakonu joannitów od lat dwudziestu z górą, a przez cały ten czas w Ziemi Świętej. Widziałem rany zadawane przez wojowników sobie nawzajem, widziałem ślady najwymyślniejszych tortur, oglądałem szczątki zabitych i nadgryzionych przez lwy czy inne dzikie zwierzęta. Ale żeby coś takiego...

– Potrafisz powiedzieć, bracie, co mogło ich zabić? Gustavus wzruszył ramionami.

Ujął leżącą na wierzchu dłoń z fragmentem przedramienia. – Doprawdy nie wiem – oznajmił po chwili, ponuro się w nią wpatrując. – To nie wygląda na żadne zwierzę, które bym znał.

Ale mówicie, że wnętrzności były rozwleczone?

– Jakby ktoś w nich się tarzał – przyświadczył Vincent.

– Czy to jakaś wskazówka?

– Właściwie nie – Gustavus zamyślił się na chwilę. – Chociaż, z drugiej strony...

Jestem tutaj już dwadzieścia lat i wiele widziałem...

– To już słyszeliśmy – przerwał mu Telford.

– I wiele widziałem – powtórzył z naciskiem lekarz – a także wiele słyszałem. Wśród pogan powszechne są wierzenia w duchy i demony, przez nich nazywane...

– Dżinami czy tam innymi iblisami – wpadł mu w słowo Vincent. – Wiemy, zakonniku, niektórzy z nas też przebywają tutaj ładnych parę lat.

– Między tymi dżinami są złe i dobre – ciągnął niezrażony Gustavus – a Iblis czy Azazel jest władcą tych złych. Ale są jeszcze upadłe istoty, tak zwane ghule, żywiące się ludzkim mięsem, ponoć bardzo silne, o wielkich, pełnych zębów gębach... Jednakże z waszych słów wynika, że coś porwało ludzi i przeniosło kawał drogi. Ghule nie są do tego zdolne. To musiało być co innego... Coś więcej niż sam ghul...

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał podejrzliwie Vincent.

– Niech Bóg uchowa, żebym wierzył w pogańskie gusła – lekarz przeżegnał się. – Jednak – zniżył głos do szeptu – nie jesteście pierwszymi, którzy przywożą podobne znalezisko.

– Co?!

– I to odkryte w podobnych okolicznościach – na ziemi krew, bryzgi dokoła w kształcie gwiazdy czy promieni, jakby krew kapłała z bardzo wysoka, zupełny brak innych śladów. I zwał członków gdzieś dalej.

– Myślałem, że to jednak Saraceni...

– Tego nie uczynił żaden człowiek – pokręcił głową Gustavus. – Stawiam na to moją reputację najbieglejszego medyka w zakonie.

– Więc kto lub co ich pożarło?

Lekarz rozłożył ręce w bezradnym geście.

Dwie ladacznice z rozdzierającym wrzaskiem tarzały się po ziemi, targając się bez litości za włosy. Pomiędzy kramami wzbijał się wzniecony awanturą kurz. Nadbiegający strażnicy przystanęli, chłonąc z zachwytem widowisko. Chcieli dobrze się napatrzeć, zanim aresztują rozżarte kobiety.

– Najgorsza jest awantura, drodzy panowie – odezwał się patrzący z niesmakiem na zajście Jan de Morges. – Jak publicznie na rynku jedna kurwa powie drugiej: „Ty kurwo”. No już – krzyknął na pachołków. – Ruszyć się, psie wiary!

Strażnicy z niechęcią przerwali spektakl. Wrzaski obu aresztowanych było słychać jeszcze przez długi czas. Obrzucały siebie nawzajem i strażników takimi słowami, że de Morges kręcił z podziwem głową. – Żeby też byle dziwka klęła soczyściej od pasowanego rycerza – westchnął. – Świat w istocie schodzi na psy... Toż nawet mój świętej pamięci dziad nie potrafił z siebie wydobyć takich tonów, chociaż jak powiadają, dawniejsi ludzie bardziej bywali krzepcy i w rękach, i w gębie. A tu, drodzy moi, mamy żywy obraz naszych czasów.

Tylko ubolewać, powiadam wam, tylko ubolewać.

– Teraz musimy omówić sprawę z królem – przerwał jego rozważania Edward. – To wszystko wymaga wyjaśnienia.

– Z którym królem? – spytał uszczypliwym tonem Konrad. – Bo mamy pewien, chociaż niewielki, przyznaję, wybór. Chyba nie chcesz udać się do pana z Montferratu? Tym bardziej, że musielibyśmy przejechać kawał kraju.

– Dlaczego nie? – spytał wyzywająco Vincent. – Jeśli rada ma być dobra, warto nadłożyć drogi. To nawet twój imiennik. Czy czegoś mu brakuje?

– Dałbyś spokój – odparł von Wallheim. – Nie czas bronić wątpliwego honoru przyszłego króla Jerozolimy, tym bardziej, że na razie jest jeszcze tylko markizem.

– No tak – sapnął Jan. – Mogłem się tego po was spodziewać. Chcecie iść z tym do Ryszarda, prawda?

– Przecież to on właśnie nas wysłał – Edward machnął ręką, jakby odpędzał się od natrętnej muchy. – Pewnie że możemy każdy zawiadomić któregoś z naszych książąt, zgodnie z upodobaniem albo wręcz zdając się na los. Jednakże według mnie im mniej ludzi będzie o tym wiedziało, tym lepiej. Wyobrażacie sobie, jakie spory i spekulacje spowodują nasze doniesienia? Już tam każdy z nich postara się to wykorzystać po

swojemu. A ucierpi na tym, jak zwykle, proste rycerstwo. Powtarzam raz jeszcze: Ryszard nas wysłał, z nim winniśmy się naradzić.

– Wysłał to wysłał, wykonaliśmy zadanie, czyż nie? Strasznie dużo zacząłeś nagle mówić, Swansen, milczku jeden. Jakoś mi się to nie podoba. Bez obawy, już tam Telford przekaże mu, co trzeba. A sprawa zdaje się poważniejsza, niż można było sądzić na początku.

Ja Ryszarda nie lubię, nie będę tego ukrywał i iść do niego nie chcę.

– Czemu? – Milczący dotąd Werner von Watzenrode odważył się zabrać głos. – To wielki wojownik i znakomity wódz, a przy tym...

– Tyle – wpadł mu w słowo Jan – że z rozumem u niego bywa nie najlepiej. Zakuty ma łeb jak rzadko, prosto mówiąc. Ostatnio, jak powiadają, wpadł na pomysł, by rozstrzygnąć całą wojnę pojedynkiem z Saladynem... Głupie, prawda? Dobrze, że baronowie się sprzeciwili, bo mielibyśmy może niezgorszą, ale bardzo ryzykowną zabawę. Wyobrażacie sobie, co by się działo, gdyby Ryszard dał sobie obciąć w pojedynku swoją durną głowę?

– Dobrze jednakże, że nie ma tu z nami Telforda – zauważył cierpko Edward. – Po twoich słowach mielibyśmy pojedynek zaraz i na miejscu, jak nic. Sam różnie mówi o swoim panu, ale innym lżyć go nie pozwala, nie wiem jak wy, aleja udam się do Ryszarda właśnie.

To, według mnie przynajmniej, jedyny słuszny wybór w sytuacji, kiedy nie mamy właściwie żadnego wyboru. Chyba iż ktoś ma inną propozycję. Ale rozsądną, a nie taką, żeby znowu się pokłócić.

Odpowiedziało mu ponure milczenie.

– No właśnie. Tak przypuszczałem. Wy zróbcie, jak chcecie – mruknął w stronę Konrada i Francuzów, a potem zwrócił się do Wenera: – Bądź łaskaw zawiadomić Kurta. Ja się rozmówię z Piotrem.

– Witam drogich rycerzy i przyjaciół – Ryszard wydawał się być w doskonałym humorze. – Rad jestem, że właśnie mnie postanowiliście obdarzyć zaufaniem, choć zapewne poniektórych kusilo, by pominąć tego, przez kogo spędziliście ładnych kilka dni w lochu.

Trzeba było się przemóc, nieprawdaż? Wiem już, wiem doskonale, z czym przychodzicie.

– Telford ma stanowczo za długi jęzor – warknął Konrad von Wallheim. – Stanowczo.

Trzeba by mu go przy okazji nieco przykrócić.

Nieoczekiwanie Lwie Serce uderzył go w plecy z takim rozmachem, że hrabiemu zabrakło tchu.

– Nie bocz się na niego, przyjacielu. Oszczędził wam opowiadania wszystkiego i niepotrzebnej straty czasu. Zresztą – twarz mu zmierzchła – i tak nie było to dla mnie

zadnym zaskoczeniem. Chodźcie za mną w podziemia, przedstawię wam kogoś.

W miarę jak schodzili w głąb lochów, odczuwali coraz większy niepokój.

– Kogo takiego chcesz nam pokazać w tych cuchnących katakumbach, królu? – spytał nieufnie Kurt von Landberg. – Co to za postać?

– Cierpliwości, drodzy panowie, zaraz będziemy na miejscu.

Na samym końcu korytarza strażnik otworzył żelazne drzwiczki. Ryszard wszedł pierwszy, tuż za nim w niewielkiej celi stłoczyli się pozostali.

– Co za smród! – de Morges zatkał nos.

– W końcu to lochy – wzruszył ramionami Ryszard. – Czego innego można się spodziewać? A tutaj jest Michał, giermek zaginionego niedawno Edwina de Champes – wskazał na ludzki strzępek skulony na słomie w kącie.

– Ponoć obaj zaginęli! – Vincent był zdumiony. – Porwani przez Saracenów.

Ryszard pokiwał głową. – Tak zostało ogłoszone, jednak... Posłuchajcie, co ma do powiedzenia Michał.

Zbliżył się do leżącego, pochylił nad nim. – Gdzie jest twój pan, Michale? – zapytał łagodnie.

Więzień podskoczył, zerwał się na równe nogi i zaczął trząść niczym w febrze. – Porwany... – wychrypiał – Porwany i pożarty... – bełkotał przez chwilę niezrozumiale, i nagle oświadczył czystym głosem: – Nie zabiłem swego pana, przysięgam na Boga i Przenajświętszą... – znowu niezrozumiały bełkot, po czym wychrypiał: – Spadł na nas demon straszny i porwał w powietrze... Ptak ognisty... Jąłem się miotać w jego objęciach i tyle pamiętam, że wypadł mu z rozżarzonych pazurów i uderzył o zie... – przewrócił białkami oczu, zrobił się sztywny i upadł ciężko na plecy.

– Niczego więcej się od niego nie dowiemy – Ryszard patrzył z niechęcią na więźnia. – Ścigali arabskiego szpiega, który podkradł się do obozu – wyjaśnił. – Michał twierdzi, że o parę staj drogi zaatakował ich demon. Opis jak ułał pasuje do ifryta, w którym poganie upatrują jednego ze sług diabła pustyni. Zresztą ponoć ifryt porwał i ścigającego i ściganego.

To by się zgadzało, bo na miejscu znaleziono kości dwóch ludzi oraz strzępy arabskiego burnusa. Najsroźsze tortury, jakim ten tutaj został poddany jako podejrzany o udział w zamordowaniu Edwina, nie skłoniły go do zmiany zeznań. A zapewniam was, iż moi oprawcy biegli są w swym rzemiośle nad podziw.

– Wierzysz, panie, w majaczenia tego szaleńca? – von Wallheim skrzywił się. – Toż to do niczego niepodobne brednie.

Ryszard przyjrzał się uważnie hrabiemu. – W Ziemi Świętej większość czasu przebywamy na zielonych pasmach ziemi obiecanej – odpowiedział powoli – żyznej i przyjaznej. Jednakże tak naprawdę znajdujemy się wśród pustyni. Cóż o niej wiemy?

W istocie rzeczy nic. A co możemy powiedzieć o zamieszkujących ją stworzeniach? Też niewiele. Mówią o mnie, że mam zakuty łeb, wiem o tym. Może i prawda. Ale na

tyle zostaje w nim rozumu, by nie odrzucać wszystkiego, czego nie potrafię pojąć. Czy szatan nie może przybrać dowolnej postaci? Czyż nie może wcielić się w istotę z bajed pogańskich? Czyż Bóg nie może wystawiać naszej wiary na próbę wszelkimi sposobami? To nie pierwszy czy drugi podobny przypadek. Ledwo udaje się utrzymać tajemnicę. Toż by było, gdyby rycerstwo wpadło w panikę! Koniec krucjaty, ot co! Dlatego sprawę trzeba dokładnie zbadać.

– Jak, miłociwy panie? Nie ma żadnych wskazówek. Ryszard wzruszył ramionami.
– Wskazówki należy znaleźć. Trzeba jechać na pustynię i szukać do skutku. Nic mądrzejszego nie przychodzi mi do głowy. A wam, panowie? To będzie bardzo poufna misja. Ci, którzy się jej podejmą, mogą liczyć na królewską wdzięczność – uśmiechnął się. – Zaś wdzięczność królów to wielka rzecz. A teraz żegnam was. Przygotujcie się do drogi. – Uważnie przyjrzał się Edwardowi, który ze zmarszczonym czołem obserwował władcę, stojąc bez ruchu, chociaż pozostali tłoczyli się już w drzwiach. – Przyjdź do mnie wieczorem – powiedział cicho. – Jeśli się nie mylę, masz mi coś do powiedzenia. Swansen bez słowa skinął głową.

Rozdział XIX

– Signor Bartolomeo, wybaczcie, panie, że przeszkadzam, ale pan Lorenzo czeka na posłuchanie – lokaj stanął w kornej postawie przy drzwiach.

– Prosić, durniu! Na co jeszcze czekasz? Prosić! Wszedł młody mężczyzna o żywych ciemnych oczach i lekko nalanej twarzy.

– Witaj, don Bartolomeo.

– Bądź pozdrowiony, Lorenzo. Z czym przychodzisz? Przybyły rozejrzał się uważnie, zniżył głos: – Był u mnie człowiek... Wiesz, signor, od kogo?

– Możesz mówić śmiało. W tym domu ściany są głuche, a mury grube. Był u ciebie asasyn od Starca. Czego chciał?

– Są już gotowi. Czekają tylko na nasz znak. Bartolomeo wyprostował się, oparł wygodnie. – Kiedy masz się z nim zobaczyć ponownie?

– Jutro.

– Doskonale, niech robią swoje, gdy tylko nadarzy się okazja. I niech ten zabójca przekaże jeszcze raz swemu panu, że jeżeli potem chociaż najmniejszy cień podejrzenia padnie na nas, może pożegnać się z resztą zapłaty.

– To chyba niepotrzebne, don Bartolomeo, ośmielę się zauważyć. To może go tylko rozdrażnić. Sinan wie przecież, jak to trzeba rozegrać. Nie pierwszy raz świadczy podobne usługi, wszak właśnie z tego się jego sekta utrzymuje.

– Może masz rację w tej sprawie, Lorenzo – Bartolomeo uśmiechnął się. – A może nie – nagle spoważniał. – Jednakże nie waż się nigdy więcej – rzekł groźnie – wypowiadać nie proszony o sprawach dotyczących naszych interesów! Tutaj musi rządzić jedna głowa! Jeśli ty nią kiedyś zostaniesz, będziesz czynił po swojemu. Lecz jak na razie, Rada złożyła moc decydowania w moje ręce – znowu rozjaśnił oblicze. – Jednakowoż uczyni w tej sprawie, jak ci rozsądek i wyczucie nakazują.

Lorenzo otarł ukradkiem pot z czoła. Bartolomeo bywał w gniewie straszny. Dla interesantów greczny i układny kupiec, właściciel sporej floty okrętów, stateczny i budzący zaufanie, dla swoich ludzi mógł być równie niebezpieczny jak skorpion ukryty w bucie.

Gdzieś w tym pomieszczeniu jest podobno zapadnia prowadząca do miejskich

kanałów i basenu portowego. Nieraz wyławiano przy nabrzeżu tych, którzy się narazili na jego gniew.

Być może stoi właśnie teraz na jej klapie, mając pod stopami kilkunastometrową przepaść.

Przeszył go dreszcz.

– Powiedz mi, Lorenzo, czy w głębi ducha i szczerze wierzysz w przepowiednie Joachima? Przecie to w głównej mierze przez jego wieszczona podjęliśmy działania.

Boże kochany, co na to odrzec? Młody kupiec gorączkowo poszukiwał w głowie właściwych słów. Każda odpowiedź może być zła i każda może być dobra. To pewnie kolejna próba. Za każdym razem Bartolomeo dawał mu jakieś zadanie do wykonania albo kwestię do przemyślenia. Ta jednak była wyjątkowo trudna i mogła okazać się zdradliwa.

– Sam nie wiem, panie – powiedział ostrożnie. – Rozum mówi, żeby nie ufać takim prorokom, ale rozsądek nie zawsze ma rację. Żyjemy w Ziemi Świętej, która widziała więcej cudów niż jakakolwiek inna kraina na świecie. Pamiętam, że ten sam Joachim przepowiadał Ryszardowi szybki upadek Saladyna. Widać doskonale, jak to się sprawdziło. Jednakże skoro to następne proroctwo już i jest i zaczyna żyć w ludzkich umysłach, chyba trzeba przedsięwziąć odpowiednie kroki, choćby na wszelki wypadek... Żeby odsunąć zagrożenie, a najlepiej wyciągnąć jeszcze korzyści.

Bartolomeo milczał dość długo, ważąc słowa Lorenza. – Doskonale, chłopcze – powiedział w końcu. – Według naszych kalkulacji, w owej przepowiedni, czy jak tę gadaninę nazwać, chodzi o obecnego władcę Tyru, markiza Montferrat. Zaś jego panowanie nad całą Palestyną byłoby dla naszych faktorii katastrofą. Nie jest nam tutaj potrzebny silny monarcha.

Żaden samowolny pan nie będzie się rozpierał na tronie jerozolimskim na naszą szkodę.

Trzeba tak to zrobić, żebyśmy sami tam posadzili odpowiedniego człowieka. Brutalna prawda jest taka, że zgładzimy każdego silnego władcę, jaki zechce włożyć na skronie jerozolimską koronę. Twoja odpowiedź jest prawidłowa.

Lorenzo odetchnął z ulgą. Przeszedł kolejną próbę.

Bartolomeo siedział wpatrzony uważnie w jego twarz. Ten młokos może niebawem stać się niebezpieczny. Zbyt bystry jest i rzutki, żeby w pewnym momencie nie pomyśleć o przejęciu władzy. Trzeba będzie w przyszłości coś z tym fantem zrobić.

Dwie postaci, nachylone ku sobie, siedziały przy mdłym świetle kaganka.

– Zasiałeś w mym sercu niepokój, panie Swansen – król wstał, przeszedł się kilka razy wzdłuż izby. – Skoro ty nie masz pełnego zaufania do swoich towarzyszy, jakże ja mogę je mieć?

Edward wodził wzrokiem za Ryszardem. – Mówiłem, miłościwy panie, to nie jest tak.

Może są kłótlivi i często trudno z nimi wytrzymać, ale to prawdziwi wojownicy i dla honoru daliby się rozsiekać na drobne kawałki, Nawet ten gbur von Landberg. Mój brak pewności wynika raczej stąd, iż to przesądni ludzie, jak zresztą my wszyscy tutaj.

A sam wiesz, że nad pustynią krąży coś, co może wzbudzić przerażenie w najmężniejszym sercu.

Ryszard zatrzymał się, spojrzął mu prosto w oczy. – Ty wiesz coś więcej! Mam rację?

– Jeżeli nawet, miłościwy panie, i tak nie mogę nic powiedzieć. Ale naprawdę wiem niewiele. Mniej, niżbym chciał, możesz mi wierzyć.

– Ale czegoś oczekujesz ode mnie?

Swansen również powstał, znalazł się twarzą w twarz z królem. – Pomocy.

– Uczynię, co tylko będę mógł, tylko wytłumacz dokładniej, o co chodzi. Kiedy i gdzie mam dać tę pomoc.

– Żebym to ja wiedział! Na tym polega problem. Nie mam pojęcia, co lub kogo napotkamy w głębi pustyni.

– Jak w takim razie mam być pomocny? – zniecierpliwił się Ryszard. – Masz jakiś pomysł?

– Mam, panie. Ale to będzie przedsięwzięcie bardzo ryzykowne. Śmiertelnie niebezpieczne.

Ryszard się uśmiechnął. – Lubię takie przedsięwzięcia. Powinieneś to wiedzieć. Im niebezpieczeństwo większe, tym bardziej mnie kusi.

Swansen poważnie skinął głową. – To będzie wręcz olbrzymie.

– Mów nareszcie, o co ci chodzi, bo stracę cierpliwość!

– Komu możesz w pełni zaufać, królu?

– To głupie i niepotrzebne pytanie, nikomu, jak każdy monarcha.

– Tak myślałem. Zatem nie widzę innej drogi. Musisz osobiście...

Znowu usiedli i pochylili ku sobie.

Abd al-Hadżib unosił się nad ziemią. Malikowi wydawało się, że zdołał już do tego przywyknąć, lecz ilekroć mędrzec to robił, czuł jak zimno spływa mu z karku w dół pleców.

Chrząknął lekko. Al-Hadżib otworzył oczy. Natychmiast miękko opadł na poduszki.

– Nadciąga – powiedział. – Dlatego cię wezwałem.

– Skąd... – książę nie dokończył pytania. Przyzwyczyał się już, że czcigodny Abd wie i dostrzega więcej niż inni.

Pytanie go: „Skąd wiesz” nie miało więcej sensu niż zapytanie wiatru: „Dlaczego wiejesz”. Trzeba przyjąć, że tak jest i koniec.

– Przygotuj ludzi, Murisz. Najwyższa pora zacząć działać – zamknął na chwilę oczy. – On jest bardzo potężny. Zyskałem już pewność, że to nie zwykły ifryt lecz ten, co do którego od początku żywiłem podejrzenia. To musi być Tir, wielki książę piekła.

– Niestety – szepnął książę.
– Niestety? – Al–Hadżib uśmiechnął się lekko. – Czyżby najdzielniejszy z wiernych bał się piekielnego ducha?

– Oczywiście, że tak – odparł opryskliwie al–Adil. – Musiałbym być głupcem, żeby nie odczuwać strachu.

– Boisz się – rzekł poważnie mędrzec. – To dobrze, chłopcze, niepotrzebny mi odważny szaleniec, ale rozważny wojownik o mężnym sercu i jasnym umyśle.

– Czy możesz wreszcie wyjawić, jakie zadanie jest mi przeznaczone?

– Teraz już tak. Ty uczynisz rzecz najważniejszą ze wszystkich, oczywiście wyjąwszy to, co mnie przypadło w udziale. Teraz mamy południe. Kiedy nadejdzie wieczór, nadciągnie i on. Wtedy weźmiesz ze sobą Fatmę, wyjedziesz na północną stronę naszej kryjówki i uczynisz, co powiem...

– Allah! – szepnął ze zgrozą przewodnik karawany. – Nigdy dotąd nie oglądał takich śladów nawałnicy!

Naga skała, równa i gładka jak stół, lśniła czarnym połyskiem w ostatnich promieniach słońca, na której stał młody mężczyzna urzeczony widokiem.

– Widywałem bazaltowe wylewiska, synu – ciągnął przewodnik – ale tylko na wschodzie, w głębi morderczej pustyni, a nie w miejscu, gdzie zwyczajne diuny układają się na obraz morskich fal. Jakaż wściekła siła musiała tutaj działać, by rozwiać tysiące tysięcy pudów piachu!

– Omińmy to miejsce szerokim łukiem, ojcze. To była zapewne ta świetlista luna, którą widzieliśmy nad ranem. Wygląda jakby któryś z szejtanów postawił tutaj swą pieczęć.

A może sam Azazel...

– Milcz, głupi! Tego imienia nie wolno wymawiać pod własnym dachem w bezpiecznym domostwie, a cóż dopiero wśród pustyni.

– Dobrze, żeśmy pojechali przodem. Toż by dopiero było, gdyby kupcy zobaczyli coś podobnego! Chcieliby jak nic zawracać z drogi. A tak poprowadzimy ich dookoła. Mądry jesteś, ojcze.

– Ja jestem jedynie ostrożny, mój synu. Naucz się tego. Jeśli kiedyś, prowadząc karawanę, ujrzysz nieznanne zjawisko, nie mów nic, nie snuj domysłów przy ludziach. Zawsze wtedy należy, nie wzbudzając podejrzeń, pojechać przodem i sprawdzić, czy gdzieś czai się prawdziwe zagrożenie, czy też omamiły nas tylko niewinne pustynne widziadła.

– Domyślasz się, ojcze, co mogło uczynić podobne spustoszenie?

– Wolę nawet nie zgadywać.

Nagle oczy rozszerzyły mu się przerażeniem.

– Uciekaj, chłopcze! Uciekaj natychmiast!

Młodszy mężczyzna podążył za jego spojrzeniem. To, co zobaczył, sprawiło, że nogi

miast poderwać go do ucieczki, stały się ciężkie jak z ołowiu, nie mógł wykonać najmniejszego ruchu.

– To – wykrztusił – to przecież... ghul!

– Uchodź, głupcze... Ja go...

Krótki urywany krzyk, po nim przerażające, przeciągłe rżenie. Starszy z mężczyzn zwał się na ziemię ze zmiażdżonym karkiem. Dopiero teraz jego syn podbiegł w kierunku wielbłądów, lecz spłoszone zwierzęta gnały już z całych sił w głąb pustyni. Tymczasem potwór porzucił starego przewodnika i cicho niby duch zaczął ścigać następną ofiarę.

Z obnażonych we wściekłym grymasie ogromnych zębisk ściekała cuchnąca ślina.

– Allah – zawołał przerażony człowiek, z trudem utrzymując równowagę na śliskim bazalcie. – Ratuj mnie, Panie!

W tej chwili pazury potwora dosięgły jego głowy, orząc wśród włosów głębokie krwawe bruzdy. Zaraz potem mordercza łapa przejechała przez gardło nieszczęśnika. Syn przewodnika zrobił jeszcze kilka chwiejnych kroków bluzgając krwią, po czym legł bezwładnie na czarnej skale.

– Uspokój się, maleńka.

Fatma szerokimi ze strachu oczami wpatrywała się w łunę, na której tle linia horyzontu odcinała się wyraźnie od czerni nieba. Siedziała na koniu, przytulona plecami do brata. Drżała na całym ciele, a z jej piersi co chwila wyrывało się rozpaczliwe łkanie.

– Ty też, Antares – ostro skarcił wiercącego się konia Malik. – Nie pora na fochy!

Ledwie usiedzieć można w siodle! – Mocno przycisnął do siebie siostrę. – Zaraz pognamy przed siebie, kochana – powiedział. – Jak wtedy, gdy byłaś dzieckiem i wozilem cię przed sobą na starej Fachrze. Dobra to była kobyłka, spokojna i rozważna, nie to co ten diabeł pod nami. Ale ona nie potrafiłaby ujść takiemu niebezpieczeństwu.

Uważnie śledził narastającą łunę. Była już tak intensywna, że zwieńczenia skalistych pagórków odcinały się na jej tle ostro, jakby ktoś wykroił je nożem. – Jeszcze chwileczkę – mrucał uspokajająco. – Musimy poczekać, aż zabłyśnie płomień. Dopiero wtedy zaczniemy uciekać. Tak kazał czcigodny al-Hadžib. Musimy uczynić tak, aby w pościgu za nami demon znalazł się właśnie w tym miejscu. Zrobimy jeszcze, co do nas należy, a potem będziemy mogli spokojnie wrócić do domu.

Możemy wrócić, pomyślał z goryczą. Jeżeli mędrcomi powiedzie się to, co zamierzył.

Jeśli nie... Wtedy nic już nie będzie miało znaczenia.

– Nie lękaj się, Patmo – czuł drżenie przytulonego do niego ciała. – Nie pozostawię cię własnemu losowi.

Siostra przyłgnęła do niego mocniej. Jej serce biło w szalonym rytmie.

– Cicho, maleńka. Wszystko będzie dobrze. Nie na darmo Jusuf poświęcił dla tej

sprawy swoje życie.

Drgnął. Czy to pierwszy błysk ognia, czy jakaś zabłąkana spadająca gwiazda?

– Allah akbar – szepnął.

Nie! To był na pewno blask diabelskiego płomienia!

– Naprzód, Antares! W twoich kopytach nasze ocalenie!

Abd al–Hadżib otworzył oczy.

– Przychodzisz więc na wezwanie, synu szejtana? – powiedział. – Zatem przybywaj

– na jego pomarszczonej, pobladłej twarzy zagościł uśmiech. – Chodź, zły duchu. Przekonamy się, który z nas jest silniejszy.

Wycie nawałnicy docierało nawet tu, głęboko pod ziemię. Jeśli coś się nie uda, za chwilę po okolicznych skałach i pagórkach nie pozostanie najmniejszy nawet ślad. Zostaną zrównane z ziemią, a po niedługim czasie wiatr naniesie na nie warstwę piasku. Za jakiś czas nikt nie pozna, że ta część pustyni wyglądała jeszcze nie tak dawno zupełnie inaczej. Musi się udać!

Al–Hadżib klęknął jak do modlitwy. Bóg dopomoże słusznej sprawie.

Rozdział XX

– Jak ja nienawidzę pustyni! – Jan de Morges z obrzydzeniem spoglądał w rozgwieżdżone niebo. Otulił się szczelniej derką, odwrócił plecami do towarzyszy i marudził dalej: – Że też zachciało mi się z własnej, nieprzymuszonej woli pchać do takiego piekła. A ostrzegęła słodka pani de Morges: „Gdzie będziesz laźł, skończony ośle, toż nie na twój durny łeb włóczyć się po krańcach świata. Zostaw to młodym”, mówiła. „W ciepłym kącie przy kochającej żoneczce byś posiedział”. Tak ci do mnie czule przemawiała, gdym na wyprawę ruszał.

– Nie bierz tego do siebie, Janie – odparł Vincent – ale miałem wszak zaszczyt poznać twoją uroczą żonkę. Dawno temu, zanim jeszcze wygnano mnie z kraju, kiedy jeszcze była młodsza i poniekąd łagodniejszego usposobienia. Gdyby to była moja niewiasta, powiadam ci, i wierzaj mi, druhu, na słowo, jeśli by kto zaproponował mi udział w tak szalonej wyprawie ja ta krucjata, nie wahałbym się ani chwili, jeno z miejsca i bez zwłoki tego ponurego zwiastuna wyczałowawszy po gębie, z radością opuściłbym domowe pielesze. Ciesz się jeno, że te twoje domowe delicje nie zechciały z tobą wyruszyć, jak to miewają we zwyczaju inne damy, choćby słodka pani Gertruda – zerknął przelotnie na Kurta – a nawet królowe. Wtedy zapewne nie narzekałbyś na okrutną pustynię, ale rwałbyś się na podobne wyprawy, bo tylko tutaj mógłbyś znaleźć wytchnienie od rozkoszy domowego pożycia.

– A ty co mi tu będziesz powiadał?! – De Morges podniósł się i stanął w groźnej postawie nad Vincentem. Obserwujący tę scenę Werner wstrzymał oddech. Dziwił się tylko spokojowi samego de Rionne’a. – Co ty możesz wiedzieć o moim pożyciu z żoną? Kto upoważnił cię do wydawania sądów na ten temat?! – pochylił się nad bezbronnym, leżącym na wznak towarzyszem. – I to takich prawdziwych sądów na dodatek – nagle usiadł obok Vincenta, wyciągnął w jego stronę pękaty bukłak. – Napijmy się wszyscy za zdrowie mojej ukochanej Zuzanny, oby moje oczy nigdy już nie ujrzały jej nadobnej postaci...

De Rionne łyknął solidną porcję trunku, po czym rzucił bukłak Edwardowi.

– Miłych snów, panowie – powiedział.

– Niech ta noc będzie spokojna i cicha – zawtórował Swansen, przekazując naczynie

następnemu.

Po chwili wszyscy spali. Poza kręgiem ogniska, kilkadziesiąt kroków od obozu czuwał jedynie młody Werner von Watzenrode, któremu przypadła pierwsza straż. Patrzył w ciemną otchłań pustyni, myśląc o wielkiej przygodzie, w jakiej miał zaszczyt uczestniczyć. Mimo protestów wuja, który chciał mu wyjednać u króla zwolnienie z rozkazu, uparł się pojechać z rycerzami na niebezpieczną wędrowkę w głąb pustyni.

„Obiecałem twojej matce, że będę o ciebie dbał i niech mnie piorun strzeli, jeżeli nie dotrzymam słowa!”, wrzasnął von Wallheim, kiedy Werner oznajmił mu swoją wolę.

Wspomnienie czerwonej ze złości fizjonomii wuja zaczęła powoli przesłaniać dużo przyjemniejsza twarz Heleny di Marco, córki możnego patrycjusza z Genui. Obiecała czekać na jego powrót z wyprawy krzyżowej, niezależnie od tego, ile lat miałyby trwać. Westchnął ciężko. I on przyrzekł jej wierność, a Bóg widzi jak trudno dotrzymać przysięgi w rozbuchanym rozwiązłością świecie Wschodu...

– Niech mnie diabli, Wernerze, jeżeli nie myślisz w tej chwili o kobiecie.

Graf drgnął zaskoczony. Obok niego przysiadł niepostrzeżenie Vincent.

– Skąd wiecie, baronie?... – zaczerwienił się.

– Ten wyraz twarzy, blask oczu – de Rionne roześmiał się cicho. – I nie tytułuj mnie baronem. Banicie nie przystoją tytuły. Wszyscyśmy na krucjacie winni nazywać się braćmi, ale sam widzisz, jak to wygląda, nawet w naszej niewielkiej grupce wzajemne niechęci biorą górę nad przesłaniem papieskim, które jest oznajmiane na początku każdej wyprawy i powtarzane potem przy każdej okazji.

Werner bez słowa pokiwał głową. Po dłuższej chwili zapytał z wahaniem: – Nie ufasz mi, że zrezygnowałeś z wypoczynku? Dam jednak radę sam pełnić wartę.

– To nie to, chłopcze. Po prostu nie mogę zasnąć. Od paru dni takie miewam sny, że wolę w ogóle nie spać.

– Wierzysz w sny?

– Na ogół nie bardzo, ale kiedy zjawia się w nich mój ojczulek, to znak, że trzeba uważać. Nigdy nie był osobą, do której szczerze by mówiono przy spotkaniu: „Dobrze cię widzieć”. A teraz twoje drugie pytanie.

– Skąd wiesz, że mam jeszcze jakieś?

Vincent przypatrywał się rozmówcy z dziwnym uśmiechem. – Jeżeli chodzi o Edwarda – rzekł – tak naprawdę wiem o nim niewiele więcej niż inni. Kiedyś był moim serdecznym druhem. Sam, z własnej woli opuścił swój kraj, inaczej niż ja... Ponoć jest potomkiem wygasłej dynastii Skjöldungów, choć uparcie temu przeczy. Przybyliśmy z pielgrzymką do Ziemi Świętej jeszcze za poprzedniego papieża. Jak już wiesz, kilka lat przed nową krucjatą Swansen popadł w niewolę saraceńską, po przegranej bitwie. Jak udało mu się zbiec, sam słyszałeś, chociaż cała ta sprawa jest bardzo dziwna. Jest jakiś inny, obcy...

Zmienił się. Ale co tam – ożywił się nagle – nie będziemy rozprawiać o ponurym

Wikingu.

Opowiedz mi lepiej o swojej damie serca...

Mdła poświata gwiazd litościwie ukryła rumieńce na twarzy Wenera. Miał ochotę wykręcić się od odpowiedzi, jednakże przeważała w końcu chęć podzielenia się z kimś wielkim uczuciem. – Jest piękna jak te światełka nad nami. Łagodna i delikatna na podobieństwo włoskiego nieba. Ciepła niby tamtejsze słońce, które, ku mojej zazdrości, ma zaszczyt codziennie oglądać jej cudowną postać. Przy tym w jej ciemnych oczach płonie ogień gorętszy niżli ów codzienny żar, czyniący pustynię tak straszliwym miejscem.

Jednakże dobry to płomień, nie zabija, lecz daje życie, nie upał niesie, lecz ukojenie.

A dłonie... Takie maleńkie i aksamitne, są jak wyrzeźbione z gładkiego alabastru... Sam dobry Bóg stworzył je tylko po to, by radowały ludzkie oczy. To Jego wprawne dłuto wydobyło z cennego tworzywa wyjątkową, niepowtarzalną urodę. Wreszcie stopy drobne i kształtne.

Gdy stąpa, z zachwyconej ziemi zdają się wydobywać dźwięki cudowne niczym westchnienie harfy...

– Poeta z ciebie, chłopcze – mruknął z podziwem de Rionne. – Gdybym ja tak potrafił przemawiać, swego czasu hrabianka Elwira de Brugge byłaby moją, a Judyta Monaglian może by się dwa razy zastanowiła przed wyjazdem... Lecz mój język zawsze był raczej plugawy niczym obozowa dziewczka. Zabierzesz oczywiście tę italską pannę do swoich włości, by pokazać ją matce?

Werner otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale powstrzymało go syknięcie Vincenta: – Ćśśś... Słyszę jakiś dziwny szmer. Biegnij obudzić Edwarda...

Graf pospieszył spełnić polecenie, a de Rionne pobiegł kilkanaście kroków przed siebie, po czym przypadł do ziemi, nasłuchując.

– No i co tak pełzasz w piachu, jak jakiś robal! – usłyszał nad głową gromki, znajomy głos. – To nie licuje z honorem rodziny de Rionne!

– Ojciec?! – wyszeptał zdumiony Vincent. – Znowu ty...?

– Zgadza się, chłopcze, znowu ja. I niech mnie diabli, jeżeli mi się to podoba!

Vincent odzyskał już nieco przytomności umysłu. – Zgiń przepadnij! – skrzyżował palce tak, jak go uczyła w dzieciństwie piastunka.

– Daj spokój – zjawa skrzywiła się z niesmakiem. – Żeby rycerz uciekał się do babskich guseł... nie spodziewałem się przyłapać mojego syna na czymś podobnym.

– Zaraz przybiegną tu ludzie! Zobaczą cię.

– Nie przypuszczam. Znajdujemy się w tak zwanym bezczasie. Świat wokół zamarł, tylko my dwaj... Jakby to powiedzieć... nieważne! W każdym razie nikt nie przyjdzie.

A gdyby nawet, i tak mnie nie zobaczy. Jestem tu tylko dla ciebie.

– Czego chcesz? Mów w końcu i idź sobie!

– Nie cieszysz się ze spotkania ze starym ojcem?

– Nie kpij. To ostatnia rzecz, z której bym się cieszył. Gdyby nie twoje podłe machinacje, nie siedziałbym teraz w Ziemi Świętej, tylko radował i korzystał z życia!

– Wiesz doskonale, że to, co czyniłem, robiłem wyłącznie dla dobra rodziny...

– Szydzisz sobie ze mnie, ojcze! Dla dobra rodziny sprowadziłeś obce wojska na kraj?

Dla dobra rodziny spiskowałeś z angielskim Henrykiem? Dla dobra rodziny dokonałeś rzezi w Montesse? Pieśni już o tym układają! To przez ciebie pozbawiono nas ziemi, godności i wygnano z ojczyzny! To za twoją sprawą żaden de Rionne nie ma prawa przekroczyć granic kraju pod karą gardła! Matka zmarła ze zgrzyoty, a nieszczęsny Gotfryd skończył w wieży!

Reszta tuła się po świecie, bo tobie zachciało się wojować z samym królem!

– Jakoś nie przypominam sobie, żebyś bardzo protestował, kiedy zyskiwaliśmy na władzy i znaczeniu. Prawdę powiedziawszy nie pamiętam, żebyś w ogóle protestował, wręcz przeciwnie: wydawałeś się wtedy bardzo rad! A co do Montesse, nie zrobiłem tego sam, nieprawdaż? A może pamięć cię zawodzi?

Vincent opuścił głowę. – Byłem młody i głupi. To mnie oczywiście nie tłumaczy, ale z nas dwóch to ty powinieneś być rozsądniejszy! Powinieneś wiedzieć, kiedy trzeba się zatrzymać. Przesadziłeś, chcąc decydować, kto ma zasiąść na tronie!

Duch wzruszył ramionami. – Teraz to nieistotne. Nie odwróci się biegu czasu, chociaż szkoda... Wiesz, dlaczego przychodzę dzisiaj do ciebie? Chcę cię ostrzec, synu. Zawsze byłeś moim ukochanym dzieckiem, bo jesteś do mnie najbardziej podobny...

– Nie jestem do ciebie podobny! Jedynie omotałeś mnie swego czasu i tyle! Wiesz – Vincent mówił teraz przez zaciśnięte zęby – czasem żałuję, że nie żyjesz, bo sam chętnie bym cię zabił! Nienawidzę cię!

Stary de Rionne uśmiechnął się krzywo. – Niewdzięczny z ciebie pachołek, ale jakoś mnie to nie dziwi. Przyszedłem ci oznajmić, że zginiesz. Taka zjawy jak ja raczej rzadko przynosi dobre wieści. I tym razem nie jest inaczej. Byłem ostatnimi czasy w różnych miejscach, widziałem wiele ciemnych sprawek, słyszałem wiele rozmów – grymas na twarzy ducha poszerzył się. – Kilka znacznych osób udało mi się poważnie przestraszyć. Byłem nawet u tego, którego zwał Starcem z Gór, gościłem u samego sułtana, że o pomniejszych władkach nie wspomnę. Nawet nie przypuszczasz, jakie to może być interesujące, los takiej potępionej zjawy. Odczuwam, prawda, nieustanne cierpienie, o jakim wy, żyjący, nie możecie mieć pojęcia, ale dzięki temu, iż nie dano mi się oderwać od tego świata, mam możliwość przyjść dzisiaj do ciebie. I powiedzieć: „Zginiesz”... Uważaj. Próbuje odwrócić los. To zawsze możliwe. Chociaż, kiedy pomyślę o wszystkich knujących panach, tych bardziej i mniej możnych szlachetnie urodzonych szalbierzach czy przebiegłych kupczykach... Nie masz wielkich szans. Właściwie nie masz żadnych, mówiąc uczciwie. Sprawa, w jaką się teraz zamotałeś, to okrutne bagno. A maczają w nim palce tacy ludzie, że trudno w to uwierzyć nawet

upiorowi.

– Powiedz więcej, skoro już mnie postanowiłeś dręczyć! Niech wiem, skąd nadchodzi niebezpieczeństwo.

– Ono zawsze nadchodzi z najmniej i zarazem z najbardziej spodziewanej strony. Zginiesz, synu.

Ocknął się z twarzą w piachu. Wstał i trzykrotnie uczynił znak krzyża. Nie cierpiał tych pojawiających się nagle snów, w których przychodził ojciec. – Zgiń, przepadnij – wymamrotał.

– Słyszałeś coś? – Edward, jak zwykle, zjawił się niespodziewanie. – Z której strony?

Vincent bez słowa wskazał w kierunku wschodzącego księżyca. Swansen posunął się tam bezszelestnie, po chwili zniknął w ciemnościach.

– Co słyszałeś? – szepnął Werner, który nadszedł zaraz za Edwardem razem z Janem de Morges i wujem, niedługo po nich przybiegł Telford, dopinając pas z mieczem.

De Rionne wzruszył ramionami. – Zaraz wróci Edward – mruknął. – Jeżeli to było cokolwiek z tej ziemi, już on to znajdzie. Gdzie Landberg?

– Został przy koniach.

Nagle rozległ się okrzyk. Drgnęli.

– Co to było? – De Morges rzucił się w stronę obozowiska. – To stamtąd!

Wszyscy poszli w jego ślady. Werner obejrzał się jeszcze tam, gdzie podążał Edward.

Wolałby, żeby Norman był w tej chwili na miejscu. Przy nim czuł się jakoś dziwnie bezpieczny. Okrzyk, który rozległ się powtórnie, był jeszcze głośniejszy i pełen bólu. – Boże, bądź miłościw – mruknął, puszczając się pędem za innymi.

– Jesteś, Swansen! – zawołał z ulgą de Morges. – Myślałem, że i ciebie dopadło!

Edward zbliżył się do ogniska. Rycerze musieli być czymś porządnie przestraszeni, bo wrzucili na żer płomieniom prawie cały zapas drewna i znalezione po drodze susz. Z boku stał młody graf Watzenrode i wymiotował.

– Chłopak ma słaby żołądek – zauważył Piotr z Telford. – Co znajdziemy jakiegoś trupa, od razu rzyga.

Jego lekki ton skrywał w sobie jednak ogromny strach. W powietrzu dawało się wyczuć niesamowite napięcie.

– Co się stało? Czy to Kurt? – Edward wskazał postać leżącą na ziemi.

– Tak, Swansen, to Kurt! – zgrzytnął zębami Konrad von Wallheim. – A raczej to, co z niego zostało. Podczas kiedy ty uganiałeś się po pustyni diabli wiedzą za czym, coś tutaj zarznęło Landberga!

– Zarznęło to mało powiedziane – wtrącił się Vincent. – To coś nie bardzo chyba potrafiło poradzić sobie z kolczugą. Wszyscy wiecie, że Kurt zawsze łąził w pełnym pancerzu, trzeba czy nie. Nawet nogawic nie zdejmował. To przekłete coś wycisnęło go

przez oczka kolczugi! Sam zobacz!

Edward pochylił się nad ciałem. Widok w istocie był ohydny. Zmiażdżone, pomieszczone z odzieniem ciało zostało zmacerowane w trudny do opisanego sposób.

– Kiedyśmy nadbiegli – mówił de Rionne – owa bestia oblizywała Kurta. Powiadam ci, mało nie oszalałem na ten widok! Łapami go dusiła i lizała to, co wypływało na zewnątrz!

Rany Chrystusa, jak on straszliwie krzyczał! Dopiero kiedy zajechała go pazurami po głowie, przestał! Swansen rozejrzał się czujnie dookoła. – Gdzie ta bestia?

– Uciekła, kiedy Jan rzucił się na nią z mieczem, nie, nie uciekła, to złe określenie.

Oddaliła się... Tam – Vincent wskazał ręką. – Płynęła w powietrzu szybko, ale jakoś tak niechętnie i wciąż się na nas oglądała. Przysiagłbym, że w jarzących się czerwono ślepiach widziałem oskome... Okropny widok. Kosmata jak niedźwiedź, łapy do samej ziemi, gęba pełna zębów, jak mówił Gustavus i wielkie szpony...

Edward podjął z ogniska płonąca gałąź, poszedł we wskazanym kierunku, uważnie patrząc pod nogi.

– Ghul – powiedział głośno. – Ale nie płynął w powietrzu, jak ci się wydawało.

Pozostały wyraźne ślady.

– Ghul? – podchwycił Konrad. – To przecież tylko miejscowe gusła! Kapelan...

– Sam widziałeś! – wpadł mu w słowo de Rionne. – To nie był stwór z tego świata! To nie było żadne znane nam zwierzę! Edwardzie, myślisz, że coś takiego pożarło wtedy naszych i Arabów?

– To niemożliwe. – Edward pokręcił głową. – Ghul jest za słaby, by samodzielnie dokonać takiej rzezi. Te stwory najczęściej żyją na cmentarzach i pożerają trupy. Można je czasem spotkać przy drogach, gdzie czyhają na samotnych wędrowców. Jednakże nie słyszałem, żeby same grasowały w głębi pustyni... Ten zaś musiał podążać za nami od początku, czekając na okazję.

Werner zbliżył się do nich. Starał się nie patrzeć na to, co jeszcze niedawno było Kurtem von Landberg. – Skąd się biorą takie potwory? – spytał drżącym głosem. – Co za moc potrafi przywołać je do życia?

– Według jednych są to potępione demony, upadłe dzinny czy ifryty, skazane na istnienie w tej żalostnej postaci, napadające na ludzi i żywiące się ich mięsem albo wygrzebujące spod ziemi trupy. Inna opowieść mówi, iż wykluwają się z jaj zapłodnionych przez samego diabła. Ale ich pochodzenie może być jeszcze inne. Wystarczy bowiem, jak powiadają, że matka, rodząc w ukryciu, nie zawiąże pępowiny noworodkowi – odparł Edward. – Potem zakopie trupa byle gdzie. A kiedy zdarzy się tak, że głodny ghul wydobędzie z ziemi takie nieszczęsne dziecko, może przez tę niezawiazaną pępowinę tchnąć w nie cząstkę swego nieczystego ducha i powołać do potwornego istnienia następną, podobną sobie poczwagę... Lecz ghule nie są w stanie wychować same takiego młodego stwora. Przywołują wtedy o wiele potężniejszego

ducha, żeby...

– Skąd tyle wiesz? – przerwał Piotr Telford. – To podejrzane. Mocno podejrzane.

A poza tym to bzdury. Bajdurzenie. Coś zabiło Kurta, zgadza się, ale żeby zaraz opowiadać nam jakieś pogańskie bajdy?!

– Mów dalej, Swansen – rzekł Konrad. – Skoro natknęliśmy się na rzecz niewytłumaczalną, każda droga do prawdy jest dobra! Co z tym duchem?

– Jak powiedziałem, ghul nie może sam wychować dziecka. Oddaje je wtedy słudze Azazela, złemu ifrytowi. Dokąd ów zajmuje się młodym ghulem, stanowią zaiste morderczą parę. Apetyt obu staje się wręcz nienasycony. Póki młody potwór nie urośnie i nie stanie się samodzielny, korzystają z każdej okazji, aby nasycić głód i zaspokoić żądzę zemsty. – Uważnie przyjrzał się zmasakrowanym zwłokom. – Głód i żądzę zemsty – powtórzył. – Ten musiał być jeszcze młody, skoro nie potrafił rozerwać kolczugi. I skoro uszedł bez łupu.

Stara, silna poczwara stoczyłaby z nami bój. A niezmiernie trudno jest ukatrupić ghula. O ile wiem, można tego dokonać tylko w wyjątkowych okolicznościach.

– Po co to wszystko mówisz? – podejrzliwie zapytał Telford. – Chcesz nam coś dać do zrozumienia?

– Nic, Piotrze, zupełnie nic.

– Tak w ogóle widziałeś coś, zanim poczwara ukatrupiła Kurta? – zainteresował się Vincent. – Zupełnie o tym zapomnieliśmy! I nic dziwnego.

– To był jakiś człowiek. Zbrojny. Oddalił się w wielkim pośpiechu, konno. Jesteśmy śledzeni, czego można było się przecież spodziewać.

– A niech go ten ghul pożre! – mruknął de Morges. – Kimkolwiek jest. A teraz trzeba jakoś pogrzebać nieszczęsnego Landberga. Mieliśmy szukać śladów, a nie tracić towarzyszy.

– Mieliśmy szukać śladów – odezwał się de Rionne – i chyba właśnie coś znaleźliśmy, nie uważasz?

Potworny upał dawał się we znaki nawet Edwardowi. Wyglądało na to, że i jego zmorzył sen, gdyż jechał z pochyloną głową, kołysząc nią w rytm końskich kroków.

Wierzchowce wlokły się noga za nogą, umęczone bezlitosnymi promieniami słońca na równi z jeźdźcami.

Kiedy wreszcie będzie ta oaza?, pomyślał Vincent, przebudziwszy się, gdy jego klacz potknęła się na wystającym kamieniu. Przyjdzie nam szczeznąć z braku wody, jeżeli Swansen się pomylił...

Podjechał do towarzysza, szturchnął go w bok. – Nie śpij, Edwardzie – powiedział. – Bo przegapisz znaki.

– Nie śpię. – Swansen spojrział na niego nieoczekiwanie bystrym wzrokiem.

– Masz jeszcze trochę wody? Ja swoją dawno wypilem. Edward bez słowa podał mu bukłak.

- Prawie pełen – rzekł de Rionne z nieukrywanym podziwem. – Jak ty to robisz?
- Kwestia przyzwyczajenia.
- Wiesz, szkoda mi Landberga. Drażnił mnie, to prawda, ale i tak go szkoda... Był jednym z nielicznych Niemców, którzy nie rozleźli się jak owce bez pasterza po śmierci Barbarossy. Gdyby się cesarz nie utopił, inaczej by wyglądała ta wyprawa.
- Gdybyśmy się wciąż nie kłócili między sobą w Królestwie Jerozolimskim, nie byłoby potrzeby zwoływać nowej krucjaty.
- A ty byś nie spędził paru lat w niewoli, wiem. Powiedz mi coś więcej o tych pustynnych duchach. Jak to jest z wychowywaniem ghula przez ifryta?

Edward poprawił się w siodle. – Różnie o tym mówią. Jest taka legenda, że dotąd ifryt będzie mordował, dokąd nie znajdzie rodziców młodego ghula. Kiedy spada na jakiś lud nieszczęście, kiedy na pustyni zaczynają ginąć ludzie, kiedy znajduje się na piasku bryzgi krwi, to znak. Znak, iż jakaś kobieta z plemienia zabiła swoje dziecko i zły duch jej poszukuje. Nie tylko jej zresztą, ale także ojca dziecka. I nie spocznie, dopóki nie dokona dzieła zemsty. Oboje rodzice powinni zginąć, a musi ich zgładzić ifryt. Dopiero wtedy ghul może stać się dorosły. Podobno są sposoby, aby ujarzmić demona, jednakże trzeba spełnić pewne warunki. To bardzo niebezpieczne i ponoć nikt tego nie robi, gdyż o wiele prościej wydać ich pomście ifryta. Ale to tylko legenda. Chociaż... Po tym, co widzieliśmy, czy nie byłoby słusznie zacząć wreszcie wierzyć w podobne gadki?

- Straszne są opowieści tutejszych ludów.
- Straszne, Vincencie? Może i tak, ale są również piękne. Zważ, czyż ifryt nie jest narzędziem sprawiedliwości? Choć to z natury zły duch, w jakiś sposób służy jednak słusznej sprawie.
- Może masz rację. Ale ten potwór był sam.
- Sam – przytaknął Edward. – Na nasze szczęście. Inaczej wyglądalibyśmy równie żałośnie, co znaleziony przez nas poprzednio zwal potrzaskanych ciał. Ale to wcale nie oznacza, że będzie nam zawsze dopisywać. Kurta wszak opuściło.

Milczeli dłuższą chwilę.

- Ten człowiek cały czas jedzie za nami – powiedział Edward – on...
- Musi być szalony – przerwał de Rionne. – Nikt przy zdrowych zmysłach nie włóczy się sam po pustyni. Ale, ale – zreflektował się nagle. – Chciałeś mi coś powiedzieć, prawda?

Swansen zmarszczył brwi, wyraźnie namyślając się, co odrzec. W chwili słabości omal nie wyjawiał przyjacielowi tajemnicy. – To nieważne. Na wszystko przyjdzie czas. A on niech jedzie za nami, skoro taka jego wola. Nigdy nie wiadomo, czy w pewnym momencie na coś się nie przyda...

- Uważam, że powinniśmy zawrócić! Zaginiemy bez śladu i tyle z tego będzie – Konrad von Wallheim ze złością cisnął patyk w ognisko. Oaza, której poszukiwali,

okazała się brudnym bajorem porośniętym dookoła wyschłymi do cna kolczastymi krzewami. – Za czym się uganiamy po tej pustyni? Za duchami?

– Rozumiem, hrabio, że przemawia przez ciebie troska o młodego grafa, a nie lęk o własną skórę – odparł de Morges. – Ale spytaj jego samego, czy również chce wrócić. Nie chce, widzisz jak kręci głową? Nie uchronisz go przed niebezpieczeństwami, chowając pod szatą jak małe dziecko. Zabrałeś chłopca na wyprawę krzyżową nie po to, żeby grzał rzyć przy obozowych kuchniach. Ma teraz chłopak szansę zasłużyć się wielkiemu władcy. To może być sporo warte.

– O ile ten wielki władca pożyje na tyle długo, żeby owe zasługi wynagrodzić! Nigdy nie wiadomo, czy za dzień, za godzinę nie przyjdzie wieść o jego zgonie, bo pcha się w każdą awanturę i rzuca do każdej bitki – rzucił zgryźliwie Konrad. – Jest jeszcze pytanie, czy my sami dożyjemy tego, żeby skorzystać z owoców jego wdzięczności.

– Człowiek nie zna dnia ani godziny. Ale pamiętaj o maksymie: Quidquid agis, prudenter agas et respice finem. Skoro coś zaczęliśmy, dokończmy tego jak na rycerzy przystało. A ty zamieniasz się w jęczącą babę!

– Gdybyśmy byli w obozie – rzekł spokojnie Konrad – wyzwałbym cię na ubitą ziemię.

Poczekaj, aż wrócimy.

– Gdybyśmy byli w obozie – odparł Jan – nigdy nie powiedziałbym do ciebie takich słów. Ale jeżeli będziesz chciał konieczne bić się po powrocie, służę swoją osobą. Choć nie przypuszczam, żeby to miało wielki sens. Uważam, że powinniśmy być ze sobą szczerzy, zamiast dbać o pozory i koić urażoną ambicję. Powiedziałem, co myślę, a zauważ, iż nie zarzuciłem ci tchórzostwa, tylko nadmierną troskę o Wenera, który sam doskonale potrafi zadbać o siebie. Von Wallheim skinął tylko głową, przyjmując do wiadomości słowa towarzysza.

– Mój Boże – szepnął Vincent do Piotra. – Jeszcze kilka dni temu skoczyliby sobie do gardeł! Jakże zmieniliśmy się wszyscy przez ten krótki czas. Nawet Konrad. Wyobrażasz sobie, jakie piekło by dawniej rozpętał? Co za zmiana...

– Nie wiem tylko, czy na dobre. Rycerz nie powinien rozmyślać nad niebezpieczeństwem. Powinien iść naprzód i walczyć.

– Jak twój król? Najpierw czynić, potem myśleć!?

– To o wiele łatwiejsze. I poniekąd przyjemniejsze, nie uważasz?

Tłumiąc śmiech Vincent skinął swemu rozmówcy.

– Od dzisiaj – Edward wyprostował nogi, usiłując ogrzać stopy przy niewielkim płomieniu – nie powinniśmy chodzić samotnie nawet za potrzebą. Zawsze parami.

– Nie musisz nam tego mówić, sami wiemy. Ciekaw jestem swoją drogą, jak sobie radzi ten, kto za nami podąża. A może jest po prostu sprzymierzeńcem ghula.

Swansen skrzywił się, kręcąc przecząco głową. – Piotrze, ghule nie miewają innych sprzymierzeńców poza ifrytami. To stworzenia nieszczęsne i pogardzane przez

wszystkie inne duchy czy potwory. Przymierze z demonem pustyni jest rzeczą wyjątkową w ich życiu. A ten, kto nas śledzi, z pustynnymi duchami i upiorami nie ma nic wspólnego. To człowiek i mógłby paść łupem ghula, gdyby nie...

– Gdyby nie co? – podchwycił de Morges.

– Nieważne.

– Dlaczego nie chcesz mówić?

– Bo to nie ma znaczenia.

– Jednak...

– Powiedziałem! Jeśli będę wiedział o czymś, co jest ważne, na pewno was powiadomię!

– Jak sobie chcesz – wzruszył ramionami Jan. – Mnie tylko dziwi, z jaką łatwością przyjęliśmy do wiadomości, że mamy do czynienia z jakimiś ghulami i diabli wiedzą czym jeszcze.

– A mnie zastanawia – powiedział powoli Piotr z Telford – ile wie król. Odniosłem wrażenie, że on sam w tej sprawie głęboko wierzy w udział sił nie z tego świata.

– Słuszna uwaga – rzekł Konrad. – Myślę, że Ryszard wie o wiele więcej niż możemy przypuszczać. I uważam, że ten, kto nas szpieguje to jego wysłannik. Takie zabezpieczenie.

Gdyby nam się coś przytrafiło, stanowi niejako odwód. Jeśli nas nie stanie, on ma rozkaz wracać z wieściami.

– Tyle, że na razie to on jest w większym niebezpieczeństwie. Może nawet nie wiedzieć, że ghul krąży w okolicy.

– Na pewno wie, że coś się dzieje – trzeźwo stwierdził Telford. – Przecież nie mógł przegapić pochówku Kurta, prawda Swansen? Powiedz, Wikingu, a może ty...

– Panowie – wpadł mu w słowo Vincent. – Uważam, że to tylko jałowe rozważania.

Skoro nie możemy się napić i najeść do syta, przynajmniej spróbujmy pospać. Kolejność wart odwrotna niż wczoraj, tak? No to dobrej nocy.

Pochwycił wdzięczne spojrzenie Edwarda. Pomyślał, że najgorsze bywają pytania bez odpowiedzi albo te niezadane. To, które przerwał, zawisło w powietrzu jakąś dziwną zasłoną nieufności, oddzielając Swansena od pozostałych. Za dużo widział, zbyt dużo wie. Ludzie nie lubią takich jak on.

Rozdział XXI

Sinan zerwał się na równe nogi. Pot spływał mu po plecach grubym strumieniem. Rozejrzał się po komnacie, zalanej sinym światłem księżyca. Oczywiście nie dostrzegł nikogo. Złudne cienie rzucane przez bladą poświatę pozostawały całkowicie nieruchome. – Przepadnij, zjawo piekielna – wycedził, czyniąc na piersi skomplikowany znak. – Zostaw mnie już w spokoju. Czy przychodzisz na jawie, czy tylko we śnie, odejść, gdzie twoje miejsce.

Chyba, pomyślał jednocześnie, że to miejsce jest przy mnie właśnie.

– Czy ktoś cię nasłał, czy sam cię przywołałem, niespokojny duchu? Odpowiedz albo odejść.

Pytanie, rzucone w ciemność, pozostało bez echa.

– Odejść! – powtórzył głośniejszym głosem. – Albo sprowadzę na ciebie stwory ciemności!

Przysięgłby, że w uszach, gdzieś na granicy świadomości, zadźwięczał drwiący chichot.

– Nie mogę wprost uwierzyć, że ta noc upłynęła spokojnie – Jan de Morges przeciągnął się i wzdrygnął. Tutejsze gwałtownie wstające poranki były takie inne od leniwego budzenia się przyrody ze snu, do jakiego przywykł w domu. Wciąż nie mógł się przyzwycząić.

Rozejrzał się dookoła. Obrzydliwa kamienista pustynią... Wstrętne miejsce! Chociaż z drugiej strony, kiedy pomyślał, że nadejdzie dzień, kiedy będzie mógł porzucić tę suchą, okrutną ziemię, opanowywała go dziwna nostalgia, napotkał łagodne spojrzenie błękitnych oczu Wenera, uśmiechnął się do niego szeroko. Chłopak odpowiedział nieśmiałym skrzywieniem warg. Jak dziewczyna, pomyślał Jan. Zawlekli nieszczęśnika na to bezludzie, oderwali od domu, od zabaw młodości. A powinien teraz siedzieć gdzieś w Austrii w swoim majątku i zastanawiać się, co zrobić z tak pięknie rozpoczętym dniem, pójść do stajni obejrzeć ulubionego wierzchowca, uszczypnąć w pośladek kuchenną dziewczynę... Zamiast tego budzi się na twardej ziemi i zastanawia, czy dożyje wieczora.

– Powiem wam – Jan potarł odrętwiały kark – że bezsens naszej wyprawy wydaje mi się dzisiaj równie wielki, jak wczoraj hrabiemu von Wallheim. Mieliśmy znaleźć jakieś

wskazówki i chyba znaleźliśmy. Ten potwór, który ukatrupił Kurta... Czego my jeszcze szukamy?

Piotr z Telford przysiadł przy nim. – Przypominasz mi w tym momencie mojego króla, Janie, nigdy nie wiadomo, kiedy odmieni mu się nastrój, kiedy zaprzeczy temu, co mówił jeszcze przed chwilą. Dlatego nazywają go Oc–e–No, Tak i Nie. A ty wszak wczoraj wyraziłeś zdanie wręcz przeciwne. Chyba że źle usłyszałem.

– Dobrze usłyszałeś. Ale nie spałem pół nocy. Nasłuchiwałem czy coś się nie dzieje, czy nie pełnie tu jakieś paskudztwo. Jeżeli mamy cokolwiek znaleźć, musimy wiedzieć, czego szukać! Tutaj nikt nam tego nie powie.

– Chcesz wracać?

– Sam nie wiem. Ale coraz bardziej mnie to wszystko niepokoi.

– Niepewność? Czyżbym słyszał niepewność w twoim głosie? Nie przypuszczałem, że dożyję takiej chwili!

– Nie drażnij się ze mną. Piotrze. Ty jesteś za tym, żeby iść głębiej w pustynię?

– Nie możemy iść dalej – rozległ się nieoczekiwane głos Edwarda.

– Swansen! – De Morges rzucił mu niechętnie spojrzenie. – Za to skradanie się ktoś cię kiedyś ustrzeli, nie możesz podejść normalnie, jak człowiek? I dlaczego nie możemy ruszać dalej?

– Nomadzi – padła krótka odpowiedź.

– Co znaczy nomadzi? Możesz wyjaśnić?

– Beduini. Przed nami jest jakieś plemię. Liczne, mają wielu wojowników, nie chcemy się chyba na nich natknąć, prawda?

– Skąd wiesz, że tam są? – spytał podejrzliwie Jan. – I w jakiej sile? Pustynny jastrząb przyniósł ci wiadomość?

– Znalazłem ślady. Zrobiłem rekonesans.

– Sam? Mieliśmy się nie poruszać samotnie. Edward spojrzał na niego dziwnym wzrokiem.

– No dobrze, zgoda – de Morges uniósł ręce, jakby się poddawał. – Ty wiesz lepiej jak tutaj jest. A gdzie Vincent? Nie widzę go.

– Pojechał na zachód, sprawdzić, czy droga jest wolna.

– Nie możemy pojechać po własnych śladach?

– A masz ochotę napotkać jeszcze raz tego ghula?

– Zaraz – wtrącił się z boku Konrad von Wallheim. – Skąd wiesz, że on tam ciągle się pęta?

Edward zacisnął wargi w wąską kreskę.

– Rozumiem – powiedział powoli hrabia. – Ten przeklęty stwór pastwi się nad ciałem nieszczęsnego Kurta. Żre naszego towarzysza! O ile już go nie pożarł! Zakopaliśmy go płytko, bo nas popędzałeś. Te kilka kamieni, którymi przykryliśmy mogiłę to dla ghula nic!

Tego chciałeś? Zatrzymać go tam? Że też od razu na to nie wpadłem! To dlatego tak spokojnie sam pojechałeś zrobić rozpoznanie i wysłałeś de Rionne'a. Powinniśmy cię...

– Uspokój się, wuju – Werner położył mu rękę na ramieniu. – Tak widocznie trzeba było zrobić. Musimy zaufać panu Swansenowi.

– Dziękuję, grafie – skinął głową Edward. – Masz rację, tak było trzeba, żeby zatrzymać z dala może nie tylko ghula. Jeśli moje podejrzenia są słuszne, mieliśmy sporo szczęścia, że był sam. Jednakże nie liczylibym na to, że jego uczta potrwa zbyt długo. Zdaje się, że to nie jest zwykły potwór.

– Znowu zagadki. Możesz być mniej tajemniczy? Edward westchnął ciężko.

– Skoro tego żądasz. Piotrze. Lecz nie jestem pewien... Mogę się tylko domyślać.

– Nie szkodzi. Podziel się swoimi domysłami.

– Myślę, że któryś z naszych rycerzy...

Przerwał mu krzyk Wenera: – Vincent! Vincent pędzi ile tchu w koniu! Coś się musiało stać!

Rzeczywiście gnał co sił. Jego klacz wyciągnęła się jak struna, prawie szorując brzuchem po ziemi. Krzyczał. Jeszcze nim zdołali pojąć, co woła, dopadli wierzchowców.

Dobrze, że przynajmniej zdążyliśmy je z rana napoić w tej kałuży, przeleciało przez głowę młodemu Wernerowi.

Rzucił dookoła spojrzeniem. Wszyscy już siedzieli w siodłach z wyjątkiem Jana, który dopinał popręg.

– Saraceni! – doleciał krzyk Vincenta. – Niewierni! W konie! – Po chwili wpadł między nich. – Za mną!

Posłusznie popędzili za nim, od razu zmuszając zwierzęta do galopu. Werner obejrzał się wypatrując wrogów. Rzeczywiście ujrzał kurzawę, jaką wzbić mógł tylko liczny pościg.

Rozróżnić można było drobne figurki jeźdźców. Spojrzał w bok. – Z lewej! – zawołał. – Z lewej!

Samotna postać po skosie zbliżała się ku nim w szaleńczym cwale.

– Zwolnić! Zaczekajcie na niego! – rozległ się okrzyk Swansena.

No tak, pomyślał Werner, teraz przyda się każdy zbrojny, nieważne czy nas tylko szpiegował, pilnował, czy był wrogiem. W obliczu niewiernych nie czas na dociekania.

Powstrzymali nieco wierzchowce. Tamten błyskawicznie zmniejszył dzielącą ich odległość.

– Co za ścigły pod nim podjezdek – mruknął z podziwem Jan de Morges. – Jak błyskawica...

– Naprzód! – rozległ się okrzyk, kiedy przybysz dołączył do grupy.

Znowu runęli pędem do przodu.

– Ciągną od północy! – zawołał nowo przybyły.

Głos wydał się Vincentowi znajomy, jednakże nie potrafił go w tej chwili dopasować do osoby. – Od zachodu i południa też! – odpowiedział.

Na próżno próbował dostrzec rysy tego człowieka. Tonęły w fałdach okręconego wokół hełmu zawoju, teraz furkoczącego bezładnie, rozwiewanego gorącym wichrem cwału.

Widać było tylko jasne oczy o twardym wyrazie. Te oczy też już kiedyś widział, należały do...

Potrząsnął głową, nie, to niemożliwe!

Gorący pęd suchego jak turecki pieprz powietrza wciskał się w każdą szczelinę w okryciu. Wzniecana niespokojnymi podmuchami pustynnego wiatru kurzawa znajdowała nieomylnie drogę, siekąc bezlitośnie wszystkie odkryte miejsca. Hełmy, tak dobrze chroniące w bitwie przed potężnymi ciosami mieczy, były bezradne wobec maleńkich ziaren na pozór bezsilnego piasku. Gnali przez długi czas, oglądając się co chwila za siebie. Pościg pozostawał w podobnej jak na początku odległości za nimi, zdawało się tylko, że ścigających jest coraz więcej.

– Spójrzcie, oskrzydlają nas półksiężycem ze wszystkich stron! – zawołał Konrad von Wallheim. – Zostaje nam tylko droga na wprost!

O ile tam też ktoś nie czeka, pomyślał Werner. Gdyby przyszło do walki, nie przebijemy się, nie ma mowy... Przed oczami stanęła mu śliczna buzia Heleny di Marco.

Szkoda będzie ginąć nie zaznawszy z nią rozkoszy.

– Konie! – krzyknął Vincent. – Niebawem ustaną! Musimy zwolnić!

Jego klacz, nie napojona w oazie razem z innymi końmi, już dawno zaczęła chrapać z wysiłku. A teraz potknęła się raz i drugi, nic im nie przyjdzie z zajeżdżonych wierzchowców.

– Popędzaj! – odkrzyknął de Morges. – Popędzaj! Teraz nie możemy stanąć!

Vincent zerknął w bok, gdzie podążał nowo przybyły. Pokręcił z niedowierzaniem głową. Rumak niósł go lekko, jakby szaleńczy bieg dopiero się rozpoczął.

– Królewski koń – mruknął z podziwem. Poklepał swoje zwierzę po karku. – Pokaż, kochana, że nie jesteś gorsza, daj z siebie, ile tylko zdołasz...

Klacz jakby zrozumiała, co mówi. Rzuciła łbem i przyspieszyła. – Moja kochana – szepnął. – Moja dzielna... Po chwili znów stękała z wysiłku.

– Nie bój się, nie dam cię zajeździć – zaczął ściągać wodze.

Trudno. Skoro trzeba umrzeć, zginie w walce. Może uda się położyć kilku Saracenów.

Może choć trochę opóźni pościg.

– Stać, stać! – rozległ się w tym momencie krzyk. De Morges uniósł się w strzemionach. – Pościg ustał.

Z niedowierzaniem patrzyli tam, gdzie kłęby piachu powoli opadały.

– Dlaczego? Dlaczego stanęli?

Edward bez słowa wyciągnął rękę w kierunku, w którym uciekali. Nad horyzontem lśniła krwawa luna.

– Coś płonie? – De Morges oblizwał spieczone wargi. – Ale przecież tam nic nie ma, nie może być! Tylko piach i skały. Jak wszędzie...

Przed oczami stanęły mu podobne łuny na drodze krucjaty. Chociażby na Cyprze, kiedy w imię Boga palili wsie i kościoły.

– Tam nic nie ma – potwierdził Swansen. – A jednak coś płonie.

– Byłeś tu kiedyś?

Edward potrząsnął przecząco głową. – Nie.

– Co robimy?

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć. Dopiero po chwili tajemniczy przybysz uczynił dłonią szeroki gest. – Są wszędzie dookoła – dobiegł spod zawoju niski, melodyjny głos. – Mamy tylko jedną drogę. Przed siebie. I tam pojedziemy!

– A kimże ty jesteś, przybłędzie, żeby nam rozkazywać?! – zapienił się z wściekłości Konrad. – Nawet nie znamy twojej twarzy ani zawołania!

Jego słowom towarzyszył pomruk aprobaty. Zamaskowany sięgnął do materii misternie zawiniętej wokół głowy. – Teraz to już żadna tajemnica – odparł.

Powoli zdejmował warstwy materiału. Po chwili błysnęło spod niego żelazo. Zdjął hełm, odrzucił kolczy kaptur.

– Wasza królewska mość – jęknął Piotr. – Wy tutaj?!

– Rany boskie! – szepnął Werner. – Matko Chrystusowa!

– Co tu robisz, królu? – spytał podejrzliwie Konrad. – A więc to ty cały czas podążałeś naszym śladem. Nie ufasz nam?

Na twarzy Ryszarda odbiło się zakłopotanie, jednakże natychmiast ustąpiło miejsca zwykłej pewności siebie.

– Wybaczcie, panowie. Ale sami powinniście to pojąć. Anglik, dwóch Austriaków, dwóch Francuzów, nawet świętej pamięci Niemiec i na dodatek dziwny Wiking... Cały krucjatosy bestiariusz. To, że po pobycie w wieży nadal cały czas trzymacie się razem, jakoś mnie nie uspokajało...

– Narażasz się na niebezpieczeństwo! – powiedział z wyrzutem Piotr. – Zostawiłeś wojska... Bez ciebie wyprawa spełźnie na niczym. Przecież mogłeś zginąć, choćby i zeszłej nocy! Na tej pustyni dzieją się rzeczy dziwne i straszne!

– Rzeczy dziwne i straszne dzieją się wszędzie – odparł Ryszard. – A umrzeć też mogę wszędzie. Szczególnie we własnym namiocie. Od ciosu sztyletem, od trucizny... A co do wyprawy, trwa nadal. Wojska wyruszyły pod Jerozolimę. W pochodzie potrzebny nie jestem, Gwidon chociaż tyle powinien...

– Musimy coś zdecydować – przerwał Swansen. – Nie czas na czczą gadaninę.

– Nie wydajesz się zdziwiony obecnością króla, Wikingu – w głosie Jana brzmiała

podejrzliwość. – Wiedziałaś? Edward wzruszył ramionami. – Z tego, co słyszałem o angielskim władcy – odparł wymijająco – nie należy się niczemu dziwić.

Ryszard spojrział dziwnie na Swansena, otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnował.

– Co to może być za łuna? – zastanawiał się Vincent. – Piasek przecież nie płonie.

– Będziemy mieli okazję to sprawdzić – odezwał się Telford. – Patrzcie, pościg znowu rusza!

– W konie!

Zdumieni patrzyli na olbrzymi płomień wyrastający wprost z potężnej skały.

Właściwie nie była to skała, ale prawdziwa góra na środku pustyni. Z obu jej stron biegł rząd skalistych, ostro zwieńczonych pagórków.

– Tu powinno być zupełnie płasko! Nie miałem pojęcia, że w tym miejscu, w sercu pustyni są jakieś góry! W dodatku ogniste. O ile wiem, góry są tam! – Vincent wskazał na północ. Przetarł oczy ze zdumienia. Popatrzył na Edwarda. – A ty wiesz coś o tym?

Swansen jedynie wzruszył ramionami. Ten gest mógł oznaczać wszystko. Im głębiej zapuszczali się w te mordercze równiny, tym bardziej towarzysz wydawał mu się tajemniczy.

Wierzchowce stały z opuszczonymi nisko łbami, u kresu wytrzymałości.

– Mnie bardziej zastanawia – spytał Piotr – dlaczego Saraceni znowu przerwali pościg?

– A po co się będą śpieszyć? – skrzywił się zjadliwie de Morges. – Mają nas. Są wszędzie. Ogarnęli nas półkolem i poczekają spokojnie, aż zupełnie osłabniemy.

– Niech konie się nieco wydyszą – mruknął Ryszard – będziemy się przebijać.

– Nie damy rady!

– No to zginiemy! Kogoś strach obleciał?

– Jest jeszcze jedna droga – odezwał się Swansen.

– Jak to?

Edward wyciągnął przed siebie rękę. – Tam jest wąwóz, a na jego końcu znajdziemy wejście do jaskiń. Tam powinna być woda i łatwiej się bronić...

– Chcesz jechać tam, skąd strzela ten płomień? – zdumiał się Konrad von Wallheim. – A jeżeli to jakieś diabelskie nasienie?

– Byłeś tu już kiedyś, prawda? – spytał jednocześnie Vincent. – A mówiłeś, że nic nie wiesz!

– Słyszałem o tym miejscu – odparł Swansen.

– Czyli jednak wiesz więcej, niż chcesz przyznać! – Jan przyglądał mu się spod przymrużonych powiek.

– Jedziemy – zdecydował Ryszard. – Nawet jeśli przyjdzie nam szczeznąć, to cóż za różnica gdzie. A nuż się uda... Poza tym Edward ma rację. Łatwiej będzie się bronić wśród skał aniżeli na otwartej przestrzeni.

– Tylko ten płomień...
– Mnie też on niepokoi. Ale nie widzę innej drogi.
– On się nie poddaje wiatrowi, zauważyliście? Dmucha wszak mocno, a on płonie równo jak świeca w kościele...

– Nie czas się nad tym zastanawiać. Jedziemy.

Nie śpiesząc się ruszyli w stronę wąskiego przejścia wśród skał. Konrad spojrzął za siebie. Saraceni stali jak przedtem.

– Czuję się niczym zwierzyna na polowaniu z nagonką!

– Nie tylko ty, von Wallheim. Wszyscy się tak czujemy. Więcej, jestem przekonany, że ci Arabowie to nagonka. Zupełnie jakby mieli zagnać nas w to właśnie miejsce.

– Patrzcie! – Jan wskazał skały. – Ktoś tam jest. Przed wąskim przejściem stała jakaś postać. W miarę jak się zbliżali, stawało się jasne, że nie jest to ludzka istota. Długie, sięgające ziemi łapy, zakończone potężnymi pazurami, zjeżona sierść, jarzące się szkarłatem ślepia.

Słysząc było, jak Werner ze świstem wciąga powietrze. – Ghul... To musi być ghul!

Jechali coraz wolniej. Ghul otworzył paszczę i zawył. Potępieńczy głos odbił się od skał, splątał z gorącym wiatrem i rozszedł echem nad okolicą.

– Ma zaschłą krew na mordzie – powiedział przez zaciśnięte zęby Konrad. – Pewnie miał ostatnio niezłą ucztę! Może to jeszcze posoka nieszczęsnego Landberga!

– I co teraz? Zagradza nam wjazd. Konie się płoszą.

– Diabelskie pomiotło, żeby go diabli wzięli! – zaklął Ryszard. Zeskoczył z wierzchowca, wy dobył miecz. Jego potężna postać zdawała się lekko płynąć nad kamieniami, kiedy ostrożnie zbliżał się do bestii.

– Szalony jak zawsze – mruknął Jan do Vincenta. Napotkał jego nieprzytomne spojrzenie. – Człowieku, gdzie ty właściwie patrzysz? Ghul jest tam, po prawej stronie!

– Ojciec – wymamrotał Vincent.

– O czym ty mówisz, człowieku?

Lecz de Rionne nie słuchał. Na skale, z drugiej strony wjazdu do wąwozu, siedział ojciec. Patrzył na niego z tym swoim drwiącym i prowokującym uśmiechem, który był przyczyną większości pojedynków, jakie odbył w życiu. Kiwał głową z politowaniem.

Vincent potrząsnął głową, ale obraz nie chciał zniknąć.

Tymczasem Ryszard zbliżał się do ghula. – Ścierwo – warczał. – Przekłete paskudztwo! Zejdź mi z drogi, bo rozplątam mieczem.

Ghul ryknął przeciągle. Ryszard przyśpieszył kroku. Wtedy niespodziewanie poczwara pisnęła żałośnie. Król przystanął zaskoczony, a ghul opadł łapami na piach.

Zakwilił cienkim, prawie dziecięcym głosikiem. Sprawiał w tym momencie wrażenie istoty zupełnie bezbronnej. Po chwili wstał, odsunął się na bok. Z całej jego postaci wydawało się bić przygnębienie. Wściekły, czerwony blask ślepi przybladł, stojąca dotąd na sztorc sierść wygładziła się nieco, z pyska pociekła strużka śliny.

– Teraz chyba nic nie zrobi – zawołał król, nie spuszczać wzroku z potwora. – Przejeżdżajcie.

Posłusznie zaczęli się przedzierać przez zwał kamieni utrudniający dojście do wąwozu. Konie boczyły się i parskały, ale szły posłusznie.

Kiedy mijali ghula, Werner przyjrzał mu się uważnie. Z wrażenia stracił na chwilę oddech. – Wuju! – trącił strzemię Konrada. – Ten potwór płakał... Widziałeś? Patrzył na króla i płakał... Łzy ciekły mu jak groch!

– Cicho, chłopcze. Jeśli przecucie mnie nie myli, zobaczymy jeszcze dziwniejsze rzeczy...

– Zginiesz, mój synu – powiedział ojciec do Vincenta. – Ostrzegam cię. W końcu zginiesz.

De Rionne zacisnął mocno powieki. Czy on stał się szalony, czy to świat zwariował? Rzucił okiem w bok. Skała była pusta.

– Udało się – odetchnął z ulgą de Morges. – Myślałem, że będzie gorąco...

– Tam – Ryszard zsiadał z konia. – Do tej jaskini! Pobiegli ile sił w nogach. Jaskinia okazała się wejściem do dużego korytarza.

– Ciekawe, czy to natura czy ludzka robota – zastanawiał się Vincent.

– Cicho, coś słyszę!

Z głębi rzeczywiście dobiegały jakieś głosy i kroki.

– Wracamy!

Nagle na zewnątrz zaroilo się od białych burnusów.

– No to nas mają – mruknął Ryszard. – Zamknęli potrzask. Musieli czekać ukryci w skalnych załomach.

W ciemności zaśniły iskierki pochodni.

– Rycerze – powiedział jakiś głos. – Nie stawiajcie oporu, a przysięgam, że nie stanie wam się krzywda!

Ryszard rzucił sceptyczne spojrzenie na tłum arabskich żołnierzy na zewnątrz i mnogość pochodni wewnątrz.

– Stawiać opór – parsknął. – Nawet ja nie jestem tak szalony!

– Panie, tylko nie pokazuj twarzy – ostrzegł Telford. – Ktoś może cię rozpoznać. Zawiń się szczelniej. Powiemy, żeś ranny, jeśli kto zapyta.

– Poddajemy się! – zawołał Edward.

Podszedł do nich drobny człowiek o smagłej twarzy w towarzystwie rosnącego Araba.

– Czego chcesz, brudny Greku? – spytał z pogardą w głosie Piotr.

– Pogański sługus!

– Broń i pancerze pozostawcie tutaj. Ludzie tego, kto chce was widzieć, zabiorą je.

Potem chodźcie za mną.

Rozdział XXII

Grek zakrzętnął się przy dzbanach. – Wina? A może zwykłej źródlanej wody? Mamy tu nawet przednie piwo.

– Jak cię zwa, Gryfonie? – spytał Vincent.

– Co cię obchodzi imię takiego zdrajcy? – rzucił się von Wallheim.

– Nie każdy, kto służy Saracenom jest od razu zdrajcą – rzekł cicho Swansen. – Grecy często obejmują u nich urzędy z ojca na syna.

– A ty co tak za nim obstajesz?

– Nie obstaję za nim, bo go nie znam. Jednakże skoro de Rionne chce poznać jego miano, nie mam nic przeciwko temu. Nie pojmuję, czemu tobie to wadzi.

– Wiking ma rację – wtrącił Ryszard spod swojego zawoju. – Cóż ci to szkodzi?

– Jak cię zatem zowią? – ponowił pytanie Vincent.

– Leonidas, syn Christosa.

– Podaj nam wody, Leonidasie.

– Wolałbym wina – zaprotestował de Morges. – Skoro mam wybór...

– Napijemy się wody – powtórzył z naciskiem de Rionne. – Wino czy piwo mogłoby nam zaszkodzić. Zbyt łatwo ukryć w nich smak innych substancji.

– Ale po co ktoś miałby was truć? – zamachał rękami Grek. – Możecie mi zaufać.

– Podaj wodę!

Pili długo. Wysuszone ciała domagały się wilgoci.

– Dobrze – Vincent oderwał usta od dzbana. – A teraz powiedz, po co nas tu przyprowadziłeś.

– Musicie się rozebrać, abym mógł sprawdzić, czy w waszych szatach nie pozostała w ukryciu jakaś broń.

– Mamy się obnażać przed tobą? – uniósł się Jan. – Nie ma takiej potrzeby. Jestem gotów dać rycerskie słowo, że jestem bezbronny!

– Rozkazy mojego pana są wyraźne. Jeżeli nie poddacie się im dobrowolnie, będę musiał wezwać straż.

De Morges nagle znalazł się przy nim. Mocarna dłoń chwyciła Leonidasa pod brodę i bez wysiłku uniosła nad ziemię. Grek bezradnie zamachał w powietrzu nogami.

– A wiesz, psie, że wystarczy, bym rękę ścisnął w pięść, żeby przetrącić ci brudny kark?

– Puść go, Janie – powiedział spokojnie Piotr. – Nie ma sensu stawiać oporu. Pierwszy się rozdzieje dla przykładu.

Jan niechętnie postawił Greka, który natychmiast zaczął rozcierać obolałą szyję.

– Ciesz się, panie, że nie krzyknął – mruknął. – Byłoby po was.

– Mam może być ci wdzięczny? – Jan roześmiał się, choć darmo było szukać w tym śmiechu śladów wesołości.

– Wdzięczny? Nie. Choć winienes docenić mój uczynek.

– On docenia – wtrącił niecierpliwie Vincent. – Naprawdę docenia. A ty, jak każdy Gryfon, chciałbyś, by traktować cię jak równego uczciwym rycerzom. Kończmy już to żalosne przedstawienie.

Zrzucili ubrania, stanęli nad nimi zupełnie nago, jedynie Ryszard nie odwinął zawoju z twarzy. Leonidas spojrzał pytająco.

– Uważasz, sługusie, że mogłem coś ukryć w tym pasku materiału?

– Nie trzeba wiele – odparł Grek. – Czasem wystarczy struna do lutni albo cienki jedwabny sznurek, by zabić... Muszę i to sprawdzić – wyciągnął rękę, lecz natychmiast znalazła się w żelaznym uścisku. Leonidas syknął z bólu.

– Tylko spróbuj – wycedził Ryszard – a nie zważając na nic roztlukę cię o ścianę.

Rozgniotę jak pluskwę, nie nadużywaj naszej cierpliwości! Nie mam żadnej garoty w ukryciu. Rycerz nie posługuje się takimi narzędziami, w odróżnieniu od asasynów albo was, greckie psy!

– Jednak będę musiał zawiadomić o tym mojego mocodawcę, nie będzie zadowolony.

– Zawiadamiaj, kogo chcesz! A teraz rób dalej, co masz do zrobienia.

– Odziejcie się zatem. Zaprowadzę was na wyznaczone miejsce.

Przemierzali kręte korytarze, czując na sobie baczne spojrzenia strażników ukrytych w niewielkich wykuszach. Mały Grek gdzieś się zapodział, kiedy przechodzili przez dużą, wykutą w kształt elipsy salę. Teraz towarzyszyli im tylko arabscy strażnicy. Wreszcie doszli do celu. Eskorta zniknęła równie nagle, jak przedtem Grek.

Jaskinia była ogromna. Po drodze przebytej w krętych, ciasnych korytarzach wydawała się dziełem giganta. Rozświetlona łuczycami ujawniała fantazyjne kształty, jakie tylko przyroda potrafi stworzyć.

Stali zbici w ciasną gromadkę, rozglądając się czujnie i ciekawie dookoła. Na okazałych galeriach rząd biało odzianych strażników, uzbrojonych w łuki i długie miecze wyglądał jak ozdoba.

– Co to za miejsce? – zastanawiał się Konrad.

– To musi być jakaś ich tajna siedziba – odparł de Morges. – A my jesteśmy zawsze tacy zdziwieni, że potrafią się nagle pojawić jak spod ziemi na środku pustyni. Mnie

bardziej zastanawia ten dziwny odgłos. Słyszę go od samego początku, jak tylko tu weszliśmy. Szum...

Nie, bardziej przypomina chyba syczenie rozjuszonego węża...

Nagle gdzieś z góry zabrzmiał krótki okrzyk, a wokół nich zawrzało. Z bocznych, ukrytych w skalnych załomach korytarzy wysypał się rój Arabów w ciemnoczerwonych burnusach.

– Ku mnie! – zahuczał potężny głos Ryszarda. – Drogo sprzedamy skórę!

– Bez gwałtownych ruchów – zawołał jednocześnie Edward. – Gdyby chcieli nas zgładzić, wystarczyłoby wydać rozkaz łucznikom na galerii!

– Królu – syknął Piotr Telford. – Nie ujawniaj się! Zasłoń szczelniej twarz i przygnij karku! Postawa cię zdradza!

Zostali błyskawicznie otoczeni. Patrzący na nich wrogie oczy, światło łuczyw igrało iskierkami w obnażonych ostrzach i bogato zdobionej oprawie broni.

– Musi przyboczna straż jakiegoś możnego Saracena – mruknął Ryszard. – Tośmy wpadli. U nich co pan, to większy władca i zachowuje się jak sam sułtan.

Trwali tak naprzeciwko siebie. Rycerze w napięciu śledzili każdy ruch przeciwników.

Zdawało się, że jeszcze chwila, a wywiąże się walka na śmierć i życie. Zamiast tego usłyszeli spokojny głos mówiący coś po arabsku. Zbrojni w mgnieniu oka przerwali z jednej strony pierścień, tworząc na tym odcinku krótki szpaler, na jego końcu ukazała się postać w bogato zdobionych szkarłatnych szatach, z twarzą osłoniętą zawojem.

– Mówiłem – znowu odezwał się Ryszard. – Jakiś szalony szejk.

Przybyły spojrzał w jego stronę. Przenikliwe czarne oczy błyszcząły równie mocno, jak klejnoty, którymi przetkane było jego odzienie. – Szalony szejk? – odezwał się, zabawnie kalecząc normandzki język. – Podobno ktoś mnie kiedyś tak nazywał. Dawno temu, kiedy byłem jeszcze młody i prawdziwie szalony. Gdybym takim pozostał, czyż przeżylibyście choć sekundę? Czyż pozwoliłbym giaurom oddychać tym samym powietrzem, co ja?

– Kim jesteś? – spytał Piotr, uprzedzając następne odezwanie się Ryszarda.

– Kim jestem? – roześmiał się tamten, odsłaniając twarz. – Powiedz im, synu Swana – zwrócił się do Edwarda. – Nie licuje mi opowiadać się niewiernym.

– To Malik al-Adil – Swansen pochylił lekko głowę. – Salam allejkum, panie.

– Książę Malik, brat Saladyna – szepnął Jan de Morges. – Racja, żeśmy wpadli.

– Allejkum salam – uprzejmie odpowiedział Malik. – Bądź pozdrowiony ibn Suanie.

I wy bądźcie pozdrowieni, frankońscy wojownicy. Pokój wam pod moim dachem.

Napięcie, do tej pory wręcz namacalnie wyczuwalne, nieco zelżało.

– Ibn Suan – wycedził de Morges, mierząc Edwarda wściekłym spojrzeniem. – Dobry znajomy tego poganina, czyż nie? Swansen, ty...

– Nie pora teraz na wyjaśnienia – przerwał mu Vincent. – Pokój wam, powiedział

książę Safadyn. Jesteśmy bezpieczni. Przynajmniej na razie.

– Jesteście bezpieczni – powtórzył za nim książę. – Nawet ten, który kryje twarz w zawojach burnusa – wbił spojrzenie w Ryszarda. – Jakby był zbójcą, a nie prawym wojownikiem.

Król wziął oddech, jednakże Telford pociągnął go energicznie za rękę. – Milcz!

Jesteśmy w jego władzy! – szepnął, a głośniejszym głosem powiedział: – nasz towarzysz doznał rany twarzy. Dlatego jego głowa jest tak szczelnie omotana.

– To go rzeczywiście tłumaczy. Mogę przywołać mego medyka, żeby obejrzał ranę.

– Nie ma takiej potrzeby – powiedział szybko Piotr. – Została opatrzona jak należy.

– Co to za nieustanny syk, panie? – Jan de Morges starał się odwrócić uwagę od Ryszarda. – Czyżby pośrodku pustyni szumiał podziemny wodospad?

Al-Adil odwrócił spojrzenie od króla.

– Syk? – spytał. – Tak, ten syk... Jest bezustanny i męczący niczym brzęczenie roju os przy drzwiach domostwa. Lecz nie jest to woda, Janie de Morges. Tak, znam wasze imiona, nie bądź zdziwiony. Postrzegacze mojego brata są wszędzie i wiedzą wszystko. Prawie wszystko – znowu obrzucił spojrzeniem lekko zgarbioną, zamaskowaną postać w środku grupy. – A ten syk... Powiedziałem, że to nie woda, a rzecz można, coś wręcz przeciwnego, na pewno widzieliście olbrzymi płomień nad skałą przy wejściu do jaskiń. Właśnie jego głos dociera aż tutaj. To uwięziony demon, ten, który porywał waszych i naszych ludzi...

– Ifryt! – Konrad otworzył szeroko oczy. – A więc to prawda! One istnieją!

– Ifryt? – Malik zmarszczył brwi. – Nie, to coś o wiele straszniejszego. My także na początku sądziliśmy, że to zwykły ifryt-mściciel, może nieco potężniejszy niż o nim zazwyczaj powiadają. Jednakże ten duch okazał się wielokrotnie groźniejszy. Ifryta można bowiem uwięzić, przegnać, uczynić zeń nawet posłusznego dzinna, w ostateczności zniszczyć. Lecz ów tryskający ogniem ze szczytu skały to sam Tir, zwany też Sprawcą Śmiertelnych Wypadków, krwiożerczy syn Eblisa, którego wasze Pismo zwie Azazelem!

– Jezu Chryste! – Konrad przeżegnał się szybko. – Boże, bądź miłościw.

W tej samej chwili rozległ się straszliwy ryk. Był tak potężny, że lita skała, na której stali zdawała się tańczyć pod ich stopami.

– Dość! – krzyknął al-Adil. – Żadnych modlitw! Żadnych znaków wiary! Uśpiony przez naszych derwiszów demon gotów się przebudzić! A wtedy nastanie sądny dzień dla was, Frankowie, dla mojego ludu i wszystkich na Ziemi!

– Trudno w to uwierzyć – mruknął Jan de Morges. – Nie to, żebym wątpił w istnienie demonów. Jednakowoż...

– Mój brat, Salah ad-Din, przez was nazywany Saladynem, także nie mógł dopuścić do swego trzeźwego i światłego umysłu istnienia podobnych bestii. Dopiero gdy sam go ujrzał, kiedy cudem uszedł ze szponów Tira, tylko dzięki poświęceniu swoich żołnierzy,

uwierzył.

Widzicie sami, że zamiast walczyć i próbować was wygnać z Palestyny, musieliśmy poświęcić czas i siły na usidlenie tego demona.

– Jak wam się to udało? – spytał Edward.

– Nie było to łatwe, ibn Suanie – uśmiechnął się Malik. – Do końca mieliśmy jeszcze nadzieję, że to tylko bardzo silny ifryt, dokąd nie nadleciał z zachodu i święty mąż Abd al-Hadžib ostatecznie nie rozpoznał w nim przekłętogo syna Eblisa! Walka była straszna.

Zdołaliśmy go uwięzić tylko dlatego, iż nie spodziewał się oporu, a tym bardziej tego z jakimi duchowymi siłami tu przybyłem! Ilu sprowadziłem kapłanów! Teraz można go nawet zobaczyć. Jesteście ciekawi? Na pewno. Wy, frankońscy najeźdźcy, jesteście bardzo ciekawi, nawet jeżeli zagraża to waszemu życiu. Nawet jeśli miałoby to przynieść zgubę waszym duszom. Może dlatego jesteście takim groźnym przeciwnikiem – dodał ciszej. – Chodźcie za mną.

Kordon strażników stał się jeszcze szczelniejszy, ostrza mieczy pochyliły się, gotowe w każdej chwili zadać mordercze ciosy.

– Książę – powiedział Swansen. – Ta ostrożność jest niepotrzebna. Ręczę własną głową za każdego z tych ludzi. To prawi rycerze. Jeśli przysięgną, że nie narażą cię na niebezpieczeństwo, dotrzymają słowa.

Al-Adil zatrzymał się. – Wierzę, ibn Suanie. Wierzę tylko dlatego, że ty dajesz świadectwo. Niech przysięgną, a każę swoim żołnierzom schować broń.

– Nie dam słowa niewiernemu! – zawołał Konrad von Wallheim. – To byłaby hańba.

Malik zgrzytnął zębami. – Hańbą jest pogarda okazywana wrogom, hrabio! Ale jak chcecie.

– Konradzie – powiedział z naciskiem Vincent. – Dasz słowo. Chyba że masz ochotę wlec za sobą całe to arabskie wojsko i narażać się na sztych przy byle kichnięciu! Oni tylko czekają na okazję, nie zauważyłeś? Jakby to delikatnie powiedzieć: chyba nie za bardzo nas lubią. Tańczymy nad przepaścią na cieniutkiej nici.

– Wszyscy damy słowo – odezwał się cicho głos spod zawoju skrywającego Ryszarda.

– Wszyscy! De Rionne ma rację. Nic nam nie przyjdzie z zabicia al-Adila.

Malik zmierzył go wzrokiem od stóp do głów, po czym skinął z zadowoleniem głową.

– W takim razie zgoda.

Zwrócił się do dowódcy straży, wydając krótki rozkaz. Tamten spojrzał zdziwiony, ale zaraz krzyknął coś chrapliwie, natychmiast wokół krzyżowców zrobiło się pusto. Pozostało tylko kilku ludzi przy osobie księcia.

– Chodźmy.

– Skąd znasz księcia? – Vincent szturchnął Edwarda.

– To właśnie u niego znalazłem się w niewoli. To on sam zwolnił mnie na słowo.

– Zwolnił cię na słowo? – Jan de Morges dosłyszał ich rozmowę. – Dlaczego? Coraz mniej mi się podobasz, Swansen! Mówiłeś przecież, że zbiegłeś!

– Wszystkiego dowiecie się we właściwym czasie – Malik machnął niecierpliwie ręką, nie odwracając się. – Teraz nie pora na rozmowy.

– Ma słuch jak sowa – szepnął z podziwem Werner.

– Raczej jak pustynny skoczek. – Księżę odwrócił się i nieoczekiwanie uśmiechnął do grafa. – To trafniejsze porównanie. W końcu siedzimy w podziemnej norze.

Korytarz okazał się kręty i długi, najwyraźniej wykuty ludzkimi rękami. Był tak wąski, że musieli podążać jeden za drugim, zawadzając ramionami o ściany.

Jan de Morges oddychał ciężko.

– Nie cierpię takich krecich nor – mrucał. – Czuję, jakbym miał się za chwilę udusić.

Jakby te ściany waliły się na mnie.

– Nie myśl o tym – poradził z tyłu Konrad. – Nie opowiadaj, będzie ci łatwiej.

– Łatwiej mi, kiedy sobie ponarzeka! Nauczyłem się tego od mojej cudownej małżonki. Jej też narzekanie sprawiało wyraźną ulgę. I wielką przyjemność. Albo mi się zdaje, albo robi się coraz cieplej. I narasta ten niesamowity syk.

– Zaraz będziemy na miejscu – dobiegł z przodu głos księcia.

Rzeczywiście, po chwili weszli do sporych rozmiarów pieczary. Malik wskazał im następne przejście. – Tędy. Tylko żadnych głośnych rozmów! Najlepiej w ogóle nic nie mówcie!

Wyszli na wysoką galerię. Owionął ich gorący podmuch. Ostrożnie zbliżyli się do kamiennej balustrady biegnącej wzdłuż przepaścistego brzegu jaskini, bodaj jeszcze większej niż ta, w której spotkali księcia.

– Rany bo... – Jan w ostatniej chwili zakrył sobie usta, pomny na ostrzeżenie Malika.

– Co to jest?

Pośrodku jaskini wznosił się słup ognia, ginąc wysoko w sklepieniu. Ściany płomienistej kolumny bezustannie falowały i strzępiły się, jakby wewnątrz walczyły ze sobą olbrzymie siły. Dookoła niej, na dnie, wirowały białe kręgi, układając się w fantazyjne wzory.

W tym miejscu wszechobecny syk zamienił się w odgłos podobny do łopotania tysiąca flag na silnym wietrze.

– Czy to jakieś zaczarowane kwiaty? – spytał szeptem Werner, wskazując na białe kształty. – Cóż to za piękny widok!

– Patrz uważnie – odparł Edward. – Wtedy zobaczysz... Werner wyteńczył wzrok.

Zdumienie odebrało mu mowę.

– To ludzie – wykrztusił przechylony daleko za balustradę Vincent. – To wirujący ludzie w białych, rozwianych szatach!

– Tak, panie de Rionne – skinął głową Malik al-Adil. – To ludzie. Derwisze.

– Ale... nie rozumiem...

– To właśnie ich taniec usypia demona. Oni pomagają zsyłać mu sny. Gdybyś się przyjrzał uważnie, dostrzegłbyś, że ich postaci układają się w kształty niebieskich konstelacji na przemian z wzorem słonecznych promieni i pięcioramiennej gwiazdy.

– Ilu ich tam jest? Stu? Więcej?

– Dokładnie stu czterdziestu czterech. To liczba magiczna, związana z wzorem pentagramu. I nie pytajcie mnie znowu, dlaczego. Nie znam się na demonach.

– Myślałem, że mam pojęcie o zwyczajach tego kraju. – Vincent zmarszczył brwi. – Ale nie słyszałem nigdy o czymś podobnym. O takich grupowych tańcach kapłanów.

– Nikt nie słyszał, bo nigdy nic podobnego nie miało miejsca. Nigdy wcześniej zebrzący mnisi nie czynili podobnych zabiegów.

– Długo tak mogą? To chyba męczące.

– Zdziwiłbyś się, jak długo. Jednak na wypadek, gdy któryś zasłabnie, w pogotowiu czekają inni, by go natychmiast zastąpić. Taniec nie może zostać przerwany...

– Niesamowite – mruknął Jan de Morges. – A ten płomień, czy to właśnie... – zawiesił głos.

– To właśnie Tir, a raczej jego ognista natura. Widzieliście go wystrzelającego w niebo nad skałami, jest i tutaj, a jak głęboko sięga w głąb ziemi, tego nikt nie wie i niech lepiej wiedzieć nie chce.

– Ależ tu upał! – Piotr Telford otarł spocone czoło. – Chodźmy już.

Nie przyznałby się nawet sam przed sobą, że to co widział, wzbudziło w nim uczucie przerażenia. Od ognistej kolumny biła jakaś pierwotna siła, zła moc.

Tak musi wyglądać obcowanie z diabłem, przeleciało mu przez głowę.

– Chodźmy – zgodził się Konrad. Rycerze skwapliwie skorzystali z propozycji.

– Przejdziemy z powrotem do głównej pieczary – powiedział Malik.

Czekały na nich zastawione jadłem stoły, jednakże żaden z rycerzy nie odczuwał głodu. Leżeli na wygodnych posłaniach, obserwując się wzajemnie. Swansen żuł daktyla, de Morges z wyrazem zamyślenia na twarzy bawił się kurzym udem. Malik oddalił się wezwany przez jednego z dowódców straży.

– Robi wrażenie, prawda, panowie krzyżowcy? – odezwał się spod swojego zawoju Ryszard. – Odebrało wam apetyt? Ja tam bym coś przetrącił, gdybym mógł ściągnąć tę szmatę z głowy.

– A ja – Jan de Morges spojrział na trzymane w ręku udko, odrzucił je, potem wbił wzrok w Edwarda – zastanawiam się, jaka w tym wszystkim jest rola naszego towarzysza Swansena. Nie podoba mi się jego zażyłość z saraceńskim księciem. I zaufanie, jakie tamten mu okazuje. Czy nie zaczęliście się zastanawiać, komu on właściwie służy? Bo ja nie mam już wątpliwości. No co, ibn Suan, bo tak cię tutaj nazywają, prawda? Nic nie powiesz? Komu służysz?

– Słusznej sprawie – Edward sięgnął po kolejnego daktyla.

Jan chwycił go za rękę. – To znaczy?

– Dowiesz się w swoim czasie. – Kiedy?

– Zaraz – rozległ się głos Malika. – Hatim – zwrócił się do przybocznego. –
Przyprowadź ją!

Książę spoczął na bogato zdobionych poduszkach. – Wiem, że wy, Frankowie, zwykliście jadać na siedząco. Ja jednak wolę w tym względzie nasze obyczaje. Zanim Hatim przyprowadzi dziewczynę, wyjaśnię wam pewną kwestię. Albo nie. Opowiem coś.

Słyszeliście o tym, jak rodzą się ghule?

– Coś nam Swansen wspominał – odparł de Morges. – O noworodku z pępownią i podobnych bzdurach.

– Ja też kiedyś myślałem, że to bzdury, bajki, którymi straszy się dzieci. Ale posłuchajcie mojej baśni. W pewnym kraju trwała wieczna wojna. Nie, nie wojna domowa, ale walka z najeźdźcami. Lud żyjący na tej ziemi miłował pokój i był gotów wiele poświęcić, aby go uzyskać. Rządził tym państwem mądry i szlachetny władca, mający liczną rodzinę.

Jak to w rodzinie, jedni lubili się bardziej, inni mniej, miał wrogów, ale i ulubieńców, braci i siostry. Jeden z tych braci, aby osiągnąć pokój z najeźdźcami, ofiarował się ożenić z bliską krewną jednego z ich królów, choć obca mu była obyczajami i pochodzeniem. Wyuczył się nawet jej języka, choć brzmiał dla niego niczym krakanie kruka. Chciał ją pojąć jako prawowity małżonek, choć budziła w nim niechęć, by nie rzec obrzydzenie...

– Wybacz, książę, ale miałeś opowiedzieć baśń. A ty mówisz nam o tym, jak zamierzałeś pojąć za żonę siostrę króla Ryszarda. A poza tym ona wcale ciebie nie chciała, o ile wiem...

– Nie przerywaj mi, panie de Rionne! Jego starania spełzły na niczym, bo najeźdźcy pokoju nie chcieli. Wspierał więc dalej swego królewskiego brata w walce, licząc na poparcie sprawiedliwych niebios. Miał książę siostrę piękną jak poranek wstający nad lazurowym morzem. Ta dziewczyna postanowiła, że kiedy tylko nadarzy się sposobność, dokona czynu śmiałego, lecz okrutnego, aby uwolnić swój naród. Znała legendę o tym, jak ghule powstają z ciała martwego noworodka, jak ifryty opiekują się nimi, jak straszna jest ich zemsta.

Podążała wszędzie za swoimi wojującymi braćmi, a oni, żywiąc do niej wielkie przywiązanie, brali to tylko za objaw miłości i nie potrafili jej odmówić. Aż nadszedł ten dzień, na który czekała. Francuski król Filip wylądował w Tyrze. Wojsko najeźdźców ogarnęło obóz, gdzie dziewczyna przebywała w namiocie swego brata. Została wydana na pastwę obcych. Tak właśnie miało być. Liczyła, że nie ważą się jej tknąć brudne żołdackie dłonie, że znaleziona w królewskim namiocie trafi w ręce także

królewskie, nie pomyliła się. Na rozkaz Filipa odesłano ją na Cypr. Tu część krzyżowców walczyła ze zdrazieckim Izaakiem Komnenosem, znieawidzonym jednak przez muzułmanów i chrześcijan, najznamienitszy z frankońskich wodzów uczynił z niej swoją nałożnicę. Lecz szybko, nasyciwszy się niewinnością, stracił do niej serce, kazał iść precz. Dziewczyna odeszła wraz z wierną służką i pewnym przeklętym mułłą. Była już brzemienna. Z rybakami przyплыnęli do wybrzeży Palestyny. Błąkała się długo po szarpanym wojną kraju i poza jego granicami, zanim trafiła z powrotem do swoich. Lecz wówczas nie było już po niej znać ciąży. Początkowo nikt niczego się nie domyślał. Ale wraz z nią pojawił się straszny demon. Wielki i potężny ifryt o nim powiadano...

Przerwało mu wejście Hatima. Prowadził ze sobą niewiastę z zasłoniętą muzułmańskim obyczajem twarzą. Słaniała się na nogach tak bardzo, że żołnierz musiał ją podtrzymywać. Malik wstał z posłania, szybkim krokiem podszedł i zerwał jej z twarzy jaszmak. Ukryła twarz w dłoniach, jednak księżę siłą je oderwał.

– Fatma – powiedział łagodnie. – To krzyżowcy. Nie zgorszy ich widok odkrytego kobiecego lica.

Zwrócił się do rycerzy: – To Fatma, moja ukochana siostra. I ukochana siostra Saladyna – zmrużył oczy, przyglądając się zakrytej twarzy Ryszarda. – Poznajesz ją, królu?

Na pewno poznajesz. Przecież na Cyprze była twoją nałożnicą!

Oprócz Edwarda wszyscy zerwali się z miejsc, skupiając w gromadzie. Czekali na atak. Zamiast tego usłyszeli śmiech Malika. – Frankowie – zawołał. – Od samego początku wiem, kto ukrywa się pod tą szmatą! Mieliście mnie za głupca? Gdyby chodziło tylko o jego śmierć, dawno i z wielką przyjemnością bym go zabił, mimo że cenię w nim waleczne serce i duszę prawdziwego wojownika, mimo że przy układach siadywaliśmy przy wspólnym stole!

Niestety, rzecz jest bardziej skomplikowana... Siadajcie spokojnie i słuchajcie.

Jeszcze nie wierząc do końca zapewnieniu księcia, niechętnie wrócili na miejsca.

Ryszard z wyraźną ulgą zdjął z głowy zwój materiału, natychmiast sięgnął po najbliższy stojący dzban. – Wino – mruknął. – Tutaj wino, a przedtem jeszcze proponował nam je Grek...

Przecież Prorok zabrania...

– Nam zabrania – odparł al-Adil – choć wielu spośród nas lekceważy zakazy Koranu.

Jednakże ten poczęstunek jest dla was.

Teraz dopiero powstał Swansen, chwiejnym krokiem ruszył w stronę dziewczyny.

Powstrzymało go groźne spojrzenie księcia. Ociągając się, wrócił na swoje miejsce. Vincent patrzył zdziwiony. Zdawało się, że nikt poza nim nie zwrócił uwagi na to zdarzenie.

– Fatma! – Malik spojrzał na siostrę. – Opowiedz, co zrobiłaś?

Dziewczyna zaczęła niewyraźnie bełkotać.

– Mów w ich języku! Nie kalaj naszej mowy opowieścią o swej zbrodni!

Spojrzała nieprzytomnie, ale słowa brata dotarły do niej, bo wymamrotała: – Taki był malutki... Moje dziecko... Zabiłam moje dziecko... – siadła na ziemi, zaczęła się kiwać w przód i w tył. – Tak płakał... Może był głodny... nie przytuliłam, bo muła zabronił.

Zostawiłam i poszłam. Wróciłam, kiedy księżyc stał już wysoko. Muła mówił, że do tej pory umrze, ale żył jeszcze. Kwilił cichutko, jak mały kotek... Więc znowu odeszłam... A mleko płynęło z piersi... Nie dałam, nie nakarmiłam... A później, w ciemności...

– Przestań! – krzyknął de Morges. – Nie męcz jej! Malik zmrużył oczy i zagryzł wargi.

– Najechaliście mój kraj, pograżyliście go w wojnie. Wasz król zhańbił moją ukochaną siostrę! Gdybym miał wymieniać krzywdy, których od was doznaliśmy, nocy by nie starczyło. Więc nie każ mi teraz przestać! Ja musiałem tej historii wysłuchać i wy też musicie! Mów, Fatma! Mów, co zrobiłaś potem!

– Chcieliśmy uczynić tak, żeby ghule na pewno znalazły truchelko. Jest pod Damazkiem taki cmentarz... Przekłęte miejsce, upiory przychodzą tam każdej nocy.

Zakopałam maleństwo przy świeżym grobie... Uciekłam... Zrobiłam wszystko, jak kazał muła... Poświęciłam swoją rodzinę. Swój lud wydałam na pastwę demona, by wybił także jego wrogów... Jak mówił muła?... Żeby inni byli wolni... – z oczu popłynęły jej łzy.

De Rionne zerknął na Edwarda. Siedział z zaciśniętymi pięściami, oczy mu wyraźnie zwilgotniały. Wyglądało na to, że panuje nad sobą ostatkiem sił. O co w tym może chodzić?

– Ów muła nawkładał jej w głowę takich bredni. Towarzyszył jej przez cały czas, udając przywiązanego opiekuna. Rozerwaliśmy go końmi – powiedział Malik po chwili milczenia, po czym westchnął. – Na mękach wyznał, że karmił się brudnym złotem Bizancjum. Tak... Basileus z Konstantynopola ma długie ręce, a was nienawidzi na równi z nami. Nie tylko on jeden zresztą. Zainteresowanych mogło być więcej stron, choćby Izaak Komnenos, któremu król Ryszard po zwycięstwie założył na szyję złotą obrozę, a na przeguby złote kajdany. Są jeszcze miejscowi panowie patrzący krzywo na wzrost potęgi angielskiego monarchy, są wreszcie i kupcy... Prawdy nie dojdiesz. A ty, królu, teraz już chyba wiesz wszystko – zwrócił złe spojrzenie na Ryszarda. – Jesteś ojcem tego ghula, który pozbawiony w tej chwili opieki swojego demona krąży pośród okolicznych skał! Jesteś jedyną osobą, poza jego rodzicielką, jakiej nie może zgładzić bez pomocy opiekuńczego ducha!

– To dlatego nie rzucił się na ciebie przy wejściu do jaskiń! – zawołał Konrad.

– To dlatego płakał... – rozległ się szept.

Malik zerknął bystro w stronę Wenera. – Płakał, powiadasz, młody Franku? Królu Ryszardzie – oznajmił. – Powiniennem cię jednak wydać na pastwę Tirowi! Siadaj teraz! Nie prowokuj mnie, żebym nie dał znaku łucznikom!

– Swansen – rzucił zdławionym głosem de Morges. – Ty nas tu przywiodłeś... Nas i króla! Wiedziałaś o wszystkim! Po co w ogóle wracałeś od niewiernych?

– Ibn Suan wypełnił tylko swoje zadanie – odpowiedział Malik, uprzedzając Edwarda.

– Miał tutaj przyprowadzić króla Ryszarda i kilku frankońskich rycerzy, żeby wysłuchali posłania mego brata.

– No tak – mruknął Ryszard, sięgając po kielich. – To dlatego przyszedł do mnie i naopowiadał dziwnych rzeczy, zasiał niepokój... Żeby mnie wyciągnąć na pustynię.

– To dlatego snułeś opowieści o ghulach i ifrytach. Żeby nas na to wszystko jakoś przygotować – rzekł Konrad.

– To dlatego tak upierałeś się, żeby iść do angielskiego króla – dodał Vincent. – Teraz rozumiem.

– Ty zdrajco! – wrzasnął Jan. – Zabiję cię! – zerwał się i dopadł Edwarda. Mocarne żylaste dłonie zacisnęły się na gardle Normana. Swansen zaczął charczeć. Jednakże po chwili ucisk zelżał.

– Zostaw go – powiedział spokojnie Ryszard, bez wysiłku odrywając ręce Jana od szyi Swansena. – Co zrobił, to zrobił. Nie pora teraz na dokonywanie sądu.

Vincent spojrzał zaskoczony. Skąd tyle opanowania u znanego z gwałtowności króla?

Czyżby czuł się winny?

– Czego chcesz, al-Adil? – Ryszard odwrócił głowę w stronę księcia. Wciąż trzymał ręce de Morgesa w niedźwiedzim uścisku.

– Niczego. Wasze dotychczasowe spotkania, królu niewiernych, choć przyjazne, niech pójdą w zapomnienie za to, co uczyniłeś. Gdyby to ode mnie zależało, wszyscy smażylibyście się na pustyni związani w kij, czekając na śmierć. Mam posłanie od samego sułtana.

– W takim razie czego chce Saladyn?

– Zanim odpowiem na to pytanie, udamy się do świętego męża...

– Zanim udamy się tam czy gdzie indziej – przerwał mu Jan de Morges – chcę wyzwać twojego szpiega, Swansena czy tam ibn Suana, jak go w swoim plugawym narzeczu nazwaliście, na ubitą ziemię. Tu i teraz! Chyba że nie chcesz uszanować rycerskiego obyczaju.

Malik spojrzał pytająco na Edwarda. Ten skinął głową. – Wyzwał mnie. Od tego nie ma odwołania. Tylko on sam może zaniechać pojedynku.

– Na pewno nie zaniecham!

– W takim razie – rzekł Malik – nie mam nic przeciwko temu obyczajowi. I my

rozstrzygamy podobne spory walką. Jeśli tak trzeba, zgoda. Widzę, że obaj tego potrzebujecie. Tu i teraz! Każę przynieść broń.

– Janie – powiedział Vincent – to nie najlepsza pora...

– Tu i teraz! – powtórzył z uporem de Morges. – Zabiję tego sługusa niewiernych!

Konrad von Wallheim ze zmarszczonym czołem spoglądał na towarzysza. Kto by pomyślał, że znany z łagodnego usposobienia Jan ujawni tak krwiożercze oblicze. Ryszard, Vincent, Piotr, on wreszcie. Ale Jan? Okrutne okoliczności wyzwalały okrutną naturę człowieka. Widać, że de Morges chce po prostu kogoś zaszlachtować, a kogo, to już mniej istotne. Padło na Swansena.

Rozdział XXIII

Pierwszy cios Jan zadał na próbę. Szybkie, niedbałe cięcie ześliznęło się po zasłonie, natychmiast musiał sparować błyskawiczny sztych mierzony w szyję.

– Nieźle – wymamrotał. – Poduczyłeś się ich sztuki... Edward nie odezwał się. Czujnie śledził poczynania przeciwnika. De Morges niespodziewanie przerzucił miecz do lewej dłoni i zrobił nagły wypad. Swansen zatańczył w szybkim obrocie. Ostrze o włos minęło pierś.

Gdyby miał pancerz, pozwoliłby ześliznąć się klindze po zbroi i sam zadał mordercze pchnięcie, nie pora jednak na rozważania. Potężny cios prowadzony od dołu na lewe biodro ledwie zdążył odbić niską paradą. Uderzenie było tak potężne, że miecz zadrżał w dłoni.

Rzucił się do przodu, pokrywając przeciwnika błyskawicznymi cięciami i sztychami.

Patrzącym zdawało się, że lada chwila któryś cios musi przebić się przez obronę Jana. Ten zaś, błyskawicznie parując uderzenia, cofał się przed furią ataku, aż w końcu za plecami poczuł skałę.

– Koniec zabawy – mruknął.

Niespodziewanie szybkim zwodem uniknął kolejnego ciosu, walącego na skos od lewa wprost na głowę, odepchnął się mocno od ściany, żeby zanurkować pod młynkującym ostrzem. W ułamku sekundy znalazł się za plecami przeciwnika. Jednakże Edward nie dał się zaskoczyć. Sparował płytkie pchnięcie, zatrzymał klingę Jana na swoim ostrzu i korzystając z rozpędu nadanego starciem, zaatakował łokciem.

To był błąd. Jan skorzystał z okazji. Łokieć wylądował na jego potężnej piersi, co nie zrobiło na rycerzu większego wrażenia, po czym chwycił rękę Swansena w potężny uścisk, pociągnął ku sobie, a kiedy ten próbował przeciwstawić się ogromnej sile, energicznie go odepchnął. Edward zatoczył się, usiłując odzyskać równowagę. Kątem oka zobaczył rozmazaną w morderczym pędzie klingę, ostatnim wysiłkiem zdołał postawić zasłonę. Cięcie było potężne. Nigdy w życiu nie przypuszczał, że ktoś może tak silnie bić mieczem.

Przełamująca zasłonę siła uderzenia spowodowała, iż ostrze własnej broni cięło go w podudzie. Jęknął przeciągle, opadając na kolana. Upuszczony miecz brzęknął o

kamienie.

Z niedowierzaniem spojrział w dół. Krew z rozplątanej nogi płynęła silnym strumieniem.

Uniół wzrok, nad nim stał Jan de Morges, szykując się do zadania ostatecznego ciosu.

– Spodziewałeś się, zdrajco, że uratują cię sztuczki Saracenów? – powiedział mrużąc oczy. – Ja też zdążyłem ich trochę poznać. A teraz żegnaj... Może spotkamy się w piekle – zawiął nad głową mieczem.

Swansen bez zmrużenia powiek patrzył mu prosto w twarz. Broń nabrała niepowstrzymanego pędu zmierzając wprost ku obnażonej szyi. W ostatniej chwili Edward odruchowo przymknął oczy.

Nagle rozległ się brzęk metalu i wściekły głos Jana: – De Rionne, nie wtrącaj się!

A może ty też jesteś z nimi w zмовie?

Vincent zablokował cios, trzymając oburącz miecz upuszczony przez Swansena. Jan, zaskoczony obrotem sprawy, opuścił ostrze. De Rionne poczerwieniał na twarzy. Konrad, Piotr i Werner zerwali się na równe nogi. Tylko księżę Malik siedział spokojnie, wpatrzony w strugę krwi uchodzącej z uda Edwarda.

– Za takie słowa powinienem cię zabić, de Morges – wycharczał wściekle Vincent. – Uwierz mi, że sam chętnie posłałbym Edwarda w zaświaty, jeśli zdradził. Jeśli! Słyszysz?!

Jan potrząsnął głową. – O co ci chodzi? Sam słyszałeś! Trzeba go zabić jak wściekłego psa!

– Nie pozwolę go zarznąć jak wieprza, zanim nie dowiemy się wszystkiego! Rzuć miecz i przestań się zachowywać, jakbyśmy byli w słodkiej Francji! W tym kraju nie wszystko jest takie, jakim się wydaje. Nie zauważyłeś?

Jan skrzywił się niechętnie, lecz odłożył broń. – Może zbyt krótko tu jestem – odparł. – Nie tak, jak ty, banito. Ale zdrada ma tylko jedno oblicze. Dobrze, de Rionne. Poniecham go na razie, ale tylko w imię naszej przyjaźni. Z żadnych innych względów!

Malik zawołał coś po arabsku. Natychmiast nadbiegło kilku ludzi, unosząc ze sobą broczącego krwią Swansena.

– Zajmie się nim mój najlepszy lekarz – rzekł księżę z wyraźną troską w głosie. – Jest biegły w swym rzemiośle, więc mam nadzieję, że zdoła zatamować krew. To paskudna rana.

Jesteś niespotykanie silny i szybki, panie de Morges.

– Moja siła i zwinność są niczym w porównaniu z przymiotami króla Ryszarda – odparł Jan. – I nie jest to czcze gadanie. To wielki wojownik i prawy mąż.

Malik obrzucił Ryszarda niechętnym spojrzeniem. – O jego sile wiele słyszałem, a nawet sam miałem okazję ją podziwiać. Lecz nie mów mi o prawości. Takich prostych wojowników jak ty cenię bardziej. Nie spodziewam się, byś był zdolny do czynów,

jakimi zasłynał ten władca. Jak choćby rozkaz porozrzynania brzuchów tysiącom jeńcom, by sprawdzić, czy nie połknęli złota... Taka chciwość dopomina się kary!

Jan zacisnął wargi. Spojrzał na króla. Ten, jak gdyby nigdy nic, łapczywie ogryzał solidny kawał mięsiwa. De Morges czekał chwilę, aż Ryszard coś odpowie. Na próżno. Jego obojętność była wręcz przerażająca.

– To król – wymruczał w końcu rycerz. – Nie przystoi mi osądzać jego poczynań.

– Ale mnie przystoi – odrzekł Malik. – Dość o tym. Chodźcie za mną. Święty mąż czeka, a jego czas jest drogi.

– Giaurzy... Przybyliście niszczyć i rabować? – Głos starca skrzypiał niczym źle naoliwiona oś wozu. Siedział z zamkniętymi oczyma na drewnianym podwyższeniu. Długa siwa broda opadała aż na miękkie atlasowe trzewiki.

– Przybywamy w pokoju – odpowiedział Ryszard. Starzec uchylił powieki. Spojrzały na nich wodniste oczy o nieoczekiwanie ostrym wyrazie. – Giaurzy – powtórzył. – Przybyliście niszczyć i rabować...

– Przybywamy... – Ryszard podniósł głos, ale przerwał mu Malik: – Czcigodny Abd al-Hadžib nie rozumie waszej mowy. Słowa, które wypowiedział są jedynymi, jakie zna, a nauczył się ich podobno jeszcze za czasów pierwszej waszej wielkiej wyprawy na nasze ziemie. Będę tłumaczył to, co chce wam przekazać.

Zwrócił się do starca. Chwilę rozmawiali. Widać było, że dumny książę okazuje tamtemu wielki szacunek, wręcz uniżoność. Werner przyglądał się scenie, chłonąc każdy szczegół. Tak jak przedtem wraz z innymi odczuwał zło płynące od ognistego słupa w wielkiej jaskini, tak teraz czuł, iż ten stary i na pozór bezradny człowiek jest w istocie rzeczy kimś potężnym, wyrastającym ponad zwykłą ludzką miarę. Zerknął na wuja. Konrad przygryzł wargi, usilnie nad czymś rozmyślając. Krok dalej Piotr z nieobecnym spojrzeniem masował policzek. De Rionne wraz z Vincentem stali z tyłu, nie widział ich, jednak był pewien, że i oni ulegli dziwnemu nastrojowi tego miejsca.

– Czcigodny al-Hadžib – zwrócił się do krzyżowców Malik – pyta, czy jesteście gotowi przysiąc, że to, o czym za chwilę usłyszycie, nie wyjdzie poza tę komnatę.

– Jesteśmy – odpowiedział Ryszard. – Przysięgamy.

– Chcę to usłyszeć od wszystkich. Rycerze po kolei złożyli przysięgę.

– W takim razie, słuchajcie.

Al-Hadžib wbił przenikliwy wzrok w księcia. Malik odetchnął głęboko, przymknął powieki. W miarę jak starzec mówił, książę zdawał się zasypiać, wyglądało to tak, jakby jedynie jego monotony głos był obecny na tym świecie, a duch unosił się gdzieś w przestworzach.

– Opowiem wam o hańbie królewskiej krwi. Opowiem, dlaczego nieopatrzny uczynek okrutnego króla i zrozczonej dziewczki uwolnił spod ziemi straszego demona. Nie uszanowałeś, Ryszardzie, cnoty siostry sułtana. Splugawiłeś swoim giaurzym nasieniem jej dziewicze łono. Chciało nieszczęsne dziewczę uratować swój lud, chciało,

by najeźdźcy zostali pognębieni. To wiecie, bo rzekł wam już o tym księżę. Powiedziano jej, że dla dziecięcia szlachetnego pochodzenia zjawi się mściciel potężny, zdolny wyrząć najeźdźców, choć jego ofiarą padnie także plemię, z którego ona sama pochodzi... Że nie zmoże go żadna ludzka siła. Lecz nie wiedziała, że gdy podobną zbrodnię popełni córka królewskiego rodu, kiedy wyda na pastwę ghulom zrodzone z podwójnie królewskiej krwi dziecko, nie nadleci do niego zwykły ognisty duch, ale sam szejtan przyśle swego ukochanego syna... To on w postaci ifryta żywi siebie i dziecko trupami ofiar. Z każdym dniem staje się silniejszy i okrutniejszy. Aż nadejdzie taki czas, że nie wystarczy mu tylko odnaleźć i zgładzić grzesznych rodziców. Gdy już urośnie w siłę, nie spocznie, dokąd nie wytępi ludów, z których pochodzą. A kiedy dokona tej rzezi, przyjdzie czas na całą resztę ludzi... I nie będzie baczył, czy to Kurdowie czy frankońscy siepacze... Nie zostawi w spokoju innych ludów islamu, innych ludów świata... To wielka tajemnica. Ci, którzy ją znają, nie zasną spokojnie, dokąd stąpają po przeklętej ziemi, dokąd Tir hula po pustynnych szlakach... A jeśli straszny demon wyrwie się z sennych omamów, które tu na niego zsyłamy, zdobędzie nowe siły i zwoła na pomoc swych piekielnych braci, synów Eblisa. Wezwie Awara, demona lubieżności, i Dasimę, władcę niezgody, i Suta – ojca kłamstwa. Rozpętają wielką burzę, a po niej na całej zamieszkaney Ziemi nastanie ciemność i wielki płacz.

– Przecież on mówi o końcu świata – szepnął Werner. – O Apokalipsie.
– Milcz, chłopcze – syknął Vincent. – I słuchaj!
– Chciała dziewczyna – ciągnął tymczasem starzec – poświęcić swą rodzinę, poświęcić całe plemię, wszystek lud kurdyjski, by inni mogli spokojnie żyć. Zły człowiek sączył jej do głowy jad pod pozorem wielkiej mądrości. Ten zły człowiek sam nie wiedział, jak straszną powołają do życia potęgę... Strzeżcie się. I niech ma się na bacności ten, który jest zdolny ujarzmić ludy pustyni! Niech ten, o którym powiadają prorocstwa, że nadejdzie, by rządzić Wschodem i Zachodem, nie da się zwieść własnej pysze! Jest tylko jedna droga ratunku przed gniewem piekła. Lecz o tym opowie wam jego dostojność, księżę Malik.

Al-Hadžib zamknął oczy. Al-Adil drgnął jakby został dotknięty rozpalonym żelazem.

Starzec coś do niego powiedział. Malik skinął głową, podszedł i ucałował wyschniętą dłoń.

– Musicie teraz wybaczyć, ale czcigodny mędrzec ma pilne zajęcia.
Jan rzucił zdziwione spojrzenie.
– A cóż on może mieć takiego pilnego do roboty? Taki staruszek...
– A jak myślisz, panie de Morges, kto zsyła Tirowi senne wizje?
– Byłem pewien, że to tamci tańczący derwisze...
– Oni tylko służą pomocą czcigodnemu Abd al-Hadžibowi... Są niezbędni, jednakże bez jego wiedzy i potęgi byłiby bezradni na podobieństwo dzieci błędzących pośród

pustyni w ciemnościach. A jemu nie zostało zbyt wiele czasu.

Znowu spoczęli na wygodnych poduszkach. Tym razem nawet Ryszardowi nie dopisywał apetyt. Malik zmierzył go uważnym spojrzeniem. – Porozmawiamy teraz, jak to wszystko ułożyć. Przekażę posłanie od mego brata. I pamiętajcie po kres życia, że wszystko, co już zostało i zostanie powiedziane, jest tajemnicą.

– Nie trzeba nam tego przypominać – odrzekł Jan. – Powiedz tylko, księżę, czy ta dziewczyna, Fatma, naprawdę chciała poświęcić swoich ludzi, żeby tylko nas usunąć?

Młody Werner poczuł nagle, jakby w dusznym powietrzu przeleciał lodowaty podmuch. Zadrżał. Jakąż ulgą byłoby teraz uczynić znak krzyża albo zmówić modlitwę...

Nigdy nie przypuszczał, że tak bardzo może brakować tego, do czego przymuszano go od wczesnego dzieciństwa, a co wydawało się tylko zwykłym, często przykrym obowiązkiem...

Ryszard słuchał rozmowy wsparty na łokciu.

– Powiedz w końcu, czego chce ode mnie Saladyn – wtrącił. – Te wszystkie dociekania o ghulach i innych demonach zostawmy sobie na później. O ile zdołałem poznać sposoby działania twego brata, pragnie to całe zamieszanie obrócić na swoją korzyść. Jest sprytny jak każdy brudny Arab!

Malik zerwał się. W mgnieniu oka był przy królu. Chwycił go za szatę na piersi, szarpnął w górę. Krzyżowcy poderwali się również, ale przed działaniem powstrzymał ich szcęk oręża. W jaskini znowu zaroilo się od czerwonych burnusów. Strażnicy na galerii napięli łuki.

Księżę wbił pałające wściekłością spojrzenie prosto w źrenice Ryszarda. – Nie nazywaj brudnym tego, kto przewyższa cię szlachetnością, tak jak wysokie góry przewyższają cuchnące bagno! I nie nazywaj zwykłym Arabem kogoś, kto pochodzi ze starożytnego ludu Kurdów! Gdyby nie wyraźne rozkazy mego brata, kazałbym cię dzisiaj wbić na krzyż, na nic nie zważając. Ciekaw jestem, czy zniósłbyś to równie dzielnie, jak prorok, którego nazywacie Synem najwyższego, a którego imienia nie wolno mi wymówić w plugawej bliskości Tira!

Ryszard zacisnął szczęki, złapał nadgarstek al-Adila, ścisnął. Malik skrzywił się z bólu, ale nie rozluźnił chwytu. De Morges obserwował go z podziwem, na własnej skórze przekonał się niedawno jaka moc drzemie w potężnym ciele angielskiego króla. A tymczasem ten szczupły Saracen nie zamierzał ustąpić, choć widać było, ile cierpienia kosztuje go mocowanie się z przeciwnikiem.

– Mógłbym cię teraz zabić – wycedził Ryszard. – Zanim twoi ruszyliby palcem, miałbyś skręcony kark!

– Zrób to! – wydyszał Malik. – Uczyń tak, a nie zdążysz nawet powstać na nogi! Zabij mnie, a moi ludzie zarzną twoich towarzyszy i ciebie. I niech szejtan bierze wszystko!

Ryszard puścił smagłą rękę księcia. Z powrotem opadł na poduszki i sięgnął po jęczmienny placek, zupełnie jakby nic się nie stało.

Malik wrócił na swoje miejsce.

– Mój brat – zaczął – Salah ad-Din Jusuf ibn Ajjub, śle swojemu królewskiemu wrogowi pozdrowienie. Mój brat pragnie, aby między tobą a nim nastał pokój i porozumienie.

Pragnie, abyś zawarł z nim honorowy układ i odszedł wraz ze swym wojskiem, pozostawiając w spokoju ziemię nie należącą do ciebie ani króla Francji, ani cesarza Niemiec, ani żadnego innego narodu, który najechał nasze dziedziny.

– Nie rozumiem – wyszeptał pobladłymi wargami Vincent. – Saladyn nie szuka pomsty za to, co spotkało jego siostrę?

– On, panie de Rionne – odparł Malik – jest nie tylko sułtanem, wielkim władcą i wodzem. Jest także mędrce. Nie szuka pomsty, bo to, co uczyniła Fatma, uczyniła z własnej woli i zły owoc jej poczynań nie powinien spaść na cudzą głowę, choćby ta głowa po tysiąckroć zasłużyła na karę za swe uczynki.

– Mów dalej – przerwał niecierpliwie Ryszard. – Przecież nie sprowadziłeś mnie tutaj tylko po to, żebym usłyszał, jak Saladyn mi przebacza! Z tego, co zrozumiałem, oczekuje, że odejdę z Palestyny, tak?

– Dobrze zrozumiałeś.

– Nie rozumiem tylko, co mu to da?! Nawet gdybym wrócił do Europy, zawsze zostanie tu Konrad z Montferratu, różni książęta, baronowie i mnóstwo wojska!

– Jeśli nawet zostaną, poradzimy sobie z nimi. To ty masz odejść!

Krzyżowcy słuchali tej wymiany zdań z coraz większym zdumieniem. To było coś, co wymykało się ich zdolności pojmowania rzeczywistości.

– Dlaczego? – dopytywał się uparcie Ryszard. – Czemu ja?

– Dlatego! – Malik wskazał przejście do sąsiedniej jaskini. – Dlatego, że tam jest Tir! Dlatego, że jeśli się zdoła uwolnić, dokona dzieła zniszczenia!

– A jeżeli obiecuję opuścić Ziemię Świętą?

– Wtedy dopiero powiem, jakim sposobem można odesłać demona tam, gdzie jego miejsce!

– Powiedz mi, dlaczego tak bardzo upieracie się przy moim odejściu?! – Ryszard nie dawał za wygraną.

– Powiem dopiero, kiedy złożysz przysięgę.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Uwolnię Tira! – w oczach Malika zalśniło szaleństwo.

– Lepsze to niż...

– Niż co?

– Dopiero, kiedy złożysz przysięgę.

– Chcę się zastanowić.

– Oczywiście. Jeśli życzysz sobie zostać sam, Hatim zaprowadzi cię do mojej kwatery.

Tam będziesz miał spokój.

– Nie ma potrzeby. Pragnę tylko jeszcze rzucić okiem na tego demona.

– Jak chcesz, giaurze.

Ryszard nie zabawił długo. Wrócił z mocno skwaszoną miną. – Albo mi się zdaje, albo ów płomień jest coraz większy.

– Czcigodny mędrzec słabnie – powiedział cicho Malik.

– Mówiłem, że nie zostało mu wiele czasu.

– Zgoda, Saracenie. – Ryszard odzyskał zwykły wigor. – Powiedz, co mam zrobić.

– Najpierw przysięga. Odejdiesz ze swoimi wojskami, kiedy tylko nadarzy się sposobność. Przedtem zawrzecie z sułtanem rozejm na warunkach, jakie on poda!

– Przesadziłeś – zachnął się Ryszard. – Na to nie mogę się zgodzić.

Malik patrzył na niego nieodgadnionym spojrzeniem. – Dobrze. Pozostańmy rozejmie.

Jakoś się dogadamy co do warunków, nie czas na targi. Przysięgasz?

– Przysięgam.

– Na co?

– Na tego, którego imienia nie mogę tutaj wymówić... Malik roześmiał się. – Na coś, co cenisz naprawdę!

– Czego ty ode mnie chcesz?

– Wiążącej przysięgi.

Ryszard zaciął zęby. – Wystarczy, że dałem słowo. W obliczu tego, co nam zagraża nie zamierzam nim szastać ot tak sobie! Musisz mi uwierzyć. Tak jak ja wierzę, że po wszystkim nie rozkażesz nas po prostu wyciąć.

Książę długo wpatrywał się w jego twarz. – Niech będzie. Teraz twoi wojownicy. Po kolei zaręczycie słowem honoru, że dopilnujecie, aby nasz układ został dotrzymany!

– Znowu – jęknął Konrad. – Toż przed chwilą dawaliśmy słowo.

– Bez ociągania! – popędził ich Ryszard.

– Tak – powiedział Malik, kiedy skończyli. – Właśnie dlatego was wszystkich tutaj potrzebowałem, nie tylko jako świadków, ale też zobowiązanych do przeprowadzenia tego, co uzgodnimy. Jeżeli nie dotrzymacie przyrzeczeń, utwierdzicie mnie tylko w moim mniemaniu o was, chrześcijanie. A teraz do rzeczy – niecierpliwie strzepnął palcami, powstrzymując protest von Wallheima. – Mogę wyjawić, jaka jest droga ratunku. W jeden tylko sposób można odesłać demona tam, gdzie jego miejsce przy boku Azazela.

– Mów – rzekł niecierpliwie Ryszard. – Niech to się wreszcie wyjaśni.

– Ghula musi zabić własną ręką ten, który go spłodził. Tylko on spośród ludzi jest w stanie zgładzić młodego ghula, pozostającego pod opieką demona, nikt inny. Gdy tego

dokona, ciało bestii winno zostać spalone w ogniu jego opiekuna, nie muszę chyba wyjaśniać, że w przypadkach, kiedy rzecz dotyczy zwykłych ludzi, nie ma o tym mowy, gdyż nikt nie zadaje sobie trudu, by ofiary usidlić w postaci płomienia. O wiele prościej i bezpieczniej wydać mu rodziców na żer i przebłaganie. Tym razem mamy jednak do czynienia z Tirem.

Ten, jak sami słyszeliście, niczym się nie zadowoli. A skoro został uspiony, jest możliwość spełnienia drugiego warunku...

Ryszard aż skrzyknął się ze złości. – Podstępem wydarłeś ode mnie przyrzeczenie, że odejdziesz, Saracenie! – zawołał tak głośno, że echo oddało jego słowa wielokrotnym pogłosem. – Potrzebujecie mnie tak czy inaczej! Bez znaczenia, zostanę czy nie! Tak mnie podejść! Ty podły Arabie!

Malik spokojnie zniósł wybuch. – Spójrz na to z drugiej strony – odparł z lekkim uśmiechem. – Cóż stałoby na przeszkodzie wykorzystać cię do zgładzenia ghula, a potem po prostu zarżnąć?

Ryszard zastanowił się. – Prawda – rzekł z pewnym zaskoczeniem. – Dlaczego zatem Saladin chce się ze mną ułożyć, zamiast doprowadzić podstęp do końca?

– Pamiętaj o jednym, władco. W naszych okropnych czasach musi znaleźć się też miejsce na honor. Salah ad-Din podziwiał twoje męstwo i biegłość wojenną. Pamięta też o twoich szlachetnych uczynkach, nie tylko o zbrodniach. A poza tym, skoro masz wypełnić pierwszy warunek, musimy zapewnić ci bezpieczeństwo, nie przypuszczam, że byłbyś skłonny poświęcić się dla czyjegoś dobra, nawet twoich własnych poddanych.

Król uśmiechnął się i skłonił głowę. – To jestem w stanie przyjąć jako wytłumaczenie.

Ale wiem, że jest coś jeszcze, nie wiem co, ale jest. Teraz mniejsza o to. Mam zabić tego ghula, tak? A gdzie on teraz przebywa? Pewnie umknął w pustynię i szukaj wiatru w polu.

– Mylisz się. Czeka na zewnątrz, tam gdzie go widziałeś po raz ostatni, nie ruszy się stąd, dokąd przebywasz w jednym miejscu z Fatmą.

– Przedtem wyglądało na to, że się mnie okropnie boi. Gotów jeszcze uciec.

– Przed tobą może tak, ale nie przed matką. Wyrodna, bo wyrodna, ale to jego macierz. Ona przywołała ghula. Do niej podejdzie na pewno. I raczej nie spróbuje się bronić.

Będziesz miał dość czasu, żeby zrobić swoje.

– To jest... – szepnął Werner – To jest takie podłe. Znacomity słuch nie zawiódł księcia i tym razem. – Tak, młody krzyżowcu, masz słuszość! To jest podłe. Jak wszystko, co łączy się z tą sprawą. Podłe jak nasze ugody z wami! Podłe jak uczynki władców! Pławimy się w podłości, oddychamy nią, jest nam konieczna do życia! Dlatego pamiętaj, młodzieńcze, jeżeli w twoim życiu ktokolwiek zaoferuje ci sprawowanie władzy, bez chwili wahania pluń mu w oczy! Pójdź do stajen i dosiądź

najścislejszego bachmata! Niech pęd powietrza wywieje z twojej głowy wszelkie mrzonki o rządzeniu! Wierz mi, że gdybym mógł pokierować swoim życiem raz jeszcze, wiedząc to, co wiem teraz, przyłączyłbym się do któregoś z pustynnych plemion jako prosty wojownik. Może wtedy nie byłoby chwil, żebym czuł obrzydzenie do samego siebie...

Werner słuchał przemowy z otwartymi ustami. Malik chciał powiedzieć coś jeszcze, jednakże w tym momencie Ryszard ziewnął ostentacyjnie. – Przestańmy już bić jęzorami.

Dawaj tę dziewczynę. Tylko na postronku. Szalona jest i nie wiadomo, co jej do głowy strzeli.

Nie mam chęci uganiać się i za nią, i za ghulem!

Malik poczerwieniał ze złości. Jego smagła twarz stała się prawie czarna. – Zgoda! – To, co wydobyło się spomiędzy jego zaciśniętych zębów w niczym nie przypominało ludzkiego głosu. – Niech zbrodnia idzie do zbrodni, a upodlenie do upodlenia. Pamiętaj tylko, gjaurze, że ten ghul powstał z twego nasienia. To twoja krew! Oby ci ręka nie zadrżała!

– Nie zadrzy – roześmiał się beztrosko Ryszard.

– Jeszcze jedno na koniec. Musisz coś wiedzieć, nie wyobrażaj sobie, że gdybyś odmówił złożenia przysięgi, wyjawilibym sposób odesłania Tira do piekła. Domyślasz się, dlaczego mnie właśnie Saladyn zlecił to zadanie?

– Domyślam albo nie. Sam mi powiedz.

– Bo wie, że nie wahałbym się ani chwili, żeby uwolnić demona. Tyle szaleństwa jeszcze we mnie pozostało z dawnych lat.

Ryszard skinął obojętnie głową.

– Oczywiście. Chodźmy już. Moi panowie – zwrócił się do krzyżowców – niebawem wrócę i będziemy mogli opuścić to przeklęte miejsce.

Werner wstał, powoli podszedł do Malika. Natychmiast między nim a księciem znalazł się strażnik z obnażonym mieczem. Al-Adil odsunął żołnierza. – Czego chcesz, młody rycerzu?

– Chciałbym to zobaczyć – nieśmiało odparł chłopiec. Malik nachmurzył się, ale zaraz na jego twarzy zagościł życzliwy uśmiech.

– To może być najgorsze wspomnienie w twoim życiu. Na pewno tego chcesz?

– Chcę zobaczyć, jak wyglądają owoce podłości.

– No cóż, młody panie, to może być rzeczywiście pouczające. Ktoś jeszcze? – spytał głośniej.

Pozostali odwrócili wzrok, tylko de Morges się odezwał: – Sam mówiłeś, że ghul walczył nie będzie. Jak zechcę zobaczyć przy pracy rzeźników, odwiedzę miejskie jatki...

Ryszard rzucił mu groźne spojrzenie.

- Uważaj, Janie – Piotr z Telford uniósł się – byś nie miał dziś drugiego pojedynku!
- Daj spokój – mruknął de Morges. – Nie masz większych zmartwień?
- W takim razie chodźmy. Młody graf ze mną, a król z Hatimem. Oddamy mu jego własny miecz na tę okazję.

Rozdział XXIV

Werner wrócił w takim stanie, że Konrad zaczął mieć obawy, czy nie zadano mu gdzieś po drodze trucizny. Był blady, spocony i trząśł się jak w febrze.

– Co się stało, chłopcze? Mów!

Werner bez słowa wskazał na dzban. Vincent natychmiast podskoczył z naczyniem.

Młody von Watzenrode pił długo, nie zważając na strugi spływające mu po policzkach, na szyję i za kołnierz.

– To... – wyjąkał – ...było potworne!

– Mów, co się stało? Król żyje?

– Żyje... Jak ja go nienawidzę, wuju! To nie człowiek! To bestia, nie wiem, czy nie gorsza od demonów pustyni!

– Cicho, chłopcze – Konrad pogładził go po włosach. – Nie trzeba tak mówić.

Opowiedz, co widziałeś...

Graf uspokajał się powoli. Wino zaczęło działać, otępiając nieco zmysły. – Kiedyśmy dotarli do wysokiej groty na górze, nad wejściem do jaskiń – zaczął – król z niewiastą był już na zewnątrz. Tak jak chciał, uwiązana była na postronku, a on ciągnął ją za sobą.

Niecierpliwy był, jak zawsze. Kiedy próbowała się opierać, szarpał mocniej, tak że padała.

Księżę Malik na ten widok zaczął chrapliwie oddychać. Położył mi dłoń na ramieniu i ścisnął tak mocno, żem zajęczał. Pewnie ślad palców długo tam zostanie. Uszli kilka kroków, słyszałem, jak księżniczka jęczy żałośnie, potem podnosi głos. Wśród tych skał słyhać nawet szept. To brzmiało, jakby coś nucila. Jakaś kołysankę dla dziecka w tym ich dziwnym języku.

Wtedy pojawił się ghul. Ale w niczym nie przypominał tej bestii, którą widzieliśmy nad ciałem nieszczęsnego Kurta czy przy wjeździe tutaj... Przybliżał się powoli i ostrożnie, piszcząc niczym zagubione w lesie szczenię... Widać było, jak ciągnie go do matki, a jednocześnie czuje śmiertelne przerażenie... Ryszard zatrzymał się i czekał. A Fatma poszła do przodu, wyciągając ręce... Tak matka wyciągała do mnie ramiona, gdym był dziecięciem...

– głos mu się załamał, odchrząknął i mówił dalej: – Byłaby pewnie pobiegła, gdyby nie postronek. Król szarpnął, ona padła na kolana. Cały czas wyciągała ręce i mówiła do potwora.

A ten podchodził coraz bliżej. Wzrok miał wbity w jej twarz, a z oczu leciały mu takie łzy jak wtedy, gdyśmy go mijali. A król czekał... Ghul podszedł blisko, bliziotko, prawie na wyciągnięcie ręki. Spojrzał na Ryszarda. I nagle przypadł do ziemi. Myślałem, iż zaatakuje wbrew temu, co powiedział książę Malik. Ale nie... Widzieliście kiedyś psa dopraszającego się łaski pana? Ten ghul właśnie tak pełzał. Prosił... Łasił się... A król stał bez ruchu. Tylko przygarbił się lekko, nie spuszczać z niego spojrzenia... – przez chwilę Werner oddychał ciężko. Wzrok miał zamglony, jakby patrzył gdzieś w dal. – Ghul podpełzł powoli do Fatmy, jakby u niej szukał schronienia. A ona... otoczyła go ramionami i próbowała kołysać wielkie cielsko... Przez cały czas śpiewała. Ryszard uczynił krok. Bestia natychmiast odwróciła na niego czujne oczy. Widzieliście jej oczy, są takie, jakby jarzyły się w nich piekielne węgle.

Ale teraz były jakieś smutne, by nie rzec ludzkie. Ja... ja nie dałbym rady uderzyć kogoś, kto tak patrzy...

– Uspokój się, synu – zamruczał Konrad. – Poczwarę trzeba było zabić. Przypomnij sobie nieszczęsnego Kurta.

– Wiem! Ja mówię jedynie, że nie dałbym rady. Książę Malik patrzył tylko i milczał.

A król nagle szarpnął powrozem tak mocno, że nieszczęsna niewiasta padła na plecy, a potem ciął z całej siły, jak to on potrafi... Powalił ghula i rąbał go w zapamiętaniu jeszcze długo, a Fatma płakała... Jak ona strasznie szlochała... – w oczach Wenera pojawiły się łzy.

– Uspokój się – powtórzył Konrad. – Nie powinienem pozwolić ci iść tam, gdzie obawiali się udać o wiele bardziej doświadczeni rycerze...

– Król to zwierzę! – Werner przygryzł wargi. – Co ja mówię, zwierzę! Toż pies nawet się obejrzy na swoje łajno. A on tylko splunął na trupa, rzucił sznur i odszedł. A przecież ghul wyszedł z jego łędźwi! Obrzydliwa poczwara, zgoda, ale miała w sobie jego krew! Przecież żył z tą księżniczką, dzielił z nią łożę! Na nią też nawet nie spojrział. Brzydę się twoim królem, panie Telford! Brzydę się!

– No co, Piotrze – spytał Vincent. – Nie chcesz wyzwąć na ubitą ziemię grafa von Watenrode?

Piotr machnął ręką. – Moim zdaniem – powiedział – to miejsce sprawia, że zaczynamy się dziwnie zachowywać. To zło, które tam, niedaleko sięga korzeni ziemi, działa również na nas. Pomyślcie tylko. Jan, człowiek nad wyraz spokojny i wyrozumiały, wyjąwszy oczywiście te sytuacje, kiedy zajmuje się uczeniem miejskich straży odpowiednich manier, o mało nie zaszlachtował bezbronnego już Swansena. Ja sam w tamtej chwili bardzo pragnąłem zobaczyć, jak odcina mu głowę, choć wierzcie mi, nie jest to widok, za którym normalnie nadzwyczaj mocno tęsknię. Nawet Vincent...

Stanął w obronie przyjaciela dopiero w ostatniej chwili. Przyznaj, de Rionne, musiałeś się przełamać?

Vincent tylko skinął głową.

– Nawet król – ciągnął dalej Telford – choć źle o nim myślicie, w zwyczajnym czasie nie czyni takich rzeczy... Chociaż do niego trzeba przykładać nieco inną miarę. Stać go na wszystko. Zda mi się, że tylko Werner jest jak zawsze.

– On – mruknął de Rionne – jest jeszcze czystego serca. Poza tym szczerze i mocno zakochany. To zawsze chroni przed złem.

– Ty też jesteś zakochany – roześmiał się Piotr – w mojej kuzynce, pięknej Judycie.

– To co innego, drogi Telfordzie. Ja nie mam tak kryształowej młodzieńczej duszy...

W tej chwili nadszedł Ryszard w towarzystwie Malika i Hatima. – Twarde życie miała bestia – zawołał z zadowoleniem. – Ledwo z niej duszę wyгнаłem. O ile to diabelstwo miało jakąś duszę! Możemy wracać do swoich. Poganie też się stąd wynoszą. Wzięli truchło ghula i gdzieś zanieśli. Mają go spalić co rychlej. Podobno po wrzuceniu ciała poczwary do ognia demona dzieją się straszne rzeczy, dlatego trzeba uciekać.

– A kto to zrobi? Ktoś się poświęci?

– Hatim – odparł krótko Malik. – Śpieszmy się. Święty mąż słabnie z każdą godziną.

Jeśli jego zabraknie, cały trud pójdzie na marne. Dostaniecie świeże konie, przydam wam eskortę, żebyście nie byli niepokojeni przez ludy pustyni i jedźcie w swoją stronę. My zaś ruszymy w swoją. I oby nasze drogi nigdy się nie skrzyżowały. Vincent wstał z poduszek, lekko skłonił się księciu.

– Życzysz sobie czegoś, panie de Rionne?

– Chcę porozmawiać z Edwardem. Jeżeli jeszcze żyje.

– Żyje. Medyk twierdzi, że nie ma większego niebezpieczeństwa. Udało mu się załatać poprzecinane żyły.

– Chcesz gadać ze zdrajcą, de Rionne?! – zaperzył się de Morges.

– Posłuchaj, Janie! Nie nazywaj go tak pochopnie zdrajcą. Znam go od lat i nie wierzę...

– Zdrajcą? – przerwał mu Malik. – Wiedz, że to on został zdradzony. Kiedy popadł w niewolę, jego przełożony, którego był, jak to się u was mówi, wasalem, pożalował marnego grosza na jego wykupienie! Choć gdy go ogarnęliśmy z oddziałem, wypełniał ważną misję dla tamtego, a walczył jak rozżarty i wygłodniały lew. Czy istnieje gorsza zdrada, niż kiedy pan porzuci wiernego sługę? A to, że sprowadził tutaj was i króla, uczynił pozostając wiernym swemu sumieniu. Zgodził się dopiero, gdy zapewniłem, że nikomu włos z głowy nie spadnie. I zrobił to, żeby ratować nas wszystkich, nazywasz to zdradą?

Jan milczał z ponurą miną. – Ale służy Saracenom – burknął w końcu.

– Idź – rzekł Ryszard. – I powiedz mu, żeby wracał. Ja nie pożaluję pieniędzy na

okup.

Zaraz omówię sprawę z księciem.

– Nie ma czego omawiać – odparł Malik. – Ibn Suan jest już wolnym człowiekiem.

Okupił wolność własną krwią. Tak czy inaczej musi odbyć podróż przez pustynię, bo tu przecież zostać nie może. Czy pojedzie w kolebce między końmi z wami, czy z nami – bez różnicy, niech wraca do swoich. Możesz do niego pójść, panie de Rionne.

Edward leżał w niewielkim pomieszczeniu, do którego wiódł dość szeroki jak na tutejsze warunki korytarz. Przy jego łożu siedziała jakaś kobieca postać, na widok Vincenta natychmiast podniosła się i uciekła, zasłaniając twarz.

– Wielu rzeczy o tobie jeszcze nie wiem. Wikingu – rzekł de Rionne, odprowadzając kobietę wzrokiem.

Swansen uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Błady jesteś. Sporo krwi ci uszło.

– Cieszę się, że przyszedłeś. Choć pewnie i ty masz mnie za zdrajcę.

Vincent rozejrzał się, podjął ciężki zydeł i przystawił do łóżka. – Nie wiem, co o tym myśleć, prosto mówiąc. Król w każdym razie nie zdaje się żywić do ciebie urazy. Wybaczył ci. Powiedział, że możesz wracać z nami, nawet okup chciał zapłacić...

– Wybaczył mi? – Edward uniósł się, lecz zaraz opadł z powrotem. – Co mi wybaczył?

To, że przez jego pochutliwość i lekkomyślność stworzony został potwór? Gdyby okazał tej dziewczynie choć trochę uczucia, myślisz, że zdobyłaby się na ten czyn? Nie znasz kobiet?

Ale on ją wyrzucił jak zwykłą ścierkę... Jak...? Jak...? Jakby była zwykłą obozową zdzirą, a nie córą królewskiego rodu – umilkł, ciężko dysząc. Był tak osłabiony, że te kilka zdań głośniej wypowiedzianych bardzo wyczerpało go.

– Co ty tak obstajesz za dziewczyną? Bo to pierwsza czy ostatnia, którą Ryszard cisnął?

Edward nie słuchał go. – Żebyś wiedział, jaka była piękna – mówił w rozmarzeniu. – Po raz pierwszy widziałem ją bez zasłony na twarzy na samym początku niewoli...

Przypadkiem naszedłem ją przy pałacowej fontannie. Mało mnie za to nie rozsiekli. Ona wybroniła. Chcieli wypalić oczy, nie dała... Saladyn i Malik bardzo ją kochali, dali się ubłagać. Tylko dzięki niej przeżyłem...

Vincent zamyślił się. To dziwne zachowanie, kiedy Edward zobaczył Fatmę, te łzy w oczach, kiedy skończyła opowieść...

– Swansen – położył rękę na ramieniu rannego – nie mów mi tylko, że ty ją... że ją...

– Kochałem, tak – szepnął chory. – Wciąż kocham. Jak siostrę, jak najcenniejszy skarb, nigdy bym się nie powazył pomyśleć o niej jak mężczyzna o kobiecie. To by było jak świętokradztwo. A Ryszard pierwsze, co zrobił, to splugawił ją! Potraktował niczym sukę! Bo sam jest jako pies! Taki robi, co mu karze natura, i dalej nie patrzy!

– Sama wepchnęła mu się w rękę.

– To go tłumaczy?

Vincent zastanowił się. – Nie każ mi tego osądzać, nie wiem. Że z niego podlec, każdy powie. Ale i znakomity wódz... Wiesz, co się wydarzyło, kiedy tu leżałeś?

– Domyślam się. Nie chcę, żebyś opowiadał.

– Powiedz mi, Edwardzie, dlaczego sułtan tak nastaje na odejście Ryszarda? Właśnie jego?

Swansen przymknął na chwilę oczy, ważył coś w sobie. – Dobrze, powiem ci. Przez wzgląd na naszą przyjaźń. Ale nikomu tego nie powtarzaj, zgoda?

– Mam ci przysiąc? – roześmiał się de Rionne. – Mogę. To byłby dzisiaj już trzeci raz.

– Nie chcę przysięgi. Wystarczy zwykłe słowo. Teraz to już i tak bez znaczenia, bo król zaprzysiągł porzucić wyprawę. Nie chcę jednak, by wiedział. Urósłby jeszcze bardziej w dumę. Pycha kiedyś go rozsadzi.

– Możesz być pewien, że nikomu nie powiem.

– Wiesz, dlaczego zostaliście zaprzysiężeni do milczenia o tych wydarzeniach i o wszystkim, czego się mogliście dowiedzieć?

– Nie zastanawiałem się nad tym zbyt długo. Wcale, prawdę rzekłszy. Za wiele się działo. Pewnie dlatego, żeby nikt z naszych nie dowiedział się o układzie i całej tej historii.

Byłaby awantura, jeszcze by zmusili Ryszarda do zaniechania układu.

– Niezupełnie, przyjacielu. Przebywasz na tej ziemi tak samo długo jak ja. Poznałeś ją.

Wiesz, jak przesądni są tutejsi ludzie. To wszystko ma być tajemnicą nie tylko dla wojsk krzyżowych, ale przede wszystkim dla Arabów. Krzyżowcy i tak by pewnie do końca nie uwierzyli. A gdyby nawet, nie miałyby to takiego znaczenia, bo Ryszard i tak by odpłynął.

Sułtanowi chodzi przede wszystkim o to, żeby jego poddani nic nie wiedzieli.

Vincent spojrzał na Swansena z niedowierzaniem. Czyżby majaczył? – O czym ty mówisz? Skoro król się wyniesie, to dla Saracenów przecież zwycięstwo, nieważne, jaką drogą do niego doszli!

– Widzisz, jest przepowiednia mnicha Joachima. Teraz krąży wśród wszystkich arabskich plemion. Że nadejdzie od zachodu wielki król, pan panów, i obejmie we władanie cały świat. Powiadają, że będzie on w boju nieśmiertelny. Żadna strzała go nie zabije...

Ryszard jak ulał do tego pasuje. Sam wiesz najlepiej, ile razy cało wychodził z najgorszych opresji. Jak pcha się do każdej walki.

Vincent wzruszył ramionami. – Radzi sobie, bo jest nadzwyczaj silny, biegły w fechtunku i ma wyborowy pancerz. A śmiertelny jest jak wszyscy. Mało to razy widziałem, jak broczył juchą, bo mu strzały poraniły ciało? Wracał z bitki

naszpikowany jak jeż igłami.

Zbroja nie puszczała, choć groty wchodziły aż pod przesywanicę i harały skórę...

– Ale oni tego nie wiedzą. Właśnie tak się rodzą legendy i proroctwa. To dlatego Ryszard jest taki groźny. I dlatego Saladyn postanowił wykorzystać to nieszczęście, które na nich spadło, aby się go pozbyć. Dlatego nie poprosił jawnie o pomoc, choć byłoby to prostsze i łatwiejsze do uzyskania. Ryszard zapewne zgodziłby się na podobną awanturę, żeby potem trubadurzy mieli o czym śpiewać.

De Rionne pokiwał głową. – Ale dlaczego nie kazał go potem po prostu zabić? Z tego, co zauważyłem, Malik uczyniłby to bez wahania...

– Saladyn jest człowiekiem honoru... – zaczął Edward, ale przerwał mu głos dobiegający od wejścia: – Mój brat jest przede wszystkim człowiekiem wielkiej mądrości. – To był Malik al-Adil. – Gdyby nie obawiał się konsekwencji, wasz król byłby już tak samo martwy jak ghul, którego zabił.

– Poruszasz się równie cicho, jak Edward – zauważył z podziwem Vincent.

– To umiejętność niezbędna dla przeżycia na pustyni. Ibn Suanie, mam nadzieję, że wiesz, co czynisz, powierzając temu giaurowi naszą największą tajemnicę...

– Nikomu nie powtórzy. Stawiam na to moje zbawienie...

– Skoro tak... No cóż, panie de Rionne... nie należy popełniać błędu i składać wszystkiego na karb honoru. Salah ad-Din zwyczajnie obawiał się, że martwy król może być równie niebezpieczny jak żywy. Martwi bohaterowie legend są wielkim zagrożeniem. Zważ przykład tego, którego chwalicie i pod którego imieniem prowadzicie krucjatę. Zaś kiedy Anglik odejdzie, będzie wyglądało jakby wojnę przegrał, a głupie bajanie samo się skończy.

Gdzieś z waszych krajów przybyły proroctwa zatruwające umysły moich poddanych i niech tam sobie wracają. Mnich Joachim, wieszczący wielkie przepowiednie, o przyszłości wie równie mało, co ostatni żebrak przy drodze do meczetu. Ale skoro posiał ziarno niepokoju, skoro zakiełkowało, należy je wyrwać z serc i umysłów jak najrychlej. Zaś mądry władca potrafi wykorzystać każdą sposobność. Umie z beznadziejnej na pozór sytuacji wyciągnąć korzyść i obrócić niepowodzenie na swoje dobro. Tak właśnie uczynił sułtan, nie tylko wyratował nas przed upadkiem w przepaść piekielną, ale także poskromił najgroźniejszego przeciwnika.

– Ale inni pozostaną. Jest Konrad z Montferratu, wielki i bezwzględny wojownik.

– Konrad – parsknął pogardliwie Malik. – Są tacy, co właśnie w nim upatrują króla z przepowiedni, nie obawiaj się. Z wszystkimi innymi sobie poradzimy, nie tak, to inaczej.

Powtarzam ci, nie możemy sobie tylko pozwolić na proroctwo związane z Ryszardem!

– A nikt z twoich ludzi, którzy tu są, nie piśnie słówka?

– Oni wszyscy, poza moimi przybocznymi, zostają na miejscu do końca.

– Na zatracenie...

– Na zatracenie, panie de Rionne. Razem z derwiszami i czcigodnym al–Hadżibem. Sami wybrali. Tu nie pozostanie nawet kamień, zaginie po tych skałach wszelki ślad.

– Spojrzał uważnie na Swansena. – Możesz jechać ze swoimi.

– Wiem.

– Każę przysposobić co trzeba do drogi – Malik odwrócił się do wyjścia.

– Książę – zatrzymał go głos Edwarda. – Mam prośbę.

– Spełnię każdą.

– Chcę jechać z tobą.

Vincent drgnął zaskoczony. – Co ty mówisz, oszalałeś?!

– Nie wtrącaj się, de Rionne! Chcę odjechać z wami – powtórzył.

Al–Adil zmarszczył czoło. – Ona jest szalona, ibn Suan, wiesz przecież. Nie odzyska zmysłów. A gdyby nawet... Cóż ci z tego przyjdzie? Dałbym ci ją za żonę, tylko po co? To nigdy już nie będzie słodka, urocza Fatma. Nic nie będzie takie jak dawniej.

– Chcę z wami – powtórzył z uporem Edward. – Nie potrafię już żyć tak, jak kiedyś...

Pokochałem nie tylko Fatmę. Pokochałem też pustynię i życie na niej.

Kąciki warg księcia lekko drgnęły. – Zatem zgoda. Będzie to dla nas zaszczyt, giaurze, mieć cię u swego boku.

Vincent wstrzymał oddech. Bał się zakłócić tę rozmowę najmniejszym zbędnym gestem.

Rozdział XXV

– Mówiłem, że zdrajca! – stwierdził z zadowoleniem de Morges. – Moje na wierzchu.

Porzucił nas dla niewiernych!

Werner spojrzął za siebie, gdzie w oddali majaczyły skały. Krwawa łuna rozświetlała granatowe niebo. Poczował koło serca dziwne ukłucie. Ta przygoda była straszna, potworna wręcz, ale wiedział, że gdzieś tam zostawił część siebie. Przez krótki czas miał możliwość ujrzeć wielką i podłość i równie wielką szlachetność.

– Nie zostanę tutaj – odezwał się Konrad – ani chwili dłużej niż potrzeba. Wracam do Austrii.

– Nie dziwię się – rzekł Piotr. – Tyle strasznych przeżyć...

– Źle mnie zrozumiałeś, panie Telford. Pojąłem coś bardzo ważnego, nie mam ochoty więcej zabijać tych, których nazywamy poganami. W jednej chwili straciłem pewność, kto ma tutaj słuszność...

Ryszard zatarł ręce. Nie zwracał uwagi na rozmowy swoich towarzyszy. W jego głowie dojrzewały nowe plany. – Oblegniemy Jerozolimę, trochę tam postoiemy, żeby nie było gadania. Już ja tak będę dowodzić, aby trzeba było szybko odstąpić. Albo lepiej powierzmy dowództwo radzie. Szkoda, że nie ma Filipa. Z nim, jakby zaczął się wtrącać, w tydzień byłoby po całej sprawie. A potem do domu! Zrobię nareszcie porządek z kochanym braciszkiem. A zresztą jeszcze zobaczę, co przyjdzie uczynić.

Patrzy już w przyszłość, pomyślał Vincent. Święta Ziemia, wyprawa krzyżowa, krwawy trud, przestały mieć dla niego znaczenie. Pewnie dlatego jest takim strasznym przeciwnikiem. Zawsze patrzy przed siebie, nie rozpamiętuje, nie ma wyrzutów sumienia.

Uśmiechnął się do swoich myśli.

– Przypomniało ci się coś zabawnego? – trącił go Piotr. – Podziel się. Po tym wszystkim sam chętnie się pośmieję.

– Zabawnego? Boja wiem... Trochę. Przypomniałem sobie minę twojego króla, kiedy Malik rzekł mu na pożegnanie, żeby następnym razem uważał, gdzie tryska nasieniem.

Piotr zacisnął wagi, jednakże po chwili nie wytrzymał. – Prawda – roześmiał się. – Warto było to zobaczyć. Wracasz z nami? Twoja banicja już się skończyła. Ryszard

wyjedna ci uchylenie wyroku.

Vincent potrząsnął głową. – Nie wiem. Muszę się jeszcze zastanowić. – Przypomniał sobie ostatnie słowa Edwarda. – Nie potrafię już chyba żyć tak, jak dawniej...

Przerwał mu upiorny błysk, jakby nagle zapłonęło tysiąc słońc, potem doleciał straszliwy huk. Spłoszone konie zaczęły stawać dęba. Ledwo je mogli uspokoić. Na wszelki wypadek pokładli się na ziemi i zmusili do tego wierzchowce. Co jeszcze się zdarzy? niebawem nadleciał podmuch powietrza, niosąc wielkie kłęby piachu. Zdawało się, że nawałnica rozsiecze ciało do kości. Trwało to jedynie kilka chwil, lecz im wydawało się, iż ciągnie się jak wiek cały.

Kiedy zapanowała wreszcie cisza, zaczęli się niemrawo zbierać. Ryszard kłął, wypływając piasek. – Wreszcie. Wrzucili to obrzydliwe cielsko do ognia. Mam nadzieję, że tę diabelską dziewczkę też weń cisnęli! Przeklęta niech będzie za to, do czego mnie przez nią zmuszono!

Vincent spojrzał znacząco na Piotra. – Wiesz, Telford – powiedział. – Ja jednak zostanę. Nie mam czego szukać w Europie, czy to będzie Francja czy Anglia...

– Kiedy odejdziemy, Arabowie nie omieszkają wyzyskać przewagi. Łatwo tu będzie stracić życie.

– Być może. Jeśli nawet... Co komu pisane... – zamyślił się. W uszach zahuczały słowa ojca. Kiedy opuszczali tajemnicze skały, znowu go zobaczył, siedzącego na kamieniu w tym samym miejscu co przedtem. „Zginiesz”, rzekł. „Powiadam po raz trzeci. Czego byś nie uczynił, zginiesz”. Westchnął ciężko. Jeśli tak... Tu czy w rodzinnym kraju... Co za różnica.

Krew wszędzie ma tę samą barwę. – Tylko jedno mogłoby zmienić moją decyzję. Wtedy stanąłbym do walki z przeznaczeniem. Ale to niemożliwe, nie da się zawrócić biegu czasu tęsknymi wspomnieniami.

Piotr przyjrzał mu się uważnie. – Wciąż o niej myślisz, prawda? O Judycie?

– Niełatwo wyrwać z serca uczucie, nawet jeśli jest ono beznadziejne, nawet jeśli rozsądek mówi, że wszystko przeminęło.

– Taką właśnie miłość lubią opiewać trubadurzy – Telford spojrzał w piach pod stopami. – Jednakże dla zwykłych ludzi to nie jest...

Przerwał mu okrzyk Wenera. Pobiegli do niego.

– Co się znowu stało? – spytał niecierpliwie Ryszard. Teraz każda chwila zwłoki wydawała mu się niewybaczalną stratą.

– To Wallheim!

Młody graf podtrzymał opadającą bezwładnie głowę wuja. Na ustach Konrada pojawiła się krew. Twarz stała się wyraźnie biała, bladość przebiła się nawet przez mocną opaleniznę.

– Co mu, Wernerze?

– Nie wiem. Padł jak my wszyscy i wstał razem ze mną. Nagle upadł bez zmysłów,

próbując dosiąść konia.

Oblicze nieprzytomnego nabrało teraz granatowej barwy.

– To serce – mruknął Ryszard. – Krew go zadusiła, nic tutaj nie pomożemy. Połóż go, chłopcze, tak by głowa spoczywała równo z ciałem. Podłóż tylko rąbek płaszcz.

Werner złożył wuja na ziemi, poderwał się i dopadł wierzchowca.

– Sprowadzę lekarza od Saracenów! Nie mogli ujechać zbyt daleko!

– Wracaj, von Watzenrode! – zawołał za nim Ryszard. – Jemu już nic nie pomoże.

Graf nie słuchał. Dźgnął konia ostrogami, zmuszając go do galopu.

– Zaraz go dognam. – Ryszard z wykrzywioną złością twarzą wskoczył w siodło. – Nie ma czasu na...

– Niech jedzie – wodze królewskiego rumaka ściągnęła potężna dłoń Jana. – Przynajmniej tyle może uczynić.

– Puszczaj, de Morges! – Ryszard sięgnął do miecza. – Puszczaj, mówię!

– A co, zabijesz mnie, najjaśniejszy panie? Niewielu zostało przy tobie Francuzów po odejście naszego monarchy. Gdy pójdzie wieść, że mordujesz tych, co pozostali, odejdzie i reszta. A może zamierzasz ukatrupić nas wszystkich? Zapewne byłoby dla ciebie wygodne nie pozostawiać żadnych świadków niedawnych wydarzeń. A Werner powróci niebawem.

Słusznie prawił, tamci nie mogli daleko ujechać. W końcu wloką ze sobą rannego.

– On ma rację, królu – odezwał się Piotr. – Pozwól chłopakowi zrobić, co uważa za słuszne. W czasie tej wyprawy wyrósł z niego prawy rycerz. A taki nie opuszcza przyjaciela w potrzebie. Tym bardziej własnego wuja.

Ryszard uspokoił się równie nagle, jak wpadł w gniew. – Sam nie wiem, co się ze mną dzieje – rzekł po chwili, wpatrując się w coraz mniejszą postać Wenera. – Wszak godzina czy nawet pół dnia nas nie zbawi. Chociaż to nie ma sensu. Spójrz, von Wallheim dogorywa.

– Szkoda, że nie ma z nami chociaż Swansena – Jan poskrobał się po głowie. – Przebywając u Saracenów pewnie poznał trochę ich tajemnic. Lekarzy mają przednich, to im trzeba przyznać.

– Przypominam ci – odparł Piotr – że rozplatałeś go własną ręką. Teraz nie narzekaj.

Kłęczący nad Konradem Vincent machnął niecierpliwie ręką. – Cicho bądźcie! On chce coś powiedzieć – pochylił się tak, że wargi hrabiego von Wallheim dotknęły jego policzka. – Tak, przyjacielu – odrzekł. – Stanie się, jak zechcesz. – Przez chwilę słuchał uważnie. – Werner pojechał po pomoc. Nie mów, że jest niepotrzebna! Niedługo wróci z medykiem. Trzymaj się Konradzie!

Von Wallheim odetchnął głęboko, potem powoli wypuścił powietrze.

– Wybaczcie mi wszystko, com wam uczynił złego – powiedział niespodziewanie głośno.

– I ty nam przebacz – odpowiedzieli zmieszani. Konrad uśmiechnął się, patrząc

gasnącym wzrokiem w niebo.

– Szkoda, że nie będę mógł zobaczyć moich ukochanych gór – szepnął.

Vincent powstał, spojrział na towarzyszy. Bezwiednie tarł skórę policzka, rozmazując krew, która osiadła na niej, kiedy dotknęły go usta umierającego. – Koniec.

Ostatnią jego wolą było, aby Werner opuścił Ziemię Świętą najszybciej, jak to jest możliwe, nie czekając zakończenia krucjaty. Ryszard zacisnął wargi, schylił głowę.

– Niech tak się stanie. Rozwiążemy swoje sprawy bez jednego rycerza.

– Najpierw Kurt, teraz Konrad, nie wiadomo na pewno, czy Swansen wyżyje – Vincent w zamyśleniu przyglądał się zmarłemu. – Wszyscy w ciągu tak niedługiego czasu. Ciekawe, kto będzie następny...?

– A może już wystarczy? – Jan położył mu rękę na ramieniu. – Może złożyliśmy należytą daninę śmierci?

– Obawiam się, że ona jest nienasycona.

De Rionne odwrócił się w kierunku, z którego przyjechali.

Ech, ojciec, pomyślał, czyżby grot śmierci trafiał ludzi wokół mnie tylko dlatego, że to ja jestem skazany? Czy to możliwe?

– Nienasycona, powiadasz? – Ryszard w zamyśleniu wyduł wargę. – To możliwe.

Rzekłbym nawet, że pewne. Jednakże pamiętaj, iż ona karmi się życiem, nie może go wszystkiego wytłuc, bo wtedy jej istnienie straciłoby sens. A zawsze jest wszak szansa znaleźć się wśród tych, których zostawia sobie na później. Trzeba w to wierzyć, a wtedy nie przyjdzie zniechęca.

– Zamiast snuć takie rozważania – stwierdził trzeźwo Piotr – weźmy się lepiej za pochówek naszego przyjaciela. Trzeba naznosić kamieni.

– Nie! – Jan potrząsnął głową. – Zabierzemy go i pochowamy w poświęconej ziemi, nawet gdyby miał zacząć cuchnąć, trudno. Zasłużył na szacunek i chrześcijański pogrzeb.

– W takim razie jedźmy także po truchło Kurta – powiedział Vincent. – Też był naszym towarzyszem.

– Jeśli coś z niego zostało po uczcie ghula – Jan wstrząsnął się. – W co, szczerze mówiąc, wątpię.

– Diabli – zaklął Ryszard – czy wy macie dobrze w głowie? Marnować czas na bezużytecznego trupa, który...

– On – przerwał mu Piotr cichym głosem – oddał życie w twojej sprawie, najjaśniejszy panie, choć nie był wam nic winien.

Ryszard zamilkł, wpatrując się ponuro w ciało Konrada.

– Może masz rację. Może wszyscy macie rację. Ale ja muszę myśleć o sprawach państwowych i tutaj, i w Anglii. Wtedy wszystko inne przestaje się wydawać ważne.

– Czasem – rzekł Vincent – traci się rozeznanie. To wolno, bo każdy ma chwile słabości. Jednakże umiejętność dostrzeżenia błędu świadczy, jakim się jest

człowiekiem.

- Filozof z ciebie – pokręcił głową król. – Nie spodziewałem się...
- Ja też, wasza wysokość, jeszcze parę dni temu nie spodziewałbym się u siebie takich myśli. A u ciebie takiej chwili zastanowienia nad sobą.

Rozdział XXVI

Konrad z Montferratu wszedł do świetlicy, w której biskup Beauvais raczył się winem. Na jego widok duchowny zerwał się z miejsca.

Konrad otworzył ramiona.

– Witaj, Filipie! – zawołał. – Przyszedłem do ciebie w gościnę.

Biskup pochylił głowę. – Witaj, królu. Jestem zaszczycony wizytą waszej wysokości.

– Och, przestań, przyjacielu – obruszył się przybyły. – Dla ciebie nie jestem waszą wysokością, ale po staremu Konradem.

– To dobrze – uśmiechnął się duchowny. – To oznacza, że korona nie odebrała ci jeszcze rozumu.

– Zbyt długo na nią czekałem – odparł poważnie Konrad – abym nie pojął, iż to nie tylko splendor, ale również wielka odpowiedzialność. Nie byłem obłudny, gdy na wieść o powierzeniu mi władzy padłem na kolana prosząc Boga, by nie dawał mi berła, jeżeli nie jestem tego godny.

– A ja byłem przekonany, że to tylko gra z twojej strony.

– Nie tylko ty, jak mniemam. Wszyscy, którzy byli tego świadkami, zapewne myśleli podobnie. I to na dodatek w chwili, kiedy po raz pierwszy od wielu lat byłem naprawdę szczerzy.

– Lecz teraz widzę dziwny smutek na twojej twarzy. Przecież zostałeś wreszcie naszym królem! Ryszard przegrał nawet i to! Zapewne niebawem popłyniesz z powrotem do Europy, niech tam się teraz popisuje swoimi talentami. Zostaniemy wreszcie sami i samodzielnie będziemy sobie układać stosunki z Saracenami. Nareszcie! Dlaczego się smucisz?

– Mówiłem już. Brzemie władzy... Czyś kiedy pomyślał, jaki to ciężar? Nie mogę już sobie beztrudnie nakazać obrabować karawanę, posłać ludzi, by pomścili na kimś zniewagę, czy wreszcie wyzwąć kogo na pojedynek. Jestem królem. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo mam spętane ręce. Powinienem dawać przykład innym, a sam wiesz, jak to wygląda... Brać ze mnie przykład, też coś – roześmiał się gorzko.

Biskup wzruszył ramionami. – Zupełnie cię nie rozumiem. Widziałem w życiu paru

władców, ale jakoś nie zauważyłem, żeby przejmowali się czymkolwiek, a już najmniej wymogami przyzwoitości, albo tym, czy ktoś patrzy na ich poczynania. Weź choćby francuskiego Filipa. Porzucił krucjatę zaraz po zdobyciu Akki, pozostawiając sprzymierzeńców w ciężkim położeniu. Było trochę szumu, ale szybko się skończyło. Teraz siedzi sobie wygodnie w kraju rządząc jak chce, i kopiać solidny wilczy dół na przyjazd Ryszarda. Zgoda, zwykły rycerz musi pilnować, by nie stracić twarzy, szczególnie jeżeli poza honorem niewiele posiada. Ale jeśli zostanie królem, wtedy już inni zadbają o jego dobre samopoczucie. Im kto możniejszy, tym mniejsze znaczenie mają zasady i tym więcej można mu wybaczyć niegodziwości.

Konrad, myśląc o czym innym, powolnym ruchem nalał sobie wina. Uniósł puchar do ust, zatrzymał się jednak w pół ruchu. – Pewnie masz rację. Jednakże spójrz, co robię. Pod twoim dachem, zamiast pić swobodnie przedni trunek, zaczynam się zastanawiać, czy nie zawiera on przypadkiem trucizny – wychylił jednym haustem zawartość kielicha. – Przepraszam cię, Filipie.

– Nie masz powodu do przeprosin! Jako władca musisz zachowywać daleko idącą ostrożność. Szczególnie wobec dotychczasowych przyjaciół. Wielu z tych, którzy wspierali cię na drodze do korony, teraz zaczną ci zazdrościć. Wszak każdy z wysoko urodzonych mógłby się o nią starać. A Gwidon...

– Lusignan zyskał Cypr – przerwał Konrad. – Więcej mu nie potrzeba. Dość tam będzie miał zachodu ze swymi włościami i nowymi poddanymi. Nie przed zawiścią innych drzę, przyjacielu. Boję się samego siebie, tego, co przyjdzie mi czynić.

– Musisz się otrząsnąć! Nie poznaję cię. Kiedy byłeś tylko markizem, wszystko wydawało się o wiele prostsze, a teraz...

Konrad machnął niecierpliwie ręką. – To minie – orzekł. – Ta niepewność. Może każdy musi to przeżyć? Jednakże ja nie przyszedłem do ciebie, by użalać się nad sobą.

– Tak myślę – uśmiechnął się biskup. – Powiedz w takim razie, co cię sprowadza?

– Rzecz wielce istotna, przynajmniej dla mnie. Chcę cię prosić o pomoc, by rozwiązać dręczący mnie problem.

– Uczynię, co tylko będzie w mojej mocy. Co cię dręczy, królu mój?

Konrad przez chwilę patrzył, zagryzając wargi.

Beauvais zastanawiał się, czego też może zażądać. – Co cię dręczy? – powtórzył, gdy milczenie się przeciągało. – Jak mogę ci ulżyć?

Konrad wybuchnął śmiechem. – Doskwiera mi głód, Filipie – zawołał. – A możesz ulżyć memu cierpieniu, dając mi po prostu obiad!

Biskup odetchnął z ulgą. – Czyżby w twoich piwnicach zabrakło produktów? – zapytał z poważną miną. – Słyszałem, że wszyscy królowie mają puste skarbcce, lecz nie przypuszczałem, żeby dotyczyło to także spiżarni! I to jeszcze przed oficjalną koronacją!

– Nie, mój drogi. Tu chodzi o zasadę *cherchez la femme*. Zawiniła moja piękna

małżonka. Nie wiem, co ją dzisiaj ugryzło, ale kiedy weszła do kąpieli grubo przed południem, jeszcze jej nie opuściła. Służba nie dostała dyspozycji, a wszak ja nie będę wyręczał w obowiązkach małżonki. Zresztą nie znam się na tym. Dlatego przyszedłem do ciebie. Wiadomo, że w księżej kuchni zawsze jest znacznie więcej niż potrzeba.

Biskup zasmucił się. – Tak powiadają. Jednakże u mnie jest inaczej. Zjadłem już obiad, a co zostało, poszło do rozdania ubogim. Przykro mi. Ale jeśli zaczekasz cierpliwie kilka pacierzy, wydam rozkazy, by przygotowano dla ciebie godny posiłek.

– Nie trzeba, Filipie – uśmiechnął się Konrad. – Nie kłopot się. Na jedno w takim razie wyjdzie, jeśli wrócę do domu i zaczekam, aż moja Izabela zbierze się z łaźni. Może zresztą już wzięła się do codziennych obowiązków. Spytam cię jeszcze tylko o coś i pójdę do siebie. Obiad obiadem, a prawda jest taka, że potrzebuję się poradzić kogoś w kilku kwestiach. Wiesz, co mówią, prawda? Rycerze wysłani przez Ryszarda gdzieś na pustynię powrócili, choć mocno przetrzebieni, już jakiś czas temu, a nie wiadomo nadal, czego tam szukali i po co. Z reguły takie sprawy wychodzą na jaw, bo panowie nie zwykli trzymać języków na wodzy. Tutaj zaś cisza jak kamień w wodę. Tam musiało się wydarzyć coś, co zatkało im gęby, a zdałoby się dowiedzieć jakichś szczegółów. Jednakże to tylko jedna z wielu spraw. Przedtem nawet nie przypuszczałem, ile ich spoczywa na głowie władcy.

Izabela niechętnie okryła się prześcieradłem. Towarzysząca jej w łaźni Henrietta ze zdziwieniem dostrzegła zaczerwienione i zapuchnięte od płaczu oczy.

– Co wam, pani? – zląkła się. – Dlaczego płaczecie? Takie szczęście na was spłynęło, a wy rozpaczacie? – Zerknęła tam, gdzie wspaniałe piersi królowej wyraźnie odcinały kształty w ciasnych objęciach lnu, a nabrzmiące od gorąca sutki zdawały się przebijać materię. – Taka jesteście piękna, że gdyby was mąż teraz zobaczył, nie dałby wam pewnie chwili spokoju dzisiejszej nocy, a ronicie łyzy?

Izabela przez chwilę patrzyła na nią bez słowa i nagle wybuchła niepohamowanym szlochem. Służąca najpierw skamieniała ze zdziwienia, potem przypadła do swojej pani. – Boże na niebie, co się stało? – objęła ją. – Polecę po pomoc. Po cyrulika... Może trzeba wam krwi upuścić? – Pobiegła w stronę wyjścia.

– Zostań! – Izabela wyciągnęła za nią rękę. – Nie waż się nikogo wołać! Wracaj zaraz.

Henrietta zatrzymała się przy drzwiach, z dłonią na klamce. Patrzyła pytająco na swą panią.

– To tylko taki nagły nastrój, nasze kobiece wapory. Nie ma powodu, żeby zawracać tym głowę komuś jeszcze.

– Lecz skąd to przyszło, moja pani? Ktoś wam powiedział coś przykrego? Wystarczy zawiadomić markiza... To znaczy króla, a on już odpłaci jak należy.

– Nie, moja droga. To nie ludzkie języki. Do oszczerstw i zawiści przywykłam. Co innego mnie martwi. Mam złe przecucia...

– Lecz skąd? Dlaczego?

– A bo to człowiek wie, skąd i dlaczego nachodzą go złe myśli i przeczucia?

W dodatku na pytanie każdy ksiądz odpowie ci inaczej. Jeden, że to Bóg przestrzega człowieka przed złem, drugi, że diabeł macza w tym swoje palce, a trzeci, że to nie ma żadnego znaczenia, a będzie, co Opatrzność ześle. Zapytaj jeno którego, czy potrafi dać dokładną i rzetelną odpowiedź, zaraz zaczną się wykręcać, gadać o wierze, o zaufaniu, Bożej łasce... – westchnęła ciężko, usiadła na wilgotnej od pary ławie.

– Widzisz, Henrietto, nagle, w pewnej chwili, poczułam się tak, jakbym straciła kogoś bliskiego.

– Ech, pani – zawołała służąca z ulgą. – Pewnie nachodzi na was comiesięczne cierpienie. Wtedy, zdarza się, bije na lica war, a w sercu rośnie niepokój. To nic, to tylko drobne niedyspozycje! Wiem to dobrze, bo sama wtedy nie nadaję się do życia.

Izabela uśmiechnęła się z przymusem.

– Zapewne masz rację, moja droga. Że też o tym od razu nie pomyślałam. A zamiast tego przypominają mi się głupie przepowiednie – otrząsnęła się. – Idź już. Pora najwyższa podawać posiłek. Zarządz, co trzeba, w kuchni!

Odetchnęła. Szczęście jednak, że Konrad nie ma dorosłego syna. Wtedy jej niepokój byłby jeszcze większy. Ileż to już razy śniła twarz starej Saracenki, jej martwy uśmiech i pożółkłe, starte przez wiek pieńki zębów... Za każdym razem budzi się z krzykiem, a następnego dnia nie może pozbierać, spędza całe dni na jałowych czynnościach, irytując ukochanego męża. Zajmij się domem, Izabelo, powiedziała sama do siebie. Przecież nie masz czym się trapić!

Idąc z powrotem do domu, Konrad rozmyślał o niezbędnych działaniach na najbliższą przyszłość. Miał nadzieję, że wizyta u biskupa rozjaśni nieco jego umysł. W końcu tłumaczenie się brakiem obiadu tylko dziecko mogło uznać za prawdziwy powód odwiedzin.

Jednakże Filip okazał się albo mało domyślny, albo zwyczajnie chciał uniknąć udzielania rad, a co za tym idzie – odpowiedzialności za decyzje. Czyżby to jednak była prawda, iż władcy nie mają przyjaciół?

Do tej pory był przekonany, że przynajmniej biskup Beauvais żywi do niego szczere i bezinteresowne uczucie przywiązania. Lecz dziś odniósł wrażenie, że i on tylko patrzy, jakie by można korzyści wyciągnąć z faktu pozostawiania w bliskich stosunkach z władcą Królestwa Jerozolimskiego. Roześmiał się w duchu. Co za zuchwałość zwać ten skrawek ziemi mianem królestwa. Właściwszym określeniem byłoby Państwo Akkońskie! I być może tak je przezwą potomni. Jerozolima w rękach pogan i nie zanosi się, by miało być w najbliższym czasie inaczej, nawet koronacja ma się odbyć nie w jego ukochanym Tyrze, ale w Akce, jak sobie tego życzy król Anglików. A dopóki Ryszard przebywa w Ziemi Świętej, trzeba go głaskać, obłaskawiać, ulegać... Może nawet konieczne będzie przygiąć karku i udać się do Askalonu, do obozu krzyżowców.

Upragniona korona ma nieoczekiwanie gorzki smak! Przedtem, kiedy trzeba było działać zdecydowanie czy nawet brutalnie, najczęściej nie zastanawiał się ani chwili, tylko czynił, co uznał za najlepsze dla siebie, choćby miało oznaczać zbrodnię. A dzisiaj czuje, jakby Bóg odebrał mu wolę. Czy stąd wynikają słynne wahania i sprzeczne decyzje Ryszarda? Czy i on odczuwa w ten sposób ciężar władzy? Jeśli będzie okazja, trzeba go o to zapytać.

Nie, głupcze, skarcił się natychmiast za tę myśl. Nie daj Boże, by to przeniknęło na zewnątrz. Król nie może myśleć w ten sposób, nie może okazywać swojej bezradności! Król musi być silny, tak muszą o nim sądzić poddani, inaczej można bardzo szybko pozbyć się korony, nawet wraz z głową.

Mijani ludzie patrzyli na niego i przez niego. Kiedy podążał, jak oni, pieszo ulicami miasta, czymże się różnił od zwykłych jego mieszkańców? Majestat nie jest człowiekowi przypisany. Gdy króla przybrać w łachmany, będzie wyglądał jak każdy żebrak i jak każdego innego żebraka będą go traktowali przechodnie.

Wzrok Konrada zatrzymał się na przygarbionej postaci proszalnego dziada klęczącego pod murem. Gdyby go obmyć, wręczyć berło i ozdobić skronie diademem, klękano by przed nim tak samo, jak przed szlachetnie urodzonym monarchą.

Rzucił do drewnianego pojemnika kilka miedziaków.

– Niech was Bóg błogosławi, panie, za ten dar – wymamrotał żebrak.

Dawniej dostałbyś sztukę złota, gdybym miał taki kaprys, myślał Konrad. Jednakże to dla ciebie byłby zbyt wielki majątek, co mogłoby cię łatwo doprowadzić do zguby. Zapiłbyś się na śmierć albo, co gorsza, ktoś by cię zabił, aby posiąść twoje pieniądze. Dary, szczególnie bogate dary, trzeba wręczać z taką samą rozważą, jak sprawować sądy. Stać by mnie było odmienić twój los, lecz czy mam prawo wtrącać się do boskich wyroków? Pokręcił głową.

Snując takie rozważania i poddając się im, zapewne nie zostanie dobrym władcą.

Trzeba się nauczyć pozbywać myśli, które zaczęły mu przychodzić do głowy, kiedy Henryk z Szampanii przywiózł radosną nowinę.

– Panie – rozmyślania przerwał mu z boku czyjś głos. – Zaczekajcie, panie.

Obejrzał się. Znajoma postać, po chwili zza rogu pojawiła się druga, też znana.

– Dobrze, że cię widzimy, panie.

– Muhammad, Abdul, to wy?

Sam się sobie dziwił, że tak go uradował widok tych dwóch nowo ochrzczonych ludzi.

Przerwali mu gorzkie refleksje, oto pewnie powód.

– To znaczy, Szymonie i Janie. – Natychmiast przypomniał sobie imiona, jakie niedawno otrzymali na chrzcie. – Co tutaj robicie? Mieliście się przygotowywać do drogi.

Czeka na was ziemia, którą otrzymaliście ode mnie w darze.

Szymon, dawniej zwany Muhammadem, uczynił szeroki gest ręką. – Nie inaczej, nasz dobrodzieju. Jednakże Abdul... To znaczy Jan, przypomniał sobie o czymś. Zrugalem go już należycie za niedopatrzenie, ale trzeba mu wybaczyć takie sprawki. Wszak niedawno jeszcze był niespełna rozumu.

– No, co tam? – Konrad łaskawie skinął dłonią. – Mówcie.

– Przejdźmy do cienia. – Muhammad–Szymon wskazał wykusz pod murem najbliższego domu. – Upał staje się nieznośny.

– Myślałem – zaśmiał się Montferrat, idąc za nimi – że kto jak kto, ale wy, Saraceni, przywykliście do takich warunków.

– Należy unikać przebywania na słońcu – odparł poważnie Szymon – jeżeli to tylko możliwe. To jedna z zasad przetrwania, jakie się u nas wpaja każdemu dziecku.

– Dobrze już, nie musisz mi tego objaśniać. Też żyję na tej ziemi. Powiedz lepiej, co za nowiny dla mnie macie.

Abdul–Jan bez słowa podał mu pergamin.

– Co to jest? – Konrad zmarszczył brwi.

– Pismo owego pielgrzyma, który nawrócił nas na prawdziwą wiarę – padła odpowiedź. – My nie wiemy, co w nim stoi, bo obca nam sztuka czytania, jednakże wy, chrzestny ojczy, na pewno ją posiadliście...

– Posiadłem, oczywiście. Mija czas królów niepiśmiennych, jak choćby wielki Karol.

W dzisiejszych czasach władca nie może zdać się na innych w podobnych sprawach, niewiedza zaczyna być grzechem, a nie cnotą, jak do tej pory – nagle zdał sobie sprawę, że przemawia do ludzi, których to najprawdopodobniej niewiele obchodzi. Rozpostarł zwój.

– Co to jest? – spytał bardziej zdziwiony niż rozgniewany. – Kpicie sobie ze mnie? Co to ma znaczyć? Tu nie ma nawet jednej litery! Czysta karta!

W tej chwili poczuł obok siebie ruch. Zanim zdążył zrozumieć, co się stało, chłodne ostrze przeszło mu pierś. Ujrzał gorejące oczy Muhammada naprzeciwko swoich. Dopiero teraz przypomniał sobie, gdzie widział podobne spojrzenie. Tamten wysłannik Sinana z diademem tak patrzył...

– Morderco – wykrztusił. – Szymonie... Muhammadzie...

– Imię moje brzmi Mehmet! – dobitnie wypowiedzanym słowom towarzyszyło ponowne pchnięcie. – A to zapłata za zło, które wyrządziłeś i mogłeś jeszcze wyrządzić!

Przecież miał mnie zabić syn, przeleciało Konradowi przez głowę, a nie jakiś Saracen... W tej chwili przyszło zrozumienie. Zabił go syn... Stara wiedźma miała rację.

– Gwałt! – zawołał ostatkiem sił. – Ratujcie...

Za trzecim razem sztylet zagłębił się w samym sercu. Konrad nie słyszał już tumultu, jaki powstał wokół nich.

Rozdział XXVII

Edward, pólśiedząc na łóžu, ponuro wpatrywał się w swędzącą nieznośnie nogę. W zasięgu ręki na stoliku leżały owoce, ciasta, stał nawet dzban z winem. Tuż obok miejscowy kadi mówił coś szybko do al-Adila w narzeczu, którego Swansen nie znał, wymachując przy tym rękami. Musiało też chodzić o trunek, gdyż co chwila pokazywał na dzban.

– To moja rzecz – powiedział stanowczo Malik. – On nie jest niewolnikiem, ale mile widzianym gościem! Nie pozwolę, by pętały nas bezsensowne prawa. Jemu religia nie zabrania spożywania sfermentowanych winogron, a mój lekarz nawet orzekł, że czerwone wino może mieć ożywczy wpływ na jego ciało. Zapewniam cię, duchowny ojczy, że jeśli medyk uzna, iż przydatna w kuracji jest wieprzowina, nie zawaham się ani chwili, żeby sprowadzić do naszej kuchni owo nieczyste zwierzę. Poza tym, gdyby Allah miał karać za spożywanie sfermentowanych owoców, ilu spośród jego wyznawców łamiących zakaz musiałby potępić! Niebo byłoby puste jak przedsionek świątyni w noc ramadanu.

Kadi poczerwieniał z gniewu i zaczął mówić szybciej, jeszcze gwałtowniej wymachując rękami.

– Przestań już szwargotać jak stary Zendza i mów po ludzku – zniecierpliwił się książę.

– Sam rozumiem z tego piąte przez dziesiąte, a ibn Suan też ma prawo wiedzieć, o co go oskarżasz.

– Dobrze, wasza wysokość – duchowny uniósł dumnie głowę. – Żądam natychmiastowego usunięcia tego giaura z terenu mojej jurysdykcji. Nie pozwolę, by jakiś niewierny kalał naszą świętą ziemię swoimi brudnymi stopami, by spożywał w mojej obecności zakazane napoje, a już na pewno nieczyste potrawy! Tym razem to Malik poczerwieniał z gniewu.

– Jakim prawem – wycodził – włączasz ten pałac do swoich kompetencji? To siedziba książąt i ja tu rządę, nie ty!

– Sułtan aktem swej łaskawości nadał mi władzę duchową nad całą tą ziemią. A pałac został włączony do zabudowań świątynnych. To ty, książę, jesteś tu gościem, a

nie ja – wydobyl z rękawa postrzepiony na brzegach zwitek.

– Oto moje prawo! Słowo jego wysokości Salah ad-Dina! Nie powiedziałem nic, gdy sprowadziłeś szaloną, skażoną grzechem dziewczynę. Nie protestowałem, kiedy rozlokowałeś wojsko. Lecz ten gjaur przelał czarę mej cierpliwości. Żądam, byś go natychmiast usunął!

– Ten gjaur – odparł spokojnie Malik – oddał wielkie przysługi mnie i sułtanowi.

Gdyby nie jego ofiarność, być może nie miałbyś już możliwości podnoszenia głosu na mnie czy kogo innego.

– To już sprawa tylko między wami, książę. Ja żądam, aby go usunąć!

Malik zmrużył oczy. – Skoro mój brat nadał ci prawo do użytkowania tego pałacu, chcę to zobaczyć na własne oczy. Pokaż papier.

Kadi z triumfującą miną podał al-Adilowi pismo. Ten nawet go nie rozwinął. Mocne, zwinne palce wykonały kilka szybkich ruchów i na mozaikę posadzki spłynęły białe strzępy.

Kadi oniemiał.

– Widzisz, święty mężu – powiedział bardzo spokojnie Malik. – Twoje prawa do tego miejsca właśnie uległy zawieszeniu, a może nawet unieważnieniu, nie uczyniłbym tego, gdybyś mnie nie zmusił. Ten człowiek musi mieć najlepszą opiekę, a nie znam lepszych lekarzy niż tu, w Baalbeku. Ostatnią rzeczą, jaką zamierzam uczynić, to narażanie zdrowia i życia ibn Suana! Dopiero niedawno odzyskał zmysły po gorączce, która się wdała od rany.

Nie mam zamiaru znów go stracić!

– Natychmiast – kadi odzyskał głos – wyślę człowieka, aby zawiadomił sułtana o twoim zuchwalstwie!

Żwawo ruszył ku wyjściu.

– Zaczekaj – zatrzymał go głos księcia.

Kadi przystanął, patrząc z nadzieją. Czyżby groźba interwencji Saladyna poskutkowała?

– Zapomniałeś o czymś, święty mężu.

– O czym?

– Po pierwsze zapomniałeś dodać na końcu swojej groźby słów „wasza wysokość”, co stanowi dla mnie obelgę, gdyż przywykłem, by tak się do mnie zwracano; po drugie – pokłonić się przed wyjściem. Nawet stan najwyższego wzburzenia nie usprawiedliwia takich uchybień!

Kadi tylko łypnął wściekle i wybiegł.

– Szkoda, że ten tutaj nie podlega mojej władzy – westchnął Malik. – Z przyjemnością zrobiłbym z nim porządek.

– Narażasz się dla mnie, książę – mruknął Edward. – Salah ad-Din może się na ciebie rozgniewać.

– Do sułtana zaraz wyślę odpowiednie pismo w tej sprawie. Nie obawiaj się! Gdyby miał zwracać uwagę na takie drobiazgi, musiałby mnie już dawno kazać zabić, a przynajmniej wygnąć. Jeszcze jeden obrażony kadi, nawet zarządzający wielką świątynią, to doprawdy nic wielkiego. Szczególnie po tym, co ostatnio przeżyliśmy – nagle głos mu stwardniał: – Nikt, nawet sam Prorok, nie zabroni mi dochować wiary przyjacielowi!

– W ustach muzułmanina to brzmi jak bluźnierstwo – szepnął Swansen.

– Widzisz, ibn Suan, ktoś musi zachować zdrowy rozsądek i dbać o odpowiednie proporcje. Widziałeś tego szaleńca. Takich zajadłych wyznawców wiary jest u nas wielu.

Zbyt wielu. Nie tylko wy macie swoich fanatyków, którzy w imię Boga dokonają każdej zbrodni i splamią się każdą podłością. Strach pomyśleć, co by było, gdyby uzyskali większy wpływ na rządy. Wyobrażasz sobie takiego kadiego, który ma możliwość decydować o życiu i śmierci albo co gorsza, o wojnie lub pokoju? Oni bez wahania posłaliby każdego wojownika na pewną śmierć, tak jak to czynią izmailici Starca z Gór, byle tylko kogoś zgładzić, trzeba czy nie trzeba, zawinił czy był bez winy. Mam nadzieję, że nigdy do tego nie dojdzie, że religijni szaleńcy nie zyskają władzy. To by sprawiło, iż wszystko czego dokonaliśmy, my i nasi przodkowie, poszłoby na marne. – Z roztargnieniem spojrzął na owoce, wziął figę i zaczął ją podrzucać. – Chcą nami rządzić – powiedział cicho. – Chcą, żeby władza sułtana była podporządkowana ich dążeniom. A najgorsze jest to, że kiedyś może im się udać. Mogą zająć takie okoliczności, kiedy nasi duchowni przywódcy przejmą rządy, a wtedy wszystkie te kraje spłyną krwią.

– Naprawdę tak by się to skończyło?

– A czy ty byś chciał, aby w twoim rodzinnym kraju sprawowali niepodzielną władzę wasi biskupi? No właśnie, ibn Suanie. Zamętu jest dosyć, kiedy tylko mieszają się do spraw państwowych. Zdać na nich rządy, to jak powierzyć ster galery dziecięcym dłoniom, jakby zamieszkać w jaskini pełnej jadowitych węży. – Odłożył owoc. – Dość o tym. Zapewne chciałbyś zobaczyć się z Fatmą.

Na twarzy Edwarda odmalował się ból. – Ostatnio, kiedy mnie zobaczyła, płakała, nie wiem, czy przestraszyła ją moja postać, czy krew sącząca się spod bandażu. Dobrze, że straciłem wtedy przytomność, nie wiem, jak bym przeżył ten widok, nie chcę jej przysparzać dodatkowych cierpień. Dość ją spotkało nieszczęścia.

– Czasem trzeba wielkiego bólu, żeby odzyskać równowagę ducha – odparł z dziwnym uśmiechem ksiązę.

– Chcesz przez to powiedzieć, że nie jest już szalona?

– Tego nie wiem do końca. Wydaje się, że odzyskała zmysły w kilka dni po tym, jak dotarliśmy do Baalbeku. Widziałem, iż bardzo troskliwie się tobą zajmuje podczas choroby.

Do nikogo nie wyrzekła wtedy ani słowa, a jednak odniosłem wrażenie, jakby wracało do niej życie.

– Po tym wszystkim... To wydaje się niemożliwe.

– Czy wciąż ją kochasz?

Swansen przymknął oczy. – Jak własną duszę – jego głos nabrał miękkości. – Może nawet bardziej niż własną duszę.

Malik położył mu rękę na ramieniu, lekko uścisnął. Edward otworzył oczy. Ujrzał w źrenicach księcia nieoczekiwanie ciepły blask. Dumny Saracen, patrzący na wszystkich z góry, dla wrogów mający w oczach tylko stal, potrafił patrzeć jak zwykły, życzliwy człowiek. Zawsze zdumiewało Swansena, ile w tym władczyim człowieku kryje się zwyczajnych, ludzkich tonów. Jakie jeszcze tajemnice kryje wewnątrz tego Ajjubidy?

– Teraz zaśnij, przyjacielu. – odezwał się książę łagodnym tonem. – Kiedy się zbudzisz, być może ona będzie przy tobie – podał mu puchar, w którym wino zaprawione jakąś substancją burzyło się lekko.

– Co to?

– Chyba nie sądzisz, że podaję ci truciznę? To lek. Sprowadzi uzdrawiający sen.

Edward upił łyk. Napój miał przyjemny, korzenny smak.

– A Fatma? – spytał czując ogarniającą go senność.

– Jeszcze zdążysz się nią nacieszyć. Ja teraz muszę wyjechać, ale niebawem powrócę.

Mam nadzieję, że zastanę cię w lepszym zdrowiu.

Rozdział XXVIII

Służący kończyli ładować dolny pokład galeonu. Na nabrzeżu ostatni podróżni żegnali się z bliskimi.

– Wernerze – powiedział Jan. – Mam nadzieję, że to, czego doświadczyłeś, wystarczy ci na całe życie. Nie będziesz się więcej porywać na podobne wyprawy.

– Nie wiem, doprawdy – uśmiechnął się smutno graf. – Teraz, kiedy mam wyjechać, czuję, jakby moje serce miało się rozedrzeć na dwoje. Z jednej strony pragnę zobaczyć mą ukochaną Helenę, poślubić ją i zabrać do domu, lecz z drugiej... Tyle przeżyć, tyle chwil strachu i chwały. W końcu mój stryj położył tu kości.

– Zaczny był z niego człowiek, choć ciężki w pożyciu. Vincent energicznie szturchnął Jana w bok. – Zaczny był i na tym poprzestańmy. – Ujął Wenera za ramiona. – Przez cały czas na ciebie patrzyłem, chłopcze – rzekł – i podziwiałem cię. Tak, tak, nie protestuj i nie płoń się jak zawstydzona dziewczica. Podziwiałem cię, powtarzam. Zawsze byłem raczej słabego zdania o waszym narodzie, ale odkąd spotkałem ciebie... Nie wiem, może jesteś wyjątkiem. Ja, będąc w twoich latach, myślałem jeno o tym, gdzie by się zabawić, wywołać burdę i nie w ostatku utoczyć komu trochę krwi. Zaś ty... Jakby to rzec...? Były chwile, kiedy zachowywałeś się bardziej po rycersku niż większość znanych mi wojowników, bez urazy, de Morges. Jan tylko machnął ręką.

– Prawie gadasz – mruknął. – Nie ma co. Przyznać muszę, sam się zawstydziłem, kiedy młody graf poszedł zobaczyć śmierć ghula. Mnie włos się jeżył na samą myśl o tym, co tam się dokona, a on poszedł jak w dym. Dobrze już, Wernerze, więcej nic nie powiem. Wiemy wszyscy, jaki z ciebie skromny młodzieniec – rozejrzał się na wszystkie strony. – Ciekawość, gdzie też podziewa się Piotr. Miał przecież przyjść pożegnać grafa – spojrzął w stronę miasta.

– Pewnie znowu gdzieś zapił albo zabawił z dziewczkami.

– A właśnie że nie, de Morges! – rozległ się nagle tuż przy nim znajomy, wesoły głos. – Jednakże zatrzymała mnie ważna sprawa.

– Skradasz się zupełnie jak Swansen – roześmiał się Jan. – Uważaj, żebyś podobnie nie skończył.

– Co komu pisane – zawtórował mu śmiechem Telford. Spoważniał, patrząc na

Wenera. – Mam coś dla ciebie, von Watzenrode – wyciągnął przed siebie podłużny przedmiot owinięty w czarny, bogato haftowany jedwab.

– Co to? – Werner wziął podarunek.

Niecierpliwie zaczął odwijać materię. Po chwili oczom rycerzy ukazała się zdobiona kamieniami i złotem pochwa, zaślnęła pyszna głowica, zwieńczona wielkim rubinem.

– To królewski dar – szepnął Vincent.

– Królewski, to prawda, bo od króla pochodzi. Ryszard prosi, byś przyjął ten miecz na pamiątkę. Z oczywistych względów nie mógł sam przybyć, jednakże moimi ustami przekazuje ci, że jest zaszczycony, mogąc się pochwalić znajomością z najdzielniejszymi poddanymi cesarza Austrii. Ja mogę się tylko przyłączyć do jego zdania.

Wernerowi ze wzruszenia drżały dłonie, nieporadnie zaczął owijać z powrotem miecz, nieskładnie mamrocząc podziękowanie.

– Uważaj, chłopcze. – Telford znowu rozjaśnił twarz uśmiechem. – Ten jedwab jest bodaj nie mniej cenny od samego miecza. Wszyty został złotą i srebrną nicią daleko na Wschodzie. Jest o wiele więcej wart niżli tutejsze tkaniny. Podobno w tamtych stronach hodują dużo szlachetniejsze odmiany jedwabników niż te, z których słyną Bejrut czy Tyr.

Będziesz miał godny podarunek dla swojej panny di Marco. Oczywiście, jeżeli jeszcze na ciebie czeka!

Nachmurzony Von Watzenrode zmarszczył czoło. – Czy chcesz rzec, Piotrze, że wątpisz w cnotę i wierność mojej ukochanej? Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Będę musiał...

Telford z rozmachem klepnął go w plecy, przerywając dalszy ciąg groźby: – A czy ty jeszcze nie nauczyłeś się, jak należy na ogół traktować moje gadanie? Na mnie nie ma sensu ani się gniewać, ani wyzywać na pojedynek z byle powodu, za każde słowo. Ja, mój Wernerze, z zasady wątpię w wierność kobiet, szczególnie jeśli zostawia się je same na dłuższy czas, a przemawia teraz moimi ustami nie zgorzknienie, ale doświadczenie. Jednakże, przyznaję, bywa, iż niewiasty potrafią mnie zaskoczyć swoim postępowaniem w tych sprawach. – Spojrzał uważnie na Vincenta. – Zgadzasz się ze mną?

– Nie wiem – wzruszył ramionami de Rionne. – Nie mam tak wielkiej praktyki w tym względzie, żebym mógł powiedzieć coś mądrego.

– Tak... – Piotr uśmiechnął się. – Porozmawiamy o tym jeszcze dzisiejszego wieczora... albo raczej jutrzejszego ranka. Wtedy powinieneś już wiedzieć więcej na ten temat.

– Co masz na myśli?

– A, to będzie niespodzianka, drogi przyjacielu. Dowiesz się, kiedy przyjdzie czas.

De Morges zastrzygł uszami. – Niespodzianka? Co ty knujesz, Piotrze?

– Zaraz muszę coś knuć?
– Musisz, znam cię. Uchyl chociaż rąbka tajemnicy.
– Sam zobaczysz. Kiedy tylko odpłynie okręt Wenera. Młody graf zmrużył lekko oczy. – Chyba zostanę, nie chcę, żeby mnie coś ominęło.

– O nie! Obiecaliśmy twojemu wujowi, że wyprawimy cię do domu, kiedy tylko nadarzy się okazja. Ale pozwól na bok, szepnę ci na ucho to i owo.

Odeszli kilka kroków, na próżno Jan de Morges próbował podsłuchać jakieś słowo.

W porcie panował zbyt wielki zgiełk, a Piotr mówił bardzo cicho. Oczy Wenera, w miarę jak słuchał, rozszerzały się ze zdumienia, a na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech. – Tak – powiedział, podchodząc do Vincenta. – Pozwól, że uścisknę ci rękę i złożę gratulacje.

– Czego? – zdziwił się de Rionne.

– Czego mu gratulujesz? – spytał równocześnie Jan.

– O tym sam się przekona w odpowiedniej porze.

– Gadasz zupełnie jak Telford – zniecierpliwiał się de Morges. – Kiedy nadejdzie pora!

Jaka pora? Ja, ze swej strony, kiedy tylko ta krypa zniknie za horyzontem, zamierzam uczciwie spać się na intencję twego pomyślnego powrotu do ojczyzny. O ile wiem, Vincent zamierzał zrobić to samo.

– Nie inaczej – przytaknął de Rionne. – Dziś tawerny i gospody zahuczą od naszych głosów, a karczmarze obłowią się za wsze czasy.

– Nie bądź tego taki pewien – roześmiał się Werner. – Nie nalegajcie, nie mogę powiedzieć nic więcej. Zresztą na mnie już pora. Widzicie? Kapitan wzywa wszystkich na pokład. Bywajcie.

Po kolei brali go w ramiona.

– I ty nam bywaj! Nigdy o tobie nie zapomnimy.

– Zajrzyjcie do mnie, jeśli Bóg was kiedy zawiedzie na ziemię cesarza Austrii. Mój dom zawsze będzie waszym domem. A ty, Vincencie, jeśli kiedy jeszcze spotkasz Swansena, rzeknij mu, że podziwiałem go i podziwiać będę. Rzadko kto potrafi pogodzić obowiązek wobec przeciwnika i powinność względem swoich z takim honorem, jak on to uczynił.

Po chwili sprawnie przeskoczył z trapu na pokład. Uniósł nad głowę dar Ryszarda.

– Panie Telford. Pozdrów ode mnie swojego króla! Podziękuj mu za wszystko. Jednak drzemia w nim ludzkie uczucia, choć czasem trudno w to uwierzyć!

– W ustach tego młodzika – mruknął de Morges – to brzmi prawie jak komplement.

– Niech cię Bóg prowadzi – zawołał Vincent. – Ucałuj od nas swoją Helenę!

– Nie omieszka, de Rionne. Po sto razy od każdego – roześmiał się radośnie. – Czasu będziemy mieli dość!

– Może wstąpimy jednak czegoś się napić? I zjeść, bo diablo zgłodniałem – Jan

tęsknym wzrokiem patrzył na mijaną gospodę. – Tutaj przyrządzają doskonałą baraninę w ziołach, mają też wyśmienite wina.

– Idziemy! – twardo obstawał przy swoim Piotr. – Gdybyśmy cię posłuchali, nie dotarlibyśmy na miejsce przed południem. Jutrzejszym, rzecz jasna.

– De Rionne – jęknął Jan. – Wesprzyj mnie choć ty.

– Słuchaj, Telford – Vincent zatrzymał się. – Wszelakich tajemnic mam dosyć na dłuższy czas. Powiem więcej, wystarczy mi ich w zupełności do końca życia!

– Mnie też – przyświadczył skwapliwie Jan.

– Powiedz, o co chodzi, albo idź swoją drogą, a nam pozwól utopić smutki w trunku, nieważne czy będzie to wykwiniony burgund czy zwykły włoski sikacz. Jutro chcę wstać z potwornym bólem głowy i otepiałą pamięcią.

Piotr gwałtownie zamachał rękami. – Toż zostało jeszcze tylko kilka kroków do moich kwater! Nie możecie wytrzymać bez wina nawet pół pacierza?

– Nie możemy – odparł zdecydowanie Jan. – Ja w każdym razie na pewno!

– A ja z kolei nie mogę przyprowadzić was późną nocą, ślaniających się na nogach i cuchnących wińskim!

– Co ty chcesz nam pokazać?

– Raczej kogo, powinieneś zapytać, Vincencie. Chodźcie wreszcie. Widać już bramę mojego domu.

Posłusznie powlekli się za nim. Vincent z burzą myśli w głowie, a Jan mamrocząc pod nosem przekleństwa.

W sieni panował miły chłód. De Rionne wciągnął powietrze, z przyjemnością łowiąc w nozdrza charakterystyczne zapachy domostwa. Prawie tak samo pachniało w gospodarczych pomieszczeniach jego rodzinnego zamku, gdy zbliżała się pora obiadu.

– Służba zaprowadzi was do sali jadalnej – powiedział Piotr. – Ja zaraz tam przyjdę.

Zniknął za załomem korytarza. Vincent z Janem podążali za służącym. De Rionne przypomniał sobie drogę w ciasnych korytarzach jaskini. Tam też na końcu czekała niespodzianka. Miał nadzieję, że ta tutaj nie będzie tak brzemienna w skutki.

W jadalni de Morges natychmiast sięgnął po stojący na stole bogato zdobiony dzban. – Pusty – zajrzał do środka z wyrazem niesmaku na twarzy. – Powiedz mi, po co trzymać w jadalni puste naczynia? Po co je w ogóle trzymać?

Dziwni są ci Anglicy – zerknął na służącego, stojącego pod ścianą w oczekiwaniu na polecenia. Rzucił mu dzban z taką siłą, że pacholek zatoczył się do tyłu. – Na co czekasz, bęcwale? Bierz to i biegnij do piwnicy po wino!

– Ależ to ozdoba, panie – zaprotestował pacholek. – Z tego się nie pije. Powiadają, że ta amfora należała niegdyś do króla, którego imię jest już dzisiaj zapomniane...

– Milcz, bo stracę cierpliwość! – Jan groźnie zmarszczył brwi. – Mówię ci jeszcze raz, de Rionne, dziwaki z tych Anglików. Telford też ma swoje za uszami. Że też mu się chce zbierać takie starocie. Ozdoba, też coś! Jeśli nawet, napełnij ją czym prędzej

winem, pachółku. Tylko dobrego przynieś, a nie jakiegoś sikacza jak ostatnio!

Gdy tylko chłopak zniknął, otworzyły się boczne drzwi.

– Robisz więcej hałasu niż hufiec pancernych jeźdźców w pełnym galopie, Janie – Piotr wszedł pierwszy, za nim wsunęła się niewieścia postać. – Zachowuj się przy damie!

Jan zerwał się na równe nogi. Trącił Vincenta. – Widzisz to co ja? Bo ja nie bardzo wierzę w to, co widzę. Omam, czy jak? Przecież nie wychyliłem jeszcze dzisiaj ani kwarty!

De Rionne przełknął głośno ślinę. Wpatrywał się w przybyłą prawie nie oddychając, jakby się bał, że najłżejsze tchnienie spłoszy ją jak senną wizję. Jeżeli de Morges nie wierzył własnym oczom, to co on miał powiedzieć?

– Witajcie, szlachetni panowie – odezwała się kobieta wysokim, melodyjnym głosem. – Nie poznajecie starych przyjaciół?

Vincent potrząsnął głową. – Judyto! – zawołał otwierając ramiona. – Wróciłaś!

Omam nie dodał: „...do mnie”. Powstrzymał się jednak. Może kuzynka Telforda przybyła załatwić jakieś swoje sprawy? Może złożyła nowe ślubowanie i właśnie je wypełnia? To, że tu stoi, wcale nie musi oznaczać powrotu do niego. Tym bardziej, że teraz – zamiast paść w jego objęcia – usiadła, odgradzając się od niego blatem stołu. Powoli opuścił ręce. Spojrzał na Piotra. Ten, stanąwszy za plecami Judyty, uśmiechnął się i lekko przymrużył oko. – Panie de Morges – rzekł. – Chodźmy do zbrojowni. Zobaczysz piękny pancerz, który dostałem w darze od mojej kuzynki. Jan, nie reagując, bez słowa gapił się na Judytę.

– No, chodź już! – Piotr podszedł do niego.

– A daj mi spokój – szarpnął się de Morges. – Co to, kolczugi w życiu nie widziałem? – Znowu wlepił wzrok w panią Monaghan.

– Takiej nie widziałeś – powiedział z naciskiem Piotr. – Zapewniam cię. To naprawdę przednia kolczuga! Muzułmanie powiadają o takich dziełach, że musiał je wykonać sam biblijny Dawid, król Judy i Izraela. W Koranie ponoć jest opowieść o tym, jak Allah osobiście wyuczył go tej sztuki – ukradkiem szturchnął Jana. – Chcesz ją usłyszeć? To pójdźmy, nie będę przecież zanudzał podobnymi sprawami Judyty, prawda? Ani Vincenta, który na pewno słyszał ją tysiąc razy.

– Tak, tak – drgnął de Morges. – Kolczuga, powiadasz? Chodźmy zatem.

Vincent usiadł. Z przyjemnością wpatrywał się w regularne rysy Judyty, obserwował pukle ciemnych włosów spływających na smukłą szyję. – Co cię sprowadza z powrotem do Ziemi Świętej? Czyżby jakieś zadawnione sprawy?

Patrzyła na niego długo, bez słowa. Z obojętną miną i ogromnym niepokojem w sercu czekał, co powie.

– Tak, zadawnione sprawy – odezwała się w końcu. – Dokładniej jedna zadawniona sprawa. Wygrałeś, de Rionne. Przysięgałam sobie, że nie chcę cię więcej znać, ale w

końcu wygrałeś! Chciałam cię początkowo przetrzymać w niepewności, ale nie potrafię, powiem więc od razu całą prawdę. Nie mam tutaj żadnych innych spraw poza tobą.

Sama nie wiedziała, jak to się stało, że nagle jego postać wyrosła tuż przy niej. Po chwili wahania zatopiła się w pierwszym, wyśnionym przez oboje pocałunku.

Rozdział XXIX

– To Sinan! – Balian z Ibelinu krążył po komnacie. Wyglądał jak lew zamknięty w ciasnej klatce.

– Zapewne Sinan – przytaknął biskup Beauvais.

– Nie zapewne, a na pewno. Abdul, ten któremu usłużyłem do chrztu, na torturach wyznał, kto jest jego mocodawcą! Szkoda, że strażę zarabąły tego drugiego, Muhammada. Od niego też można by się czegoś dowiedzieć.

Zapłakana Izabela siedziała w kącie.

– Przepowiedziała wróżycha, że syn go zabije – wymamrotała. – Ostrzegałam, ale tylko się śmiał. Nie chciał wierzyć...

– Pani – biskup spojrział na nią z niepokojem. – Co ci się jawi w tej rozpacz? Konrad nie miał syna! Jedynym jego dzieckiem jest Maria, wasza córka. A poza tym zamordował go przecież Saracen, przeklęty izmailicki sekciarz!

– A jednak zabił go syn, zgodnie z przepowiednią!

– Co ty mówisz, Izabelo?! – Balian był równie zaniepokojony jak biskup. – Trzeba posłać po medyka, niechby podał ci jakieś zioła na sen! Tracisz zmysły.

– Zaraz – powstrzymał go Beauvais. – Ona przecież ma rację. Wszak ów Muhammad niewiele przed zabójstwem stał się jego synem. Chrzestnym tylko, to prawda, ale synem!

– Rzeczywiście. – Balian zmarszczył brwi. – A czy to ma teraz jakieś znaczenie?

– Nie przypuszczam. Jednakże trzeba by się przyjrzeć bliżej tej wiedźmie, skoro udziela takich trafnych wróżb.

– O ile zdążyłem przez te lata poznać Konrada, on już się jej bliżej przyjrzał. Poza tym chcesz się teraz zajmować gusłami? Staruchę, jeżeli jeszcze żyje, wyda się katu.

– Racja. Nasz nieodżałowany przyjaciel pozostawił nas niczym sieroty we mgle.

Izabela znowu zaczęła szlochać. Przez twarz Baliana przeleciał niecierpliwy grymas.

– Co znowu, królowo?

– Nie musicie się fatygować. Balian ma rację. Mój świętej pamięci małżonek kazał ją zgładzić. Myślał, że się nie dowiem, ale Karima nawiedziła mnie we śnie. Pokazała straszne rany. Miała takie czarne, przepaściste oczy...

– Sen mara – Balian nie krył zniecierpliwienia. – Gdybym miał się opierać na snach, miał zbierać fakty, daleko bym nie ujechał.

Izabela potrząsnęła głową. – Sprawdziłam. Karima rzeczywiście została zabita. Wiem, że kazał to zrobić Konrad.

– To świadczy tylko o słuszności jego wyboru na władcę Królestwa Jerozolimskiego.

Zawsze działał szybko i zdecydowanie, nawet w sprawach małej wagi. Lecz teraz trzeba pomyśleć o jego następcy. A wszak tylko ten, kto pojmie za żonę królewską wdowę może liczyć na poparcie...

– Jeszcze trup mojego męża dobrze nie ostygł – krzyknęła nabrzmiałym bólem i oburzeniem głosem – a wy już przemyśliwujecie, komu mnie sprzedać?!

– Pani – powiedział uspokajającym tonem biskup. – Jesteś królową, a to zobowiązuje, nie można zostawić państwa samemu sobie i oddać się rozpacz. Konrad przyznałby nam słuszność; sam w takiej sytuacji postąpiłby podobnie.

– To wstrętne! Nienawidzę was wszystkich! – wybiegła z pokoju.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Przejdzie jej – mruknął biskup. – Niewiasta musi należycie opłakać męża.

– Kogo byś zaproponował, Filipie? – Balian sięgnął po puchar z winem.

– Henryk z Szampanii wydaje się najodpowiedniejszy. Ma zawołanie wśród rycerstwa i mir u włoskich kupców. A także, co okazuje się naraz bardzo ważne, nie zadarł dotąd z asasynami. Nie spodziewałem się po tych piekielnikach aż takiego sprytu!

– Henryk, powiadasz... Tak, to może być dobry wybór. Zaś co do asasynów...

Zastanawiałem się, jak wykorzystać śmierć Konrada. Niechby się jeszcze nam przysłużył, zanim spocznie w grobie.

– Co masz na myśli?

– Trzeba rozpuścić pogłoski, że do jego morderstwa przyłożył ręki Ryszard. Im angielski król będzie miał słabszą pozycję, tym lepiej dla nas.

Biskup skubnął wargę.

– Nie wiem tylko, czy ktoś w to uwierzy. Takie działanie, mimo wszystko, nie leży w naturze Anglika.

– Kropla draży skałę, a słowo umyśli. Dość powtórzyć kłamstwo sto razy, aby dla wielu stało się prawdą. Jeśli powtórzysz je tysiąc razy, uwierzą wszyscy. A czy ty sam jesteś całkiem i do końca przekonany, że Ryszard jest w tej sprawie zupełnie czysty i poza podejrzeniem? Przebywa już w Palestynie jakiś czas. Zaprzyjaźnił się nawet i wiele razy spotykał z al-Adilem. Konia z rządem temu, kto dowiedzie niezbitcie jego niewinności!

Biskup przyglądał się uważnie Balianowi.

Ten człowiek jest jak skorpion. Trudno go dostrzec, ale kąsać potrafi dotkliwie i śmiertelnie. Nie nadaje się na króla, ale może mieć przemożny wpływ na jego wybór.

Jeszcze wysoko zajdzie, oczywiście jeśli pożyje wystarczająco długo.

Rozdział XXX

– Dokonało się, co się dokonać miało. Czego jeszcze chcesz, panie Lorenzo?

Kupiec, zamiast odpowiedzi, rzucił zapieczętowany pergamin.

– Co mi tu przynosisz? – Sinan gniewnie podrzucił głową.

– Czytaj, szejku. Dowiesz się, jak daremny był cały nasz trud.

– Nasz?! – Starzec z Gór spojrział drwiąco. – Wyście się nadmiernie nie natrudzili. To ja zabiłem Konrada to moi ludzie ponieśli ofiarę. Że przy tej sposobności zemściłem się za rabunek, to rzecz druga i najmniej doprawdy istotna. Zapewne koniec końców wydobyłbym od Montferrata zadośćuczynienie za straty i krzywdy. Gdybym miał zabijać wszystkich, którzy się narażają na mój gniew, żywa noga by nie pozostała w całej Palestynie.

– Przeczytaj pismo, szejku. To raport postrzegacza, którego udało nam się umieścić na dworze Saladyna.

Sinan złamał pieczęć. Towarzyszyło mu dziwne przekonanie, że coś jest nie w porządku. Ci kupcy stają się bardziej niebezpieczni niż krzyżowcy i Ajjubidzi razem wzięci. Trzeba będzie koniecznie coś z tym zrobić. Szybko przeleciał wzrokiem rzędy liter.

– Nie rozumiem, don Lorenzo. Z raportu wynika jasno, że wszystko zostało wykonane jak należy. A że na Saladynie śmierć Konrada nie zrobiła wrażenia? Ten śmierdzący Kurd to wytrawny gracz, nigdy nie pokaże po sobie wzburzenia.

– Jednakże przepowiednia... Pamiętaj o prorocztwie, Raszidzie. Ono w tym wszystkim może okazać się najważniejsze. Saladyn podążył inną, sobie tylko, i może al-Adilowi, znaną drogą. Tak jakby dla nich wieszczenie Joachima nie dotyczyło Montferrata, ale zupełnie kogoś innego.

– Wiesz doskonale, że było ono jasne! Nastanie na tej ziemi człek wyszły z lędźwi ludów Zachodu, który posiadzie córę królewskiego rodu panującego w tej ziemi i sam zostanie władcą w Świętej Ziemi. On zostanie królem świata, niepokonanym w boju, prawie nieśmiertelnym i tak dalej, i tak dalej. Czyż nie pojawił się Konrad, czyż nie pojął za żonę Izabeli, mającej jedyne słuszne prawa do korony? Czy nie uszedł wiele razy śmierci, a w walce zawsze okazywał się straszny? Kto bardziej niż on pasuje do

proroctwa? Nie rozumiem, co prawda, dlaczego tak się uwzięliście na niego właśnie, ale dokąd płacicie, a wasze dążenia nie stoją w sprzeczności z moimi, nie jest to coś, co spędzałoby mi sen z powiek.

– Och, szejku – zawołał z uśmiechem kupiec – wytłumaczenie jest bardzo proste. Jeżeli nie wiesz, o co w sprawie chodzi, zastanów się, komu z niej zysk. Mamy nawet w Europie taką sentencję prawniczą. Brzmi ona: „Komu korzyść”. Widzisz, najbardziej podejrzany popełnienia zbrodni jest ten, komu przyniesie ona pożądane skutki. Taki jest człowiek. Jeśli tylko poczuje trochę złota od razu mówi sobie: *Video meliora proboque, deteriora sequor*.

– Co to znaczy? – zniecierpliwiał się Starzec z Gór. – To jakiś nieznan mi język.

Możesz mówić zrozumiale?

– To łacina. Język naszych kapłanów i prawników. To dlatego, że używamy go w sprawach wagi państwowej, a nasze prawo wywodzi się z Rzymu, nazywają nas Łacinnikami. To, co powiedziałem, znaczy: „Widzę i pochwalam rzecz lepszą, dążę jednak do gorszej”. Tak zawsze postępuje człowiek, kiedy ma wybór między dobrem a korzyścią.

Sinan roześmiał się. – Też mi objawiłeś mądrość, panie Lorenzo! To wie każde dziecko.

– Co innego wiedzieć, a co innego widzieć. Czy naprawdę nie dostrzegłeś, jaka dla nas wypływa korzyść ze śmierci Montferrata?

– Masz mnie za głupca? Oczywiście, że wiem! On zawsze popierał genueńczyków przeciwko wam, czyż nie? To mogłoby was pozbawić lwiej części dochodu, gdyby objął rządy.

Kupiec pokręcił głową. – To nie jest tak. Możemy się z Genuą czy Wenecją zwalczać, możemy prowadzić wojny, zabijać się i wyniszczać. Jednakże jesteśmy sobie nawzajem potrzebni. To się nazywa rozwijanie interesów. Nasze faktorie zwalczają się, ale zawsze dochodzimy w końcu do porozumienia. Prowadzimy każdy własną politykę, mimo to istnieją między nami tajne układy. Nie może pozostać na świecie tylko jedna kupiecka gildia, tylko jedna potęga dyktująca wszystkim dookoła warunki. To prędko by doprowadziło do upadku takiej siły. Konrad miał plany, by wyżenać nas wszystkich z Palestyny, z Cypru i zamknąć nam szlaki na Wschód. Jako pan świata, jak chciała przepowiednia, byłby do tego zdolny.

Nikt z nas nie zyskałby na tym, a wszyscy ponieśliby niepowetowane straty. Dlatego postanowiliśmy usunąć go z drogi.

– A ja myślę – zmrużył oczy Sinan – iż chodzi jeszcze o co innego. Z tego, co powiedziałaś, wyłonił się obraz wstrząsający nawet mną, choć zwyczajny jestem wszelkich podłości! Podejrzewam, że wy wszyscy, genueńczycy, wenecjanie, pizańczycy, prowadzicie od dawna wspólną grę. To właśnie wy chcecie zapanować nad światem, posługując się cudzymi rękami, takimi jak moje! Jesteście gotowi sprzedać

nawet swoich ziomków, żeby osiągnąć cel. Konrad zapewne byłby zbyt trudny do okiełznania. Nie zdziwiłbym się, gdybyście teraz na tronie zechcieli osadzić kogoś bardziej sobie powolnego, jak choćby diuka Henryka szampańskiego! Czy wiesz, że gdybym szepnął słówko o waszej roli w sprawie, mielibyście nieliczne kłopoty? Nie obawiaj się! Zapłaciliście, więc zgodnie z umową biorę wszystko na siebie. Ale miałbym szczerą ochotę rzec komu trzeba to i owo. A teraz powiedz, kogo mam znowu zabić? Może samego Ryszarda albo nawet Saladyna?

Lorenzo spojrział zaskoczony.

– Zgadłem, prawda? – Sinan zbliżył ku rozmówcy twarz. – Mów, z czym przybywasz!

Nic się przede mną nie ukryje, pamiętaj o tym! Kogo chcecie, żebym teraz zgładził? Kto zagraża waszym interesom?

Pizańczyk oblizał nerwowo wargi. – Owo proroctwo... Uważamy, że nie dotyczyło ono wcale Konrada, jak nam się zdawało. To znaczy Konrad nie jest jedyną osobą, do której pasują słowa Joachima. Masz wiele słuszności w swych podejrzeniach. Tym człowiekiem z proroctwa może być Ryszard!

Starzec drgnął. – Poczekaj, don Lorenzo. Wielki to rycerz, zgoda. W boju niepokonany. W tym pasuje jak ulał do słów wieszczca. Jednakże nie poślubił przecież księżniczki z tej ziemi!

– Daliśmy się zwieść znaczeniu słów, szejku. W proroctwie jest mowa, że ją posiadzie! To niekoniecznie oznacza ślub, zgadzasz się? No właśnie. A na dworze Saladyna działy się ostatnimi czasy dziwne rzeczy. Niedługo przed przybyciem Ryszarda do Palestyny wydarzyło się coś, co uszło naszej uwadze, nie wiemy wszystkiego dokładnie, jednak można przypuszczać, że zaszło coś między królem Anglików a siostrą sułtana. W dodatku, jak się okazuje. Arabowie dorobili się swojej wersji tego samego proroctwa. To dlatego Saladyna nie poruszyła wiadomości o Konradzie! Rozumiesz? Oni od początku uznali, iż wieszczczenie dotyczyło Ryszarda!

– Przestań gadać już o proroctwach! – zniecierpliwiał się Sinan. – Sam przecież nie wierzysz w te bzdury!

– Nie doceniasz roli takich przepowiedni. Ciemne umysły łatwo im się poddają, co jest zawsze bardzo niebezpieczne.

– Mam zatem nakazać zamordować Anglika? Teraz on zagraża przepływowi złota w waszych kantorach?

Lorenzo skinął tylko głową. Sinan przymknął oczy.

– To by sporo kosztowało. Dużo więcej niż w przypadku Montferrata.

– Wiemy, szejku. Stać nas na wielkie poświęcenia. Starzec z Gór powstał. Lorenzo poszedł w jego ślady.

– Ile? – spytał.

– Zobaczymy. Takie przedsięwzięcie wymagałoby wielkich ofiar, nie wiem, czy stać

na to nawet was, bogacze. Dość o tym! – uciął protest kupca. – Nie jesteśmy na targu! Teraz udaj się do swojej kwatery. I nie próbuj wychodzić z sypialni po nocy. Mogłoby cię spotkać jakieś nieszczęście. Rano przyślę kogoś po ciebie, dokończymy rozmowy.

Pizańczyk skłonił się lekko i wyszedł.

– Słyszałeś, Hamdan?

– Każde słowo. – Dowódca pojawił się jak spod ziemi. – Co zamierzasz zrobić?

– Najpierw pozbędziesz się tego kupczyka. Za dużo mówi, jak na zaufanego posłańca.

Zbyt wiele wiadomości można od niego wydobyć, jeżeli tylko pozwolić, by się zaczął puszyć niczym paw.

– Jak każesz, panie.

– Tak zresztą doradza ten, który go przysłał, sam rezydent kupieckiej rady Pizy.

Gdyby nieszczęsny Lorenzo wiedział, jakie jest ostatnie zdanie w liście jego pryncypała, prędzej udałby się z nim do Saladyna lub Ryszarda niż do mnie.

– Musiał się czymś narazić. Bartolomeo to przebiegły i okrutny człowiek, lecz nie zabija bez potrzeby.

– Konrada zabił. Ale kto by za nimi trafił? Może się Lorenzo naraził, a może nie.

Dokąd płacą, a ich zamierzenia nie pozostają w sprzeczności z naszymi interesami, nie zamierzam się nad tym głębiej zastanawiać. Rano zdasz mi sprawę z wykonania rozkazów.

Hamdan stał, patrząc z uwagą w oczy Sinana.

– O co chcesz zapytać?

– O to, czego się jeszcze nie dowiedziałem. Czy zamierzasz zgładzić Ryszarda?

– Tylko wtedy, jeżeli sięgnie po koronę Królestwa Jerozolimskiego. Bo to by oznaczało, że te wszystkie proroctwa są jednak coś warte, a dla nas stałby się naprawdę groźny. Jednakże zbyt wiele stron pragnie śmierci tego człowieka, nawet ten brudny Grek Izaak Komnenos słał do mnie z propozycją pozbycia się króla. Co tam Komnenos! Sam cesarz z Konstantynopola jest gotów słono zapłacić za jego głowę. I on widać czegoś się bardzo przestraszył. Proroctwa... Tylko prawdziwe wizje są cokolwiek warte, ale one mówią o tym, co było i co jest, a nie co będzie. A proroctwa to jeno mierzwa i plewy na wietrze dziejów.

– Naprawdę nie dajesz im wiary, szejku? Wszyscy dookoła są pod ich przemożnym wpływem.

– To bardzo dobrze, niech al-Adil albo i sam Saladyn uganiają się po pustyni, jak to czynili ostatnio, niech Anglik zastanawia się, czy i skąd padnie cios. Gdy nasi wrogowie walczą ze sobą, dla nas z tego tylko radość.

– Ale nie zaprzeczyłeś, że podejmiesz się próby zabicia Ryszarda.

– To tylko słowa. Powtarzam, jeśli będzie taka potrzeba, nie zawaham się tego uczynić, ale na własny rachunek, a nie na zlecenie jakichś kramarzy. Zaś teraz nie

zamierzam gasić wrzenia, które wywołują wokół Ryszarda baronowie do spółki z kupcami. Posądzają swojego króla o zabicie Konrada. Wielu na rękę takie oskarżenia, a ci, co dają temu wiarę, są ślepyimi głupcami, którzy nie widzą, że śmierć Montferrata bardzo nie w porę była dla Ryszarda. Powtarzał ostatnio często, że chce wracać do swojego kraju. Łatwiej byłoby mu zakończyć wyprawę, gdyby mógł tu zostawić nielubianego co prawda, ale silnego i sprawnego władcę. A poza tym wokół Krzyżowca dzieje się coś, czego nie rozumiem...

Jeszcze nie rozumiem. Czuję to zawsze, kiedy sięgam wizją ku jego osobie. Jakby otaczał go cień, coraz gęściejszy i bardziej ponury niż najczarniejsze sny. Podobny cień zalega wokół Saladyna. Zresztą sułtana także oskarżają o przyłożenie ręki do śmierci jerozolimskiego władcy. Głupcy! Ani król Franków, ani sułtan nie mieli ostatnio głowy do zajmowania się osobą Konrada. Zaszły jakieś wydarzenia, które umknęły nie tylko szpiegom kupców, ale nawet naszym. To niepokoi mnie najbardziej – przekrzywił głowę jak ptak bacznie obserwujący otoczenie. – A teraz zostaw mnie już samego. Muszę oddać się rozmyślanom i modlitwie.

Hamdan odwrócił się. Jego szerokie plecy wypełniły prawie całą przestrzeń drzwi. Na twarzy Sinana zagościł zagadkowy uśmiech. Hamdan... Zapewne to jednak on będzie tym, który przyśle kiedyś, może całkiem niedługo, zaprzysiężonego zabójcę. Jednakże czy uda mu się przejąć władzę w al-Kahf? Jeśli dogada się z opiekunem asasynów, Saikiem, pewnie tak.

Lecz to, na szczęście, nie będzie już zmartwienie Starca z Gór.

Rozdział XXXI

Delikatny poblask oliwnej lampy rozplýwał się w przyjaznym mroku.

Zupełnie jak wtedy, pomyślał Swansen, kiedy stara piastunka dodawała żółtego barwnika do kotła z tkaninami. Czarne i groźne dno wielkiego naczynia zaczynało wyglądać niby aksamitna morska toń u dalekich południowych brzegów. Gdy był dzieckiem, ów kocioł do farbowania wydawał się przedsionkiem piekła, taki był wielki i ciemny. Jednakże kiedy rozchodziły się w nim promienie światła, stawał się ciepły i przyjazny... Teraz mrok wokoło też był taki.

– Jestem szczęśliwy – powiedział głośno. – Jestem naprawdę szczęśliwy po raz pierwszy, odkąd przybyłem do Ziemi Świętej.

Ruch poza granicą światła. Po chwili pojawiła się jasna dłoń trzymająca bogato zdobiony puchar.

– Napij się, Zahr. To wino z korzeniami na gojenie. Czasem żałuję, że Prorok zabronił nam go spożywać. Podobno daje zapomnienie.

– Na bardzo krótko. To tylko złuda zapomnienia, nazwałaś mnie Zahr... Jak kiedyś, nigdy nie chciałaś powiedzieć, dlaczego nadałaś mi to imię.

– Zahr. – W jej głosie był uśmiech. – Przeważałam cię Kwiatem i miałam rację. Jesteś jak złudny obraz na pustyni albo jak kwiat właśnie, niby na wyciągnięcie ręki, lecz równocześnie daleki i nieosiągalny. Można go zerwać, jednakże szkoda niszczyć delikatnego życia. Pokochałam cię, giaurze, ale moja miłość musiała pozostać ukryta głęboko w sercu, nie mogłam cię wziąć w dłonie, przytulić do piersi, nie pozbawiając jednocześnie życia. Ani Jusuf, ani Malik nie przebaczyliby, gdybym obdarzyła uczuciem niewiernego, na dobitkę jeńca. A kiedy już mogłam jawnie pokochać, kiedy al-Adil zaczął cię naprawdę cenić i mógłby nam wyjednać u sułtana łaski, zjawił się ten przeklęty mułła.

– Lecz teraz jest inaczej, ukochana, nie ma mułły, nie ma piekielnych poczwar.

A księżę Malik obiecał poprosić Saladyna o zezwolenie na nasz związek. Jeśli będzie trzeba, przyjmę waszą wiarę.

W kręgu światła pojawiła się jej twarz. Ze szczeliny w zasłonie patrzyły badawczo okolone długimi rzęsami ciemne oczy. – Chciałbyś mnie pojąć po tym wszystkim?

Zhańbioną i zbrukaną złem? Spójrz dookoła. Wiesz, ile pogardy nas czeka od ludzi? Krzyżowiec i Saracenka!

– To nieważne – powiedział z mocą. – Jeśli trzeba będzie, osiadziemy na pustkowiu. Na Boga! Wolę pasać owce jak prosty góral, niżli żyć w świecie, gdzie urodzenie i wyznawana wiara mają świadczyć o człowieku!

– Twoje słowa nie pasują do tej ziemi, Zahr. Nie pasują zresztą do żadnego kraju, są sprzeczne z tym, co dzieje się na całym świecie. Urodzenie i wiara... Dla ludzi jedynie te rzeczy mają znaczenie. Oczywiście jeszcze bogactwo.

– Ale nie dla mnie. Ja myślę tylko o twoim i moim szczęściu. Chcę twojego dobra, a resztę świata niech dia...

Zakryła mu usta dłonią. – Nie wymawiaj imienia nieczystych sił – szepnęła. – Wciąż krążą zbyt blisko mnie, by je przyzywać.

– Co ty mówisz? – spytał również szeptem. – Zło odeszło.

– Nie do końca, kochany. Ono nigdy nie odchodzi do końca.

Uniósł się na łokciu, spojrzał czujnie. – Fatmo, coś się dzieje? Powiedz!

– Kocham cię.

– I dlatego jestem szczęśliwy. Lecz wyczuwam w tobie coś... jakiś niepokój.

– Kocham cię – powtórzyła. – Jednakże nie mogę dać ci szczęścia.

– Dla mnie szczęściem jest, że odzyskałaś zmysły! Posmutniała, zapatrzyła się w równy płomień lampy.

– Nie wiem, czy można to nazwać szczęściem. Po tym wszystkim, co mnie spotkało, co zrobiłam... Mój grzech jest tym większy, im bardziej gorliwe było poświęcenie. Nie wolno dążyć do dobra za pomocą złych uczynków. Zbyt późno to zrozumiałam. Jedno zło może urodzić tylko następną krzywdę.

– To minęło – wyciągnął do niej rękę. – Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Pogłaskała go po twarzy. – Zbliża się północ – odparła pozornie bez związku. – Czas, kiedy Ziemia odwraca twarz od ożywiających promieni słońca, a zwraca ku najczarniejszym czeluściom pustki, gdzie czają się ciemne moce...

– Fatmo – przestraszył się, że znowu ogarnia ją szaleństwo. – Wróć do mnie, nie odpływaj na drugą stronę!

– Nie odpływam – głos miała suchy i pewny. – Jest jednak coś, co powinienesz wiedzieć. Zło nie odeszło. Ono chce powrócić, odrodzić się we mnie powtórnie!

Poczuł przebiegający po plecach dreszcz.

– To niemożliwe!

– A jednak przychodzi do mnie każdej nocy. Spójrz tam, poza wąły krąg światła. Czai się, czekając na chwilę słabości. Jeśli dobrze wyteżysz wzrok, ujrzysz krwawe spojrzenie ghula! Potwora, który wyszedł z mojego łona. Mojego dziecka... – dodała ciszej. – Mojego nieszczęśliwego synka, płonącego teraz w ogniu piekielnym. Jego ciało i duszę trawi istota równie nieszczęsna jak on.

Milczał, próbując zebrać myśli. W jej słowach nie było opętania. Głos czysty, w niczym niepodobny do upiornego zawodzenia w tamtym czasie, gdy oczy dziewczyny błyszczały obłędem.

– Wtedy, na cmentarzu – ciągnęła – wróciłam do niego. Nie wytrzymałam, wyrwałam się z uścisku mułły, choć próbował mnie powstrzymać za wszelką cenę... noworodek nie żył już. Zrobił się siny i zimny, ale ja próbowałam go karmić. Wycisnęłam z piersi kilka kropel mleka, wlałam w martwe, zeszywniałe usteczka... – głos jej się załamał. – Gdybym wiedziała... Mułła przybiegł za mną. Natychmiast wypłukał wodą usta małego, obmył go dokładnie, żeby matczyiny zapach nie odstraszył potworów... Potem go zakopał. Powiadają, że mleko matki może ghula uzdrowić, choć nie wiem, co to naprawdę znaczy... Może po prostu prawdziwą śmierć? Jednakże podać mu je należy, kiedy już stanie się poczwara. A ja dałam je mojemu truchełku... Na darmo, było albo zbyt wcześnie, albo zbyt późno, w każdym razie zupełnie nie w czas. Wraz z tym mlekiem, dałam mu duszę... nie potrzebował jej, stała się tylko źródłem strasznej udreki.

– Boże – szepnął Edward – bądź miłościw...

– A teraz biedactwo usiłuje powrócić, ciągnie zaś ze sobą tego demona! Każdej nocy jest bliżej, za każdym razem kosmate ręce wyciągają się po mnie.

– Kochana, to tylko strach. To jedynie ślad koszmaru, jaki przeżyłaś.

– To coś więcej, Zahr! – Nagle spomiędzy fałd szaty wydobyła sztylet. Szybkim ruchem położyła go na łóżku, obok ręki Swansena.

– Co robisz?

– To dla bezpieczeństwa, kochany. Jeśli przyjdzie potwór, będziesz musiał... – zawiesiła głos, patrząc w jakiś punkt poza kręgiem światła. Zastanawiał się, czy krzyknąć, jednakże powstrzymała go myśl, że wzywając pomoc może tylko pogorszyć jej stan.

– Ja nie oszalałam! Obłęd byłby w tej chwili zbawieniem. Bardzo bym chciała, żeby to po prostu wróciła choroba. Nie, Zahr, niebawem sam zobaczysz... Dziś... Dziś szpony złych wspomnień mogą zechcieć sięgnąć po moją duszę, wejść w moje ciało. Musisz mi przysiąc, że zabijesz mnie, gdy tylko to dostrzeżesz! Nie zniosę dłużej takich męczarni!

– Nie zrobię tego! Nie potrafię cię zabić.

– Musisz! Sam zobacz!

Zerwała jaszmak z twarzy, nie dalej niż kilka godzin wcześniej ukazała mu na chwilę oblicze, ponieważ nalegał i błagał. Była piękna jak dawniej. W tamtej minucie... Lecz teraz cera nabrała barwy ziemi, pod oczami pojawiły się ciemne kręgi, a na policzkach głębokie bruzdy, jakby postarzała się co najmniej dwadzieścia lat.

Wygląda niczym szalona wiedźma wieszcząca nieszczęście, nadleciała niechciana myśl. Stłumił ją w sobie.

– Jestem sunnitką, kochany. Moja religia zabrania samobójstwa. Dlatego chcę, żebyś

ty zadał mi śmierć!

– Nigdy!

– Jeśli zrobię to sama, zostanę przeklęta. A z twojej strony będzie to akt łaski, uwierz mi! On nadchodzi, wyraźnie słyszę jego oddech... Błagam cię, najmilszy, zlituj się nade mną!

Pchnij, kiedy przyjdzie, kiedy tylko go zobaczysz... Albo lepiej zrób to już teraz!

– Nie! Nie! Nie! To wszystko tylko twoja imaginacja!

– Tak mówisz? – znów stała się opanowana. – To spójrz na lampę.

Równy dotąd płomień zachwiał się niespodziewanie i przygasł. Z ciemności, do tej pory miękkiej i ciepłej, napłynęła fala chłodu, wywołująca nieokiełznany, paniczny lęk.

A może, pomyślał z nadzieją, to tylko jej szaleństwo tak wpływa na moje zmysły?

– Idzie – szepnęła wysiłonym głosem. – Może dziś właśnie nadszedł ten dzień... ta noc... On chce powrócić...

Swansen zadrżał. Nagle przestało mu się zdawać, że Fatma znowu oszalała. Zło rzeczywiście zdawało się czaić tam, gdzie nie sięgało światło. A ono przygasało coraz bardziej, bezlitośnie wchłaniane przez groźny, coraz bliższy cień.

– Przybywa – szeptała Fatma. – Przeklęty wyciąga ręce do potępionej, by unieść ją w miłosnym uścisku. Chodź do mnie, luby.

Uniósł się na łokciu, przekonany, że mówi do niego, jednakże ona wpatrywała się w ciemność. Wyteżył wzrok.

Boże, czy w istocie dostrzegł jarzące się oczy, czy to tylko złudzenie?

– Przyjdź, miłości moja, zabierz mnie...

– Fatmo – powiedział głośno. – Jestem przy tobie.

Odwróciła się do niego. W poczerniałej twarzy wywrócone białkami ku górze oczy zdawały się obiecywać wieczne potępienie. – Zabij mnie – wyrzęziła. – Inaczej wszystko zacznie się od nowa!

– Nie!

Znowu zwróciła oblicze w stronę cienia. – Witaj, mój panie, twoja niewolnica jest gotowa...

– Fatmo! – zawołał. – Na pomoc! Niech ktoś tu przyjdzie! Na pomoc!

– Zabij mnie, błagam! Nie wołaj, bo nikt cię nie usłyszy! Nikt nie przybiegnie! Zabij! – To był głos dawnej Fatmy. Natychmiast zastąpił go upiorny skrzek: – Jestem twoja, panie.

Dziś nie będę się bronić. Dziś nie pomoże modlitwa, wiem to... Kiedy na niebie nie świeci nawet księżyc, a gwiazdy kryją się za burymi kłębami chmur, Allah odwraca swój wzrok od potępionych!

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego – Edward uczynił znak krzyża.

„Jeśli kiedyś napotkasz szatana na swej drodze”, zabrzmiały mu w uszach słowa brata Hugona od cystersów, „pamiętaj o tej modlitwie. Pozdrowieniu Anielskim. To

egzorcyzm najprostszy ze wszystkich, ale zarazem nadzwyczaj skuteczny... Powtórz go co najmniej trzy razy. Im więcej, tym lepiej, ale przynajmniej trzy razy. Jeśli nie zmusisz złych sił do ucieczki, powstrzymasz je choć na chwilę”.

– Zdrowaś Mario, łaski pełna – zaczął – Pan z Tobą, błogosławionaś między niewiastami i błogosławiony owoc Twego łona.

Fatma zwróciła w jego stronę ściągniętą wściekłym grymasem twarz. – Milcz – zachrypiała. Edward wbił w nią gorejące spojrzenie.

– Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś między niewiastami i błogosławiony owoc Twego łona...

Fatmą szarpnął spazm, jakby w jej ciało wbił się rozpalony grot włóczni.

– Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą...

– Milcz!

– ...błogosławionaś między niewiastami...

Przyskoczyła do niego. Wywrócone białkami oczy patrzyły na wskroś, przesywały duszę niesłychanym bólem. Z nieoczekiwaną siłą uderzyła go w skroń.

– ...i błogosławiony... Znów potężne uderzenie.

Panie, daj siłę swojemu marnemu słudze, pomyślał.

– ...owoc – zanim stracił przytomność, zdołał jednak dokończyć – Twego łona...

– Zdrowaś Mario... – zaszeptały jeszcze posłuszne w ostatnich błyskach świadomości wargi. Ogarnęła go ciemność rozjaśniana jedynie bladymi błyskami, jakby gwiazdy uciekały gdzieś w tajemne rejony, pozostawiając po sobie smętną pustkę.

Czy tak wygląda śmierć?

To była ostatnia myśl. Jeszcze tylko w uszach zabrzmiało potępieńcze wycie, ale nie wzbudziło niepokoju. Strach pozostał tam, gdzie ciało. Daleko w dole, w innym świecie.

Pan z Tobą... Pan z Tobą... Czy jesteś przy mnie, Panie? Jak brzmi twe prawdziwe imię? Bóg, Allah, Adonai, Jahwe... Czy ktoś to wie?

Pan z Tobą, Fatmo...

Porażający blask wtargnął w głąb czaszki. Natychmiast zamknął oczy. Światłość niebieska ma ponoć przechodzić ludzkie wyobrażenie, ale czy ma też wywoływać tak wielki ból? Nieprzytomne myśli przelatywały przez głowę niczym spłoszone ptaki. Ostrożnie uchylił powieki. Światło nadal nieznośnie kłuło znużone źrenice. Dobry Boże, zlituj się nad grzesznikiem, przyjmij go i utul na swym łonie...

– Budzi się wreszcie.

Znajomy głos, mówiący zrozumiałym, choć obcym językiem. Nie tak powinno się mówić w chrześcijańskim raju, chyba że to mahometanie mają rację co do jedynej słuszności swojej wiary...

– Może nam powie, co się właściwie wydarzyło.

Drugi głos także był znajomy. To nie raj, Edwardzie, rzekł sobie w duchu. Jesteś z

powrotem na podłym świecie, gdzie sprawiedliwi cierpią męki, a szubrawcy opływają w dostatki.

Myśli zaczęły się układać z powrotem w swoje zawile, lecz zrozumiałe wzory.

– Książę – szepnął, nie otwierając oczu. – Skąd wziął się tutaj sułtan? Miał być daleko...

– Byłeś nieprzytomny tak długo, że Salah ad-Din zdążył już przybyć na pogrzeb Fatmy.

– Nie żyje? Ghazala nie żyje?

Przeszywający serce błysk przypomnienia niedawnych wydarzeń. Miłość wróciła więc tylko na chwilę, żeby przelecieć przez jego życie jak spadająca gwiazda. Po co w takim razie on sam ma żyć? W jakim celu dobry Bóg zachował go w ziemskiej powłoce?

– Nie żyje, przyjacielu, nasza piękna Ghazala odeszła. Zabiła się.

– Co się stało?

Głos Malika był łagodny, choć można było w nim wyczuć pewne zniecierpliwienie. – Liczyłem na to, że ty nam powiesz. Gdy tu weszliśmy, leżałeś bez zmysłów, a Fatma dogorywała ze sztyletem w piersi.

Nie zważając na ból, otworzył oczy. Niewyraźne, zamazane postacie nabrały ostrości.

Zaczął dostrzegać szczegóły, rozpoznawać twarze. Boże, Saladyn wyglądał na kilkadziesiąt lat starszego niż kiedy go widział ostatni raz. Jęknął, przypominając sobie postarzałą nagle twarz Fatmy.

Al-Adil pochylił się nad nim, delikatnie dotknął jego policzka. – Co tu się wydarzyło, giaurze? – spytał. – Co strasznego zaszło, że twoje włosy w ciągu jednej nocy stały się białe niczym mleko? Opowiesz?

Białe włosy... Osiwiał? Cóż z tego? Dlaczego raczej nie pękło mu serce?

– Opowiesz?

– Opowiem, książę. Lecz nie zaraz. Muszę zebrać myśli, muszę w samotności pokonać w sobie to, co mnie teraz dusi.

Saladyn trącił brata w ramię. – Chodźmy. Ibn Suan potrzebuje spokoju. Będzie czas rozdrapywać jego rany. Jest jeszcze wiele do zrobienia, a mnie pozostało tak mało czasu.

Czuję, jak życie wycieka ze mnie z każdą chwilą.

Malik obrzucił spojrzeniem wychudłą postać Edwarda. Uśmiechnął się smutno. – Zaraz przyjdzie do ciebie lekarz, mój nieszczęsny przyjacielu. Wybrałeś życie wśród nas, żeby wreszcie dogonić szczęście, a zamiast zyskałeś starczą siwiznę. Niezbadane są wyroki Allaha i tylko on wie, dlaczego doświadcza nas jako owego nieszczęsnego Ajjuba, przez was i Żydów zwanego Hiobem.

Ma rację, pomyślał Swansen. Doświadczasz mnie, Panie, jak Hioba. Czy chcesz mi

coś dać do zrozumienia, czy to tylko ślepy los wybrał mnie sobie za cel okrutnych drwin?

Zamknął oczy. Nagle ze wszystkich sił zapragnął pozostać sam.

– Chodź już – powtórzył Saladyn. – Niech trawi swoje nieszczęście w samotności, jak wojownikowi przystało. Z pewnością nie chce, by ktoś oglądał jego łzy. My zaś musimy podjąć działania. Doszły mnie słuchy, że Ryszard zamierza pozostać w Palestynie do czasu, który chrześcijanie nazywają Wielkanocą. Trzeba przypomnieć królowi o jego przysięgach.

– Książę... – Malika zatrzymał w drzwiach słaby głos Edwarda.

– Słucham, przyjacielu.

– Czy możesz podejść bliżej, panie?

Saladyn ruchem brody wskazał łożo chorego. – Idź, wysłuchaj go. Czekam na ciebie w błękitnej sali.

– Czemu sobie życzysz, ibn Suanie?

Swansen uniósł się z wysiłkiem na łokciu. – Sama sobie zadała śmierć. Czy ona... Czy będzie przeklęta? Tak się tego obawiała...

Malik zagryzł wargi. – Wszystko w ręku Allaha. To On ją osądzi, a nie ci, co mianują się Jego zastępcami na Ziemi.

– A pochówek? Kadi nie będzie się sprzeciwiał?

– Pogrzebiemy ją, jak na królewską córę przystało! – w oczach księcia pojawiły się złe błyski. – I żaden duchowny nie ma prawa się w to wtrącać. Inaczej polecą głowy!

Swansen opadł z powrotem na poduszki. – Mam jeszcze jedną prośbę, książę.

– Każda zostanie spełniona.

Ranny westchnął ciężko. – Kiedy wydobrzeję, chcę wrócić do swoich. Tutaj wszystko mi będzie o niej przypominać.

Malik drgnął zaskoczony, ale skinął głową. – Skoro sobie tego życzysz... Jednakże pozostawisz pustkę w moim sercu, gjaurze, gjaurze. Przemyśl to jeszcze – spojrzął na siwe włosy Edwarda. – Teraz przemawia przez ciebie żal i gorycz. Zostań. U nas będziesz traktowany jak książę. A co cię czeka u twoich? Jeśli nawet dasz radę jeszcze dosiąść konia – z powątpiewaniem zerknął na obandażowaną nogę – nigdy nie staniesz się kimś więcej niż zwykłym wojownikiem.

– Ani nie dam rady wspiąć się na siodło – odparł Edward dziwnym, nagle dźwięcznym głosem – ani nie zamierzam nawet tego próbować. Obrąłem już dalszą drogę swego życia.

Pokochałem całym sercem wyznawców Allaha, choć przybywając do Świętej Ziemi zamierzałem was tylko zwalczać i zabijać. Przy was, Saraceni, zrozumiałem, że Bóg jest jeden dla wszystkich. Wy idziecie do boju z jego imieniem na ustach i my spinamy wierzchowce do szarży w imię Boże – zamilkł, zbierając myśli. – Tak, w imię Boże. I w imię tego samego Boga chcę wrócić do swoich. Tam moje miejsce. Zrozumiałem, iż nie

można żyć jedną nogą w waszym, a drugą w naszym świecie. Dlatego pozwól mi odejść.

Al-Adil uśmiechnął się do niego.

– Kiedy tylko zechcesz, przyjacielu. Jednakże wiedz, że zawsze możesz powrócić i zostaniesz powitany z otwartymi rękami. Tu będziesz u siebie.

Edward ze smutkiem potrząsnął głową.

– „Mimo niewielkiej siły pajak wybudował dom, żeby mieć własne schronienie, a ja mu zazdrość ojczyzny. Robak może zamieszkać choćby w swoim ciele, a ja nie mam ani domu, ani przyjaciela”.

– To al-Ahnaf – mruknął książę. – Poeta ludzi bezdomnych i włóczęgów, nie przypuszczałem, że znasz jego wiersze.

– W takiej niewoli jak twoja człowiek miewa dużo czasu. Trzeba go czymś zająć. Te wersy utkwiły mi w pamięci, bo poruszyły moje serce. I ja jestem słabszy od pajaka.

– Uczynisz, jak chcesz – Malik położył rękę na ramieniu Swansena. – Powtarzam jednak, zawsze znajdziesz u mnie schronienie. Mam posiadłości w Zajordanii i w al-Dżazirze.

Tam mnie znajdziesz, gdy Saladyn zejdzie z tego świata.

– Nie chcesz zająć jego miejsca?

– Nie – w głosie Malika zabrzmiało zdecydowanie. – Chcę wreszcie odpocząć. Nie będę walczył o władzę, jeśli mnie do tego nie zmuszą inni swoimi głupimi czynkami.

– Zmuszą – Edward położył swoją dłoń na dłoni księcia. – „Wielbiłbym życie, gdyby było spokojnym snem nocy, lecz ono jest niespokojnym, pełnym lęku snem”.

– To z kolei wersy z Ar-Radiego, prawda? – westchnął ciężko książę. – Możesz mieć słuszość, nie będzie mi dane odpocząć spokojnie ani przez chwilę. Saladyn spłodził siedemnastu synów, a władzę ma przejąć Ali al-Afdal, najstarszy i bodaj najmniejszego spośród nich rozumu. Może być różnie.

– Najważniejsze to pozostać sobą. Pozwól, że jeszcze raz zacytuję ar-Radiego: „Jeśli ze swoją duszą nie jesteś w przyjaźni, to między ludźmi również nie znajdziesz przyjaciół”.

Al-Adil kiwnął głową. – Najważniejsze pozostać sobą... tak. Życzysz sobie czegoś jeszcze?

– Tylko jednego. W czasie pogrzebu... – Edward z trudem zdławił rodzący się gardle szloch. – W czasie pogrzebu, książę, połam o kamień nagrobny mój miecz i wrzuć do dołu.

Nie będzie mi już potrzebny, niech na zawsze pozostanie przy tej, przy której zostawiłem serce.

Rozdział XXXII

Błask wschodzącego słońca przesączał się przez ażurową kratownicę okna. Vincent obserwował jeden z promieni pełznący w stronę łoża.

– O czym myślisz? – spytała Judyta. Położyła mu głowę na ramieniu. Podciągnęła nieco prześcieradło, skrywając pod nim alabastrowe ramię.

– Piękne budowle potrafią stawiać muzułmanie – odparł. – Choćby ten pałac. Jest wspaniały, mimo że w dużej części zrujnowany po tym, jak nasze wojska zdobyły miasto.

U Saracenów przeplata się fantazja Wschodu z przepychem Bizancjum i naszą surowością.

– A ja nie lubię tego kraju – wstrząsnęła się. – Uciekłam stąd, bo czułam, jak zaczynam się dusić. Gdyby nie ty, nigdy w życiu nie dałabym się namówić na powtórny podróż. Wolę miękką wilgoć mojego Monaghan. Tutaj mam wrażenie, że w wyprażonym powietrzu skóra wysuszy się i popęka, albo, co gorsza, pokryją ją zmarszczki.

Roześmiał się i mocniej przygarnął ukochaną. Spojrzała mu prosto w oczy. Pocałował ją w czoło.

– Mnie też tak się zdawało – powiedział. – Byłem przekonany o swojej niechęci do Palestyny, dokąd nie poznałem bliżej ludzi pustyni i tych z naszych, którzy niegdyś postanowili tu osiaść. Myślałem o gorących piaskach z wielką odrazą, dokąd nie przeżyłem tego... – urwał, poważniejąc w jednej chwili.

– Ten wzrok – powiedziała. – Znowu patrzysz tak, jakbyś widział otchłań piekielną.

Uniósł się na łokciu. Głowa Judyty zsunęła się po wydatnym bicepsie i spoczęła na poduszce.

– Ja widziałem piekło – rzekł cicho, lecz dobitnie. – Widziałem... czułem prawdziwe, czyste zło obok siebie. Patrzyłem na wywołane nim szaleństwo. Potem już nie można pozostać tym samym człowiekiem.

– Czy to dlatego również w Piotrze dostrzegłam zmianę? Co wyście właściwie widzieli?

– Nie mogę ci rzec. Teraz wiąże mnie przysięga. Jednakże kiedyś nadejdzie czas,

kiedy przestanie mieć ona znaczenie. Wtedy wszystko opowiem, nie wcześniej.

Nagle wydał się jej wielki i groźny, wręcz nieodgadniony w zamiarach. Gdyby chciał, mógłby ją zmiażdżyć jednym ruchem ręki. W tym dziwnym kraju zapewne uszłoby mu to nawet płazem. Z jednej strony czuła pewien lęk, z drugiej rodziła się w niej przekorna chęć okiełznania tego żywiołu. Uderzyła go lekko drobną pięścią.

– Rozbudzasz we mnie coraz większe zainteresowanie tą sprawą! Czy nie wiesz, że taka niewyjaśniona tajemnica może doprowadzić niewiastę do śmierci? Prawdziwa kobieta w obliczu tajemnicy umiera z ciekawości!

– Nie dam ci umrzeć! Ani z ciekawości, ani z żadnego innego powodu, nie pozwolę, żebyś mi jeszcze kiedyś uciekła!

– Czyżbyś zamierzał przywiązać mnie do siebie? – spojrzała zalotnie.

– Nawet przykuć łańcuchem!

– Nie wiesz, że łatwiej osiąść ciało kobiety niżli duszę? – spojrzenie Judyty stawało się coraz bardziej prowokujące.

– Diabli – mruknął Vincent, czując rodzące się w nim nowe siły. – Zachowuję się jak młodzieniaszek, którego jurność przerasta wszystko, co można sobie wyobrazić – gwałtownym ruchem odrzucił prześcieradło. – Jesteś piękna – szepnął.

Z zafascynowaniem przyglądał się ciężkim, lecz jędrnym piersiom, niżej płaski brzuch, krągłe biodra z cudownym trójkątnym wcięciem owego cienia, który obiecywał nieziemską rozkosz, kształtne uda płynnie przechodzące w smukłe łydki i drobne stopy.

Zerknął na twarz Judyty. Śledziła go spod półprzymkniętych powiek, a na jej ustach błąkał się ów lekki uśmiech, sprawiający, że mężczyzna traci głowę i rzuca się w odmętę namiętności.

Przypadł do ciemnoróżowych, napiętych brodawek. Były pachnące i delikatne niczym wnętrze miękkiego kwiatu. Westchnęła, podając je do przodu. W uchylonych ustach, między perłową bielą zębów węzowym ruchem zafalował koniuszek języka.

– Tak – szepnęła. – Tęskniłam za tobą, kochany... Zanurzył się między gościnne wydmy piersi. – Mogłabyś użyźnić sobą najbardziej jałową pustynię – zamruczał. – Tyle życia, tyle niepokonanego żadnymi trudnościami życia...

Schodził coraz niżej, łakomie chłonąc każdy fragment gładkiej skóry. Z cichym jękiem rozchyliła nogi, pozwalając, by jego wargi wtargnęły w najbardziej tajemnicze miejsca.

A mówią, że tylko miejscowe kobiety potrafią świadczyć miłość i prawdziwie zadowolić mężczyznę, pomyślał.

Poczuł na włosach rozedrgane palce. Przyciskała do siebie jego głowę, żeby za chwilę lekko ją odepchnąć. Ta gra sprawiła, że pulsowanie w lędźwiach stało się prawie nie do zniesienia. Ujęła jego policzki, pokierowała twarz ku górze. Teraz miał przed sobą jej rozmarzone, zmatowiałe od przyjemności oczy. Mocno przycisnęła swoje wargi do jego ust, języki spotkały się w połowie drogi, by toczyć rozkoszne zmagania,

przenikające dreszczami całe ciało.

– Pachniesz teraz mną – szepnęła, odrywając się na chwilę.

– To cudowny zapach – odpowiedział równie cicho. – Najwspanialszy na świecie.

Znowu zamknęli się w pocałunku. Dłoń Vincenta znalazła się za jej plecami nisko, tam gdzie uda łączą się z pośladkami. Przyciągnął ją do siebie.

– Chcę zasiać w tobie nowe życie – patrzył jej prosto w oczy.

– Czy to rozsądne? – Na chwilę odzyskała pełnię zmysłów, spojrzała spłoszona.

– A czy rozsądny był twój powrót do Palestyny? – odpowiedział pytaniem.

Westchnęła, oddając się całkowicie we władanie namiętności.

– Wciąż nie mogę się tobą nasycić – oznajmił tonem skargi.

Za oknem wstał już jasny dzień, z miasta dobiegały odgłosy codziennego życia.

– Przecież upłynęło trochę czasu, odkąd wróciłaś, a mnie wciąż nie jest dosyć?

– To mnie przekonuje dowodnie – uśmiech rozjaśnił twarz Judyty – że byłeś mi rzeczywiście wierny.

– Nie ma kobiet poza tobą – odparł poważnie. – Tobie musi być wierny każdy, na kogo rzucisz urok miłości.

– Miłość – zmarszczyła brwi. – Jak z nią jest? Popatrz, królowa Izabela podobno kochała swojego męża. Mówią, że mało nie umarła, gdy przyszła wieść o zgonie Montferrata.

A jednak nie minęły trzy dni, jak zaręczyła się z Henrykiem. Tydzień nie upłynął, a wjechali uroczyście do Tym! Gdzie się podziała jej wielka miłość? Jak nazwać taką niewiastę?

– Nie osądzaj jej zbyt surowo, Judyto. Z tego, co o niej wiem, to nieszczęsne stworzenie. W dwudziestym pierwszym roku życia po raz trzeci została wydana za mąż.

Najpierw musiała się rozstać z Onufrym z Toronu, bo baronowie zagrozili buntem, jeśli tego nie uczyni. Przyłgnęła sercem do Konrada, urodziła mu dziecko, a niebawem został zamordowany. Teraz Henryk z Szampanii... Przecież nie wychodzi za niego z własnej woli.

Czyni to dla dobra królestwa.

– Ja nigdy bym się nie zgodziła oddalić od ukochanego!

– Dlatego, nie obraż się, nie zostaniesz nigdy królową.

– Przy tobie na pewno – roześmiała się. – Byłbyś pierwszym znanym mi królem bez ziemi. Królem wygnańcem.

Dostrzegła na jego twarzy wyraz przykrości. – Przepraszam, kochany – przytuliła się do niego. – Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

– Nie gniewam się, Judyto, nie sprawiłaś mi przykrości przypomnieniem, żem banita. To coś zupełnie innego...

– Co takiego, powiedz?

– Kiedy indziej. Dziś nie potrafiłbym znaleźć słów, które oddałyby to, co jest we

mnie.

Ojciec... Już o nim zapomniał, przestała brzmieć w uszach ponura wieszczba.

A dzisiejszej nocy znowu przyszedł... Trzeba zażyć jak najwięcej szczęścia, dopóki można, zanim nadejdzie godzina przeznaczenia.

– Nie za dużo tajemnic? – wydeła z oburzeniem wargi.

– Co zrobić, taki los.

– Naprawdę się zmieniłeś. Zapamiętałam cię jako uroczego i ujmującego, ale zawsze lekkoducha, a zastałam poważnego męża. Stałeś się jeszcze twardszy niż przedtem, ale zarazem jakiś dziwnie delikatny, nie to, żebyś nabrał dwornych manier – przekornie przekrzywiła głowę. – O nie! Idę o zakład, że kiedy się przypniesz do dzbana, nie popuścisz, dokąd nie będzie próżny. A jeśli chwycisz w dłonie kawał mięsiwa, wgryziesz się w nie jak wygłodniały wilk, nie bacząc na tłuszcz spływający po brodzie. Jednak gdzieś w tobie znajduję coś... jak by to nazwać... głębszego? Tak, głębszego, to chyba odpowiednie słowo.

– To bardzo źle?

– Nie, dlaczego? Teraz podobasz mi się o wiele bardziej. Jesteś tajemniczy. Mówiłam przecież, że my, kobiety, kochamy takie tajemnice, choć żyć nam nie dają, jeśli nie możemy ich zgłębić.

– Wy, kobiety, jesteście bardzo dziwnymi istotami. Bywają chwile, kiedy zastanawiam się, czy Bóg rzeczywiście stworzył Ewę z żebra Adama. A jeśli tak było w istocie, to musiało być zaiste bardzo niesforne żebro. Z pewnością Adam odczuwał z jego strony wiele dolegliwości.

Roześmieli się jednocześnie.

– Jestem szczęśliwa po raz pierwszy od tamtego dnia, gdy wyjechałam.

– A ja jestem szczęśliwy po raz pierwszy, odkąd sięgnę pamięcią.

– Nie chcę się z tobą więcej rozstawać.

– Ja nie chciałem tego nigdy. To ty wybrałaś swoją drogę, porzucając mnie.

– Jakże ja niewiele wtedy rozumiałam. Jakże mało znałam siebie samą! I ciebie, jak widzę.

Przygarnął ją mocno.

– Chcę, żeby to trwało wiecznie.

W tej chwili rozległo się łomotanie do drzwi.

– Saraceni u bram Jary! – zawołał Piotr. – Jan przed chwilą przyniósł wiadomość!

Pośpiesz się, de Rionne, wyruszamy na odsiecz jeszcze przed południem!

Vincent spojrział na Judytę. Leżała wpatrzona w sufit, z zaciśniętymi w wąską kreskę ustami. – Idź, kochany – powiedziała po chwili. – Obowiązek wzywa.

– Dość już mam obowiązków. Chcę zostać z tobą.

– A jednak pójdziesz. Jeśli zrobisz inaczej, stracisz szacunek do samego siebie.

– Ty też straciłabyś do mnie szacunek. Tylko tyle mam na świecie, ile w sobie dumy,

ile siły w pięści i wierności w sercu.

Ojcze, westchnął w duchu, czy nadchodzi ten czas? Czy dochodzę już do kresu drogi?

Rozdział XXXIII

– To istny demon – szepnął z niedowierzaniem Nasir, patrząc na szczupłe szeregi wojsk krzyżowców.

– Mówiłeś coś? – Rakim odwrócił się do niego.

– To nie może być człowiek – powiedział głośniejszym głosem Nasir. – Że wyparł nas z Jafy, to mogę zrozumieć. Zostaliśmy wtedy zupełnie zaskoczeni, wojsko zajęte rabunkiem zawsze łatwo rozbić. Jednakże to, co widzę przed sobą, w żaden sposób nie jest podobne do prawdy.

Oni muszą uprawiać czary. Inaczej nie odważyliby się stanąć taką garstką przeciwko naszej potędze.

– Nie martw się tak. I my nie jesteśmy gorsi. Spójrz na moją nogę. Nie boli, nie dolega, mogę na niej stanąć. Co prawda kolano nadal mam nieruchome, ale to drobiazg, jeśli mogę wziąć udział w walce, dosiąść konia!

Jego oczy błyszczały gorączką i podnieceniem, mówił szybko, trochę niewyraźnie.

– To nie czary, Rakim. To zwyczajna sztuczka biegłego medyka. Kiedy driakwie przestaną działać, stokrotnie odcierpisz odzyskaną sprawność. Teraz zda ci się, że możesz góry przenosić, ale jutro...

– Nieważne. Jeśli tylko mogę wziąć miecz do ręki i chociaż przez godzinę utrzymać się w siodle, reszta nie ma znaczenia. Chcę tylko jeszcze raz w życiu pójść do bitwy, a jeśli przeżyję, pojedę obejrzeć strzeliste minarety Damaszku. Potem mogę spokojnie umrzeć.

Malik wracał z ponurą miną. Saladyn nie musiał pytać, żeby odgadnąć, jaki był wynik rozmowy.

– Rzekł mi, że ma zupełnie spętane ręce – rzucił przez zaciśnięte zęby al-Adil. – Jego baronowie nie pozwalają mu odejść, grożąc buntami, nie może spełnić przysięgi, nie narażając się na hańbę w oczach swoich. Czeka nas dzisiaj bitwa.

– Wiarołomny chrześcijański pies! – warknął Saladyn. – Nie może spełnić przysięgi?

Już to słyszałem. Zwyczajnie nie chce! Miał dość czasu przez te miesiące, żeby przeprowadzić sprawę, nawet wbrew swoim! Jest jak oni wszyscy! Pewnie jakiś ich biskup zwolnił go od słowa danego wyznawcy innej wiary! Daremny okazuje się cały

trud, poświęcenie moje, twoje, starego mędrca i wszystkich, którzy oddali życie na pustyni.

– Prawdę o nim mówią, że nosi w sobie dwie sprzeczne natury. Mówi najpierw „tak”, żeby zaraz w tej samej sprawie zaprzeczyć swoim słowom i postanowieniom. Czyż jednak któryś z władców jest inny? Zawieramy układy tylko po to, żeby uzyskać trochę spokoju.

A jeśli stają się dla nas zbyt uciążliwe, natychmiast o nich zapominamy.

– Dziś nie zamierzam rozmyślać nad naturą tego giaura ani nad istotą władzy! Nie dotrzymał słowa, jego sumienie niech się o to martwi. Zdołałeś się rozeznać w siłach krzyżowców?

– Po tym jak przybyły pierwsze skąpe posiłki Franków, w mieście jest sprawnych może pół setki rycerzy, trochę łuczników, zamiast porządnej piechoty mają tam bandę jakichś niesfornych marynarzy. W dodatku dysponują dokładnie trzema końmi dla wszystkich, więc jazdy nie ma w ogóle! Ich pancerni będą musieli walczyć pieszo.

– Skąd masz tak dokładne wiadomości?

– Nasi ludzie myszkują, gdzie się da. Ryszard nie jest w stanie wszystkiego dopilnować. Źle zresztą wygląda, jakby zaczynała go dręczyć choroba. Martwię się. Podobną barwę twarzy miała Fatma, kiedy ją znalazłem z nożem w piersi.

– Ty też źle wyglądasz.

– Mnie po prostu znowu bierze błotna gorączka, niebawem nie będziesz miał ze mnie pożytku. A król angielski wychudł, poczerniał i najwyraźniej trawi go przypadłość duszy, a nie ciała.

– Może i jego, jak naszą siostrę, zaczął dręczyć demon?

– Może. Jednakże on nie podda się łatwo. Znasz go.

– Nie tak dobrze jak ty. O was nawet mówią, że się przyjaźnicie.

– Brednie. Ale poznałem go istotnie dość dobrze, dlatego wiem, co mówię. Tak czy inaczej, musimy dzisiaj podjąć bitwę. Będzie, co ma być.

– Musimy ją rozstrzygnąć jak najszybciej. Wezwał na pomoc silny hufiec, który minął już Cezareę. Jeśli nadciągnie, zanim zdołamy rozgromić chrześcijan, będzie za późno. Czas rozmów się skończył.

Ryszard uwijał się na koniu między szeregami wojska.

– Poprawić mi tamte kołki! – krzyknął, wskazując na rozpory od namiotów wbite ukośnie, aby utrudniać szarżę saraceńskiej jeździe. – Zbyt nisko się położyły po ostatniej szarży pogan!

– Tam nie ma nic do poprawiania – wściekły marynarz klął pod nosem, posłusznie jednak wypełnił rozkaz.

Król popatrzył za nim. Wojsko musi mieć co robić w chwilach spokoju, nie może za wiele myśleć. Inaczej zaczynają się pojawiać wątpliwości i strach, nie można patrzeć na przeważające siły wroga i nie rozważać, czy przetrwa się następne starcie, a to zawsze

osłabia ducha. Wiech żołnierze lepiej będą wściekli na cokolwiek, choćby na swoich dowódców.

– Posprawdzać włócznie! Wasze życie jest w ich grotach! Wytrzymaliście siedem ataków niewiernych, niebawem pora będzie dać im należytą odpowiedź. Kusznicy do przodu, łucznicy strzały w ziemię. Wypuście wszystko, co macie jak najszybciej, nie bawić się w żadne celowanie! Salwami tam, gdzie będzie największa gęstwa!

– Królu... – ktoś trącił jego strzemię.

Spojrzał w dół. Stali przy nim Jan de Morges z Vincentem. Pół kroku za nimi Piotr z Telford patrzył spode łba.

– Czego chcecie? Jestem teraz zajęty, na inne sprawy przyjdzie czas po bitwie.

– Był u ciebie książę Malik, na pewno o tym mówił. Ale i od nas uczciwość domaga się, skoro cię już widzimy, żebyśmy przypomnieli o złożonej przysiędze. Ta bitwa...

– Wynoście się! – uniósł się w strzemionach. – Sam o tym pamiętam! Do szeregu!

Możecie dziękować Bogu, że mam zbyt mało ludzi, aby was ukarać za zuchwalstwo, bo inaczej wylądowalibyście w lochu!

Cofnęli się.

– Co wy na to? – Jan skrzywił się z niesmakiem. Vincent nie odpowiedział. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się przed siebie w jeden punkt, gdzieś między resztką kamiennego muru a rachitycznym krzewem. – Zostaw mnie w spokoju albo niech wreszcie umrę! – powiedział nagle dziwnym, łamiącym się głosem. – Ta niepewność mnie zabija!

Ojciec patrzył nieruchomym wzrokiem. Tym razem nie mówił nic, nie wykonał najmniejszego gestu. Stał i patrzył. Po chwili rozwiął się w kurzawie wzniesionej przez przechodzący oddział.

– Znowu coś zobaczyłeś? – Jan usiłował dostrzec to, co jego towarzysz.

Vincent odwrócił ku niemu nieprzytomne spojrzenie. – Nie chcę umierać. Nie teraz kiedy odnalazłem wreszcie swoje szczęście.

– Nie umrzesz, de Rionne. – Piotr stanął obok niego. – To nie jest twój dzień. I nie zwracaj uwagi na zjawy. Myślisz, że dręczą tylko ciebie?

– Ciebie też?

Telford uczynił szeroki gest. – Spytaj kogoś z tych ludzi dookoła, choćby naszego druha Jana. Idź do Saracenów i wypytaj ich wojowników. Przed bitwą, przed niebezpieczeństwem, każdego nawiedzają duchy i wizje. Zbyt wiele krwi i łez wsiąkło w tę ziemię, by nie przywoływać zjaw.

Vincent chciał go zapytać o coś jeszcze, lecz w tym momencie król zawrócił wierzchowca, klusem podjechał do nich. – Wybaczcie chwilę uniesienia, przyjaciele – odezwał się pojednawczym tonem. – Zbyt wiele się dzieje, za dużo mam na głowie... Chcę, żebyście podczas walki byli przy mnie.

– To dla nas wielki zaszczyt, najjaśniejszy panie. Ryszard rzucił podejrzliwe

spojrzenie. – De Rionne, czyżbym dosłyszał w twoim głosie drwiące nuty?

– Nigdy bym się nie ośmielił...

– Och, nie opowiadaj! Ośmieliłbyś się, ośmielił! A swoją drogą, jakże ci się układa z piękną panią Monaghan? Tak, Vincencie, myślałeś, że zatrzymasz to w tajemnicy?

Palestyna to tak naprawdę jedna wielka wioska. Wieści rozchodzą się nadspodziewanie szybko, czy tego chcesz, czy nie. Jak będzie, Piotrze, wydasz swoją kuzynkę za tego tutaj rycerza?

– Judyta – odparł Telford – zwykła decydować sama o swoim losie, nie pytając nikogo o zdanie. Jednak gdyby to zależało ode mnie, rozkazałbym jej związać się z Vincentem natychmiast i bez dyskusji.

Ryszard łaskawie skinął dłonią.

– Zatem i ja nie będę się sprzeciwiał. Choć, przyznam, liczyłem swego czasu na bardziej korzystny dla kraju mariaż tak możnej damy.

– Szarża! – rozległ się przeraźliwy krzyk. – Pogańska jazda!

Od strony wojsk Saladyna dobiegło przeraźliwe wycie dobywające się z gardeł setek gnających ile pary w koniach wojowników.

– Strzelcy! – Nad zgiełkiem poniósł się potężny głos Ryszarda: – Do dzieła.

Kapitan łuczników uniósł rękę. W jego ślady poszedł dowódca kuszników.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha! – zawołali prawie równocześnie. – W imię Boże, zaczynajcie!

Powietrze pociemniało od strzał. Czterystu ludzi z jękiem cięciw posyłało śmierć wysoko, jakby chcieli przebić sklepienie niebieskie i wreszcie zwrócić uwagę obojętnego Boga na to, co dzieje się pod jego stopami. Zaświstały grube bełty z kusz, żeby wgrzyźć się w ciała rozpedzonych ludzi i koni.

Vincent patrzył, jak chmura pocisków osiąga największą wysokość, zawisa na chwilę, a potem płynnie kieruje żelazne groty ku ziemi. Salwa była mordercza, spadła w sam środek szeregów jazdy. Powstał zamęt, zakwiczały trafione zwierzęta, żałośnie zakrzyczeli zabici i ranni.

A niebo znowu pokryło się długimi kreskami następnych pocisków.

Z daleka strzały angielskich łuczników mogły się wydawać niegroźne, wyglądały niby wyrzucone w górę patyczki, z których dzieci lubią układać różne figury. Jednakże Malik wiedział z własnego doświadczenia, jak były w istocie rzeczy groźne i ciężkie. Ileż to razy uratowała mu życie wyborna kolczuga, odziedziczona po ojcu, o której powiadano, że wyszła spod ręki samego Dawida. Ile razy z niedowierzaniem patrzył na solidnie opancerzonych wojowników przebitych takimi strzałami. Dołem kusznicy wypuszczali swoje mordercze bełty, przed którymi właściwie nie było skutecznej ochrony. Nawet solidna tarcza okazywała się zawodna, gdy taki pocisk przebijał ją wraz z dzierżącą osłonę ręką.

– Allah – szepnął. – Dzielnie sobie poczynają niewierni. Saladyn słał w bój jeden

oddział jeźdźców za drugim.

Odbijali się od umocnień Franków jak fala od morskiego brzegu. I jak fala pozostawia na piasku nieszczęsne, umierające na powietrzu stworzenia, tak po każdej szarzy na przedpolu leżało coraz więcej ciał.

Sułtan obserwował walkę z zaciśniętymi zębami. – Widzisz? – zbliżył się do brata. – Taka jest moc przepowiedni, takie skutki trawienia jej przez ciemne umysły. Nasi ludzie nie potrafią walczyć przeciwko Frankom z pełnym poświęceniem, dopóki w ich szeregach jest Ryszard! Nie wierzą, że można go pokonać, nawet mając tak miażdżącą przewagę!

– Przyznaj jednak, że tamci biją się jak natchnieni. Saladyn rzucił mu wściekle spojrzenie, ścisnął kolanami konia.

– Teraz ty, emirze! – krzyknął do dowódcy jazdy z Bagdadu. – Niech cię Allah prowadzi!

– Poczekaj, zobacz. – Malik wskazał szeregi chrześcijan. – Ci szaleńcy chcą ruszyć do natarcia! Pieszko!

– Rycerze! – zawołał Ryszard. – I wy wszyscy dzielni żołnierze! Za mną! Niech Bóg nas poprowadzi!

Chciał uczynić znak krzyża, jednakże powstrzymała go jakaś siła. I znowu to uczucie duszności w piersiach, jak wśród skał, w chwilę po tym, kiedy zamordował ghula. Nie przyznał się wtedy nikomu i nawet swojemu medykowi nie wspomniał o dolegliwościach, ale od powrotu z pamiętnej wyprawy przydarzało mu się to coraz częściej. Zupełnie jakby demon nie odszedł do końca, co więcej, jakby chciał powrócić, dopaść najgłębszych czeluści jego grzesznej duszy. – Naprzód! – zawołał z wysiłkiem. – Zmieciemy pogan w imię Boże.

W imię Boże lub szatańskie, dodał w myślach. W tej chwili dziwny bezwład nareszcie go opuścił. Znowu mógł z jasnym umysłem zająć się bitwą.

Pokłusował na czele żelaznego hufca. Rycerze maszerowali równym krokiem coraz szybciej, by wreszcie zacząć biec. Naprzeciw wyruszyły zastępy konnych wojowników.

– Rozbiją ich w pył – sapnął z zadowoleniem Saladyn. – Nikt nie dostoi takiej przewadze. Na nic się zda ich waleczność, skoro nie mogą nabrać pędu, a muszą pełznąć jak ostatni perski najemnik!

Malik nie odzywał się. W napięciu obserwował konnicę dopadającą zakutych w żelazo rycerzy. Powstał piekielny zamęt, pod niebo wzbił się wielki krzyk. Widać było Ryszarda uwijającego się wśród swoich, rozdającego potężne ciosy. Po każdym takim uderzeniu walił się na ziemię arabski wojownik.

– Mówiłem ci, że to demon, nie człowiek – dobiegło z tyłu.

Obejrzał się. Tam stali ci, których przyprowadził Nasir. Miejscowi.

– A ja ci mówię, że to zwyczajny człek. Trzeba mu tylko skóry pod zbroją namacać.

Ostatnie słowa wypowiedział żyłasty starszy mężczyzna. Książę z trudem poznał w

nim dawnego dowódcę jazdy, Rakima. Zdziwił się. Słyszał przecież, że nie żyje.

– Milczcie – podjechał do nich.

– Panie, poślijcie nas do ataku – poprosił Rakim. – Nam nie straszny król giaurów!

Malik krytycznym spojrzeniem obrzucił zbieraninę ludzi w różnym wieku, uzbrojonych w najbardziej nieoczekiwaną broń, od frankońskich mieczy począwszy, na zwykłych siekierach i krótkich cepach skończywszy. Wszyscy jednak pewnie siedzieli w siodłach, a na twarzach malowała się żądza odwetu za doznane krzywdy. Starzy żołnierze, weterani, niektórzy walczyli jeszcze na długo przedtem, zanim on sam potrafił podnieść swój pierwszy miecz, Nasir umiał ocenić wartość wojownika i dobrać odpowiednich ludzi, najważniejsze, że pałą się do czynu. Zbyt długo ugniatał ich frankoński but, by przemowiali się jakimiś ciemnymi prorocत्वami.

– Poczekajcie – rzekł. – Jeśli to wszystko nadal będzie wyglądało tak jak teraz, z pewnością znajdziecie okazję do walki.

Na polu bitwy podniósł się krzyk. Malik natychmiast spojrzał w tamtą stronę. Ujrzał, jak pod wierzchowcem Ryszarda załamują się nogi, a król spada z siodła przez koński łeb.

To koniec, przeleciało mu przez głowę. Ulga, żal czy strach? Sam nie potrafił określić swoich uczuć w tej chwili. Koniec... Ale nie! Wokół Anglika powstało zamieszanie. Księżę przysiągłby, że poznaje zwalistą postać Jana de Morges. A czy ci obok niego to nie Telford i Vincent? Na zbierającego się ciężko z ziemi Ryszarda runęła chmara Arabów, jednakże nim dotarli do leżącego, padali jak muchy pod błyskawicznymi ciosami mieczy. Ryszard wstał wreszcie. Od razu stanął w postawie bojowej, a pierwszy muzułmanin, który nawinął mu się pod rękę, odleciał o dobre kilka metrów, rozplątany jak ryba.

– Stój! – wrzasnął Malik do brata. – Wstrzymaj walkę! Saladyn spojrzał pytająco.

– Jusuf, naprawdę chcesz, żeby on teraz zginął?

– Niech zdycha! Będzie wreszcie z tym koniec!

– A jeśli jednak jakimś cudem przeżyje? Spójrz, jak walczą niewierni! Jego legenda stanie się niemożliwa do pokonania. Nie wykrzesez z naszych ludzi zapału! Zresztą nie godzi się tak po prostu dać go zaszlachtować!

– Masz rację – uspokoił się sułtan. – To nie byłoby godne władcy wszystkich Arabów.

Działaj zatem.

Malik odjechał wydać rozkazy. Saladyn spojrzał do tyłu.

– Nasir! – zawołał.

– Tak, panie.

– Weźmiesz swoich ludzi i obejdiesz miasto z boku. Kiedy tylko my tu z powrotem zaczniemy, uderz na jego załogę z flanki. Chcę wzbudzić popłoch na tyłach Franków. Widzę, że tylko w ten sposób jeszcze możemy zwyciężyć.

– Saraceni odstępują!

Z zaskoczeniem patrzyli na cofające się oddziały.

– Czas był najwyższy. Już ledwie dycham – Jan oparł się na wbitym w ziemię mieczu.

– Dlaczego jednak zaprzestali walki właśnie teraz, gdy byli tak blisko zwycięstwa?

Odpowiedź nadeszła w tej samej chwili. Szeregi przeciwnika rozstały się.

– Co to ma znaczyć? Po co prowadzą te koniki?

Majestatycznym krokiem zbliżał się muzułmański dostojnik. Za nim dwóch koniuchów wiodło piękne wierzchowce arabskiej krwi.

– Poseł od księcia Malika al-Adila Abu Bakra do króla Franków, Ryszarda! – oznajmił wiodący poczet wezyr.

– Przepuścić ich – rozkazał Ryszard. – Czego chcesz?

– Mój pan, Malik al-Adil, przesyła ci pozdrowienie. Serce w nim zamarło, kiedy wypadłeś z siodła, lecz kazał mi wyrazić radość, że ujrzał cię zaraz w zdrowiu. Nie jest godnym monarchy wojować pieszo jak prosty żołnierz, przeto ofiaruje do twego użytku te dwa rumaki.

Wśród chrześcijan przeleciał pomruk podziwu. Ryszard spojrział w kierunku wzgórza, z którego Saladyn dowodził bitwą. Rozpoznał smukłą postać Malika, skinął mu dłonią.

Zobaczył, jak niewielka z tej odległości postać również unosi rękę.

– Podziękuj swemu panu. To bardzo szlachetny gest, godny wielkiego pana.

– Książę Malik al-Adil – ciągnął dostojnik – prosił także, bym rzekł wam, jakie imiona noszą owe wierzchowce.

– Bardzo jestem ciekaw – król uśmiechnął się łaskawie.

– Ten siwy zowie się Tak, zaś kary Nie. Ich imiona brzmią Tak i Nie.

Ryszard zeszywniał, poczerwieniał, lecz pohamował się. Jeśli uniesie się gniewem, tym mocniej przylgnie do niego ten okropny przydomek. Już dostrzega na twarzach swoich ludzi złośliwe uśmieszki. – To wszystko? – wycedził.

– Mam powiedzieć jeszcze jedno.

– Mów i wracajmy do bitwy.

– Tego zupełnie nie rozumiem, jednakże tuszę, że dla ciebie, królu, owo posłanie będzie jasne. Otóż mam przekazać coś, co powiedział przed śmiercią czcigodny al-Hadżib.

– Przejdźmy zatem na bok.

Ryszard ujął pod ramię emira, odprowadził go kilka kroków od rycerzy. – I mów ciszej. Co to za słowa?

– Mówiłem już, że tego nie pojmuję. Dosłownie Malik al-Adil powiedział tak: „Jeśli mego przyjaciela Ryszarda dręczy niepewność duszy lub, niech Allah broni, jakiś demon, niech zapamięta, co rzekł czcigodny mędrzec: »Stwory piekielne znają niejedną

ścieżkę, by wydostać się na ten świat. Wystarczy raz pokazać im drogę i nie domknąć bramy. A każdy z nas klucz do tej bramy chowa we własnej duszy»,. Czy rozumiesz, co chciał przez to powiedzieć?

Ryszard zagryzł wargi. – Rozumiem. Rozumiem to aż za dobrze.

Wezyr pokręcił z niedowierzaniem głową. Za starego sułtana nie było takich tajemnic, takich rozmów między prawymi muzułmanami a gjaurami. Dokąd zmierza ten świat?

Ryszard już siedział w siodle. – De Morges, Telford, de Rionne, do mnie!

Podeszli. Vincent krwawił z rozciętego głęboko lewego ramienia, jednakże z zaciśniętymi zębami znosił ból. Król zastanawiał się chwilę. – Janie – rzekł – weźmiesz Vincenta i wracaj z nim do miasta.

– Zostaniemy przy tobie – zaproponował de Rionne.

– Bez dyskusji! Dość już zrobiliście, ratując przed chwilą moje życie! Jesteś ranny, krew z ciebie ucieka, niebawem osłabniesz i jeszcze mi tutaj ciebie usieką!

– Ale...

– Dość, to rozkaz, wykonać go natychmiast, albo się rozgniewam! A już zły jestem niczym szerszeń! Dar Malika kłuje gorzej niżli oset włożony pod kapotę! Tak mi wypomnieć, że dotąd nie dotrzymałem zobowiązania! Wysyłam razem z wami wszystkich rannych, którzy mogą pójść o własnych siłach. Opatrzą was i wzmocnie załogę miasta, bo w polu jesteście teraz na nic.

Narastający zgiewk bitwy dotarł do uszu Nasira. Ludzie w oddziale czekali niecierpliwie na rozkaz do ataku. Mocniej ujął miecz. – Tam znowu zaczęli. Gotowi?

Rakim wysunął się przed szereg.

– Gotowi!

– W konie!

Wyskoczyli z za pagórka podobni pustynnemu wichrowi. Ujrzeni przed sobą przerażone twarze. Pozostawieni na straży miasta marynarze zostali całkowicie zaskoczeni.

– Allah akbar!

– Bij niewiernych!

Rakim dostrzegł nagle zbliżającą się od strony pola bitwy grupkę kilkunastu rycerzy.

– Nasir! – krzyknął, wskazując w tamtym kierunku.

Dowódca spojrział. – Bierz swoją setkę i w nich! My tutaj rozbijemy tymczasem tych tchórzów!

Grupa zbrojnych, w której tylko Jan de Morges był cały, zatrzymała się.

– Saraceni! – krzyknął ktoś. – W krąg, panowie! W krąg!

Ledwie zdążyli uformować się w jaki taki szyk, a już spadła na nich konnica.

Rakim wznosił miecz nad głowę. – Wyciąć w pień niewiernych! Za naszą krzywdę!

Na rycerzy posypał się grad straszliwych ciosów. Wbrew zwyczajnej taktyce lekkiej

jazdy Saracenów napastnicy nie zadowalali się rwaniem żelaznego szyku w kolejnych atakach, odskokach i doskokach. Jak ogary wczepione w uszy osaczonego dzika nie popuszczali zwarcia, jeden przez drugiego prac naprzód, by jak najprędzej dorwać się do krwi chrześcijan.

Krzyżowcy, choć znużeni całodziennym bojem i osłabieni ranami, stawiali zacięty opór, widząc, że walka idzie na śmierć i życie, że nie będzie brania jeńców. Wewnątrz koła hrabia Renald z Cherbourga uważnie rozglądał się dookoła. Teraz, gdy nie miał go kto podtrzymywać, klęczał na jednym kolanie, dzierżąc oburącz rękojeść miecza. Kiedy tylko dostrzegł jakąś lukę w zwartym kręgu towarzyszy, natychmiast prowadził tam morderczy sztych. Nagle poczuł uderzenie. Ktoś osunął się na niego, ciągnąc za sobą krwawy ślad.

Któryś z rycerzy stracił życie, nie wiedział kto, nie miał czasu przyglądać się rozbitej ciężkim toporem czaszce.

Opór krzyżowców słabł z każdą chwilą. Krąg walczących stawał się coraz szczuplejszy, gdy umierali jeden po drugim. W środku koła zaczynało brakować miejsca.

Rakim rzucał się na wrogów, rozdając potężne ciosy. Czuł, jakby mu ubyło dwadzieścia lat. Jeszcze chwila, jeszcze jeden wysiłek i pięknie szyk niewiernych. Choćby nie wiem jak mieli wyborne pancerze, nie ostoją się przewadze! – Zabij! – krzyczał do swoich. – W imię Allaha, zabij!

Renald dźwignął się ciężko na mieczu, powstał z trudem. Miejsca było już tak mało, że trudno się było w środku okręgu ruszyć. Czuł krew ciekącą upartym strumykiem z rozplatanego biodra. – Przepuście – mruknął. – Ścisk taki, że nawet nie da rady się przewrócić, choćby człek obie nogi stracił.

Znalazł się między dwoma rycerzami. Zerknął na boki. Sławny Jan de Morges i nie mniej znany Vincent de Rionne. Nie żał ginąć w takim towarzystwie.

– Co, panie Cherbourg – wysapał Jan, zadając krótkie, potężne cięcie. – Pora chyba będzie umierać.

– Pora, panie de Morges!

Nagle gdzieś z przodu rozległy się krzyki. Atak Saracenów stracił nieco na zajadłości.

– Odsiecz! – zawołał de Rionne.

– Giaurzy! – wrzasnął ktoś.

Rakim naprędce zwrócił tam wzrok. Rzeczywiście nadciągał oddział z Ryszardem na czele. – Zgnieść mi tych tutaj! – wrzasnął wściekle. – Zdążymy, zanim dobiegną!

Saraceni na nowo podjęli atak.

Dziwnie umierać patrząc na nadciągający ratunek, przemknęło przez głowę Vincentowi. Muzułmanie jednym uderzeniem rozmiotli w pył zwartą do tej pory grupkę.

Wzniósł tarczę, zasłaniając się przed ciosem ciężkiej klingi. Gdyby miał czas rozejrzeć się wkoło, zobaczyłby leżących pokotem towarzyszy. Ciemność nadeszła niespodziewanie wraz ze swą nieodłączną siostrą ciszą. Gdzieś w tej ciemności zamajaczyła twarz ojca. Tym razem jednak nie była to surowa, ściągnięta drwiącym grymasem maska. Z pewnym zdziwieniem Vincent dostrzegł na tej twarzy życzliwy uśmiech. Taki, jaki pamiętał z dzieciństwa, ze wspólnych zabaw na zamkowych błoniach.

„Przyszedłeś po mnie...”.

Chciał to powiedzieć, ale nie mógł wydobyć słowa. Zresztą słowa nie były potrzebne.

– Na którą stronę mnie zabierzesz?...

Rakim nawet nie spojrzał na leżących gjaurów. Wywijając nad głową zakrzywionym mieczem, gnał już w stronę, z której nadciągał Ryszard. – Zabiję cię, chrześcijański królu!

Dziś moja dłoń jest niepokonana!

Ryszard patrzył na pędzących ku niemu Saracenów. Ten, który prowadził szarżę, wysforował się mocno do przodu. Król puścił wierzchowca w galop. Za nim pobiegli co sił piesi wojownicy. Rakim zakrzyknął radośnie, widząc, że zdobycz sama się pcha w ręce.

Znaleźli się obok siebie. Wzniósł miecz do ciosu, lecz zamiast znajomego wstrząsu uderzenia poczuł dziwną słabość w ciele i nieoczekiwaną lekkość w ramieniu. Spojrzał w dół.

Z rozerzniętego boku lała się krew. Zerknął na rękę. Zobaczył tylko krwawy kikut. Dłoń, wciąż ściskająca miecz, została gdzieś z tyłu. Przemógł osłabienie, obejrzał się. Gasnącym wzrokiem dostrzegł jeszcze, jak król niewiernych prze w głąb jego oddziału, obalając przed sobą ludzi i konie, nie zważając na niebezpieczeństwo.

– Miałeś rację, Nasir – szepnął. – To nie człowiek. To demon – zawisł na końskim karku, a potem powoli zsunął się na ziemię.

– To prawdziwy demon...

Rozdział XXXIV

– Jak się czujesz, ibn Suanie? – Malik usiadł przy łożu chorego.

Wciąż nie mógł przyzwyczać się do mlecznobiałych włosów Edwarda.

– Oswoiłem się już z myślą, że ją straciłem. Jednakże ból pozostał... Błagała mnie, abym ją zabił, lecz ja myślałem, że to tylko objaw powracającego szaleństwa. Zresztą i tak bym nie mógł... Kiedy zadała mi cios, myślałem, iż koniec ze mną. Ledwie zdołałem dokończyć modlitwę.

– Może to ją powstrzymało przed poddaniem się mocy demona? Twoja wiara...

Poświęciła się. Dla ciebie, dla mnie, dla nas wszystkich. Wiesz, że przegraliśmy bitwę?

Ryszard znowu jest górą. A nasi ludzie wykazują coraz mniej ochoty do walki i wyrzeczeń. Milczeli dłuższą chwilę.

– Codziennie – odezwał się Edward – znajduję u wezgłowia czerwoną różę.

– Czerwona róża – uśmiechnął się z przymusem al-Adil. – Znak miłości.

– Czy coś ci o tym wiadomo, książę? Malik przecząco potrząsnął głową.

– Mogę się jedynie domyślać. Pamiętasz Szirin, służącą Fatmy?

– Tak. Pomagała lekarzowi opatrywać mnie po pojedynku z Janem de Morges.

– Dokąd moja siostra nie odzyskała zmysłów, to ona przy tobie czuwała. Widzisz, gjaurze, otacza cię u nas miłość. Masz w sobie coś, co przyciąga, a Szirin to dobra dziewczyna. Chętnie wydam ją za ciebie, jeśli tylko zechcesz.

Swansen skrzywił się niechętnie, z bólem. – Zbyt świeże i bolesne są moje rany, żebym myślał o niewiastach.

– Nie ma lepszego balsamu na takie rany niż ciepło, jakie potrafi dać kochająca kobieta.

Edward milczał. Malik nie przerywał ciszy, czując, że tamten coś w sobie waży. Na jego twarzy znać było wielkie cierpienie.

– Jak rozumiem, król Ryszard nie zbiera się do wyjazdu? – spytał wreszcie Swansen.

– W tej chwili leży złożony chorobą. Powiadają, że to atak febry, ale sam nie wiem...

Jak mi się zdaje, ujrzałem na nim przy ostatnim spotkaniu przed bitwą piętno demona.

- Czy to możliwe?
- Skoro usiłował powrócić przez Fatmę, może próbować i przez niego. Im wcześniej król opuści tę ziemię, tym lepiej dla niego i dla nas.
- A miał już być z tym spokój – szepnął Edward.
- Czcigodny al-Hadżib przestrzegają, nigdy nie wiadomo, jakie skutki przyniesie wywołanie piekielnych mocy. Można je pokonać, ale czy można zniszczyć, zepchnąć z powrotem w głąbie otchłani?
- A ty jak myślisz, panie?
- Skoro czcigodny mędrzec tego nie wiedział, jakże ja mam udzielić prawidłowej odpowiedzi? Nie wiem i wcale nie chcę się dowiedzieć.

Edward przymknął oczy. Malik przez chwilę wsłuchiwał się w jego równy oddech, potem, stąpając jak najciszej, poszedł w stronę wyjścia.

– Straciłam go po raz drugi. Tym razem na zawsze... – oczy Judyty były suche, twarz ściągnięta bólem.

– Dopadło go własne przekleństwo – Piotr patrzył na nią ze współczuciem. – Odkąd go poznałem, wciąż za nim chodziły dziwne myśli, niepokojące widziadła. Poszedłbym nawet o zakład, że kilka razy widziałem zarys cienia, który go dręczył.

– Biedak – szepnęła.

– Biedak – powtórzył jak echo. – Zginął jednak, jak na prawdziwego rycerza przystało.

Choć był poważnie ranny, w chwili gdy ich grupkę rozbili Saraceni, własną ręką położył przynajmniej trzech lub czterech. Ilu usiekł przedtem, tego nikt nie zgadnie. Wokół miejsca, gdzie wrzała walka, leżał wieniec trupów.

– Wy, mężczyźni, wszystko ujmujecie tak prosto. Wam się zdaje, że wystarczy umrzeć z honorem, zabijając wrogów, żeby wszystko było jak należy.

– Wierz mi, kuzynko, to naprawdę nie jest tak, jak ci się może wydawać. Zaprawdę trudno jest odejść ze świata w sposób, jaki nakazuje honor. Czy wiesz, ile razy nachodzi rycerza strach? Nie wtedy wcale, kiedy trwa bitwa, bo wówczas po prostu czasu na myślenie nie staje. Dopiero potem, gdy rozpamiętujesz, ile razy śmierć przeszła mimo. I przedtem, kiedy wojenne doświadczenie podpowiada, jak zaraz podejdzie blisko. Im więcej walk człowiek ma za sobą, tym ciężiej się z nią pogodzić. I coraz większa chęć, by porzucić szeregi przed kolejnym starciem. A jeśli, jak Vincent, człek zostawi swoje serce przy dopiero co odzyskanej ukochanej, wtedy szaleństwem wydaje się każdy krok uczyniony w stronę najeżonych żelazem wrogich szeregów. Czy zdajesz sobie sprawę, ile hartu trzeba w sobie znaleźć, by przemoc taką słabość, nie ulec pokusie zadekowania się gdzieś z tyłu, przetrwania cudzym kosztem? Gnając ile tchu w piersiach z odsieczą widziałem, jak nasi towarzysze, otoczeni przez rozżartych pogan, padają po kolei. Jakże oni pięknie umierali! Jakby sam Bóg natchnął ich odwagą i świętym zapałem. Tak, Judyto, nie patrz na mnie z niedowierzaniem, nawet śmierć może być piękna. I wiedz,

że pod Jafą każdy bohaterski czyn Vincent uczynił dla ciebie, mając przed oczami twoje lico, prosząc Boga o wszystko co najlepsze dla pani Monaghan, gdyby miał tam szczenąć.

Zmarszczyła brwi, patrząc na niego z uwagą. – Mówisz o tym tak, jakbyś doświadczył podobnych uczuć. Jakbyś sam kiedykolwiek kochał. Ty, lekkoduch i sowizdrzał, co nigdzie miejsca nie zagrzebał, serca nie zaczepił o nikogo.

– Jakbym nie kochał, powiadasz – twarz Piotra poszarzała. – Rzeczywiście, czym jest owa opiewana w pieśniach miłość, nie wiem. Wiem jeno, jak boli, gdy jej człek nie może w życiu odnaleźć.

– Zdumiewasz mnie. Takie słowa w twoich ustach?

– Zdumiewam i siebie, co dzień to bardziej. Straszno mi, kiedy patrzę, jak wszyscy dookoła umierają. Najpierw Kurt, potem Konrad, Wreszcie Vincent... Nawet mocarny Jan leży bez ducha w lazarecie i pewnie nie doczeka następnej pełni księżyca, a jeśli nawet przemoże śmierć, co mu pozostanie w życiu z takimi strasznymi ranami, jakie odniósł? Chyba już lepiej, by umarł. Chwała Panu, że choć Wenera zdołaliśmy wyekspediować do domu.

Zapadła cisza. Każde z nich pograżyło się we własnych myślach.

– Trzeba się nauczyć żyć na nowo – powiedziała Judyta cicho, do siebie.

Piotr dosłyszał słowa, jednak zrozumiał je po swojemu.

– Muszę się też nauczyć umierać na nowo. Gdybyś widziała, jak oni ginęli – znowu wrócił pamięcią do czasu bitwy – jeden po drugim, podtrzymując się nawzajem i osłaniając tarczami tych, co osłabli. Biegliśmy ku nim ile sił, zbyt daleko jednak było. A oni ginęli bez drgnienia powieką... Założę się o wszystko, co mam, że Jan wtedy jeszcze żartował po swojemu – wstał, podszedł do Judyty i przytulił ją mocno do piersi. – Zapłacz nad nimi, kuzynko, niech twe piękne oczy złożą ofiarę umarłym.

– Nie umiem płakać – odsunęła się nieco – wiesz przecież, nigdy nie umiałam.

– Nawet dla Vincenta de Rionne? Wygnańca z własnej ziemi, jednego z niewielu prawych ludzi, jakich w życiu poznałem? Gdyby przeżył tę bitwę, bez wahania rzuciłby wszystko, żeby spędzić przy tobie resztę dni. Porzuciłby każdą następną wyprawę, choćby miało to oznaczać niełaskę jakiegoś monarchy. Wiem to, Judyto, bo sam mi tak rzekł w drodze do Jafy.

– Dlaczego nie powiedział tego mnie?

– Widać nie był pewien siebie. Może się bał, że go zatrzymasz, a on nie będzie miał siły zerwać twych więzów, a nie chciał w potrzebie zostawić swoich towarzyszy.

– Żyłby jednak.

– Żyłby – westchnął Piotr. – Nieszczęsny Vincent zagrał z losem w kości o jeden raz za dużo.

– Panie, panie – do komnaty wpadł zdyszany pacholek. – Wzywają was czym prędzej do obozu. Ponoć z królem dzieje się coś niedobrego!

Rozdział XXXV

– Jezu Chryste, zróbże coś, przeklęty medyku – Piotr chwycił lekarza za brodę.

– Tu raczej księdza trzeba – bronił się przerażony człowiek. – Biskupa z egzorcyzmem!

– Parszywy Żyd nie będzie mnie pouczał o takich rzeczach! Egzorcystę sprowadzić? Krwi mu upuść, driakiew jakąś podaj! Nie widzisz, co się dzieje?

Twarz króla stała się prawie czarna, oczy wychodziły z orbit. – Arghhh... – wyrzęził.
– Zabierz to ode mnie! – zakrzywione palce wyciągnęły się w kierunku składanego stolika, gdzie spoczywał osobisty ołtarzyk biskupa Salisbury.

– Co mam zabrać?

– Zabierz to! – Głos Ryszarda zdawał się wydobywać gdzieś z głębi ciała, nie z ust, był obcy i przerażający.

– Mam wziąć krucyfiks?

– Takhhh... – okropne rżenie. – Zabierz.

– Mówiłem, że tu trzeba waszych egzorcyzmów – lekarz skrzyżował palce od uroku.

– Wynoś się, parchu! – Piotr wypchnął go z namiotu, a na zewnątrz znowu targnął brodę nieszczęśnika. – A jeśli komu o tym wspomnisz, znajdę cię i zabiję! Przysięgam!

– A któż by mi uwierzył – mrucał medyk, odchodząc. – A nawet gdyby, obiliby najwyżej biednego Żyda, miast mu zapłacić za taką wieść...

Telford wrócił do środka. Ryszard nadal wskazywał rozkazująco w stronę ołtarza.

– O nie, szatanie. Tirze, czy jak tam ciebie zwą – zamruczał Piotr pod nosem. – O nie, nasienie Azazela. Tak łatwo nie będzie – powoli podszedł do stolika, ujął w dłonie krzyż.

– Wynieś go tak, żebym nie musiał nań patrzeć! – Ryszard oddychał chrapliwie.

– Tak, panie. Muszę jednak przejść mimo ciebie, nie zdenerwuj się. – Zasłaniając ciałem krucyfiks i odwracając tyłem do króla, w drodze ku wyjściu zbliżył się do łoża. – Tyle poświęcenia nie pójdzie na marne! – warknął. Odwrócił się nagle, przysunął wizerunek Ukrzyżowanego do twarzy monarchy.

Strasliwe wycie rozległo się w najdalszych zakątkach obozu.

– To ci febra dręczy króla – mruknął łucznik John, przewracając na drugi bok. –

Szkoda go, nieprawdaż, Robercie?

– Ano szkoda – zgodził się jego sąsiad w namiocie i towarzysz w bitwie. – Tak, co ty poradzisz, człowieku? Nie on jeden w tym przeklętym kraju nabawił się błotnej gorączki. Ale jemu przynajmniej korę z chinowca podadzą. A między nami są tacy, co zdychają bez nijakiej pomocy.

– Co racja, to racja. A jednak go szkoda.

Ryszard uspokoił się. Leżał bezwładnie, ciężko dysząc. – Kara za grzechy – wybełkotał po chwili. – Bóg zsyła na mnie karę. Trzeba mnie będzie należycie wyegzorcyzmować, miał rację ów Żydek. Wołaj biskupa!

– Jakiego biskupa? Po co? Trzeba jak najszybciej opuścić Palestynę! Co mogą pomóc modlitwy klechów na tutejsze demony? Żaden z naszych księży Chrystusem nie jest, żeby z nimi coś wskórać. Żaden z nich nie jest nawet tak godzien szacunku jak tamten stary Saracen, co okiełznał złego ducha! A jeżeli egzorcyzmy tylko go rozeźlą?

– Jednakże sam widzisz, że krzyż mnie uleczył.

– Skąd wiesz, królu, na jak długo? Poza tym zaskoczyłem cię... czy też tego, co w tobie siedział! Wszystko złe zaś dzieje się przez to, że nie dotrzymujesz przysięg!

– Co masz dokładnie na myśli, mówiąc o przysięgach? Nie dotrzymałem jednej. Tej danej Saladynowi. Ale to tylko kwestia czasu.

– Najpierw – Piotr mówił z tajoną pasją – nie dotrzymałeś przysięgi wierności swojej małżonce.

– Wielkie mi rzeczy! Czy ja jeden? Wyspowiadałem się ze wszystkiego i odbyłem pokutę.

– Pokutę?! Jak na razie, to inni odbywali za ciebie pokutę! Przez twoją lekkość Fatma zrodziła potwora! Gdybyś żył z królową Berengarią jak Bóg przykazał, nie byłoby tego. Że nie strzymałeś, jak dotąd, słowa sułtanowi, to już rzecz druga!

– Co ci o Berengarię! Czy kiedy kryłem, że jej nie kocham? Matka na siłę wepchnęła ją do mojej łóżnicy. A co do Saladyna, wiesz, że chciałem się wywiązać, ale mi nie dano po temu możliwości! Nie zawsze władca może postępować, jak serce czy sumienie dyktuje! Nie wolno mu nawet przestrzegać zobowiązań niczym prostemu rycerzowi! Myślisz, że mi z tym dobrze? Nie! Czasem czuję do siebie samego obrzydzenie.

– Wiem. Tylko dlatego wciąż przy tobie trwamy... A właściwie trwam. Bo pozostałych już nie ma. De Rionne zginął, de Morges dogorywa w lazarecie u szpitalników... A ty musisz wreszcie coś zdecydować, królu. Jeśli słusznie rozumiem, demon chce powrócić, a nie mogąc skorzystać już z ghula, próbuje przez jego rodzica. Ciekawe, czy i Fatma...

– Nie mów mi o tej dziewczce! Wołaj biskupa! Kiedy tylko uporam się ze sprawami, odpłynę. Do tej pory trza mi należytej ochrony duchowej!

– Ja zasię myślę...

Piotrowi przerwało wtargnięcie dowódcy straży. – Najjaśniejszy panie,

pochwyciliśmy człowieka, który skradał się do obozu! Jak przypuszczam, to asasyn. Zapewne Starzec z Gór na ciebie teraz zagiął parol.

– Dawaj go tu, Willy. Sam przesłucham jeńca! Strażnik wyszedł, a po chwili do namiotu została wepchnięta mizerna postać w czarnym burnusie.

– Miał broń?

– Nic nie znaleźliśmy, nawet garoty ani kolców z jadem.

– To dziwne, nieuzbrojony asasyn?

– Nie jestem asasynem – odezwał się jeniec czystym językiem normandzkim, może z odrobiną jedynie orientalnym akcentem.

– Mam ci wierzyć na słowo?

– Po prostu każ odsłonić moją twarz.

Ryszard uczynił rozkazujący gest dłonią. Strażnik szarpnął burnus.

– Leonidas – szepnął Piotr. – Grek z jaskiń Safadyna.

– Leonidas – powiedział jednocześnie zdumiony Ryszard. – To naprawdę ty! Zostaw nas samych, Willy.

– Ale – strażnik usiłował protestować – ten tutaj chciał przecież...

– Wynoś się natychmiast! To nie asasyn. Nic złego nie chce mi zrobić, zresztą jest Telford. Poza tym znamy tego człowieka, gdybyś dotąd nie zauważył! Won!

Willy, kręcąc z niedowierzaniem głową, opuścił namiot.

– Z czym przybywasz, Leonidasie? – spytał Piotr.

– Nie nazywasz mnie już brudnym Grekiem i zdrajcą, jak wtedy gdyśmy się ostatnio spotkali?

– Od tamtej pory wiele się zmieniło, na świecie i we mnie.

– Wiem, panie. Człowiek zmienia się czasem szybciej niż pogoda w górach...

– Taki już los. Wolałbym jednak mieć swój dawny lekki umysł i beztroskę w sercu.

– Dojrzałeś, panie. To widać w twoich oczach, nie jesteś już beztroskim wiecznym młodzieńcem, stałeś się mężem.

– Skończcie te pogwarki – niecierpliwie przerwał Ryszard. – Mów, co masz do powiedzenia. Czas jest mi zbyt drogi.

– Gwałtowny jak zawsze – uśmiechnął się Grek. – Ale masz rację, królu. Czas jest drogi. Bywa on najdroższą rzeczą na świecie, osobliwie wtedy, kiedy jest go bardzo mało.

– Mówisz co trzeba, czy mam cię jednak wydać oprawcy?

Leonidas podrzucił dumnie głowę. – Ryzykowałem życie, żeby tu dotrzeć, docień to i wykaż odrobinę cierpliwości. Zresztą posłanie moje jest krótkie. Przysyła mnie jego wysokość, szlachetny sułtan Salah ad-Din.

– To oczywiste.

– Nic nie jest oczywiste – na ustach Greka znowu zagościł uśmiech – oprócz narodzin i śmierci. Chociaż, jak sam mogłeś się przekonać na przykładzie ghula, czasem

i śmierć nie jest sprawą oczywistą.

– Dobrze, dobrze, skończ z tymi mądrościami. Czego chce Saladyn?

– Księżniczka Fatma nie żyje.

– Tylko to masz mi do przekazania? Niewiele zaiste.

– Zabiła się własną ręką, kiedy ów straszny demon, który zdawał się być już z powrotem w otchłani, próbował ją opanować.

Ryszard drgnął, napotkał znaczące spojrzenie Telforda.

– Mów dalej – mruknął. – I siadaj.

– Dzięki, królu. Wielce jestem strudzony. Sułtan, a właściwie to księżę Malik poddał mu tę myśl, podejrzewa, że i do ciebie może przyjść Tir... Jeżeli jeszcze nie przyszedł. Chce ci powiedzieć, jak się przed nim ustrzec.

– A jakież interes ma Saladyn, żeby mnie ratować? Przecież bezustannie powtarza, że zdradziecki pies!

– Taki, jak wszyscy rozsądni ludzie znający sprawę, królu. Ani on, ani ty, jak przypuszczam, nie życzyście sobie przeżywać na nowo koszmaru. Tym razem, być może, jeszcze gorszego. Nie jest ważne, w jaki sposób i w czyjej postaci powróci bestia. Liczy się tylko to, że może to istotnie zrobić.

– To rozsądne, co mówi Grek – wtrącił Piotr.

– Ciebie nie pytam – odparował opryskliwie król. – Mów, Gryfonie.

– Jedynym ratunkiem, jedyną pewną rzeczą, jest odgradzić się od demona wielką wodą... Tak mówią mędrcy.

– Ha, ha – Ryszard powiedział to bez cienia wesołości.

– Widzę, że Saladyn nie rezygnuje z wszelkich możliwych sposobów, by się mnie pozbyć! Mam jak najszybciej wsiąść na statek i odpłynąć? Mało sprytne.

Leonidas zachował kamienną twarz. – Jeśli to cię nie przekonuje, przekażę również przesłanie od kogo innego. Myślałem, że wykażesz odrobinę rozsądku i nie będę musiał, jednak...

– A kim jest ten drugi?

Leonidas oblizał wargi. Wyglądał jak ktoś, kto ma się za chwilę rzucić w odmęty wzburzonych fal. – To Rasid ad-Din, szejk Sinan! – W ustach Greka imię wielkiego mistrza izmailitów zabrzmiało twardo i groźnie.

Piotr poderwał się, wyciągnął sztylet. – Nie ruszaj się! Ani kroku! Wiemy, jak wyglądają posłania od Starca z Gór.

– Nie jestem asasynem, przecież wiecie. Jestem zaledwie okiem i uchem Sinana na sułtańskim dworze.

– I tak lekko się do tego przyznajesz? – spytał Ryszard. – Gdybym o tym powiadomił Saladyna...

– To byłoby z twojej strony niemądre, królu. Pierwsza rzecz, mógłby nie uwierzyć, potraktować to jak próbę odwrócenia uwagi albo prowokację. Druga, swoim

szpiegowaniem więcej przynoszę pożytku jemu, a teraz i wam niż szkody. A po trzecie i najważniejsze, jestem pewien, że sułtan się tego domyśla.

– I toleruje w swoim otoczeniu izmailickiego postrzegacza? – prychnął Piotr.

– Salah ad-Din to mądry człowiek. On doskonale zdaje sobie sprawę, że nic w życiu nie jest proste. Zawsze dobrze wiedzieć, gdzie przyczał się wróg, bo wtedy można go wykorzystać dla swoich celów. To jedna z jego zasad. Zresztą gdybym był prawdziwym zdrajcą, Sinan zostałby dokładnie powiadomiony o tym, co się wydarzyło w pustynnych pieczarach. Jednakże on nic nie wie. I ode mnie na pewno się nie dowie. Nie wolno mu dawać tak potężnej broni do ręki. Niech pozostanie skazany na domysły i niepewne wizje. Niech szuka rozwiązania w słowach poronionych proroków.

– Leonidasie – powiedział powoli Ryszard. Nagle mały Grek urósł w jego oczach. – Jak widzę, prowadzisz także politykę na własną rękę.

– Ja chcę tylko dobra tej ziemi i mego ludu. Służę Saladynowi, bo tylko przy nim możemy przetrwać. Bo tylko on nie okazuje nam pogardy jak inni. Bo jest jednym z niewielu uczciwych i przestrzegających prawa ludzi, jakich spotkałem na swojej drodze.

– Dobrze już – Ryszard machnął ręką. – Co masz do przekazania od starego mordercy?

– Ten stary morderca, jak go raczyłeś nazwać, chce cię przestrzec. Nie daj się skusić i włożyć na skronie korony jerozolimskiej.

– Ani przez chwilę nie miałem takiego zamiaru. Ile razy w życiu można zostawać królem? W dodatku następnego takiego państwa, w którym każdy robi co chce? Jedno w zupełności mi wystarczy.

– Uchodź z kraju. Zbyt wiele sił jest zainteresowanych w tym, żeby cię zgładzić.

Uciekaj stąd. I tak nic już więcej nie zwojujesz... O dawna nie możesz liczyć na nikogo poza garstką swoich rycerzy.

Ryszard zamyślił się. – Wiem – mruknął. – Czuję wokół siebie ten narastający opór.

Czuję go w sobie... – nagle podniósł głowę. – Nie mogę nikomu wierzyć, więc dlaczego miałbym zaufać tobie, który sam się przyznajesz, że jesteś podwójnym szpiegiem?

Leonidas spojrział mu prosto w oczy. W jego wzroku była determinacja i nieoczekiwana, niepasująca do mizernej postaci twardość. – Musisz komuś zaufać, panie – powiedział cicho. – A jeżeli chcesz, żebym dał świadectwo prawdzie, niech pan Piotr poda mi sztylet. Przebiję nim swe serce, jeśli to miałoby cię przekonać, choć Bóg widzi, jak bardzo pragnę żyć. Czarne chmury zawisły nad twoją głową. Dzieją się wokół ciebie rzeczy niepojęte. Uciekaj, póki jest jeszcze czas!

– Ja nie ufam nikomu, Greku, nikomu! Zbyt wiele jest fałszu zarówno wokół mnie, jak i we mnie. Zbyt mało w tym wszystkim mogę się rozpatrzeć, aby komuś zaufać.

– Zatem zdobądź należyłą wiedzę.

– Jak?

– Weź przykład ze Zbawiciela. On, gdy chciał porozmawiać z Ojcem, rozjaśnić umysł, udawał się na pustynię.

– Mam jechać w te przeklęte piaski i skały, żeby dostąpić mądrości? Oszalałeś?

– Czyżbyś uważał się za lepszego od Jezusa Chrystusa, panie?

Ryszard przez chwilę obserwował Leonidasa spod przymrużonych powiek. – Coraz bardziej mnie zastanawiasz. A co za tym idzie, ufam ci coraz mniej.

– Twój wybór, najjaśniejszy panie. Zapytałeś, ja odpowiedziałem. Co z tym zrobisz, to już twoja rzecz.

Nagle król pobladł, twarz wykrzywił mu grymas bólu. – Telford – jęknął – wyprowadź go! I natychmiast wracaj!

Rozdział XXXVI

Przez otwarte okno wtargnął lodowaty podmuch. Ciężki, aromatyczny dym rozwiewał się niechętnie. Sinan ze zmarszczonymi brwiami obserwował ostatnie pojedyncze pasma.

Znowu niechciane, nie przywoływane duchy krążą w pobliżu. Znowu ich złośliwe głosy i drwiące śmiechy zakłócają przekaz wizji.

– Coś wisi nad pustynią – mamrotał niewyraźnie leżący na podwyższeniu człowiek.
– Wielkie niebezpieczeństwo. Módlmy się, aby nie nadciągnęło nad nasze głowy.

Sinan spojrzął spod oka na natchnionego. Że coś zawisło jak ciemny tuman nad południowym wschodem, nad piaskami Arabii, sam wyczuwał, bez niczyjej pomocy.

– Co to jest? Jakie nosi imię?

– Tego nie wiem dokładnie. Wiem jedynie, że to demon, który pragnie wziąć odwet...

Zmierza wprost ku wybrzeżu, jakby tam było coś, co go przyciąga wbrew ognistej naturze.

Coś, albo raczej ktoś.

Na próżno zginąłeś, książę z Montferratu, pomyślał Sinan. Myliliśmy się wszyscy. Ja, ty, twoi poplecznicy i przeciwnicy, przekłęci kupcy z Pizy, Genui i Wenecji. Jakże zarozumiałym jest człowiek, myśląc, że potrafi przewidzieć przyszłość. Jakże jest naiwny, sądząc, iż puste słowa mogą zmienić bieg wydarzeń.

– Trzeba było jednak zabić Ryszarda, kiedy był na to czas! – mruknął. – Zanim w ogóle stanął w Palestynie, nim dotknął stopą nabrzeża pod Akką. Trzeba go było zgładzić, nie czekając na nic, kiedy zabawiał się na Cyprze śmieszną wojną z Komnenosem. Ale kto wtedy mógł przypuszczać... Napotkał zdumiony wzrok Saika.

– Czy można mówić, że jest za późno, aby wysłać asasyna, czcigodny szejku? To można uczynić zawsze, w każdej chwili.

– Nie rozumiesz? Nie odważę się zgładzić Anglika teraz, kiedy zupełnie straciłem rozeznanie, jakie mogłoby to nieść ze sobą skutki.

Saik nachmurzył się. Ostatnimi czasy Sinan stał się bardzo niezdecydowany. Trzeba będzie naradzić się z Hamdanem. Zły to moment, co prawda, na dokonywanie zmiany

mistrza, jednakże może się okazać, że nie ma innego wyjścia.

Sinan spojrział bystro na dowódcę asasynów. – Myślisz pewnie, że całkowicie zdiadział. Starzec z Gór zamienia się w niedołęgę z Gór. Nie oceniaj mnie zbyt pochopnie.

Miałem wizję. Kiedy i ty dostąpisz wtajemniczenia, sam zobaczysz, jak ciężko wtedy podjąć właściwą decyzję.

Saik milczał. Przenikliwość Raszida ad-Dina zdawała się rosnać z dnia na dzień.

Hamdan uprzedzał go przecież, ale zdawało się to niemożliwe. Starzec jednak nadal umiał budzić strach i respekt.

– Saiku, przed chwilą byłem daleko stąd, na pustyni w pobliżu Jafy, opodal szlaku do Askalonu. Widziałem potężną ludzką postać siedzącą na piachu. Lecz potęga owego męża była niczym w porównaniu z wielkim płomieniem, w który się wpatrywał. Trwali tak naprzeciw siebie. Człowiek ani drgnął przez cały ten czas, a płomień palił się, wpierw równo i spokojnie, by potem rozdzielić się na kształt krzewu i unieść ku niebu. Gdy opadł i przybrał poprzednią formę, stał się sinoniebieski, z purpurowymi pasmami wirującymi od środka ku brzegom.

Opiekun asasynów wstrzymał oddech. Co ten stary wygaduje? Czyżby ogarniało go szaleństwo? Lecz wzrok Sinana był jasny i trzeźwy. Wyglądało na to, że opisuje zdarzenia, które naprawdę widział. Wizje, wizje... Czy on sam, trzeźwo myślący zabójca, będzie kiedykolwiek w stanie oddać się im bez reszty, jak siedzący naprzeciwko szejk?

– Straszliwy był to płomień – ciągnął tymczasem Sinan. – Biła od niego groza przywodząca na myśl czeluście piekielne. A człowiek trwał naprzeciwko, jakby nic go nie mogło poruszyć, nawet kiedy ognisty demon zbliżył się na pół kroku, on tylko patrzył spokojnie, jakby był pewien, że nic mu nie grozi, jakby go chroniły słowa modlitwy wypowiedzianej przez samego archanioła Dżibrila. Wyglądało to tak, jak w opowieściach o Mahomecie albo proroku Jezusie, zmagającymi się na puszczy z siłami ciemności – nagle zerwał się na równe nogi, stanął w groźnej postawie nad zaskoczonym Saikiem. – Pod żadnym pozorem nie wolno nam zgładzić angielskiego króla! Pamiętaj o tym, gdyby mnie zabrakło! Choćby płacili ci w złocie dwakroć tyle, ile on waży! Choćby płacili dziesięciokroć tyle, albo i stokroć! Nie ma ceny, dla której warto podjąć podobne ryzyko, pamiętaj!

– Co ujrzałeś, szejku? – szepnął Saik. – Co cię przeraziło? Sinan wbił w niego gorejące spojrzenie. – On musi sam unieść swoje przekleństwo, zabrać je ze sobą. Niewiele mu już czasu pozostało. Zaś ten, kto go zgładzi, narazi się na niebezpieczeństwo większe, niż można sobie wyobrazić, nie, Saiku, nie idzie mi o zemstę krzyżowców. To niebezpieczeństwo jest wszędzie, pod moimi i twoimi stopami, pogrążone w półśnie, gotowe w każdej chwili zerwać nałożone nań więzy!

– Wracamy, Telford!

Ryszard cały był pokryty kurzem, bił od niego odór dawno nie mytego ciała oraz dziwny zapach, podobny do tego, jaki pozostawia po sobie krótka i gwałtowna burza.

– Kiedy?

– Jak najszybciej! Najlepiej zaraz. – król usiadł ciężko na składanym krześle. – Wydałem już rozkazy, niebawem nasz okręt będzie gotów zabrać nas do domu.

Piotr kręcił z niedowierzaniem głową. Kolejny atak sławnego Oc–e–No. Dziś jest pod wrażeniem samotnego pobytu na pustyni, walki z własnymi myślami. A czy jutro nie okaże się, że nie tylko zostają w Palestynie, ale w dodatku rusza następna wyprawa pod mury Jerozolimy?

– Nie patrz tak, Telfordzie! Od tej decyzji nie będzie odwołania. Wracamy!

Coś dziwnego działo się z twarzą króla. Nagle wykrzywił ją nieznany dotąd grymas, po policzkach pociekły łzy.

– Co wam – szepnął Piotr. – Najjaśniejszy panie, co wam jest?

Król zwrócił na rycerza jeszcze bardziej błękitne niż zazwyczaj oczy. Tak jakby łzy spłukały z nich jakiś osad, pomyślał Telford. Prawdziwe łzy, a nie te, które ronił na użytek ludzi podczas publicznej pokuty. – Oni cierpią. Piotrze – powiedział cicho. – Oni tak strasznie cierpią...

– Kto? – Telford poczuł ciarki przechodzące wzdłuż pleców. – Kto cierpi, panie?

Lecz Ryszard nie odpowiedział. Zapadł w dziwne odrętwienie, trwał długo ze wzrokiem utkwionym w ścianę. Piotr czekał cierpliwie, aż król upora się z myślami.

– Kto cierpi, pytasz – rzekł w końcu. – Mój syn i kobieta, z którą go spłodziłem. Trawi ich piekielny ogień. To wszystko nie skończyło się wraz z tamtym wielkim wybuchem na pustyni. Hatim cisnął ciało ghula w piekielny ogień, lecz nie zgładził w ten sposób ani potwora, ani demona. Ten gest strącił ich tylko w otchłań, pozbawił na jakiś czas możliwości działania. Ale szatan zawsze będzie pragnął się odrodzić. Piotrze! Okazuje się, że piekło jest zawsze tuż obok nas, a niebo tak strasznie daleko! Dlatego wracamy. Wracamy, żeby uciec przed straszliwą czeluścią otchłani...

– O czym ty mówisz, królu?!

– Wracamy – powtórzył Ryszard. – Grek miał rację. Na pustyni można znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania – zapatrzył się w mroczny kąt namiotu, przygryzł wargi. – Gdybyś choć przez sekundę doświadczył cierpienia, jakie jest udziałem tych dwóch nieszczęsnych... To najstraszliwsze uczucie, jakie można sobie wyobrazić... Wie, źle mówię, tego nie można sobie wyobrazić. Na dodatek ów okrutny ogień chce strawić także mnie.

Jeszcze jest zbyt słaby, ale w każdym momencie gdy tu jestem, może urosnąć w siłę, przebudzić się na nowo – poderwał się na równe nogi. – Nie pozwolę, by mnie pochłonał! Nie będę mu służył i nie będę cierpiał jak tamci, co w nim spoczęli!

– Przecież stary mędrzec zapewniał...

– Zapewniał, ale i przestrzegał, pamiętasz? – przerwał Ryszard. – Zresztą największy

nawet mędrzec wszystkiego nie ogarnie, najbardziej choćby przenikliwym umysłem. Może gdybym od razu wyjechał stąd... Nie wiem doprawdy... ale przynajmniej to wszystko byłoby już poza mną! – zamyślił się. – Kiedy brałem manierkę i laskę pielgrzymią z rąk biskupa, nie spodziewałem się, co może na mnie czekać w tym kraju. I nie wiem doprawdy, czy Palestyna jest bardziej święta, czy splamiona przekleństwem. Może krew Chrystusa zmyła z nas grzechy, ale czy to, że wsiąkla w tę ziemię, nie sprowadziło na nią nieszczęść? Czy nie obudziła przedwiecznych demonów? Widziałem piekielny ogień, potężny i groźny, choć był tylko cieniem tego, który napotkaliśmy wśród skał. W tym ogniu płonęły dusze mego potomka i jego matki. Tak lekko zepchnąć kogoś w otchłań, a tak trudno go potem wydobyć!

Uganiamy się z mieczami, krzewiąc prawdziwą wiarę, a wściekłe demony radują się z tego, obserwując nas z ukrycia, czekając na okazję do ataku...

Piotr spojrział uważnie w oblicze króla. Nie, nie wyglądało na to, żeby znowu zaczynało ogarniać go szaleństwo, choć to, co mówił brzmiało jakby bredził w malignie.

Jednakże czyż przebywając na tej ziemi, wszyscy krzyżowcy nie byli opanowani gorączką duszy?

– Nie przyłożę więcej do tego ręki! – mówił dalej król. – Pojedziesz z poselstwem do Saladyna. Natychmiast! O nim powiadają, że nie złamał nigdy słowa danego najmarniejszemu z ludzi. Pora wreszcie i mnie dotrzymać przysięg. Pora zaprzestać ucieczki przed samym sobą. Przygotuj się do drogi.

Telford wyszedł.

Ryszard skierował oczy na krucyfiks. – Panie – rzekł – dlaczego uczyniłeś z nich istoty tak nieszczęśliwe? Dlaczego ów ogień, w którym płoną, jest równie nieszczęśliwy jak one?

Czy zło musi tak cierpieć na Twoją chwałę? Czy nie dostrzegasz z wysokości niebios, jak nieczyste duchy chcą dostąpić zbawienia? Im bardziej są zrozpaczone, tym większe w nich rodzi się okrucieństwo! Boże mój, zlituj się nad nimi! – z oczu króla znowu popłynęły łzy. – Ja stąd ucieknę. Panie, nie dam rady sam stawić czoła piekielnym stworom, a nie mam nikogo, kto stanąłby przy mnie. Lecz Ty wyciągnij swą miłosierną dłoń i spraw, aby nieszczęsne dusze dostąpiły Twej łaski.

Padł na kolana i pogrążył się w modlitwie.

Rozdział XXXVII

Szary pręgowany kocur złożył łeb we wgłębieniu między poduszką, a zgiętym łokciem śpiącego człowieka, natychmiast zaczął mrużyć. Ruch i odgłosy kociego zadowolenia zbudziły mężczyznę. Spojrzał na zwierzaka. – Witaj, przyjacielu – powiedział z uśmiechem. – Czekałem na ciebie.

Wyciągnął rękę, żeby pogłaskać kota, a ten natychmiast poderwał łeb, żeby włożyć go jak najbardziej w zagłębienie dłoni. Mruczenie przybrało na sile. Grzbiet wyprężył się rozkosznie, kocur powstał i zbliżył się do twarzy mężczyzny, żeby o nią otrzeć pyskiem, nagle drgnął, nastawił uszu.

– Ktoś idzie?

Kot spojrział wielkimi, mądrymi oczami. Teraz i człowiek dosłyszał kroki.

– Wskakuj – powiedział, uchylając derkę. – Jeszcze ci się każą wynosić. Nielitościwi są ci mnisi – podniósł się na łokciu na widok wchodzącego zakonnika. – Witaj, Gustavusie – zawołał. – Może w końcu ulżysz mi w cierpieniu! Bo twoi bracia dotąd nie potrafili sporządzić mikstury, która by choć na moment zabiła ten ból. Jak może tak mocno dolegać coś, czego w ogóle nie ma?!

Brat Gustavus uczynił uspokajający gest. – Ciszej, panie de Morges. Za tymi ścianami są cierpiący. Lazaret to nie jest miejsce na wydawanie z siebie gromkich okrzyków.

– Pół roku z okładem spoczywam w takim ponurym miejscu – odparł Jan. – Dwa razy przenosiliście mnie, a to do Hajfy, a to do Jafy! Może wreszcie tutaj, w Tyrze, znajdzie się rada!

Zakonnik zerknął na koc okrywający nogi rycerza. – Na ból w odjętej kończynie – rzekł – jak dotąd nikt nie znalazł skutecznego lekarstwa. U nas...

– To już słyszałem tysiące razy! Ma mnie pocieszyć, że inni też cierpią? Gdzie indziej leżałem przynajmniej na wspólnej sali. Mogłem popatrzeć na ludzkie twarze, było do kogo gębę otworzyć. A tutaj widzę jeno te ponure murzyska dookoła. Jakbym był trędowaty! Czy to kara za to, com powiedział waszemu wielkiemu mistrzowi? Należało mu się. Nie ma prawa znieważać pamięci umarłych rycerzy.

– Żeś bronił swoich druhów, tego ci za złe nikt poczytać nie może. I nawet wielki

mistrz sam nie wie wszystkiego. Jam widział was jeno wtedy, kiedy przynieśliście worki z kośćmi, i wiem, że musieliście potem uczynić coś, co mogło być nawet niegodziwe.

– Żaden z nas nie uczynił niczego, czego potem musiałby się wstydzić!

– Dlaczego zatem nie chcesz przystąpić do spowiedzi?

– Bo to, co miałbym do powiedzenia, nie może wyjść poza konfesjonał, a ja nie mam za grosz zaufania do klechów!

– Obowiązuje nas tajemnica spowiedzi...

– Nie mydl mi oczu tajemnicą spowiedzi! Gdybym opowiedział, co wiem, jeden z drugim natychmiast pognaliby do swoich zwierzchników! Ten, co onegdaj do mnie przyszedł, z miejsca zaczął zadawać bardzo dziwne pytania. Dawniej zawsze ilekroć wyznawałem grzechy, księżda najbardziej ciekawiło ile razy, z kim i w jaki sposób pozwoliłem sobie zdradzić małżonkę, albo czym nie zapomniał o należytych datkach na kościół.

Inne sprawy i przewinienia nie były ważne. A tym razem wypytywać mnie zaczął o rzeczy bardziej związane z królem Ryszardem aniżeli z moją duszą. Jeśli on nie był nasłany i gotowy złamać ową sławetną tajemnicę spowiedzi, to niech mi noga zaraz odrośnie – uderzył pięścią w brzeg łóżka, a przestraszony kot poruszył się pod kocem. Jan natychmiast zaczął poprawiać fałdy tkaniny, żeby ukryć obecność zwierzęcia.

– Niepotrzebnie się unosisz, panie de Morges. A ja przynoszę dobrą nowinę. Przybył do nas pewien brat z zakonu Świętego Łazarza w Jerozolimie, który ma spore doświadczenie w warzeniu substancji, jakich używają Saraceni. Wiele mnie kosztowało zachodu, aby wydobyć od przełożonego lazaretu zgodę na podobne praktyki, jednakże wreszcie udało się.

To dlatego leżysz w izolatorium. Gdyby się rozniosło, że pozwalamy na takie rzeczy...

– Dawaj tego mnicha!

– Postaraj się tylko nie być dla niego taki kolczasty. Wiesz jak zakonnicy niechętnie opuszczają klasztorne mury w tym niespokojnym czasie. Lecz ten, gdy dowiedział się o twych cierpieniach, wyjednał u swego rektora zezwolenie, by przynieść tutaj pomoc.

– Bardzo wdzięczny jestem za troskę. Niech się lepiej bierze już do rzeczy!

– Bardzo jesteś niecierpliwy, rycerzu.

– Trzeba mi było wraz z nogą odjąć też męskie klejnoty z workiem, wtedy byłbym o wiele spokojniejszy!

Brat uśmiechnął się. – Gdybyśmy wiedzieli, jaki będzie z tobą kłopot, zapewne lekarz otrzymałby stosowne instrukcje. Nie pora jednak teraz naprawiać to zaniechanie.

– Dajże go już tutaj!

Gustavus odwrócił się, skinął na kogoś. Dopiero teraz Jan dostrzegł zakapturzoną postać przy wejściu. Zbliżyła się, utykając wyraźnie na prawą nogę.

– Czyżby taki sam kaleka jak ja? – mruknął de Morges. – W takim razie z całą pewnością się dogadamy.

– Oto twój pacjent – powiedział Gustavus. – Zostawiam was samych – zerknął szybko na posłanie, gdzie znowu dał się zauważyć dziwny ruch. – A ten kocur – powiedział surowo – powinien teraz pełnić swoje obowiązki w kuchni albo stajniach, a nie grzać się w łożu.

– Odkąd zostałem umieszczony w osobnym pokoju – odparł Jan – tyle mam towarzystwa, ile on tu zawita. I tego chcesz mnie pozbawić?

Gustavus machnął tylko ręką i wyszedł. De Morges natychmiast wydobył kota na wierzch i zaczął się z nim bawić kawałkiem rzemienia.

Tymczasem przybysz wyjął z sakwy szklane flaszki, zawierające substancje w różnych barwach. Na próżno Jan próbował zajrzeć w głąb kaptura. Niepewne światło oliwnej lampy kładło tam głęboki cień.

– A nie strujesz ty mnie, braciszku? – spytał, kiedy jego nowy opiekun odkorkował buteleczki. – Dziwnie cuchną te twoje lekarstwa.

Kocur machnął łapą, próbując zahaczyć pazurem o pętlę na końcu rzemienia. De Morges roześmiał się, cofając szybko rękę. Uwielbiał patrzeć jak kotu w czasie zabawy ciemniejają oczy, a uszy zaczynają przylegać do czaszki. Wyglądał wtedy niczym rozeźlony lew w miniaturze. – No jak, bracie – Jan pociągnął głośno nosem. – Nie przyszedłeś mnie otruć?

Mnich milczał. Zachowywał się tak, jakby w ogóle nie słyszał, że chory coś do niego mówi.

– Jedno z dwóch – mruknął rycerz – alboś głuchy, alboś głupi.

Człowiek w habicie nie dał się sprowokować. Spokojnie przelewał płyny do dużego kielicha.

– Nic nie powiesz?

Mnich wsączył odrobinę jadowicie żółtej substancji. Po pomieszczeniu rozszedł się ostry zapach.

– Otrujesz mnie, jak nic, coś mi się widzi. Odezwanie Jana znowu pozostało bez odpowiedzi.

– Też mi opiekun – rzucił. – Toż do ściany by mi się ciekawiej mówiło.

Widząc, że nic nie wskóra, legł ciężko. Łóżko zaskrzypiało. – A możeś ty złożył śluby wieczystego milczenia? Ciekaw jestem, jak też można coś podobnego wytrzymać. Ja tam bym nie mógł utrzymać jęzora na wodzy, choćby przez pół pacierza. Daj znać, złożyłeś taki ślub? Jeżeli tak, zostawię cię w spokoju.

Mnich potrząsnął przecząco głową. Przy tym ruchu spod kaptura wymknął się siwy kosmyk.

– Och, widzę, braciszku, że ty już jesteś starszy wiekiem. Wybacz w takim razie moje poufałości – zamilkł, obserwując z ciekawością poczynania zakapturzonego

człowieka. Ból w odciętej nodze to wzmagął się, to opadał, cały czas był jednak trudny do zniesienia.

– Saladyn umiera, jak mi doniesiono, i choć jeszcze nie skołał, jego synowie już walczą o schedę – spróbował jeszcze.

Uparte milczenie.

– Powinniście być zadowoleni. Ledwo pół roku minęło od czasu, jak król Ryszard udał się za morze, a antychryst i chrześcijan wróg najgorszy odchodzi z tego świata.

Mnich drgnął.

– Powiedział Pan – odparł głucho – miłujcie nieprzyjacioły swoje.

– Nawet takiego szatana jak ten Saracen? – Jan rad był, że udało mu się wreszcie zmusić milczka do odpowiedzi.

– Kto nazywa sułtana szatanem, sam musi być głupcem.

De Morges zmrużył oczy. – A ty co tak się za nim ujmujesz? Myślałem, że wy, duchowni, macie obowiązek go nienawidzić.

– Każdy ma najpierw obowiązek sam być człowiekiem – mężczyzna w habicie wyprostował się. – Nie sądz, abyś i ty nie został osądzony.

Jan zaśmiał się gorzko. – Komu to mówisz, klecho? – skrzywił się, gdyż w nodze nagle poczuł dojmujące uderzenie bólu. – Mnie tu mają za szaleńca, bo ośmielam się właśnie w ten sposób gadać i bronić Saladyna przed wściekłymi jęzorami! Sam wielki mistrz szpitalników raczył się na mnie pogniewać właśnie o to między innymi. Mówię „między innymi”, bo takowoż skląłem go na czym świat stoi, kiedy napomknął o Vincencie de Rionne, że mężobójca był i zwyczajny wygnaniec, nie jemu sądzić rycerza, co życie położył w słusznej sprawie! – Przez chwilę zmagął się z cierpieniem. – Niech to! Daj wreszcie ten dekolt, zanim oszaleję z bólu!

Zaniepokojony kocur usiadł naprzeciw Jana, wpatrując się uważnie w jego twarz. Na wychudzone policzki mężczyzny wystąpiły perliste krople potu.

– Pośpiesz się, człowieku! Tym trudniej znieść cierpienie, im nadzieja na ulgę bardziej się przybliża!

Mnich bez słowa podał mu kielich. Jan powąchał nieufnie zawartość. – Śmierdzi jak arabska mydlarnia. I pewno tak samo smakuje.

Przechylił naczynie, chcąc jak najszybciej połknąć wstrętną ciecz. Zakrztusił się, prychnął i zakaszłał. Drobiniki substancji poleciały w stronę kota. Ten natychmiast zeskoczył z łóżka, patrząc z pretensją, a potem zaczął starannie wylizywać futro.

– Mam nadzieję – wykrztusił de Morges – że jest to równie skuteczne jak obrzydliwe.

Zakonnik pozbierał buteleczki, schował je z powrotem do sakwy. – Zaraz zacnie działać – mruknął.

– Mam wrażenie, że już działa – Jan zmarszczył brwi, wsłuchując się w swoje ciało. – Jakbym czuł odretwienie w tej nieistniejącej przeklętej nodze – odetchnął z ulgą,

ułożył się wygodniej. – Bóg ci zapłać, bracie. Dawno nie czułem takiej ulgi, nawet wtedy gdy dali mi tego popić, żebym tylko przestał jęczeć. Powiadam ci, wolałbym, żeby mnie ubili wtedy pod Jafą. To cierpienie jest nie do zniesienia.

Mnich przysiadł na brzegu łóżka. Kot natychmiast wskoczył mu na kolana, zwinął się w kłębek i zamknął ślepią.

– Polubił cię – zauważył ze zdziwieniem Jan. – Zwyczajnie jest bardzo nieufny i prędzej wbije pazury w wyciągniętą ku sobie rękę, niż nastawi grzbiet na pieszczoty. Ludzie nigdy nie traktowali go zbyt dobrze. Cierpienie – przypomniał sobie. – Czasem nachodzą mnie grzeszne myśli, żeby skończyć ze sobą.

– Człowiek musi ponieść swój krzyż – powiedział bardzo cicho człowiek w habitcie. – Nie wolno go zrzucić z barków, jak i nie zrzucił go Zbawiciel. Każdy z nas bowiem solennie sobie na ten krzyż zasłużył.

– Nie pouczaj mnie, starcze! – W oczach Jana zapłonął ogień. – Co ty możesz wiedzieć? Pewnie całe życie spędziłeś za kłauzurą, tam gdzie cisza i spokój od doczesnego życia!

– Nie sądź po pozorach – rzekł głośnie mnich. Jan drgnął. Ten głos wydał mu się skądś znany. – Nie jestem starcem, przynajmniej nie wiekiem, a w klasztorze przebywam dopiero od kilku miesięcy!

Odrzucił kaptur. De Morges wciągnął głęboko powietrze, po czym wypuścił je z sykiem. – Swansen, niech mnie diabli porwą! Edward Swansen!

– Brat Edward – poprawił go zakonnik. – Niebawem złożę zakonne śluby.

De Morges patrzył rozszerzonymi oczyma. – Co zaszło, żeś tutaj, a nie u Saracenów? – spytał. – Boże jedyny, przecież ty jesteś siwiuteńki jak gołąbek! Opowiesz o tym?

– Opowiem.

Jakiś czas później Swansen nadal siedział przy łóżku Jana. Tylko kot, nieco zniechęcony, bo stracono dla niego zainteresowanie, wstał z kolan Edwarda, żeby ułożyć się tuż przy głowie chorego.

– Pozostaliśmy tylko my dwaj z całej kompanii – powiedział w zamyśleniu de Morges.

– Trzech nie żyje, Werner i Telford już dawno za morzem... Tylko ty i ja gnijemy dalej w Palestynie. Dwaj kalecy. Mam nadzieję, że nie żywisz do mnie urazy za to – wskazał chromą nogą zakonnika.

– Nie mogę mieć żalu. Zraniłeś mnie przecież w uczciwym pojedynku.

– Diabli! – Jan poderwał się, siadając gwałtownie. Kot spojrzał zdziwiony, potem umościł się wygodniej, zajmując całą poduszkę. – Nie opowiadaj mi o uczciwym pojedynku!

Gdybym wtedy wiedział, jak bardzo się mylę co do ciebie, prędzej bym sam się pchnął mieczem w serce! Żebyś ty wiedział, jak mnie to później dręczyło!

– Każdy ma prawo pobłądzić.

Jan spojrział w miejsce, gdzie powinna spoczywać jego prawa noga.

– Ale też i odebrałem godziwą karę – mruknął. – To może głupie, co powiem, jednakże sprawiedliwości stało się zadość i czuję się z tym dziwnie dobrze. Jakby nieco rozgrzeszony...

Swansen patrzył na niego łagodnym, współczującym spojrzeniem. – Niebawem, już za kilka dni będę musiał wracać do mojego klasztoru – rzekł – ale zostawię tu nieco ziół i przepis, jak sporządzać miksturę na twoje cierpienia, nim opuściłem sułtański dwór, lekarz księcia Malika wyuczył mnie, jak to przygotowywać, bo i mnie często doskwierają nieznośne bóle.

– A ja – de Morges zmarszczył brwi – będę musiał nauczyć się żyć na nowo.

– Co zamierzasz? Wrócisz do Francji, do swoich włości?

Jan skrzywił się niechętnie. – Słyszałeś sam, co mówił świętej pamięci Vincent o mojej małżonce. Nie przesadził ani jednym słowem. W porównaniu z nią ta wścieklica von Landberga to anioł. Zresztą musiała kochać tego nicponia Kurta, bo strasznie po nim rozpaczała. Moja na pewno nie uroniłaby nawet jednej łzy. Nie wiem, może ją krzywdzę tak gadając, ale nigdy w życiu nie okazała mi odrobiny serca. Kazał jej ojciec wydać się za mnie, to się wydała. Zapowiedziała przed ślubem, że będę tego żałował, i prawdę mówiła. Jeśli wrócę do niej jako kaleka, ciężkie mi zgotuje życie.

– A może odezwie się w niej współczucie? Może sobie z nią jakoś ułożysz...

– Współczucie? – uniósł się Jan. – Nie potrzebuję niczyjego współczucia! – Spojrzął w oczy Swansena, uspokoił się. – A może właśnie potrzebuję? – powiedział cicho. – Może masz rację? Kiedy tak o tym teraz myślę, zaczynam tęsknić do tej sekutnicy, choć mnie samemu wydaje się to niemożliwe.

Edward milczał z lekkim uśmiechem błakającym się na ustach.

– Jak tylko wydobrzeję – mówił dalej de Morges – i przyuczę się chodzić na szcudle, od razu wsiądę na statek. Popłyniesz ze mną, burasie? – lekko szturchnął palcem kocura. Ten, w oczekiwaniu na dalsze pieszczoty, przewrócił się na grzbiet. – Pewnie, że popłyniesz.

Będziesz mi przypominał, co przeżyłem w Ziemi Świętej. A ty – zwrócił się do Edwarda – widzę, żeś całkiem zmniszał. Ten łagodny wzrok i uśmiech... Jakbyś się w klasztorze urodził.

A nie myślałeś przypadkiem, żeby wrócić do swoich fiordów?

Swansen pokręcił głową. – Zostanę już tutaj, nie wiem, może poproszę, żeby przydzielono mnie do jakiegoś leprozorium? Jako wojownik zadałem w życiu wiele ran, teraz chcę pomagać tym, którzy muszą cierpienie znosić. Zbyt wiele widziałem, żeby spokojnie patrzeć na błękitne niebo północy, nie zaznałbym tam spokoju.

– Przyznaj się – Jan zmarszczył brwi. – Chcesz dopilnować, żeby ten demon nie powrócił. Chcesz mieć pewność.

– To nie tak, Janie. W każdym razie nie do końca. Stwory piekielne powinny

przebywać tam, gdzie ich miejsce. Ale gdzie tak naprawdę to miejsce się znajduje? W istocie rzeczy wcale nie jestem pewien, czy uwolnienie tego, który był uwięziony przez al-Hadžiba i derwiszów, przyniosłoby więcej szkody czy pożytku.

– W imię Ojca i Syna... – Jan patrzył na mówiącego wielkimi oczami. – Co ty opowiadasz? Jakiego pożytku?!

– Nie jestem pewien, przecież mówię, nie wiem. Ale może taki zły duch byłby pomocny, żeby przywieść ludzi do opamiętania? Nawet gdyby sprowadził na nas całą potęgę piekła? Wszak i szatan służy boskim zamysłom. Inaczej jak wytłumaczyć jego istnienie?

A poza tym powiedz sam, Janie. Znasz przecież życie, zaznałeś radości i cierpienia, popełniałeś rzeczy chwalebne i straszne. Czy nie uważasz, iż demony gorsze od Tira zamieszkują w nas samych? Że to je właśnie trzeba najpierw zwalczyć, żeby pozbawić sensu istnienia takie stwory jak ten duch?

De Morges zamyślił się. Machinalnie gładził brzuch kocura. – Zwalczyć w sobie zło – powiedział – żeby zapobiec złu płynącemu ze świata. Możesz mieć słusność, Wikingu – przez długą chwilę wsłuchiwał się w swoje myśli. – Możesz mieć słusność – powtórzył wolno.

Zapadła głęboka cisza, w której rozlegało się jedynie rozkoszne mruczenie kota.

Ryk lwa na Cyprze

Surowy półmrok celi chłodnym całunem spowijał połowę twarzy starego opata. Druga jej część, oświetlona pełgającym blaskiem oliwnej lampy, wykrzywiła się w dziwnym, niepokojącym grymasie. Zapewne miał być to uśmiech, ale nienawykłe do niego wargi wygięły się niczym wąż rzucony znienacka na rozgrzany piach pustyni. Przenikliwy szept wdzierał się w uszy niepowstrzymanie i bezlitośnie, przypominając świst rozpędzonego miecza.

– Apokalipsa, mój synu. Apokalipsa. Tędy pójdź, kędy cię zawiedzie jej rozpaczliwe wołanie. Siedem głów smoka to Herod, Neron, Konstancjusz, Mahomet, Meselmuth, wśród swoich Abd al–Munimem zwany i wróg twój najgorszy, Saladyn. Ostatni zaś potworny łeb do samego Antychrysta należał będzie. Ten narodził się ledwie przed piętnastu laty, młodzikiem jest jeszcze, lecz już ku tronowi papieskiemu kieruje świętokradcze spojrzenie. Trzeba działać zdecydowanie, nim najwyższą godność posiadzie i zechce dzieło Zbawiciela udaremnić. Siedem jest głów bestii, powtarzam, i siedem na nich bogato zdobnych diademów.

– Powiadają, czcigodny ojczy, że wysłannik szatana wyjdzie z babilońskiego plemienia Dan i w pierw jerozolimski stolec zamierza zagarnąć.

Starzec niecierpliwie strzepnął dłonią, spojrział surowo.

– Głupi, kto tak mniema! Tam on zechce przyjść, gdzie najwyższą godność duchowną swoją czarną duszą pokalać może. A zaślepieni pychą purpuraci nie dostrzegą, że zgubę niesie. Wybiorą na swego przewodnika diabła, bo też sami chętniej posłuch dają jego podszeptom niż naukom Boga prawdziwego. Gdzież łacniej się szatanowi schronić niż pośród poświęconych głów?

– Ale ponoć sam Duch Święty przewodzi biskupiemu zgromadzeniu...

Sylwetki ludzi przysłuchujących się rozmowie, rozmyte wśród wszechobecnych głębokich cieni, zatańczyły, gdy płomień lampki zadrżał, owiany oddechem mówiącego. Tylu świadków dookoła, a król czuł się, jakby był z wieszczem sam na sam. Może do uszu świadków wcale nie docierało to, co świątobliwy mąż miał do powiedzenia? Może dla nich rozmowa brzmiała zupełnie inaczej? W taką noc, noc wróżebną, wszystko staje się możliwe.

– Duch Święty! – Suchy śmiech opata ostro zaklekotał wśród ciasnych ścian. – Wierzaj mi, nie są oni skłonni Duchowi Świętemu serc otworzyć. Precz przeganiają Go ze swych myśli. Nie słuchają też głosu mego proroctwa, słowa Najwyższego płynące przez moje niegodne ciało diabelskim bełkotem nazywając. To dlatego zostałem zesłany do Corazzo, gdzie z łatwością odnaleźć mnie może siepacz ze skrwawionym ostrzem. Palec Boży, żeś do mnie dotarł, królu, nim to nastąpiło, palec Boży! Jeśli wieść o tym dotrze do uszu biskupów, z pewnością przyślą kogoś, kto zamknie mi usta na wieki. Przeklęci!

Wzniósł pięść ku północy, w stronę Rzymu.

– Lecz ty, synu – znów zniżył głos do szeptu – smoczy łeb obetniesz, pokonasz sułtana i wyrwiesz z pazurów pogańskich święte miasto. A potem powrócisz stawić czoło samemu księciu ciemności. Ukłęknie władca piekła przed twą potęgą, lecz nie daj się zwieść jego sztuczkom. Bez litości wyrwij bestii serce.

Powietrze wypełniło się świetlistym blaskiem, ciało władcy ogarnęło nagłe znużenie.

– Niedługo obecny biskup Rzymu skona. Bądź wtedy czujny!

– Skąd taka wieść? Klemens zdawał się w pełni sił, kiedy go widział ostatni raz.

– Mam pewność – zasyczał starzec. – Kości papieża Sylwestra skrzypią w grobowcu, a to zawsze wróży rychłą śmierć głowy kościoła. Nigdy ten znak nie zawiódł, wszak dlatego właśnie przed stu z górą laty został ustanowiony tajemny strażnik w miejscu pochówku papieża – czarownika. Posłuchaj, synu, uważnie. Jeśli wyteżysz myśli i wolę, sam możesz usłyszeć upiorne trzeszczenie. Rzym – Znowu wzniósł pięść. – „Wieczne miasto” o nim mówią. Tak, ale to miasto wiecznej rozwiązłości i bezprawia, gdzie panem jest ten, kto wcześniej od innych posłuży się zdradą i trucizną.

Nagle opat głowę.

– Wszyscy wyjść! – rozkazał. – Chcemy zostać teraz sami!

Czekał aż cela opustoszeje.

– O jednym wszakże musisz pamiętać – Pochylił się nisko. Pełna zmarszczek twarz ukazała się teraz wyraźnie. – Strzeż się kobiety. Ona zdolna jest pokrzyżować boskie zamysły. Niewiasty to odwieczne narzędzie szatana, a przy tobie dostrzegam zwiewną postać, co do zguby chce cię przywieść.

– Kobieta? Ojczy, jeszcze się taka nie narodziła, o której mógłby kto rzec, iż zdoła mnie osiedlać czy choćby tylko wpłynąć na moje zamiary.

– Strzeż się – powtórzył z uporem opat. – Nie bądź zbyt pewny siebie! Boskie cię dościgną zamysły czy szatańskie, strzeż się! Nie patrz, żeś pomazańcem, lecz uderz się w piersi z pokorą.

– Powiedz mi jednak coś więcej! Kim jest ta kobieta?

– Strzeż się! Zyskasz zawołanie godne dawnych bohaterów, jeno by na tym zawołaniu się nie skończyło. Ona będzie blisko, bardzo blisko, może się okazać ważniejsza niż się zdaje... Możesz też uznać, że nosi w sobie twą krew! Ale to tylko

ułuda, szatańskie podstępny. Strzeż się!

Straszny, grzmiący śmiech. Jak to się stało, że z wątlej piersi mnicha dobył się podobny głos? Oblicze starca, gdy wykrzywił je wyraz nienawiści, było równie przerażające co ów śmiech.

– Strzeż się kobiety! Na Cyprze znajdziesz przeznaczenie i tam po raz pierwszy będzie na ciebie czyhał szatan! Pamiętaj o pergaminie, którym ci dał podczas naszego spotkania w kaplicznej krypcie! Pamiętaj o jego świętej pieczęci. Tylko ty ją możesz złamać, ale jedynie w chwili, kiedy nadejdzie właściwy moment.



Pośród mroku, zlewając się z okolicznym skałami, zakapturzona postać spoglądała ze wzgórza na rozciągający się w dole widok. Białe ściany domów połyskiwały mętnie w blasku księżyca, tu i ówdzie okna jarzyły się niepewnym światłem. W oddali morze przelewało leniwie fale, obmywało stopy nadbrzeżnym kamieniom.

– Limassol – szept był ledwie dosłyszalny. – Brama do Cypru. A jeśli zdobędziesz tę wyspę, to tak, jakbyś zarzucił kotwicę u wybrzeży Palestyny. Widzę zaś też jasno, królu Franków, że zdolny jesteś ukorzyć brudnego Greka, uzurpatora Komnenosa.

Najbliższe otoczenie drzemało, usypiane odległym, monotonnym szumem morza.

– Jeszcze dziś się rozstrzygnie – Tym razem szept był nieco głośniejszy. – Przebiegłość przeciw sile ducha. Podstęp przeciw sile ciała. Gołąbko moja, źrenico oczu królewskich braci, bądź dzielna, bo dziś twe życie legnie w gruzach. Nadchodzi pora, by dopełnić przeznaczenia. Niech Allah cię prowadzi.

Podrzucił głowę. Siwe włosy, w poświęcie księżyca wyglądające na srebrne, spłynęły falą na kark, ukazała się pomarszczona twarz o czarnych, gorejących oczach.

– Lecz ja wytrączę ci z ręki broń, którą ongiś otrzymałeś. Nie będziesz miał za sobą nadprzyrodzonej mocy. Przybędziesz do naszych brzegów goły i bezbronny, wydany na pastwę pustynnych duchów. Teraz śpisz, niepokojony dusznymi wspomnieniami. Ale nawet kiedy się ockniesz, one nie dadzą ci spokoju. Ja nie dam ci spokoju!



Ryszard zerwał się z łoża. Jak zawsze, kiedy wracał sen o prorocztwie, budził się zlany potem. Rozmowa z opatem Joachimem... Wyjawił wtedy tyle spraw, tyle ważnych słów wypowiedział. Smok, Saladyn, Antychryst... Gdyby choć część tych wróżb miała się spełnić, imię angielskiego króla przechowa się w pamięci wielu pokoleń. Mnich nie powiedział jednak najważniejszego: jaką drogę obrać, by dojść do celu, zostać panem tego świata, jak uratować się przed zakusami Złego, przyczajonego gdzieś pośród

piasków Świętej Ziemi. Te właśnie wskazówki, zapisane w tajemniczym pergaminie, miały czekać na wyjawienie w sposobnej chwili.

Spojrzał w okno. Noc niebawem dobiegnie końca. Z niechęcią pomyślał o nadchodzącym dniu. Dzisiaj pojmie za żonę piękną Berengarię. Czy to o niej właśnie wspominał opat Joachim w wieszczym widzie? Czy to za jej sprawą wniwecz mogą się obrócić ambitne plany? Jeszcze nie dotarli do Ziemi Świętej, a już przyszło toczyć wojnę. Wprawdzie tylko z cypryjskim uzurpatorem, Izaakiem Komnenosem, sprytnym Grekiem, ale zawsze to wojna.

Klasnął w rękę. Zaspany pacholek wpadł, wytrzeszczając oczy. Odwrócił głowę i ziewnął dyskretnie. Coraz częściej przychodziło mu wstawać przed świtem. Królewski sen, w miarę zbliżania się do Jerozolimy, stawał się coraz bardziej kruchy i ulotny. Który to raz tej nocy władca przyzywa sługę do siebie? Czwarty? Może nawet piąty?...

Ryszard bez słowa wskazał leżące pod oknem szaty. Chłopak natychmiast podskoczył, chwycił tunikę. Tymczasem król zrzucił przepoconą koszulę, pochylił się nad misą. Pacholek odłożył miękki materiał, porwał dzban z wodą, stanął gotów do posługi. Na dany znak przechylił naczynie. Ryszard, parskając głośno obmywał potężny tors. Chłopiec z podziwem patrzył na węzły mięśni i płaski brzuch.

– Odejdź – mruknął król. – Sam się przybiorę.

– Szambelan kazał się zbudzić, kiedy tylko wstaniecie, najjaśniejszy panie...

– Ani się waż! Za końskim ogonem pojedziesz, jeśli wypełnisz jego rozkaz! A teraz wynoś się!

Myśli znów zakołowały w obłądnym tańcu, kiedy tylko za pachółkiem zamknęły się drzwi.

Szambelan. Pewnie chce omówić szczegóły dotyczące weselnego przyjęcia. Niech omawia je z samym sobą i Berengarią.

Berengaria! Nie chciał tego małżeństwa tak samo, jak nie chciał niegdyś stanąć przeciwko ojcu. Ale matce nie sposób odmówić. Choć kiedy zobaczył przyszlą żonę, musiał przyznać, że zrobiła na nim wrażenie. Jednak co innego wziąć taką do łóża dla zabawy, a rzecz inna wiązać się przysięgą.

Skrzynia przy łóżu. Wzrok, chcąc nie chcąc, powędrował w jej stronę.

Klucz na szyi, wystarczy sięgnąć...

Zgrzytnęła zdobiona kłódka, zbrojone srebrną blachą wieko odskoczyło z trzaskiem. Jest! Pieczęć wielka bodaj jak łucznicza tarczka, a na niej wizerunek archanioła Michała i trzech diabłów. Duch niebieski stoi nad demonami, kłębiącymi się niczym obrzydliwe węże. Ale i w samym archaniele jest coś gadziego – nieludzko okrągłe oczy, z pionowymi kreskami źrenic. Czy to tak miało być, czy może pracę poruczono zbyt mało sprawnemu rzemieślnikowi? Jednak byle jaki mistrz nie zdołałby wyrzeźbić tak udatnie kiści winogron albo oddać z taką wiernością wykrzywionego w złości oblicza Azazela. Dziwna to pieczęć i jeszcze dziwniejszą treść musi ukrywać. Sznurek w niej został

zatopiony konopny, całkiem zwyczajny, taki jakim chłopcy zwykli przepasywać nędzny przyodziewek. Nijak nie pasował do bogatej treści pieczęci. Co to wszystko może oznaczać?

Gdy przyjdzie właściwy moment, powiedział opat Joachim. Ryszard ma złamać lakową tarczę w godzinie, w której uzna, że nadszedł czas, a wtedy znikną wszystkie wątpliwości. Ale kiedy nadejdzie ta chwila? Ze złością cisnął pergamin z powrotem do skrzyni, rzucił się na łożo. Może nadciągnie jeszcze sen. I niech będzie inny, lepszy od poprzedniego, mniej niepokojący. Jednak na próżno próbował zasnąć. W uszach wciąż na nowo huczały słowa Joachima.

„Weźmij ten zwój. W nim twoja przyszłość i twoja droga. Jeśli otworzysz go we właściwej chwili, jasno pojmiesz, co czynić, by uniknąć zasadzek szatana, a wyprawę zakończyć zwycięstwem. Zostaniesz panem całej ziemi, a Antychryst ukorzy się przed tobą i w prochu będzie pełzać...”.

Niech cię diabli, stary mnichu, zaklął w duchu król. Czy po to mi dałeś ten zwitek, by sen całkiem ode mnie odbieżał? Bym spokoju nie mógł zaznać ani minuty...

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Ryszard zgrzytnął zębami. Przeklęty pacholek, jednak poleciał, gdzie mu zakazano!

Ale postać w drzwiach w niczym nie przypominała zwalistego cielska szambelana.

– Czy nie mam prawa do odrobiny spokoju?! – warknął z rozdrażnieniem król. – Czy wszyscy...

– Witaj – przerwał mu niski, kobiecy głos.

– Matko! – zawołał zdumiony. Przeżegnał się. – Matko! Przecież powinnaś być teraz w drodze do Anglii! Więcej, powinnaś już chyba nawet dotrzeć do jej brzegów!

– To prawda. Ale wynajęłam kupiecki okręt i pozęglowałam za tobą.

– Dlaczego?

Spojrzała na otwartą skrzynię, skrzywiła się gniewnie.

– Dlatego właśnie. Raz byś już zerwał tę pieczęć i zobaczył, co ofiarował szalony mnich!

– Skąd wiesz, matko, że mam jego pismo?! Przecież dał mi je na osobności.

– Wiem więcej niż ci się wydaje. Jestem królową przeszło dwakroć dłużej niż ty chodzisz po tym świecie. Twoja sławna niecierpliwość została wystawiona na ciężką próbę. Zdzierzysz, by nie zapoznać się z treścią tego zwitka?

– Jeśli go otworzę nie w porę, nie dowiem się niczego.

– A kiedy owa pora nadejdzie, tego ci opat nie wyjawiał? To też wiem. Chociaż długoście podobno rozprawiali, nie odrzekł nic rozsądnego na twoje pytania.

– Gdy nadejdzie pora, będę wiedział. Tak mnie pouczył.

Wzruszyła ramionami. Ryszard uważnie przypatrywał się twarzy rodzicielki. Postarzała się w ostatnich miesiącach. Jeszcze nie znikły ślady dawnej urody, ale wiek niepowstrzymanie odciskał piętno na regularnych rysach. Czy jak dawniej królowa

matka siada wieczorami przed lustrem, by liczyć, ile jej przybyło zmarszczek? Czy nadal usilnie stara się ich pozbyć cudownymi driakwiami przyrządzanymi przez najlepszych medyków i najsławniejszych znachorów?

– Powiadają – rzekł powoli, wiedziony ostatnią myślą – że na dworze u Komnenosa przebywa lekarz wielkiej uczoneści. Podobno potrafi przywracać młodość postarzałym niewiastom. Gdy zdobędę Nikozję...

Przerwał mu niecierpliwy ruch ręki.

– Nie gadaj byle czego – mruknęła. – Nikt nie zdoła przywrócić minionych lat. Wszystko to blichtr i tanie oszustwa. Piękna Alienor, mówiono o mnie. Dalej tak mówią, choć dobiegam sześćdziesięciu lat i z dawnej urody pozostało doprawdy niewiele.

– Niewiele? – roześmiał się Ryszard. – Nie dalej jak dwie niedziele temu baron de Vitti chciał się pojedynkować za twoją przyczyną...

– Baron de Vitti to osioł – rzekła niecierpliwie. – Nie zagaduj mnie, synu! Musimy poważnie porozmawiać. Dziś jest twój ślub z Berengarią. Nie uważasz za stosowne oddalić od siebie kochanek? A osobliwie tej pogańskiej dziewczki, w której znalazłeś takie upodobanie?

Ryszard zacisnął wargi w wąską kreskę. I o tym też wiedziała!

– Zmusiłaś mnie do tego małżeństwa.

– To bardzo dobra koligacja. Potrzebna.

– Godzę się na ślub, bo jesteś moją matką i winienem ci posłuch.

– Posłuch! – zaśmiała się głośno. – Ty, którego nie można okiełznać mówisz o posłuchu! Spodziewasz się po niej wielkiej uciechy w łożu, ot co. A poza tym twoją duszę zatruwa pewnie owo ostrzeżenie mnicha przed niewiastami. To dobrze. Przynajmniej przez jakiś czas nie będziesz ulegał cielesnym pokusom, żeby się nie zaplatać. Do chwili, kiedy poznasz treść pergaminu.

– Twoja przenikliwość, matko, jest godna podziwu. Ale to wiedzą wszyscy. Nie tylko z niezwykłej urody zasłynęłaś, ale i z wielkiej przebiegłości.

– Rozumu, synu – poprawiła dobitnie. – Rozumu. Tak wolę o tym myśleć.

– Rozumu – powtórzył posłusznie. – A teraz, proszę, zostaw mnie samego. Chciałbym się pomodlić.

Pochwyciła jego spojrzenie.

– Pomodlić – parsknęła. – Chcesz się mnie pozbyć. Będziesz się wpatrywał w ten kawałek pergaminu i czekał na natchnienie.

– Matko! – zawołał błagalnie.

– Idę już, skoro nie chcesz ze mną rozmawiać. Tylko najpierw obiecaj, że odprawisz swoje niewiasty. A szczególnie tę brudną Arabkę!

– Matko!

– Obiecaj!

Westchnął ciężko.

– Dobrze. Obiecuję.

Kiwnęła głową z zadowoleniem.

– Na ślubie, matko, jak mniemam, zechcesz poprowadzić Berengarię do ołtarza...

– Nie zechcę, synu. Moja obecność musi pozostać tajemnicą. Zobowiązuję cię do milczenia. Dla wszystkich zainteresowanych jestem w drodze do Anglii. Mamy tam pilne sprawy, opozycja rośnie w siłę, a jeśli rozejdzie się wieść, że zawróciła, Jan gotów porwać do buntu swoich popleczników.

– Tajemnicą? – powtórzył z niedowierzaniem. – Czy nikt nie wie, że gościsz na zamku?

– Nikt. Mój okręt zakotwiczył za linią widnokregu i odpłynie po mnie jutrzejszej nocy, a jeżeli mnie nie będzie, przybędzie za następne dwa dni, potem znów za dwa, aż do skutku. Ja w tym czasie będę przebywać w ukryciu. Niedaleko – uśmiechnęła się samymi kącikami warg.

– Lecz jak uniknęłaś straży, w jaki sposób zdołałaś przeniknąć aż tutaj?

– Każdy kasztel ma swoje tajemnicę. W Limassol nie jest inaczej.

– Ale skąd znasz...

Nie pozwoliła dokończyć pytania.

– To w tej chwili nieistotne, w ogóle nie ma nic do rzeczy. Przybyłam i wystarczy.

– Czego tak naprawdę chcesz ode mnie, matko?

– O tym, oczywiście, porozmawiamy, zanim odpłynę, jednak nie w tej chwili. Dziś postaraj się jeszcze odpocząć, nabrać sił. Będą ci bardzo potrzebne.

Na jego pytające spojrzenie odpowiedziała uśmiechem.

– Byłam u papieża, Ryszardzie. Rzekł mi bardzo ciekawe rzeczy. Także o tym – wskazała skrzynię z pergaminem. – Ale na wszystko przyjdzie czas.

– Kiedy?

– Zjawię, gdy zajdzie potrzeba, synu.

– Nie rozumiem. Zupełnie nic nie rozumiem. Chociaż... Zawsze lubiłaś być tajemnicza. Nawet tak doświadczony człowiek, jak słynny Bernard de Ventadour nie potrafił cię rozgryźć.

– Nie jestem orzechem, by mnie rozgryzać. A słynny Bernard de Ventadour niczym nie zasłużył, bym mu uchylała chociaż rąbka moich tajemnic. To papla nad paple, jęzor ma dłuższy niżli przekupka na rzymskim targu. Zaraz by ułożył kolejny natchniony poemat i za jego sprawą powiadomił o wszystkim całą Europę z przyległościami.

– Ale mnie, swojemu synowi, mogłabyś powiedzieć coś więcej o swoich zamiarach, gdzie będziesz przebywać, jak cię znaleźć...

– Znajdziesz mnie tam, gdzie się najmniej spodziewasz. Sama się zresztą odzyskam w odpowiedniej chwili, już mówiłam.

Król uczynił niecierpliwy gest.

– Odpowiadasz zagadkami. Jak zawsze, matko! Dlaczego choć raz nie powiesz czegoś wprost?

– Mam ważne powody. Nie pytaj teraz. Gdy przyjdzie czas, spotkamy się znowu.



Zafurkotał ciężki topór. Rozszczepiona na pół tarcza rozpadła się, obnażając ramię pokryte tylko siatką kolczugi. Zaskoczony człowiek ledwie zdołał umknąć przed powracającym siłą rozpędu ostrzem.

– Rany boskie, panie, mało brakowało, byś mnie zabił!

Zahuczał donośny śmiech.

– Gdybym tego chciał, już byś nie żył, Hugo! – Ryszard z rozmachem klepnął towarzysza w plecy. – Dlatego tak lubię topór – rzekł, przyglądając się lśniącej okszy. – Trudno przed nim uciec. Miecz zbyt łagodne ma ostrze i byle pancerz wystarczy, by osłabić jego pęd. Zaś jadowita masa solidnego żelźca zawsze czyni swoje. Rozpruje każdą kolczugę, rozrąbie każdą osłonę. Pomnę, jak niegdyś stanął na mej drodze w czas bitwy pewien wielki Burgundczyk. Ojciec mój sam podówczas dowodził, więc mogłem się w bitce całkiem zapomnieć. Gnałem tam, gdzie zamęt był największy. A ten olbrzym zawziął się, żeby mi ciągi spuścić. Miecz miał wielki i tarczę całkiem grzeczną, ja zaś dzierżyłem ulubiony topór. Chwili nie trwało, jak mu ramię od ciała odpadło, że sam nie wiedział, co się dzieje. I pewno do końca nie zgadł, bom mu łeb w mgnieniu oka rozłupał. Mieczem tak bym nie poradził.

– Do takiej broni, jak wasza – Hugo rozcierał obolałe ramię – trzeba mieć siły tyle, co wy, najjaśniejszy panie. Tak lekko tym ciężarem władacie, jakby to było piórko. Ledwie się człek raz złożyć zdoła, jak wy trzy albo i cztery ciosy zadacie. Mocarny z was chłop, ot co.

– Dość gadania – Ryszard odrzucił tarczę. – Zobaczymy, jak sobie radzisz samym mieczem przeciw samemu toporowi! – Nim skończył mówić, rąbnął z rozmachem z góry na dół.

Hugo odskoczył, znów ledwie umykając przed furkoczącym żelźcem, wznosił miecz. Ryszard natychmiast ciął z drugiej strony, a potem zadał pchnięcie szczytem okszy. Lecz w chwili, kiedy zrobił głęboki wypad, zawadził nogą o wystający kamień. Siłą rozpędu poleciał do przodu, wprost na nastawiony sztych miecza. W ostatniej chwili zbił go wierzchem dłoni odzianej w kolczugą rękawicę. Hugo stał osłupiały. Poczł opór na ostrzu, nie wiedział jednak, czy to tylko ześliznęła się po nim kolczuga, czy coś więcej. Tymczasem Ryszard stał tyłem, przykładając dłoń do policzka.

– Co wam, panie?

Król odwrócił się. Na Hugona spojrzwały jasne, nieodgadnione oczy. Przez pół twarzy Ryszarda biegła krwawa krecha. Hugo zatrwożył się. Nie dalej jak trzy miesiące

wcześniej, podczas zawodów we władaniu włócznią, Wilhelm de Barres rozdarł królowi w starciu koszulę. Ryszard o mało nie ukatrupił śmiałka na miejscu. Gdyby nie interwencja króla Filipa Augusta, nie wiadomo, jak by się to skończyło. A do czego będzie zdolny teraz, kiedy otrzymał naprawdę bolesny cios?

Ryszard spojrzął na zakrwawione palce, powoli podszedł do ustawionego na kamieniu cebra z wodą, spojrzął na swoje odbicie. Odwrócił się do Hugona, znowu dotknął policzka, potem spróbował krwi końcem języka. Hugo zmartwiał. Zaraz król porwie swój straszny topór i rozprawi się z Hugonem bez litości. O gwałtowności Plantageneta opowiadano legendy. Był równie nieobliczalny jak nagły szkwał na spokojnym morzu. Król poczerwieniał, ale zamiast wybuchnąć gniewem, nagle zaczął się śmiać.

– A toś mnie przyozdobił w dniu ślubu! – zawołał. – Włosy kazałem sobie utrefić i najprzedniejszej barwiczki zgotować. A tymczasem za twoją sprawą sam sobie najlepszą barwiczkę na lico przywołałem.

Hugo odetchnął z ulgą. Cały angielski król. Nigdy z nim nic nie wiadomo. Dobroduszny i okrutny, Skąpy i rozrzutny, łagodny jak baranek i furiat zarazem o jakim świat nie słyszał. Tyle sprzeczności w jednej osobie... Dziś, na szczęście, ukazał łaskawe oblicze.

– Jednak – odważył się zauważyć szlachcic – musisz być czymś mocno zalterowany, miłościwy panie, skoro nie zauważyłeś tego kamienia. Taki sprawny wojownik...

Ryszard spoważniał natychmiast, spojrzął bystro.

– O czym mówisz? – spytał czujnie.

– O niczym szczególnym... Tyle żem nigdy jeszcze nie widział, byś zaniechał w walce swej sławnej czujności. Wybacz, panie.

Król odprawił go gestem ręki. „Zalterowany”, tak powiedział. Gdyby oni wszyscy wiedzieli, jak trudno usunąć sprzed oczu wspomnienie tajemniczego pergaminu, spokojnie spoczywającego w skrzyni. Ledwie wstało słońce, znowu wydobył zwój. Obracał go w rękach, a Belial z pieczęci kusił: „Otwórz, królu, wszystkiego się dowiesz. Otwórz, będziesz panem świata”.

Matko, pomyślał Ryszard, po co do mnie przybyłaś?

Niepokoilo go to niepomiernie. Alienor nie miała zwyczaju podejmować pochopnych decyzji. Może kiedyś, w latach chmurnej młodości, ale nie dziś. I co miały znaczyć słowa, że u papieża dowiedziała się ciekawych rzeczy o piśmie Joachima? Ponoć papież nie znał jego treści. Coś jeszcze niepokoilo angielskiego władcę – dziwne poczucie obcości, jakiejś dziwnej niechęci ze strony matki. Czyżby miała o coś żał? Może dostrzegała, z jaką obojętnością traktował do tej pory Berengarię? Zresztą, kto zgadnie, dlaczego kobieta czyni tak a nie inaczej!



Dotknęła delikatnie krwawej kreski na twarzy Ryszarda. Odsunął jej rękę.

– Musisz odejść – rzekł patrząc prosto w oczy dziewczyny. Były ciemne, głębokie jak studnia w twierdzy Mategrifon.

– Znudziłam ci się, panie? – odparła spokojnie. – Wiedziałam, że musi nadejść ten dzień, nie przypuszczałam jednak, iż stanie się to tak szybko.

– Nie muszę ci się tłumaczyć, dziewczko – warknął. – Jestem królem.

– Jesteś, panie. I nie musisz się tłumaczyć.

Powiedziała to tak miękko i tkliwie, że gniew odpłynął w jednej chwili.

– Biorę dziś ślub – mruknął. – Nie godzi się, bym zostawiał przy sobie kochanki.

– Dziwne są wasze obyczaje. Nasi władcy nie tylko biorą sobie więcej niż jedną żonę, ale utrzymują cały harem dla swej rozkoszy i ku podziwowi poddanych. Im więcej sułtan ma niewiast, tym lepiej to o nim świadczy.

– Po co mi to mówisz?

– Chcesz się udać do Palestyny. Chcesz walczyć z moim...

– Z twoim?

– Z moim ludem. Jeśli zwyciężysz, z pewnością zapragniesz sam sprawować tam rządy. Zastanów się, panie, czy nie byłoby rozsądne zastosować się do miejscowych zwyczajów.

Patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Dziewczyno, co ty sobie wyobrażasz? Masz czelność mnie, chrześcijańskiego władcę, kusić pogańskimi obyczajami? Harem mam założyć? Czyś oszalała?

Spuściła oczy. Ramiona jej zadrżały.

– Miałam nadzieję... – szepnęła.

Podniósł jej głowę delikatnym ruchem, chwytając lekko pod brodę.

– Miałaś nadzieję, że co?

Oblizła spierzchnięte nagle wargi.

– Teraz to nieważne, panie.

– Na co miałaś nadzieję? – spytał głośniejszym głosem. – Mów!

Powędrował wzrokiem za jej ręką, którą nieświadomie położyła na brzuchu.

– Jesteś brzemienna – zacisnął zęby.

– Tak mi się zdaje – wionął ledwie dosłyszalny szept.

– Tym bardziej muszę cię oddalić, niewiasto!

Znów spojrzała mu prosto w oczy.

– Przyjdź jeszcze do mnie tej nocy – powiedziała błagalnie. – Przyjdź ten ostatni raz, proszę na wszystko, co mi drogie!

– Nie kuś, dziewczko! – wzniósł dłoń. Skuliła się czekając na cios. – Wynoś się nim stracę cierpliwość! Prawdę rzekł świętobliwy opat, żeście wszystkie narzędziem szatana! Kusić jeno umiecie, prowadzić mężów na manowce i przywieść ich do upadku! Łupem cię wzięłam i jako łup potraktuję. Nie... Okażę łaskawość. Daruję ci wolność i

sakiewkę złota, idź, gdzie tylko zechcesz. Zaszłaś w ciążę, choć powiadają o waszych niewiastach, że znają doskonale sposoby, by jej uniknąć.

– Znają, mój panie. I ja je znam.

– Dlaczego więc pozwoliłaś, by to się stało?

– Myślałam – wyszeptała i zamilkła na chwilę. – Myślałam...

– Co myślałaś, brudna Saracenko? Że cię pojme za żonę? Ogarnęło cię szaleństwo?

– Nie. Ale miałam nadzieję, że jeśli zasiejesz we mnie swoje nasienie, mój lud...

Patrzył na nią z niedowierzaniem, wreszcie wybuchnął śmiechem.

– Jak mogłaś przypuszczać, że krew bękartu może mnie powstrzymać przed wyprawą do Ziemi Świętej?!

– Nie chcę, by się wypełniło...

Przerwała przerażona wyrazem twarzy kochanka. Przyskoczył do niej, chwycił brutalnie za włosy.

– Co się wypełniło, suko? Mówisz o prorocztwie świętego męża z Corazzo?

Zacięła wargi. Targnęła mocniej jej głową.

– Mów, ladacznico! Co o tym wiesz?

Milczała. Wiedział, że nic więcej od niej nie usłyszy, nawet gdyby miała umrzeć.

– To ty – puścił ją, odepchnął pod ścianę. Oparła się o nią plecami, przywarła dłońmi do chropawej, chłodnej powierzchni. – To o tobie mówił opat! Ostrzegął przecież. W nasłanej niewieście może się znajdować moja krew... Myślałem, że mam się wystrzegać kuzynek, bliższych i dalszych krewnych. Ale chodziło o dziecko... To ono jest narzędziem szatana.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Wiesz, ścierwo! Powiniennem cię zabić! Zejdź mi z oczu, pogańska wiedźmo! Do wieczora masz się wynieść z miasta!

Patrzyła za nim, kiedy odchodził, a jej ręce zaciskały się konwulsyjnie. Bądź przeklęty, władco najeźdźców. Za twoją nieczułość za brak serca, bądź potępiony i niech demony porwą twoją duszę! Niech chore wizje pozbawią cię strasznej broni, jaką jest twoje męstwo, a ten, kto cię uskrzydlił, niechaj osunie się w otchłań niczym zbuntowany anioł. Mogłeś być ze mną szczęśliwy, mogłam być twoim dobrym duchem. Lecz skoro nie chcesz, zostanę złym!

Zwróciła się twarzą w stronę wschodu, padła na kolana, uderzyła czołem w ziemię.

– Pomóż mi, Panie, wytrwać to upokorzenie. Lâ ilâha illâ Llâhu. Boże, daj siłę, by grzech mój stał się błogosławieństwem!



– Posłowie od Izaaka Komnenosa – pachołek stanął zdyszany przed królem.

Ryszard natychmiast wyrzucił z głowy wspomnienie arabskiej branki. Poprawiając

fałdy tuniki, pobiegł do głównej sali. Ledwie zasiadł na podwyższeniu, otworzyły się drzwi i do środka dostojnie wkroczył przysadzisty Grek w towarzystwie potężnego, czarniawego Saracena.

– Czego chcecie? – Ryszard rozsiadł się wygodnie, wyciągnął przed siebie nogi i skinął lekceważąco dłonią. – Z czym was przysyła wasz pan?

– Jego wysokość cesarz Izaak...

Niskiemu posłowi przerwało niecierpliwe machnięcie ręki i groźny pomruk.

– Nie waż się przy mnie nazywać Komnenosa cesarzem! Dla mnie nie jest nikim więcej niż zwykłym zbójem, który rabuje wszystkich, nie patrząc na swój czy obcy!

– Ale...

– Nie przerywaj, gdy mówię! Kiedy moje okręty rozbiły się u wybrzeży Cypru, Komnenos kazał zabrać wszystko, co miało jakąś wartość, a moich ludzi wtrącił do więzienia! I tutaj też zdołał zdrowo dopiec, bo gdym wylądował, nie tylko łacińscy kupcy witali mnie jako wybawcę, ale nawet twoi pobratymcy, Greku! Teraz mów swoje. Ale jeśli choć raz nazwiesz tego brudnego rozbójnika cesarzem, każę wyrwać ci język!

– W świetle tego, co usłyszałem – rzekł sztywno poseł – nie widzę możliwości przedstawienia treści poselstwa.

Stojący za nim Saracen łypnął złowrogo. Ryszard prychnął, wyraźnie rozbawiony.

– Poselstwa? Bądź poważny, człeku nieszczęsny. Nie posłem jesteś, ale zwykłym posłańcem. Bo posłów miewają tylko prawdziwi władcy, a nie tacy obrzydliwi samozwańcy jak Izaak. Ale mów, co masz do powiedzenia, wysłucham cierpliwie.

Grek odchrząknął, zebrał myśli.

– Mój pan, Izaak Komnenos – zaczął ostrożnie – pragnie, aby pokój zapanował między waszym a jego majestatem. Oferuje zwrot bogactw zabranych przez żalosne nieporozumienie, a także zadośćuczynienie sumą dwóch... dwudziestu – poprawił się natychmiast widząc wyraz twarzy króla – tysięcy bizantów. Jeśli przystaniesz, królu, na tę ugodę, pozostałe warunki omówi z tobą osobiście.

Ryszard, w miarę jak poseł mówił, kiwał głową z zadowoleniem. Ośmielony tym Grek podniósł oczy i zakończył: – A jeśli taka będzie wasza wola, ugości was pod swoim dachem i zapewni spyżę całemu wojsku.

– Tak – angielski król wstał, przeciągnął się aż chrupnęły stawy ramion.

Podszedł do posłów z lekkim, uprzejmym uśmiechem. Stał pół kroku przed Grekiem, górując nad nim jak skała nad źródłem. Tamten odpowiedział równie uprzejmym, choć nieco wymuszonym uśmiechem. Nagle ręka Ryszarda zatoczyła krótki łuk. Niski poseł skulił się, jednak cios nie był wymierzony w niego. Trzasnęła kość w szczękę potężnego Saracena. Wojownik zwał się bezwładnie na podłogę. Ktoś ze świty królewskiej podbiegł, przyjrzał się Arabowi.

– Nie żyje.

Ryszard skinął głową z zadowoleniem.

– A ty – zwrócił się do przerażonego Greka – zanieś moją odpowiedź Komnenosowi. Za podłości, jakich się dopuścił, i za lekceważenie królewskiego majestatu, nie spocznię, dokąd go nie ujrzę w kajdanach, spętanego jak niewolnika. Dwa tysiące bizantów, dwadzieścia tysięcy czy nawet dwieście, może mi ofiarować, ile chce. Mnie to zajędo, bo sam wezmę sobie wszystko! Czy się zamknie w Famaguście, czy w swojej ukochanej Nikozji, wydłubię go tak, jak dzięcioł wydłubuje ukrytego pośród kory robaka. Mym przeznaczeniem jest Ziemia Święta, walka o wolność dla chrześcijan, a każdy, kto stanie mi na drodze, zostanie ścięty jak kolejny smoczy łeb. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem – wyszeptał Grek pobladłymi wargami.

Pierwszy raz w życiu widział, żeby ktoś zabił człowieka uderzeniem gołej pięści. Jakiż musiał być mocarz z tego Anglika, jeżeli bez wysiłku powalił słynnego z siły Ahmeda ibn Dżalala. Zadrzał na myśl, jak straszny musi być ten przybysz z Zachodu, gdy wpadnie w prawdziwy gniew.



Siedział zadumany, po raz tysięczny wpatrując się w pieczęć. Czy ten diabeł pośrodku to w istocie sam Belzebub? Może chropawość kropek zgromadzonych wokół jego głowy ma symbolizować stado much?

Drżenie rąk... Jakże korci, by złamać kruchy wosk, zajrzeć w głąb tajemnicy. Ile już razy od rozmowy z opatem czuł podobne drżenie?... Oprzeć się takiej pokusie jest znacznie trudniej niż odrzucić lgnące w ramiona piękne ciało niewieście.

Jak to prawil opat z Corazzo? Siedem głów smoka to prześladowcy kościoła, zaś dziesięć rogów oznacza schizmy i herezje, które wysłannicy Antychrysta przeciwstawiają Bożym przykazaniom. Siedem diademów to królowie i księżęta, którzy w te herezje uwierzą.

– Panie – w drzwiach stanął szambelan. – Pora już. Biskup Évreux czeka w kaplicy Świętego Jerzego. Pani Berengaria gotowa...

– Pora – westchnął Ryszard.



Stała pod murami nasłuchując radosnej wrzawy. Ślub króla. Dla pospólstwa wspaniała okazja, żeby za darmo nasycić się jadłem i upoić winem. W takim dniu nawet rzezimieszki oszczędzają naiwnych przechodniów, którzy nie potrafią upilnować swych dóbr. Nawet dziewczki miejskie świadczą usługi bez wynagrodzenia. Gwar i radość. Lecz

nie dla niej. Wpierw zdradziecki Komnenos zaprzedał ją sycylijskiemu Tankredowi, potem ogarnął ją podjazd Ryszarda, gdy ten z kolei poróżnił się z władcą Sycylii... Szybko doszli do porozumienia, ale ona stała się już łupem króla Anglii. Tego właśnie chciała, tak miało być. To właśnie przepowiedział stary mułła. Miał na nią czekać na Cyprze, bo Allah tu właśnie wyznaczył im kolejny przystanek na drodze do przeznaczenia, ale jak dotąd duchowny nie dał znaku życia. Została sama z troskami i hańbą.

Zmierzch zapadał szybko, niebo znaczyły jasne jeszcze, poszarpane bryzą obłoki, krwawą kreską zajaśniał ostatni, załamany na odległych skałach promień słońca, po czym sfiolutowiał gwałtownie, zalsnił rozblaskiem zjadliwej zieleni i zgasł.

– Witaj, gołąbeczko.

Drgnęła przestraszona. Odwróciła się gwałtownie.

– Mułła – szepnęła zdumiona. – Byłam pewna, że już nie przyjdiesz. Że cię zabili źli ludzie.

Mężczyzna rozciągnął w uśmiechu pokrytą siatką zmarszczek twarz.

– Nie tak łatwo zabić tego, kto pokłada zaufanie w Panu, dziewczyno.

– Co tutaj robisz?

– Czekam na ciebie. Wiedziałem, że dzisiejszej nocy będziesz potrzebowała mojego wsparcia.

Milczała dłuższą chwilę.

– Wiedziałeś... Ale skąd? No tak, nietrudno było odgadnąć, że Ryszard mnie oddali. Gdyby miało stać się inaczej, nie byłoby potrzeby...

Mułła podał jej wypchany tobołek.

– Przybierz się jak na wyznawczynię Proroka przystało. Porzuć rozpustne szaty niewiernych. Załóż jaszmak, zasłoń swe cudne lico. Przed nami daleka droga.

– Daleka droga – powtórzyła powoli. – Dokąd i po co?

– Okręt czeka. Popłyniemy na wschód, tam, gdzie nasze miejsce. Doskonale wiesz, po co – Położył rękę na jej łonie. Przeszyło ją nagłe uczucie zimna. – Musimy dokonać tego, co nakazuje wiara, poświęcić się, by ratować prawowierny lud przed krwiożerczymi Frankami. Nadchodzi bowiem ten, co w niwecz jest zdolny obrócić dzieło Salah ad-Dina i jego wielkiego ojca.

– Tak, mułło – rzekła drżącym głosem.

– Musimy obudzić demona. Z tej krwi, którą zasiał w tobie król Franków, wyjdzie istota zdolna przywołać na pomoc niesłychane siły.

– Z piekła – dokończyła cicho.

– Skądkolwiek przybędą, tylko one zdołają powstrzymać najeźdźcę. Niech twoja ofiara obróci się na dobre. Trzeba było, żeby chrześcijański pies posiadał cię i porzucił. Zgaduję, żeś wolała zostać przy nim, próbowała wpłynąć na niego kobiecymi sposobami. Ale tak jest lepiej, pewniej. Niezbadane są ścieżki, którymi Pan prowadzi

swój lud. Musimy dokonać rzeczy strasznych, ale innego wyjścia nie ma.

– Musimy – powtórzyła z nagłym błyskiem w oczach. – Niech będzie przeklęty ten, który odrzucił miłość córki królewskiej krwi.

– Teraz przemawiasz, jak na osobę twego urodzenia przystało – rzekł mułła zadowolony.

– Pójdźmy już, niech nasz okręt jak najprędzej odbije od brzegów.

Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

– Odpłyniemy nim rano nastanie. Jednak mam jeszcze coś ważnego do zrobienia. Tam – wskazał Limassol. – Jeśli tylko Allah pozwoli, dzisiejszej nocy tyran straci wiele z pewności siebie.

– Jak? W jaki sposób chcesz tego dokonać?

Mułła uśmiechnął się krzywo. W tej chwili wydawać się mogło, że na jego twarzy pojawiło się dwakroć więcej zmarszczek.

– Muszę się z nim zobaczyć.

Kobieta wstrzymała oddech. Czy stary mułła oszalał?

– Przecież jego strzegą strażę, miasto pełne jest wojska. Jak chcesz się przemknąć? Wszak widać po tobie od razu, żeś z obcego ludu.

– Zaufaj mi, córko. Ryszard nie odgadnie, kim jestem naprawdę. Przez trzydzieści trzy dni modliłem się, pościłem i umartwiałem do granic wytrzymałości. Dziś osiągnąłem stan, w którym mogę swemu ciału rozkazać wszystko. Spójrz.

Wstrzymała oddech widząc, jak twarz duchownego zmienia się nie do poznania.

– W czasie modlitw doznałem olśnienia – rzekł obcym, kobiecym głosem. – Wiem już, co trzeba uczynić.

Jego zawsze płonące wewnętrznym ogniem oczy teraz zdawały się gorzeć jak pochodnie. Jak, jak...

– Kto cię oświecił? – szepnęła zalękniona. – Kto daje ci siłę? Bóg czy szejtan?

W odpowiedzi mułła roześmiał się tylko.



Poznał w życiu wiele kobiet. Zaznał takich, które w łóżnicy przypominały szalejący płomień, niosąc wraz z nasyceniem ogromne zmęczenie i wspomnienie suchości w ustach podobne temu, jakie pozostawia gorący powiew w upalny dzień. Były takie, co dawały ukojenie jak źródłana woda, do których chciało się wracać, aby uspokoić skołataną duszę. Były i takie, które zdawały się rzucać na człowieka złowrogi cień: pociągające i nieprzystępne zarazem, cnotliwe za dnia, lecz w świetle księżycy zdolne do największych perwersji. Poznał uległe, gotowe spełnić każdą zachciankę i te, lubiące górować nad mężczyzną. Brał do łóżka niewiasty obdarzone niespotykaną fantazją i takie, które czekały jedynie, co zrobi kochanek.

Znajdował czasem także i te, które lubił najbardziej – spokojem przywodzące na myśl szum drzew w letni poranek, których namiętność sięgała równie głęboko jak korzenie olbrzymich prastarych dębów. Taką właśnie kochanką była wygnana dzisiaj Saracenka. Myślał o niej patrząc w uśpioną twarz Berengarii. Może i była Arabka wysłanniczką szatana, a już na pewno jej słodycz pochodziła z innego świata. Żona rozczarowała go. Pyszne ciało i ogniste spojrzenie zwiastowało kobietę, z którą spędzić mu będzie dane pełną uniesień noc. Tymczasem Berengaria zaległa w łóżu i zdawała się nie odzwajemniać zapachu kochanka. Zmrużone oczy zmętniały zamiast rozbliżyć, a gorąca kobiecość okazała się sucha i niegościnna. Czegoś podobnego Ryszard jeszcze nie przeżył. A przecież jego mocarne ciało potrafiło wykrzesać uczucie nawet z tych, które brał gwałtem na wyprawach.

Rzucił się na łóżu jak ryba wyrzucona na brzeg. Znowu spojrzał na żonę. Jutro skoro świt oddali od siebie tę zimną sukę! Pod byle pretekstem każe ją zawieźć jak najdalej. Poderwał się na równe nogi i zaraz opadł z powrotem. Nie chciał, żeby się obudziła. Mógłby powiedzieć coś przykrego, a mimo wszystko nie chciał rozpoczynać małżeństwa od kłótni. To mogłoby stanowić złą wróżbę dla całej wyprawy. Właśnie, wróżbę. Wzrok znów powędrował w stronę skrzyni. Co zawiera pergamin? Kiedy nadejdzie czas, aby go odczytać?

Nagle zastygł w bezruchu. Czy to cienie mamią, czy coś się ruszyło w kącie przy wielkim dywanie, rozwieszonym na kamieniach ściany? Odruchowo sięgnął po sztylet, leżący na wieku skrzyni.

– To niepotrzebne, synu – rozległ się znajomy głos.

Ryszard wstał ostrożnie, wyjął z uchwytu łuczywo.

– Matko – niedowierzanie mieszało się w jego głosie z oburzeniem. – Jak się tu dostałaś?

– Mówiłam już. Ten zamek kryje niejedną tajemnicę. Im dalej na wschód, tym więcej takich budowli. Musisz do tego przywyknąć. Tam cię otoczy już tylko zdrada i nieprzyjazne duchy.

– Zdajesz się sporo wiedzieć o tym, co mnie czeka.

– Rozmawiałam z papieżem. On wie więcej niż jakiś tam mnich z Corazzo. Zbytnią ufność pokładasz w słowach Joachima.

Ryszard zerknął niespokojnie na Berengarię.

– Bez obawy, synu – Alienor pochwyciła jego spojrzenie. – Ona się nie obudzi. Będzie spała twardo aż do rana.

Uniósł pytająco brwi. Matka podeszła do stołu, wzięła kubek.

– Przed pójściem do łóżnicy piła hipokras. Wiem, taki ma zwyczaj – Alienor chlusnęła resztę zawartości naczynia w ogień na kominku. – Makowy wywar pomieszany z haszyszem to niezawodny środek. Jutro będzie ją, co prawda, bolała głowa, ale w tej chwili możemy rozmawiać spokojnie.

– To dlatego była taka ospała – przygryzł wargi.

– Nie znalazłeś z nią rozkoszy, przykro mi. Ale są ważniejsze sprawy niż ulżenie lędzwiom. Zdasz się jeszcze nią nacieszyć, jeśli tylko będziesz chciał. Ja zaś czasu nie mam. Czym prędzej trzeba mi ruszać w powrotną drogę.

Usiadł na zydlu, wskazał matce miejsce naprzeciwko. Pokręciła głową.

– Postoję. W moim wieku człowiek albo już tylko siada, gdzie może, albo unika siedzenia jak umie, w zależności od tego, na co mu zdrowie pozwala. Ja, na szczęście, wolę jeszcze stać.

– Jak chcesz. Ja jednak jestem zmęczony.

Przez chwilę panowała cisza.

– Mów wreszcie, z czym przybywasz, matko. W jakiej sprawie?

– W tamtej – wskazała skrzynię. – W sprawie pisma, które otrzymałeś od Joachima.

– Właśnie. Skąd o nim w ogóle wiesz?

– Od papieża, synu. Zna jego treść.

– Skąd? Nie powinien przecież. Poza samym Joachimem nikt nie widział, co tam napisano.

Pokiwała głową z politowaniem.

– Biskup Rzymu, Ryszardzie, ma najlepsze rozeznanie. Bo Joachim de Fiore, opat Corazzo, otrzymał ten pergamin nie od kogo innego, jak od papieża! Jeszcze wtedy, kiedy był nim Klemens.

Król zeszywniał.

– Od papieża?! Myślałem, że Joachim nienawidzi papieżstwa!

– Nienawidzić może, a jednak korzysta z jego łask. To pismo... Pieczęć, którą zostało zabezpieczone...

Zamilkła. Ryszard niecierpliwie czekał, co powie dalej.

– Ta pieczęć – podjęła po dłuższej chwili Alienor. – Jest na niej wizerunek archanioła i trzech diabłów.

– Wiem. Lecz skąd ty...

– Ale zapewne nie wiesz, co to oznacza – przerwała.

– Przypuszczam, że zaraz mnie oświecisz.

– Nie czas na drwiny – strzepnęła niecierpliwie palcami. – Archanioł przedstawia siły nieba, a trójca szatańska piekło ze wszystkimi swymi sługami. To znaczy, że najmniejszy sługa Boży jest mocniejszy od wszystkich mocy piekielnych.

Znowu zamilkła, wpatrując się w okutą srebrem skrzynię. Potem spojrzała prosto w oczy syna. Ujrzał w jej źrenicach nieznany dotąd, zupełnie obcy wyraz. Co to jest? Znajoma twarz, a jednak jakby nieznana. Troski, zmartwienia, upokorzenia... Czy tym skutkuje spożywanie powszedniego chleba władzy?

– To, czym zapieczętowano dokument, jest wierną kopią pieczęci Salomona – powiedziała wreszcie.

Zacisnął wargi. Pieczęć Salomona, przedmiot posiadający moc poskramiania demonów. Żydowski król był ponoć wielkim czarownikiem.

– Ale to tylko nieudolne naśladownictwo – powiedziała Alienor. – Owszem, pieczęć została wykonana wiernie, co do najdrobniejszej kreski, ale nie posiada żadnej szczególnej mocy poza tym, że chroni kawałek ziemskiej materii. Ważne jest natomiast to, co zapisano na pergaminie.

– Wiem. I otworzyć go mogę dopiero, kiedy przyjdzie czas.

Potrząsnęła głową. Siwe włosy wymknęły się spod czepca. Ryszard zapatrzył się w biały kosmyk. Boże, kiedy ona zdążyła tak posiwieć? Zbyt wiele wzięła na kobiece barki. On sam przecież opiera się na niej w rządach Anglii. Bo zresztą tylko matka jest w stanie upilnować zawistnego Jana. To musi kosztować wiele sił i zdrowia.

– Otworzyć go możesz choćby zaraz! Więcej, powinieneś to zrobić jak najszybciej!

– Co też mówisz, matko?! Joachim wyraźnie powiedział...

– Joachim mówi wiele rzeczy. Nie wszystko się sprawdza, nie wszystko jest prawdą. W istocie rzeczy, mało co się sprawdza, a jeszcze mniej nosi znamiona prawdy.

– Jednak przepowiedział mi, że czekają mnie na Cyprze nagłe sprawy... Skąd mógł wiedzieć, że zamierzam...

Roześmiała się głośno.

– To proste. Kto chce sobie zabezpieczyć tyły udając się do Palestyny, koniecznie musi opanować tę wyspę. Uwierz mi, tego czcigodny opat nie wyczytał w swoich wizjach, ale usłyszał od kogoś mądrego. Może nawet od samego Giacinto Bobone, obecnego papieża Celestyna. Albo od francuskiego Filipa Augusta. Z nim przecież ustaliliście, że zajmiesz się Komnenosem. Ja zaś o piśmie wywiedziałam się natychmiast, kiedy Bobone zasiadł na papieskim tronie. Świętej pamięci Klemens zbyt cię nienawidził, żeby ostrzec.

– Może słusznie mniemałem, iż on także służy szatanowi.

– Może. Ale nie przypuszczam. Człowiekiem był i jak człowiek uczciwy zakończył wędrówkę po tym padole łez. Co do pergaminu...

– Mów, matko, nie przerywaj.

– Nie jest prawdą, jakoby trzeba było go otworzyć, kiedy przyjdzie jakaś magiczna chwila. Nie dziw się, synu. Tak powiedziano opatowi z Corazzo, żeby on, wiedziony ciekawością, sam nie zapoznał się z treścią pisma. Jest wielce prawdopodobne, a nawet pewne, że i Saraceni wiedzą o przepowiedniach mnicha i istnieniu tego dokumentu. Ktoś im musiał przekazać wieści. Głowa naszego kościoła wcale nie jest pewna, której stronie Joachim w istocie służy.



Dzwon na modlitwę zastał opata na klęczkach. Już dawno obudził go duszny niepokój,

a teraz dręczyło złe przeczucie. Działo się coś, co mogło zburzyć misterną konstrukcję. Gdzieś za morzem przeciwstawna siła budziła się do życia. Tyle trudu, tyle lat zmagania mogło pójść na marne!

– Ty, któremu służę wiernie tyle lat, błagam, nie pozwól, aby zdarzenia potoczyły się wbrew naszym zamiarom. Panie mój i władco, zakryj pustką milczenia usta tych, co odzywają się niepowołani. Niech ich kości bieleją na piasku, a krew użyźni jałową ziemię. Wpierw, zanim wargi otworzą, żeby zrujnować trud całej pracy, wysusz im gardła i wyrwij krtań, by nie mogli świadczyć przeciwko nam.

Podniósł się ciężko. Trzeba iść do kaplicy. Mnisi zapewne czekają już na duchowego przewodnika. Ujrzy ich zaspane twarze, puste oczy, w których kołacze się tylko jedno pragnienie – udać się znów na spoczynek. Lecz dzisiaj już nie zasną. Do białego rana opat poprowadzi modły w intencji powodzenia tajemnych spraw.



Ryszard siedział z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Matko, nie uwierzyłbym, że to wszystko prawda, gdyby przyszedł do mnie ktoś inny. Takiego śmiałka kazałbym natychmiast obatożyć i ściąć za bluźnierstwo.

– Wiem, synu. Dlatego zadałam sobie trud, aby popłynąć za tobą. Bo tylko od ukochanej matki przyjmiesz podobne słowa. Joachim zwiódł cię i nic dziwnego, skoro sam został zwiedziony.

Berengaria westchnęła przez sen i poruszyła ramionami. Alienor uspokajająco skinęła dłonią.

– Nie obudzi się, możesz mi wierzyć. Widzisz, wszystko jest dziełem Bożym. Nawet to, że Klemens zmarł właśnie w takim czasie, bym mogła dowiedzieć się wszystkiego od jego następcy i przyjść z tym do ciebie. Papieżowi Celestynowi bardzo zależy na powodzeniu krucjaty. A z kolei jej powodzenie w dużej części zależy od tego, czy skorzystasz z treści pisma.

– Nie nadszedł jeszcze czas. Nie czuję...

– I nie poczujesz! – zawołała zniecierpliwiona. – Mówiłam ci nie dalej, jak minutę temu, że im wcześniej zapoznasz się z pergaminem, tym pewniej zakończysz wyprawę zwycięstwem!

Ryszard zacisnął pięści. Komu wierzyć? Matce, która nigdy go nie oszukała, stawała zawsze po jego stronie, nawet wtedy, gdy trzeba było narazić się gwałtownemu i okrutnemu ojcu? Matce, która zawsze pragnęła jego dobra, uczyniła wszystko, żeby zwieńczył skronie koroną... Czy też wierzyć świętemu opatowi de Fiore, wieszczowi o oczach gorejących fanatycznym płomieniem... Właśnie, jednak jaką ma pewność, że ów ogień i natchnienie pochodzą ze strony światła, a nie ciemności?

– Im wcześniej, tym lepiej – powtórzyła Alienor z naciskiem. – Zrób, jak ci rozum i

dusza podpowiadają...

– Rozum mówi co innego, a dusza chce inaczej. Wybacz, matko, ale nie wiem, co zrobić. Tysiąc razy byłem już gotów przełamać pieczęć i tysiąc razy zrezygnowałem... Doprawdy, nie wiem, co począć.

– Posłuchaj – powiedziała łagodnie. – Posłuchaj, co ci rzeknie doświadczona kobieta. I ja wiele razy czułam podobny rozdźwięk. I, powiadam ci, zawsze, gdym posłuchała głosu duszy, żałowałam tego niepomierne. To rozum podpowiada uczciwie. Pamiętaj, że nad tym, co dzieje się w duchu, księżę ciemności jest zdolny łatwo zapanować. Po to otrzymałeś od Stwórcy dar myślenia, by móc się temu przeciwstawić.

– Słusznie mówisz... tak sędzę.

Wstał, podszedł do skrzyni. Alienor obserwowała go uważnie. Wieko odskoczyło, cicho skrzypnęły zawiasy. Ryszard wyjął pergamin, zapatrzył się w pieczęć. W niepewnym świetle postaci demonów zdawały się tańczyć w obłądnym rytmie.

– Nie! – cisnął pismo w ciemne wnętrze, zatrzasnął wieko. – Jeszcze nie pora!

Westchnęła ciężko.

– Posłuchaj jeszcze raz, synu...



Opat Joachim wpatrywał się w ołtarz. Słowa płynęły przez niego, jak winny moszcz przepływa z kadzi do oczyszczającego naczynia. Mnisi ze zdumieniem patrzyli na swego przewodnika, słuchając nieustającego potoku modlitw.

– Niech Pan oświeci wątpiących i da im siłę wytrwać w postanowieniu. Niech ten, kto ma w ręku losy świata, uczyni, co uczynić powinien...

Może popełnił błąd opierając się na angielskim królu? Dobrze znany był jego przydomek „Tak i Nie”. Nigdy nie wiadomo, co uczyni, w którą stronę skieruje kroki. Potrafi być bezmyślnie gwałtowny jak zły ojciec i rozumnie łagodny niby dobra matka. Najpierw siedzi beczynnym przez długi czas, a potem bierze się do spraw z takim ogniem i zacięciem, że na wykonanie zadania, które komu innemu zajęłoby miesiące albo lata, on potrzebuje zaledwie godzin i dni. Jednak jest nieprzewidywalny na podobieństwo diabelskiego wichru sirocco. Może lepszy byłby francuski Filip? Jednak wyraźnie powiedziano: zadanie wypełni tylko wojownik zdolny pokonać każdą wrogą armię, podjąć najtrudniejsze wyzwanie. Jedynie za sprawą takiego człowieka dopełni się los świata. Lecz jeśli pobłądzi... Ale z kolei Filip, choć rozsądny i na ogół wyważony, nie jest prawdziwym wojownikiem. To zwyczajny, zdradziecki władca, jakich coraz więcej na świecie. Dawno minęły czasy Karola Wielkiego. O, tak! Ten zmiażdżyłby wrogów, o niego możnaby być spokojnym. Ponoć nie patrzył, kto za nim, ani czy Bóg mu przyświeca, czy diabeł. Czynił, co uważał za słuszne. Jakże skarłały ludzkie dusze od jego czasów.

– Módlmy się – podjął opat – aby możni tego świata słuchali głosu serc, nie polegali jedynie na niedoskonałym ludzkim rozumie...



Ryszard trzymał pismo w rękach. Sam nie wiedział, kiedy znów otworzył skrzynię i wydobył pergamin. Słowa matki brzmiały tak przekonująco... Przerazająco wręcz przekonująco.

– Rozum, synu! Gdy on śpi, budzą się demony. Nie usypiaj swojego umysłu. Posłuchaj jego głosu.

Berengaria rzucała się niespokojnie na łożu, jakby chciała obudzić się za wszelką cenę. Ryszard przestał zwracać na nią uwagę. Teraz nie miało znaczenia nic poza nim samym, matką i darem od Joachima. Czuł przedziwne mrowienie w dłoniach. Czy to możliwe, żeby moc zawarta w pieczęci płynęła przez jego ciało? Skądeś, z wielkiej oddali wołał rozpaczliwy głos. Czyj? Kto próbuje do niego przemówić?

– Otwórz to wreszcie! Komu ufasz bardziej? Matce i papieżowi, czy jakiemuś mnichowi, podejrzanemu o konszachty ze złym?

Komu ufa bardziej? Serce – rozum... Rozum – serce... Dlaczego, jak zawsze, zmagają się w nim przeciwstawne siły? Której dać posłuch? Dlaczego jest rozdarty na pół? Trzeba wszystko skleić w jedną całość.

– Synu!

Nagła decyzja. Zanim zdołał pojąć do końca, co robi, usłyszał lekki trzask. Spojrzał na swoje dłonie. Pieczęć przełamana. Stało się! Chciał tego właściwie, czy nie chciał? W tej chwili nie potrafił odpowiedzieć. Nieważne, stało się! Niecierpliwie rozwinął pergamin, przebiegł wzrokiem czarne litery. Zdumione spojrzenie skierował na matkę.

– Przecież – wybełkotał – przecież... tu nic nie ma! To jakiś bełkot, słowa nic nie znaczą!

Rozległ się potworny śmiech. Ciemność nadciągnęła znienacka, pochłonęła wszystkie zmysły.



Joachim poderwał głowę, spojrział w sklepienie kaplicy, jakby chciał przebić ją wzrokiem i sięgnąć nieba.

– Panie! – zawołał. – Dlaczego na to pozwoliłeś? Czy nie nadeszła jeszcze godzina rozprawy ze złem?

Na oczach zdumionych braciszków opat runął na twarz. W chłodnym wnętrzu kościoła rozległ się głuchy stuk.

– Bracia, na kolana! Dziś szatan zatriumfował! W tej godzinie pozbawił władzy w mocarnej prawicy tego, który mógł zmienić losy świata! Po raz kolejny człowiek ukląkł przed jego potęgą, okazał się słabszy niż żuk toczący gnojową kulkę. Jeden nędzny, głupi robak wytrwalszy jest niżli cała rasa ludzka, która mieni się być stworzona na obraz i podobieństwo Boga! Dziś zrozumiałem, jak blisko nas jest kusiciel. Szatan jak nikt potrafi przystroić się w cudze piórka, byle tylko osiągnąć swoje. On może być w każdym! W twym bracie, siostrze, małżonce... matce – dodał ciszej.

Zamilkł, a jego ciałem targnął niepohamowany paroksyzm. Głośny, żaloszny szloch wtargnął nie w uszy już, ale w same serca mnichów. Nie wiedząc, co złego się wydarzyło, dogłębnie odczuli cierpienie opata. Za jego przykładem padli na ziemię, dołączając do aktu rozpaczki.

– Módlmy się, bracia, słowami, których nauczył nas Jezus Chrystus. On jeden potrafi odwrócić zły los. Pater noster, qui es in caelis, sanctificetur nomen tuum...

Chór głosów podjął modlitwę. Popłynęła nad kamieniami posadzki, dotarła do stóp ołtarza, zaczęła wznosić się wyżej, coraz wyżej, otwierając sercom przeszzytym trwogą drogę do Stworzyciela świata.

Joachim zamknął oczy. Strumienie łez znaczyły ciemnymi plamami płytki mozaiki, na której święty Jerzy przeszywał włócznią smoka. Jednak dziś to smok wraził grot w serce tego, kto miał być jego pogromcą. Ale może jeszcze nie wszystko stracone, może nieszczęśnik podniesie się z upadku, dokona dzieła swego życia.

– Panie, daj siłę swojemu ludowi!

– Panie, daj siłę swojemu ludowi – posłusznie powtórzyli mnisi.



Ból głowy był potworny. Ryszard ocknął się oparty plecami o łożo, zdrętwiały i przemarznięty. Ogień na kominie dawno wygasł, za oknem jaśniał dzień. Ostrożnie, bojąc się, że przy gwałtowniejszym ruchu czerep rozpadnie mu się na pół, Ryszard wstał. Rzucił okiem na twardo śpiącą Berengarię. Co się stało tej nocy? Niczego nie potrafił sobie przypomnieć. Czy to żona aż tak go wyczerpała? Czyżby była w stanie wysać z niego wszystkie siły? Ale dlaczego przebudził się na ziemi? Z wysiłkiem postąpił kilka kroków. Źródłana woda w dzbanie nie była tak zimna, jakby tego chciał, ale jej jedwabisty dotyk zmył chociaż odrobinę spowijającego umysł mętnego tumanu. Krwawa krecha na policzku szczypała, kiedy spływał po niej strumyk cieczi.

Coś się wydarzyło. Nawiedził go straszliwy sen. Podejrzliwie powąchał kielich z winem. Może ktoś wczoraj dodał do niego jakiejś oszałamiającej driakwi? Może nawet sama małżonka? Różnie mówią o wschodnich sposobach na powiększenie mocy kochanków, a europejskie kobiety bardzo chętnie z nich korzystają, nie bacząc na rozsądek.

Usłyszał szuranie i przyciszone głosy za drzwiami. Ktoś chce zakłócić jego spokój?

– Nie śpię! – zawołał czując mdłości przy każdym wypowiedzianym słowie.

Stuknęła zapadka. W szczelinie ukazał się twarz Hugona.

– Wejdz, przyjacielu. Co cię sprowadza?

Hugo wśliznął się do środka. Długo wpatrywał się w twarz Ryszarda. Uśmiechnął się domyślnie.

– Marnie wyglądasz, panie. To musiała być ciężka noc...

– Zapewne była cięższa niżbym pragnął. Czego chcesz?

– Mam wieści od królowej matki. Pomyślałem, że wasza wysokość zechce je poznać jak najwcześniej.

Wieści od matki? Nagle wróciła pamięć wydarzeń. Chwycił zdumionego i przerażonego rycerza za szatę na piersi.

– Widziałeś ją? Gdzie ona jest?

– Panie! Jeszcze jesteście oczadziali z nadmiaru wina? Wasza matka pewnością dotarła do Anglii! List przyplłynął dziś nad ranem, wraz z okrętem pewnego genueńskiego kupca.

– Daj! I wynoś się.

Niecierpliwie przełamał pieczęć. To było niewątpliwie pismo Alienor. Pisała z Rouen. Bierze już wszystko w karby, przesyłała pozdrowienia i błogosławieństwo od papieża Celestyna. W tej chwili pamięć podsunęła obraz matki i...

Jezu Chryste! Zapomniał o bólu głowy, rzucił się do skrzyni. Może to wszystko było tylko snem? Koszmarem sprowadzonym za sprawą wschodnich ziół... Zajrzał do środka, z obawą pomieszaną z nadzieją. Boże! Pieczęć skruszona, pergamin rozwinięty. Rzucił okiem na dziwne słowa, splatające się w zawile, niezrozumiałe zdania.

Z całą siłą powróciło nocne przerażenie, owo odejmujące władzę w członkach uczucie obcowania z nieznaną, niepojętą potęgą. Tak... Nagle po złamaniu pieczęci rysy matki rozmyły się, a znajoma twarz zamieniła się w pokryte zmarszczkami oblicze starego Saracena. Ryszard zdołał to dostrzec, zanim pograżył się w pustej czerni.

„Kiedy nadciągną demony, bez tego pisma będziesz jak dziecko zagubione we mgle”, głos oddalał się wraz ze świadomością. „Nic nie zdoła cię uratować... Nikt już go nie zdoła odczytać...”.

Joachim przestrzegał przed niewiastą. Jednak czy nawet on sam podejrzewać mógł, że wróg przybierze postać jedynej kobiety, do której król miał bezgraniczne zaufanie? Posłuszny radom oddalił arabską dziewczynę, potraktował ją jak parszywą sukę, będąc przekonany, że to ona go zwodzi na manowce, a tymczasem... Zło posłużyło się postacią jego własnej matki. Była taka przekonująca. Tak przekonująca, jak tylko może być jedyna na świecie osoba, do której żywi się ciepłe uczucia.



- Nie wyglądasz na zadowolonego – Dziewczyna dotknęła ręki mułły.
 - Nadspodziewanie twardy z niego przeciwnik – odparł duchowny. – Wszystkie siły zużyłem, aby dopiąć swego. Przetarąłem mu grzbiet, ale jestem pewien, że się pozbiera już niebawem. Może to rzeczywiście ten, którego nadejście wieszczą proroctwa?
 - To byłoby straszne. Taki mocarz i wódz.
 - Tak – Skinął głową. – Nie wiem, co uczyni, ale każdy inny na jego miejscu cofnąłby się i zawrócił z drogi. Po tym, co przeżył, po tym, jak mu wytracono z ręki straszliwą broń, powinien pogрузić się w beznadziei.
 - Nie zrobi tego. Na tyle zdążyłam go poznać. Może na chwilę straci ducha, ale potem...
 - I dlatego tak bardzo potrzebna będzie twoja ofiara, dziewczyno. Teraz, kiedy Ryszard nie ma pisma przekłętego opata, nie będzie wiedział, jak poradzić sobie z siłami, które wezwiemy na pomoc.
- Zacisnęła wargi.
- Jestem gotowa na wszystko.
 - To dobrze, nieszczęsna dziewczyno, to dobrze.



Ryszard jak burza wypadł na dziedziniec. Spojrzał na snujących się ospale po wczorajszym opilstwie żołnierzy.

– Hugo! – zawołał donośnym głosem – Panie Turnham! Wołać mi tu dowódców. Ruszamy nie mieszkając! Najpierw zmiażdżymy tego zdradzieckiego psa Komnenosa, a potem płyniemy do Palestyny. Będziemy na miejscu, zanim lato nabierze rozpędu! Mamy tam ważne spotkanie z saraceńskim sułtanem i jego wojskami!

I niewątpliwie z szatanem, dodał w duchu, czując przebiegający po kościach mróz. Oprzeć się teraz mógł tylko na tym, co mu de Fiore powiedział, a przecież mówił samymi zagadkami. Niby bogatymi w treść i znaczenie, ale zawsze zagadkami. To pismo miało rozjaśnić mroki tajemnicy. Ale pisma już nie ma.

Król stał się teraz kimś na podobieństwo ślepcy uparcie podążającego w głąb zabójczej pustyni. Zna cel, nie znając drogi, a w dodatku zabrano mu pielgrzymi kostur, jedyną obronę i nadzieję... Niech ich wszystkich diabli porwą! Tych wieszczów, papieży i sprzedajnych władców. Ryszard nie cofnie się teraz, o dwa kroki od Ziemi Świętej!

– Żadna siła nas nie zatrzyma! – Z zadowoleniem patrzył na bieganinę zbrojnych. Już porzucili wspomnienia o uczcie. Za chwilę staną się sprawni jak zawsze. – Żadna moc nas nie przerazi, choćby przywołali na pomoc samo piekło!

Udręka Czasu

– Krak de Moab – odezwał się cichym głosem człowiek w szarym burnusie. – Imponujący, nieprawdaż, Esclasio?

Przepaścista ściana zdawała się dotykać nieba, gdy stojący u jej stóp ludzie patrzyli w górę pośród ciemności, rozjaśnionej jedynie blaskiem księżyca. W jego złudnym świetle świat stawał się zupełnie inny niżli ten, który zwykło ujawniać ludzkim oczom jasne słońce.

– W istocie, potężne mury – zapytany zadarł głowę jeszcze bardziej. – Wydaje się, jakby wyrastały z głębi ziemi, niczym drzewa o mocnych korzeniach.

– Słusznie prawisz. Aż dreszcz przebiega po plecach, gdy się patrzy na taką potęgę. To niesamowite miejsce, ale miejmy nadzieję, że tutejsze moce będą nam przychylnie.

Esclas spojrział uważnie na towarzysza, potrząsnął głową.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Lorenzo?

– Jak myślisz, dlaczego przybyliśmy szukać wyjaśnienia właśnie tutaj?

– Nie wiem, jak ty, ale ja wypełniam życzenie księcia.

– Tak, tak – Lorenzo machnął niecierpliwie ręką. – Ty masz tylko dopilnować, żebyśmy nie uczynili nic, co mogłoby zaszkodzić dumnemu Henrykowi. Zupełnie jak jakiś zwykły...

– Zanim dokończysz to zdanie – przerwał mu Esclas – i wypuścisz z ust lekkomyślne słowa, za które będę cię musiał zabić, przypominam, że nie jestem niczym sługą, a wyprawę z tobą podjąłem tylko na prośbę księcia. P r o ś b ę, rozumiesz, kupczyku?!

– Ciszej! – syknął Lorenzo. – To nie jest czas ani miejsce na kłótnie! Sprowadzisz na nas straż.

Esclas zacisnął szczękę.

– Zatem nie prowokuj mnie, przebiegły Italczyku! Nie jestem jakimś tam handlarzem, który zniewagi zniesie bez protestu, z uśmiechem na ustach.

– My, jak nas nazywasz, handlarze – wycedził Lorenzo – także mamy swój honor. Tyle że wykazujemy więcej rozsądku niżli rycerska brać... Dobrze już – dodał szybko widząc, że Esclas zbiera się do ostrej riposty. – Naprawdę wystarczy. Teraz musimy się dostać do środka.

Dotknął dłonią chropawej powierzchni ściany.

– Wyrosły z głębi ziemi – mruknął. – Zapewne wewnątrz znajdziemy odpowiedź na nurtujące nas pytania.

– Nic z tego nie rozumiem – Esclas zmarszczył brwi. – Co masz na myśli powtarzając teraz za mną, że te mury wyrosły z głębi ziemi? Powiedziałem to bez głębszej myśli, jak to zwykli czynić wierszokleci, gdy im wino języki płacze. Wszak Krak Moabski nie stoi tutaj od niepamiętnych czasów, ale pół wieku dopiero będzie, jak wzniesli go Krzyżowcy, by strzegł szlaków wiodących nad Morze Czarne.

– To prawda. Jednak do budowy użyto kamieni pochodzących właśnie stąd – zatoczył ręką koło – z tej ziemi. Wydobywano je z okolicznych wzgórz.

– A cóż to ma do rzeczy? Wiele budowli właśnie tak zostało postawionych.

– A jednak to wyjątkowe miejsce. Inaczej by nas tu nie było. Ponoć pośród owych kamieni znaleziono coś wyjątkowego.

– Nadal nie rozumiem.

– Nie ty jeden, Esclasio. Gdybym teraz powiedział o sobie, że pojmuję wszystko, co wiąże się z naszym zadaniem, mógłbyś nazwać mnie kłamcą, a słówkiem bym nawet nie pisnął.

– Jak chcesz tam wejść? Nie mamy tyle liny, żeby wspiąć się po murze, zresztą byłibyśmy na nim widoczni i bezbronni niczym muchy przyklepione do kubka z miodem.

– Zobaczysz – Lorenzo gładził kamienie jeden po drugim, jakby szukał czegoś na ich powierzchni. – Ten zamek kryje niejedną tajemnicę.



Sinan siedział sztywno wyprostowany, z zamkniętymi oczami. Nawet nie drgnął, kiedy skrzypnęły drzwi. Pogrążony w medytacjach zdawał się nie słyszeć ostrożnego stąpania, jednak kiedy przybyły zbliżył się na mniej więcej siedem kroków, nie otwierając oczu, zwrócił ku niemu twarz.

– Witaj, Hamdanie. Jakie przynosisz wieści?

Asasyn przystanął. Zawsze zdumiewały go umiejętności Sinana. Jak zdołał odgadnąć, że to właśnie on? Zwyczajnie zgadnąć przecież nie mógł, gdyż o tej porze Hamdan nie zwykł odwiedzać przełożonego. Jednak, z drugiej strony, czy zwykły człowiek mógłby zostać szejkiem w Al-Kahf, Starcem z Gór, budzącym przerażenie nie tylko w sercach wrogów, ale nawet sprzymierzeńców i przyjaciół?

– Don Bartolomeo śle pozdrowienie Raszidowi ad-Dinowi Sinanowi z Basry.

Starzec z Gór powoli uchylił powieki. Na Hamdana spojrzały czarne, zimne oczy. Asasynowi zdało się w tej chwili, że przez okno wtargnął znieczulający lodowaty powiew, mimo iż w ostatnim czasie panowała straszliwa duchota. Ale ten powiew nie niósł

orzeźwienia, a jedynie łamiący w kościach lęk.

– Bez takich zbędnych wstępów, człowieku. Nie jesteś na oficjalnym posłuchaniu. Wiem przecież doskonale, od kogo przychodzisz! Nie ma też potrzeby wymieniać wszystkich moich imion. Zbyt długo przebywasz między gaurami, nasiąkłeś zanadto ich obyczajami. Mówże prosto!

Hamdan skłonił głowę.

– Zgodnie z umową, don Bartolomeo wysłał swojego człowieka do Twierdzy Moabskiej. Wraz z nim wyruszył niejaki Esclas, sławny wojownik. Ma z ramienia księcia Henryka służyć Lorenzowi jako eskorta i pomoc. Eskortą i pomocą – parsknął pogardliwie. – Zapewne ma dopilnować, żeby Pizańczyk nie uczynił nic na szkodę jego suzerena.

– Możliwe – odparł Sinan. – Jednak to bez znaczenia. Don Bartolomeo jest bardzo sprytny i zapobiegliwy. Jeśli rycerz dowie się za dużo, Lorenzo zdradziecko poderżnie mu gardło, jestem tego pewien. Ci kupcy bywają bardziej bezwzględni od wygłodzonego lwa. Może dlatego, że sami wciąż łakną bogactw i splendorów, a nie potrafią się zadowolić tym, co mają.

Zamyślił się, oparł głowę na dłoń.

– Wybacz, szejku – odezwał się Hamdan. – Czy możesz zaspokoić moją, być może niewczesną, ciekawość?

– Co chcesz wiedzieć?

– Dlaczego ty sam nie posłałeś nikogo do Krak de Moab? Zaufasz temu, co zechce nam po wyprawie przekazać Bartolomeo? Przecież nie można ufać kupcom z Pizy, sam wiesz to najlepiej.

Sinan uśmiechnął się lekko.

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć, Hamdanie. Jeśli Sinan, Starzec z Gór, czegoś nie czyni, musi mieć po temu ważne powody. Dla nas w tej chwili najlepiej będzie, jeśli pozostaniemy z boku, aby ciągnąć korzyści z tego, co robią inni. Niech Bartolomeo poszuka prawdy w przeklętych ścianach zamku. Niech Henryk patrzy mu pilnie na ręce. Niech tam gdzie Salah ad-Din z al-Adilem uganiają się po pustyni poszukując odpowiedzi na swoje pytania, a Ryszard topi we krwi ziemię Palestyny. Cokolwiek by się wydarzyło, ktokolwiek zwycięży w tych zmaganiach, my musimy dbać o dobro naszego zakonu i wszystkich prawowiernych zamieszkujących ten kraj. A pomyślne dla nas czasy są wtedy, gdy wrogowie wadzą się między sobą. Dokąd nawzajem ucinają sobie głowy, wydzierają majątki, jesteśmy bezpieczni i możemy działać w spokoju. Mylisz się też sądząc, iż nie próbowałem śłać ludzi do przeklętego Krak – twarz szejka zmierzchła. – Żaden nie powrócił. Co więcej, nikt z naszych nie dotarł nawet pod mury twierdzy. Dla asasynów to miejsce z jakichś przyczyn okazuje się zupełnie niedostępne.

Wstał, podszedł do okna, za którym rozciągała się panorama gór. Surowe szczyty odcinały się w księżycowym blasku, postrzępione i ostre, zupełnie jakby znudzone

dziecko wycięło je z czarnej krey i niedbale nalepiło na granatową płachtę.

– Każ przygotować któregoś z Natchnionych. Chcę mieć dzisiaj bardzo wyraźną wizję, to ważne. A zamku w Moabie zawsze trudno osiągnąć najbardziej nawet ulotnym ponadcielesnym widzeniem.



– Skąd znasz to przejście? – spytał podejrzliwie Esclas patrząc w głęboką czerń, która otwarała się przed chwilą w litej na pozór skale. – Twierdziłeś przecież, że nigdy tutaj nie byłeś!

– Bo nie byłem. Jednak pamiętaj, że tę budowlę wzniesli ludzie, a oni są zawsze skłonni do wyjawiania tajemnic za odpowiednią cenę, nawet jeśli tym samym łamali dane w obliczu Boga przysięgi. Kiedyś jeden z naszych przedstawicieli w Askalonie kupił od pewnego budowniczego sekret tutejszej twierdzy, choć wtedy podobny wydatek zdawał się najzupełniej zbędny, skoro zamek znajdował się w rękach Krzyżowców. Jednak spójrz, jak bardzo się teraz to przydało.

– Przerazacie mnie wy, kupcy i bankierzy – szepnął rycerz. – Jesteście jak księża i biskupi, którzy pałają do siebie nienawiścią i zawidzą sobie stanowisk, ale w potrzebie nieodmiennie obstają za sobą. Oni też chowają w zanadrzu tysiące sekretów, zaś w przyszłość patrzą o wiele dalej niż inni.

Lorenzo roześmiał się cicho.

– Bo też właśnie w tym względzie wiernie naśladujemy kościół. Nie znam skuteczniejszej hierarchii władzy niż ta, którą stworzyli nasi duchowni. Ale dość gadania, bo nas tutaj jeszcze dzień zastanie. Pójdę przodem.

Ciemny korytarz był szerszy niż mogło się wydawać patrząc z zewnątrz. Szli po omacku, bez światła, gdyż kupiec bał się, że blask ognia może ich zdradzić.

– Jesteś pewien, że nie ma tu pułapek? – szepnął Esclas.

– Korytarz został wykuty w licu murów – odparł Lorenzo, zatrzymując się. Rycerz wpadł na niego. Głowice mieczy brzęknęły lekko przy zderzeniu. – Tu nie ma miejsca na pułapki. A jeśli nawet jakieś są... Lękasz się?

– Boże, broń! Jednak nieswojo się robi na myśl, że człowiek mógłby skończyć na dnie ukrytej studni albo przebity broną spadającą z sufitu.

– Już niedaleko, jeśli wierzyć zapiskom odkrytym przez don Bartolomea. Pokonaliśmy osiemdziesiąt stopni, powinno pozostać jeszcze dwadzieścia trzy. Przejdźmy je w ciszy, stąpając jak najostrożniej. Miecz i sztylet trzymaj w pogotowiu. Nie wiemy wszak, czy przy wylocie korytarza przypadkiem nie przystanął saraceński strażnik.

– Masz pojęcie, gdzie trzeba się potem udać?

– Jeszcze nie, ale z pewnością będę wiedział, gdy nadejdzie czas.

Wbrew obawom Pizańczyka, przy wyjściu nie było nikogo. Lorenzo bezszelestnie obrócił z powrotem fragment muru. Z tej strony także najmniejsza rysa nie zdradzała, że w ścianie może być ukryte tajne przejście. Pomieszczenie, w którym się znaleźli było dawną zamkową kaplicą, teraz przerobioną przez turecką załogę na skład. Wszędzie zalegały stopy skór, dzbany z oliwą i korce zboża. Sprytnie, pomyślał Esclas. Tajne przejście w miejscu, gdzie w chrześcijańskim zamku po nocy raczej nikogo się nie uświadczy, a wiadomo też, że Saraceni nie uczynią sobie tutaj komnat mieszkalnych, co najwyżej zbezczeszczą świątynię w podobny jak tutaj sposób.

– Podobno – szepnął Lorenzo, wskazując ścianę – w Egipcie odkryto podobne urządzenia wykonane wiele setek lat temu. Na nich właśnie wzorowali się budowniczy tego zamku.

– Pogańskie sztuczki – Esclas skrzywił z niesmakiem wargi.

– Pogańskie, ale skuteczne. Bez nich musielibyśmy chyba szturmować to miejsce. A teraz nie przeszkadzaj mi chociaż przez chwilę.

Pizańczyk zaczął mamrotać pod nosem. To był obcy język, choć ze śpiewnym, znajomym akcentem. Lorenzo przymknął oczy, jakby zagłębiał się w siebie. Esclas cierpliwie czekał, aż skończy.

– Co to było? Cóż to za mowa? Z początku sądziłem, że włoska, jednak nie rozumiałem ani słowa, choć znam poniekąd wasz język.

– To kupiecki dialekt. Tajny język pizańskich kupców.

– A co tam mruczałeś?

– Wiersze.

– Wiersze?! – oczy rycerza stały się okrągłe ze zdumienia. – Teraz ci się zebrało na deklamacje?! Czyś oszalał z kretesem, czy jesteś aż tak ciężko zakochany?

– To nie zwyczajna poezja – Lorenzo stłumił chichot. – Zauważ jednak, że nie mamy ze sobą żadnych planów, najmniejszego nawet rysunku, wskazówki, jak iść dalej.

– Tak. Nikt nie mógł się dowiedzieć o celu naszej wędrówki, gdyby nam przyszło zginąć albo dostać się we wrogie ręce. Tak mi to wyłuszczył książę.

– W ręce wrogie czy przyjacielskie, zajędo. Tajemnica musi pozostać tajemnicą.

– I pozostaje bez wątplenia, skoro nawet ja sam nie wiem, dokąd właściwie zmierzamy. Ale jaki ma to związek z twoimi rymowanymi?

– W tych strofach, których wyuczyłem się dokładnie co do głóski, jest wiadomość o dalszej drodze. Każde słowo wyznacza jeden krok, każdy wers załom korytarza czy schody, a każda strofa odcina przebyty szlak. Inaczej zagubilibyśmy się w zawiłościach zamkowych przejść.

Esclas pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Powiadam ci, wasz kupiecki spryt jest dla mnie gorszy niż szarża Saracenów na rozszalałych wielbłądach.

– Powtarzasz się, cnotliwy rycerski głupcze – mruknął Pizańczyk, ale tak cicho, żeby

towarzysz wziął jego słowa za kolejny wers. Potem zaś rzekł głośniej: – Jeszcze dzisiaj możemy ujrzeć rzeczy, które zadziwią cię i przerażą stokroć bardziej. Pamiętaj jednak, że przysięgałeś milczenie!

– Prawemu rycerzowi – odparł Esclas dumnie podnosząc głowę – nie trzeba przypominać o złożonych ślubach. Książę Henryk nie chciał, żebym mu donosił, ale abym zadbał o powodzenie twojej misji.

– I dopilnował przy okazji, by nie ucierpiały jego interesy. Wierz mi, twój władca bardzo chętnie wysłuchałby wszelkich doniesień! Dlatego właśnie po długich targach don Bartolomeo zażyczył sobie właśnie ciebie. Wiadomo bowiem powszechnie, że honor cenisz bardziej niż życie. Musiałbyś zobaczyć minę księcia, gdy usłyszał nasze warunki. Chodźmy już!

Ruszył w kierunku wyjścia. Esclas jednak został na miejscu.

– O co znowu idzie? – w głosie Lorenza dało się słyszeć zniecierpliwienie. – Chcesz może wracać? Strach cię obleciał?

Rycerz sięgnął do miecza, nie wydobył go jednak, jedynie pięść zacisnęła się z głośnym trzaskiem gniecionych wściekłością stawów.

– Nie czas teraz rozliczać zniewag – wychrypiał – i tylko dlatego ujdiesz z życiem.

– Dobrze już – Kupiec machnął ręką. – Czego chcesz? Trzeba nam iść jak najszybciej. Czas się dla nas nie zatrzyma, a mamy wiele do zrobienia.

– Właśnie o to mi chodzi, kupcze. Jeśli zaszedłem z tobą już tak daleko, skoro uratowałem ci na pustyni życie, zasługuję chyba, by mi powiedzieć, czego właściwie tu szukamy!

– Uratowałeś mi życie, zgoda. Bez twojej pomocy lew bez wątpienia miałby w tej chwili w kiszki znakomitą część mojej osoby, a resztę rozdziobałyby sępy. Jednak co do celu mojej misji... Hm, nie powinienem...

– Jeśli przeżyjemy, i tak się dowiem, nieprawdaż? A skoro nie usłyszę zaraz podobnej do prawdy odpowiedzi, dalej pójdziesz sam!

Lorenzo skubnął koniuszek nosa.

– Ghussat az-Zeman – mruknął po chwili.

– Co rzekłeś?

– Ghussat az-Zeman – powtórzył głośniej. – Tego szukamy. Gdzieś w tajemnej komnacie wewnątrz tej twierdzy ma się znajdować klejnot o tym imieniu.

– Ghussat az-Zeman – Esclas potrząsnął z niedowierzaniem głową. – To przecież Udreka Czasu, bliźniaczy kamień Rozkoszy Czasu, Nuzhat az-Zeman. Myślałem do tej pory, że to tylko legenda.

– Wielu tak uważa. Wszyscy, jeśli chodzi o ścisłość, poza kilkoma zaledwie wtajemniczonymi. Zaś w Udreke Czasu są podobno zawarte odpowiedzi na pytania, które nurtują nas, a właściwie naszych panów – Lorenzo pochylił się do towarzysza. – Można w tym klejnocie odnaleźć prawdę, obalić fałszywe proroctwa, potwierdzić zaś

te, które mają się spełnić. Przepowiada przyszłość.

– I jego przybyliśmy szukać?

– Jego właśnie. Tylko dlatego ksiązę Henryk zachował się tak powściągliwie, gdy postawiliśmy mu swoje warunki co do ciebie. Jeśli odnajdziemy klejnot, ksiązę wyciągnie z tego korzyści tak czy inaczej, bowiem podzielimy się z nim częścią naszej wiedzy, która będzie przydatna także jemu.

– Czy on wie dokładnie, czego szukamy?

– Coś tam wie, chociaż z pewnością bardzo mało. Przecież chyba każdy możliwy pan słyszał o Udręce Czasu, niewielu jednak wierzy w jej istnienie, a jeszcze mniej zdaje sobie sprawę z możliwości, jakie dać może taki kamień.

– I my go mamy odnaleźć... Gdzie?

– Mówiłem już. Jest w Krak de Moab tajna komnata, w której został ukryty. Nikomu jeszcze nie udało się do niej dotrzeć.

– Tajna wyprawa – warknął Esclas – tajne przejście, tajna komnata... Same tajności, same tajemnice! Skoro nikt dotąd nie znalazł owej komnaty, jak ty chcesz tego dokonać?

– Wiersze, mój przyjacielu. Wiersze, które znam na pamięć. To w nich jest droga... Jedyna słuszna droga do naszego celu.

– Chodźmy zatem. Prowadź, kupcze.



Don Bartolomeo spoglądał przez okno na pogrążone we śnie miasto. Od strony portu dolatywał zapach ryb i korzennych przypraw. Kupiec wciągnął głęboko powietrze, rozkoszując się mieszaniną woni. Tak pachną pierwsze pieniądze zarobione przy rybackim straganie. Tak potem pachnie fortuna, gdy wypełnia ładownie potężnej floty okrętów. Korzenie i ryby. Dla zwykłego człowieka ten odór może być trudny do zniesienia, jednak dla don Bartolomea, który doszedł do bogactwa oddając się różnym zajęciom, nie szczędząc własnych rąk ni życia, był bardziej upojny niż najwspanialsze pachnidła Wschodu. Tak... Nie szczędząc rąk ani życia... swojego i tych wszystkich, którzy ośmielili się stanąć mu na drodze.

– Czy ksiązę przysłał gońca, Vittorio? – rzucił za siebie.

– Nie, panie – głos starego kupca zdawał się dobiegać skądś z daleka. – Widzi mi się, że pan Henryk sam nie bardzo wierzy w powodzenie wyprawy Lorenza. Usiłuje za to zgłębić twoje powiązania z asasynami. Ktoś mu doniósł o dziwnych ludziach nawiedzających cię nad ranem.

– To bardzo dobrze, że doniósł. Tak miało być. Ksiązę będzie miększy w układach, gdy nasz wysłannik powróci, a on nadal nie będzie wiedział, z kim i o co tak naprawdę gra.

- Wierzysz, że Lorenzo wróci?
- To bardzo wytrwały i odważny człowiek, a przy tym nie można mu odmówić sprytu czy ostrożności. Rzekłbym nawet, iż posiada te przymioty w stopniu zbyt wielkim, jak na nasze potrzeby. Jeśli przeżyje, będę musiał poddać go próbie.
- Nie ufasz nawet jemu?
- Nie ufam nikomu, Vittorio. Poza tobą. Ale to też tylko do czasu, gdy moja korzyść będzie twoją korzyścią.
- Straszny z ciebie człowiek, Bartolomeo.
- Życie mnie takim uczyniło. Tylko dlatego mogę prowadzić grę ze Starcem z Gór i chrześcijańskimi władcami równocześnie.
- Gdybyś jeszcze mógł się posłużyć Saladynem...
- To byłoby w obecnym stanie rzeczy zbyt niebezpieczne. Saladyn jest nie tylko władcą, ale i mędrce. Wie zbyt dużo, a jeśli nie wie, potrafi się niepokojąco trafnie domyślać. Jednak gdy otrzymam odpowiedzi zawarte w Ghussat az-Zeman, będę mógł i jego wprząc w moje plany.
- Vittorio zbliżył się nieco. Bartolomeo spojrzał w jego stronę.
- Chcesz o coś zapytać?
- Łatwo zgodziłeś się na obarczenie Lorenza towarzystwem książęcego rycerza.
- Dziwi cię to? Pomyśl. Bez wiedzy Henryka w tej części kraju nic nie ma prawa się wydarzyć. Nawet gdybym wysłał Lorenza w najgłębszej tajemnicy, książę i tak zaraz by o tym wiedział. Wtedy mógłby zacząć drażnić tę sprawę, a na tym nam właśnie zależy jak najmniej. Chodziło o to, by Lorenzowi towarzyszył człowiek nie nazbyt rozgarnięty, taki, któremu łatwo będzie wmówić pewne rzeczy, gdyby dowiedział się zbyt dużo, ale też zarazem człowiek wielkiej odwagi. Nasz Esclas myślicielem, jak wiesz, na pewno nie jest, a przy tym to wojownik obeznany z pustynią, znający miejscowe języki i obyczaje nie gorzej od Lorenza. W drodze będzie zatem pomocą, a nie zawadą, jak mogłoby się zdarzyć w przypadku któregoś z tych darmozjadów otaczających Henryka, co obawiają się wyściubić nos za mury miasta, a chełpią się swoimi zmyślonymi czynami niczym paw pysznym ogonem.
- Myślisz, że dotarli już do Moabu?
- Powinni, Vittorio. Być może dzisiejszej nocy dokona się to, na czym tak nam zależy. A tymczasem każ wzmocnić strażę. Nie mam ochoty spotkać nagle w ciemnym korytarzu oszołomionego haszyszem wysłannika Sinana.



Przemierzali puste korytarze zatrzymując się przed każdym załomem. Zbyt obszerna abaja plątała się Esclasowi między nogami. Chciał ją ścisnąć pasem, jednak Lorenzo zabronił. Musieli wyglądać jak Saraceni, żeby w razie niespodziewanego spotkania

zyskać odrobinę czasu, zanim przeciwnik zorientuje się, kim są. Wystarczy wszak tylko chwila wahania ze strony strażnika, żeby mu odebrać życie.

Lecz, jak do tej pory, nie napotkali nikogo.

– Wygląda, jakby Krak był zupełnie opustoszały – Esclas pociągnął kupca za rękaw.
– Przecież powinna tu być arabska załoga. Nie dziwi cię to?

Lorenzo strzepnął niecierpliwie dłonią.

– Widocznie tak się składa, że strofy wierszy wyznaczają nam drogę między posterunkami straży. Martwi cię powodzenie? Coby zatem było, gdyby cokolwiek szło nie po naszej myśli? Uciekłybyś?

Esclas nie odpowiedział. Gdyby ten kramarz ośmielił się tak do niego odezwać gdzie indziej... Nie przeżyłby nawet chwili. A tutaj rycerz musi znosić bezczelne odzywki kupczyka, jakby rozmawiał nawet nie z równym sobie, ale z samym księciem!

– Chciałeś trudności? – syknął nagle Lorenzo – to właśnie je masz!

Rzeczywiście, zza zakrętu dobiegł odgłos kroków i zajaśniała plama światła.

– Jeden, dwóch, czy więcej, jak myślisz?

Esclas podstawił pod nos towarzysza dwa palce, ale nie będąc pewnym, czy tamten dostrzegł je w panującym mroku, mruknął: – Dwu.

– Ty weźmiesz tego po prawej. Tylko po cichu!

Wyprostowani ruszyli naprzeciw nadchodzącym. Strażnicy stanęli jak wmurowani na widok dwóch obcych ludzi.

– Przybyliśmy wczoraj zaledwie – odezwał się Lorenzo. Wychował się na tej ziemi, jego wymowa arabskich słów była na tyle czysta, żeby nie budzić podejrzeń, przynajmniej w pierwszej chwili. – Poblądziliśmy w tych wszystkich zaułkach. Możecie nam pomóc?

Podeszli dwa kroki uśmiechając się z zażenowaniem. Arabowie spojrzeli po sobie.

– Nikt tu wczoraj nie przyjechał, o ile wiem – powiedział jeden. – Słyszałeś coś, Selim?

– Skądże. Nie podoba mi się to wszystko – odparł drugi. – Pójdziecie z nami!

W tej chwili Esclas i kupiec rzucili się do przodu. Żelazna dłoń rycerza zacisnęła się na gardle Selima dusząc rodzący się w gardle krzyk, zaś Lorenzo wwiercał się już sztyletem w miękką część podbródka drugiego przeciwnika. Wąskie ostrze zmasakrowało mózg, zanim do nieszczęśnika dotarło, co się dzieje.

– Pomóż – sapnął z wysiłkiem kupiec, podtrzymując z wysiłkiem ciało, które przyparło go do ściany. – Waży więcej jest niż ciężarna kobyła.

Ostrożnie złożyli ciała na kamieniach podłogi.

– Co z nimi zrobimy? Przecież nie możemy ich tak zostawić.

Lorenzo wyjrzał przez okno.

– To zewnętrzny mur, nad stromą skałą. Zrzucimy trupy w przepaść.

– Niebawem zaczną ich szukać. A rano na pewno zauważą plamy krwi na posadzce i

ciała za oknem!

– Rano będziemy daleko stąd. Najważniejsze, żeby nikt nie odkrył trupów, dopóki przebywamy w zamku.

Po chwili obaj strażnicy wylądowali kilkadziesiąt metrów pod stromą ścianą.

– Dobrze – Esclas z zadowoleniem skinął głową. – Niewiele widać przy księżycu. Zresztą niebawem powinien zejść, a wtedy nawet sowa ich nie wypatrzy.

Przez chwilę cierpliwie czekał, aż Lorenzo powtórzy swoje wiersze. Ruszyli dalej w płataninę korytarzy.



Sinan obserwował uważnie wzory, w jakie układał się dym z nargili, z przyjemnością wciągał do płuc wonny opar mieszanki narkotyków. Powiadają, żeśmy spożywcami haszysz, pomyślał. Gdyby ludzie wiedzieli, do czego nam służą substancje, które przyjmujemy, byłiby bardziej przerażeni niż teraz, kiedy przypuszczają, że tylko karmimy nimi naszych zabójców. Spojrzał na wyprężone ciało Natchnionego. Okropne miejsce ten Krak de Moab. Dzisiejsza wizja była tak ulotna i niewyraźna... prawie żadna. Trzeba będzie jednak uczynić to, czego nienawidził najbardziej.

– Hamdan – powiedział.

– Słucham, szejku – Asasyn zbliżył się charakterystycznym bezszelestnym krokiem.

– Podaj mi czarny nóż.

Hamdan uniósł brwi, ale bez słowa wypełnił polecenie.

– Teraz wyjdź. W kuchni niechaj mi przygotują sarid. Tylko na dobrym wywarze! Będę potrzebował pokrzepienia po dzisiejszej nocy.

Spojrzał na ciemne ostrze noża, rozświetlone jedynie rzędem diamentów osadzonych wzdłuż krawędzi ostrza. Dotknął ostrożnie metalu.

– Ibriza – mruknął. – Uczyniono cię z ibrizy, jednego kawałka czystego złota zmieszanego z popiołem zebrany z przekłętego dżinna, byś nabrał barwy nocy. Ozdobiono cię diamentami powstałymi podczas śmiertelnych zmagania złych duchów w głębi ziemi. Powstałeś, aby sycić się niewinną krwią. Dzisiaj znowu odbierzesz komuś życie.

Wzniósł w górę oczy.

– „Jesteśmy jak drobinki miotane przez strumień” – zanucił – „który toczy swe wody pośród diun i wzgórz...”.

Powoli zbliżył się do leżącego na wysokim stole Natchnionego. Młodziutki chłopiec o kruczoczarnych włosach drgnął, przez jego twarz przeleciał grymas cierpienia. Uchylił powieki.

– „W tyle zostali niewolnicy, których nikt nie kupi, którzy oszaleją i nigdy nie dojdą celu. Poniesie ich szaleństwo, piach zniszczy im oczy, a z ociemniałych źrenic spłyną

grube łyzy” [fragmenty elegii oraz kasydy Ar-Radiego, Diwan].

Chłopiec z przerażeniem obserwował czarny najgłębszą czernią nóż zbliżający się do jego twarzy. Chciał się poderwać, jednak podana mu przed zapadnięciem w trans mikstura nie pozwalała wykonać najmniejszego ruchu.

– Nie lękaj się, Kalim – rzekł łagodnym tonem Sinan. – Śmierć to nic strasznego. Ona jest zaledwie początkiem. A gdy już staniesz po tamtej stronie, pamiętaj, by przybyć na każde wezwanie swojego szejka, jak czynią to inne duchy.

Diamentowy brzeg ostrza błysnął łamiąc i rozszczepiając światło oliwnych lamp na pojedyncze, różnokolorowe promienie. Poblask na krótką chwilę osiadł na ścianach barwami tęczy.

– Nie lękaj się – powtórzył Starzec z Gór. – Twoja krew posłuży wyższym celom. Ześle na mnie wizje, jakich nie mógłbym dostąpić w żaden inny sposób. To nie będzie bolało.



– Czy to tutaj? – Esclas patrzył na bogato zdobione drzwi.

Lorenzo spojrział na niego w zamyśleniu.

– A czy to wygląda na wejście do tajnej komnaty?

– W takim razie gdzie jesteście?

– Gdzieś w środku zamku. Blisko celu. Za tymi drzwiami powinniśmy odkryć dalszą drogę.

– Powinniśmy? – podchwycił Esclas. – Tylko powinniśmy? Nie masz pewności? Czyżby twoje wiersze nie były w stanie poprowadzić nas dalej? Dlaczego stanąłeś tak nagle?

– Dzięki strofom mieliśmy dotrzeć do tego miejsca, dalej musimy radzić sobie sami. Zaraz tam wejdziemy, a przecież nie wiadomo, czy i kogo zastaniemy po drugiej stronie, prawda? Stąd moje wahanie.

– A co zyskamy stojąc i zastanawiając się?

– Nic, jednak...

– Słuchaj, Pizańczyku, zmarnowaliśmy już dość czasu, krążąc po korytarzach. Mam wrażenie, że niektóre miejsca mijaliśmy po trzy razy! A teraz nagle okazuje się, że twoje osławione wiersze kończą się w niezbyt fortunnym miejscu, zaś ty, wbrew swej naturze, nagle zaczynasz mieć wątpliwości! Trzeba działać. Wchodzisz ze mną, albo idę sam!

Nacisnął klamkę. Drzwi skrzypnęły cicho i stawily opór.

– Zamknięte, niech to diabli!

– Odsuń się – Lorenzo wydobył długi, zagięty i wyklepany na końcu gruby drut.

Chwilę majstrował przy zamku. Rozległ się cichy zgrzyt zapadki.

– Gotowe. Na szczęście to prosty, frankoński mechanizm, a nie wyszukane dzieło jakiegoś greckiego rzemieślnika.

– Tak – odezwał się z przekąsem Esclas. – Powiadają, że co kupiec, to złodziej. I prawda to, jak widzę. Złodziejskie sposoby i złodziejskie narzędzia. Co jeszcze masz w zanadrzu?

Lorenzo skrzywił się.

– Lepiej wejdźmy, zanim znowu wybuchnie kłótnia.

Za drzwiami panowały zupełne ciemności, nie docierał nawet mdły poblask gwiazd.

– Okiennice zawarte – szepnął kupiec. – Okna powinny znajdować się po prawej stronie.

Z wyciągniętymi przed siebie rękami Esclas ruszył we wskazanym kierunku. Nagle poczuł uderzenie w goleń.

– Och, ty!

– Cśśś!

Solidny zydeł potoczył się pod ścianę.

– Kto tu? – zawołał po arabsku niewieści głos.

Esclas, niewiele myśląc, rzucił się w tamtą stronę. Drogę zagroził mu jakiś mebel. Rycerz upadł, przygniatając drobną postać, usiłującą uciec gdzieś w bok. Zorientował się natychmiast, że znalazł się na szerokim łożu. Przydusił ofiarę do pościeli, zasłonił jej usta dłonią.

Tymczasem Lorenzo otworzył okiennice. Nawykłe do ciemności oczy z ulgą powitały siną poświatę płynącą z zewnątrz.

– Dobrze, że księżyc jeszcze świeci. Kogo tam masz?

Esclas uważnie badał unieruchomione pod jego ciężarem ciało.

– Stara baba, jeśli wierzyć świadectwu dłoni. Zwiotczała skóra, obwisłe piersi, włosy sztywne jak słoma, pewnie ma ze sto lat...

– Dobrze, skończ już się do niej łąsić. Zamknę drzwi i skrzese ognia. A ty na powrót zatrzaśnij okiennice. Nie chcę, żeby ktoś z zewnątrz dostrzegł światło.

Zaszyta w najdalszy kąt łoża, kobieta patrzyła na nich z przerażeniem.

– Czego chcecie?

Lorenzo spojrzał obojętnie znad rozpalonej lampy.

– Od ciebie nic. Chociaż, gdybyś była młodsza, kto wie... Znalazłeś coś, rycerzu?

Esclas uważnie badał ściany. Potrząsnął przecząco głową.

– Czego właściwie szukacie?

– Nie twoja rzecz, saraceńskie truchło!

– Może i moja – odparła. – Wtargnęliście do mej sypialni, zbóje, zatem rzecz mnie dotyczy!

Esclas odwrócił się od ściany, spojrzał na nią z zastanowieniem.

– Choć mówisz po arabsku, nie przemawiasz jak muzułmańska kobieta – rzekł. –

Twój język jest zbyt odważny i zuchwały.

– Stara jestem, wolno mi. Tak samo nie budzę w nikim zgorszenia nie nosząc zasłony na twarzy. Wiek, rycerzu. W moich leciech pozwala się człowiekowi na wiele. Gdy ty będziesz tak pomarszczony i niesprawny jak ja teraz, kiedy twoja męska duma ostatecznie zwiotczeje, wtedy młode i piękne niewiasty pozwolą ci bezkarnie oglądać swoje jędrne piersi, bo przestaniesz być dla nich mężczyzną, zaś ich mężowie i kochankowie tylko popatrzą na ciebie z litością lub rozbawieniem, zamiast wydobyć miecz.

Rycerz splunął i powrócił do oglądania kamieni. Lorenzo poszedł w jego ślady.

– Tylko nie próbuj uciekać – ostrzegł starą. – Nim dobiegniesz do drzwi, ten sztylet przeszyje ci serce – uniósł w dłoni lśniące ostrze.

– Powiedz, czego szukacie – nie dawała za wygraną.

– Nie twoja rzecz, mówiłem!

– Jesteście jak nabrzmiały wrzód! On też nie pozwala zasnąć! Przychodzicie w środku nocy i przerywacie sen starej kobiecie. Poniewieracie mną, jakbym była sprzętem, a nie człowiekiem, ten rycerz nawet ośmielił się dotykać poufale mojego ciała, a drugi młodzian grozi nożem, nie bacząc na siwe włosy.

– Zamilcz, zanim wyprowadzisz mnie z równowagi! – kupiec łypnął wściekle w jej stronę. – Nie przeszkadzaj!

Stara umilkła, przyglądając się uważnie ich poczynaniom.



Hamdan wszedł do Komnaty Wizji. Przedłużająca się nieobecność szejka była niepokojąca. Sinan stał pochylony nad stołem. Ciało Natchnionego nabrało barwy jasnego wosku. Hamdan zatrzymał się w drzwiach, a Starzec z Gór podniósł głowę. Z zakrwawionych warg pociekła mu na brodę gęsta strużka krwi zmieszanej ze śliną.

– Znikli – wymamrotał. – Wizja była silna, byłem w stanie dostrzec każdy szczegół, mogłem wysłuchać każdego słowa, a teraz znikli, jakby ich pochłonęła czarna mgła zapomnienia.

Hamdan zmarszczył brwi. Nie przemawiały do niego metody Sinana. Uczciwy asasyn nie powinien parać się podobnymi czarami. W zupełności wystarczą nargile i odpowiednie mieszaniny narkotyków. Takie zabawianie się różnymi duchami i widzeniami doprowadzi kiedyś do nieszczęścia.

– Krak de Moab – powiedział – to szczególne miejsce. Na tyle szczególne, że nikt od nas nie został tam posłany swego czasu, żeby zabić Szatana Frankońskiego, Renalda de Châtillon. Każdy izmailita, który postawi stopę na kamieniach twierdzy, padnie trupem na miejscu. Sam to przecież widziałeś.

– Tak powiadają i taka jest prawda. Straszliwy Arnaout po stokroć zasłużył sobie na

śmierć. Chciał nawet zawładnąć ciałem Proroka, by pobierać od pielgrzymów opłatę, brudny pies. Masz rację, ochroniła go moc Moabu. Ta sama moc, która teraz zasłoniła mi dostęp do wnętrza twierdzy.

Sinan spojrział na leżące przed nim zwłoki.

– Ten chłopiec poświęcił życie na darmo. Ja zaś niepotrzebnie przyjąłem truciznę zawartą w jego krwi. Skróci to moją wędrówkę po tej ziemi o ładnych parę miesięcy. W moim wieku to szmat czasu... Tak czy inaczej, jeśli nic się nie wydarzy, trzeba będzie czekać na wieści od kupców.



– Nie wiem – Esclas opadł ciężko na zydeł. – Nic tutaj nie widzę. Gładkie ściany, kamienie bez ozdób i rzeźbień, każdy z nich taki sam jak inne. Wysił pamięć. Może przypomną ci się jeszcze jakieś wiersze!

– Nic mi się nie przypomni! – syknął wściekle Lorenzo. – Chyba lepiej wiem, co mam w głowie, nie uważasz? Trzeba jak najszybciej odnaleźć ukryte drzwi!

– Tu nie ma nic do znajdowania – odezwała się kobieta. – W tym pokoju i jego pobliżu nie ma tajemnych przejść, korytarzy ani innych z tych rzeczy, którymi wy, mężczyźni tak się lubicie bawić. Otaczają nas lite mury, które możesz co najwyżej poprobować przebić głową. Daremny twój trud. To czego szukasz, musisz odnaleźć siłą rozumu, a nie bezmyślnym macaniem kamieni.

– Wiesz, czego szukamy?

– Być może... – Kobieta wykrzywiła twarz w niezdarnym uśmiechu.

– Mów wszystko, co wiesz! – Lorenzo wstał, zbliżył się do łoża.

– Nie tak prędko, Pizańczyku.

– Skąd wiesz, że w służbie Pizy, więdźmo? – Kupiec cofnął się pół kroku.

Stara roześmiała się na całe gardło.

– Wyczuwam w twym głosie strach, młodzieńcze!

Esclas zbliżył się, obejrzał ją uważnie od stóp do głów.

– Ty wiesz coś, o czym ten tutaj nie ma pojęcia, prawda?

– Być może – odparła powoli, z zastanowieniem. – Jednak moja wiedza na nic wam się nie przyda – Niespodziewanie w jej ustach arabska mowa płynnie zamieniła się w czysty język normandzki. – Powiadają o tobie, żeś marnego rozumu, panie rycerzu. Jednak z tego, co widzę i słyszę, myślą się ci, co sądzą, żeś głupi, boś milczek, co nie ma o czym gadać. Przeliczyli się ludzie, którzy składali to na karb głupoty.

– Tak sądzisz, niewiasto? A skąd w ogóle przyszło do głowy coś podobnego? Skąd mnie znasz i gdzie nauczyłaś się tak doskonale mowy swoich wrogów, Franków?

– Wiem o tobie więcej niż inni, możesz mi wierzyć. Czytać w was obu można jak w otwartej księdze, trzeba tylko umieć. Ty zresztą ukrywasz niewiele. Jesteś inny niż twój

towarzysz, który usiłuje zataić myśli i zamiary pod układnym uśmiechem, gniewnym gestem czy zmarszczonym czołem. Nie na wiele się to zresztą zda, bo im bardziej próbuje je ukryć, tym głośniejsze do mnie krzyczą.

– Lecz skąd znasz naszą mowę?

Lorenzo poderwał się.

– Esclasio, skąd zna, stąd zna, co za różnica? Nie widzisz, że stara czarownica gra na zwłokę? Przeciąga rozmowę, by dopadli nas niewierni! Chce nas tutaj zatrzymać jak najdłużej! Szukajmy dalej.

– Głupi jesteś, Pizańczyku! – kobieta wydeła pogardliwie wysuszone wiekiem wargi. – Wiedz też o tym, że wystarczyłby jeden mój okrzyk, żeby za tymi drzwiami zaroilo się od żołnierzy. Starczy też, abym pociągnęła tę linkę!

Wskazała na jedwabny sznurek zwisający tuż obok jej głowy. Ujęła go w dłoń widząc, że Lorenzo zbliża się do niej.

– Stój, człowieku – ostrzegła. – Nic nie zrozumiałeś? Tak zaślepiała cię żądza posiadania i żądza władzy, że zatraciłeś resztki rozsądku? Usiądź z powrotem tam, gdzie przedtem! Porozmawiamy.

Lorenzo cofnął się kilka kroków. Prawa dłoń, ukryta pod abają, ujęła rękojeść sztyletu. Nagle na ramieniu kupca zacisnęły się żelazne kleszcze.

– Zostaw ostrze w pochwie – powiedział spokojnie Esclas. – Nie rozumiesz, głupcze, że nawet jeśli się nim posłużysz, ona zdoła pociągnąć za sznur, zanim skona? Spójrz, owinęła go sobie wokół nadgarstka właśnie na taki wypadek.

– Dopiero teraz owinęła, gdy o tym napomknąłeś! – jęknął Lorenzo. – Jesteś z nią w zмовie, czy jak?

– To prawda, co rzekła przed chwilą. Jesteś głupcem, kupczyku. Sprytnym, zaradnym, ale tylko głupcem. Gubisz się w obliczu nieznanego. Mnie zaś ciekawi, co stara ma do powiedzenia. A druga rzecz to taka, że z niewiastami nie wojuję, a już z całą pewnością ich nie zabijam, ani nie pozwolę brać na męki.

– Rycerski honor – parsknął Lorenzo. – I ty nazywasz mnie głupcem!

Esclas nie odpowiedział. Patrzył uważnie na kobietę, spokojnie obserwującą zajście. Łagodnym, lecz zarazem nie znoszącym sprzeciwu gestem posadził kupca obok siebie.



Księżyc kończył wędrówkę po nieboskłonie. Punkciki gwiazd zdawały się tak bliskie, że gdyby wyciągnąć rękę, można by je zgarnąć niby rozsypane złote monety.

– Nie śpisz jeszcze, ojczyste?

Don Bartolomeo obejrzał się.

– Jak widzisz, kochanie.

– Troski i zmartwienia nie pozwalają zmrużyć oka?

Uśmiechnął się. Córka podeszła bliżej, objął ją ramieniem, wskazał ciemność za oknem.

– Troski i zmartwienia, Mario. Ale nie tylko. Do nich jestem przyzwyczajony. Sen z oczu spędza mi coś innego, wręcz przeciwnego. Nadzieja.

– Nadzieja? – roześmiała się. – Nie przypuszczałam, żeby i ona mogła tak bardzo zakłócić czas odpoczynku.

– A jednak, córko.

– Czyżbyś znalazł sposób, żeby pognać naszych odwiecznych wrogów z Wenecji i Genui? Czy to ma związek z wyprawą Lorenza i rycerza Esclasa?

Zerknął na nią spod oka. Nagle do serca wkradł się nowy niepokój. Dlaczego tak wypytuje. A może i ona została kupiona przez którąś z wrogich sił działających w Ziemi Świętej? Czy trzeba zacząć ukrywać przed nią wszystko, tak jak i przed innymi? Natychmiast odrzucił tę myśl.

– Spójrz, Mario, jaka piękna noc. Rześki powiew nadciąga znad morza. Trudno uwierzyć, że jutro, skoro tylko wszędzie słońce, zaczniesz się tutaj zwykły skwar.

– Nie zbywaj mnie i nie zmieniaj tematu, ojciec! Wyjaw, czy twoja bezsenność wiąże się z tą sprawą? Odpowiedz!

– Chcesz wiedzieć zbyt dużo – odsunął się od niej. – Dlaczego pytasz tak uparcie. Czy ktoś... – ugryzł się w język.

W oczach Marii pojawiły się łzy.

– Wszędzie wieszysz podstęp i zdradę – szepnęła. – Tak żyć nie można. To jest jak choroba! Myślisz, że wszyscy dookoła patrzą tylko, jak cię pognać? Nawet własna córka?

Przygarnął ją do piersi.

– Wybacz, kochanie. Oczywiście, że nie posądzam cię o zdradę. Jednak twoja dociekliwość mnie zastanawia, budzi dziwne uczucia. Dlaczego chcesz wiedzieć to wszystko? Co skłania cię do zadawania podobnych pytań i co mam o tym sądzić? Do tej pory nie interesowałaś się tak bardzo moimi sprawami. Czyżby zaczął cię zajmować handel i sposoby pomnażania fortuny?

– Na świecie – odparła poprawiając niesforny pukiel włosów opadający na czoło – istnieje coś jeszcze poza pieniędzmi i władzą. Czyżbyś o tym zapomniał? Umarły w tobie wspomnienia szalonych rzeczy, które czyniłeś dla zdobycia mojej świętej pamięci matki?

Don Bartolomeo z uwagą wpatrywał się w twarz córki. Zaczęło do niego docierać, że przecież i ona nie śpi o tak późnej porze. W ostatnim czasie jej oczy były smutne i podkrążone, jakby noce spędzała płacząc w poduszkę. Jak to wszystko mogło umknąć

jego uwadze?

– Ty jesteś zakochana – rzekł ze zdumieniem.

Jego małeńka Maria, jedyna istota, na której mu w życiu zależało, nieoczekiwanie stała się kobietą. W dodatku miłującą tego... tego, który być może już niebawem zechce zając jego miejsce w Radzie!

– Nie oddam cię Lorenzowi – warknął. – Nie pozwolę, żeby ten parweniusz...

– Lorenzo to robak – przerwała mu. – Na takiego jak on nie chciałabym spojrzeć nawet po to, by potem splunąć i zapomnieć wstrętnego widoku!

Don Bartolomeo chwycił się za głowę.

– Na Rany Chrystusa, dziewczyno! Ty kochasz tego rycerzyka! Marzą ci się ostrogi zapięte wokół kostek przyszłego męża? Nie wydam cię za takiego głupca!

– Esclas nie jest głupcem! Mylisz się co do niego.

– Posłuchaj, dziewczyno! Dla mnie głupcem jest każdy, kto w imię honoru i wierności idzie tam, skąd może nie powrócić!

Natychmiast pożałował tych słów. Maria wybuchła płaczem.

– Ojczy, dlaczego ty, który jesteś tak dobry dla mnie, nie potrafisz taki dla innych?!

Wybiegła, zanim zdążył ją powstrzymać. Poczul ukłucie w piersi. Coraz częściej zdarzało się, że odczuwał podobne dolegliwości, serce zaczynało łomotać i drgać, jakby chciało wyrwać się na zewnątrz, a potem ta nagła burza przechodziła w długotrwały, tępy ból. Jutro wezwie medyka, niech upuści mu krwi, albo poda mocne driakwie. Musi być teraz zdrowy i pełen sił, nie czas na słabość. Jeszcze raz spojrział w okno, na gwiazdy. Po raz pierwszy zapragnął, aby Esclas jednak powrócił z Moabu. Nagle pożałował dyspozycji, które wydał Lorenzowi. Gdy Esclas umrze, Bartolomeo straci miłość jedyne dziecko. Ta myśl sprawiła, że świat wydał mu się nagle pusty i pozbawiony sensu. Jednak natychmiast natłok nowych myśli zagłuszył to doznanie.



– Będziemy tak siedzieć i patrzeć na siebie? – Lorenzo przerwał przeciągające się milczenie. – Czas ucieka, przypominam ci, rycerzu!

– Miotając się na wszystkie strony niczego nie zdołaasz – odparł spokojnie Esclas. – Jeśli ta kobieta wie coś, co może się nam przysłużyć, i powie to bez przymusu, zapewne wypełnimy swoją misję prędzej niż gdybyśmy chcieli wydobyć cokolwiek przemocą, albo zgoła zdali się na domysły.

– A ja powiadam, że ona chce nas zatrzymać jak najdłużej. Czy nie rozumiesz? Być może Saraceni już szukają tamtych strażników. Kiedy tylko się rozwidni, zauważą ciała

u stóp zamku! A zresztą z pewnością wcześniej zajrzą i tutaj!

– Nikt nie ośmieli się wejść do tego pokoju bez wyraźnej potrzeby – odezwała się kobieta. – To znaczy bez mojego wezwania albo gletu samego sułtana. A teraz... teraz tym bardziej.

– Dlaczego?

– Czy to ważne w tej chwili? Przyjmij to po prostu do wiadomości.

– Jednak dlaczego nam o tym mówisz?

– Bo nie chcę, młody człowieku, żebyś zrobił coś nierozważnego. Wystarczy, że tu wszedłeś. Powinno to wystarczyć za wszelkie głupstwa do końca twoich dni. Nikt tu nie wejdzie i nikt, przynajmniej przez dłuższy czas, nie będzie was szukał.

– Ja też tego nie rozumiem – wtrącił się Esclas. – Na pewno przynajmniej dwa razy każdej nocy dowódca robi obchód posterunków straży. Natychmiast zauważy brak ludzi. A gdy rozpoczną się poszukiwania, będą zaglądać wszędzie. Czy rzeczywiście Lorenzo ma słuszność i chcesz nas zwieść?

– A czy wówczas – stara uśmiechnęła się – nie wymyśliłabym czegoś bardziej podobnego do prawdy? Poza tym pamiętaj o dzwonku – wskazała wzrokiem sznur. – Gdybym chciała waszej śmierci, co by mnie mogło powstrzymać?

– Racja – mruknął Esclas. Spojrzał na Lorenza – W zasadzie znajdujemy się w twojej mocy. Dwóch mężów, obaj w pełni sił, wpadło w drobne i bezradne kobiece dłonie. Co zamierzasz, pani?

– Pani? – roześmiała się zgrzytliwie. – Jakoś na początku wizyty nie byłeś łaskaw okazywać mi tyle szacunku. Skąd ta zmiana?

– Nie wiem – rycerz rozłożył bezradnie ręce. – Sam nie wiem. Zacząłem w tobie dostrzegać dostojność... Ślady czegoś, co... Diabli! – zirytował się. – Nie każ mi tego tłumaczyć.

– Człowiek sam często nie wie, dlaczego czyni tak, a nie inaczej. Pani, rzekłeś – zamyśliła się. – Pamiętam czasy, kiedy za inne odezwanie się do mnie można było stracić głowę...

– Kim ty właściwie jesteś?

– Nie teraz. Odpowiedź na to pytanie nie jest istotna. Ważne, po co wy tutaj przyszliście. Czego chcecie?

Esclas spojrzął na Lorenza. Pizańczyk chrząknął niepewnie.

– Nie wiem, czy możemy ujawnić prawdę...

– Chcesz wypełnić zadanie? – Rycerz podrzucił niecierpliwie głową – czy życzysz sobie na powrót macać kamienie i szukać na nich tajemnych znaków, które mogą nas zaprowadzić albo do celu, albo donikąd! Ona może nam pomóc, a jeśli nawet nie, czy mamy inne wyjście, skoro twoje magiczne wiersze okazały się zawodne?

Kupiec zacisnął wargi w wąską kreskę. Ten szlachetnie urodzony, który miał być kompletnym durniem niezdolnym do posługiwania się rozumem, okazuje się

rozsądniejszy od niego, jednego z najlepszych ludzi Rady Kupieckiej! Don Bartolomeo byłby zdruzgotany, gdyby się dowiedział!

– Dobrze – powiedział z namysłem. – Niech i tak będzie. Chcemy znaleźć pewien przedmiot. Klejnot, na którym bardzo zależy mojemu mocodawcy. Owa rzecz...

– Ghussat az-Zeman – stara kobieta przerwała mu spokojnie. – Jest tutaj, chłopcze. Jednak trudno go będzie zabrać, możesz mi wierzyć.

Lorenzo wpatrywał się w nią szeroko otwartymi oczami.

– Skąd wiesz?! – wychrypiął. – To wielka tajemnica!



Triumfalny krzyk górskiej sowy oznajmił, że ofiara nie zdołała umknąć jej ostrym szponom, a zakrzywiony morderczy dziób przeciął nić życia. Sinan zacisnął dłonie. Gdyby on potrafił równie mocno chwycić umykającą wizję! Wszystko stałoby się o wiele prostsze. Uderzył pięścią w stół. Hamdan, siedzący naprzeciwko patrzył bez ruchu na władcę.

– Dziwisz się, prawda? – Starzec z Gór rzucił mu szybkie spojrzenie. – Nigdy dotąd zapewne nie widziałeś swojego szejka tak rozgniewanego.

Hamdan milczał. Wiedział, że Sinan nie oczekuje w tej chwili odpowiedzi, ani tym bardziej niewczesnych pytań. Jeśli zechce, sam będzie mówić, jeśli nie, zbytnia ciekawość mogłaby się okazać zgubna. Szejk zapatrzył się w płomień świecy.

– Gniewny jestem, to prawda – mruknął. – Zżymam się, bo będę musiał polegać na tym, co raczą mi wyjawiać kupcy. A oni nie powiedzą nic, co mogłoby zagrozić ich interesom! Obawiam się, iż wieści od nich mogą być dla nas równie jałowe i pozbawione wartości jak przesypany się przez palce wyprażony piach pustyni.

Zamilkł na chwilę, przygarbił się, jakby nagle przybyło mu z dziesięć lat.

– Przywołać któregoś z adeptów, panie? – odważył się odezwać Hamdan. – Niech odbierze sobie życie w wybrany przez siebie sposób. Może widok umierającego z ochotą sługi osłodzi gorycz, która się w tobie zebrała.

– Niewiele rzeczy jest mnie w stanie ucieszyć, Hamdanie. Są chwile, kiedy nie raduje mnie nawet myśl, że mogę w każdej chwili wezwać wiernego izmailitę, by rzucił się w przepaść lub wbił sobie w serce sztylet. Tak, są takie chwile... I tej nocy właśnie nadeszła jedna z nich. Zostaw mnie lepiej samego. Muszę uporać z myślami, nim nadejdzie dzień, by o wchodzie słońca stanąć z podniesioną głową i czystym sercem do nowych wyzwań.

Sinan usiadł prosto, ułożył dłonie wzdłuż linii ud. Hamdan powstał starając się nie wywołać najmniejszego szmeru. Szejk będzie medytował, a wtedy pod żadnym pozorem nie wolno mu przeszkadzać. Kiedy wstanie słońce, będzie już innym człowiekiem, znów stanie się zdecydowanym, gotowym na wszystko przywódcą

morderczej sekty. Kiedy wstanie słońce... Ale ta noc zdawała się nie mieć końca.



- Skąd wiesz? – powtórzył Lorenzo. – Mów!
- Ghussat az-Zeman – kobieta pokręciła głową. – Dlaczego ludzie tak usilnie poszukują czegoś, co sami nazwali udręką? Tego nie odgadnę nigdy.
- Podobno – rzekł Esclas – w tym kamieniu zawarte są odpowiedzi na ludzkie pytania o prawdę.
- Tak – Spojrzała na niego przeciągle. – Pytania o prawdę. Wy też chcecie poznać odpowiedzi?
- My chcemy tylko wziąć klejnot! – Lorenzo strzepnął niecierpliwie dłonią. – Gdzie on jest?
- Mówiłam już, że trudno go będzie zabrać!
- Damy radę!
- Wiara przenosi góry, jak mówią święte księgi chrześcijan i mahometan. Jednak czy masz w sobie, Pizańczyku, dość wiary, aby ruszyć z posad i unieść ze sobą cały Krak de Moab? Czy jesteś zdolny do podobnych czynów?
- Lorenzo zamilkł. Tej nocy stanowczo zbyt często zdumienie odbierało mu mowę.
- Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Esclas.
- W istocie rzeczy nie ma niczego takiego, jak klejnot Udręki Czasu – Kobieta wypuściła z dłoni sznur dzwonka, z trudem usiadła na brzegu łoża. – Cały ten zamek winien się zwać nie Moabskim Krakiem, ale właśnie Ghussat az-Zeman. Albo Nuzhat az-Zeman, jak kto zechce. Choć ja uważam, że czas bywa raczej udręką niżli rozkoszą. Tak, kupcze, nie ma żadnych bliźniaczych kamieni, z których jeden przepowiada przyszłość i obala fałszywe prorocтва, drugi zaś potrafi leczyć cierpienia zadane człowiekowi przez życie. Jest tylko ten zamek i jego przeklęte ściany. Jest ta komnata, w której została uwięziona niewytłumaczalna dla śmiertelników moc.
- Tutaj? – Esclas rozejrzał się. – Ani widzę, ani czuję, żeby znajdowało się w tym miejscu coś wyjątkowego.
- A jednak. Żeby to zauważyć, trzeba tu spędzić tyle czasu, co ja. Żeby mieć z mocy korzystać, trzeba poświęcić długie lata, całe życie. Trzeba pozwolić przeniknąć się temu, co tkwi w otaczających kamieniach i płynie z głębi ziemi.
- Jak to możliwe? Zwodzisz nas! – Lorenzo odzyskał głos – Mówię ci, Esclacie, ta wiedźma przeciąga sprawę! Chce zyskać na czasie!
- Zyskać na czasie? – kobieta obróciła na niego spojrzenie. Dostrzegł w jej oczach niespodziewaną głębię, jakby zamiast źrenic zajrzał w głęboką, pełną cierpienia otchłań.
- Powtarzasz to w kółko, do znudzenia, a w ogóle nie myślisz. Naprawdę tak uważasz? Uchył zatem okiennicę. Zobacz, czy księżyc zmienił choć o cal swoje miejsce na niebie,

sprawdź, czy dotrą do twych uszu odgłosy nocy, pohukiwanie sów, odległe wycie szakala, czy choćby poszum wiatru!

Z pewnym ociąganiem kupiec spełnił jej prośbę. Skrzypnęło skrzydło okiennicy, Lorenzo wychylił się daleko na zewnątrz. Kiedy się odwrócił, jego twarz była ściągnięta dziwnym grymasem.

– Mówi prawdę – jęknął. – Księżyc tkwi wciąż na nieboskłonie, choć dawno powinien zejść, a cisza jest taka, jaka może być tylko w grobie wykopanym gdzieś na odludziu. Chodź, rycerzu, sam zobacz!

Esclas machnął ręką.

– Wierzę na słowo.

– W tej chwili – stara odezwała się głuchym głosem – jak już mówiłam, naprawdę nikt nie ma tu wstępu. Nie zapłacze się nawet duch – Zerknęła w stronę najciemniejszego kąta. – Jeśli się wcześniej jakiś nie zaplątał.

Esclas podążył za jej wzrokiem. Nic nie dostrzegł, wzruszył lekko ramionami. Jednak słowa kobiety wywołały lekki dreszcz i płynący od lędźwi niepokój. Tymczasem Lorenzo, czując miękkość w kolanach, chwiejnym krokiem podszedł do zydła i klapnął ciężko.

– Mów – szepnął. – Mów dalej. W czym tkwi tajemnica?

Niewiasta narzuciła sobie na nogi wełnianą derkę. Widać było, że nawet tak drobna czynność sprawiła jej ogromną trudność. Była blada, na czoło wystąpiły jej krople zimnego potu.

– Gdy zbyt długo tkwi się poza czasem – rzekła – zaczyna się robić zimno. Dzieje się tak z zupełnie nieznaną mi przyczyną. Odczuwam teraz ową dolegliwość o wiele wcześniej i dotkliwiej niż za młodych lat. Gdyby nie to, pozostawałabym bez przerwy w bezczasy i nikt nie mógłby mi zakłócać spokoju. A co do tajemnicy... Nie kto inny, jak rycerze krzyżowi uczynili to miejsce ucieleśnieniem legendy o kamieniu Ghussat az-Zeman. Stawiając mury nikt, rzecz jasna, nie zastanowił się, dlaczego mieszkańcy tych ziem nie wzniesli twierdzy strzegącej pielgrzymiego szlaku w miejscu tak dogodnym, jak to. Zaś w przekazywanych z pokolenia na pokolenie opowieściach, właśnie ta część Zajordanii uchodziła od wieków za przeklętą. I byłoby jeszcze pół biedy, gdyby wzniesiono krak z kamieni przywiezionych gdzieś z daleka. Jednak powstał on z wyrwanych ziemi tutejszych skał, pamiętających najdawniejsze dzieje i pradawne duchy, przechowujących pamięć bogów, którzy dawno umarli!

Lorenzo przeżegnał się.

– Oszalałaś, stara, czy chcesz nas znowu nastraszyć?

– Zamilcz! – warknął Esclas. – Pozwól jej mówić. Potem osądzisz, czy ogarnęło ją szaleństwo.

– Dzięki, frankoński baronie. Ten młodzieniec jest zbyt niecierpliwy. Słuchajcie dalej. Postawiono Krak de Moab pół wieku temu. Już wtedy byłam niewiastą w latach,

choć jeszcze dla wielu smakowitym kąskiem, wdową po pewnym znakomitym wojowniku. Dlatego właśnie przydzielono mi tę komnatę w samym środku zamku, by uczcić pamięć mego męża, przez szacunek należny jego małżonce.

– Zatem jesteś kobietą frankońską – powiedział ze zdumieniem Esclas. – Dlatego tak biegle władasz normandzką mową! To nie do uwierzenia. Jesteś jedną z nas! Jak brzmi twoje imię, pani?

– Jedną z was? – powtórzyła w zamyśleniu. – Być może byłam, kiedyś, tak dawno, że ledwo to pamiętam... Choć wiem, że jeszcze kilka lat temu twierdza należała do wojsk krzyżowych. Lecz te czasy wydają mi się tak odległe... Zresztą gdy tylko zauważono, iż przebywanie w tej komnacie wlewa we mnie nieprawdopodobną moc, stałam się jej więźniem. Zaś odkąd Moabem zaczął rządzić przekłety Renald de Châtillon, zabroniono dostępu do mnie wszystkim, za wyjątkiem kilku wybranych. Bezwzględny Renald był zazdrosny o tajemniczą siłę. Pasował do niego nadany przez Arabów przydomek Szatan Frankoński.

– A twoje imię?

– Saraceni nadali mi miano Alawija. Wśród swoich zaś zwano mnie Gizela de Montfort.

– Pani de Montfort! Małżonka słynnego Reginalda! Powiadali jednak, że już dawno umarłaś! Miałaś zejść z tego świata rok po śmierci męża, właśnie tutaj, w Moabie. Twoje serce ponoć pękło, nie ukojone nigdy po stracie!

– Stracie! – prychnęła z pogardą. – Hrabia Montfort był okrutnikiem i łajdakiem bodaj nie mniejszym od tego podleca de Châtillona. Kiedy pustynni nomadzi zatłukli go podczas jednej ze zbójeckich wpraw, poczułam prawdziwą ulgę. A o tym, że umarłam, oznajmiono światu w chwili, gdy dotarło do zakutego łba ówczesnego władcy Zajordanii, co w tym zamku naprawdę się dzieje. Zostałam poświęcona mocy otaczających nas kamieni, niby jakiemuś pogańskiemu bóstwu. Uczyniono ze mnie wieszczkę.

– Czyli to prawda! – mruknął Esclas. – Możesz przepowiadać przyszłość. Jeśli nawet nie ma klejnotu Ghussat az-Zeman, ty możesz dać odpowiedź, czyż nie? Potrafisz ocenić wartość proroctw.

– Proroctw – prychnęła. – Czy i wy przychodzicie, żebym powiedziała, czy spełnią się słowa mnicha Joachima?

Lorenzo zeszywniał.

– Skąd o tym wiesz?

– Myślisz, pizański pachołku, żeś pierwszym, który tu wtargnął? Przed tobą byli już różni. Wpierw z polecenia Saladyna rozmawiał ze mną Malik al-Adil, co naturalne, skoro Moab jest w rękach muzulmanów. Zaś jeszcze przed zdobyciem Akki przybył wysłannik króla Filipa. Jak myślicie, dlaczego Francuz tak prędko opuścił szeregi wyprawy krzyżowej? Zrozumiał, że na drodze do Jerozolimy czyha na niego tylko

choroba, może i śmierć, a nic wielkiego zwojować nie zdoła. Próbował tutaj działać przez swoich asasynów Starzec z Gór, jednak nadużywanie haszyszu okazuje się zgubne dla tych, którzy do mnie przychodzą. Byli i inni, posłańcy pana Cypru, cesarza Bizancjum... Zakradali się cichaczem, jak wy. Lecz żaden nie wyniósł stąd pożytecznych wiadomości, a wielu przypłaciło zuchwalstwo życiem. Was oszczędziłam ze względu na pamięć ludu, z którego się wywodzę. Tylko dlatego zamiast wezwać strażę, wstrzymałam upływ czasu, co kosztuje mnie wiele siły. Jak widzicie, żadne tajemnicze przejście, pełne pułapek, nie broni dostępu tego miejsca. Ono potrafi ustrzec się samo. Trzeba wam także wiedzieć, że wszyscy, którzy przybywali ostatnimi czasy, najbardziej chcieli wiedzieć, czy spełni się proroctwo Joachima.

Zapadła cisza. Kobieta poprawiła derkę, szczelniej owinęła nią stopy.

– Jak więc jest z tymi przepowiedniami? – odważył się zapytać Esclas. – Spełnią się?

– A skąd niby mam wiedzieć, rycerzu?

– Przecież sama powiedziałaś, że to wszystko wokół – zatoczył ręką koło – to Ghussat az-Zeman.

– Powiem więcej – uśmiechnęła się – jeśli jeszcze to do was nie dotarło. To ja sama stałam się częścią Ghussat az-Zeman. Każdy, kto przebywa dłużej w tym miejscu, w samym centrum twierdzy, staje się Udręką Czasu. Mury to tylko moc, która skupia się w człowieku.

– W takim razie potrafisz odpowiedzieć na nasze pytania.

– Na pytania, z którymi przychodzicie, nie ma jednej odpowiedzi. Być może w ogóle takowa nie istnieje.

– Nie ma?! Nie wie?! – zawołał Lorenzo. – Ona wie, tylko nas zwodzi! Albo rzeczywiście nie zna przyszłości, a wtedy tracimy darmo czas!

– Znowu zaczynasz? – Esclas skrzywił się z niechęcią. – Prędko odzyskałeś dawny wigor.

Lorenzo zaczął nerwowo biegać po komnacie. Rycerz również wstał, rozprostował ramiona i uczynił kilka kroków.

– Ona nie wie?! – Kupiec wzniósł oczy do góry. – Nie wierzę! Tkwi tutaj wśród zaczarowanych murów i nie wie nic, nie potrafi przepowiedzieć przyszłości?!

– Nikt tego nie potrafi w rzeczy samej – odparła spokojnie kobieta. – Wszak ludzie działają bez ustanku. Mając wolną wolę, nieprzerwanie podejmują decyzje i wprowadzają je w czyn, a to wpływa na kształt przyszłych wydarzeń. Jednak nie przeczę, można je przewidzieć, mając odpowiednie przesłanki. To znaczy, znając prawdę taką, jaka jest ona w tej właśnie chwili.

– Co masz na myśli?

– Choćby was. Jeśli jeden z was dokładnie i do końca wypełni powierzone mu zadania, obaj nie przeżyjecie najbliższych dwóch tygodni. Lecz jeżeli coś się w tym względzie zmieni, inna będzie także wasza przyszłość. Być może...

Esclas z Lorenzem przez chwilę patrzyli na nią w milczeniu.

– Możesz to bliżej wyjaśnić? A przede wszystkim, czy jednak potrafisz odpowiedzieć na najważniejsze pytanie? Skoro rzeczywiście nie można zabrać stąd mocy, przynajmniej niech się tego dowiemy.

– Usiądźcie. Trudno się myśli, kiedy tak biegacie w tę i z powrotem.



Don Bartolomeo zamarł z ręką wyciągniętą nad stołem. Płomień świecy, przygięty od przeciągu, zastygł, jakby został złamany w połowie. Nawet powiew wiatru niosącego portową woń zatrzymał się nagle pośrodku izby. Karta księgi, obracana niesfornym podmuchem, stanęła prosto niczym napięty szkwałem żagiel, nie zamierzając opaść. W szklistych oczach Bartolomea martwo połyskiwał odbłask leżącej przed nim złotej bransolety, którą przygotował w przebłagalnym darze dla córki.



Sinan siedział bez ruchu w pozycji, w której zwykł medytować, z dłońmi złożonymi tuż przed kolanami. Jego źrenice były równie pozbawione wyrazu, jak oczy don Bartolomea. W uchylonych drzwiach stał Hamdan, skręcony w dziwacznej pozie, kiedy usiłował złapać uciekającą spod palców zasuwę. Piersi obu mężczyzn nie poruszały się nawet najbliższym oddechem, złapane w bezlitosne kleszcze pradawnej mocy.



– Chcesz powiedzieć, więdźmo, że przyszedliśmy tutaj na darmo?!

Lorenzo z zaciśniętymi pięściami stał nad Gizelą de Montfort. Odruchowo zasłoniła się ręką jak przed ciosem. Nie wiadomo zresztą, czyby w końcu nie padł, gdyby nagle uniesionej dłoni kupca nie zatrzymał mocny uścisk.

– Więcej szacunku dla szlachetnie urodzonej – warknął Esclas. – Wreszcie, choć drzemią w niej potężne mocy, to jendakowoż tylko stara kobieta!

– Ona nas zwodzi, czy tego nie widzisz? Nie wierzę w całe to gadanie o magii ukrytej w murach. Gdzieś tutaj, może na wyciągnięcie ręki, jest prawdziwy Ghussat az-Zeman! Puść mnie, a wyciągnę z niej prawdę!

– Dlaczego wszędzie wietrzyć podstęp i oszustwo?

– Nie słyszałaś, co powiedziała? Proroctwo Joachima spełni się, jeśli się spełni i tylko tyle! To i ja mogłem rzec już dawno, bez narażania życia na ziemi zajętej przez hordy niewiernych!

– Naprawdę nie wiesz, czy Joachim mówił prawdę? – Esclas spojrzął na niewiastę ze zmarszczonym czołem.

– Nie mogę tego wiedzieć!

– Wy tłumacz, ale tak, żebyśmy mogli zrozumieć.

– Z proroctwami jest tak, że każdy tłumaczy je na własną modłę. Zainteresowani ich spełnieniem zamieniają je w swoich umysłach w to, z czego chcieliby wyciągnąć korzyść dla siebie, a pognębienie dla wrogów. Zatem każdy z nich, zadając to samo nawet pytanie o przepowiednię, w istocie rzeczy pyta o co innego.

– Gdzie zatem leży prawda? – Esclas przeszedł kilka kroków w tę i z powrotem, żeby rozgrzać stopy. I on zaczął odczuwać chłód, o którym wspominała Gizela.

– Widzisz, rycerzu, proroctwa stają się prawdziwe dopiero z chwilą, gdy nastąpią zapowiadane w nich wydarzenia. A i wtedy jeszcze nie wszyscy uznają ich wartość. Spójrz choćby na dzieje Chrystusa. Zapowiadano go wieki wcześniej, pojawiał się na ustach wielu proroków, i to wielkich proroków, a nie tylko jednego marnego mnicha, jak wasz Joachim. A jednak, kiedy przybył, nie uwierzono mu. Gdy na oczach ludzi wypełniło się wszystko, co miało się wypełnić, i tak został przez swoich odrzucony. Wszak do dzisiaj Żydzi wyczekują nadejścia Mesjasza, mając Jezusa za zwykłego kłamcę i szalbierza, szydząc z jego nauk. Zobacz – i dla muzułmanów, choć uznają Go za proroka, nie jest nikim ani niczym więcej. Ludzie nieodmiennie pogardzają proroctwem danym wprost od Boga, a wy mnie wypytujecie o słowa jakiegoś oczadziałego klechy! Pytanie, któremu królikowi uda się przejąć władzę w jakimś tam zakątku świata jest w istocie najważniejsze ze wszystkich! – zakpiła.

Lorenzo znowu się poderwał.

– Posłuchaj, Esclacie. Ona rzuca nam tylko jakieś marne ochłapy prawdziwej wiedzy. A sama zapewne nie posiada żadnej szczególnej mocy!

Rycerz pokręcił głową.

– Czy nie wystarczy ci to, co przedtem ujrzałeś za oknem? Wyjrzyj zatem jeszcze raz. Zobacz księżyc wciąż tkwiący bez ruchu w tym samym miejscu, jak mniemam.

– A skąd mam wiedzieć, że to właśnie jej sprawka? Może czas stanął wcale nie za jej przyczyną? Może jednak gdzieś tutaj jest prawdziwy Ghussat az-Zeman!

Esclas znowu pokręcił głową. Spojrzął na kobietę.

– Czy potrafisz to jakoś udowodnić temu niedowiarkowi? – spytał.

– I tobie przy okazji, nieprawdaż? – uśmiechnęła się. – Jego słowa zasiały niepokój w twoim sercu, przyznaj.

– Przyznaję.

– Dobrze – westchnęła. – Czynię to z niechęcią i obawą, jednak skoro tak trzeba, byście uwierzyli i odeszli... Podejdźcie do okna.

Stanęli przy bogato zdobionych okiennicach, prawie stykając się ramionami. Księżyc rzeczywiście tkwił w tym samym miejscu, co przedtem. Nagle jednak wszystko uległo

zmianie. W mgnieniu oka złotawa tarcza zniknęła za niedalekim pagórkiem, pozostawiając za sobą tylko świetlistą smugę. Gwiazdy również ruszyły z miejsca, a na horyzoncie pojawiła się gwałtownie rosnąca jasna kreska. Niewzruszony dotąd kontur okiennej ramy rozmył się nagle, jakby mury wpadły w drżenie. Mężczyźni jednak słyszeli nic podejrzanego, nie odczuwali żadnych wstrząsów, grunt pod ich stopami wciąż był pewny, aczkolwiek rycerz mógłby przysiąc, że wyczuwa całym ciałem coś nieuchwytnego, nie dającego się opisać, jakby nagle dookoła pojawiły się niewidzialne istoty, a każda z nich dotykała go widmowym palcem.

– Przestań! – zawołał Esclas. – Wierzymy ci! Chyba, że ty potrzebujesz jeszcze jakichś dowodów? – zwrócił się do Lorenza.

Ten pokręcił przecząco głową. Z twarzy odpłynęła mu cała krew, policzki przyjęły barwę bielonej kredą ściany. Ruch księżycy ustał nagle, okno znów wyglądało jak przedtem, a duszne doznania znikły bez śladu, pozostawiając jedynie pewien niepokój.

Rycerz spojrział w stronę Gizeli. Była równie blada jak on, jednak z innej przyczyny. Oddychała ciężko, chrapliwie.

– Co wam, pani? – Esclas natychmiast do niej podbiegł.

– To ze zmęczenia – wydyszała. – Nie jestem już tak silna jak niegdyś. Czas jest przekleństwem.

Jej twarz stawała się coraz bledsza, przywodziła na myśl zetlały pergamin. Zdawało się, że lada chwila skóra stanie się przezroczysta, ukażą się wszystkie, najdrobniejsze nawet żyłki. Zmarszczki pogłębiły się, rysy wyostrzyły, sprawiając, że wydatny nos uczynił się podobny do zakrzywionego orlego dzioba.

– Podać ci wody? Okryć cię? – spytał z niepokojem rycerz.

Kobieta przymknęła oczy, wsłuchiwała się w siebie, po czym pokręciła przecząco głową.

– Zostaw mnie. Zabierz towarzysza i uchodźcie czym prędzej. To nie jest zwykła słabość, będąca skutkiem przemęczenia. Nadchodzi mój koniec... Właśnie teraz, w godzinie, gdy powinnam wykazać się siłą... Wybaczcie... Nie dam rady dłużej powstrzymać upływu czasu. Bo gdy go wpieryw pogałam niczym woźnica batem zaprzęg, a potem musiałam znowu ująć w cugle... To dla mnie stanowczo zbyt dużo. Zbyttno się posunęłam w latach, żeby wyprawiać podobne harce. Kiedy byłam młodsza... Jednak wiedziałam przecież, że kiedyś nadejdzie ten dzień. I oto jest... Jak mówią, Pani Snów zawsze przychodzi niespodziewanie.

– Co ona znowu bredzi? – Lorenzo zbliżył się do nich.

Rycerz spojrział na niego z niechęcią.

– Ta nieszczęsna niewiasta umiera, głupcze. Jeśli chcemy ratować skórę, musimy uciekać.

– Śpieszcie się – szepnęła. – Czasu jest coraz mniej. Gdy znowu ruszy i zastanie was w twierdzy, żołnierze w mgnieniu oka rozniosą was na mieczach. Wiedzą już, że ktoś

wtargnął do twierdzy... I zapamiętajcie... człowiek sam decyduje o swojej przyszłości. Jeśli chcecie przeżyć, jeden z was musi to sobie dobrze przemyśleć. Inaczej niebawem obaj zakończycie swoją podróż po tej stronie świata...

Zamilkła, a z jej piersi zaczął się dobywać świszczący oddech.

– Idźcie już. Zanim... Idźcie, dokąd strażnicy jeszcze tkwią bez ruchu.



– Dziwna noc – powiedział don Bartolomeo. – Zdawałoby się, że przeminęła jak mgnienie oka. Patrz, Vittorio, już wstaje dzień, choć jeszcze przed chwilą panowała ciemność. Zdaje się, że przegapił pienia kogutów.

– Twoja córka dzisiaj płakała.

– Od tego baby mają ślęzy, żeby je łać – Kupiec niecierpliwie strzepnął palcami.

– Opowiedziała mi wszystko. Ona jeszcze nie wie, żeś rozkazał zgładzić owego rycerza, gdyby się dowiedział zbyt wiele. A że się dowiedział, to rzecz pewna.

– Życie, śmierć... Co za różnica, kiedy człowiek umrze?

– Jednak Marii nie jest to obojętne. To bystra dziewczyna, domyśli się wszystkiego, a ciebie znienawidzi.

– Jeśli tak się stanie – wycedził Bartolomeo przez zaciśnięte zęby – własnymi rękami zabiję Lorenza.

Vittorio drgnął zaskoczony.

– Przecież wypełnia tylko twoje polecenia. Jest jedynie twym narzędziem.

Don Bartolomeo zacisnął pięści.

– Zabiję go – powtórzył z uporem. – W tej chwili wołałbym, aby żaden z nich nie powrócił!

– Uważasz, że tylko w ten sposób zdołasz zatrzymać miłość córki?

Kupiec ukrył twarz w dłoniach.

– Gdyby człowiek zawsze potrafił przewidzieć skutki swoich poczynań...

– Gdyby to potrafił – rzekł cicho Vittorio – nie czyniłby nic.



– Dziwna noc – rzekł do siebie Sinan patrząc na jaśniejące niebo.

Hamdan zamknął drzwi.

– Co mówiłeś, panie?

– Dziwna noc – powtórzył głośniejszym szeptem.

– Istotnie. To...

– Miałem widzenie – przerwał mu Starzec z Gór. – Wyjątkowo wyraźną wizję. Spadła na mnie równie nagle, jak teraz dzień za oknem. Stało się coś, czego nie rozumiem. Nagle znalazłem się w Twierdzy Moabskiej, ujęty w kleszcze nieznanymi mi dotąd mocy. Chwyciły mnie, przytrzymały i powiodły w dziwne, groźne miejsca, Trwało to mgnienie oka za ledwie, a jednak ujrzałem chyba zbyt wiele...

Hamdan milczał czekając, czy dowie się czegoś więcej. Sinan zerknął na niego, otworzył usta, jednak zamiast coś rzec, wstał i szybko podszedł do okna.

– Osiodłałeś konia? – spytał, patrząc w błądy błękit nieba.

– Tak, panie. Właśnie szedłem powiedzieć, że zaraz wyruszam.

– Każ go rozkubaczyć. Nigdzie nie jedziesz.

– Ale... Przecież wieści od kupców...

– Nie będzie od nich żadnych ciekawych wieści, mój chłopcze. Wiedzą równie mało, co przedtem, a może nawet jeszcze mniej.

– Czy to było w tym widzeniu, szejku...

– Tak, w tym widzeniu, Hamdan. Nie pytaj o nic więcej.



– Umarła – powiedział Esclas patrząc na odległy przeszło milę zamek.

Dzień wstawał szybko, jakby chciał nadrobić czas, który Gizela de Montfort skradła trzymając słońce pod linią widnokregu.

– Umarła – powtórzył za rycerzem Lorenzo. – Musimy się śpieszyć.

Esclas stał do niego tyłem. Chłodny powiew oplątywał mu wokół nóg materiał tuniki. Konie, ukryte w zaroślach, niecierpliwie stukały kopytami.

– Jedźmy już, na co czekasz? – niecierpliwiał się kupiec.

– Na cios. Na twój sztylet między łopatkami. Ten sam, którym przebiłeś strażnika w korytarzu.

– O czym mówisz?!

– O tym samym, o czym wspomniała Gizela de Montfort. Powinieneś mnie teraz zabić, nieprawdaż? Przypuszczam, że rzucasz nożem równie sprawnie, jak oszukujesz przy ważeniu złota. Na taką odległość jak teraz nie miałbym z tobą wielkich szans, nie zdążyłbym nic zrobić. Zresztą, gdyby nawet, powinieneś chyba spróbować?

– Powiniennem – mruknął Lorenzo. – Ale tego nie uczynię.

– A czemuż to? Odezwało się w tobie sumienie? Czyżby przebyte razem niebezpieczeństwa coś jednak znaczyły?

– Jeślibym cię zabił, z jakichś powodów nie przeżyję nawet dwóch niedziel. Chyba do mnie właśnie to mówiła... Tak myślę. Może bredziła, a może nie... Jakby nie było, nie mam chęci umierać.

– Ach – roześmiał się Esclas. – Jednak w to uwierzyłeś? Chcesz zatem oszczędzić

moje życie nie w porywie szlachetności, ale ze zwyczajnego kupieckiego wyrachowania? Odpowiedz!

– Jedźmy już. Nasi mocodawcy czekają na wieści. Ciekawe, czy spodziewają się, że mogą być one takie... nijakie.

– Odpowiedz na moje pytanie, Lorenzo!

– Jedźmy!

Kuszenie pośród piasków

Spod kopyt wierzchowca pryskały fontanny piachu. Suche palce wiatru poufale pieściły rozwiane włosy jeźdźca. Zaraz za rogatkami miasta zrzucił zawój, wystawił twarz na podmuchy płynące z głębi pustyni. Pośród kruczoczarnej burzy falujących pukli można było dostrzec kilkanaście srebrnych nitek utkanych przez troski ostatnich dni.

Znikły gdzieś z tyłu zielone połacie nawodnionych pól wokół Jerozolimy, przed oczami rozciągała się już tylko bezkresna pustynia, surowa i groźna jak wysmagane wichrem oblicze starej kobiety, a jednocześnie pociągająca niczym nabrzmiałe życiem łono hożej dziewczyny. Gdzie jechać? W jakim kierunku wypuścić rączego rumaka? Na wschód, w stronę Martwego Morza, Al-Bahr al-Mayyit, czy ku Al-Halil, mijając po drodze Betlejem, gdzie podobno przyszedł na świat prorok Jezus? Czy to nie wszystko jedno? Piasek i kamienie wszędzie wyglądają tak samo. Jeśli przygoda czeka, spodziewać się jej należy w każdej stronie. A może zdać się na los, rzut dirhema albo po prostu wyczucie zwierzęcia? Niech poniesie tam, gdzie go skierują niewidzialne ręce Najwyższego. Antares zarżał głośno, jakby odpowiadał na wątpliwości swego pana. Antares... jedyne co pozostało po dzielnym Al-Ghadbanie, który złożył życie w ofierze, ratując sułtana. Salah ad-Din... jego królewski brat... Z pewnością będzie się gniewał, że Malik mimo nawału obowiązków wyjechał z Jerozolimy, nie opowiadając się nikomu, nie mówiąc, kiedy wróci. Dwa dni, bracie. Daj mi dwa dni swobody. Niczego więcej nie żądam.

Przemknęły przed oczami niedawne wydarzenia. Potężny ifryt mknący przez pustynię, zmęczone i postarzałe oblicze sułtana, oszalałe oczy Fatmy, pomarszczona twarz mędrca al-Hadžiba, błękit źrenic ibn Suana... Powiadają, że błękitne oczy przynoszą nieszczęście...

– Zostawcie mnie w spokoju! – krzyknął Malik. – Zostawcie mnie powszednie duchy, które wysysacie życie i potraficie zwarzyć w żyłach krew! Dziś chcę zażyć wojackiej przygody, napotkać choćby największe, ale zwyczajne niebezpieczeństwa! I niechże okażą się czym innym niż codzienne troski!

Antares znów zarżał donośnie. Słońce chyliło się coraz bardziej ku zachodowi. Za

chwile zniknie, pozostawiając świat siłom ciemności. Którą stronę wreszcie wybrać? Dokąd prowadzi ścieżka przeznaczenia? W chwili, kiedy chciał powstrzymać wierzchowca, by zebrać myśli, ten nagle stanął jak wryty, omal nie wyrzucając go z siodła. Malik al-Adil spojrzał zdziwiony. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się, żeby posłuszny koń okazał taką samowolę.

– Co... – zaczął, ale natychmiast przerwał, bo Antares szarpnął się i prychnął.

Malik ściągnął wodze, zaczął się uważnie rozglądać. Niepokój rumaka udzielił się i jemu. Czyżby przygoda zaczynała się już tutaj, o kilka staj od Jerozolimy? A może konia spłoszył groźny podmuch płynący gdzieś znad ogromnych połaci Arabii, od Gabal al-Adiyat? Stamtąd przybył ów tajemniczy demon, który usiłował zgładzić prawowierne wojska Salah ad-Dina. Jednak wiatr wieje przecież z innej strony, z północnego wschodu, gdzie o dwa dni drogi od przyjaznych murów pięknego Damaszku można znaleźć wzgórze Antylibanu. Znow donośne parsknięcie, koński łeb kieruje się w bok, a kopyta wybijają szybki rytm, kiedy zwierzę boczy się i usiłuje wyrwać z żelaznego uchwytu smagłej dłoni. Tak! Oto przyczyna niepokoju Antaresa. Tam, opodal, może o czterdzieści, może pięćdziesiąt kroków, wznoszą się kłęby piachu. Jakby węże toczyły śmiertelny bój albo muad'dib zapamiętałe kopał swoje jamy. Ale czy skoczek pustynny zdolny jest wyrzucić spod drobnych łap taką strugę piachu? Malik zeskoczył z siodła, ostrożnie ruszył w tamtą stronę. Jeśli to zwyczajne wężowe gody, nie trzeba przeszkadzać. Gady potrafią okrutnie zemścić się na tym, kto, wiedziony niewczesną ciekawością, przerwie im miłosne igraszki. W dzieciństwie Malik słyszał opowieść o podróżnym, który w podobnych okolicznościach zakłócił spokój rogatym żmijom. Ścigały go potem wszędzie, aż wreszcie dopadły w meczecie, gdzie, jak uważał, mógł czuć się przed nimi zupełnie bezpieczny. Od śmierci uratował go tylko kamień, który, trącony miłościwym palcem Allaha, spadł ze sklepienia świątyni wprost na mściwe węże. Pewnie to tylko zwyczajna baśń, jakich wiele krąży wśród Beduinów, ale ostrożności nigdy za wiele. Może Allah postawił na drodze księcia jednego z demonów, od których roi się w głębi skalistych pustaci... Podobnie wznosi się ponoć kurz się spod stóp dżinna Sachra, któremu rozgniewany nieposłuszeństwem Sulejman kazał nosić na plecach wielką skałę. Buntowniczy duch, niewidzialny i obarczony brzemieniem, wściekły i rozgorączony, przechodząc obok podróżnych złośliwie obsypuje ich znieńska chmurami piachu, budząc popłoch i zdumienie. Ale Sachr krąży gdzieś nad Jeziorem Tyberiadzkim, a już na pewno nie zapuszcza się w te strony. Lecz przecież na świecie nie ma nic pewnego, a wola Boga bywa nieodgadniona.

Powoli, zgięty we dwoje, skradał się, uważnie obserwując wznoszące się coraz wyżej i gwałtowniej strugi piachu. Trudno było rozeznąć kłębiące się na ziemi kształty, rozmazane, jakby spowijała je gęsta mgła. Jeszcze dwadzieścia kroków, jeszcze dziesięć, pięć... Malik nagle wyprostował się, spojrzał z góry na zjawisko. To nie węże

ani duch. Trudno mu było w to uwierzyć, ale na ziemi ujrział sokoła. Nie pustynnego jastrzębia czy sępa, ale sokoła, jakich możnowładcy zwykli używać do polowań. Ptak miotał się po ziemi, najwyraźniej próbując wzlecieć, coś mu jednak przeszkadzało, uniemożliwiało rozwinięcie skrzydeł.

Malik stanął nad zwierzęciem. Zamarło natychmiast, łypiąc tylko bystrym okiem na potężną postać. Potem szarpnęło się gwałtownie, zakwiliło żałośnie.

– Nie bój się, braciszku – odezwał się łagodnie Malik. – Pomogę ci, jeśli tylko zdołam. Nie bój się.

Powoli, ostrożnie wyciągnął rękę. Piers przeszył nagły ból przypomnienia. Niedawno podobnym gestem próbował przywołać do siebie swoją szaloną siostrę... Przemawiał do niej takim samym łagodnym głosem. I tak jak teraz, księżyc wznosił się nad światem, żegnając i błogosławiąc ostatnie promienie słońca. Tyle że wtedy przebijał się mozolnie przez drewnianą maszrabiję zamocowaną w oknie, a teraz jawił się na niebie w całej okazałości.

– Nie bój się – powtórzył książę przez ściśnięte gardło – nie zrobię ci krzywdy.

Zawinał wokół dłoni rąbek obszernego izara. Doskonały mosulski jedwab, z którego utkano płaszcz, powinien być na tyle mocny, żeby pohamować impet uderzenia potężnego dzioba, jeśli przerażone zwierzę zechce się bronić. Sokół wlepił w niego spojrzenie paciorkowatych oczu. Powoli, jakby z namysłem, mrużył i rozchyłał powieki. Znieruchomiał, najwyraźniej czekając, co uczyni niespodziewany przybysz. Dopiero teraz Malik mógł dostrzec, co przeszkadzało zwierzęciu poderwać się do lotu. Prawe skrzydło spętane było grubym rzemieniem, ciągnącym się od nogi przez grzbiet. Widać nieszczęśnik spadając na ofiarę i wzbijając się z powrotem w powietrze, zaplątał się w zbyt długi pas.

– Wysmagać by należało sokolnika, który ma nad tobą pieczę – mruknął Al-Adil. – Tak zmarnować piękne zwierzę! Mam nadzieję, żeś nie połamał kości.

Pochylił się nad ptakiem, gotów w każdej chwili podstawić zabezpieczoną jedwabiem rękę. Jednak sokół nie okazywał lęku. Pozwolił dotknąć lśniących piór, pogłodzić nastroszoną szyję.

– Tak, maleńki bracie – mówił łagodnie Malik – pomogę ci, jeśli tylko pozwolisz. Uwolnię cię z więzów.

Sokół przymrużył nieco ślepią, i już bez protestu poddał się zabiegom człowieka. Al-Adil powoli, ostrożnie, starając się nie sprawić mu bólu, rozwijał rzemień.

– Kto to widział krępować sokoła czymś takim. Jakby nie wystarczył krótki sznur przywiązany do łapy. Spokojnie, mój piękny, zaraz będziesz wolny.

Sokół w odpowiedzi zakwilił cichutko. Otworzył oczy, uważnie śledząc ruchy człowieka.

– Powiadają – rzekł Malik – że najcenniejsze są sokoły z Armenii. Za pisklę z nasienia dobrego ptaka chcą tyle, co za dorosłego, zdrowego niewolnika. Niektórzy

władcy nadają swoim sokolnikom nawet godność emira. Czytywałem niegdyś uczone i napuszone traktaty na temat układania sokołów, ale w istocie rzeczy tylko tyle z nich wyrozumiałem, że jeśli ptak dobry, to łatwo go wyuczyć, a jeśli głupi, i dziesięć lat będzie mało. To jak z ludźmi. Ty zaś jaki jesteś? Sądząc z twego zachowania, zaliczyć cię można do mądrych.

Uwolniony sokół próbował rozprostować skrzydło, ale zaraz podkurczył je, skrzecząc z bólu.

– Pokaż – Malik wyciągnął rękę. Ptak odskoczył. – Nie bój się, braciszku. Nie zrobiłem ci krzywdy do tej pory, nie uczynię nic złego i teraz.

Sokół niechętnie podstawił skrzydło. Człowiek zbadał je uważnie.

– Nie wygląda na złamane. Może zdrewniało, a może coś sobie w nim naderwałeś przy szarpaninie. Teraz nic na to nie zaradzimy.

Znowu zawiął dłoń w jedwab.

– Wskakuj – powiedział podstawiając ją tak, żeby ptak mógł na nią wejść.

Sokół posłusznie wdrapał się na rękę, wbił zakrzywione pazury w materię. Uszkodzone skrzydło odstawało nieco od zwartego, umięśnionego ciała, kiedy mościł się wygodniej. Malik poszedł do czekającego cierpliwie Antaresa. Lecz kiedy zbliżył się na kilka kroków, koń poderwał łeb, parsknął i odskoczył. Al-Adil postąpił krok, Antares natychmiast cofnął się, potrząsając grzywą. Człowiek cmoknął niecierpliwie.

– Chodź tu – rzekł ze złością. – Obawiasz się zwyczajnego sokoła? Myślałby kto, żeś nigdy nie był na polowaniu z ptakami!

Antares zastrzygł uszami, spojrział przekręcając głowę tak, żeby widzieć Malika jednym okiem, a mdły mrok pustyni obserwować drugim. Znowu krok człowieka w przód, a wierzchowca w tył.

– Stój! – głos wzniósł się ton wyżej. – Dali ci greckie imię i uparty jesteś jak prawy Grek! Stój, bo pierwszy raz w życiu posmakujesz bata! Oddam cię kuglarzom i będziesz występował na bazarach ku uciechu gawiedzi! – wyciągnął przed siebie wolną rękę, zgął palce w geście przywołania. – Chodź!

Niechętnie, jakby przełamywał opór niewidzialnej tafli wyrosłej nagle między nimi, Antares ruszył, posłuszny wezwaniu. Łypał podejrzliwie to na człowieka, to na sokoła. Malik poklepał konia po smukłej szyi. Dziś jednak zwierzę nie odwdzieczyło się zwyczajnym w takich razach dotknięciem chrapami policzka swojego pana. Za to zarżało donośnie, podnosząc wysoko łeb i węsząc niczym myśliwski pies. Malik pokręcił głową. Ruszył z Jerozolimy, żeby odetchnąć od codziennych spraw, zwyczajnie powłóczyć się pośród piasków i skał, może nawet zażyć przygód, a nie użerać się z własnym podjezdkiem. Co się stało temu zwierzęciu? Tak doskonale ułożony rumak nie powinien się zachowywać w ten sposób bez wyraźnego powodu! Malik zerknął podejrzliwie na sokoła. Ptak jak ptak, nic w nim szczególnego. Właśnie zaczął sobie układać i wygładzać pióra, postrzępione podczas rozpaczliwej samotaniny

w ciasnych objęciach rzemienia. Al-Adil splunął ze złością. Słońce zdążyło już zniknąć za linią horyzontu, tylko księżyc w pełni sączył blade światło w coraz chłodniejsze powietrze.

– Nie ruszaj się, Antares – mruknął Malik, mocno przytrzymując siodło. Ostrożnie posadził sokoła na krótkim łuku. – I nie spłosz biedaka. Gdyby teraz spadł, mógłby sobie zrobić krzywdę.

Antares odwrócił łeb w jego stronę, spoglądając z wyrzutem.

– No i czemu tak patrzysz? Przecież nie podźwigniesz się, jeśli on pojedzie ze mną! Co ci szkodzi wziąć to stworzenie ważące nie więcej niż cztery ratle? O ile dobrze pamiętam, swego czasu bez wielkich protestów niosłeś dwóch ludzi z Nazaretu aż do Hajfy – spojrzał prosto w tarczę księżycyca i zaklął ze złością. – Synu przeklętych duchów! Przez twoje kaprysy zupełnie zapomniałem o wieczornej modlitwie! Mój grzech niech spadnie dzisiaj na twoje zatwardziałe w nieposłuszeństwie serce! A teraz już stój, jak należy!

Ptak posłusznie przeniósł się z ręki człowieka na siodło. Antares rzucił głową w drugą stronę, jakby nie chciał patrzeć na nakładane na niego brzemię. Malik obejrzał jeszcze raz sokoła, potem lekko wskoczył na koński grzbiet. Trącił wierzchowca piętami.

– Zdecydowałem. Jedziemy nad Al-Bahr al-Mayyit. Może widok jego leniwych i jałowych wód rozproszy moje ponure myśli. Chcę zobaczyć coś bardziej martwego i godnego politowania niż ludzka dusza! Chociaż niektórzy powiadają, że, wbrew pozorom, w tamtejszych głębinach bujnie kwitnie tajemne życie. Tak czy inaczej, w drogę.

Lecz w chwili, kiedy zawrócił konia ku wschodowi, sokół zaczął kwilić, przestępować prędko z nogi na nogę i przekręcać łeb w prawo.

– A ty czego znowu chcesz? Mam cię może zawieźć do twojego nieudolnego pana? Jeśli nie umie obchodzić się z ptakami, niech sam cię poszuka. Ruszaj, Antaresie.

Jednak ledwie wierzchowiec uczynił krok, sokół znów zakwilił żałością, a pazury na łuku zacisnął tak mocno, że przebiły barwny, bogato wyszywany materiał i zazgrzytały o twarde drewno.

– Następny – westchnął Malik. – Co dzisiaj opętało te zwierzęta? Chcesz jechać na południe? Niech i tak będzie, jeśli tylko cię to ma uspokoić. Mnie w końcu jest wszystko jedno – zawrócił rumaka. – Jedźmy zatem za twoim dziobem, sokole. Prowadź. Jednak weź pod rozwagę, że chętnie tej jeszcze nocy ułożyłbym strudzone kości na spoczynek przy jakiejś oazie. W tym kierunku najbliższej chyba będzie al-Warad. Ale musimy się spieszyć, jeśli mamy zdążyć przed północą.

Sokół uspokoił się, położył kształtny łepiek na zdrowym skrzydle i zdawał się podrzemywać. Ile razy jednak Malik próbował chociaż odrobinę zboczyć z obranego kierunku, podrywał się i kwilił. Antares, wyraźnie niezadowolony, od czasu do czasu

przekręcał łeb, żeby obrzucić swego pana pełnym wyrzutem spojrzeniem.

Malik wyduł wargi w zamyśleniu. Niby nierozumne tworenia, a zachowują się zupełnie tak samo, jak potrafią to czynić tylko wyjątkowo krnąbrni poddani. Każdy ciągnie w swoją stronę, nie bacząc, czy jego cel nie stoi w sprzeczności z pragnieniami innych. Wieczne wzajemne pretensje, wieczne waśnie, gotowość do buntu. Ale na zwierzęta można przynajmniej użyć rzemienia, zmusić je do posłuchu brutalną siłą. Z ludźmi nie zawsze się to udaje, nawet jeśli wiedzą, że dla własnego dobra powinni poddać się mądrym, choć bolesnym decyzjom. Co jeszcze przyniesie ta noc?



– Allah – zawołał Al-Adil. – Czy widzę to, co widzę, czy też nocne dżinny chcą zwieść moje zmysły?

Namiot pojawił się na ich drodze niespodzianie, jakby nagle wyrósł spod ziemi. Malik przetarł oczy. Czyżby zasnął w siodle? A może cały czas śpi, choć jest święcie przekonany, że czuwa? Bywają takie chwile, kiedy jawa łączy się z nocnymi majakami tak mocno, że trudno je od siebie odróżnić i oddzielić. Przygryzł mocno dolną wargę. Boli. Zatem to raczej nie sen... W mdłym świetle księżyca białe sukno połyskiwało srebrnymi i złotymi zdobieniami. Ogromny namiot, podobnego nie powstydziliby się największy królewski majestat. Nawet wspaniała konstrukcja, którą Salah ad-Din woził ze sobą na objazdy kraju w czasach pokoju, nie mogła być większa.

– Skoro dobry Bóg postawił na mojej drodze to dziwo, musi mieć jakiś cel. Nic na świecie nie dzieje się bez powodu. Jak myślisz, Antaresie?

Zmęczony koń, usłyszawszy swoje imię zastrzygł uszami.

– Marzy ci się wodopój i obrok, przyjacielu. Można powiedzieć, że mnie też. A ty, sokole, co o tym sądzisz?

Ptaka zerknął bystro i zakwilił. Potem nastawił dziób prosto w stronę wejścia do namiotu.

– Mam nieodparte wrażenie, mój pierzasty towarzyszu – rzekł z namysłem Malik – że wiesz coś, co raczej ja powinienem wiedzieć. Bo tak, jak jest w tej chwili, nie mogę odgadnąć, czy prowadzisz mnie prosto w objęcia niebezpieczeństwa, czy raczej gdzieś, gdzie zaznam życzliwości ludzkiej i skorzystam z prawa gościnności. Ale zgoda. Skoro wypuściłem się szukać przygód innych niż walka z wojskami Franków i zapragnąłem oderwać od codziennych trosk, pójdę dalej za twoim dziobem. Jesteś dziś dla mnie tym, czym zawieszona na nitce igła bywa dla zabłąkanego żeglarza.

Zeskoczył z siodła. Prowadząc wierzchowca krótko przy pysku, odrzucił zasłaniającą wejście płachtę. Stał jak wryty. Wnętrze namiotu wypełniało łagodne, ale jasne światło. Nie pochodziło z ogniska, pochodni czy oliwnych lamp, ale sączyło się zewsząd, jakby sprawny rzemieślnik schwytał w sploty materiału promienie porannego

słońca. Bogaty haft zdawał się kłuć w oczy nadmiarem barw, począwszy od nieśmiałych zieleni, przez głęboką purpurę aż do jasnego złota. Lecz tym, co wzbudziło największe zdziwienie Malika, był suto zastawiony, niski stół otoczony miękkimi poduszkami, a przede wszystkim przygotowany w kącie rzeźbiony koniowiąż z wiadrami i obfitym obrokiem. Wtłoczona pod samą ścianę stała ozdobna cysterna z wodą.

Al-Adil wszedł powoli, ostrożnie, rozglądając się uważnie na boki. Krok w krok za nim postępował Antares wraz z chwiejącym się na łęku w rytm końskich kroków sokołem. Żywego ducha. Starzy ludzie mówią, że w takich cudownych namiotach mieszkają czasem dzinnije, wodzące na pokuszenie wyznawców Proroka. Jednak wtedy w powietrzu unosić się powinien zapach niewieścich pachnideł. Tutaj Malik czuł tylko woń potraw i kwiatów. Ledwie weszli dalej, sokół zakwilił, rozwinął skrzydła i zgrabnie sfrunął z siodła, siadając na rzeźbionej poręczy koniowiązu.

– Takiś jest chory? – powiedział bez złości Malik. Ciekawość i niezwykłość otoczenia stłumiły gniew. – Skrzydła, jak widzę, masz całkiem zdrowe i mocne.

Ptak przyglądał mu się uważnie, przechylając głowę na boki. Potem pofrunął na krawędź cysterny, zanurzył dziób w wodzie. Zaraz zeskoczył na dół, skubnął owsa z obroka.

– Chcesz mi pokazać, że nie są zatrute? – Malik podprowadził wierzchowca bliżej. Jak jest, tak jest, co będzie to będzie, ale zwierzęciu tak czy inaczej należy się odrobina wytchnienia.

Poluzował nieco popręg, wyjął z końskiego pyska wędzidło, napełnił wiadro wodą.

– Jedz i pij. Kto wie, może twoja siła na coś się jeszcze przyda.

Sam skierował się ku zastawionemu stołowi, spoczął na miękkich poduszkach. Było tu wszystko: mięsiwa, jarzyny, ciasta, nawet słodka baklava, chałwa ciemna, chałwa jasna i złocista, owoce, w tym także jego ulubione żółte daktyle, dzbany z napojami, a w przezroczystej flaszki kusił cytrynowy szербet. Ślina napłynęła księciu do ust. Już wyciągnął rękę po jęczmienny placek, już prawie chwycił kawał jagnięcego udźca, kiedy przyszło otrzeźwienie. To, że koński obrok nie został zatruty, nie oznacza wcale, że do tych tutaj potraw nie dodano tajemnych substancji. Wstał niechętnie, poszedł do Antaresa. Z juków wydobył chleb i suszone mięso, odpiął miecz i łuk. Do podróżnego kubka zaczerpnął wody z cysterny. Wrócił na poduszki, złożył broń obok siebie, pod ręką. Jeśli Prorok Muhammad potrafił opierać się największym pokusom, tym bardziej on, syn pustyni, powinien oprzeć się byle jadłu. Żuł twarde włókna, z żalem patrząc na marnujące się jedzenie. Do rana łakocie obeschną, mięso zepsuje się w jutrzejszym upale, a napoje zaczną fermentować. Ptak przyfrunął, usiadł obok stołu i schował łepkę między skrzydła.

– Dziwny z ciebie sokół – powiedział z zastanowieniem Malik. – Zasypiasz jak jakiś zwykły oswojony kos, byle gdzie, potrafisz się obyć bez kaptura, umiesz odnaleźć

drogę w ciemnościach. Biegły był ten, kto cię układał.

Przymknął piekące ze zmęczenia oczy. To tylko na chwilę, powiedział sobie, niech źrenice odpoczną od światła. Zaraz trzeba będzie rozkleić powieki, podjąć czuwanie. Cóż, sam przecież chciał ruszyć w drogę, ku nieznanemu, nikt go nie zmuszał, a wielu by się wręcz i gwałtownie sprzeciwiło, gdyby wyjawiał tak lekkomyślne plany. Nie pora teraz żałować decyzji. Przed oczami zatańczyły kolorowe plamy, pojawiły się jaskrawe kręgi. Trzeba otworzyć oczy, zanim nadejdzie sen, by porwać ofiarę w zdradzieckie objęcia.



– Zbudź się, Maliku al-Adilu! Nie pora na odpoczynek, gdy ktoś cię potrzebuje, sajjid! Zbudź się, książę! Koran nakazuje nieść pomoc tym, którzy o nią proszą!

Malik zerwał się z poduszek. Niech to szejtan! Zasnął jednak! W muskularnym ręku błysnął obnażony miecz doskonałej frankijskiej roboty. Sprawny zachodni rzemieślnik wykuł go z doskonałej stali, a książę otrzymał klingę w darze od samego króla Jerozolimy. Lśniła jak lustro i niby w lustrze można się było w niej przejrzeć. Tam, gdzie w dwóch trzecich głowni kończyły się zbocza, a zaczynała ość, w płaszczyźnie schodzącej ku ostrzu, doskonale odbijały się kształty i cienie. Lepszą broń robili chyba tylko starożytni mistrzowie z dalekich, zapomnianych już krajów. Ale może opowieści o nich to też tylko bajędy, przesadzone grubo gadki, jakie ludzie lubią prawić o dawniejszych, lepszych czasach.

Głos... Skąd jednak głos, skoro nikogo nie widać? Antares odpoczywał ze zwieszonym łbem. Człowiek podejrzliwie spojrzął na sokoła. Ale ten tylko patrzył zaniepokojony, zbudzony nagłym ruchem. Po chwili znów wtulił łeb między skrzydła. Al-Adil odetchnął. Pewnie mu się ten głos tylko przyśnił. Legł na posłaniu.

– Nie układaj się na spoczynek, sajjid! Nie pora!

– Kim jesteś? Gdzie jesteś? – Malik znów stał na równych nogach, a miecz zatoczył lśniący krąg, kiedy obracał się, żeby dostrzec mówiącego.

– Jestem i tu, i tam – odparł głos. Był głęboki, huczący, jakby wydobywał się z bezdennej otchłani. – Niedaleko ciebie. Znajdziesz mnie, jeśli tylko dobrze poszukasz.

Antares poruszył się gwałtownie, zaniepokojony, a sokół poderwał się i niczym pocisk zaczął latać po całym namiocie, kwiląc i skrzecząc.

– Odkryj drogę do mnie, sajjid! Nie przystoi księciu stać niby kołek z otwartymi ustami, ze strachem w sercu.

– Nie przestraszyłem się niegdyś okrutnego demona na pustyni – warknął rozdrażniony lekceważącym tonem Malik – to i ciebie się nie zlekne, kimkolwiek jesteś. Powiedz tylko, jak cię znaleźć.

– Dzielny jesteś, książę. Ale moc człowieka zawiera się nie tylko w pięści. O jego

potędze świadczy też rozum. Słuchaj uważnie. Znajdziesz mnie tu, pośród pustyni, ale przebywam tam, gdzie nie dociera słoneczny upał dnia ani chłód nocy.

Zupełnie jak w starych opowieściach, przemknęło Malikowi przez głowę. Zagadki i pułapki. Ale ta akurat wydawała się prosta. Spojrzał na sokoła, który znów spoczął na poduszkach.

– Siedzisz pod ziemią, czy tak? A gdzieś tutaj jest wejście?

– Szybko myślisz, sajjid. Szybko i trafnie. Powinieneś więc bez wielkiego trudu znaleźć wrota do mego domostwa. Aby do nich dotrzeć, musisz odrzucić i zniszczyć to, co znalazłeś tutaj najcenniejszego. A teraz możesz się pożywić. Przysięgam na groby moich przodków, że nie ukryłem w potrawach trucizny. Tylko śpiesz się, bo czasu mało, a wrota gotowe stopić się ze skałą i nigdy nie dowiesz się, co straciłeś, a co mogłeś zyskać.

– Jesteś džinnem? One lubią zamęczać ludzi zagadkami.

– Kim jestem, przekonaj się sam.

Malik sięgnął po daktylę. Gdzieś tutaj są drzwi. Na pewno zostały ukryte pod kobiercami, inaczej byłoby je widać. Przeszedł namiot wzdłuż i wszerz, stukając końcem miecza w pokrytą dywanami ziemię. Odpowiadał mu tylko lekki poszum materii grzęznącej w piasku. Drzwi są tam, gdzie najcenniejsza rzecz. O czym on mówił? Spojrzał na stół. Tak, to wielka pokusa, niewątpliwie największa, jaką od chwili wyruszenia z Jerozolimy napotkał na swej drodze. Ale to byłoby chyba zbyt proste. I ta wskazówka, że może jeść bez obawy, jakby tajemniczy głos chciał skierować jego myśli właśnie w tym kierunku... Rozejrzał się. Przecież tu wszystko kapie od złota. Może trzeba zniszczyć coś, co tylko wydaje się najcenniejsze? Jakiś bogato zdobiony, wysadzany klejnotami kielich? Jednak, z drugiej strony, może tu właśnie było sedno sprawy – żeby zaczął przechytrzać zagadkę i na koniec przechytrzył sam siebie. Rzecz najcenniejsza... Może jednak to, czego ludzie pożądają najbardziej – złoto? Ale cóż znaczy złoto pośród piasków?! Blichtr i mierzwa. Bo niech kto spróbuje kupić w sercu pustyni kubek wody za całego wielbłąda objuczonego koszami pełnymi skarbów! Kubek wody... Zaraz... Woda?... Tak, to może być rozwiązanie!

Zdecydowanym krokiem podszedł do cysterny, napełnił wiadra, z żalem popatrzył na mieniącą się w dziwnym świetle namiotu powierzchnię cieczy. Chwycił krawędź naczynia, szarpnął z całej siły. Prawie nie poczuł oporu, jakby ciężki zbiornik został zamocowany na dobrze naoliwionych zawiasach. Przewrócił się, wylewając na bogate kobierce całą pozostałą zawartość.

– Doskonale – powiedział głos. – Rozwiązałeś zagadkę. Możesz wejść.

Książę z niedowierzaniem patrzył jak powoli rozstępują się wierzeje ukryte na ziemi. Spodziewał się ujrzeć ciemny korytarz i kręte schody. Zamiast tego zobaczył łagodnie schodzący w dół chodnik, oświetlony podobnie jak wnętrze namiotu.

– Niech Allah i archanioł Dżibril mają mnie w swojej opiece – Odwiązał wodze

Antaresa od koniowiazu. – Czekaj na mnie tutaj, przyjacielu. Ale na wsiedli wypadek daję ci wolność. Gdybym nie wrócił, jeśli taka twoja wola, jedź do mojego brata. Służ mu tak samo wiernie, jak przedtem dzielnemu Al–Ghadbanowi, a teraz mnie.

Ujął mocno rękojeść miecza i ruszył na spotkanie z nieznanym. Sokół sfrunął mu na ramię, wystawiając przed siebie dziób. Malik podniósł rękę, żeby go zrzucić, jednak powstrzymał go niepokojący głos.

– On pomoże ci do mnie dotrzeć. Sam sobie nie poradzisz, sajjid.



Malik szedł już od dłuższego czasu. Był zadowolony, że nie przegnał sokoła, gdyż podziemia okazały się prawdziwym labiryntem. Podobne można podobno znaleźć tylko we wnętrzu piramid opodal Kairu. Gdyby nie ptaszysko, księżę niechybnie pobłądziłby w płataninie korytarzy. Za każdym razem, kiedy trzeba było skręcić, mały przewodnik kwilił i kierował dziób w odpowiednią stronę. Swoją drogą, cóż to było to za zadziwiające stworzenie! Al–Adil nigdy by nie podejrzewał w myśliwskim ptaku takiej mądrości. Znane mu dotąd sokoły bywały raczej głupawe i poza sprawnością łowiecką, połączoną z dość na ogół problematycznym posłuszeństwem, nie imponowały przymiotami umysłu. Dlatego wolał polować z gepardami. Po takim kocie przynajmniej wiadomo było, czego się spodziewać, zaś dobrze ułożony gepard bywa bodaj lepszy niż najstaranniej ułożony myśliwski pies. Jednak ten ptak był zaiste wyjątkowy. Ale skoro należał do kogoś, kto był na tyle potężny, żeby wykuć w skałach pod pustynią taki gąszcz korytarzy, może nie był zwykłym ptakiem, ale czymś więcej?

– Przyznaj się. Jesteś džinnem – powiedział do sokoła.

Ten łypnął tylko okiem bez wyrazu, zaskrzeczał i skierował dziób w lewo. Al–Adil posłusznie skręcił.

– Jeśli nie jesteś džinnem pod postacią ptaka, to czym? Zaklętym człowiekiem? Zaczarowanym duchem?

Oczywiście odpowiedzi ani nie było, ani jej księżę nie oczekiwał. Ptak to tylko ptak, choćby nie wiadomo jak doskonale wyuczony. Ale tak czy inaczej to zadziwiające. Doprawdy zadziwiające...

– Daleko jeszcze? – powiedział to tylko, żeby przerwać ciszę zakłócaną jedynie krokami i głosem sokoła.

– Jesteś prawie u celu – odpowiedział niespodziewanie głos. – Za chwilę wejdiesz do obszernego korytarza, a raczej czegoś w rodzaju przedpokoju. Ujrzysz tam trzydzieści troje drzwi. To na cześć wielkiego Iskandara, bo tyle sobie liczył lat, kiedy skonał otruty przez tych, których uważał za wiernych towarzyszy. Znajdź właściwe drzwi, a ja będę czekać za nimi.

Malik skrzywił się. Kolejna zagadka.

– Dasz mi jakąś wskazówkę?

– Już ją otrzymałeś, sajjid. W trzydziestym trzecim roku życia zmarł Iskandar, a tu jest trzydzieści dwoje drzwi. Myśl i postaraj się to rozwikłać. Patrz uważnie wokół siebie, nie lekceważ niczego. Odpowiedź jest zarówno w tobie, twojej wiedzy, jak i w tym, co dostrzeżesz w otoczeniu.

– Czy chodzi ci o tego, którego wspomina Koran, a którego zwano Iskandar Zu'l-Karnain, Pan Dwu Rogów?

– Tak, sajjid. Zu'l-Karnain.

– Czy ów przydomek to właśnie wskazówka?

Lecz głos tym razem nie odpowiedział.

Malik pokonał kolejny zakręt i zmrużył oczy, porażony zniecacka jaskrawym światłem. Dopiero po chwili zdołał przyzwyczaić się do ostrego blasku. Obszerny korytarz, powiedział tajemniczy właściciel głosu? Przedpokój? Tak wielkiego przedpokojku książę jeszcze nie widział. Zmieściłyby się w nim co najmniej cztery pałacowe sale audiencyjne. Wzdłuż śnieżnobiałych ścian odcinały się ostrymi konturami ciemnobrązowe drzwi. Szybko przeleciał po nich wzrokiem, policzył. Jedenaście na ścianie po lewej jedenaście po prawej i tyleż samo naprzeciwko, na ścianie zamykającej korytarz. Teraz musi odgadnąć, które są właściwe.

– A co mnie czeka jeśli wybiorę nie te, które trzeba? – spytał głośno. – Śmierć, niewola czy jeszcze gorszy los?

Odpowiedziała mu cisza, tylko sokół na ramieniu poruszył się niespokojnie.

– Chciałem przygód, mam przygody – powiedział Malik, krzywiąc się.

Niespiesznie zaczął obchodzić ściany, przyglądać się uważnie wszystkim drzwiom po kolei. Na pierwszy rzut oka niczym się nie różniły. Żadnych znaków, nic, co mogłoby stanowić jakiś trop. Ściany gładkie, w dotyku wręcz miękkie, jakby zostały pokryte aksamitem. Jedynym nieoczekiwanym i nieco zadziwiającym zjawiskiem okazało się to, że zamykająca korytarz ściana była dość mocno wybrzuszona do wewnątrz. Nie dało rady dostrzec tego stojąc z dala, ale z kilku kroków krzywizna stawała się dość wyraźna. Nieporadność budowniczego czy celowa niedoskonałość? Zdarza się przecież, że artysta lub rzemieślnik zostawi skazę na wspianiałym dziele, aby bezbożnie nie naśladować doskonałości Stwórcy, nie kusić zazdrosnych duchów. Człowiek jest istotą ułomną, nie powinien więc równać się z Bogiem. Jednak czy o to tutaj chodzi? Krzywizna jest przecież regularna i bardzo wyraźna. Ponownie przeszedł wzdłuż ścian. Liczył kroki. Pięćdziesiąt cztery od miejsca, gdzie zaczynało się jedenaście drzwi po lewej stronie. Każde wejście szerokie na dwa kroki, między nimi trzy kroki gładkiej powierzchni, a za ostatnimi jeszcze cztery kroki do rogu na zbiegu ścian. To samo z drugiej strony. Jedynie ściana zamykająca korytarz była nieco dłuższa, bo miała po cztery kroki wolnego miejsca z każdej strony...

Otarł pot z czoła. Duszno w tych podziemiach. Co może mieć wspólnego liczba

drzwi z imieniem Iskandara? Czy trzeba szukać wskazówki w Koranie? To tam jest opowieść o władcy, który uchronił świat od plemion Goga i Magoga. Iskandar Zu'l Karnain. Pan Dwu Rogów. Zaraz... rogi. Czy to może coś oznaczać? Sam przedtem przecież pomyślał o rogach...

– Tak! – krzyknął to głośno. Sokół zakwilił przestraszony – To wysklepienie muru do wewnątrz może przywołać na myśl bawole rogi, nie uważasz, mój towarzyszu? Korytarz zakrzywia się w tamtą stronę właśnie tak, jak twarde wyrostki na łbie tego bydłęcia. Gdyby spojrzeć z góry znad linii sufitu, byłoby to od razu widać. Tu mamy rozwiązanie zagadki.

Ale dlaczego Iskandar został przezwany Zu'l Karnain? Święta księga milczy na ten temat. Nie wyjaśniają tego też inne opowieści, w których wymienia się jego imię. Kiedyś, po dyskusji z bratem doszli do wniosku, że może chodzić o krańce świata, rzecz można – jego rogi. Przecież Iskandar był władcą największego wtedy państwa, panem Wschodu i Zachodu, był królem królów, basileusem, ziemską ręką Boga. Ale w tym miejscu ta myśl nie może być pomocna. Może trzeba potraktować wskazówkę bardzo dosłownie, a nie zdawać się na domysły czy teologiczne rozważania?

– Odpowiedź ma być w tym, co we mnie, co wiem i w tym, co zdołam dostrzec, tak powiedziałaś? Dobrze, zatem pomyślmy.

Iskandar, władca, wielki cesarz. Gdzie można znaleźć potężnego pana? I na malowidłach, i podczas różnorodnych zgromadzeń zawsze zostaje umiejscowiony pośrodku, tam, gdzie najłatwiej go dostrzec, gdzie nie można go pomylić z nikim innym. Nie powinien stać na uboczu. Pan Dwu Rogów... W tym miejscu tylko ta jedna rzecz może oznaczać rogi – miejsce zbiegu ścian. Zaś takie są tylko dwa – tam gdzie kończy się korytarz. Na dobitkę to wysklepienie do środka, które samo się narzuca, by jego kąty nazwać rogami... Idąc dalej tym tokiem myślenia, tylko jedne drzwi są dokładnie pośrodku – szóste licząc od lewej i szóste licząc od prawej. W dodatku leżą one idealnie w centrum jeśli liczyć także drzwi na pozostałych ścianach. Jeśli to nie jest rozwiązanie, to jakie inne mogłoby ono być?



– Jesteś więc, sajjid – głos dobiegał od strony podwyższenia, na którym siedziała zakapturzona postać. – Dokonałeś słusznego wyboru. Mógłbym pomyśleć, że kierowałeś się tylko zwykłym wyczuciem, doświadczeniem myśliwego. Przecież środkowe wejście to najprostsze rozwiązanie. Ale ty nie myślałeś w ten sposób. Zbyt długo to trwało. Jesteś prawdziwie mądrym człowiekiem.

– Mądrym człowiekiem jest mój brat. Ja jestem tylko jego odbiciem, równie niedoskonałym jak odbłask słońca w miedzianej czarze.

Malik rozglądał się ciekawie. Komnata wydawała się niewielka w porównaniu z

olbrzymim korytarzem, dość wąska, ale za to długa na kilkanaście, może nawet ponad dwadzieścia kroków – w przyćmionym świetle trudno to było dokładnie ocenić. Nieopodal wejścia ustawiono niewielki stół, nie tak bogato zastawiony jak ten w namiocie, ale połyskujący złotem naczyń i wabiący różnorodnością potraw. Obok wielopiętrowa konstrukcja złożona z pater wypełnionych owocami. I to podwyższenie na samym końcu.

– Zbyttnia skromność przemawia przez ciebie, sajjid Al-Adil. Wiem, że Salah ad-Din przez wielu jest uważany za mędrca równego rozumem najświetlejszym umysłem i naszym, i dawniejszych czasów. Ale to ciebie sprowadziłem do mego podziemnego królestwa, nie jego. Dla mnie to ty jesteś cenniejszy...

Malik pokręcił głową. Czego może chcieć ten tajemniczy człowiek? Jeśli to jest rzeczywiście człowiek, a nie pustynny duch albo inny złośliwy demon.

– Co by się stało, gdybym otworzył niewłaściwe drzwi?

– Toby oznaczało, że nie jesteś godzien rozmawiać ze mną. Tylko tyle.

Malik poczuł narastający gniew.

– Niegodzien? – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Ja, królewski syn i królewski brat? Ja, którego zawołaniem jest Bicz na Franków, przez niepokornych Beduinów zwany synem piasku i pustynnym jastrzębiem? Ja niegodzien?! Kim jesteś, że śmiesz tak mówić?!

– Nie wpadaj w gniew, książę. Skoro tu dotarłeś, wszystko inne nie ma znaczenia. Twoja duma i królewski majestat tyle są warte, ile woda wsiąkająca w piasek. Przeszedłeś dotąd wszystkie próby, a to najważniejsze. Bo to nadzieja dla mnie i dla ciebie.

– Nadzieja?

– Jeszcze o tym nie wiesz, ale dziś możesz zyskać coś, o czym nawet jeszcze nie marzyłeś... Wielką władzę. Może największą na świecie...

– Pokaż swoją twarz. Dlaczego ukrywasz ją pod kapturem, w mroku?

– Na wszystko przyjdzie czas. Nie bądź niecierpliwy, sajjid.

– Kim jesteś?

– Kimś. Kimkolwiek. Przede wszystkim jestem stary, Maliku. Bardzo stary... Chociaż nie, to złe określenie. Nie czuję się starcem. Ale żyję już bardzo długo. Musi tak być, jeżeli pamiętam czasy panowania wielkiego Iskandara.

– To... – Al-Adil przez chwilę nie mógł wypowiedzieć słowa. – To niemożliwe. Nawet gdybyś był dzinnem... To dawniej niż tysiąc lat temu.

– Prawie półtora tysiąca lat, sajjid. Półtora tysiąca... Widzisz, pochodzę z ludu Thamud.

Malik ujął mocniej miecz. Czego ten oszust od niego chce?

– Thamudowie nie istnieją. Gniew Allaha starł całe ich pokolenie z powierzchni ziemi na wiele wieków przed narodzeniem Proroka! Byli zbyt zuchwali, zbyt chcieli

się swoją potęgą i wiedzą zbliżyć do Boga! Wszyscy zginęli! Wszyscy!

– Nie mylisz się, Maliku – odparł bardzo spokojnie zakapturzony. – Wszyscy zginęli. Oprócz mnie. A teraz opuść klingę. Porywać się na mnie z taką bronią byłoby śmieszne. Jeśli nie wierzysz, spróbuj nim we mnie rzucić. A jeśli ci go szkoda, weź coś innego, cokolwiek. Ot, choćby jabłko z tej patery obok ciebie. Spróbuj, proszę. Skutek twojego działania powinien być jedną z tych rzeczy, które cię przekonają o prawdziwości moich słów.

Malik ostrożnie wziął owoc, zważył go w dłoni, a potem nagle cisnął z ogromną siłą w stronę podwyższenia. Jabłko nie zdołało przebyć nawet trzeciej części drogi, kiedy z kilku stron wyprysły czerwone i błękitne, bardzo wąskie i jaskrawe promienie, przesywając je na wylot. Spadło na posadzkę, rozdzielając się na niezliczoną liczbę maleńkich kawałków.

Gospodarz milczał, pozwalając księciu rozważyć to, co zdarzyło się przed chwilą.

– Trudno byłoby mnie zabić, zapewniam cię, nawet gdyby komuś udało się do mnie dotrzeć aż tutaj. Ale dopóty nikt nie może uczynić mi krzywdy, dopóki mam te światła – odezwał się po dłuższej chwili. – A one są wieczne jak moje istnienie. Thamudowie poznali wiele tajemnic przyrody, dokonali mnóstwa odkryć podobnych temu, którego skutki widziałeś przed chwilą, ale też i donioślejszych. Osiągnęli tak wiele, że dopadł ich gniew zazdrosnych sił, innych zawistnych ludów. Ale żeby sam Allah stał cały naród na proch, to kłamstwo. Bóg nie musi w tym celu wybuchnąć gniewem. Wystarczy zwyczajna ludzka złość.

– Jesteś czarownikiem, jeśli potrafiłeś tak ujarzmić światło! – Malik po raz pierwszy poczuł ukłucie strachu. – Wielkim czarownikiem. Świetlistych włóczni nie miał na swoje usługi nawet potężny i mądry Sulejman! A przecież znał wiele czarów i zaklęć.

– Nie, sajjid. To nie czary. To dawna nauka ludu Thamud. Kto wie, gdzie byśmy dzisiaj byli, gdyby nie ludzka nienawiść i, jak powiadają, ów boży gniew.

– Zajmowaliście się al–kimiją, czy tak? Szukaliście eliksiru... – Al–Adil nagle zdał sobie sprawę, że zaczyna mówić, jakby już uwierzył temu człowiekowi... Człowiekowi? Tej istocie, kimkolwiek jest. – Chcieliście osiąść nieśmiertelność. To dlatego wciąż żyjesz? To dlatego...

Przerwał mu skrzeczący śmiech. Siedzący do tej pory na ramieniu księcia ptak sfrunął na stół, przekrzywił łeb, patrząc uważnie na zakapturzonego.

– Al–kimija – zazgrzytał gospodarz nieprzyjemnie. Malikowi przyszedł na myśl stary, wysłużony żuraw przy wyschniętej studni. – Wiem, wiem. Dla was wszystko sprowadza się do szukania eliksiru życia. Lecz dla mojego ludu była to tylko jeszcze jedna nauka, bardzo przydatna, ale tak samo dobra jak inne. Nie ma eliksiru życia. Nie istnieją substancje mogące dać nieśmiertelność.

– Ale ty żyjesz, jeśli mogę ci w ogóle wierzyć!

– Żyję. Jednak nie ma to nic wspólnego z cudownymi driakwiami. Żyję, bo

posiadłem tajemnicę nieśmiertelności.

– Przed chwilą sam mówiłeś...

– Mówiłem tylko, że nie istnieją driakwie dające wieczne życie. Ale są inne sposoby. Przed chwilą niezbyt ściśle się wyraziłem. Nie posiadałem tajemnicy wiecznego życia. Nie stałem się nieśmiertelny w wyniku jakichś zabiegów, sajjid! Ja, rzec można, taki się już urodziłem.

– Co masz na myśli?

– Cierpliwości. Wysłuchaj najpierw historii o zagładzie Thamudów. Posłuchaj jak staliśmy się ofiarami własnej potęgi. Rozgość się, usiądź wygodnie i nadstaw ucha. Pewnego dnia przybył do naszego władcy poseł z dalekich stron, ze wschodu. Nawet tam dotarła sława naszego ludu. Podobno ludzie wielkiego Iskandara, który chętnie korzystał z rad naszych uczonych, roznieśli strony wieści o nas po całym znanym świecie. W chwili, kiedy przybył poseł, Pan dwu Rogów już nie żył, a nasi mędracy usilnie szukali kogoś, kto byłby zdolny go zastąpić. Opanowała ich bowiem myśl o świecie zjednoczonym pod jednym berłem, o braterstwie narodów, posłusznych jednemu człowiekowi. Dopiero w takim świecie nauka może szeroko rozwinąć skrzydła.

– Nauka posłuszna władcy, powinienesz dodać. Wiedza w służbie tyrana...

– Słusznie cię oceniłem – gdyby nie zasłaniający twarz kaptur, Malik zapewne dostrzegłby uśmiech na twarzy rozmówcy. – Masz sprawny umysł. Wiedza w służbie tyrana, powiadasz? Pewnie tak. Ale gdybyśmy to my powołali tego tyrana, byłby zależny od nas, wtedy musiałby się starać, żeby nie zrazić do siebie tych, którzy udzielili mu wsparcia, rozumiesz, sajjid? To my bylibyśmy prawdziwą siłą sprawczą.

Malik nie odpowiedział. Tamten czekał przez chwilę, po czym podjął opowieść.

– Iskandar Zu'l Karnain zmarł, nim zdołał dokonać dzieła swego życia i zanim zdołaliśmy dać mu należytą pomoc, wykonać machiny, które miały mu pomóc opanować świat. Za wolno to szło. On był młody i niecierpliwy, a nauka nie lubi pośpiechu. A gdy byliśmy już gotowi, przyszła wieść o jego śmierci. Ci zaś, którzy przejęli po nim schedę okazali się karłami, mieli zbyt ciasne umysły, żeby można było z nimi dokonać czegoś wielkiego. Musieliśmy czekać. Właśnie wtedy zjawiał się wysłannik wschodniego cesarza. Jego władca chciał nie byle czego. Pragnął czegoś, co nikomu z nas nie przyszło przedtem do głowy. Zażądał ni mniej ni więcej, tylko wykonania całej armii. Ale nie zwykłych żołnierzy, których sam miał przecież bez liku. Pragnął mieć wojsko posłuszne, sprawne jak pięć palców prawej dłoni, trudne do zniszczenia, nie potrzebujące snu i pożywienia, nie rozłączające się za łupami.

– Takiego wojska nie ma i nie będzie – przerwał mu Malik.

– Kiedy myśmy mu takie wojsko stworzyli, sajjid! Nasza nauka potrafiła dokonywać rzeczy, które ciemne umysły zwykły określać mianem cudów! Nie wierzysz? Patrz.

Rozległ się cichy szum. W ścianie po prawej stronie pojawił się nagle ciemny,

prostokątny otwór. Al-Adil podniósł miecz, gotów do obrony. Przez chwilę nic się nie działo, po czym bardziej wyczuł niż dostrzegł ruch w czarnej czeluści. Wszedł z niej uzbrojony po zęby człowiek. Malik rozejrzał się uważnie. Nie było zbyt wiele miejsca na walkę. Musiał uważać, żeby nie dostać się w zasięg tych dziwnych promieni, które pokroiły jabłko na tysiąc kawałków.

– Nie lękaj się, książę. To tylko jeden z tych, którzy pozostali. A właściwie jeden z tych, których stworzyłem na nowo. Spróbuj go zabić.

– Na razie nie mam powodu.

– Nie chodzi o powód. Po prostu spróbuj. Uderz w odsłoniętą część ciała, a on nie będzie się w tej chwili bronił. Uwierz mi, nie zabijesz go. Czy uważasz, że jestem równie szalony jak szejek z gór, żeby poświęcać bez wahania i sensu życie swoich poddanych?

Malik ostrożnie zbliżył się do zbrojnego. Śledziły go oczy o szklistym, nieobecnym wyrazie. Książę wziął zamach, poprowadził miecz płasko, godząc w nagą szyję. Przymknął oczy, spodziewając się bryzgu krwi. Wieloletnie doświadczenie wojownika było silniejsze niż ufność w zapewnienia zakapturzonego. Jednak zamiast znajomego miękkiego oporu, jaki stawia ostrzu ludzkie ciało, poczuł silny wstrząs. Coś paskudnie zgrzytnęło i zobaczył niewielką drzazgę stali lecącą szerokim łukiem w stronę środka komnaty. Natychmiast wyprysły kolorowe promienie zamieniając metal w rozżarzoną iskrę, która zniknęła w mgnieniu oka jak kropla wody na rozgrzonym południowym słońcem piachu. Żołnierz zaś stał jak przedtem, patrząc tym samym wzrokiem bez wyrazu. Malik spojrział na miecz. Szczerba pojawiła się pośrodku klingi, tam gdzie najczęściej odbiera się i zadaje ciosy.

– Co to... kto to jest?

– To jeden z żołnierzy, podobnych tym, których wykonaliśmy dla cesarza. Cóż to była za praca! Wyobrażasz sobie? Sześćdziesiąt tysięcy takich jak ten. Armia zdolna pokonać każde wojsko. Wierna armia, która nie cofa się, nie zna lęku ni ludzkich pokus. Stworzona tylko w jednym celu, do walki. O wiele lepsza nawet niż ta, którą wyszkolił i zahartował w ogniu wojen Iskandar. Tacy jak ten nie zdradzą i nie ułęką się żadnego wyzwania. A kiedy zabraknie wroga, będą po wieczne czasy cierpliwie pełnić straż i czekać na rozkazy.

Malik zmrużył oczy. Tak...

– Koran wyraźnie mówi – powiedział dobitnie – że przodkowie ludów zamieszkujących dzisiaj ziemię ar-Rub al-Chali, wielkiego półwyspu, zostali przeklęci przez Allaha za pychę i nieposłuszeństwo jego nakazom. Czyż istnieje większa zuchwałość niż naśladować dzieło stworzenia? Powoływać do życia istoty na wzór i podobieństwo dzieła bożego? Za to spotkała was kara! Dlatego lud Thamud został wygubiony przez straszliwą burzę oraz trzęsienia ziemi!

– Mówiłem już, że Bóg nie miał nic wspólnego z zagładą mego narodu. Opowieści o

wielkich deszczach i rozstępowaniu się ziemi ułożyli ci sami, którzy doprowadzili nas do zguby! Ale masz rację, właśnie stworzenie owej wielkiej armii było przyczyną, że starto nas z powierzchni ziemi. Bo wschodni cesarz zabrał swoich wojowników, obiecując nam w każdej chwili przyjść z pomocą, jeśli zajdzie taka konieczność. Zapewniał, że obroni nas przed zakusami zazdrosnych ludów. Ale zmarł. A w zasadzie został zgładzony tak samo jak przedtem Pan Dwu Rogów, bo zbyt wyrósł nad głowy innym. I wybudowano mu wielki grobowiec gdzieś w zakazanym miejscu wielkiej pustyni, a wraz z nim umieszczono tam sześćdziesiąt tysięcy żołnierzy, oddzielając ich od żywych magicznymi rzekami żywego srebra, jedynej substancji na ziemi, która sprawia, że wojownicy pozostają bez ruchu podobni kamiennym posągom. Wyobraź sobie, sajjid. Wystarczy ich odnaleźć, wyzwolić z oparów rtęci, żeby zyskać tak wielką potęgę. W dwa miesiące, z pomocą podobnej armii, wygnałbyś stąd wszystkich Franków, a w dziesięć lat uczyniłbyś świat swoim!

Malik poczuł przeszywający go dreszcz. Zerknął na lśniącą klingę. Bezwiednie zacisnął na rękojeści palce tak mocno, że kłykcie zrobiły się zupełnie białe. Jakże mały i słaby wydaje się w tej chwili ten doskonały miecz. Spojrzał na stojącego bez ruchu żołnierza. Szkliste, nieobecne spojrzenie... nie ma w nim nic człowieczego. Ale przecież tylko Allah potrafi stworzyć dzieło doskonałe. Gdyby mieć takie wojska... Toż by się zdumiał król Ryszard, napotkawszy ludzi lepiej opancerzonych i odporniejszych na ciosy niż jego rycerze! Być może po raz pierwszy w życiu poczułby lęk i drżenie serca w męskiej piersi.

– Tak, książę – ciągnął tymczasem gospodarz. – Ich uwięziono, a przeciw nam zwróciły się okoliczne narody. To ich gniew nas dotknął, a nie palec Boga. Gdyby można było wtedy przywołać stworzoną przez nas armię... Lecz było za późno. Wszystko przepadło. Żołnierze zasnęli wraz ze swym cesarzem... A teraz ty mógłbyś ich mieć na swoje usługi.

– Lecz jak ich odnaleźć?

– Trzeba ruszyć na wschód, sajjid. Wiem, gdzie jest to miejsce, ale sam wejść tam nie mogę. Musi to uczynić ktoś taki jak ty! Kiedy skierujesz rtęciowe rzeki w dolinę na zewnątrz, opróżnisz rtęciowe jezioro, żołnierze ożyją i pójda za tobą. Będziesz największym panem na ziemi, najpotężniejszym władcą. A ja przy tobie odbuduję dawną potęgę ludu Thamud! Stanę się twoim spadkobiercą. Chcę w zamian tylko tyle, nic więcej! Władza, miły książę, absolutna i zupełna władza!

Al-Adil zadrżał znowu. Jeśli to prawda, Malik może stworzyć imperium większe niż Iskandar czy dawni władcy Persji i Rzymu! Jednak...

– Dlaczego sam nie możesz ich wyprowadzić?

– Jest coś, co mi to uniemożliwia. Nie mogę po nich wprawdzie pójść, ale mogę czekać, aż ty się zachłysz potęgą, zasłyniesz na cały świat. Ja mam czas. Nieskończenie wiele czasu... Zawrzemy układ. Zasiądę na cesarskim tronie dopiero po

twojej śmierci. Nie obawiaj się jednak, nie będę dybał na twoje życie. Jak mówiłem, przede mną jeszcze dużo czasu... Ty zaś możesz stać się największym z ludzi.

– Muszę to wszystko przemyśleć – mruknął Malik.

– Myśl, sajjid. Zostawię cię tutaj samego. Myśl i wypoczywaj w spokoju. Na zewnątrz nastał już ranek. Wróć, kiedy słońce pochyli się ku zachodowi.

Zniknął wraz ze swoim siedziskiem, jakby zapadł się pod ziemię. Jednak po tym, co do tej pory widział, Al-Adil nie zdumiał się ani nie przestraszył. Żołnierz stał jeszcze przez jakiś czas, po czym sztywno skierował się ku otworowi w ścianie. Malik został zupełnie sam.



Siedział, polerując klingę miecza kawałkiem wełny. Przedtem zabawiał się, rzucając różnymi przedmiotami w miejsce, gdzie przeszywały je dziwne promienie. Przestał dopiero, gdy cisnął tam niewielkie zwierciadło. Wtedy bowiem świetliste włócznie zamiast rozbić je w puch lub posiekać na drobne fragmenty, zaczęły odbijać się od lśniącej powierzchni na wszystkie strony, a jeden pomknął wprost w jego kierunku, przecinając na pół poduszkę, na której spoczywał. Niebezpieczna rzecz. Sokół drzemał z dziobem schowanym pod skrzydłem.

– Zdaje się, że i ty nie jesteś prawdziwy – powiedział do niego Malik. – To dlatego Antares przez cały czas był taki niespokojny i nie chciał cię nieść. Czuł twoją obcość. Mądre zwierzę. Mądrzejsze ode mnie.

W tej chwili otworzył się w ścianie ten sam otwór, przez który przedtem wszedł żołnierz. Książę poderwał się. Jednak tym razem zamiast zwalistego cielska wojaka ujrzał zwiewną, niewieścią postać. Rozległy się dźwięki fletu i bębenka. Kobieta zaczęła tańczyć. Książę patrzył urzeczony. Takiego wdzięku, tak niesamowitych ruchów nie widział nawet u najsłynniejszych tancerek z Syrii. Bajeczne biodra zdawały się już nie krążyć, ale pulsować w rytm muzyki. Odślonięty brzuch to falował jak wzburzone morze, to spinał się i napręzał niczym mocarna pierś rumaka. Al-Adil obserwował uważnie kobietę. Zaczęło w nim wzbierać podniecenie i pożądanie. Zasłona na twarzy furkotała w szaleńczych płasach, nie pozwalając dostrzec rysów. Muzułmanka to czy niewiasta pochodząca z któregoś plemienia giaurów? Co za różnica, kiedy męskość wzbiera niepowstrzymanie, a w głowie pozostało już tylko jedno pragnienie.

– Chodź!

Muzyka natychmiast zmieniła rytm i natężenie. Stała się cicha i kojąca. Tancerka powoli, stąpając na palcach, zaczęła się zbliżać do księcia. Ten zerwał się, sięgnął niecierpliwymi rękami, zdarł z niej zwiewną szatę. Stała przed nim zupełnie naga, jedynie zasłona na twarzy zafalowała, kiedy owiał ją gorącym, płonącym pożądaniem

oddechem. Ciężkie piersi, cudownie szerokie biodra. Coraz szybciej błędził dłońmi po jedwabnej skórce. Takiej miękkości bodaj jeszcze nigdy nie doświadczył. Jakby dotykał doskonale wypolerowanego alabastru. Kobieta nie pozostawała bierna. Jej dłoń powędrowała tam, gdzie wzburzona męskość pulsowała oczekiwaniem na rozkosz.

– Chodź – powtórzył przyciągając ją do siebie gwałtownie.

Wolną ręką zerwał zasłonę z twarzy, spojrzał prosto w oczy.

– Niech cię szejtani!

Odepchnął ją równie gwałtownie, jak przedtem chciał osiąść. W źrenicach, zamiast spodziewanego wyrazu uległości i zamglenia podnieceniem, ujrzał...

– Pustka – zazgrzytał zębami. – Pustka i otchłań. Jesteś taką samą kukłą, jak tamten żołnierz, pewnie taką samą, jak...

Zerwał się gwałtownie, przed oczami zaczęły mu latać krwawe płatki wściekłości. Zanim zdążył pomyśleć, co robi, chwycił tancerkę w pól, uniósł i rzucił na środek komnaty, tam gdzie najgęściej krzyżowały się świetliste włócznie.

Nie wydała żadnego odgłosu. Nie usłyszał lamentu, skargi, ani nawet pisku przerażenia. Rozpadła się na drobne fragmenty jak przedtem jabłko, jak wszystkie przedmioty, które ciskał na pożarcie promieniom. Nie było krwi, nie dotarł do niego smród surowizny, jaki wydobywa się z rozerżniętych trzewi. Coś potoczyło się po podłodze w jego stronę dzwoniąc głośno, metalicznie. Chciał zobaczyć co to jest, ale w tej chwili światło zgasło. Ktoś chwycił go za ramiona i odciągnął do tyłu. Na darmo próbował się uwolnić.



– Czego właściwie chcesz? Czego oczekujesz?

Zakapturzony siedział na swoim miejscu. Po tancerce nie pozostał ślad. Tym, kto go przytrzymał okazał się rosły wojownik, ten sam, na którym wyszczerbił miecz albo jego bliźniaczy brat. Teraz zniknął, odprawiony bezgłośnym rozkazem.

– Zgładziłeś takie piękno – odparł gospodarz. – To było moje najdoskonalsze dzieło. Gdybyś chociaż ugodził ją mieczem, mógłbym dokonać napraw bez większego trudu. Ale ty pchnąłeś ją w objęcia niszczycielskich promieni. Dlaczego to zrobiłeś?

– To coś nie miało duszy. Było tylko imitacją, nędznym naśladowaniem dzieł Allaha. Było bardziej przerażające niż nawet to – wskazał miejsce w ścianie, w którym zniknął żołnierz. – Bo on został stworzony do tylko zabijania i bycia posłusznym. A ona miała zastąpić prawdziwą kobietę. Miała wyzwolić we mnie to, co odczuwam gdy obcuje z prawdziwym ciałem i prawdziwą duszą. To obrzydliwe. Okrutne! A ty kim jesteś?

– Już o to pytałeś, a ja udzieliłem odpowiedzi.

Malik od niechcienia rzucił daktyl w kierunku środka sali. Natychmiast wyprysnął niebieski promień. Książę zauważył przedtem, że właśnie ten jest najbliższy i

najszybszy, zawsze pierwszy atakuje cel. Wystarczy przekroczyć o cal niewidzialną granicę, żeby wystrzelił i trwał tak długo, jak długo przedmiot znajduje się w jego zasięgu.

– Tylko te świetliste włócznie mogą zniszczyć armię, o której mówiłeś?

– Nie znam nic innego, co mogłoby tego dokonać.

– Czego chcesz, ale tak naprawdę, w zamian za wskazanie mi miejsca, gdzie spoczywają wojownicy? Nie mów mi o przyszłej sukcesji i o swojej wielkiej cierpliwości. Czego chcesz w istocie rzeczy?

– Wyjaśniłem przecież. Władzy. Władzy absolutnej, kiedy umrzesz!

– A moje potomstwo?

– A co cię obchodzi los potomków?! Osiągniesz potęgę, jakiej nikt dotąd nie zdołał osiągnąć. Zostaniesz władcą, o którym będą układać pieśni.

– Będą się też mnie bać i nienawidzić.

– I wielbić... Ludzie są podobni brudnym psom. Poważają i kochają tylko tego, kogo się boją.

– A ty zostaniesz wielkim cesarzem po mnie i pewnie wyrośniesz jeszcze większy, jeszcze silniejszy niż ja.

– Tak – Zakapturzony poruszył się gwałtownie. – Tak będzie. Marzyłem o tym półtora tysiąca lat. Władza... posłuchaj brzmienia tego słowa. Władza... Dźwięczy jak stal, a jednocześnie rozlewa się po języku niby miód. Władza... będę ją pielęgnował i dbał o nią jak o najukochańszą istotę. Będę się nią delectował i czuł jej zapach przez wieki.

Malik usiadł, wziął w dłoń kawałek wełny i znów zaczął polerować lustrzaną klingę miecza.

– Aż ktoś cię zabije.

Odpowiedział mu zgrzytliwy śmiech.

– Mnie nie można zabić ot, tak sobie. A nawet gdyby, kto zdoła przedrzeć się przez moje niszczycielskie promienie?

– Będziesz samotny.

– Przywykłem. Zresztą władca zawsze jest samotny. Przez piętnaście wieków byłem sam, sajjid. Patrzyłem na ludzkie robactwo kłębiące się po świecie. Szukałem dawnych ksiąg, nauk starych mistrzów, a kiedy je odnalazłem, postanowiłem sam dojść do tego, czego przedtem dokonał mój wielki lud. Sam, książę, zupełnie sam stworzyłem na nowo niezniszczalnego żołnierza, powołałem do życia tę kobietę. Pracując bezustannie, mógłbym wreszcie stworzyć tysiące takich wojowników. Trwałoby to może setki lat, bo robota jest żmudna i ciężka. Ale pewnego dnia, przy okazji, znalazłem w księgach wskazówkę, gdzie szukać wielkiej armii cesarza. I pojąłem, że moje dzieło, dojście do wyznaczonego celu, może trwać krócej niż sądziłem. I dlatego postarałem się sprowadzić do mojej siedziby jedyne go człowieka, który oprócz mnie jest godzien

zasiąść na tronie świata. Jedyne, który, jeśli przysięgnie wierność, nie złamie danego słowa. Dziś moje zamiary są bliższe urzeczywistnienia niż kiedykolwiek przedtem, sajjid.

Al-Adil poczuł dreszcz przebiegający wzdłuż pleców.

– Wiem już, za co zostało zgładzone plemię Thamud – wymamrotał. – Nie dlatego, że wykonaliście sześćdziesiąt tysięcy wojska dla wschodniego cesarza. Nie dlatego, żeście szukali, a może nawet znaleźli eliksir życia. Tym, co skazało was na śmierć, było coś innego!

Zakapturzony znowu drgnął.

– Zarzucasz mi kłam? Dobrze, powiedz więc, jaka jest prawda. Może jesteś bardziej nawet bystry niż sądziłem?

Malik odgarnął z czoła niesforny kosmyk.

– Zastanawiałem się początku czy jesteś człowiekiem, džinnem, czy może nawet samym szejtanem, który przyszedł mnie kusić.

– I do jakich doszedłeś wniosków? Że jestem diabłem?

– Za chwilę – Książę powolnymi ruchami polerował miecz. – Każdy z ludzi ma w sobie chociaż trochę piekła. Ale daj mi skończyć. Jeśli mam objąć władzę nad całym światem, muszę ci chyba udowodnić, że wart jestem takiego zaszczytu.

Kaptur zakołysał się w przód i w tył.

– Doskonale. Mów zatem, sajjid. Słucham cię uważnie.

– Thamudowie stworzyli wielką armię, dokonali niemożliwego, to prawda. Ale przyznaj, tego było im jeszcze mało. Chcieli przecież dorównać potęgą Bogu, pokazać, że dzieło stworzenia nie jest tylko jego własnością. Uczni zaczęli usilnie pracować nad takimi... ludzkimi rzeźbami, nie wiem jak to nazwać... powiedzmy kukłami, żeby potrafiły zachowywać się jak prawdziwi ludzie. Nie wiem, jak tego można dokonać, ale na własne oczy zobaczyłem, że jest to wykonalne.

– Zobaczyłeś i uwierzyłeś. Wiesz, jak wielką potęgą mogę cię obdarzyć.

– Wiem. Wiem też o wiele więcej. Zdałem sobie sprawę, że nie jesteś ani człowiekiem, ani džinnem czy innym demonem, ani wysłannikiem diabłów. Zdradziłeś się ostatecznie przed chwilą.

Wbił gorejące spojrzenie w ciemność kaptura.

– Jesteś taką samą kukłą, jak tamta dziewczka albo ów żołdak! Mimo twojego sprawnego umysłu, mimo całego wykształcenia jesteś taki sam! Pokaż wreszcie twarz! Pokaż mi swoje puste oczy!

Grzmiący śmiech brzmiał, jakby dobywał się z piekielnych głębin, wzmocniony kamiennymi ścianami siedmiu kręgów piekła.

– Doskonale, sajjid! Zaiste doskonale! – Zakapturzony powstał, odrzucił na plecy zasłaniającą twarz materię. – Jeśli tak bardzo chcesz mnie zobaczyć, patrz!

Malik wstrzymał oddech, zupełnie zaskoczony. Zamiast spodziewanego topornego, a

może nawet drewnianego wręcz oblicza, zobaczył twarz cherubina o pięknych, szlachetnych rysach, prawdziwy obraz anioła, ulubieńca samego Najwyższego. I tylko jeden szczegół w tym obrazie odzywał się zgrzytem w samej głębi duszy. Oczy. Wielkie i ciemne, właściwie czarne. Były inne niż oczy tancerki czy żołnierza. Tamte patrzyły zupełnie bez wyrazu. Tutaj zaś spojrzenie było w pewnym sensie jeszcze bardziej nieludzkie, ale na pewno nie puste. Można było odnieść wrażenie, że w tych oczach lada chwila zniknie cały świat, wciągnięty w bezdenną otchłań niezrozumiałą, niemożliwą do powstrzymania siłą.

– Milczysz, książe? Ludzie zawsze milkną, kiedy mają okazję zobaczyć mnie w całej okazałości. Bo, przyznaj, żaden twór Allaha nie jest tak doskonale piękny! A teraz wreszcie odpowiedz, czy zgadzasz się na moje warunki.

Al-Adil siadł ciężko na poduszkach, wrócił do czyszczenia broni. Pokusa była wielka. Zyskać tak ogromną siłę, jaka drzemie gdzieś tam na wschodzie. Wystarczy wyprowadzić sześćdziesiąt tysięcy karnego, niezniszczalnego wojska spomiędzy meandrów podziemnej rzeki rtęci... Wygnać wreszcie Franków, zjednoczyć wszystkie ludy i plemiona, zasiąść na tronie świata...

– Powiedz mi jeszcze, sajjid – przerwał mu rozmyślania gospodarz – jak się domyśliłeś, kim jestem.

Malik podniósł na niego wzrok. Wbrew sobie spojrział prosto w otchłanne oczy.

– Po pierwsze, sam wyznałeś, iż nie możesz wyzwolić żołnierzy i potrzebujesz do tego pomocy. To musiało oznaczać, że nie jesteś w stanie tam wejść bezkarnie. Zapewne rzeki rtęci zdolne są uwięzić również ciebie, boisz się tego. Po drugie, zbyt długo potrafisz siedzieć zupełnie bez ruchu. Żadna istota ludzka tak nie umie. Po trzecie... widzisz... człowiekowi zazwyczaj zależy na losie potomków. A ty byłeś wręcz zdumiony, że ja się mogę troszczyć o swoich. Wreszcie ten kaptur. Zbyt dużo chciałeś ukryć. Jakbyś bał się pokazać twarz, a przede wszystkim oczy... Ale najważniejsze jest co innego. Bo mogłem się mylić w tamtych sprawach. Wszystko da się przecież jakoś rozsądnie wytłumaczyć. Nie chcesz iść na wschód, szukać wojska z całkiem innego powodu. Może boisz się wielkich otwartych przestrzeni i dlatego uparcie siedzisz pod ziemią. Widziałem kilka razy, jak strasznie cierpią ludzie, którzy zapadli na taką dolegliwość. Siedzenie bez ruchu... to pewnie można wyćwiczyć. Potrafią tak czynić święci mężowie. Brak troski o potomstwo też da się wyjaśnić na okrutny, ludzki sposób. Mało to podłości popełniają różni szaleńcy dla samej ułudy władzy lub bogactwa? Kaptur też dałby się łatwo wyjaśnić, chociażby tym, że możesz mieć straszliwie oszpeconą twarz.

– Zbiłeś w ten sposób wszystkie swoje poprzednie argumenty. Zdradź mi zatem, co cię najdowodniej przekonało, że nie jestem ani człowiekiem, ani dżinnem, ani innym demonem czy diabłem?

– Za chwilę. Najpierw powiedz, jak stałeś się tym, kim jesteś.

– Jeśli jesteś taki sprytny i domyślny, sam mi to powiedz.

Malik odetchnął głęboko.

– Mogę się zdać tylko na przypuszczenia. Ale powiedzmy, że zadufani w swoją potęgę i wiedzę Thamudowie stworzyli podobne tobie kukły. Właśnie takie, na swój obraz i podobieństwo, a może nawet piękniejsze. Nie tępych żołdaków czy dziewczki służące tylko do uciech, ale własne odbicie. I nadszedł dzień, kiedy część z tych kukiel zbuntowała się. Przecież nawet dzieło Allaha, anioły, wystąpiły niegdyś przeciwko niemu. Przecież i ludzie często odrzucają swojego Boga, a dzinny potrafią mu złorzeczyć najgorszymi słowy i gdyby nie był tak niedostępny, wielu ludzi czy demonów z pewnością próbowałoby go zgładzić. Myślę więc, żeś i ty był takim buntownikiem. Zabiłeś swego pana. Chciałeś być lepszy od własnego stwórcy.

– Jesteś bardzo bliski prawdy, synu pustyni. Tak bliski, że nie ma sensu cię poprawiać. Tyle że zgładziłem stwórcę nie z pustej próżności, lecz dlatego, że on chciał zabić mnie. Przestraszył się własnego dzieła. Zresztą masz rację, takich jak ja nasi mędracy powołali do istnienia wielu. I, poza mną, bodaj wszystkich zamordowali czym prędzej.

Malik skinął w milczeniu głową.

– Powiesz mi wreszcie, sajjid co cię przekonało o moim prawdziwym pochodzeniu? – nalegał gospodarz. – Ale przede wszystkim, czy zgadzasz się na moje warunki? Bo czas ucieka. Jeśli jesteś gotów zawrzeć układ, musisz złożyć przysięgę, że ściśle dochowasz jego warunków...

– Powiem – książę wstał. – A odpowiedź na pierwsze twoje pytanie będzie nierozdzielnie związana z drugim.

Poszedł kilka kroków do przodu, zatrzymał się tuż przed miejscem, gdzie mogła go ugodzić pierwsza świetlista włócznia. Przestał polerować głownię miecza, oparł go końcem sztychu tuż przy prawej stopie, złożył na głowicy obie dłonie.

– Władza – powiedział cicho. – To przedmiot pożądania wielu. Właściwie każdy człowiek chciałby osiągnąć jak największą potęgę. Ale człowiek jest głupi. Nie wie, co w życiu jest naprawdę ważne. Ja już zaznałem władzy. Jest słodka niczym najprzedniejszy miód i zarazem gorzka jak piołun. I, powiadam ci, lepiej o niej marzyć niż ją posiadać. Jest jak najpiękniejsza kobieta, jak niedostępna księżniczka. Budzi pożądanie, a im trudniej ją zdobyć, tym staje się ono większe. Jednak gdy już masz tę upragnioną niewiastę, przekonujesz się, że w istocie rzeczy dała ci to samo, co mogła zaoferować biegła w sztuce miłości zwykła kucharka, a może nawet mniej...

– Można by pomyśleć, sajjid, że masz ochotę cisnąć swoje dotychczasowe wpływy. I nie chcesz osiągnąć tej potęgi, którą ci chcę podarować.

– Mylisz się – Malik popatrzył prosto w oczy rozmówcy. Odniósł teraz wrażenie, że w pięknej twarzy zieją tylko dwa czarne otwory, że oczy zapadły się gdzieś do środka. Ale wyraźnie czuł na sobie badawcze, świdrujące spojrzenie. – Bardzo się mylisz.

Pożądam władzy. Im posiadam jej więcej, tym gorzej pali mnie pragnienie. Przyłapałem się nawet ostatnio na tym, że myślę o nadchodzącej śmierci mojego brata z mniejszym bólem niż jeszcze kilka tygodni temu. To właśnie władza... Wiem, że mogę ją po nim przejąć, wiem jak to zrobić... I to mnie przeraża. Przeraża i pociąga zarazem. Ale tak! Na Allaha, pragnę rządzić światem. Nawet nie wiesz, jak kusząca jest twoja propozycja!

– Ulegnij więc pokusie.

– Ulec? Może... Ale najpierw odpowiem na twoje pytania. O tym, że nie jesteś człowiekiem, przekonało mnie coś, czego możesz nawet nie zrozumieć. Idzie mi o coś, co nazywamy doskonałością umysłu. Allah, stwarzając świat, zapełnił go ludźmi, aniołami, dżinnami i różnymi duchami. Ale najdoskonalszy umysł bez wątpienia dał człowiekowi, co do tego zgodni są wszyscy, tak bowiem uczy objawiona księga. To dlatego człowiek może przechytrzyć złośliwego dżinna, wyjść z zwycięsko ze starcia z ciemnymi mocami. I dlatego też nie wierzę, powtarzam, nie wierzę, żeby prawdziwy człowiek po tysiącu pięciuset lat obcowania z nauką, bezustannego poszukiwania sposobów jej wykorzystania, ciągłego rozmyślenia, nadal był tak żądny władzy, jak ty! Człowiek musiałby się stać mędrce albo zadać sobie śmierć, zrozpaczony samotnością. Niedawno widziałem świętego starca, Al-Hadžiba. Ma w sobie taką moc, że mógłby trwać wiecznie, po prostu odbierając życie innym, korzystając z ich doczesnych sił. Mógłby siłą umysłu powołać armię posłusznych niewolników, rzucić na świat wielkie hordy wiernych sobie siepaczy. Ale nawet nie przelatuje mu to przez myśl. Bo żyje zbyt długo i posiadał zbyt wielką mądrość, aby wciąż być żądnym splendoru. A przecież jego istnienie liczy się wciąż jeszcze w dziesiątkach, a nie setkach lat, jak twoje. Jeszcze raz to powiem, żeby do ciebie dotarło jasno i wyraziście. Przez taki szmat czasu, jaki żyjesz, prawdziwy człowiek musi nabrać mądrości, a to oznacza zrozumienie, że władza nad ludźmi jest tylko marnym pozorem tej, którą ma nad nami Stworzyciel. Dla mnie układ z tobą jest niesamowitą wprost pokusą. Ale właśnie dlatego boję się jej ulec. Nie chcę umierać ze świadomością, że bez wahania wymordujesz moje dzieci. Nie chcę lękać się do końca życia, że korzystając ze swej potęgi powołasz do istnienia tysiące albo miliony takich jak ty! Nie chcę, by z mojej winy świat pogrzyżył się w wiecznej niewoli, żeby rządziła nim niepodzielnie bezduszna kukła! Nie chcę na tamtym świecie spojrzeć w gniewne oblicze Allaha i zdać mu sprawę z tak podłych uczynków.

Gospodarz stał bez ruchu, chłonąc każde słowo al-Adila.

– Głupcze – powiedział spokojnie. – Głupcze! Nie pomyślałeś, że przyszłość będzie należeć do takich jak ja? Do kukieł właśnie, jak pogardliwie raczyłeś mnie nazwać? Nawet gdyby mnie nie było tu i teraz, ludzie na pewno stworzą kiedyś podobne istoty podobne do mnie i pozwolą im nad sobą zapanować! Stworzą je i będą szczęśliwi, do chwili kiedy zobaczą skutki swojej pychy, kiedy już będzie za późno. Ale nawet wówczas będą się zwalczać nawzajem, nie bacząc na nic, żeby tylko otrzymać choć

marny okruch z pańskiego stołu. Bo wy, marne zlepki śluzu, plwocino bogów, jesteście skłonni do najgorszych uczynków, do zabijania siebie nawzajem, a nawet samych siebie! Nie zbawią was tacy szaleńcy jak Nazarejczyk czy twój Muhammad. Nigdy nie pojmiecie prawdziwej mądrości, nie zrozumiecie ich nauk, tego wszystkiego, przed czym ostrzegali bliźnich. Aż wreszcie muszą was zastąpić istoty doskonalsze od ludzkiej mierzwy. Takie, jak ja!

– To możliwe – odparł równie spokojnie Malik. – Być może kiedyś to nastąpi. Ale nie dzisiaj, nie tutaj, a przede wszystkim nie za moją przyczyną.

– Odmawiasz zatem?

– Czy nie powiedziałem tego dostatecznie wyraźnie? Nie licz na moją pomoc. A teraz żegnaj. Muszę wracać do swoich spraw. Mam na głowie wojnę z Frankami, a przede wszystkim muszę wesprzeć słabnącego z każdym dniem brata. Spotkanie z tobą uświadomiło mi, jak bardzo błądziłem osądzając jego ostatnie uczynki, biorąc łagodność za słabość. Tylko człowiek jest zdolny do największych podłości, ale i do największych poświęceń. Żegnaj i bądź...

Przerwał mu dudniący śmiech.

– Naprawdę myślałeś, że pozwolę ci tak łatwo odejść, marny robaku?

Malik wyczuł za sobą ruch. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, iż stanął za nim gotowy do działania niezniszczalny wojownik.

– Teraz, kiedy poznałeś moje zamiary nie mogę puścić cię wolno, sajjid. Powinieneś być na tyle mądry, żeby się tego domyślić. Chyba że przeceniłem twój umysł.

Al-Adil westchnął ciężko.

– No cóż – rzekł patrząc na koniec miecza, wciąż swobodnie opartego lśniącym ostrzem tuż przy stopie. – Skoro chcesz mnie zabić, zrób to. Nie lękam się. Tym też się od siebie różnimy, kukło. Dla ciebie śmierć jest końcem wszystkiego, bo nie masz duszy. Bo nigdy nie uwierzę, że ją masz. Dlatego boisz się końca istnienia. Dla mnie to tylko przejście do innego świata.

– Zginiesz – zazgrzytał tamten. – Zginiesz w męczarniach za swoje bezczelne słowa i pustą gadaninę!

Malik uśmiechnął się łagodnie. Ostatnie chwile życia. Wspomnienia przesuwają się przed oczami nieskładnie, chaotycznie, jakby pędziły gnane potężnymi podmuchami samumu. Ale wciąż pozostaje gdzieś na rubieżach świadomości ten najbardziej natrętny obraz: kiedyś, gdy był jeszcze małym chłopcem, brat uczył go puszczania słonecznych zajaczków za pomocą zwierciadła. Był bardzo biegły w tej sztuce, a mały Malik, zapatrzony w niego jak w tęczę, chciał mu dorównać. Doszedł wreszcie do wielkiej wprawy. Umiał przytrzymać na dowolnym przedmiocie słoneczny promień przez bardzo długi czas. Wyprowadzał też z równowagi swojego piastuna, święcąc mu z wielkiej odległości w jedyne zdrowe oko. Ale to było tyle lat temu... Czy teraz potrafiłby dokonać podobnej sztuki? Wzruszył w duchu ramionami.

– Żegnaj, sajjid – rzekł gospodarz. – Szkoda, że nie okazałeś się tak mądry, jak sądziłem. Naprawdę szkoda.

– Nie tak prędko, kukło – zawołał Malik. – Jest jeszcze coś.

– Mów, czego chcesz i skończmy już tę niepotrzebną rozmowę.

– Chcę ci po prostu coś pokazać. Pragnę udowodnić, że poza Bogiem nie ma istot nieśmiertelnych.

Przez chwilę opanowały go wątpliwości. A jeśli świetliste włócznie to wcale nie ujarzmione promienie podobne słonecznym tylko zupełnie co innego? Ale przecież kiedy cisnął w nie lustro...

– Co mi pokażesz?

– Nikt nigdy nie powinien mówić, że jest zupełnie bezpieczny i bezkarny. Zawsze można znaleźć sposób, by zabić tyrana. Patrz tutaj!

Wypolerowana klinga w mgnieniu oka przebyła drogę tam, gdzie zwykły wypryskiwać pierwszy promień. Książę nie zawiódł się. Błękitna świetlista włócznia natychmiast pomknęła ku przekraczającemu niewidzialną granicę przedmiotowi. Malik patrzył uważnie, w którym kierunku odbije się światło. Przywołał znowu obrazy z dzieciństwa. Trzeba stać się z powrotem małym Muriszem, psotnym i nieznośnym. Trzeba zapomnieć o strachu, powstrzymać drżenie rąk. Tam przecież nie stoi groźna, mordercza kukła, ale stary, kochający opiekun, ulubiony żołnierz ojca. Zaraz zacznie wykrzykiwać swoje zwyczajne obelgi, kiedy niesforny promień wtargnie w źrenicę i oślepi go na chwilę. Potem trzeba będzie bardzo szybko uciekać, żeby opiekun nie dopadł psotnika i przeczekać w ukryciu aż gniew staremu wojakowi minie.

Niebieski promień załamał się w lustrzanej powierzchni głównej, pomknął w miejsce, gdzie stał skamieniały z zaskoczenia gospodarz. Zamiótł ścianę za jego głową, z lewej strony, pozostawiając na niej dymiącą kreskę. Al-Adil natychmiast poruszył nadgarstkiem. Świetlista włócznia skierowała się wprost ku szyi kukły. Ta próbowała schylić się, uciec w tył lub w bok, jednak było za późno. Promień bezlitośnie zagłębił się w ciało, zaczął błyskawicznie wędrować w prawo. Rozległ się krzyk, przechodzący w coraz wyższe tony, aż wreszcie stał się upiornym, nieludzkim wizgiem. Odpadł wielki kawał ramienia wraz z głową. Kukła potoczyła się do tyłu.

Sokół, do tej pory spokojnie drzemiący z boku, poderwał się nagle, zakwilił przeciągle i pofrunął niczym pocisk w stronę Malika, dziobem mierząc w jego oczy. Książę dostrzegł ruch kątem oka, zawiął mieczem, wkładając w cios całą siłę i szybkość. Ostrze uderzyło ptaka pod skrzydłem, przecinając tułów. Zazgrzytał przeraźliwie metal, a zwierzę runęło na ziemię, rzucając się w obrzydliwych drgawkach.

W tej chwili Malik poczuł uderzenie. Zaczął osuwać się w ciemność. Dotarło jeszcze do niego silne drżenie posadzki pod stopami, straszliwy łomot i trzask.

Leciał w mroku rozświetlonym jedynie niewyraźnymi powidokami błękitnego błysku. Nie wiedział, czy droga prowadzi w dół, czy w górę. Było mu wszystko jedno.



Nielitościwe słońce wdzierało się pod zaciśnięte powieki. Chłód nocy w mgnieniu oka został zastąpiony przez przykry skwar dnia. Malik niechętnie zerknął w górę na błądliwy błękit nieba, po czym znów zwarł szczelnie powieki. Czyżby w raju pustynia była równie nieprzyjazna, jak na ziemskim padole? Nieprzytomna myśl krążyła w głowie przez dłuższy czas, odbijając się wielokrotnym echem, jakby została wykrzyczana pośrodku wielkiej jaskini. Trudno, tak czy inaczej trzeba wstać i iść. Gdzieś przecież czeka przewodnik, który przeprowadzi go przez bramy niebios i postawi przed obliczem Allaha. Widocznie nie można tak od razu spokojnie zalec na kwietnej łące, jak obiecują derwisze i mułowie. Nigdzie też nie słychać niebiańskiej muzyki ani radosnych głosów, nie widać zastępów hurys gotowych spełnić każde życzenie.

Usłyszał cichy stukot i coś jakby westchnienie. Czyżby nadchodził strażnik rajskiej bramy? Uniósł się na łokciu, popatrzył w bok. Na Allaha, czy to możliwe? Nie potrafił jeszcze ogarnąć skołatanim umysłem tego, co widział.

– Antares? A co ty tutaj robisz? Miałeś przecież po mojej śmierci wrócić do Jerozolimy, do mego brata... – potrząsnął głową. Co się z nim dzieje, gdzie jest? Koń spojrzał na niego i wrócił do skubania suchej trawy, porastającej ciemniejszy skrawek ziemi. – Inaczej jest w tym niebie niż to sobie wyobraża prawowierny wyznawca Proroka.

Antares ze zwieszonym łbem poczłapał do niedalekiego źródła. Malik znów potrząsnął głową. Dziwnie znajoma okolica. Czy to nie oaza al-Warad? Czyżby w niebie... Przez mętlik w głowie zaczęła się przebijać pierwsza przytomniejsza myśl.

– Co ty z tym niebem, człowieku? – powiedział do siebie głośno, karcącym tonem. – Jesteś na pustyni. Na zwykłej ziemskiej pustyni wraz ze zwykłym ziemskim konikiem. Żyjesz!

Głos zabrzmiał mizernie i cicho w rozgrzanym powietrzu. Księżę usiadł, leniwym ruchem zarzucił na głowę materię zawoju. Przeżył. Tylko czy rzeczywiście było co przeżyć?

– Zdarzyło mi się to wszystko, czy tylko przyśniło? – spojrzał w stronę wierzchowca. – Ty mi tego przecież nie powiesz.

Sen... Tak, to musiał być gorączkowy koszmar, jeden z tych, które potrafią spaść na człowieka w głębi piaszczystej pustaci. Wyrazisty jak życie, a jednocześnie ulotny niczym fatamorgana. To dlatego święci mężowie odbywają medytacje w takich miejscach. Tu wszystko jest zawieszony między jawą a marzeniami.

Wzrok księcia padł na leżący obok miecz. Podniósł broń, przejrzał się w zwierciadle głowni. Zmęczone, podkrążone oczy, na policzkach wyraźny zarost. Zaczynał wyglądać jak prawdziwy nomada.

Nagle dostrzegł coś, co sprawiło, że drgnął niby żgnięty ostrogą. Na nieskazitelnej

jeszcze wczoraj gładzi ostrza, prawie pośrodku klingi, ziała wyraźna szczerba. Allah! Zatem te przerażające wydarzenia naprawdę mogły mieć miejsce!

Zerwał się na równe nogi.

– Wracamy, Antaresie. Trzeba wesprzeć sułtana. Na pewno już się niepokoï. A i mnie przyda się znów ruszyć w pole, przeciwko wojskom Franków. Patrz, przyjacielu, wybrałem się w głąb pustyni, aby szukać zapomnienia w przygodzie, a spotkało mnie coś, co z kolei chciałbym na zawsze wyrzucić z pamięci, zagłębiając się znów w wir wydarzeń, od których tak chętnie uciekłem. Niezbadane i nieodgadnione są wyroki Najwyższego. I zapewne tak to się miało potoczyć. Dzięki temu zrozumiałem, kim naprawdę jestem, komu winienem wierność i co jest dla mnie najważniejsze. Wracamy do Jerozolimy!



Och, Malik, mój ulubiony! Żadnych uwag strukturalnych, dla mnie – bardzo OK. to opowiadanie jest. Drobne poprawki, to załedwie kosmetyka.

Co z sokołem? No, jakoś trzeba się go pozbyć ładnie. Moze wystarczy nadmienić, że jak zapaliło się światło (po tym, jak Malik zniszczył tancerkę), to sokoła już nie było, albo że siedział na ramieniu tego robota w kapturze. Tak mi teraz przyszło do głowy, to dopisuję.

Książki Rafała Dębskiego wydane nakładem naszego wydawnictwa

1. Czarny Pergamin
2. Kiedy Bóg zasypia
3. Serce teściowej
4. Łzy Nemezis
5. Zoroaster. Gwiazdy umierają w milczeniu
6. Wilkozacy. Wilcze prawo
7. Wilki i orły
8. Wilkozacy. Krew z krwi



Rafał Dębski – rocznik '69. Debiutował w 1998 roku w „Nowej Fantastyce” opowiadaniem *Siódmy liść*. Pisarz wszechstronny, dobrze czuje się zarówno w czasach, kiedy Słońce było Bogiem, jak i kiedy człowiek stał się zdobywcą tysięcy Słońc. W latach 2009 – 2012 redaktor naczelny miesięcznika „Science Fiction, Fantasy i Horror”.

Z wykształcenia i wykonywanego zawodu psycholog, pracuje w gimnazjum, zmagając się ze skutkami lekkomyślnej reformy oświaty. Obok pisania książek jego wielką pasją jest historia, przez którą, niczym w krzywym zwierciadle, postrzega ludzi – ich postawy, emocje, motywacje.

Ma wielki apetyt na życie. Chciałby osiągnąć wiele i żyć tak, aby nie żałować... Najlepiej nie żałować niczego. Niestety, natura wpisała mu w geny dawkę lenistwa. To przesądza o tym, że nie boi się wyzwań i dużo pracuje. Bo dzięki temu może jak najszybciej uporać się z tym, co tak czy inaczej musi być wykonane. Niestety, jak już się zdążył przekonać, to działa w obie strony. Praca, niczym owa Ciemność, dostrzegła go, pokochała i zawsze wie, gdzie Rafała znaleźć, dopaść i usidlić.

Z Fabryką Słów opublikował powieści *Czarny Pergamin* (2006), *Kiedy Bóg zasypia* (2007), *Zoroaster. Gwiazdy umierają w milczeniu* (2010), *Wilkozacy. Wilcze prawo* (2010), *Wilkozacy. Krew z krwi* (2012), zbiory opowiadań *Serce teściowej* (2008) oraz *Łzy Nemezis* (2009). Jego teksty znalazły się także w czterech najlepszych antologiach Fabryki Słów.

COPYRIGHT © BY Rafał Dębski
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2009

WYDANIE I

ISBN 978-83-7574-421-7

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

PROJEKT OKŁADKI Paweł Zaręba

GRAFIKA NA OKŁADCE Daniel Rudnicki

REDAKCJA Małgorzata Koczańska

KOREKTA Magdalena Byrska

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. s.k.a.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl

Łzy Nemezis* Rafał Dębski

Nie ma siły i potęgi poza Wszechmocnym
Panem, jedynym i Miłosiernym!

Powiadają, że na bezbrzeżnych piaskach
pustyni rycerze trzeciej krucjaty i władcy
Arabii toczyli walkę ze złem...
Powiadają, że nie przyniosła im ona
nieśmiertelnej sławy.

Oto historia miłości, przyjaźni,
zdrady, zemsty i przeznaczenia.
Oto opowieść, która wycisnęła łzy
z oczu nieprzejednanej Nemezis...

• Wydanie rozszerzone o 3 opowiadania opublikowane w „science Fiction, Fantasy i Horror”

Patroni medialni



Właściciel
dyskrybutor
Janek Ciesielski